

tytuł: "Uciekinier"

autor: Ken Follett

tytuł oryginału: "A PLACE CALLED FREEDOM"

**przełożyli: JACEK MANICKI, MICHAŁ
WROCZYŃSKI**

tekst wklepał: Krecik

PRIMA

WARSZAWA 1998

Copyright (c) Ken Follett 1995

Copyright (c) for the Polish edition by PRIMA 1995

**Copyright (c) for the Polish translation by Jacek
Manicki & Michał Wroczyński 1995**

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Redakcja techniczna: Janusz Festur

Komputerowy montaż okładki: Witold Kuśmierczyk

ISBN 83-7186-050-1

PRIMA Oficyna Wydawnicza sp. z o.o.

Świętokrzyska 30/55, 00-116 Warszawa

Adres do korespondencji: skr. poczt. 55, 02-792

Warszawa 78 tel./fax 624-89-18

E-mail:

wydawnictwo@prima.waw.pl

Internet:

http ://www.prima.waw.pl

*** * ***

Dedykowane pamięci

JOHNA SMITHA

* * *

W pierwszych dniach po wprowadzeniu się do High Glen House dużo pracowałem w ogrodzie i tak znalazłem żelazną obrozę. Dom chylił się ku upadkowi, a ogród zupełnie zarósł. Przez ostatnich dwadzieścia lat zamieszkiwała tu pewna zdziwaczała staruszka i w tym czasie ścianom nie dane było zaznać ani jednego liźnięcia pędzla. Po śmierci staruszki odkupiłem posiadłość od jej syna, właściciela salonu Toyoty w Kirkburn - najbliższym miasteczku w promieniu pięćdziesięciu mil. Pewnie dziwicie się, na co komu wałący się dom na zapadłym odludziu. Ale ja uwielbiam tę dolinę. Lasy pełne są płochliwej zwierzyny, a szczyt grani wieńczą orle gniazda. Mógłbym godzinami stać w ogrodzie wsparty na łopacie i podziwiać błękitno-zielone górskie stoki. Ale zdarzało mi się też przykładać do kopania. Postanowiłem zasadzić trochę krzewów wokół szopy. Buda nie grzeszyła urodą - była zbita z surowych desek i nie miała okien - toteż chciałem zamaskować ją krzakami. Kopiając dołek, natknąłem się na jakąś skrzynkę. Była niewielka, rozmiarami zbliżona do tych pojemników na dwanaście butelek, w których sprzedaje się markowe wina. Nie miała też żadnych ozdób: zwyczajna skrzynka z nie oheblowanych deseczek zbitych gwoździami, które zdążyły już przerdzewieć. Wyważyłem wieko łopata.

Wewnątrz znajdowały się dwa przedmioty. Jednym z nich była duża, stara książka. Serce zabiło mi żywiej - może to rodzinna Biblia z prowadzoną na pierwszej stronie pasjonującą kroniką doniosłych wydarzeń: narodzin, ślubów i zgonów ludzi, którzy zamieszkiwali ten dom przed stu laty? Ale czekał mnie zawód. Po otwarciu księgi okazało się, że jej stronicie całkowicie zbutwiały. Nie dało się odczytać ani słowa. Poza tym w skrzynce znajdował się jeszcze ceratowy woreczek. On również przegnił i rozkruszył się przy pierwszym dotknięciu ogrodniczymi rękawicami. Wypadła zeń żelazna obręcz o średnicy jakichś sześciu cali. Była poczerniała ze starości, ale ceratowy woreczek uchronił ją przed rdzą. Została wykuta prawdopodobnie przez wioskowego kowala, i w pierwszej chwili myślałem, że to jakaś część od wozu albo pługa. Ale dlaczego ktoś tak pieczołowicie zawinał ją w ceratę? Obręcz była pęknięta i powyginana. Przyszło mi do głowy, że może to swego rodzaju obroża, którą zmuszony był nosić jakiś więzień. Więzień uciekł i pozbył się obroży, rozrywając ją jakimś ciężkim kowalskim narzędziem, a pocięła się przy ściąganiu z szyi. Zabrałem znalezisko do domu i zacząłem je czyścić. Szło mi opornie, wrzuciłem więc obrożę na noc do płynu odrdzewiającego i nazajutrz ponownie zabrałem się do roboty. Gdy wypolerowałem powierzchnię szmatką, oczom moim ukazała się jakaś inskrypcja. Wygrawerowano ją staroświeckim,

kaligraficznym pismem, którego odcyfrowanie zajęło mi trochę czasu. Oto, co głosił napis: Człowiek ten jest własnością sir George'a Jamissona z Fife - A.D. 1767 Obroża leży teraz na moim biurku obok komputera. służy mi za przycisk do papieru. Często sięgam po nią i obracam w rękach, po raz któryś z rzędu odczytując inskrypcję. Gdyby ta żelazna obręcz potrafiła mówić, myślę sobie, jaką historię by mi opowiedziała?

*** * ***

I Szkocja

1

Śnieg wieńczył szczyty gór okalających dolinę High Glen i zalegał na zalesionych stokach perlistymi łąkami, przywodzącymi na myśl klejnoty na podółku zielonej, jedwabnej sukni. Dnem doliny, lawirując pomiędzy oblodzonymi głazami, rwał bystry potok. Porywisty wiatr dmący od Morza Północnego pędził przed sobą tabuny ołowianych chmur, z których w każdej chwili mógł sypnąć grad lub śnieg z deszczem. Malachi i Esther McAsh - bliźniaki - szli tego ranka do kościoła szlakiem wiodącym zakosami wzdłuż zbocza zamykającego dolinę od wschodu. Malachi, zwany Mackiem, odziany był w pelerynę w szkocką kratę i tweedowe bryczesy, jednak nogi poniżej kolan miał gołe. Był młodzieńcem gorącej krwi i choć bosa stopy marzły mu w drewnianych chodakach, nie zważał na ziąb. Nie była to wprawdzie najkrótsza droga do kościoła, ale dolina High Glen zawsze Macka fascynowała. Strome górskie stoki, ciche tajemnicze lasy i roześmiana woda składały się na krajobraz bliski jego duszy. Obserwował z lubością orły wijące gniazda na graniach. Pospołu z tymi orłami podkradał dziedzicze łososie, od których roilo się w potoku. I pospołu z płową zwierzyną, zastygając w bezruchu i wstrzymując oddech, przywarowywał w leśnej gęstwinie, kiedy nadchodzili gajowi. Dziedziczka, lady Hallim, była wdową i miała córkę

jedynaczkę. Ziemia po drugiej stronie góry należała do sir George'a Jamissona i stanowiła zupełnie inny świat. Pod okiem inżynierów wydrążono tam w górskich zboczach głębokie dziury; dolinę szpeciły hałdy żużla, koła potężnych wozów wyładowanych po brzegi węglem wyłobiły koleiny w błotnistym trakcie, a strumień był czarny od węglowego pyłu. Tam właśnie, w wiosce Heugh, na którą składał się długi rząd niskich, wzniesionych z kamienia domków pnących się po górskim stoku, mieszkały bliźniaki. Mack i Esther stanowili męską i żeńską wersję tego samego archetypu. Oboje mieli jasne, przyszarzałe nieco od węglowego pyłu włosy i niesamowite bladozielone oczy. Oboje byli krępej budowy, krzepcy w barkach, o muskularnych rękach i nogach. Oboje cechował upór i skłonność do wdawania się w dysputy. Skłonność ta należała niemal do rodzinnej tradycji. Ich ojciec był pod każdym względem nonkonformistą, gotowym toczyć boje z rządem, Kościołem i wszelkimi innymi autorytetami. Matka przed zamążpójściem pracowała u lady Hallim i podobnie jak wiele służących utożsamiała się z wyższymi sferami. Pewnej srogiej zimy, kiedy w następstwie przypadkowej eksplozji kopalnia została na miesiąc zamknięta, ojciec zmarł na czarną plwocinę, chorobę, która uśmierciła wielu górników, matka zaś nabawiła się zapalenia płuc i w kilka tygodni potem przeniosła się za mężem na tamten świat. Dysputy jednak nie ustały. Prowadzono je zazwyczaj w

sobotnie wieczory w izbie pani Wheighel - zastępującej karczmę, której w wiosce Heugh brakowało. Parobkowie i zagrodnicy podzielali punkt widzenia matki McAshów. Utrzymywali, że król jest pomazańcem bożym i ludzie winni mu są posłuszeństwo. Górnicy wyznawali nowocześniejsze poglądy. John Locke i inni filozofowie głosili, że władza pochodzić może tylko z woli ludu, i właśnie tę ostatnią teorię wyznawał Mack. Niewielu górników z Heugh umiało czytać, ale matka bliźniąt posiadała tę sztukę i Mack uprosił ją, by jego też nauczyła. Nie zważając na docinki męża, że wynosi się ponad swój stan, przekazała swoją umiejętność obojgu dzieciom. Na spotkaniach u pani Wheighel proszono Macka, by czytał na głos Timesa, Edinburgh Achertisera oraz dzienniki polityczne, takie jak radykalny North Briton. Pomimo że gazety docierały do wioski z wielotygodniowym albo i wielomiesięcznym opóźnieniem, mężczyźni i kobiety w skupieniu wysłuchiwali sprawozdań z długich przemówień w parlamencie, satyrycznych diatryb oraz relacji ze strajków, protestów i rozruchów. To właśnie po jednym z takich wieczorków u pani Wheighel Mack napisał list. Żaden z górników nie napisał w życiu listu, toteż konsultowano długo każde jego słowo. Adresatem był Caspar Gordonson, londyński prawnik pisujący do gazet artykuły wykpiwające rząd. List powierzono Daveyowi Patchowi, jednookiemu domokrażcy, który miał go zanieść na pocztę i wysłać. Mack zaczynał już powątpiewać, czy

przesyłka w ogóle dotarła do miejsca przeznaczenia, lecz odpowiedź w końcu nadeszła i było to najbardziej ekscytujące wydarzenie w życiu Macka. Kto wie, czy ten list nie odmieni całkowicie mojego losu, myślał. Być może da mu wolność. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze pragnął być wolnym. W dzieciństwie zazdrościł Daveyowi Patchowi, który, wędrował od wioski do wioski i utrzymywał się z handlu nożami i sznurkiem oraz ze śpiewania ballad. W życiu Daveya małemu Maćkowi najwspanialsze wydawało się to, że tamten mógł sobie wstawać o wschodzie słońca i iść spać, kiedy tylko ogarnie go zmęczenie. Macka, odkąd ukończył siedem lat, matka budziła szarpaniem przed drugą nad ranem i przez następne piętnaście godzin, aż do piątej po południu, harował w pocie czoła na dnie kopalni; kiedy po takim znoju wracał wreszcie do domu, sen morzył go często nad nie dojedzoną wieczorną owsianką. Teraz Mack nie chciał już zostać domokrążcą, ale nadal pragnął odmiany losu. Marzył o wybudowaniu własnego domu w dolinie takiej jak High Glen, na kawałku ziemi, który mógłby nazwać swoim własnym; marzył o pracy podczas dnia i wypoczynku przez wszystkie godziny nocy; o wyprawianiu się w słoneczny dzień na ryby, w miejsce, gdzie łososie nie są własnością dziedziczki, lecz tego, kto je złowi. A list, który trzymał teraz w dłoni, przynosił nadzieję na urzeczywistnienie tych marzeń. - Mam wątpliwości, czy powinieneś odczytać

go na głos w kościele - odezwała się Esther, gdy schodzili ostrożnie po oblodzonym stoku.

- Niby dlaczego? - spytał Mack, choć sam jeszcze nie miał pewności, czy tak właśnie postąpi.

- Napytasz sobie biedy. Ratchett się wścieknie. Może nawet powtórzyć wszystko sir George'owi, i co wtedy będzie? Harry Ratchett był nadzorcą, człowiekiem, który w imieniu właściciela zarządzał kopalnią.

Mack zdawał sobie sprawę, że siostra ma rację, i jego serce przepelniał niepokój. Mimo to powiedział:

- Nie ma sensu, żebym zatrzymywał ten list tylko do własnej wiadomości.

- Ale mógłbyś go pokazać Ratchettowi na osobności. Może pozwolilby ci odejść po cichu, bez niepotrzebnego rozgłosu. Mack zerknął spod oka na siostrę. Nie sprawiała wrażenia usposobionej wojowniczo, już prędzej zafrasowanej. Uświadomił sobie nagle, jak bardzo jest mu bliska. Cokolwiek się wydarzy, będzie ją miał z pewnością po swojej stronie. Pokręcił z uporem głową.

- Ten list może pomóc nie tylko mnie. Jeszcze co najmniej pięciu chłopaków z ochotą by się stąd wyrwało, gdyby tylko wiedzieli, że istnieje taka możliwość. A pomyślałaś o przyszłych pokoleniach? Popatrzyła na niego uważnie.

- Może i masz rację... ale nie to jest prawdziwym powodem. Ty chcesz stanąć przed wszystkimi zebranymi w kościele i udowodnić, że właściciel kopalni nas zwodził.

- Ależ skąd! - zaprotestował Mack, ale po chwili zastanowienia dodał: - Wiesz, może i coś jest w tym, co mówisz... Tyleśmy się już nasłuchali kazań o konieczności przestrzegania prawa i okazywania szacunku naszym pracodawcom. I nagle dowiadujemy się, że cały czas nas okłamywano. Oczywiście, że chcę tam wystąpić i wykrzyczeć im to prosto w oczy.

- Lepiej się nie wychylaj - powiedziała z troską.

- Zrobię to najtaktowniej i najpokorniej, jak potrafię zapewnić.

- Ty i pokora! - wykrzyknęła. - Chciałabym to widzieć.

- Zamierzam im tylko wytłumaczyć, jakie jest prawo... Cóż w tym złego?

- To nieostrożne.

- Owszem - przyznał. - Ale zrobię to. Przekroczyli grań i zaczęli zstępować w dolinę Coalpit Glen. W miarę jak schodzili, robiło się coraz cieplej. Po kilku chwilach ich oczom ukazał się niewielki kamienny kościółek, położony nie opodal mostka przerzuczonego nad brudną rzeką. Niedaleko kościelnego dziedzińca przycupnęło skupisko bud zagrodników. Były to okrągłe chatynki z otwartym paleniskiem pośrodku klepiska i z dziurą w dachu, przez którą uchodził dym. Ludzie mieszkali w nich przez całą zimę pospołu z bydłem. Położone nieco dalej, niedaleko szybów, domki górników były już przyzwoitsze: choć i w nich podłogę zastępowało klepisko, a dachy kryte były darnią, każdy miał piec

i komin; ponadto górnicy nie byli zmuszeni dzielić swoich siedzib z krowami. Ale zagrodnicy, którzy uważali się za ludzi wolnych i niezależnych, patrzyli na górników z góry. Jednak to nie chaty wieśniaków przykuły teraz uwagę Macka i Esther i nie na ich widok się zatrzymali. Przed kościołem stał kryty powóz zaprzężony w parę dorodnych siwków. Z pomocą pastora, przytrzymując modne koronkowe kapelusze, wysiadało z niego kilka dam w krynolinach i futrzanych okryciach. Esther dotknęła ramienia Macka i wskazała na mostek. Na roslym kasztanie przejeżdżał właśnie przez niego właściciel kopalni, dziedzic doliny, sir George Jamisson. Jamissona nie oglądano tu od pięciu lat. Mieszkał w Londynie oddalonym stąd o tydzień podróży statkiem lub dwa tygodnie jazdy dyliżansem. Ludzie powiadali, że niegdyś miał w Edynburgu uliczny kram, w którym sprzedawał świece i dżin, ciułając pens do pensa i nie przesadzając z uczciwością. Potem jeden z jego krewnych zmarł bezpotomnie, pozostawiając mu w spadku zamek oraz kopalnię. Na tym fundamencie George Jamisson zbudował imperium finansowe, które swoim zasięgiem obejmowało tak niewyobrażalnie odległe miejsca jak Barbados czy Wirginia. Był teraz wielce poważaną osobistością: baronetem, sędzią i aldermanem Wapping, odpowiedzialnym za przestrzeganie prawa i porządku na londyńskim wybrzeżu. Najwyraźniej zjechał teraz z rodziną i gośćmi z wizytą do swej szkockiej posiadłości.

- No i po kłopotcie - oświadczyła z ulgą Esther.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Mack, choć już się domyślał.
- Teraz nie będziesz mógł odczytać swojego listu.
- A to niby czemu?
- Malachi McAsh, nie bądź takim przeklętym głupcem! zawołała. - Nie możesz tego uczynić w obecności samego dziedzica!
- Wręcz przeciwnie - odrzekł z uporem. - Nawet lepiej się składa.

Lizzie Hallim nie chciała jechać do kościoła powozem. Uważała to za poroniony pomysł. Trakt wiodący tam z zamku był usiany dziurami i zryty koleinami, których błotniste grzbiety ściał mróz. Powóz będzie się włókł w ślimaczym tempie, kolebiąc się niemiłosiernie na wykrotach, i dotrą na miejsce przemarznięci i poobijani. Uparła się więc, że pojedzie do kościoła konno. Tego rodzaju fanaberie doprowadzały do rozpaczyny jej matkę. - Jak ty znajdziesz męża, skoro zachowujesz się jak mężczyzna? - lamentowała lady Hallim.

- Męża mogę mieć na zawołanie - odpowiedziała Lizzie. I w istocie tak było: bez trudu podbijała męskie serca. Problem w znalezieniu takiego kandydata, z którym udałoby mi się wytrzymać dłużej niż pół godziny.

- Problem w znalezieniu takiego, którego niełatwo zrazić - mruknęła matka. Dziewczyna roześmiała się. Obie miały rację. Mężczyźni zakochiwali się w Lizzie od pierwszego wejrzenia, kiedy jednak odkrywali,

jaka jest, czym prędzej się wycofywali. Jej zachowanie od lat wywoływało zgorszenie w edynburskich sferach towarzyskich. Na swoim pierwszym balu, rozmawiając z trzema statecznymi matronami, napomknęła, że szeryf ma tłusty zadek, co nieodwracalnie zaszargało jej reputację.

Poprzedniej wiosny matka zabrała ją do Londynu i wprowadziła w tamtejsze wyższe sfery. Była to absolutna katastrofa. Lizzie mówiła za głośno, śmiała się za często i drwiła otwarcie z wyszukanych manier i przyciasnych ubrań zalecających się do niej gogusiowatych młodzieńców.

- Wszystko przez to, że wychowywałaś się w domu, w którym nie było mężczyzny - dodała matka. - To sprawiło, że jesteś zbyt niezależna. Lizzie przeszła przez kamienny dziedziniec Jamisson Castle, zmierzając do znajdujących się od wschodu stajen. Jej ojciec zmarł, kiedy miała trzy lata, toteż prawie go nie pamiętała. Gdy pytała, na co umarł, matka odpowiadała wymijająco: "Na wątrobę". Pozostawił je obie bez grosza. Przez lata matka z trudem wiązała koniec z końcem, obciążając coraz bardziej hipotekę posiadłości Hallimów i czekając z utęsknieniem, aż Lizzie dorośnie i poślubi jakiegoś bogacza, który rozwiąże wszystkie ich problemy. Teraz córka miała dwadzieścia lat i nadeszła pora, by wypełniło się jej przeznaczenie. Bez wątpienia to właśnie również było powodem, dla którego rodzina Jamissonów po tylu latach ponownie zawitała do swoich szkockich dóbr, i dlatego ich gośćmi

honorowymi były Lizzie wraz z matką mieszkające po sąsiedzku zaledwie dziesięć mil od Jamisson Castle. Zaproszono je tu pod pretekstem udziału w przyjęciu z okazji dwudziestych pierwszych urodzin młodszego syna Jamissonów, Jaya; jednak prawdziwym powodem było to, że Jamissonowie upatrywali w Lizzie dobrą partię dla swojego starszego syna, Roberta. Lady Hallim bardzo się z tego cieszyła, bowiem Robert miał zostać dziedzicem ogromnej fortuny. Sir George także był kontent, gdyż pragnął przyłączyć ziemie Hallimów do rodzinnych dóbr Jamissonów. Robert też chyba nie miał nic przeciw, sądząc po tym, jak wodził oczami za Lizzie, odkąd tylko zjechała z matką do zamku. Lizzie dostrzegła Roberta stojącego na majdanie przed stajnią i czekającego na osiodłanie konia. Przypominał nieco swoją matkę z portretu wiszącego w zamkowym hallu, przedstawiającego kobietę o blond włosach, jasnych oczach i ustach znamionujących stanowczość. Nie można mu było właściwie niczego zarzucić - nie był szpetny ani za gruby czy za chudy, nie cuchnęło od niego, nie pił za dużo, nie hołdował też zbyt modzie. To wymarzona partia, wmawiała sobie Lizzie, i gdyby Robert poprosił ją o rękę, zapewne by się zgodziła. Wprawdzie nie była w nim zakochana, ale zdawała sobie sprawę, jaki ciąży na niej obowiązek. Postanowiła się z nim trochę podroczyć.

- To doprawdy nieuprzejme z państwa strony, że mieszkacie w Londynie - zagaiła.

**- Nieuprzejme? - Robert zmarszczył czoło. -
Dlaczego? - zapytał.**

- Pozbawia nas to miłych sąsiadów - wyjaśniła, ale on nadal sprawiał wrażenie skonsternowanego. Widać nie grzeszył poczuciem humoru. - Gdy państwa tu nie ma, żywego ducha nie uświadczysz stąd aż po Edynburg - dodała.

- Jeśli nie liczyć setki górniczych rodzin i paru zagrodniczych wsi - rozległ się męski głos za jej plecami.

- Dobrze pan wie, co miałam na myśli - powiedziała, odwracając się. Człowieka, który stał za nią nieznała.

- A tak w ogóle, to kim pan jest? - spytała z właściwą sobie bezpośredniością.

- Jay Jamisson - odparł młody mężczyzna, kłaniając się. Bardziej rozgarnięty brat Roberta. Jak pani mogła zapomnieć? Słyszała, że przyjechał poprzedniej nocy, ale go nie poznała. Pięć lat temu był kilka cali niższy, miał całe czoło w pryszczach, a z podbródka wyrastało mu parę miękkich, jasnych włosków. Teraz zdecydowanie wyprzystojniał.

Dawniej jednak nie błyszczał inteligencją i wątpiła, żeby pod tym względem coś się zmieniło na lepsze.

- Poznaje pana po zarozumiałości - powiedziała. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Szczerze boleję, że jeśli chodzi o pokorę i skromność, nie mogę się z panią równać, panno Hallim.

- Jak się masz, Jay. Witaj w Jamisson Castle - odezwał się Robert. Jay nagle spochmurniał.

**- Odrzuć ten protekcyjnalny ton, Robercie.
Wprawdzie jesteś moim starszym bratem, ale nie odziedziczyłeś jeszcze tego zamku.**

- Gratulacje z okazji dwudziestych pierwszych urodzin wtrąciła Lizzie, by rozładować zgęstniałą nagle atmosferę. - Dziękuję.

- Czy to właśnie dziś?

- Tak.

- Wybierasz się z nami do kościoła? - spytał niecierpliwie Robert. Lizzie dostrzegła w oczach Jaya nienawiść, ale jego głos wyprany był z emocji.

- Owszem, kazałem już osiodłać sobie konia.

- Więc ruszajmy. - Robert odwrócił się w stronę stajni i krzyknął: - Szybciej tam!

- Wszystko gotowe, paniczu - dobiegł ze środka głos stajennego i w chwilę później wyprowadzono trzy konie: krzepkiego czarnego kucyka, gniadą klacz i siwego wałacha.

- Podejrzewam, że wypożyczono te zwierzęta specjalnie na tę okazję od jakiegoś edynburskiego handlarza koni - zauważył uszczypliwie Jay, ale zbliżył się do wałacha, poklepał go po szyi i pozwolił mu musnąć nozdrzami swoją błękitną kurtkę. Lizzie dosiadła po damsku czarnego kucyka i puściła się kłusem przez majdan ku bramie. Bracia ruszyli jej śladem Robert na klaczy, Jay na wałachu. Deszcz ze śniegiem ciał Lizzie po oczach. Śnieg zalegający na ziemi uczynił drogę zdradliwą, bo maskował głębokie wykroty i konie co chwila się potykały.

- Jedźmy przez las - zaproponowała Lizzie. - Drzewa osłonią nas przed deszczem, a i teren tam równiejszy.

- Nie czekając na odpowiedź, zboczyła z traktu, kierując się w stronę starego boru. Leśne podłoże pośród smukłych sosen pozbawione było zupełnie zarośli. Potoczki i rozrzucone tu i ówdzie bagienka ścinał lód, ziemia zaś przyprószona była bielą. Lizzie puściła swojego kucyka cwałem. Po chwili wyprzedził ją szary koń Jaya. Podniosła wzrok i przed oczami mignęła jej na moment uśmiechnięta prowokacyjnie twarz młodszego Jamissona: chciał się z nią ścigać. Wydała bojowy okrzyk i uderzyła piętami kucyka, który wyrwał ochoczo do przodu. Mknęli między drzewami, prześlizgując się z pochylonymi głowami pod zwieszonymi nisko konarami drzew, przesadzając zwalone pnie i przecinając pośród rozbryzgów wody strumyki. Koń Jaya był większy i szybszy w galopie, ale kucyk, dzięki krótkim nóżkom i lekkiej budowie, lepiej radził sobie w tym terenie, toteż Lizzie wkrótce wysforowała się do przodu. Gdy tętent konia Jaya ucichł w oddali, zwolniła i wypadwszy na najbliższą polankę zatrzymała swojego wierzchowca. Jay wkrótce ją dogonił, ale Roberta nie było ani śladu. Lizzie pomyślała sobie, że widocznie miał dość rozsądku, by nie narażać się na szwank w tej bezsensownej gonitwie. Ruszyli dalej stępa pierś w pierś, z trudem łapiąc oddech. Ciepło bijące od koni ogrzewało jeźdźców.

- Pościgałbym się na prostej - wysapał Jay.

- Jadąc po męsku nie dałabym panu szans - odparła. Mina Jaya zdradzała pewne zgorszenie. Wszystkie dobrze urodzone kobiety jeździły konno po damsku. Dosiadanie przez kobietę konia okrakiem traktowano jako przejaw prostactwa. Lizzie uważała to za głupi przesąd i kiedy była sama, dosiadała konia po męsku. Przyglądała się spod oka Jay owi. Jego matka, Alicia, druga żona sir George'a, była niebieskooką, pełną wdzięku blondynką i Jay odziedziczył po niej błękitne oczy oraz ujmujący uśmiech. - Czym zajmuje się pan w Londynie? - spytała.

- Służę w Trzecim Regimencie Gwardii Pieszej - odparł z dumą w głosie. ; Awansowałem właśnie na kapitana dodał.

- No i cóż wy, waleczni żołnierze, macie tam do roboty, kapitanie Jamisson? - spytała ironicznym tonem. - Czy w Londynie toczy się teraz jakaś wojna? Macie jakichś nieprzyjaciół do wybicia?

- Jest mnóstwo roboty z utrzymywaniem w ryzach motłochu. Lizzie stanął nagle przed oczami mały Jay - wredny, wyzywający się na słabszych dzieciak - i przemknęło jej przez myśl, że ten obecny Jay, dojrzały już mężczyzna, chyba lubi swoje aktualne zajęcie.

- A jak to robicie? - spytała.

- Na przykład eskortujemy przestępców na szubienicę, żeby przypadkiem kamraci ich nie odbili, zanim kat zdąży zrobić swoje.

- Zatem, jak przystało na prawdziwego szkockiego bohatera, wypełnia pan swój czas uśmiercaniem Anglików? Jednak Jay wcale nie poczuł się urażony.
- Chciałbym kiedyś wystąpić z wojska i wyjechać za granicę - powiedział.
- O... A to czemu?
- W tym kraju młodszy syn nic nie znaczy - stwierdził. - Nawet służba dwa razy pomyśli, zanim wykona wydane przeze mnie polecenie.
- I wierzy pan, że gdzie indziej będzie inaczej?
- W koloniach jest inaczej pod każdym względem. Wiem to z książek. Ludzie mają tam więcej wolności i są bardziej bezpośredni. Człowieka oceniają po jego czynach.
- I co by pan tam robił?
- Moja rodzina ma plantację trzciny cukrowej na Barbadosie. Mam nadzieję, że ojciec podaruje mi ją na dwudzieste pierwsze urodziny. Lizzie poczuła ukłucie zazdrości.
- Szczęściarz z pana - powiedziała. - Niczego tak nie pragnę, jak pojechać do jakiegoś nowego kraju. To musi być ekscytujące.
- Życie tam jest surowe - powiedział Jay. - Mogłoby pani brakować wygód, jakie ma pani tutaj: sklepów, oper, francuskiej mody i tym podobnych rzeczy.
- Nie dbam o to wszystko - oświadczyła. - Nie znoszę tych strojów. - Miała na sobie krynolinę i była ściśnięta gorsetem. - Chciałabym się ubierać po męsku, w bryczesy, koszulę i buty do konnej jazdy. Jay roześmiał się.

- To już chyba lekka przesada, nawet jak na Barbados zauważył. Gdyby tak Robert obiecał, że zabierze mnie na Barbados, pomyślała Lizzie, wyszłabym za niego bez chwili wahania.

- We wszystkim wyręczają tam człowieka niewolnicy dodał Jay. Wyłonili się spomiędzy drzew kilka jardów od mostka. Do kościoła po drugiej stronie rzeczki wchodzili już górnicy. Lizzie wciąż myślała o Barbadosie.

- To musi być bardzo dziwne uczucie... mieć niewolników i móc z nimi robić, co się człowiekowi żywnie spodoba, jak ze zwierzętami - rozważała na głos. - Nie robi się panu na tę myśl jakoś nieswojo?

- Ani trochę - odparł z uśmiechem Jay. Mały kościółek pękał w szwach. Najwięcej miejsca zajmowała w nim rodzina Jamissonów oraz towarzyszący im goście - kobiety w szerokich spódnicach i mężczyźni w trójgraniastych kapeluszach, z rapierami u pasa. Górnicy i zagrodnicy stłoczyli się w pewnej odległości od dostojnych przybyszów, jakby w obawie, że mogą przypadkiem otrzeć się o ich piękne stroje i powalać je pyłem węglowym lub krowim łajnem. Mack, jeszcze niedawno tak buńczucznie wykładający swoje racje Esther, teraz przeżywał rozterkę. Właściciele kopalni mieli prawo stosować wobec krnąbrnych górników karę chłosty, a co gorsza sir George Jamisson był sędzią i w jego gestii leżało wydawanie wyroków śmierci, których nikt nie miał prawa zakwestionować. Nieroztropnie byłoby

ściągnąć na siebie gniew takiego człowieka. Ale prawo było prawem. Z Mackiem i pozostałymi górnikami postępowano niesprawiedliwie i ilekroć Mack o tym pomyślał, ogarniała go taka wściekłość, że miał ochotę publicznie wykrzyczeć swoje żale. Potajemne rozpuszczanie posiadanych informacji miało się z celem, bo stawiało pod znakiem zapytania ich rzetelność. Musiał wystąpić wobec wszystkich albo dać sobie z tym spokój. Ale po co siać ferment? - zastanawiał się. Pastor zaintonował hymn, górnicy podchwycili go i w kościółku rozbrzmiał chór ich głosów. Zza pleców Macka dobiegał dźwięczny tenor Jimmy'ego Lee, pierwszego śpiewaka w całej wiosce. Śpiew górników przypomniał Mackowi dolinę High Glen i marzenia o wolności. Zdecydował się zrealizować swój pierwotny zamiar. Pastor, wielebny John York, był czterdziestolatkiem łagodnego usposobienia z przerzedzającymi się włosami. Przemawiał niepewnym głosem, speszony obecnością tak znamienitych osób. Tematem jego kazania była Prawda. Jak zareaguje, kiedy Mack odczyta swój list? Pewnie weźmie stronę właściciela kopalni. Prawdopodobnie wybiera się po mszy na obiad do zamku. Ale był przecież duchownym: czyż nie zobowiązywało go to do opowiedzenia się za sprawiedliwością, bez oglądania się na to, co powie sir George? Kamienne ściany kościołka były nagie. Nie był oczywiście ogrzewany i Mackowi przy każdym oddechu buchała para z ust. Przyjrzał się

ludziom z zamku. Rozpoznawał prawie wszystkich członków rodziny Jamissonów. Kiedy był jeszcze dzieckiem, Jamissonowie spędzali w swoich tutejszych włościach większość czasu. Sir George'a z jego czerwoną gębą i wielkim brzuszyskiem trudno było z kimś pomylić. Obok siedziała jego żona, ubrana w plisowaną różową suknię, która prezentowałaby się być może atrakcyjnie na młodszej kobiecie. Robert, starszy syn, ponurak o oczach bez wyrazu, dopiero dwudziestosześcioletni, ale z figury już upodabniający się do tatusia, siedział obok, a przy nim przystojny jasnowłosy młodzieniec w wieku Macka: to na pewno Jay, młodsza latorośl Jamissonów. Kiedy Mack miał sześć lat, przez całe lato bawili się z Jayem w lasach otaczających Jamisson Castle i obaj myśleli, że zostaną dożgonnymi przyjaciółmi, ale zimą tego samego roku Mack zaczął pracować w kopalni i na zabawę nie miał już czasu. Rozpoznawał też niektórych gości Jamissonów. Twarze lady Hallim i jej córki były mu znajome. Lizzie Hallim już od dłuższego czasu była bohaterką skandali i plotek, od których huczała cała dolina. Ludzie opowiadali, że włóczyła się po okolicy w męskim stroju, ze strzelbą na ramieniu. Potrafiła oddać buty bosemu dziecku, a następnie zbesztać jego matkę za nieporządek w obejściu. Mack nie widział jej parę ładnych lat. Hallimowie mieli swój własny kościółek, a na niedzielne msze przyjeżdżali tylko wtedy, kiedy Jamissonowie bawili w swej rezydencji. Mackowi przypomniało się, że po raz

ostatni widział Lizzie, kiedy miała około piętnastu lat. Była wówczas ubrana jak panienska z dobrego domu, ale celnością rzutu kamieniem do wiewiórki dorównywała wiejskim urwisom. Matka Macka była kiedyś pokojówką w High Glen House - dworku Hallimów - i po wyjściu za mąż nieraz jeszcze wpadała tam w niedzielne popołudnia, by odwiedzić starych znajomych i pochwalić się bliźniakami. Podczas tych wizyt Mack i Esther bawili się czasem z Lizzie - zapewne bez wiedzy lady Hallim. Mack wyniósł z tych zabaw wspomnienie Lizzie jako małej kokietki, apodyktycznej, samolubnej i rozpieszczonej. Raz ją pocałował, ale ona tak go wtedy wytargała za włosy, że się rozplakał. Sądząc z jej obecnego wyglądu, niewiele się od tamtego czasu zmieniła. Miała małą, szelmowską twarzyczkę, kręcone czarne włosy i ciemne oczy, z których wyczierała przekora, a jej usta układały się w różowy łuk. Chciałbym ją teraz pocałować, przemknęło przez myśl Mackowi, gdy na nią patrzył, i w tej samej chwili ich spojrzenia zderzyły się. Zmieszany, odwrócił wzrok, jakby obawiał się, że Lizzie może odczytać jego myśli. Kazanie dobiegło końca. Później, po mszy, miały się jeszcze odbyć chrzciny: kuzynka Macka, Jen, powiła czwarte dziecko. Jej pierworodny, Wullie, pracował już na dole w kopalni. Mack umyślił sobie wcześniej, że ceremonia chrzcin będzie najlepszą okazją do jego wystąpienia. Wraz ze zbliżaniem się wyczekiwanego momentu czuł narastający ucisk w żołądku, ale po chwili wziął

się w garść i ofuknął w duchu za głupotę: wszak co dzień narażał życie w sztolni - czemuż miałby się obawiać konfrontacji z jakimś opasłym kupcem? Stojąca przy chrzcielnicy Jen sprawiała wrażenie kobiety zmęczonej życiem. Skończyła dopiero trzydzieści lat, jednak po wydaniu na świat czwórki dzieci i przepracowaniu dwudziestu trzech lat w kopalni była wrakiem człowieka. Ojciec York pokropił święconą wodą główkę niemowlęcia, a potem mąż Jen, Saul, wyrecytował formułkę, która czyniła niewolnikiem każdego syna szkockiego górnika:

- Ślubuję, że to dziecko pracować będzie w kopalniach sir George'a Jamissona jako chłopiec i jako mężczyzna dopóty, dopóki stanie mu sił, aż do samej śmierci. Właśnie ten moment obrał sobie Mack. Podniósł się. Gdyby ceremonia przebiegała wedle utartego schematu, Harry Ratchett, nadzorca, powinien teraz podejść do chrzcielnicy i wręczyć Saulowi "arles", czyli tradycyjną zapłatę za przyobiecanie dziecka właścicielowi kopalni - trzosik z dziesięcioma funtami. Jednak, ku konsternacji Macka, zamiast niego z ławki podźwignął się sir George, by dopełnić tej formalności. Kiedy wstał, przechwycił spojrzenie Macka. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem sir George ruszył w stronę chrzcielnicy. Mack precisnął się do przejścia między ławkami i stanąwszy na środku kościołka powiedział głośno:

- Zapłacenie arlesu o niczym nie przesądza. Sir George zatrzymał się jak wryty, a oczy wszystkich obecnych obróciły się na Macka. W kościółku zaległa cisza. Mack słyszał łomot własnego serca.

- Ta ceremonia nie ma żadnej mocy prawnej - podjął. Tego chłopca nie można przyobiecać kopalni. Żadnego dziecka nie wolno czynić niewolnikiem.

- Siadaj, durniu, i zamknij gębę! - warknął sir George. Pogardliwy ton jego głosu wzburzył Macka tak bardzo, że znikły ostatecznie wszystkie nurtujące go jeszcze wątpliwości. - Nie, to pan usiądzie - odciął się natychmiast i wszyscy westchnęli ze zgrozą, wstrząśnięci jego zuchwałością. Mack wycelował palec w ojca Yorka. - Mówiliście w swym kazaniu o prawdzie, pastarze... więc czy opowiecie się teraz za prawdą? . Duchowny spojrział z przestrawieniem na Macka.

- O co ci chodzi, McAsh?

- O niewolnictwo!

- Przecież znasz szkockie prawo - powiedział pojednawczo ojciec York. - Górnicy stanowią własność właściciela kopalni. Kto przepracuje w niej jeden rok i jeden dzień po uzyskaniu pełnoletności, traci wolność.

- Owszem - przytaknął Mack. - To nikczemne, ale rzeczywiście istnieje takie prawo. Uważam jednak, że prawo to nie dotyczy dzieci, i mam na to dowody.

- Ale nam potrzebne pieniądze, Mack! - zaprotestował Saul.

- Weźcie je - odparł Mack. - Wasz chłopiec będzie pracował dla sir George'a do dwudziestego pierwszego roku życia, a to warte dziesięciu funtów. Kiedy jednak... - podniósł głos - kiedy jednak ukończy dwadzieścia jeden lat, będzie wolny!

- Radzę ci, powściągnij język - powiedział sir George z pogroźką w głosie. - To niebezpieczne gadanie.

- Ale to prawda - obstawał przy swoim Mack. Sir George spurpurowiał; nigdy nie napotkał tak zdecydowanego oporu.

- Policzę się z tobą po mszy - parsknął gniewnie. Wręczył trzosik Saulowi, po czym zwrócił się do pastora: - Proszę kontynuować, ojciec York. Mack poczuł się zbity z tropu. Chyba nie przejdą nad tym do porządku dziennego?

- Zaśpiewajmy na koniec - zwrócił się pastor do wiernych. Sir George zajął z powrotem swoje miejsce. Mack stał jak zahipnotyzowany na środku przejścia i nie mógł uwierzyć, że już po wszystkim.

- Psalm drugi: Dlaczego narody się buntują, czemu ludy knują daremne zamysły? - zabrzmiał głos pastora.

- Nie, nie... chwileczkę - odezwał się ktoś z tylnych rzędów. Mack obejrzał się. Był to Jimmy Lee, młody górnik o pięknym, dźwięcznym głosie. Raz już usiłował zbiec i od tamtej pory nosił za karę na szyi żelazną obręcz z napisem: "Człowiek ten jest własnością sir George'a Jamissona z Fife". Dzięki Ci, Boże, żeś mi zesłał Jimmy'ego, uradował się w duchu Mack. - Nie można tego tak zostawić - ciągnął

Jimmy. - Za tydzień kończę dwudziesty pierwszy rok. Jeśli mam odzyskać wolność, to chciałbym się o tym dowiedzieć.

- Wszyscy byśmy chcieli - podchwyciła matka Jimmy'ego, Ma Lee, bezzębna, zasuszona staruszka. W wiosce otaczano ją wielkim szacunkiem i zawsze liczono się z jej zdaniem. Rozległy się potakujące pomruki jeszcze kilku mężczyzn i kobiet.

- Nie należy ci się wolność - zagrzemiał chrapliwy głos sir George'a, który znów poderwał się z miejsca.

Esther pociągnęła Macka za rękaw.

- List! - syknęła niecierpliwie. - Przeczytaj im list! Mack z przejęcia niemal o nim zapomniał.

- Prawo stanowi inaczej, sir George! - krzyknął, wymachując listem.

- Co to za pismo, McAsh? - zainteresował się ojciec York.

- List od londyńskiego prawnika, którego poprosiłem o poradę. Sir George wyglądał, jakby miał dostać ataku apopleksji. Mackowi przemknęło przez myśl, że gdyby nie kilka rzędów ławek, które ich przedzielały, dziedzic ucałiłby go chyba za gardło.

- Zwróciłeś się o poradę do prawnika? - wycedził.

- Co jest w tym liście? - spytał ojciec York.

- Zaraz się dowiecie - odparł Mack i zaczął czytać: "W świetle zarówno angielskiego, jak i szkockiego ustawodawstwa ceremonia arlesu nie pociąga za sobą żadnych skutków prawnych. Rodzice nie mogą sprzedawać czegoś, co nie jest ich własnością, a mianowicie wolności dorosłego człowieka. Wolno im

przymusić swoje dziecko do pracy w kopalni aż do dwudziestego pierwszego roku życia, ale potem... - Mack zrobił dramatyczną przerwę i doczytał koniec zdania: - ...ale potem może ono odejść wolno!"

Rozpętała się wrzawa: jedni mówili, inni krzyczeli, wyrażając swój entuzjazm lub sceptycyzm. Co najmniej połowę spośród mężczyzn obecnych w kościele przyobiecano od kołyski do niewolniczej pracy, i od dziecka uważali się za niewolników.

Teraz mówiono im, że zostali oszukani, pragnęli więc się dowiedzieć, jak to jest naprawdę. Mack podniósł rękę, by uspokoić zebranych, i wszyscy ucichli.

- Dajcie mi przeczytać jeszcze jeden ustęp - powiedział. - "Każdego człowieka, po osiągnięciu przezeń wieku dojrzałego, zaczyna obejmować prawo obowiązujące wszystkich mieszkańców Szkocji: jeśli będąc już dorosłym przepracuje jeden rok i jeden dzień, traci wolność". Rozległy się pomruki wzburzenia. Słuchacze uświadomili sobie, że większość z nich nadal ma tak samo nikłe widoki na wolność, jak do tej pory. Możliwość wyzwolenia zyskiwali jednak ich synowie.

- Pokaż mi ten list, McAsh - poprosił ojciec York. Mack podszedł do ambony i wręczył pismo pastorowi.

- Kim jest ten prawnik? - spytał sir George, wciąż kipiąc wściekłością.

- Nazywa się Caspar Gordonson - odparł Mack.

- Ach tak, słyszałem o nim - powiedział York.

- Ja również - prychnął pogardliwie sir George. - To skrajny radykał! Zausznik Johna Wilkesa. - Nazwisko Wilkesa znał każdy: był to lider liberałów, który przebywał na wygnaniu w Paryżu i odgrażał się bez przerwy, że powróci, by zachwiać rządem. - Gordonson będzie za to wisiał, już moja w tym głowa. Ten list to zdrada. Wzmianka o wieszaniu wstrząsnęła pastorem.

- Sądzę, że określenie "zdrada" nie jest tu...

- Ty się lepiej zajmuj Królestwem Niebieskim - wpadł mu w słowo sir George. - A decyzję, co nazywać zdradą, pozostaw ludziom z tego świata - warknął i wyrwał list z dłoni Yorka. Parafian zaszokowała ta brutalna reprimenda udzielona pastorowi. Ucichli, czekając na jego reakcję. York wytrzymał spojrzenie Jamissona i Mack był już przekonany, że pastor nie da się zastraszyć dziedzicowi, po chwili jednak York spuścił oczy i usiadł, jakby uznał sprawę za zamkniętą.

Tchórzostwo Yorka oburzyło Macka. Kościół miał być przecież autorytetem moralnym. Pastor, który ulegał dziedzicowi, nie był im potrzebny. Mack obrzucił duchownego spojrzeniem pełnym nie skrywanej wzdąrdy i spytał z drwiną w głosie:

- Więc jak to w końcu jest: mamy przestrzegać prawa czy nie? Wtedy podniósł się Robert Jamisson, nie mniej wzburzony niż jego ojciec.

- Będziesz przestrzegał prawa, a jakie ono jest, dowiesz się od swojego dziedzica - powiedział.

- To tak, jakby w ogóle nie było prawa - odparował Mack.

- W twojej sytuacji to bez znaczenia - oświadczył Robert. - Jesteś górnikiem. Co ty wiesz o prawie? A co się tyczy pisania do prawników... - Wziął od ojca list. - Oto, co myślę o twoim prawniku - dodał i przedarł list na pół. Górnicy stęknęli ze zgrozą. Na tych stronicach była zapisana ich przyszłość, a panicz Jamisson bezceremonialnie porwał je na kawałki. Robert przedarł list jeszcze parę razy i cisnął skrawki papieru w powietrze. Zawirowały niczym ślubne konfetti nad głowami Saula i Jen. Macka ścisnął za serce żal. Ten list był jego największym skarbem. Umyślił już sobie, że pokaże go każdemu mieszkańcowi wioski. Snuł nawet plany, że obniesie go po innych kopalniach, innych wioskach, aż jego treść pozna cała Szkocja. A Robert zniszczył go w jednej chwili. Tryumfująca mina młodego Jamissona świadczyła, że wyczytał tę rozpacz z jego twarzy. Macka ogarnęła wściekłość. Nie da się w ten sposób załatwić. List przepadł, ale prawo pozostało nie zmienione.

- Widzę, że ten list wystraszył was tak bardzo, że postanowiliście go zniszczyć - powiedział, stwierdzając jednocześnie z zaskoczeniem, że do jego głosu wkradła się nuta szyderstwa. - Ale nie możecie podeptać praw, jakie rządzą tym krajem. Papieru, na którym je spisano, nie da się tak łatwo podrzeć. Roberta zatkąło z wrażenia. Nie bardzo wiedział, jak

odpowiedzieć na tak zuchwałą ripostę. Po chwili wahania warknął groźnie:

- Precz stąd! Mack spojrział na ojca Yorka; Jamissonowie uczynili to samo. Nikt ze świeckich nie miał prawa wypraszać wiernego ze świątyni. Czy pastor ugnie się i pozwoli, by syn dziedzica wyrzucił z kościoła jedną z jego owieczek?

- Jesteśmy w domu Bożym czy w gościnie u George'a Jamissona? - zwrócił się Mack do pastora. Była to ogniowa próba, której ojciec York nie potrafił sprostać. Jego twarz oblał rumieniec wstydu.

- Lepiej wyjdź, McAsh - bąknął zmieszany. Mack nie mógł powstrzymać cisnącego mu się na usta komentarza, choć wiedział, że wypowiadając go postępuje nieroztropnie: - Dziękuję za kazanie o prawdzie, pastorze. Nigdy go nie zapomnę. Odwrócił się i wziął pod ramię Esther. Kiedy ruszyli przejściem między ławkami, dołączył do nich Jimmy Lee. Z ławek podnosiły się pojedyncze osoby, a gdy uczyniła to również Ma Lee, nastąpił gremialny exodus. Górnicy wraz z rodzinami powstawali z miejsc i przy akompaniamencie głośnego szurania butów i szelestu kobiecych sukien kierowali się ku wyjściu. Mack ujrzał, że wraz z nim kościół opuszczają wszyscy uczestniczący we mszy górnicy, i ogarnęło go poczucie wspólnoty i tryumfu tak silne, że do oczu napłynęły mu łzy. Na dziedzińcu przed kościołem górnicy obstąpili go ciasnym kręgiem. Wiatr już zelżał, ale sypał śnieg osiadający wielkimi płatkami na kamiennych nagrobkach.

- Źle, że podarli list - powiedział gniewnie Jimmy. Kilku górników przytaknęło.
- Napiszemy znowu - zaproponował jeden z nich.
- Drugi raz nie uda nam się tak łatwo wysłać listu powiedział Mack. Ale nie to zaprzętało mu teraz myśli. Czuł zmęczenie i radość, jakby dopiero co wbiegł zboczem High Glen na sam szczyt.
- Prawo jest prawem! - zawołał któryś z górników.
- Ale dziedzic jest dziedzicem - zauważył ktoś ostrożniejszy. Doszedłszy trochę do siebie, Mack zaczął się zastanawiać, czego właściwie dokonał. Niewątpliwie poruszył wszystkich, ale sam ten fakt jeszcze niczego nie zmieniał. Jamissonowie dali jasno do zrozumienia, że nic sobie nie robią z obowiązującego prawa. Jeśli zaś będą obstawać przy swoim - cóż pozostanie górnikom? Czy walka o sprawiedliwość ma jakikolwiek sens? Czyż nie lepiej byłoby dla niego ułożyć się z dziedzicem i żyć nadzieją, że pewnego dnia otrzyma po Harrym Ratchecie posadę nadzorcy? Nagle z kruchty wypadła jakaś postać w czerni. Była to Lizzie Hallim. Nie rozglądając się, ruszyła prosto na Macka. Górnicy rozstąpili się na boki. Mack nie mógł oderwać od niej wzroku. Zawsze była ładna, ale teraz, z policzkami okraszonymi rumieńcem gniewu, wydała mu się prześliczna. Jej czarne oczy ciskały błyskawice.
- Za kogo ty się masz? - zawołała gniewnie.
- Jestem Malachi McAsh...

- Wiem, jak się nazywasz - wpadła mu w słowo. - Jak śmiesz odzywać się w taki sposób do dziedzica i jego syna? - A jak oni śmiają nas zniewalać, skoro prawo tego zabrania? Górnicy poparli go zgodnym pomrukiem. Lizzie przesunęła rozplómiętym wzrokiem po ich twarzach. Na kołnierzu jej płaszcza skrzyły się płatki śniegu. Kiedy jeden wylądował jej na nosie, strzepnęła go energicznym machnięciem ręki.

- Nawet nie wiecie, jakimi jesteście szczęściami, mając płatną pracę - powiedziała. - Powinniście być wdzięczni sir George'owi, że prowadzi te kopalnie i zapewnia waszym rodzinom byt.

- Jeśli tacy z nas szczęściami, to po co te wszystkie zakazy zabraniające nam opuszczania wioski i szukania innej pracy? - spytał Mack.

- Bo jesteście za głupi, żeby pojąć, jak wam dobrze! Mack uświadomił sobie, że ta polemika zaczyna go wciągać, i to nie tylko dlatego, że prowadząc ją mógł patrzeć na piękną kobietę. Miał do czynienia z adwersarzem o wiele subtelniejszym od sir George'a i Roberta.

- Panno Hallim, czy była pani kiedykolwiek w kopalni na dole? - zapytał zniżając głos.

- Nie bądź śmieszny - fuknęła Lizzie.

- Jeśli zajrzy tam pani któregoś dnia, to gwarantuję, że już nigdy nie nazwie nas pani szczęściami - powiedział.

- Słyszałam o twojej zuchwałości - oświadczyła Lizzie. - Powinni cię za nią wychłostać.

- Możliwe, że to uczynią - odparł, chociaż nie bardzo w to wierzył; nie pamiętał, by wychłostano jakiegoś górnika, choć jego ojciec był podobno świadkiem wymierzania takich kar. Piersi Lizzie falowały z gniewu. Mack z trudem powstrzymywał się od opuszczenia wzroku na jej biust.

- Na wszystko masz odpowiedź - stwierdziła. - Jak zawsze.

- Tak, tylko że pani nigdy nie raczyła żadnej z tych odpowiedzi wysłuchać. Poczul bolesne dźgnięcie łokciem pod żebro; to Esther dawała mu do zrozumienia, by pamiętał, że mądrzenie się wobec szlachetnie urodzonych jeszcze nikomu nie wyszło na dobre. - Przemyślimy sobie to wszystko, co nam pani powiedziała, panno Hallim - odezwała się Esther. - I dziękujemy za poradę. Lizzie pokiwała protekcjonalnie głową.

- Ty jesteś Esther, prawda? - spytała.

- Tak, panienko. Lizzie zwróciła się do Macka.

- Powinieneś słuchać siostry, ma więcej oleju w głowie niż ty.

- Pierwszy raz mówi pani dziś do rzeczy.

- Mack, zamknij mordę - burknęła Esther. Lizzie uśmiechnęła się i w mgnieniu oka uszła z niej cała arogancja. Uśmiech rozjaśnił jej twarz i przemienił ją w zupełnie inną, wesołą i przyjazną osobę.

- Dawno nie słyszałam tego określenia - powiedziała ze śmiechem. Mack również się roześmiał. Lizzie odwróciła się i wciąż chichocząc, odprowadzana przez Macka wzrokiem, ruszyła w stronę kościółka,

by w jego drzwiach spotkać się z wychodzącymi właśnie ze środka Jamissonami.

- Boże drogi - mruknął Jay, kręcąc głową. - Co za kobieta! Jaya rozsierdziła scysja w kościele. Ludzie wynoszący się ponad swój stan doprowadzali go do pasji. Z woli bożej i mocy prawa obowiązującego w tym kraju Malachi McAsh miał do końca swych dni rąbać pod ziemią węgiel, a Jay Jamisson wieść życie stosowne do jego pozycji. Niegodziwością było podważać ten naturalny porządek rzeczy. W dodatku McAsh miał irytujący sposób mówienia, zupełnie jakby uważał się za równego każdemu, nawet wysoko urodzonemu. W zamorskich koloniach niewolnik był niewolnikiem i do głowy by mu nie przyszło, żeby domagać się wynagrodzenia, nie mówiąc już o powoływaniu na jakieś bzdurne przepisy o przepracowaniu jednego roku i jednego dnia. Zdaniem Jaya tak to właśnie powinno być urządzone. Ludzie nie będą pracować, jeśli się ich do tego nie przymusi, a jak już przymus, to musi być bezwzględny - bo taki jest skuteczniejszy. Kiedy wychodził z kościółka, podbiegło doń kilku zagrodników z gratulacjami z okazji dwudziestych pierwszych urodzin, nie złożył mu jednak życzeń żaden z górników. Zbili się w gromadkę pod murem cmentarza i sądząc z podniesionych, gniewnych głosów, toczyli jakąś burzliwą dyskusję. Jay był wściekły, że tak mu popsuli jego święto. Ruszył wyciągniętym krokiem przez zaśnieżony dziedziniec, do miejsca, gdzie czekał stajenny z końmi. Robert

już tam stał, ale Lizzie jeszcze nie było. Jay rozejrzał się za nią. Chciał wrócić do zamku w jej towarzystwie.

- Gdzie panna Elizabeth? - spytał stajennego.

- Przed kruchtą, paniczu Jay. Rzeczywiście stała tam i prowadziła ożywioną dyskusję z pastorem.

- Posłuchaj no, Jay - odezwał się Robert, stukając brata palcem w pierś. - Masz zostawić Lizzie w spokoju, zrozumiałeś? Jego twarz przybrała wojowniczy wyraz. Niebezpiecznie było wchodzić mu w drogę, gdy znajdował się w takim nastroju. Ale gniew i rozgoryczenie dodały Jayowi odwagi.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - spytał.

- To ja się z nią żenię, nie ty.

- Wcale nie mam zamiaru ci jej zabierać.

- Więc przestań z nią flirtować. Jay zdawał sobie sprawę, że podoba się Lizzie, i mile mu się z nią przekomarzało, jednak o podbiciu jej serca nawet nie marzył. Kiedy miał czternaście lat, a ona trzynaście, uważał ją za najpiękniejszą dziewczynę pod słońcem i brak zainteresowania z jej strony (co prawda nie przejawiała również zainteresowania żadnym innym chłopcem) łamał mu serce... ale to było dawno temu. Ojciec postanowił, że to Robert poślubi Lizzie, a woli sir George'a nie śmiał się sprzeciwić ani Jay, ani nikt inny z członków rodziny. Jay był więc zaskoczony, że Robert dał się ponieść nerwom i urządza taką scenę. Znaczyło to, że czuje się niepewnie - a Roberta, podobnie jak ojca, rzadko

opuszczała pewność siebie. Jaya rozbawiło zaniepokojenie brata.

- Czego ty się boisz? - spytał ironicznie.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Od dzieciństwa podkradałeś mi moje rzeczy... zabawki, ubrania, wszystko.

- Bo ty zawsze dostawałeś wszystko, co chciałeś, ja zaś nic - odciął się Jay.

- Bzdura.

- Tak czy owak, panna Hallim jest naszym gościem oświadczył Jay. - Chyba nie chcesz, żebym traktował ją jak powietrze? Robert zacisnął wargi.

- Mam powiedzieć o tym ojcu? Ileż ich sporów ucięły w dzieciństwie te magiczne słowa. Obaj doskonale wiedzieli, że ojciec zawsze wyda werdykt na korzyść Roberta. Jayowi ścisnęła gardło gorycz.

- W porządku - odparł. - Postaram się nie mieszać do twoich zalotów. Wskoczył na konia i puścił się kłusem, odstępując przyjemność eskortowania Lizzie do zamku Robertowi.

Zamek Jamissonów był ciemnoszarą kamienną twierdzą z basztami i zwieńczonymi zębatymi nacięciami murami, i jak wiele podobnych szkockich warowni, tchnął wyniosłym majestatem. Wzniesiono go siedemdziesiąt lat temu, kiedy pierwsza uruchomiona w dolinie kopalnia węgla zaczęła przynosić zyski ówczesnemu właścicielowi. Sir George odziedziczył tę posiadłość po kuzynie swojej pierwszej żony. Przez całe dzieciństwo Jaya węgiel

stanowił obsesję ojca. Wszystkie swój czas i kapitał inwestował w otwieranie nowych kopalni, zanedbując sam zamek. Jay, choć spędził tu dzieciństwo, nie lubił tego miejsca. Ogromne, pełne przeciągów pomieszczenia na parterze - hol, jadalnia, salon, kuchnia i kwatery dla służby - rozmieszczone były wokół centralnego dziedzińca z fontanną zamarzną od października do maja. Zamku nie sposób było ogrzać. Wielkie kominki w każdej sypialni pożerały mnóstwo węgla z okolicznych kopalni, ale nie potrafiły podnieść temperatury w dużych, kamiennych komnatach, a na korytarzach panował taki ziąb, że aby przejść z jednego pomieszczenia do drugiego, trzeba było wkładać na siebie szubę. Przed dziesięcioma laty rodzina przeniosła się do Londynu, pozostawiając kilkoro ludzi do opieki nad zamkiem i ochrony zwierzyny przed kłusownikami. Przez pewien czas Jamissonowie zjeżdżali tu co roku w towarzystwie gości i służby, z końmi i powozem wynajętymi w Edynburgu, i na okres swojego pobytu zatrudniali żony zagrodników do szorowania podłóg, palenia w kominkach i opróżniania nocników. Jednak ojciec z coraz większą niechęcią odrywał się od interesów i w końcu wizyty w zamku zupełnie ustały. Wskreszenie owego zwyczaju Jay przyjął bez entuzjazmu, ale spotykając tu Lizzie Hallim mile się rozczarował - i to nie tylko dlatego, że mógł w ten sposób dokuczyć faworyzowanemu przez ojca

starszemu bratu. Podjechał skrajem dziedzińca do stajni, zeskoczył z wałacha i poklepał zwierzę po szyi. - Do przelajów się nie nadaje, ale to dobrze ułożony wierzchowiec - powiedział do stajennego, oddając mu cugle. - Chciałbym go mieć w moim regimencie. Stajenny aż pokraśniał z zadowolenia.

- Dziękuję, sir - odparł. Jay wszedł do głównego holu. Była to wielka, ponura sala o mrocznych kątach, do których nie docierał blask świec. Przed kominkiem, na wytartym futrzanym dywaniku, wylegiwał się osowiały ogar. Jay trącił go czubkiem buta i kiedy pies odsunął się, wyciągnął zmarznięte dłonie nad ogniem. Nad kominkiem wisiał portret pierwszej żony ojca, matki Roberta - Olive. Jay nie cierpiał tego obrazu. Oto ona, poważna i świątobliwa, popatrująca z góry na wszystkich, którzy nastali tu po niej. Kiedy w wieku dwudziestu dziewięciu lat przeziębila się i nieoczekiwanie zmarła, ojciec ożenił się powtórnie, nigdy jednak nie wyrzucił z pamięci tej pierwszej miłości. Matkę Jaya, Alicję, traktował jak kochankę, kobietę bez żadnego statusu i praw, do Jaya zaś stosunek miał taki, że chłopak czuł się niemal jak syn z nieprawego łoża. Robert był pierworodnym, dziedzicem, kimś specjalnym. Jay miał czasem ochotę zapytać, czy nie wchodzi tu w grę niepokalane poczucie i dzieworództwo. Odwrócił się do obrazu plecami, wziął od lokaja kielich gorącego, korzennego wina i jął saczyć z lubością trunek. Może rozładuje napięcie ściskające mu żołądek. Dzisiaj ojciec miał obwieścić, jaka część majątku przypadnie

Jayowi. Zdawał sobie sprawę, że nie ma co marzyć o połowie ojcowizny, ba, nawet o dziesiątej jej części. To Robert odziedziczy Jamisson Castle wraz z dochodowymi kopalniami, jak również flotę statków, którą zresztą już dowodzi. Matka radziła Jayowi, żeby nie wdawał się w targi: wiedziała, że ojciec jest nieprzejednany. Robert był nie tylko tym jedynym synem. Był drugim wcieleniem ojca. Jay w niczym go nie przypominał i właśnie dlatego ojciec tak nim pogardzał. Robert był przebiegły, bezduszny i skąpy. Jay był lekkoduchem i rozrzutnikiem. Ojciec nie znosił ludzi, którzy nie szanują pieniędzy, zwłaszcza jego pieniędzy. Nieraz wyrzucał młodszemu synowi: "Ja sobie żyły wypruwam, żeby zarobić pieniądze, a ty szastasz nimi na prawo i lewo!" Przed kilkoma miesiącami Jay pograżył się jeszcze bardziej w oczach ojca, zaciągając dziewięćsetfuntowy dług honorowy. Zwrócił się do matki, by poprosiła ojca o jego spłnienie. Była to mała fortuna, wystarczająca do nabycia drugiego Jamisson Castle, ale sir George mógł sobie bez trudu pozwolić na jej wyłożenie. A przecież przeżył to jak utratę nogi. Jay przegrał potem znowu dużo pieniędzy, ale o tym ojciec już się nie dowiedział. Nie handrycz się z ojcem, przekonywała matka, proś raczej o coś skromnego. Młodszy synowie często szukali szczęścia w koloniach; istniała szansa, że ojciec podaruje mu plantację trzciny cukrowej na Barbadosie wraz z tamtejszą rezydencją i afrykańskimi niewolnikami. Jay i matka omawiali już tę sprawę z ojcem. Wprawdzie

sir George nie powiedział wyraźnie "tak", ale i nie odmówił, i Jay był dobrej myśli. Ojciec wszedł do holu kilka minut później, obtupując śnieg z butów do konnej jazdy. Lokaj pomógł mu zdjąć szubę.

- Wyślij kogoś z poleceniem do Ratchetta - powiedział do niego ojciec. - Niech postawi dwóch ludzi na moście. Mają go pilnować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby McAsh próbował opuścić dolinę, niech go aresztują.

- A jeśli pójdzie na przełaj, przez górę? - wtrącił się Jay. - W taką pogodę? Niech tylko spróbuje. Na wieść o jego zniknięciu pchniemy drogą oddział ludzi. Będą po drugiej stronie przed nim i poproszą szeryfa, żeby czekał na niego z oddziałem żołnierzy. Ale wątpię, żeby mu się udało tam dotrzeć. Jay nie był tego taki pewien - ci górnicy wytrzymałością dorównywali dzikiej zwierzynie, a McAsh był wyjątkowo zawziętym gagatkiem - wolał się jednak nie wdawać w dyskusję z ojcem. Jako następna przybyła lady Hallim. Podobnie jak córka, miała ciemne włosy i oczy, lecz brakowało jej żywotności i energii, jaką tryskała Lizzie. Była raczej przy kości, a jej puciołowatą twarz wykrzywiały grymas dezaprobaty.

- Pani pozwoli... - Jay podskoczył do niej i pomógł zdjąć ciężkie futro. - Proszę bliżej kominka, ma pani zimne ręce. Napije się pani korzennego wina?

- Jaki miły z ciebie chłopiec, Jay - powiedziała. - Z wielką chęcią. Z kościoła przybyła kolejna partia gości; zacierali zziębnięte dłonie, a topniejący śnieg

skapywał z ich wierzchnich okryć na kamienną posadzkę. Robert prowadził z Lizzie jakąś wymuszoną pogawędkę, przeskakując z jednego banalnego tematu na drugi, jakby miał ich przygotowaną całą listę. Ojciec podjął dyskusję o interesach z Henrym Drome'em, kupcem z Glasgow i krewnym jego pierwszej żony, Olive, a matka Jaya rozmawiała z lady Hallim. Pastor i jego żona nie przybyli; być może poczuli się urażeni zajściem w kościele. Z kilkorga innych gości większość stanowili krewni: siostra sir George'a z mężem, młodszy brat Alicii z żoną, było też paru sąsiadów. Rozmowy toczyły się przeważnie wokół Malachiego McAsha i jego bezsensownego listu. W pewnej chwili ponad panujący w holu gwar wybił się podniesiony głos Lizzie i obecni, jeden po drugim, zaczęli spoglądać z zaciekawieniem w jej stronę.

- A dlaczegoż by nie? - pytała. - Chcę to zobaczyć na własne oczy.

- Uwierz mi, kopalnia węgla to nie miejsce dla damy odparł ponurym głosem Robert.

- W czym problem? - wtrącił się sir George. - Czyżby panna Hallim chciała zejść do kopalni?

- Uważam, że powinnam wiedzieć, jak tam jest - wyjaśniła Lizzie.

- Nie wspominając już o innych przeszkodach, damski strój praktycznie to uniemożliwia - przekonywał ją Robert. - To przebiorę się w męski - odparła. Sir George zachichotał.

- Znam parę dziewcząt, którym nawet by to pasowało powiedział. - Ale ty, moja droga, nazbyt jesteś urodziwa, żeby nikt się nie zorientował. - Uznawszy to najwyraźniej za przedni komplement, rozejrzał się oczekując aprobaty. Zebrani wybuchnęli wymuszonym śmiechem. Matka Jaya trąciła męża łokciem i szepnęła mu coś na ucho. - Ach, prawda - powiedział sir George. - Czy wszyscy mają pełne kieliszki? - spytał i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Wypijmy za mojego młodszego syna. James Jamisson, znany nam wszystkim jako Jay, kończy dziś dwadzieścia jeden lat. Zdrowie Jaya! Goście wychylili toast, po czym kobiety opuściły towarzystwo, by przygotować się do obiadu. Rozmowę mężczyzn natychmiast zdominowały interesy.

- Nie podobają mi się wieści docierające z Ameryki zagaił Henry Drome. - To może nas dużo kosztować. Jay wiedział, o czym mówi Drome. Rząd angielski nałożył podatki na rozmaite towary importowane przez amerykańskie kolonie - na herbatę, papier, szkło, ołów oraz na farby i wśród kolonistów zawrzało.

- Domagają się, żeby armia chroniła ich przed Francuzami i czerwonoskórymi - podchwycił wzburzony sir George a nie chcą za to płacić!

- I będą się uciekali do najrozmaitszych sposobów, byle tylko nie płacić - powiedział Drome. - Zgromadzenie miasta Bostonu na przykład ogłosiło bojkot wszystkich brytyjskich towarów. Rezygnują z

herbaty i postanowili nawet oszczędzać na czarnym materiale, skąpiąc go na stroje żałobne!

- Jeśli za przykładem Massachusetts pójdą inne kolonie, połowa naszej floty nie będzie miała czym zapelnąć ładowni zauważył Robert.

- Ci koloniści to przekłeta zgraja bandytów! - rozsierdził się sir George. - A już najgorsi są bostońscy destylatorzy rumu. - Wściekłość ojca zaskoczyła Jaya: wiadomo, że poniesie pewne straty, ale żeby aż tak to przeżywać? - Prawo nakłada na nich obowiązek zakupu melasy z plantacji brytyjskich, a oni przemycają melasę francuską i zbijają cenę.

- Wirgińczycy są jeszcze gorsi - stwierdził Drome. Tamtejsi plantatorzy tytoniu nigdy nie spłacają długów.

- Jakbym nie wiedział - prychnął sir George. - Niedawno przejąłem majątek jednego takiego niesolidnego plantatora... i zostałem na lodzie ze zbankrutowaną plantacją. Nazywa się Mockjack Hall.

- Bogu dzięki, że nikt nie wpadł jeszcze na pomysł pobierania opłat wwozowych za skazańców - powiedział Robert. Rozległ się potakujący pomruk. Najbardziej dochodową dziedziną spedycyjnej działalności Jamissonów był przewóz skazanych przestępców do Ameryki. Każdego roku sąd skazywał na zesłanie kilkaset osób - była to alternatywa stryczka, którą to karę wymierzano nawet za pospolite przestępstwa, takie jak kradzież -

a rząd wypłacał przewoźnikowi po pięć funtów od głowy. Dziewięć na dziesięć transportów przemierzało Atlantyk statkiem Jamissonów. Zysk nie kończył się jednak na opłatach uiszczanych przez rząd. Znalazłszy się po drugiej stronie Atlantyku, zesłańcy byli zobowiązani do nieodpłatnej pracy przez siedem lat, co w praktyce oznaczało, że na ten okres można ich było sprzedawać jako niewolników. Cena mężczyzn wahała się od dziesięciu do piętnastu funtów, kobiet od ośmiu do dziewięciu, dzieci nieco mniej. Upychając w ładowni, ramię przy ramieniu jak śledzie w beczce, stu kilkudziesięciu skazańców, Robert, odbywając jeden rejs, potrafił osiągnąć czysty zysk rzędu dwóch tysięcy funtów - sumę zbliżoną do wartości statku. Była to nader dochodowa działalność.

- Tak - przyznał ojciec i wychylił do dna swój kielich. Ale i to się skończy, jeśli koloniści postawią na swoim. Koloniści ustawicznie się na to skarżyli. Chociaż nadal kupowali skazańców - panował tam ogromny popyt na taną siłę roboczą - utyskiwali na metropolię, że zalewa ich kraj szumowinami, i upatrywali w zesłańcach przyczyny wzrostu przestępczości.

- Jeśli się ma kopalnie węgla, wiadomo przynajmniej, na czym się stoi - powiedział sir George. - To jedyna rzecz, na którą w dzisiejszych czasach można liczyć. Dlatego koniecznie trzeba unieszkodliwić tego McAshę. O McAshę każdy miał coś do powiedzenia i w kilku grupkach natychmiast

podchwycono ten temat. Ale sir George nie chciał chyba roztrząsać dalej tej kwestii.

- A jak tam panna Hallim, he? - zwrócił się do Roberta, przyjmując żartobliwy ton. - Moim zdaniem to prawdziwy klejnocik.

- Jest bardzo żywiołowa - bąknął niezdecydowanie Robert.

- Istotnie - przyznał ze śmiechem ojciec. - Pamiętam, jak dziesięć lat temu ustrzeliliśmy ostatnią wilczycę w tym zakątku Szkocji, a Lizzie uparła się, że sama wychowa młode. Spacerowała później z dwoma wilczętami na smyczy, W życiu nie widziałeś czegoś podobnego! Gajowi wściekali się i mówili, że młode czmychną i staną się zagrożeniem dla okolicy... ale na szczęście pozdychały.

- Jako żona może być trudna w pożyciu - zauważył Robert.

- Nie ma to jak ognista klacz - stwierdził sir George. Poza tym mąż ma zawsze we wszystkim decydujący głos. Mogłeś trafić o wiele gorzej. - Zniżył głos: - Lady Hallim zarządza High Glen tylko do czasu zamążpójścia Elizabeth. Ponieważ własność kobiety należy do jej męża, z dniem ślubu Elizabeth wniesie całą tę posiadłość w posagu.

- Wiem - mruknął Robert. Jay o tym nie wiedział, ale nie był zaskoczony; mało który mężczyzna zgodziłby się, żeby tak rozległym majątkiem zarządzała kobieta.

- Pod High Glen muszą zalegać miliony ton węgla - ciągnął sir George. - Wszystkie żyły zdają się biec w

tamtym kierunku. Dziewczyna, przepraszam za określenie, siedzi na fortunie - dodał i zaśmiał się rubasznie.

- Nie wiem, czy przypadłem jej do gustu - mruknął Robert. - Czemu miałeś nie przypaść? Jesteś młody, będziesz bogaty, a kiedy umrę, zostaniesz baronetem. Czegóż więcej może chcieć dziewczyna?

- Może romantycznej miłości - odparł Robert.

Wypowiedział to z tak zniesmaczoną miną, jakby usiłowano mu przed chwilą zapłacić fałszywą monetą.

- Panny Hallim nie stać na romantyczną miłość.

- Chyba nie - zgodził się Robert. - Lady Hallim, jak sięgnę pamięcią, nie wychodzi z długów...

- Zdradzę ci coś w tajemnicy - odparł sir George oglądając się przez ramię, żeby się upewnić, czy nikt ich nie podsłuchuje. - Czy wiesz, że ma już zajęta całą hipotekę?

- Każdy o tym wie.

- Ale kredytodawca nie chce jej już udzielać dalszych pożyczek.

- Może go przecież spłacić, zaciągając pożyczkę u kogoś innego - powiedział Robert.

- Istnieje taka możliwość - przyznał sir George. - Ale ona o tym nie wie. A jej doradca finansowy nie podsunie jej takiej myśli... Już się o to postarałem.

Obecny przy tej rozmowie Jay był ciekaw, jaką łapówką czy też groźbą ojciec podporządkował sobie doradcę lady Hallim. Sir George zachichotał i dodał:

- Widzisz więc sam, Robercie, że małej Elizabeth nie stać na danie ci kosza. W tej samej chwili do trójki Jamissonów podszedł Henry Drome.

- Zanim zasiądziemy do obiadu, George - powiedział muszę się do ciebie zwrócić z pewną sprawą. Możemy chyba rozmawiać otwarcie w obecności twoich synów?

- Oczywiście.

- Te niepokoje w Ameryce uderzyły mnie mocno po kieszeni... niewypłacalni plantatorzy, i tak dalej... i obawiam się, że w tym kwartale nie będę mógł dotrzymać swoich zobowiązań. Młodzi Jamissonowie domyślili się, że ojciec udzielił Henry'emu pożyczki. Zazwyczaj sir George miał do dłużników podejście bardzo brutalne - płacili albo szli do więzienia. Teraz jednak powiedział:

- Rozumiem, Henry. Czasy są ciężkie. Zapłacisz, kiedy będziesz mógł. Jaya zdumiała ta wyrozumiałość, ale po chwili zastanowienia zrozumiał, czym kierował się ojciec. Drome był krewnym matki Roberta, Olive, i to przez wzgląd na jej pamięć sir George potraktował go tak ulgowo. Powróciły damy. Matka Jaya z trudem tłumiała tajemniczy uśmiezek, zupełnie jakby ukrywała w zanadrzu jakąś zabawną niespodziankę. Zanim jednak Jay zdążył zapytać, co ją tak bawi, przybył następny gość - nieznamy mężczyzna w szarych kapłańskich szatach. Alicia zamieniła z nim kilka słów, po czym podprowadziła go do sir George'a.

- To wielebny Cheshire - przedstawiła gościa. - Przyszedł zamiast ojca Yorka. Przybysz był młodzieńcem o dziobatej twarzy, w okularach i staromodnej, trefionej peruce. Chociaż sir George i inni starsi mężczyźni nosili jeszcze peruki, młodzież przywdziewała je bardzo rzadko.

- Ojciec York przesyła przeprosiny - powiedział Cheshire. - Nic nie szkodzi - mruknął sir George i odwrócił się; młody duchowny zupełnie go nie interesował. Przeszli do stołu. Zapach jedzenia mieszał się z wonią stęchlizny bijącej od starych, ciężkich zasłon. Długi stół uginał się pod ciężarem wymyślnych potraw: pieczona dziczyzna, wołowina i szynka, smażony łosoś, kilka rodzajów pasztetu. Ale Jay nie miał apetytu. Czy ojciec da mu posiadłość na Barbadosie? A jeśli nie, to co w zamian? Trudno mu było siedzieć za stołem i jeść dziczyznę, kiedy ważyły się jego losy. Pod pewnymi względami ledwie znał własnego ojca. Chociaż mieszkali pod jednym dachem domu rodzinnego przy Grosvenor Square, ojciec z Robertem przesiadywali stale w magazynie w City, a Jay spędzał całe dni w swoim regimencie. Czasem spotykali się przy śniadaniu i sporadycznie przy kolacji, bo sir George najczęściej jadał kolacje w swoim gabinecie, przeglądając jakieś papiery. Jay nie potrafił przewidzieć, jak ojciec teraz postąpi. Dłubał więc widelcem swoją porcję i czekał. Ojciec Cheshire okazał się nieco kłopotliwym gościem. Beknął głośno parę razy, rozlał wino, i Jay zauważył, że co chwila spogląda bez skrępowania na biust

siedzącej obok niego kobiety. Do obiadu zasiedli o trzeciej, a kiedy damy wstawały od stołu, za oknami zapadał już zimowy wieczór. Wkrótce potem w jadalni zostali sami mężczyźni. Sir George przechylił się na krześle i pierdnął jak z armaty.

- Od razu człowiekowi lepiej - mruknął. Służący przyniósł butelkę portwajnu, puszkę z tytoniem i pudełko glinianych fajek. Młody duchowny nabił sobie jedną z nich i powiedział:

- Lady Alicia to diabelnie pociągająca kobitka, jeśli wolno zauważyć. Diabelnie pociągająca. Wyglądał na podpitego, ale nawet gdyby tak było, tego rodzaju uwaga nie mogła mu ujść płazem. Jay stanął w obronie matki.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan powstrzymał się od wygłaszania podobnych opinii na temat lady Jamisson - powiedział lodowatym tonem. Ojciec Cheshire przytknął dłonią cybuch fajki, zaciągnął się i zaniósł kaszlem. Najwyraźniej nigdy w życiu nie palił. Z oczu puściły mu się łzy i zakrztusił się, pryskając śliną na wszystkie strony, a potem rozkaszał się na nowo. Spazmy kaszlu wstrząsały nim tak mocno, że spadły mu okulary i peruka zsunęła się z głowy i wtedy Jay spostrzegł, że to nie żaden duchowny. Wybuchnął śmiechem. Pozostali goście spojrzeli na niego ze zdumieniem. Nie dostrzegali jeszcze tego, co on.

- Przypatrzcie się dobrze! - zawołał Jay. - Nie poznajecie? Pierwszy zorientował się Robert.

- Dobry Boże... - wymamrotał. - Toż to panna Hallim w przebraniu! Na moment zaległa pełna konsternacji cisza, a potem sir George zaczął się śmiać. Pozostali mężczyźni, widząc, że potraktował to jako żart, poszli za jego przykładem. Lizzie pociągnęła łyk wody i odchrząknęła jeszcze kilkakrotnie. Podczas gdy dochodziła powoli do siebie, Jay podziwiał jej przebranie. Błyszczące, ciemne oczy skryła za okularami, a loki peruki zwisające po bokach częściowo przesłoniły jej profil. Biała płócienna koloratka pogrubiała szyję i osłoniła gładką niewieścią skórę. Węgłem drzewnym przyczerniła sobie policzki i narysowała na podbródku kilka cienkich włosków, imitując w ten sposób zarost młodego mężczyzny, który nie goli się jeszcze codziennie. W mrocznych salach zamku, w szarówce pochmurnego zimowego popołudnia była nie do rozpoznania.

- No cóż, udowodniłaś, że możesz udawać mężczyznę odezwał się sir George, kiedy przestała kasłać. - Ale mimo wszystko nie możesz zejść na dno szybu. Poproś tu teraz resztę dam i wręczymy Jayowi prezent urodzinowy. Na parę chwil Jay zapomniał o zdenerwowaniu, które jednak zaraz powróciło, dając o sobie znać przyśpieszonym biciem serca. Spotkali się z kobietami w holu. Matka Jaya i Lizzie zaśmiewały się do łez: widocznie Alicia była we wszystko wtajemniczona i stąd jej zagadkowy uśmieszek przed obiadem. Matka Lizzie, która o niczym nie wiedziała, milczała naburmuszona. Sir

George wyprowadził towarzystwo frontowymi drzwiami na dziedziniec. Zapadał zmierzch. Śnieżyca ustała.

- Proszę - powiedział wskazując palcem. - Oto twój prezent urodzinowy. Na dziedzińcu przed domem czekał stajenny, trzymając za uzdę najpiękniejszego konia, jakiego Jay kiedykolwiek widział. Był to biały ogier, dwulatek o smukłych kształtach.

Zdenerwowany widokiem tylu ludzi szarpnął się w bok i stajenny musiał uwiesić się całym ciężarem na wędzidle, żeby osadzić go w miejscu. W oczach miał dziki błysk i Jay pomyślał, że musi być szybki jak wichur. Zachwycony, zapomniał o bożym świecie, ale ostry głos matki ściągnął go z obłoków na ziemię.

- Czy to wszystko? - spytała.

- Ależ Alicio, mam nadzieję, że nie okażesz się niewdzięczną... - zaczął ojciec.

- Czy to wszystko? - powtórzyła z naciskiem i Jay ujrzał, jak jej twarz wykrzywia grymas niepohamowanego gniewu.

- Wszystko - przyznał ojciec. Zrazu Jayowi nawet przez myśl nie przeszło, że otrzymał ten prezent zamiast posiadłości na Barbadosie. Teraz zaczynało to do niego docierać i oniemiały patrzył na rodziców. Czuł się tak zdruzgotany, że nie potrafił wykrztusić słowa. Wyręczyła go w tym matka. Nigdy w życiu nie oglądał jej tak wzburzonej.

- To twój syn! - krzyknęła głosem przepojonym furją. Skończył dwadzieścia jeden lat... ma pełne prawo do otrzymania swojej części majątku... a ty

dajesz mu konia?! Goście przyglądali się tej scenie z fascynacją podszytą strachem. Sir George poczerwieniał na twarzy.

- Mnie nikt nic nie dał, kiedy kończyłem dwadzieścia jeden lat! - parsknął ze złością. - Nie odziedziczyłem nawet pary butów...

- Och, na miłość boską - przerwała mu pogardliwie. Dość się już nasłuchaliśmy, jak to twój ojciec umarł, kiedy miałeś czternaście lat, musiałeś iść do pracy w fabryce, żeby zarobić na utrzymanie sióstr... To chyba nie powód, żeby doświadczać biedą własnego syna, prawda?

- Biedą? - Sir George rozłożył ręce, obejmując tym gestem zamek, posiadłość i warunki ich życia. - Gdzie tu widzisz tę biedę?

- On potrzebuje niezależności... na Boga, podaruj mu posiadłość na Barbadosie!

- Ta posiadłość jest moja! - zaprotestował Robert. Jay przewyciężył ściskający go za gardło skurcz i dobył w końcu głosu.

- Plantacja nigdy nie była należycie administrowana powiedział. - Uważam, że potrafiłbym nią zarządzać bardziej po żołniersku, jak regimentem, potrafiłbym zagonić czarnuchów do wydajniejszej pracy i uczynić ją bardziej dochodową. - Naprawdę wydaje ci się, że potrafiłbyś tego dokonać? spytał ojciec.

Serce Jaya zabiło nadzieją: może ojciec jeszcze zmieni zdanie? - Oczywiście! - zapewnił skwapliwie.

- A ja śmiem wątpić - odparł szorstko ojciec.

Młodszy syn odczuł to jak cios w żołądek.

- Nie sędzę, byś miał pojęcie o prowadzeniu plantacji czy jakiegokolwiek innego przedsięwzięcia - podjął sir George. - Myślę, że twoje miejsce jest w armii, gdzie na każdym kroku mówią ci, co masz robić. Jay stał przez chwilę oszołomiony. Potem spojrział na pięknego białego ogiera.

- Nigdy nie dosiędę tego konia - oznajmił. - Zabierz go sobie. Alicia nie dawała jednak za wygraną.

- Robert dostaje zamek, kopalnie, statki i całą resztę zwróciła się do męża. - Czy musi dostać również plantację? - Jest starszym synem.

- Jay jest młodszym, ale to nie znaczy, że nie istnieje. Dlaczego Robert ma otrzymać wszystko?

- Przez pamięć jego matki - odparł sir George. Alicia patrzyła przez chwilę na sir George'a i Jay dostrzegł w tym spojrzeniu nienawiść. Ja też go nienawidzę, pomyślał. Nienawidzę własnego ojca.

- No to niech cię diabli - syknęła Alicia i przerażeni goście wstrzymali oddech. - Niech cię diabli porwą. - Odwróciła się na pięcie i wbiegła z powrotem do domu.

Bliźniaki McAsh mieszkały w małym, jednoizbowym domku; pod jedną ścianą izby znajdował się piec, pod drugą, w zasłanianych kotarami wnękach - stały dwa łóżka. Z domku wychodziło się prosto na błotnisty szlak, który wiódł od kopalnianego szybu na samo dno doliny, gdzie spotykał się z traktem prowadzącym do kościółka, zamku i dalej w szeroki świat. Wodę czerpano z górskiego potoku

przepływającego za siedzibami górników. Przez całą drogę powrotną Mack zadreślał się wspomnieniem zajścia w kościele i milczał, a Esther taktownie powstrzymywała się od pytań. Tego ranka przed wyjściem postawili na piecu kociołek z kawałkiem bekonu do zagotowania; kiedy teraz przekroczyli próg, przywitał ich smakowity zapach wypełniający izbę. Mackowi od razu ślina napłynęła do ust i poprawił mu się humor. Esther zabrała się do wkrawania do kociołka kapusty, a Mack pobiegł tymczasem po dzban piwa do pani Wheighel mieszkającej po drugiej stronie drogi. Oboje rzucili się na strawę z wilczym apetytem ludzi pracujących fizycznie. Gdy po posiłku i piwie nie pozostało śladu, Esther spytała: - No i co teraz zrobisz? Mack westchnął. Kiedy padło wreszcie to pytanie, uświadomił sobie, że jest na nie tylko jedna odpowiedź.

- Muszę odejść. Po tym, co zaszło, nie mogę już tu zostać. Moja duma mi na to nie pozwala. Dla każdego młodego człowieka z doliny byłbym żywym dowodem na to, że Jamissonom nie można się przeciwstawić. Muszę odejść. - Usiłował zachować spokój, jednak głos mu drżał.

- Domyślałam się, że tak powiesz. Ale uważaj: toczysz walkę z najpotężniejszymi ludźmi w tym kraju.

- Prawda jest po mojej stronie.

- Zgoda. Ale prawda i fałsz nie liczą się na tym świecie, tylko na tamtym.

- Zrobię to teraz albo nigdy... i wtedy do końca życia będę gorzko żałował. Pokiwała ze smutkiem głową.

- Myślę, że tak. A jeśli spróbują cię zatrzymać?

- Jak?

- Mogli postawić strażnika przy moście. Oprócz drogi przez most istniała jeszcze tylko jedna, wiodąca na przełaj przez górę i bardzo trudna; zanim Mack przeprowiłby się nią na drugą stronę, Jamissonowie już by tam na niego czekali. - Jeśli zablokują most, przepłynę rzekę w pław - zdecydował.

- O tej porze roku? Zamarzniesz na śmierć.

- Rzeka ma około trzydziestu jardów szerokości. Liczę, że dam radę ją przepłynąć w jakąś minutę.

- Jeśli cię złapią, przyprowadzą z powrotem z żelazną obrożą na szyi, jak Jimmy'ego Lee. Mack skrzywił się. Noszenie obroży było upokarzającą karą, przed którą drżeli wszyscy górnicy.

- Jestem sprytniejszy od Jimmy'ego - odparł. - Kiedy skończyły mu się pieniądze, chciał się zatrudnić w kopalni w Clackmannan, a właściciel kopalni zgłosił jego nazwisko. Ja tego nie zrobię.

- Musisz przecież coś jeść, a jak zarobisz na chleb? Znasz się tylko na rąbaniu węgla. Mack odłożył trochę gotówki, ale nie wystarczyłoby mu jej na długo. Miał jednak na to sposób.

- Pójdę do Edynburga - oświadczył. Wiedział, że może się zabrać na jeden z ciężkich, ciągnionych przez konie wozów transportujących węgiel z nadszybia, ale uznał, że bezpieczniej będzie

podróżować piechotą. - Potem zaciągnę się na statek... Słyszałem, że potrzebują młodych, silnych mężczyzn do pracy w kotłowni. Nim miną trzy dni, nie będzie mnie już w Szkocji. A spoza granic kraju nie można nikogo ściągnąć... gdzie indziej nie obowiązują tutejsze prawa.

- Statek... - powtórzyła z rozmarzeniem Esther. Żadne z bliźniaków nigdy nie widziało statku na oczy, oglądali je tylko w książkach, na obrazkach. - I dokąd popłyniesz?

- Chyba do Londynu. - Większość wypływających z Edynburga statków z węglem kierowała się do Londynu, czasem jednak płynęły także do Amsterdamu. - Albo do Holandii. A może nawet do Massachusetts.

- Łatwo jest sypać nazwami - zauważyła Esther. W życiu nie spotkaliśmy nikogo, kto by był w Massachusetts.

- Przypuszczam, że jedzą tam chleb, mieszkają w domach i kładą się spać po zmroku, tak samo jak my.

- Też mi się tak wydaje - odparła niepewnie.

- Tak czy owak - powiedział - udam się w każde miejsce, byle z dala od Szkocji... w każde miejsce, gdzie człowiek może być wolny. Pomyśl tylko: mieszkać, gdzie się człowiekowi podoba, a nie tam, gdzie mu każą. Wybierać sobie pracę, jaką się chce... i móc wedle uznania opuścić miejsce zamieszkania, by podjąć inną, lepiej płatną, bezpieczniejszą albo bardziej czystą pracę... Być panem swojego losu, a

nie czyimś niewolnikiem... Czyż to nie byłoby wspaniale? Esther spłynęły po policzkach łzy.

- Kiedy ruszysz?

- Zostanę tu jeszcze parę dni; może przez ten czas czujność Jamissonów nieco osłabnie. Ale we wtorek wypadają moje dwudzieste drugie urodziny. Jeśli pojawię się w kopalni we środę, to będę miał przepracowany jeden rok i jeden dzień od dnia dwudziestych pierwszych urodzin i stanę się niewolnikiem. - I tak jesteś praktycznie niewolnikiem, obojętne, co było w tamtym liście.

- Może masz rację, ale pokrzepia mnie myśl, że racja jest po mojej stronie. Jamissonowie są w świetle prawa przestępcami, nieważne, czy przyjmują to do wiadomości, czy nie. Tak więc wyruszę we wtorek wieczorem.

- A co ze mną? - szepnęła nieśmiało.

- Tobie radzę przyłączyć się do Jimmy'ego Lee. To dobry rębacz i potrzebny mu jeszcze jeden tragarz. A Annie...

- Chcę iść z tobą - przerwała mu Esther. Tego się nie spodziewał.

- Nigdy o tym nie wspominałaś - mruknął zaskoczony.

- Myślisz, że dlaczego do tej pory nie wyszłam za mąż? Bo gdybym to uczyniła i urodziła dziecko, nigdy bym się stąd nie wyrwała. Istotnie, była najstarszą panną w Heugh. Jednak Mack tłumaczył to tym, że po prostu nie znalazła sobie jeszcze odpowiedniego kandydata na męża. Nigdy nie

przyszło mu do głowy, że przez wszystkie te lata pragnęła się stąd wyrwać. - Czemu mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał.

- Bałam się odejść. I nadal się boję, ale skoro ty odchodzisz, pójdę razem z tobą. W jej oczach dostrzegł desperację, jednak mimo że serce mu się krajało, nie mógł się na to zgodzić.

- Kobiety nie mogą pracować na statku. Nie mamy pieniędzy na twoją podróż, a nie miałybyś jej jak odpracować. Musiałbym cię zostawić w Edynburgu.

- Nie zostanę tutaj, jeśli ty uciekniesz! Mack kochał siostrę. Trzymali zawsze sztamę we wszystkich konfliktach - począwszy od bijatyk w dzieciństwie, poprzez sprzeczki z rodzicami, aż po wyklócanie się z zarządem kopalni. Nawet gdy według Esther zachowywał się nierozsądnie, broniła go do końca jak lwica. Z całego serca pragnął zabrać ją ze sobą, ale w dwie osoby byłoby znacznie trudniej uciekać niż w pojedynkę.

- Wstrzymaj się jeszcze trochę - powiedział. - Kiedy dotrę na miejsce, od razu napiszę. A jak tylko podejmę pracę, zacznę odkładać pieniądze i przyślę po ciebie.

- Obiecujesz?

- Jasne, możesz na mnie polegać!

- Spluń i przysięgnij.

- Splunąć i przysięgnąć? - Coś takiego robili w dzieciństwie, kiedy chcieli przypieczętować jakąś obietnicę.

- Musisz! Widział, że naprawdę jej na tym zależy. Splunął więc na dłoń, sięgnął przez zbity z desek stół i ujął jej rękę.
- Przysięgam, że przyślę po ciebie.
- Dziękuję - powiedziała cicho.

Na następny ranek zaplanowano polowanie i Jay postanowił wziąć w nim udział. Był w nastroju do zabijania. Nie jadł śniadania, napchał tylko do kieszeni kuleczek ulepionych z płatków owsianych i nasączonych whisky - po czym wyszedł na dziedziniec sprawdzić, jaka jest pogoda. Właśnie świtało. Niebo było szare, ale chmury sunęły wysoko i nie zanosiło się na deszcz; będą mieli dobrą widoczność. Usiadł na schodach i założył do zamka strzelby nowy krzemień w kształcie klina, obtykając go pieczołowicie kawałkiem miękkiej skórki. Ustrzelenie paru jeleni rozładuje może jego frustrację, w głębi duszy przyznawał jednak, że wolałby zapolować na Roberta. Szczycił się swoją bronią. Była to ładowana przez lufę skałkówka, dzieło Griffma z Bond Street, z hiszpańską lufą inkrustowaną srebrem. Nie mogły się z nią równać toporne "Brown Bessy", w które wyposażeni byli ludzie z jego regimentu. Odwiódł kurek i wziął na muszkę drzewo rosnące po drugiej stronie trawnika. Mierząc do celu wyobraził sobie, że widzi dorodnego jelenia z rozłożystym porożem. Opuścił muszkę na pierś wyimaginowanego zwierzęcia, tuż pod łopatkę, gdzie pulsowało serce. Następnie przywołał inną

wizję - ukazał mu się Robert: zimny, zawzięty Robert, chciwy i bezwzględny. Pociągnął za spust. Krzemień uderzył z trzaskiem o stal, krzesząc deszcz iskier, ale na panewce nie było prochu, a w lufie pocisku. Nabił wprawnymi ruchami strzelbę. Posługując się miarką, nabrał z prochownicy i wsypał do lufy dokładnie dwie i pół porcji prochu, po czym wyjął z kieszeni kulę, zawinął ją w kawałek płótna i wepchnął do lufy. Następnie odczepił spod lufy stempel i przybił nim kulę. Miała pół cala średnicy i potrafiła powalić dorosłego jelenia z odległości stu jardów. Robertowi strzaska żebra, rozszarpie płuca i rozpruje serce, kładąc go na miejscu trupem. Nagle usłyszał głos matki.

- Witaj, Jay - powiedziała. Wyprostował się i pocałował matkę na dzień dobry. Nie widział jej od zeszłego wieczoru, kiedy to posłała ojca do wszystkich diabłów i wzburzona opuściła towarzystwo. Teraz na jej twarzy malowało się znużenie i smutek.

- Chyba nie spałaś najlepiej - zauważył zatroskany. Pokiwała głową.

- Miewałam już lepsze noce - mruknęła.

- Współczuję ci, mamó.

- Nie powinnam była tak złorzeczyć twemu ojcu.

- Pewnie go kiedyś kochałaś... - bąknął Jay.

Westchnęła.

- Sama nie wiem. Był przystojnym, bogatym baronetem i chciałam zostać jego żoną.

- Ale teraz go nienawidzisz.

- Tak. Odkąd zaczął faworyzować twojego brata. Jay poczuł przyływ gniewu.

- Gdyby jeszcze Robert dostrzegł w tym jakąś niesprawiedliwość! - zawołał.

- W głębi duszy na pewno ją dostrzega. Obawiam się jednak, że jest bardzo chciwy. Chce zagarnąć wszystko.

- Zawsze tego chciał. - Jayowi przypomniał się mały Robert, któremu nic nie sprawiało tyle uciechy, jak podebranie młodszemu bratu jego żołnierzyków lub porcji śliwkowego puddingu. - Pamiętasz kucyka Roberta, Rób Roya?

- Owszem. Czemu pytasz?

- Kiedy go dostał, miał trzynaście lat, a ja osiem. Marzyłem o kucyku... już wtedy umiałem jeździć konno lepiej od Roberta. Ale on nie dał mi się na nim przejechać ani razu. Kiedy sam nie miał ochoty na przejażdżkę, wołał oddać Rób Roya stajennemu, żeby go ćwiczył, niż dać się przejechać mnie. - Jeździłeś przecież na innych koniach.

- Jeszcze przed ukończeniem dziesięciu lat dosiadałem wszystkiego, co było w stajni, włącznie z wierzchowcami ojca. Ale Rób Roya nigdy.

- Przejdźmy się alejką - zaproponowała matka. Miała na sobie podbity futrem płaszcz z kapturem, a Jay kraciastą opończę, więc nie groziło im, że zmarzną. Ruszyli przez trawnik, stąpając z chrzęstem po zmarzniętej trawie.

**- Dlaczego ojciec stał się taki? - spytał Jay. -
Dlaczego mnie nienawidzi? Poglądziła go po
policzku.**

**- Wcale cię nie nienawidzi - odparła. - Choć nie
dziwię ci się, że tak to odbierasz.**

**- Więc czemu obchodzi się ze mną tak
niesprawiedliwie?**

**- Twój ojciec, gdy żenił się z Olive Drome, był
ubogim człowiekiem. Nie miał nic prócz straganu w
nędznej dzielnicy Edynburga. Ten zamek należał
niegdyś do dalekiego krewnego Olive, Williama
Drome'a. William był kawalerem i mieszkał tu sam,
a kiedy zachorował, Olive przyjechała, by się nim
zaopiekować. Był jej za to tak wdzięczny, że przed
śmiercią zmienił swą ostatnią wolę i pozostawił cały
majątek Olive. Jay pokiwał głową.**

- Słyszałem tę opowiadkę ze sto razy.

**- Wiem, ale rzecz w tym, że w odczuciu twojego ojca
ta posiadłość tak naprawdę należy do Olive i jest
fundamentem, na którym zbudował całe swoje
finansowe imperium. Kopalnie wcale nie należą do
jego najbardziej dochodowych przedsięwzięć. - A on
mówi, że to pewny grunt - mruknął Jay, mając w
pamięci wczorajszą dyskusję. - Ze spedycją bywa
różnie, wiąże się z nią ryzyko, górnictwo zaś daje
stały dochód.**

**- Tak czy inaczej, ojciec uważa, że zawdzięcza
wszystko Olive i że gdyby podarował cokolwiek
tobie, obraziłby jej pamięć. Jay pokręcił głową.**

- Tu musi wchodzić w grę coś jeszcze. Mam wrażenie, że nie znamy tej historii do końca.
- Może masz rację. Ale powiedziałam ci wszystko, co sama wiem. Doszli do krańca alejki i w milczeniu zawrócili. Jaya ciekawiło, czy rodzice w ogóle spędzają razem noce. Był skłonny przypuszczać, że tak. Ojciec doszedł zapewne do wniosku, że niezależnie od tego, czy Alicia go kocha, czy nie, jest jego żoną, a zatem ma obowiązek zaspokajać jego potrzeby. Była to nieprzyjemna myśl. Gdy dotarli z powrotem do zamku, matka odezwała się:
 - Przez całą noc zastanawiałam się, co zrobić, żeby sprawy potoczyły się po twojej myśli, ale jak dotąd nic mi nie przyszło do głowy. Nie trać jednak nadziei. Jakoś to będzie. Jay zawsze polegał na matce. Nie bała się męża, potrafiła narzucić mu swą wolę. Kiedyś udało jej się nawet nakłonić sir George'a do spłacenia długów honorowych młodszego syna. Jay obawiał się jednak, że tym razem nie pójdzie jej tak łatwo. . - Ojciec postanowił, że nie dostanę nic. Z pewnością wiedział, jak to odbiorę, a mimo to podjął taką decyzję. Nie ma sensu więcej go molestować.
 - Nie myślałam o molestowaniu - odparła matka.
 - Więc o czym?
 - Sama jeszcze nie wiem, ale nie załamuję rąk. Dzień dobry, panno Hallim. Lizzie, ubrana w strój myśliwski, zstępowała właśnie po schodach; w czarnej futrzanej czapce i skórkowych bucikach

wyglądała jak ładny skrzat. Uśmiechnęła się i jakby poweselała widząc Jaya.

- Dzień dobry! - odpowiedziała. Na jej widok Jay również się rozpogodził.

- Wybierasz się z nami? - spytał.

- Za nic w świecie nie przepuściłabym takiej okazji. Udział kobiety w polowaniu nie był zjawiskiem codziennym, choć w zupełności akceptowanym, i Jaya, który zdążył już poznać Lizzie, nie zdziwiło bynajmniej, że dziewczyna zamierza uczestniczyć w łowach wespół z mężczyznami.

- Znakomicie! - ucieszył się. - Przydasz subtelności i szyku wyprawie, która bez ciebie miałaby ordynarny, męski charakter.

- Nie bądź tego taki pewien.

- Wracam - oznajmiła lady Jamisson. - Życzę wam obojgu pomyślnych łowów. Gdy zniknęła w drzwiach, Lizzie powiedziała:

- Przykro mi, że nie udały ci się urodziny. - Ścisnęła go pocieszająco za ramię. - Ale może już za godzinę wywietrzeją ci z głowy wszystkie zmartwienia.

- Będę się starał z całych sił - odparł, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Podniosła głowę do góry i powęszyła w powietrzu jak lisica. - Mamy silny wiatr południowozachodni - stwierdziła. - Bardzo dobrze. Minęło pięć lat, odkąd Jay po raz ostatni polował na płową zwierzynę, ale tajniki łowiectwa zgłębił doskonale. Myśliwi nie lubili dni bezwietrznych, kiedy niespodziewany, kapryśny podmuch mógł roznieść po całym zboczach woń ludzi i spłoszyć

zwierzyne. Zza węgła zamku wyłonił się gajowy z dwoma psami na smyczy i Lizzie podbiegła, by je pogłaskać. Jay ruszył rozbawiony za nią.

Obejrzawszy się przez ramię, spostrzegł w progu matkę, przypatrującą się Lizzie z nieodgadnioną miną. Psy były długonogimi mieszańcami szarej maści; zwano je szkockimi deerhoundami albo wilczarzami irlandzkimi. Lizzie ukucnęła i przemówiła kolejno do jednego i drugiego.

- Czy to Bran? - spytała gajowego.

- To syn Brana, panno Elizabeth - odparł tamten.

Bran zdechł w zeszłym roku. Ten wabi się Busker.

Podczas polowania psy trzymano w odwodzie i spuszczano ze smyczy dopiero po oddaniu strzałów.

Ich rola polegała na ściganiu i uśmiercaniu zwierząt postrzelonych, ale zdolnych jeszcze do ucieczki. Z

zamku wyłonili się pozostali uczestnicy polowania:

Robert, sir George i Henry. Jay spojrzął na Roberta, ale starszy brat unikał jego wzroku. Ojciec skinął

mu obojętnie głową, zupełnie jakby zapomniał o

wypadkach poprzedniego wieczoru. Pod wschodnim murem zamku gajowi ustawili ćwiczebny cel - atrapę

jelenia, wyciosaną z drewna i obciążoną płótnem.

Myśliwi mieli oddać do niego po kilka strzałów dla

wprawienia oka. Jay był ciekaw, czy Lizzie potrafi dobrze strzelać. Wśród mężczyzn przeważała opinia,

że kobiety nie mogą celnie strzelać. Jedni twierdzili, że mają zbyt wątle ramiona, by utrzymać ciężką

strzelbę, inni, że zatraciły instynkt zabijania - argumentów tego typu było bez liku. Zaraz się okaże,

na ile prawdziwe są te opinie, pomyślał. Na początek strzelali z odległości pięćdziesięciu jardów. Pierwsza złożyła się Lizzie i zaliczyła bezbłędne trafienie tuż pod łopatkę. Jay i sir George powtórzyli tę sztukę. Wcześniej Robert i Henry przeszli kulami grzbiet zwierzęcia - takie strzały raniły tylko ofiarę, która mogła uciec i zdychała później w męczarniach. Następną serię strzałów oddano z siedemdziesięciu pięciu jardów. O dziwo, Lizzie znów popisała się idealnym trafieniem. Tak samo Jay. Sir George trafił w łeb, a Henry w zad. Robert zupełnie chybił, jego kula otarła się o kamienny mur warzywniaka, krzesząc iskry. Na koniec spróbowali swoich sił z odległości stu jardów, czyli granicy zasięgu rażenia ich broni. Ku osłupieniu wszystkich Lizzie znów trafiła bezbłędnie. Robert, sir George i Henry zgodnie spudłowali. Jay, który strzelał ostatni, postanowił, że nie będzie gorszy od dziewczyny. Nie śpiesząc się i oddychając miarowo, złożył się precyzyjnie do strzału, potem wstrzymał oddech, pociągnął delikatnie za spust... i strzaskał zadnią nogę atrapy. Lizzie pobiła ich wszystkich na głowę. Jay nie mógł wyjść z podziwu.

- Wstąpić do mojego regimentu to pewnie nie zechcesz? zażartował. - Niewielu moich ludzi potrafi tak strzelać. Chłopcy stajenni przyprowadzili kuce. Te małe górskie koniki czuły się na bezdrożach pewniej od dużych wierzchowców. Myśliwi dosiedli ich i wyjechali z dziedzińca. Gdy zjeżdżali truchtem w dolinę, Henry Drome wciągnął Lizzie w

pogawędkę. Jay, pozostawiony samemu sobie, zaczął mimowolnie rozpamiętywać na nowo odtrącenie, jakie spotkało go ze strony ojca. Palilo go to jak wrzód w żołądku. Przekonywał sam siebie, że powinien był się spodziewać odmowy, gdyż ojciec zawsze faworyzował Roberta. Mimo to jednak podsycił w sobie naiwny optymizm, pokrzepiając się myślą, że przecież nie jest bękartem, jego matką jest lady Jamisson; wmawiał sobie, że tym razem ojciec na pewno postąpi sprawiedliwie, choć sir George nigdy tak nie postępował. Gorąco pragnął być jedynakiem. Marzył o śmierci Roberta. Jeśli dziś przydarzyłby się jego bratu jakiś wypadek, oznaczałoby to dla Jaya kres zmartwień. Gdyby tylko starczyło mu zimnej krwi, by zabić brata... Dotknął lufy przewieszanej przez ramię strzelby. Mógłby upozorować nieszczęśliwy wypadek. Jeśli wszyscy wystrzelą jednocześnie, trudno będzie wskazać winnego. Zresztą kiedy nawet prawda wyjdzie na jaw, rodzina ją zatuszuje - nikomu nie zależało na skandalu. Myśl o zabiciu brata przeniknęła Jaya dreszczem grozy. Ale przecież nie przyszłoby mi to nawet do głowy, gdyby ojciec postąpił ze mną należycie, usprawiedliwił się w duchu. Siedziba Jamissonów nie różniła się od większości małych szkockich posiadłości. W dolinach znajdowało się niewiele gruntów rolnych, które uprawiali kolektywnie zagrodnicy, stosując archaiczny system wstęgowy i uiszczając dziedzicowi opłatę dzierżawną w naturze. Większość tych

terenów zajmowały porośnięte góry, nadające się właściwie tylko do polowań i łowienia ryb. Kilku posiadaczy ziemskich karczowało lasy i eksperymentowało z hodowlą owiec. Trudno się było wzbogacić gospodarując na szkockiej posiadłości, o ile oczywiście nie odkryło się w niej węgla. Gdy ujechali jakieś trzy mile, gajowi dostrzegli stado dwudziestu kilku łań pasących się milę przed nimi na południowym zboczu, ponad linią drzew. Grupa myśliwych zatrzymała się i Jay wyciągnął lunetę. Zachodzili pod wiatr, a ponieważ łanie pasły się zawsze zwrócone łbami w stronę, z której wiał wiatr, Jay widział przez lunetę tylko ich białe zady. Mięso łań było bardzo smaczne, ale częściej strzelało się do byków dla ich efektownych poroży. Jay jął przepatrywać systematycznie stok ponad stadem. Dostrzegł tam w końcu to, co miał nadzieję zobaczyć, i pokazał swoim towarzyszom.

- Spójrzcie! Dwa byki... Nie, trzy... zaraz nad samicami. - Tak, tak, tuż nad pierwszą granią! - zawołała Lizzie. - Jest i czwarty, widać tylko jego rogi. Twarz miała zarumienioną z emocji, co czyniło ją jeszcze piękniejszą. Nareszcie była w swoim żywiole: wśród koni, psów i strzelb. Oglądając się na nią przez ramię, Jay nie mógł powstrzymać uśmiechu. Poprawił się niespokojnie w siodle. Sam jej widok wystarczał, by mężczyźnie zaczęła szybciej krążyć krew w żyłach. Spojrzał na brata. Widać było, że Robert, wyruszając na tę myśliwską wyprawę w tak mroźną pogodę, czuje się nieswojo.

Pewnie wolałby siedzieć teraz w ciepłym kantorku, pomyślał Jay, i obliczać skrupulatnie odsetki od osiemdziesięciu dziewięciu gwinei oprocentowanych na trzy i pół punkta rocznie. Szkoda dla niego takiej dziewczyny jak Lizzie, pomyślał. Odwrócił wzrok i usiłował skoncentrować się na zwierzynie.

Zlustrował lunetą zbocze, szukając jakiegoś szlaku, którym można byłoby podejść do jeleni pod wiatr, aby zwierzęta nie zwęszyły w powietrzu ich woni.

Najlepiej byłoby podkraść się do nich od góry. Jak wykazał już sprawdzian celności, ustrzelenie jelenia z odległości około stu jardów graniczyło niemal z cudem, optymalnym dystansem było pięćdziesiąt jardów; tak więc cała sztuka sprowadzała się do podkradnięcia na odległość umożliwiającą celny strzał. Lizzie miała już pomysł, jak podejść stado.

- Ćwierć mili za nami jest żleb, wyżłobiony przez spływający z góry potok - powiedziała z ożywieniem.

- Możemy wspiąć się nim na samą grań, a potem zacząć z niej schodzić. Sir George zaaprobował tę propozycję. Nieczęsto godził się, by nim dyrygowano, ale jeśli już komuś na to przyzwał, to zazwyczaj ładnej dziewczynie. Cofnęli się do żlebu, zsiadli z kuców i ruszyli pieszo pod górę. Zbocze było strome, błotniste i usiane głazami, toteż co chwila grzęzli w ziemi lub potykali się o kamienie. Robert i Henry zaczęli niebawem ciężko dyszeć, chociaż ani Lizzie, ani gajowi, nawykli do poruszania się w takim terenie, nie okazywali żadnych oznak zmęczenia. Sir George poczerwieniał na twarzy i z trudem łapał

oddech, ale trzymał się nad podziw dobrze i nie zwalniał kroku. Jay, dzięki twardej szkole, jaką przechodził na co dzień w gwardii, był w niezłej formie, ale i jemu po pewnym czasie zaczęło brakować tchu. Przeszli na drugą stronę grani. Osłonięci przez nią i niewidoczni dla zwierzyny, kontynuowali marsz trawersując zbocze. Zimny wiatr chłostał ich deszczem i śniegiem, a w powietrzu wirowały kłęby marznącej mgły. Jay, któremu brakowało ciepła końskiego ciała, zaczął odczuwać chłód. Jego cienkie rękawiczki przemokły na wskroś; wilgocią przesiąkły mu również buty i skarpety z szetlandzkiej wełny. Gajowi posuwali się przodem, badając teren. Uznawszy, że są już blisko byków, zaczęli schodzić ostrożnie zboczem. Nagle padli na kolana i reszta myśliwych poszła za ich przykładem. Jay zapomniał o zimnie i wilgoci, ożywił się pod wpływem emocji wywołanej perspektywą rychłego rozlewu krwi. Podpełził na czworakach pod górę i wyjrzał znad skałki. Gdy jego oczy dostroiły się do odległości, ujrzał byki - cztery brązowe plamy na zielonym stoku. Widok czterech jeleni obok siebie nie należał do powszednich - zapewne znalazły sobie w tym miejscu jakąś wyjątkowo bujną kępę trawy. Podniósł do oka lunetę. Zwierzę oddalone najbardziej miało najokazalszy łeb; poroża nie było widać zbyt dokładnie, ale na pewno liczyło sobie ze dwanaście odnóg. W górze rozległo się krakanie; uniósłszy głowę, Jay dojrzał dwa kruki kołujące nad myśliwymi, jakby przeczuwały, że wkrótce będzie się

tu można pożywić. Z przodu ktoś krzyknął i zaklął: był to Robert, który poślizgnął się i runął w kałużę błota. "Przeklęty dureń", syknął pod nosem Jay. Jeden z psów zawarczał cicho. Gajowy uniósł ostrzegawczo rękę i wszyscy zastygli w bezruchu, nasłuchując, czy nie rozlegnie się tętent pierzchających zwierząt. Ale jelenie nie rzuciły się do ucieczki, więc po kilku chwilach grupa myśliwych pełzła już dalej. Zaraz jednak gajowy dał sygnał, że muszą czołgać się tuż przy ziemi. Jeden z nich kazał psom warować i zasłonił im oczy chustkami, żeby leżały spokojnie. Sir George i prowadzący pochód gajowy ześliznęli się po zboczu do grani i wychyliwszy ostrożnie głowy wyjrzeli sponad niej, by ocenić sytuację. Kiedy wrócili do reszty, sir George wydał dyspozycje co do dalszego przebiegu polowania.

- Są cztery byki, a mamy pięć strzelb, więc tym razem ja nie będę strzelał, chyba żeby któreś z was chybiło - oznajmił przyciszonym głosem. Kiedy chciał, potrafił wcielić się w rolę uprzejmego gospodarza. - Henry, ty bierzesz byka po prawej. Ty, Robercie, tego obok... jest najbliżej, to najłatwiejszy strzał. Ty, Jay, następnego. Panno Hallim, dla pani pozostaje ten najdalszy, ale za to z najokazalszym porożem...Wszystko jasne? No to idziemy na pozycje. Pannie Hallim pozwolimy strzelać pierwszej, zgoda? Myśliwi rozproszyli się po śliskim zboczu, szukając sobie jak najdogodniejszych stanowisk strzeleckich. Jay czołgał się za Lizzie.

Miała na sobie krótką kurtkę do jazdy konnej i spódnicę bez halki. Uśmiechał się obserwując, jak kręci swoim kształtnym tyłeczkiem. Niewiele dziewcząt zgodziłoby się tak czołgać przed mężczyzną - ale Lizzie była inna niż wszystkie. Podpełził pod górę do miejsca, gdzie karłowate krzaki zapewniały mu dodatkową osłonę, a potem uniósł głowę i spojrzał w dół. W odległości około siedemdziesięciu jardów dostrzegł jak na dłoni swojego byka, młodego samca z niezbyt imponującym porożem, i trzy pozostałe pasące się na stoku. Widział stąd również resztę myśliwych: po lewej Lizzie, która wciąż się jeszcze czołgała; daleko po prawej Henry'ego; trochę bliżej sir George'a i gajowych z psami - oraz, również po prawej i trochę poniżej, w odległości jakichś dwudziestu pięciu jardów, Roberta, stanowiącego łatwy cel. Naszła go znowu pokusa zastrzelenia brata. Przypomniała się mu przypowieść o Kainie i Ablu. Kain powiedział: "Zbyt wielka jest kara moja, abym mógł ją znieść". Ale ja już od dawna tak się czuję, pomyślał Jay. Nie mógł znieść roli odtrąconego drugiego syna pomijanego we wszystkim, dryfującego przez życie bez żadnego legatu, biednego syna bogatego człowieka. Z wysiłkiem wyrzucił tę diabelską myśl z głowy i zajął się przygotowywaniem strzelby do strzału. Podsypał prochu na panewkę, zatrzasnął jej pokrywę i odciągnął kurek zamka. Kiedy naciśnie cyngiel, pokrywa panewki uniesie się automatycznie i równocześnie krzemień skrzese iskrę. Nastąpi

zapłon prochu na panewce, płomień tryśnie przez otwór zapalowy i spowoduje wybuch prochu w lufie za kulą. Przekręcił się na bok i spojrzał na stok. Jelenie skubały spokojnie trawę, niczego nie przeczuwając. Oprócz Lizzie, która nadal się czołgała, wszyscy myśliwi pozajmowali już stanowiska. Jay wziął na cel swojego byka, a potem jął przesuwac powoli lufę, dopóki na jej przedłużeniu nie ujrzał pleców Roberta. Mógłby powiedzieć, że w krytycznym momencie łokieć mu się omsknął na oblodzonej ziemi, kula poszła w bok i tragicznym zrzędzeniem losu ugodziła brata w plecy. Ojciec może powziąłby jakieś podejrzenia - ale pewności nigdy by nie miał, a skoro pozostałby mu już tylko jeden syn, czyż nie stłumiłby swoich podejrzeń i nie dał Jayowi wszystkiego, co wcześniej przeznaczył dla Roberta? Huk strzelby Lizzie miał być dla wszystkich sygnałem do otwarcia ognia. Jay wiedział, że jelenie reaguja z zadziwiającą opieszalością. Po pierwszym wystrzale przestaja skubać trawę, unoszą lby i zastygaja w bezruchu, stoją tak kilka sekund a potem jeden z nich porusza się i po chwili wszystkie odwracaja się jak na komendę i z tętentem kopyt rzucaja do ucieczki, pozostawiając na ziemi martwych i zranionych towarzyszy. Jay przesunął powoli strzelbę do poprzedniej pozycji, biorąc z powrotem na muszkę swojego byka. Nie, nie zabije brata. Byłby to czyn niewyobrażalnie nikczemny. Wyrzuty sumienia mogłyby go potem dręczyć przez resztę życia. Ale

jeśli się teraz pohamuje, to czy nie będzie tego potem żałował? Kiedy ojciec znowu go upokorzy, faworyzując starszego syna - czy nie będzie zgrzytał zębami i z całego serca żałował, że nie rozwiązał problemu, mając po temu okazję? Przesunął lufę, ponownie biorąc na cel Roberta. Ojciec żywił respekt dla siły, zdecydowania i bezwzględności. Nawet gdyby się domyślił, że ten fatalny strzał oddany został z rozmysłem, musiałby uświadomić sobie wreszcie, że Jay jest już mężczyzną, i to mężczyzną, którego nie wolno lekceważyć. Ta myśl pomogła mu podjąć decyzję. Sir George był człowiekiem bezkompromisowym: każdą formę występku tępił z brutalnością i okrucieństwem. Piastując godność londyńskiego sędziego pokoju, posłał już dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci na szubienicę. Skoro można było skazać dziecko na powieszenie za kradzież bochenka chleba, pomyślał Jay, to cóż złego w zlikwidowaniu Roberta, który ukradł mu ojcowiznę? Lizzie zwlekała. Jay starał się zapanować nad sobą, ale serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Korciło go, by zerknąć w stronę Lizzie, sprawdzić, czemu, u diabła, tak marudzi, ale powstrzymywała go obawa, że w tym właśnie momencie dziewczyna może zdecydować się na strzał, i straci okazję. Nie odrywał więc oczu i lufy strzelby od pleców Roberta i leżał napięty jak struna harfy. Mięśnie mu już omdlewały, ale nie ważył się poruszyć. Nie, to nie może być, myślał. Nie zamierzam przecież zabić własnego brata. A jednak go zabiję. Przysięgam. Szybciej,

Lizzie, błagam... - prosił bezgłośnie. Nagle kątem oka dostrzegł w pobliżu jakiś ruch. Zanim zdążył spojrzeć w tamtą stronę, huknęła strzelba Lizzie. Byki zamarły. Jay, mierząc wciąż w plecy Roberta, tuż pod łopatki, nacisnął język spustu. W tej samej chwili nad głową zamajaczył mu jakiś zwalisty kształt i usłyszał krzyk ojca. Padły jeden po drugim dwa kolejne strzały: to Robert z Henrym. W momencie, kiedy wypalała strzelba Jaya, jej lufę podbiła czyjaś ciężko obuta stopa. Kula, nie czyniąc żadnej szkody, poszybowała w niebo. Strach i poczucie winy ścisnęły Jayowi serce; podniósł wzrok i zobaczył rozwścieczoną twarz sir George'a.

- Ty zwyrodniały, nędzny bękarcie - wycedził ojciec.

Dzień spędzony na świeżym powietrzu sprawił, że Lizzie poczuła się senna i wkrótce po kolacji oznajmiła, że idzie się położyć. Roberta nie było akurat w salonie, więc Jay zerwał się skwapliwie z fotela, by odprowadzić ją na górę i oświetlić drogę lichtarzem. Kiedy wstępowali po kamiennych schodach, powiedział cicho:

- Jeśli chcesz, zabiorę cię do kopalni. Senność przeszła Lizzie jak ręką odjął.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Ja nie rzucam słów na wiatr. -

Uśmiechnął się. - Starczy ci odwagi? Lizzie aż dygotała z podniecenia.

- Oczywiście! - zapewniła go żarliwie. Oto mężczyzna pokrewny mi duszą, pomyślała. - Kiedy? - spytała.

- Dzisiaj wieczorem. Rębacze rozpoczynają szychcę o północy, a tragarze jakąś godzinę czy dwie później.
- Dlaczego pracują nocami? - zdumiała się Lizzie.
- We dnie również pracują.
- To znaczy, że oni tylko pracują i śpią!
- Im mniej mają czasu wolnego, tym mniej durnych myśli lęgnie im się w głowach. Lizzie poczuła wyrzuty sumienia.
- Większość życia spędziłam w sąsiedniej dolinie, ale nie miałam pojęcia, że oni tu tak ciężko pracują - powiedziała.
- Bądź gotowa o północy - mruknął Jay. - Znowu będziesz musiała się przebrać za mężczyznę. Masz jeszcze ten strój?
- Mam.
- Wymknij się kuchennymi drzwiami... dopilnuję, żeby były otwarte... i spotkamy się na stajennym majdanie. Osiodłam dwa konie i będę tam na ciebie czekał.
- Wspaniale! - zawołała podekscytowana Lizzie. Jay wręczył jej lichtarz ze świecą.
- A więc do północy - powiedział. Lizzie weszła do swojej sypialni. Zauważyła, że Jay odzyskał humor. Dzisiaj przed południem znowu miał jakąś scysję z ojcem, tam na górskim zboczu. Nikt nie wiedział, co właściwie między nimi zaszło - uwagę wszystkich zaprzętało wypatrywanie zwierzyny - w każdym razie Jay chybił, strzelając do jelenia, a sir George był biały jak papier z wściekłości. Jednak kłótnia, o cokolwiek w niej poszło, szybko się w ogólnym

rozgardiaszu wypaliła. Lizzie położyła wyznaczonego jej rogacza jednym strzałem. Robert i Henry zranili swoje. Jeleń Roberta przebiegł jeszcze kilka jardów, zanim padł, i Robert dobił go drugim strzałem, ale jeleń Henry'ego uciekł i dopiero psy dopadły go i powaliły. Wszyscy jednak mieli świadomość, że wydarzyło się coś nieprzyjemnego, a Jay milczał przez resztę dnia - dopiero teraz ożywił się i znowu był taki jak zawsze. Lizzie ściągnęła suknię i halki, zzuła pantofelki, owinęła się w koc i usiadła przed ogniem płonącym na kominku. Jakiż wspaniały towarzysz z tego Jaya, pomyślała. Jest żądny przygód tak samo jak ona. I jest też przystojny: wysoki, dobrze ubrany, zbudowany jak atleta, z grzywą falujących jasnych włosów. Nie mogła się już doczekać północy. Nagle rozległo się pukanie do drzwi i do sypialni weszła matka. Lizzie pomyślała w popłochu, czy nie zajrzała tu na dłuższą pogawędkę. Ale nie było jeszcze jedenastej: do północy zostało mnóstwo czasu. Matka była w szubie; każdy wkładał na siebie coś ciepłego, kiedy chciał przejść korytarzami Jamisson Castle z jednej komnaty do innej. Kiedy weszła do pokoju, zdjęła ją. Pod spodem miała tylko nocną koszulę, na którą zarzuciła szal. Usiadła przy córce, rozpuściła jej włosy i zaczęła je rozczesywać. Lizzie przymknęła oczy i rozluźniła się. W takich momentach wracała zawsze myślami do dzieciństwa.

- Musisz mi obiecać, że nie przebierzesz się więcej za mężczyznę - odezwała się lady Hallim. Lizzie

zdrętwiała i pomyślała, że matka być może podsłuchiwała jej rozmowę z Jayem. Będzie musiała zachować ostrożność: matka miała zadziwiający dar przewidywania planowanych przez córkę wyskoków.

- Jesteś już za dorosła na takie brewerie.

- Sir George był szczerze ubawiony! - zaprotestowała Lizzie.

- Być może, ale to nie jest sposób na zdobycie męża.

- Robert wyraźnie daje do zrozumienia, że mu odpowiadam.

- Tak, ale musisz mu stworzyć warunki do zalotów! Wczoraj, w drodze do kościoła, wysforowaliście się z Jayem do przodu, zostawiając Roberta samego. Dziś wieczorem znowu zdecydowałaś się opuścić towarzystwo, kiedy Roberta nie było w salonie, stracił więc okazję do odprowadzenia cię na górę. Lizzie obserwowała odbicie matki w lustrze. Wyraz jej twarzy zdradzał determinację. Lizzie kochała matkę i bardzo chciałaby jej dogodzić, ale nie potrafiła być córką, jakiej lady Hallim pragnęła. To było wbrew jej naturze.

- Przepraszam, mamó - powiedziała. - Czasem zapominam o takich sprawach.

- Czy... czy Robert ci się podoba?

- Przyjmę jego oświadczyzny, jeśli nie będzie innego wyjścia. Lady Hallim odłożyła szczotkę do włosów i usiadła naprzeciw Lizzie.

- Moja droga, my nie mamy innego wyjścia.

- Ale przecież nie tylko teraz brakowało nam pieniędzy.

- To prawda. Wiązałam koniec z końcem zaciągając pożyczki i obciążając hipotekę naszych dóbr, i żyjąc prawie cały czas tutaj, gdzie mogłyśmy jeść własną dziczyznę i donaszać ubrania, dopóki się do szczytu nie poprzecierały. Lizzie ponownie ogarnęło poczucie winy. Matka, wydając pieniądze, robiła to zawsze z myślą o niej, nigdy o sobie. - Więc żyjmy tak dalej - powiedziała. - Mnie do stołu może podawać kucharka, a pokojówką chętnie się z tobą podzielę. Podoba mi się życie tutaj... wolę spędzać czas spacerując po High Glen, niż robiąc zakupy na Bond Street.

- Przecież wiesz, że pożyczać można tylko do czasu. Nikt nie da nam już kredytu.

- No to będziemy żyły z opłat wnoszonych przez zagrodników. Możemy zrezygnować z naszych wypraw do Londynu i nie będziemy nawet jeździły na bale do Edynburga. Na obiady nie będziemy zapraszały nikogo prócz pastora. Będziemy żyły jak zakonnice, jak rok długi stroniąc od towarzystwa.

- Obawiam się, że nawet takie wyrzeczenia nic nie pomogą. Wierzyciele grożą zajęciem Hallim House i całej posiadłości. Lizzie patrzyła na matkę wstrząśnięta.

- Nie mogą tego zrobić!

- Owszem, mogą. Takie jest prawo hipoteczne.

- Kim są ci wierzyciele?

- Cóż - odparła wymijająco matka - pożyczki załatwiał mi prawnik twojego ojca, ale nie wiem dokładnie, kto wykladał pieniądze. Nie w tym jednak

rzecz. Najważniejsze, że pożyczkodawca żąda zwrotu pieniędzy... Jeżeli ich nie zwrócimy, dokona zajęcia.

- Mamo... naprawdę możemy stracić nasz dom?

- Nie, moja droga, nie stracimy go, jeśli poślubisz Roberta. - Rozumiem - szepnęła Lizzie. Zegar na stojącym majdanie wybił jedenastą. Matka wstała i pocałowała ją.

- Dobranoc, moja droga. Śpij dobrze.

- Dobranoc, mamo. Lizzie wpatrywała się w zadumie w ogień. Od lat oswajała się z myślą, że jej przeznaczeniem jest ratować rodzinny majątek poprzez poślubienie zamożnego mężczyzny, i Robert był chyba tak samo dobry jak każdy inny. Do tej pory nie zastanawiała się nad tym: nigdy nie martwiła się na zapas. Ale perspektywa wyjścia za Roberta zaczęła ją nagle przerażać. Na samą myśl o tym odczuwała niesmak, jakby połknęła coś obrzydliwego. Cóż jednak miała począć? Nie mogła przecież pozwolić, by wierzyciele wyrzucili je z rodzinnego domu! Co by wtedy zrobiły? W wyobraźni ujrzała siebie i matkę w zimnych wynajętych izbach jakiejś edynburskiej kamienicy czynszowej, piszące błagalne listy do dalekich krewnych i zarabiające marne pensy szyciem, i przeszedł ją dreszcz przerażenia. Lepiej już wyjść za tego nijakiego Roberta. Czy jednak potrafi się przemóc? Ilekroć planowała zrobić coś nieprzyjemnego, ale koniecznego, na przykład zastrzelić chorego psa albo wybrać się do sklepu po materiał na suknię, w ostatniej chwili wycofywała

się. Spięła niesforne włosy, po czym przebrała się w strój, który miała na sobie poprzedniego dnia: bryczesy, buty do konnej jazdy, płócienną koszulę i płaszcz, na głowę zaś założyła męski trójgraniasty kapelusz i umocowała go szpilką. Następnie przyczerniła sobie policzki sadzą z komina, ale tym razem zrezygnowała z trefionej peruki. Dla ochrony przed zimnem włożyła futrzane rękawice, które skrywały jej delikatne dłonie, a na plecy zarzuciła kraciasty koc, poszerzający optycznie ramiona. Kiedy usłyszała, jak zegar wybija północ, wzięła świecę i zeszła na dół. Z niepokojem zadawała sobie w duchu pytanie, czy Jay dotrzyma słowa. Coś mogło mu przecież stanąć na przeszkodzie, niewykluczone też, że zmorzył go sen. Jednak drzwi kuchenne zastała nie zaryglowane, tak jak to zapowiedział; wślizgnąwszy się na stajenny majdan, z ulgą stwierdziła, że czeka tam już z dwoma kucykami, przemawiając do nich cicho, żeby stały spokojnie. Uśmiechnął się na jej widok i Lizzie od razu cieplej zrobiło się na sercu. Bez słowa wręczył jej cugle mniejszego konia, po czym ruszył przodem ścieżką prowadzącą na tyły majdanu, unikając głównej alei, na którą wychodziły okna sypialni. Kiedy dotarli do drogi, odwinął ze szmaty latarnię. Dosiedli kucyków i ruszyli kłusem.

- Bałem się już, że nie przyjdiesz - powiedział Jay.

- A ja się bałam, że zasnęłam czekając - odparła i oboje się roześmieli. Wjechali na górski stok, kierując się w stronę szybów.

- Znowu klóciłeś się z ojcem po południu? - spytała Lizzie. Nie pośpieszył z wyjaśnieniami, ale ciekawość Lizzie nie potrzebowała zachęty.

- O co? - spytała. Choć nie widziała jego twarzy, wyczuła, że nie przypadła mu do gustu jej dociekliwość. Mimo to odparł dosyć swobodnym tonem: - O to, co zawsze... o mojego brata, Roberta.

- Zauważyłam, że jesteś przez ojca źle traktowany... ale nie wiem, czy to dla ciebie jakaś pociecha.

- Owszem... dziękuję - powiedział i trochę się jakby odprężył. W miarę jak zbliżali się do szybów, ciekawość Lizzie rosła. Zaczęła sobie wyobrażać, jak też może wyglądać kopalnia i dlaczego McAsh mówił, że to coś w rodzaju piekielnej dziury. Czy będzie tam straszliwie gorąco, czy wręcz przeciwnie, lodowato? Czy pracujący na dole mężczyźni warczą jeden na drugiego i skaczą sobie do gardeł jak zamknięte w klatce dzikie koty? Uświadomiła sobie, że ogarnia ją coraz większy lęk. Ale cokolwiek się wydarzy, pomyślała, dowiem się wreszcie, jak tam naprawdę jest - McAsh nie będzie mi już mógł zarzucić ignorancji. Po półgodzinie jazdy minęli małą hałdę węgla.

- Kto tam? - burknął ktoś i w krąg światła padającego z latarni Jay a wszedł gajowy z rwącym się do ataku ogarem na smyczy. Gajowi mieli za zadanie opiekować się dziką zwierzyną i chronić ją przed kłusownikami, ale ostatnio wielu z nich odkomenderowano do utrzymywania dyscypliny w

kopalniach i pilnowania węgla przed rozkradzeniem. Jay uniósł latarnię na wysokość twarzy.

- Och, proszę o wybaczenie, panie Jamisson - wykrztusił zaskoczony gajowy. Przejechali dalej. Miejsce, gdzie znajdował się wylot szybu, rozpoznać można było tylko po obracającym bębnie kieracie, wprawianym w ruch przez kłusującego w kółko konia. Kiedy się tam zbliżyli, Lizzie zobaczyła nawiniętą na bęben linę. Wyciągano na niej z dna szybu cebrzyki z wodą.

- W kopalni zawsze jest woda - wyjaśnił Jay. - Wycieka z ziemi. Stare drewniane cebrzyki przeciekały i grunt wokół wylotu szybu stanowił zdradliwą mieszankę błota z lodem. Przywiązali konie i ostrożnie podeszli na skraj szybu. Była to kwadratowa studnia sześć na sześć stóp, w głąb której prowadziły zakosami przylegające do ścian strome, drewniane schodki bez poręczy. Dna nie było widać. Lizzie przeżyła chwilę paniki.

- Jak tu głęboko? - spytała drżącym głosem.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, ten szyb ma dwieście dziesięć stóp - odparł Jay. Lizzie z trudem przełknęła ślinę. Gdyby się teraz wycofała, sir George i Robert mogliby powiedzieć: "A mówiłem, że to nie miejsce dla dam?" Tego by nie zniosła - wolała już zejść te dwieście stóp w tę straszliwą studnię.

- Na co czekamy? - spytała zuchowato, zaciskając szczękające zęby. Jeśli nawet Jay wyczuwał jej strach, nic nie powiedział. Zaczął zstępować

pierwszy, oświetlając stopnie, i Lizzie, z sercem podchodzącym do gardła, ruszyła za nim.

- Może położysz mi ręce na ramionach? -

zapropozował po kilku schodkach. - Łatwiej ci będzie utrzymywać równowagę. Lizzie z wdzięcznością skorzystała z tej propozycji. Schodzili coraz niżej, a woda z wjeżdżających środkiem szybu w górę rozkołysanych cebrzyków, zderzających się z już opróżnionymi, spuszczanymi na dół, ochlapywała ich lodowatymi rozbryzgami. Lizzie wyobraziła sobie mrozącą krew w żyłach scenę, kiedy to potknąwszy się na stopniu ześlizguje się w czarną czeluść, spada koziółkując i obijając się po drodze o cebrzyki i roztrzaskuje się o dno. Po jakimś czasie Jay dał jej trochę odetchnąć. Chociaż uważała się za silną i wysportowaną, bolały ją już nogi i dyszała ciężko. Żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zmęczona, podjęła konwersację:

- Widzę, że dużo wiesz o kopalniach... skąd się w nich bierze woda, jak głęboki jest szyb, i w ogóle.

- Węgiel to stały temat rozmów w naszej rodzinie - odparł. - Z niego czerpiemy największe zyski. Jakieś sześć lat temu spędziłem na dole całe lato z nadzorcą, Harrym Ratchettem. Matka zdecydowała, że muszę poznać ten interes od podszewki, w nadziei że pewnego dnia ojciec będzie chciał, bym go poprowadził. Ale złudne to były nadzieje. Lizzie zrobiło się go żal. Ruszyli dalej. Po kilku minutach schody zakończyły się pomostem, z którego wiodła droga do dwóch tuneli. Poniżej poziomu tuneli szyb

był wypełniony wodą. Wybierano ją bez przerwy cebrzykami, ale ubytek natychmiast uzupełniany był wodą ściekającą rowkami drenażowymi z tuneli. Lizzie patrzyła w ciemności zalegające w tunelach z sercem przepelnionym ciekawością i lękiem. Jay wszedł do jednego z tuneli, odwrócił się i podał Lizzie rękę. Dłoń miał silną i suchą. Kiedy stanęła obok niego, uniósł jej rękę do ust i pocałował. Ten przejaw szarmanckości bardzo ją ujął. Odwracając się, by ruszyć przodem, nadal nie wypuszczał jej ręki z dłoni. Lizzie nie była pewna, jak to rozumieć, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Całą uwagę musiała koncentrować na wypatrywaniu drogi pod nogami. Brnęli poprzez unoszący się w powietrzu gęsty węglowy pył, którego smak czuła w ustach. Strop był miejscami tak niski, że musiała się schylać. Czowała, że ma przed sobą bardzo nieprzyjemną noc. Po obu stronach chodnika paliły się świece umieszczone w przerwach pomiędzy szerokimi kolumnami, wywołując skojarzenia z nocnym nabożeństwem w jakiejś wielkiej katedrze. - Każdy górnik - odezwał się Jay - pracuje na dwunastostopowym odcinku węglowej ściany zwanym "niszą". Pomiedzy sąsiadującymi ze sobą niszami pozostawiana jest węglowa kolumna o przekroju szesnastu stóp kwadratowych, na której wspiera się strop. Lizzie uświadomiła sobie w pewnym momencie, że ma nad głową warstwę ziemi i skał o grubości dwustu dziesięciu stóp, która może na nią runąć, jeśli górnicy nie wykonali należycie

swojej pracy, i z trudem stłumiła uczucie paniki. Mimowolnie mocniej ścisnęła dłoń Jaya, a on odwzajemnił ten uścisk. Pierwsze nisze, jakie mijali, były puste, prawdopodobnie wyrobione, ale po chwili Jay zatrzymał się przed niszą, w której pracował jakiś mężczyzna. Ku zdumieniu Lizzie człowiek ten nie wyrąbywał węgla stojąc, lecz leżąc na boku. Wgryzał się w ścianę węgla z poziomu podłogi. Świeca w drewnianym uchwycie przy jego głowie rzuciła rozchwiane światło. Pomimo niewygodnej pozycji górnika ostrze kilofa z każdym uderzeniem grzęzło głęboko w węglu i odłupywało czarne kęsy. Mężczyzna wyrąbywał głębokie na mniej więcej trzy stopy podcięcie ciągnące się przez całą szerokość jego niszy. Lizzie z przerażeniem zauważyła, że górnik leży w wodzie, która sączy się z węglowej ściany, spływa podłogą niszy i wpada do biegnącego chodnikiem rowka drenażowego. Zanurzyła w rowku końce palców. Woda była lodowato zimna. Wzdrygnęła się. A przecież mężczyzna zrzucił z siebie kurtkę i koszulę i pracował w samych bryczesach, nagi do pasa i bosy; dostrzegła lśnienie potu na jego uczernionych barkach. Chodnik nie biegł poziomo, lecz to się wznosił, to opadał - podążając zapewne śladem żyły węgla. W pewnym momencie zaczął się wznosić bardziej stromo. Jay zatrzymał się i wskazał na górnika przed nimi, odprawiającego jakieś misterium ze świecą.

- Sprawdza, czy w powietrzu nie ma gazu kopalnianego - wyjaśnił. Lizzie puściła jego dłoń i

przysiadła na kamieniu, żeby rozprostować zesztywniałe od ciągłego garbienia się plecy.

- Dobrze się czujesz? - spytał Jay.

- Doskonale. Co to jest gaz kopalniany?

- Gaz palny.

- Palny?

- Tak. To on jest przyczyną większości wybuchów w kopalniach.

- Jeśli jest wybuchowy, to dlaczego ten człowiek używa świecy?

- Tylko w ten sposób można wykryć obecność gazu... nie da się go zobaczyć ani wywęszyć. Górnik unosił powoli świecę ku stropowi i wpatrywał się z napięciem w jej płomyk.

- Gaz kopalniany jest lżejszy od powietrza, więc zbiera się pod samym stropem - ciągnął Jay. - W małym stężeniu zabarwi płomyk świecy na niebiesko.

- A jeśli stężenie będzie duże?

- Nastąpi wybuch i znajdziemy się wszyscy w królestwie, które nie jest z tego świata. Lizzie pomyślała, że tego już za wiele. Była nieludzko brudna i wyczerpana, w zębach chrząścił jej węglowy pył, a teraz doszła jeszcze groźba rozerwania przez eksplozję. Nakazała sobie jednak zachowanie spokoju. Wiedziała, że kopalnia to niebezpieczne miejsce, zanim jeszcze tu zeszła, więc teraz musi opanować rozdygotane nerwy. Górnicy schodzili pod ziemię co noc, a ona miała spędzić tu tylko jedną. Przez chwilę obserwowali w milczeniu człowieka ze świecą. Przesuwał się powoli w górę

chodnika i co kilka kroków powtarzał próbę. Lizzie postanowiła, że nie okaże strachu. - A jeśli on wykryje ten gaz kopalniany, to co wtedy? spytała starając się, by jej głos zabrzmiał normalnie. - Jak się go pozbywacie?

- Podpalamy go. Lizzie przełknęła z trudem ślinę. To się stawało coraz mniej zabawne.

- Górnicy mają swojego ogniomistrza - ciągnął Jay. W tej sztolni jest nim chyba McAsh, ten młody mąciwoda. Funkcja ta przechodzi zazwyczaj z ojca na syna. Ogniomistrz jest ekspertem od gazu i wie, co w razie czego robić. Lizzie najchętniej odwróciłaby się teraz na pięcie, pobiegła tunelem do szybu i czym prędzej wdrapała po schodach na górę. Nie uczyniła tego tylko dlatego, że nie chciała się ośmieszyć w oczach Jaya. Ogarnięta przemożnym pragnieniem znalezienia się jak najdalej od miejsca, w którym przeprowadzano to obłąkańczo niebezpieczne sprawdzanie, wskazała na jakiś boczny chodnik i zapytała:

- A co tam jest? Jay wziął ją znowu za rękę.

- Chodź, zobaczymy. Dziwnie cicho w tej kopalni, przemknęło Lizzie przez myśl, kiedy ruszyli. Mało kto coś mówił: kilku mężczyzn miało pomocników, ale większość pracowała w pojedynkę, a nosiciele jeszcze nie rozpoczęli pracy. Szczęk kilofów i rumor odłupywanego węgla tłumili ściany i gruba warstwa pyłu pod nogami. Co jakiś czas przechodzili przez drzwi, które natychmiast zamykał za nimi mały chłopiec: te drzwi, jak wyjaśnił Jay, służyły do

kontrolowania obiegu powietrza w tunelach. Znaleźli się w zupełnie opustoszałej części chodnika. Jay zatrzymał się.

- Tu węgiel został chyba wyrobiony - powiedział, kołysząc latarnią. Drżący płomyk odbijał się w małych ślepkach szczurów kryjących się tuż poza kręgiem światła. Musiały się żywić resztkami posiłków przynoszonych do pracy przez górników. Lizzie zauważyła, że Jay ma twarz poczerniałą jak górnik: pył węglowy osiadał na wszystkim.

Uśmiechnęła się, bo zabawnie wyglądał.

- O co chodzi? - spytał.

- Całą twarz masz czarną! Uśmiechnął się i dotknął koniuszkiem palca jej policzka.

- A myślisz, że jaka jest twoja?

- Och, nie! - zawołała i parsknęła śmiechem.

- Ale mimo to nadal jesteś piękna - powiedział Jay i pocałował ją. Była zaskoczona, ale nie odsunęła się: podobało jej się to. Usta Jaya były twarde i suche i wyczuwała lekką szorstkość zarostu nad górną wargą. Kiedy cofnął głowę, zadała pierwsze pytanie, jakie przyszło jej na myśl:

- To po to mnie tu przyprowadziłeś?

- Uraziłem cię? Całowanie przez młodego mężczyznę damy, która nie była jego narzeczoną, z pewnością kłóciło się z zasadami obowiązującymi w dobrym towarzystwie. Wiedziała, że powinna okazać oburzenie - ale jej się to przecież podobało.

Powiedziała z zakłopotaniem:

- Może lepiej wróćmy, skąd przyszliśmy.

- Czy mogę trzymać cię za rękę?
- Możesz. Chyba go to usatysfakcjonowało. Ruszył przodem w drogę powrotną. Po chwili Lizzie zobaczyła kamień, na którym niedawno odpoczywała. Zatrzymali się, żeby popatrzeć na pracującego w niszy górnika. Lizzie pomyślała o pocałunku Jaya i poczuła dreszczyk podniecenia. Górnik wyrąbał już podcięcie na całą szerokość niszy i wbijał teraz kliny w ścianę trochę wyżej. Potężne mięśnie jego pleców wybrzuszały się i falowały, kiedy walił młotem. Węgiel, którego od dołu nic już nie podpierało, zarwał się w końcu pod własnym ciężarem i runął w dół. Górnik wyskoczył z niszy, bo świeżo odsłonięta warstwa węgla, przystosowując się do nowego rozkładu naprężeń, zatrzęszczała i poruszyła się. Zaczęli nadchodzić pierwsi tragarze ze świecami i drewnianymi szuflami i Lizzie przeżyła kolejny szok. Były to prawie same kobiety i młode dziewczyny. Nie pytała nigdy, czym wypełniają swój czas żony i córki górników. Nie przyszło jej nawet do głowy, że całe dnie i połowę nocy spędzają pracując pod ziemią. Tunele rozbrzmiały natychmiast gwarem ich rozmów i powietrze szybko ogrzało się do tego stopnia, że Lizzie musiała rozpiąć płaszcz. Z powodu mroku kobiety nie zauważyły gości i gawędziły dalej nieskrępowanie. Kiedy zbliżały się do Jaya i Lizzie, jakiś starszy mężczyzna wpadł na kobietę w ciąży.
- Nie płacz się, cholera, pod nogami, Sal - ofuknął ją szorstko.

- Sam się, cholera, nie płacz, ślepy kutasie - odparowała. - Kutas nie jest ślepy - rzuciła inna kobieta - ma jedno oczko! Wszystkie zaniosły się chrapliwym rechotem. Lizzie oniemiała. W jej świecie kobiety nigdy nie mówiły "cholera", a znaczenia słowa "kutas" mogła się tylko domyślać. Zdumiewało ją również to, że tym kobietom, zwlekającym się z łóżek o drugiej nad ranem, by przez piętnaście godzin pracować pod ziemią, w ogóle jest do śmiechu. Poczowała się dziwnie. Wszystko tutaj było tak bardzo fizyczne: ciemność, trzymanie Jaya za rękę, półnaczy górniczy wyrabujący węgiel, pocałunek Jaya i wulgarna krotocwilność kobiet - denerwująca, ale równocześnie podniecająca. Puls Lizzie bił szybciej, jej skóra się zaróżowiła, a serce łomotało, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Kobiety zabrały się do ładowania węgla szuflami do wielkich koszy i gwar ścichł.

- Czemu one muszą to robić? - spytała Lizzie spoglądając na Jaya.

- Górnikowi płaci się od wagi węgla, który dostarczy na nadszybie - odparł. - Gdyby musiał z tego opłacać tragarza, mniej by zarobił. Zatrudnia więc do noszenia żonę i dzieci, toteż dzięki temu pieniądze zostają w rodzinie. Wielkie kosze szybko się napępniały. Lizzie obserwowała z fascynacją, jak dwie kobiety uniosły jeden i zarzuciły go na schylone plecy trzeciej. Tamta aż stęknęła pod jego ciężarem. Nasunęła sobie na czoło taśmę zabezpieczającą kosz przed zsuwaniem się z pleców i zgięta we dwoje

ruszyła wolno chodnikiem. Lizzie nie chciało się wierzyć, że wtaszczy swoje brzemie po schodach na powierzchnię, do której było stąd dwieście stóp. - Czy ten kosz jest bardzo ciężki? - spytała. Usłyszał ją jeden z górników.

- To korf, paniczu - powiedział. - Mieści się w nim sto pięćdziesiąt funtów węgla. Chciałby się pan popробować z tym ciężarem?

- O, nie - odparł czym prędzej Jay, zanim Lizzie zdążyła otworzyć usta.

- To może z półkorfem? - nalegał górnik. - Takim, jaki dźwiga ta siusiumajtka? Zbliżała się właśnie do nich dziewczynka w wieku dziesięciu, może jedenastu lat, w workowatej sukience i w chustce na głowie. Była bosa i niosła na plecach kosz wypełniony węglem tylko do połowy. Lizzie zobaczyła, że Jay otwiera już usta, żeby odmówić, ale go ubiegła:

- Dobrze - powiedziała. - Spróbuję. Mężczyzna zatrzymał dziewczynkę i jedna z kobiet zdjęła jej korf z pleców. Zdyszane dziecko nic nie powiedziało, ale widać było, że jest zadowolone z tej chwili odpoczynku.

- Pochylcie się, panie - powiedział górnik. Lizzie posłuchała. Kobieta zarzuciła Lizzie korf na plecy. Chociaż przygotowała się na to, ciężar okazał się większy, niż oczekiwała, i nie zdołała go utrzymać nawet przez sekundę. Nogi się pod nią ugięły i byłaby upadła, ale górnik najwyraźniej się tego spodziewał, bo podtrzymał ją i poczuła, że kobieta zdejmuje jej

korf z pleców. Wiedzieli, że tak będzie, uświadomiła sobie Lizzie. Obserwujące tę scenkę kobiety wybuchnęły śmiechem, ubawione porażką młodego intruza. Pokryta odciskami dłoń górnika, który podtrzymał Lizzie, twarda jak końskie kopyto, ścisnęła przez płócienną koszulę jej pierś. Usłyszała zaskoczony chrząknięcie. Dłoń zacisnęła się jeszcze raz, jakby dla upewnienia - Lizzie piersi miała duże, często wydawało jej się, że zbyt duże - i w chwilę potem się z nich ześlizgnęła. Mężczyzna pomógł jej powrócić do pozycji stojącej i ujął ją za ramiona. Z uwalanej węglem twarzy patrzyły na nią zdumione oczy.

- Panna Hallim! - wyszeptał. Dopiero teraz rozpoznała w górniku Malachiego McAsha. Patrzyli sobie przez chwilę w oczy jak zahipnotyzowani, a kobiety zaśmiewały się do łez. Lizzie uprzytomniła sobie, że to przypadkowe dotknięcie bardzo ją podnieciło, i widziała, że na niego też tak podziałało. Chociaż Jay pocałował ją przedtem i trzymał za rękę, wydało jej się, że przez sekundę ten człowiek był jej bliższy niż wtedy Jay. Nagle ponad ogólną wrzawę wybił się ostry kobiecy głos:

- Mack, spójrz! Wołała go jakaś kobieta o usmolonej twarzy, trzymająca świecę pod samym stropem. McAsh zerknął w jej stronę, przeniósł wzrok z powrotem na Lizzie, a potem, z wyraźnym ociąganiem, jakby rozdrażniony, że nie doprowadził czegoś do końca, oderwał oczy od Lizzie i podszedł do tamtej kobiety. Popatrzył na płomyk świecy.

- Masz rację, Esther - stwierdził. Odwrócił się i ignorując Lizzie oraz Jaya oznajmił pozostałym: - Zebrało się tu trochę gazu kopalnianego. - Lizzie najchętniej rzuciłaby się do ucieczki, ale po McAshu nie było widać zaniepokojenia. - Za mało go, żeby ogłaszać alarm, w każdym razie jeszcze na to za wcześnie. Sprawdzimy w innych miejscach i zobaczymy, jak daleko się rozpełzł - dodał. Jego spokój wydał się Lizzie czymś niewiarygodnym. Co za ludzie z tych górników? Chociaż życie tak brutalnie ich doświadcza, dusze mają nieugięte. W porównaniu z ich egzystencją moja własna jest nijaka i bezproduktywna, pomyślała. Jay wziął Lizzie pod ramię.

- Chyba dosyć już się napatrzyliśmy, nie sądzisz? - mruknął jej do ucha. Lizzie nie oponowała. Jej ciekawość dawno już została zaspokojona. Od ciągłego garbienia się bolały ją plecy. Była zmęczona, brudna, wystraszona i chciała jak najszybciej znaleźć się na powierzchni. Ruszyli spieszenie chodnikiem w kierunku szybu. W kopalni było teraz rojno, przed nimi i za nimi sunął sznur kobiettragarzy. Kobiety, żeby zyskać większą swobodę ruchów, podkasały spódnice ponad kolana, a świece trzymały w zębach. Szły powoli, uginając się pod ogromnymi brzemionami. Lizzie dostrzegła mężczyznę, który bez skrępowania, na oczach dziesiątek kobiet i dziewcząt, załatwiał się do rowka drenazowego. Nie mógł sobie znaleźć jakiegoś ustronnego kąta? - oburzyła się w duchu, lecz zaraz

uświadomiła sobie, że tu, na dole, nie ma się gdzie skryć. Dotarli do szybu i wstąpili na schody.

Kobietytragarze wchodziły po nich na czworakach, jak małe dzieci: tak było im wygodniej, ponieważ szły pochylone. Wchodziły równym tempem. Już nie rozmawiały ani się nie przekomarzały: sapały ciężko i postękiwały pod przytłaczającymi je ciężarami. Po kilku minutach wspinaczki Lizzie doszła do wniosku, że musi odpocząć, ale kobiety z korfami nie przystawały. Kiedy obserwowała mijające ją małe dziewczynki z koszami na plecach, niektóre płaczące z bólu i wyczerpania, poczuła się upokorzona i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Co chwila jakieś dziecko zwalniało albo zatrzymywało się, ale zaraz ruszało dalej, popędzone przekleństwem lub brutalnym kłapsem matki. Lizzie pragnęła przyjść im jakoś z pomocą. Wszystkie wrażenia tej nocy zlały się w jedno i przerodziły w gniew. - Przysięgam - wycedziła przez zaciśnięte zęby - że nigdy, dopóki żyję, nie pozwolę, by na mojej ziemi wydobywano węgiel. Zanim Jay zdążył coś na to odpowiedzieć, rozległo się bicie dzwonu.

- Alarm - powiedział Jay. - Pewnie wykryli więcej gazu kopalnianego. Lizzie wstała i jęknęła. Miała wrażenie, że ktoś dźga ją nożem w łydki. Nigdy więcej, pomyślała.

- Poniosę cię - zdecydował Jay, po czym bez dalszych ceregieli przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył w górę schodami.

Gaz kopalniany rozprzestrzenił się z ogromną szybkością. Zrazu płomień świecy zabarwił się na niebiesko tylko pod samym stropem, ale po kilku minutach reagował podobnie już o stopę niżej i Mack musiał przerwać próby w obawie, że dojdzie do zapłonu, zanim sztolnia zostanie ewakuowana. Oddychał szybko i płytko. Usiłował się uspokoić i myśleć logicznie. Gaz wydzielał się zazwyczaj bardzo powoli, ale tym razem było jakoś inaczej. Musiało wydarzyć się coś niezwykłego. Najprawdopodobniej gaz zbierał się od pewnego czasu w jakiejś nieczynnej strefie wyrobiska, a teraz zamykająca ją ściana pękła i wypuściła gwałtownie swoją zdradziecką zawartość na czynne chodniki. Każdy tutaj, mężczyzna, kobieta czy dziecko, miał przy sobie zapaloną świecę. Śladowe ilości gazu spaliłyby się bezpiecznie, ilość umiarkowana gwałtowniej, parząc każdego, kto znalazłby się w pobliżu - natomiast gaz o dużym stężeniu wybuchłby, siejąc śmierć i niszcząc tunele. Mack wziął głęboki oddech. Przede wszystkim miał obowiązek jak najszybciej usunąć wszystkich ze sztolni. Zaczął bić energicznie w dzwon licząc uderzenia. Kiedy po dwunastym przerwał, chodnik roił się już od górników i tragarzy biegnących w kierunku szybu. Matki popędzały swoje dzieci. Przy Macku zostały dwie pracujące z nim kobiety-tragarze: jego siostra Esther, opanowana i doświadczona, oraz kuzynka Annie, silna i szybka, ale impulsywna i niezdarna. Obie chwyciły za szufle do węgla i zaczęły nimi ryć w podłodze tunelu płytki

dolek na długość i szerokość leżącego człowieka. Mack tymczasem złapał ceratowy tobolek zawieszony u stropu jego niszy i pognął z nim do wylotu tunelu. Po śmierci poprzedniego ogniomistrza, starego McAsha, sarkano trochę, że Mack jest za młody na przejęcie po ojcu tej funkcji. Z jej sprawowaniem wiązała się nie tylko wielka odpowiedzialność, ogniomistrz uważany był także za przywódcę górniczej społeczności. Prawdę mówiąc, Mack również podzielał ich wątpliwości. Ale nikt inny nie chciał się podjąć tej roboty - nie dostawało się za nią żadnego dodatkowego wynagrodzenia, a była niebezpieczna. Kiedy jednak Mack zażegnał pierwszą kryzysową sytuację, utyskiwania ustały. Był bardzo dumny z tego, że starsi mężczyźni darzą go zaufaniem, lecz ta duma kazała mu również przybierać maskę spokoju i pewności siebie nawet wtedy, gdy się bał. Dobiegł do wylotu tunelu. Ostatni maruderzy wspinali się po schodach. Ale Mack musiał jeszcze usunąć gaz. Jedynym na to sposobem było podpalenie. Musiał go podpalić. Co za pech, że wydarzyło się to właśnie dzisiaj, pomyślał. Dziś były jego urodziny i miał ruszyć w świat. Żałował, że nie machnął ręką na ostrożność i nie odszedł z doliny w nocy z niedzieli na poniedziałek, jednak cały czas tłumaczył sobie, że jeśli zaczeka z tym dzień lub dwa, Jamissonowie pomyślą, że postanowił zostać, i to uśpi ich czujność. A teraz, w ostatnich godzinach swojej pracy w charakterze górnika, musi ryzykować życie, by ocalić sztolnię, którą zamierzał

na zawsze porzucić. Gdyby gaz kopalniany nie został wypalony, sztolnię musiano by zamknąć, co dla górników byłoby tym, czym klęska nieurodzaju dla wieśniaków: zaczęliby przymierać głodem. Mack nigdy nie zapomni, jak ostatnim razem, cztery zimy temu, zamknięto sztolnię. Podczas wielu strasznych tygodni, jakie wtedy nastąpiły, umarli wszyscy najmłodszy i najstarszy mieszkańcy osady - jego rodzice również. Dzień po śmierci matki Mack rozkopał norkę pograżonych w zimowym śnie królików i zanim zwierzaki zdążyły się na dobre rozbudzić, poukręcał im łebki; ich mięso ocaliło życie jemu i Esther. Wyszedł na pomost i zdarł ze swojego tobołka wodoodporne opakowanie. W środku znajdowała się duża pochodnia sporządzona z suchych patyków i szmat, kłębek sznurka oraz półkolista oprawa - taka sama, jak oprawki do świec używane przez górników, ale znacznie większa - przymocowana do płaskiej drewnianej podstawki, żeby się nie przewracała. Mack zatknął pochodnię w oprawie, do podstawki przywiązał koniec sznurka i przypalił pochodnię od świecy. Zająła się momentalnie. Tutaj mogła się spokojnie palić, bo lżejszy od powietrza gaz nie gromadził się na dnie szybu. Ale Mack musiał teraz wciągnąć płonącą pochodnię do tunelu. Zanurzył się z głową w zbiorniku drenażowym na dnie szybu. Ubranie i włosy zmoczone w lodowatej wodzie dadzą mu dodatkową ochronę przed poparzeniem. Potem wbiegł z powrotem do tunelu, rozwijając za sobą

sznurek z kłębka i jednocześnie usuwając z drogi większe kamienie i inne przedmioty, o które mogłaby zaczepić płonąca pochodnia, kiedy będzie ją wciągał do tunelu. Dotarłszy do Esther i Annie, zobaczył w blasku stojącej na podłodze świecy, że wszystko gotowe. Dół był wykopany. Esther już wcześniej namoczyła koc w rowku drenażowym i teraz szybko owinęła nim Macka. Dygocząc z zimna i nie wypuszczając z ręki sznurka położył się w dole. Annie uklękła przy nim, pocałowała go w usta i przykryła dół ciężką drewnianą klapą. Kobiety chlusnęły na klapę wodą, żeby w ten sposób dodatkowo zabezpieczyć Macka przed ogniem, który miał wzniecić. Po chwili któraś z nich zapukała w deskę trzy razy na znak, że odchodzą. Mack odliczył do stu, żeby dać im czas na opuszczenie tunelu. Potem, z sercem podchodzącym do gardła, zaczął ciągnąć za sznurek, przyciągając powoli płonąca pochodnię do miejsca, w którym leżał, do tunelu wypełnionego wybuchowym gazem.

Jay wyniósł Lizzie na powietrze i postawił w lodowatym bloku przy wylocie szybu.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak się cieszę, że znowu jestem na górze - powiedziała z wdzięcznością. - Nie wiem sama, jak ci dziękować, że mnie stamtąd wyniosłeś. Pewnie się bardzo zmęczyłeś.

- Ważysz o wiele mniej niż korf węgla - odparł z uśmiechem. Powiedział to tak, jakby dźwiganie jej

nic go nie kosztowało, ale kiedy oddalali się od szybu, chwiał się trochę na nogach. Trzeba było jednak przyznać, że wcześniej, wnosząc ją na rękach po schodach, nie zachwiał się ani razu. Do świtu było jeszcze daleko i zaczynał prószyc śnieg. Nie były to opadające łagodnie płatki, lecz lodowata kasza, która, podcinana wiatrem, smagała ich po oczach. Wśród ostatnich górników i tragarzy wylaniających się z szybu Lizzie dostrzegła młodą kobietę, której dziecko chrzczono w niedzielę - miała na imię Jen. Pomimo że wydała swoje maleństwo na świat zaledwie przed tygodniem, dźwigała teraz biedaczka pełny korf. Przecież po porodzie powinna wypoczywać! Jen wysypała węgiel z korfu na hałdę i wręczyła znaczkarzowi drewnianą markę: Lizzie domyśliła się, że pod koniec tygodnia na podstawie tych marek oblicza się górnikom zapłatę. Być może Jen tak bardzo potrzebowała pieniędzy, że nie stać jej było na wypoczynek. Lizzie przyglądała się młodej kobiecie, zaintrygowana jej dziwnym zachowaniem. Kiedy Jen pozbyła się swego ładunku, zaczęła biegać z uniesioną nad głowę świecą między zbitymi w gromadkę górnikami i wołać: "Wullie! Wullie!" Wyglądało na to, że szuka swojego dziecka. Znalazła męża, zamieniła z nim kilka nerwowych zdań i krzycząc "Nie!", wróciła do wylotu szybu i pobiegła schodami w dół. Jej mąż podszedł do krawędzi szybu, po chwili jednak wrócił, wyraźnie zaniepokojony.

- Co się stało? - zagadnęła go Lizzie.

- Nie możemy znaleźć naszego chłopaczka - odparł rozdygotanym głosem - Moja żona myśli, że został w sztolni.

- Och, nie! - Lizzie zajrzała w głąb szybu. Na dnie dostrzegła zapaloną pochodnię, która nagle drgnęła i zniknęła w tunelu.

Mack robił to już wcześniej trzy razy, ale teraz okoliczności były o wiele groźniejsze. Podczas poprzednich kryzysowych sytuacji stężenie gazu kopalnianego było o wiele mniejsze, nie pojawiał się wtedy tak nagle, lecz sączył powoli. Oczywiście ojciec miał do czynienia z takimi poważnymi wyciekami gazu - jego ciało, kiedy mył się w sobotnie wieczory koło pieca, pokryte było śladami starych poparzeń. Mack, owinięty w koc nasiąknięty lodowatą wodą, dygotał z zimna. Nawijając sznurek na kłębek i przyciągając płonącą pochodnię coraz bliżej do siebie i do gazu, próbował uśmierzyć strach myślami o Annie. Dorastali razem i zawsze się lubili. Annie miała dziką duszę i wspaniałe, jędrne ciało. Nigdy dotąd nie pocałowała go publicznie, ale robiła to często, kiedy nikt nie widział. Poznawali nawzajem swoje ciała i uczyli się dawania przyjemności. Próbowali ze sobą wszystkiego, powstrzymując się tylko przed tym, co Annie nazywała "robieniem dzieci". A i do tego o mało kiedyś nie doszło... Nic to jednak nie pomogło: nadal był przerażony. Spróbował opanować strach przypominając sobie prawa rządzące przemieszczaniem się i

gromadzeniem gazu. Leżał w dole, poniżej poziomu tunelu, więc stężenie powinno być tutaj mniejsze; nie było jednak sposobu na dokładne jego oszacowanie - jakie jest, okaże się dopiero, kiedy gaz się zapali. Bał się bólu i wiedział, że poparzenie to tortura, choć nie lękał się samej śmierci. Nie poświęcał zbyt wiele czasu na rozmyślenia o Bogu, ale wierzył w Jego miłosierdzie. Nie chciał jednak umierać już teraz: niczego jeszcze nie dokonał, niczego nie widział, nigdzie nie był. Całe swoje dotychczasowe życie spędził jako niewolnik. Poprzysiął sobie, że jeśli przeżyje tę noc, to rano odejdzie z doliny. Pocałuję Annie, myślał, pożegnam się z Esther, machnę ręką na Jamissonów i odejdę stąd na zawsze. Z ilości sznurka, jaką zebrał już w garści, wywnioskował, że pochodnia znajduje się w połowie drogi między dołem, w którym leżał, a wylotem tunelu. Gaz mógł się teraz zająć od niej w każdej chwili. Ale może wcale się nie zapali: ojciec opowiadał mu, że czasem gaz sam znikał i nikt nie wiedział gdzie. Poczul lekki opór i domyślił się, że pochodnia ociera się o ścianę na zakręcie chodnika. Gdyby teraz wyjrzał z dołu, zobaczyłby ją. Zaraz nastąpi eksplozja, pomyślał. I w tym momencie usłyszał jakiś głos. Przemknęło mu przez myśl, że ma do czynienia z nadprzyrodzonym zjawiskiem, ale zaraz uświadomił sobie, że to, co słyszy, jest głosem przerażonego małego dziecka, płaczącego i pytającego łamiącym się głosikiem: "Gdzie się wszyscy podzieli?" Mack zamarł. Wiedział już, co się stało. Jako mały chłopiec,

pracując po piętnaście godzin w kopalni, często przysypiał podczas szychty. Temu dziecku przytrafiło się to samo i nie usłyszało alarmu. Potem obudziło się w opustoszałej sztolni i wpadło w panikę. Mack podjął decyzję w ułamku sekundy. Odrzucił znad siebie klapę i wyskoczył ze swojego dołu. W złowieszczym blasku płonącej pochodni ujrzał chłopca wychodzącego z bocznego chodnika. Malec tarł piąstkami oczy i płakał głośno. Mack rozpoznał w nim Wulliego, synka swojej kuzynki Jen.

- Wuj Mack! - wykrzyknął radośnie chłopiec. Mack rzucił się ku niemu, zrywając z siebie po drodze mokry koc. W płytkim dole nie starczy miejsca dla nich obu: będą musieli pobiec w kierunku szybu, mając nadzieję, że zdążą tam dotrzeć, zanim gaz wybuchnie.

- To gaz kopalniany, Wullie, musimy uciekać! - zawołał Mack. Owinał chłopca kocem, wsadził go sobie pod pachę i puścił się biegiem. Mijając płonąca pochodnię zaczął się modlić, żeby gaz się teraz od niej nie zajął. Usłyszał własny krzyk: "Jeszcze nie! Jeszcze nie!" - i już byli za nią. Chłopiec był lekki, jednak bieg z pochylonym grzbietem nie należał do łatwych, a dodatkowe utrudnienie stanowiło podłoże - miejscami błotniste, gdzie indziej znowu pokryte grubą warstwą pyłu, w której grzęzły głęboko stopy, usiane skalnymi odłamkami czyhającymi na nogi nieuważnego biegacza. Mimo to Mack pędził przed siebie, potykając się co chwila, ale utrzymując jakoś

równowagę, i nasłuchując odgłosu wybuchu, który byłby pewnie ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał w życiu. Kiedy znaleźli się za zakrętem tunelu, blask pochodni zaczął blaknąć i po chwili ogarnęły ich całkowite ciemności. Przebiegłszy kilka kroków, Mack wpadł na ścianę i rozciągnął się jak długi, wypuszczając Wulliego spod pachy. Zaklął i pozbierał się czym prędzej z ziemi. Chłopiec znowu zaczął płakać. Kierując się szlochem malca, Mack odnalazł go i wsadził sobie z powrotem pod pachę. Był teraz zmuszony poruszać się wolniej.

Przeklinając ciemności, jak ślepiec wymacywał drogę wolną ręką. Nagle ujrzał u wylotu tunelu płomyk świecy i doszedł go krzyk Jen:

- Wullie! Wullie!

- Mam go tutaj, Jen! - wrzasnął Mack, znowu puszczając się biegiem. - Uciekaj na górę! Jednak ona zignorowała jego polecenie i dalej szła im naprzeciw. Od końca tunelu bezpieczeństwa dzieliło Macka zaledwie kilka jardów.

- Zawracaj! - ryknął, ale Jen i teraz nie posłuchała.

Dopadł do niej i nie zatrzymując się, zagarnął w przelocie wolną ręką. W tym momencie gaz eksplodował. Najpierw dał się słyszeć przenikliwy syk i natychmiast potem powietrzem targnął ogłuszający huk, od którego zadrżała ziemia.

Podmuch powietrza zbił Macka z nóg, wyrwał mu z uścisku Jen i Wulliego i poniósł ze sobą. Mack poczuł falę parzącego gorąca i był już pewien, że wybiła jego godzina, nagle jednak wylądował z pluskiem

głową naprzód w lodowato zimnej wodzie i uświadomił sobie, że wyrzucony siłą wybuchu z tunelu wpadł do basenu drenażowego, wypełnionego wodą zbierającą się na dnie kopalnianego szybu. Ale wciąż żył. Wyplął na powierzchnię i zamrugał powiekami, żeby usunąć wodę z oczu. Drewniany pomost i schody paliły się w paru miejscach i płomienie oświetlały chybottliwym blaskiem wszystko wokół. Dostrzegł szamoczącą się rozpaczliwie w wodzie Jen.

- Gdzie Wullie? - zawołał, krztusząc się wodą. Chłopiec mógł stracić przytomność. Mack odbił się od ściany szybu i zaczął przeszukiwać basen, wpadając co chwila na linę unieruchomionego wyciągu z cebrzykami. W końcu natrafił na Wulliego, wyciągnął malca z wody i wypchnął go na pomost, na którym czekała już jego matka. Po chwili sam też się tam wygramolił. Wullie usiadł i zaczął wymiotować wodą.

- Dzięki Ci, Boże - chlipała Jen. - Żyje. Mack spojrział w głąb tunelu. Tu i ówdzie, niczym ogniste widma, rozbłyskiwały jeszcze płomieniem rozproszone pasma gazu.

- Uciekajmy stąd - zakomenderował. - Zaraz może nastąpić powtórna eksplozja. - Pomógł wstać Wullemu i Jen i pchnął ich przed sobą w kierunku schodów. Jen podniosła synka i przerzuciła go sobie przez ramię: ważył dla niej tyle co nic - w ciągu piętnastogodzinnej szychty potrafiła obrócić po tych schodach dwadzieścia razy z pełnym korfem na

plecach. Mack spojrział na płomyki ognia pełzające u podnóża schodów i zawahał się. Jeśli schody się spalą, sztolnia zostanie zamknięta na czas ich odbudowy, a to może potrwać parę tygodni. Poświęcił kilka sekund na stłumienie zarzewia pożaru, zalewając ogień wodą z basenu, i ruszył za Jen, która wchodziła już na górę. Dotarł na powierzchnię wyczerpany do cna, posiniaczony i oszołomiony. Górnicy natychmiast otoczyli go kręgiem, ściskając mu ręce, poklepując po plecach i gratulując. Naraz tłum rozstał się przed Jayem Jamissonem i jego towarzyszem, w którym Mack już wcześniej rozpoznał przebraną za mężczyznę Lizzie Hallim.

- Dobra robota, McAsh - powiedział Jay. - Moja rodzina docenia twoją odwagę. Ty zadufany sukinsynu, pomyślał Mack.

- Czy nie ma innego sposobu pozbywania się gazu kopalnianego? - zapytała Lizzie.

- Nie ma - odparł Jay.

- Oczywiście, że jest - wysapał Mack.

- Naprawdę? - zdumiała się Lizzie. - Jaki? Mack odzyskał oddech.

- Draży się szyby wentylacyjne, które odprowadzają gaz, zanim zdąży się zebrać w większej ilości. -

Odetchnął głęboko. - Po wielekroć powtarzaliśmy to Jamissonom. Otaczający go górnicy wydali potakujący pomruk.

- Więc dlaczego tego nie zrobicie? - zwróciła się Lizzie do Jaya.

- Nie znasz się na interesach, moja droga - oświadczył. Żaden człowiek nie wybierze kosztownej procedury, jeśli istnieje tańsza, pozwalająca uzyskiwać te same rezultaty. Konkurenci zbiliby mu ceny. To ekonomia, Lizzie.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz - wysapał Mack. - Ale dla zwyczajnych ludzi jest to nikczemna pazerność.

- Właśnie! - zakrzyknęło paru górników. - Święta racja!

- Słuchaj no, McAsh - zachnął się Jay. - Nie psuj znowu wszystkiego, wynosząc się ponad swój stan. Napytasz sobie prawdziwej biedy.

- Mnie już nic nie grozi - odparł Mack. - Obchodzę dzisiaj dwudzieste drugie urodziny. - Wcale nie chciał tego mówić, ale nie mógł się powstrzymać. - Nie przepracowałem jeszcze roku i jednego dnia od swoich dwudziestych pierwszych urodzin i nie zamierzam tego zrobić, więc nie możecie mnie zatrzymać. - Tłum nagle ucichł. - Odchodzę, panie Jamisson - ciągnął. - Rzucam robotę. Do widzenia. - Odwrócił się do Jaya plecami i w kompletnej ciszy odszedł. Kiedy Jay z Lizzie wrócili do zamku, służba rozpałała już ogień w piecach i kominkach. Lizzie, umorusana węglowym pyłem i lecąca niemal z nóg ze znużenia, podziękowała szeptem Jayowi i powlokła się na górę. Jay zażądał balii z gorącą wodą, i kiedy wniesiono mu ją do pokoju, wziął kąpiel, szorując pumeksem skórę, w którą powbijały się drobinki węgla. Ostatnie czterdzieści osiem godzin obfitowało w doniosłe wydarzenia, które miały wyrzucić

decydujący wpływ na jego dalsze życie: ojciec obdarował go śmiechu wartym legatem, matka przekleła ojca, a on sam usiłował zamordować własnego brata - ale bynajmniej nie to absorbowало teraz jego myśli. Leżąc w gorącej wodzie myślał o Lizzie. Pośród kłębow unoszącej się z balii pary majaczyła mu jej uśmiechająca się figlarnie twarz, zwodząca go, kusząca, rzucająca mu wyzwanie. W ramionach, na których wynosił ją z kopalnianego szybu, przetrwało jeszcze wspomnienie słodkiego ciężaru: Lizzie była miękka i lekka jak piórko, i kiedy wspinali się po schodach, tulił mocno do piersi jej drobne ciało. Ciekaw był, czy i ona teraz o nim myśli. Pewnie też poprosiła o gorącą wodę: nie położyłaby się przecież do łóżka taka brudna. Wyobraził ją sobie, jak stoi naga przed kominkiem w swojej sypialni i namydla się. Zapragnął być tam z nią teraz, wyjąć gąbkę z jej dłoni i delikatnie ścierać węglowy pył ze wzgóreków jej piersi. Podnieciła go ta wizja. Wskoczył z balii i wytarł się do sucha szorstkim ręcznikiem. Nie odczuwał senności. Chciał z kimś porozmawiać o nocnej przygodzie, ale Lizzie będzie teraz pewnie spała wiele godzin. Pomyślał o matce. Jej mógł zaufać. Naciskała czasami na niego, by postępował wbrew własnym przekonaniom, ale zawsze stawała po jego stronie. Ogolił się, włożył czyste ubranie i poszedł do jej pokoju. Tak jak się spodziewał, nie spała już i popijała przy toalecie gorącą czekoladę, a pokojówka układała jej włosy. Uśmiechnęła się do niego, kiedy wszedł. Pocałował ją

w policzek i opadł na fotel. Była nadal bardzo piękna, nawet tuż po przebudzeniu. Odprawiała pokojówkę.

- Czemu wstałeś tak wcześnie? - zapytała syna.

- Wcale się nie kładłem. Byłem w kopalni.

- Z Lizzie Hallim? Jakaż ona inteligentna, pomyślał z czułością. Zawsze potrafiła go przejrzeć. Ale jemu to nie przeszkadzało, bo nigdy nie usłyszał od niej słowa potępienia.

- Jak to odgadłaś?

- To nie było trudne. Korciło ją przecież, żeby tam pójść, a nie należy do dziewcząt, które potrafią pogodzić się z odmową. - Zły dzień sobie wybraliśmy, żeby tam zejść. Na dole doszło do eksplozji.

- Dobry Boże, nic ci się nie stało?

- Nic.

- Mimo wszystko poślę po doktora Stevensona...

- Mamo, nie denerwuj się! Kiedy nastąpił wybuch, byłem już poza szybem. Lizzie również. Nogi mi tylko trochę omdlały, bo wynosiłem ją na górę na rękach. Matka uspokoiła się.

- Jak zareagowała na to Lizzie?

- Poprzysięgła, że nigdy nie dopuści do eksploatacji złóż zalegających pod ziemią Hallimów. Alicia roześmiała się.

- A twój ojciec już ostrzy sobie zęby na jej węgiel. Cóż, chętnie poprzyglądam się bitwie, na jaką się zanosi. Kiedy Robert zostanie jej mężem, będzie miał prawo postąpić wbrew jej woli... teoretycznie.

Zobaczymy. Jak twoim zdaniem przebiegają zaloty, skoro już mowa o tym małżeństwie?

- Flirt nie jest, skromnie mówiąc, najmocniejszą stroną Roberta - odparł pogardliwie Jay, wzruszając ramionami. W bardziej niezręczny sposób nie mógłby się chyba do tego zabrać.

- Więc może jednak ona za niego nie wyjdzie.

- Sądzę, że będzie musiała. Matka spojrzała na niego przenikliwie.

- Czyżbyś wiedział o czymś, o czym ja nie wiem?

- Lady Hallim ma kłopoty z uzyskaniem pożyczki pod hipotekę... ojciec już o to zadbał.

- Doprawdy? Ależ z niego szczwany lis. Jay westchnął.

- Lizzie jest wspaniałą dziewczyną. To zbrodnia oddawać ją Robertowi. Lady Alicia położyła mu dłoń na kolanie.

- Mój drogi chłopcze, ona nie należy jeszcze do Roberta.

- Moim zdaniem powinna poślubić kogoś innego.

- Mogłaby poślubić ciebie.

- Dobry Boże, mamó! - zawołał zdumiony. Chociaż pocałował Lizzie, myśl o małżeństwie nawet mu w głowie nie powstała. - Zakochałeś się w niej, widzę przecież.

- Zakochałem się? Czy to właśnie jest miłość?

- Naturalnie. Na sam dźwięk jej imienia oczy ci płoną, a kiedy jest w pokoju, nikogo poza nią nie widzisz. Dokładnie opisała odczucia Jaya. Przed nią nic nie mogło się ukryć.

- Ale małżeństwo...
- Jeśli kochasz tę dziewczynę, to poproś ją o rękę! Zostałbyś panem na High Glen.
- To byłby cios dla Roberta - powiedział z uśmiechem Jay. Serce mu żywiej zabiło na myśl, że Lizzie mogłaby zostać jego żoną, ale spróbował spojrzeć na to od strony praktycznej. - Nie miałbym pensa przy duszy - dodał.
- Teraz też nie masz. Ale z pewnością zarządzałbyś majątkiem lepiej od lady Hallim... ona nie ma głowy do interesów. To duża posiadłość: sama dolina High Glen ciągnie się na dziesięć mil, a przecież oprócz niej majątek obejmuje jeszcze Craigie i Crook Glen. Przystosowałbyś ziemię pod pastwiska, zaczął sprzedawać więcej dziczyzny, zbudował młyn wodny... Nawet nie wydobywając węgla, mógłbyś wycisnąć z tej ziemi przyzwoity dochód.
- A dług hipoteczny?
- Jesteś o wiele atrakcyjniejszym pożyczkobiorcą od lady Hallim. Jesteś młody, energiczny i wywodzisz się z zamożnej rodziny. Przekonałbyś się, że uzyskanie pożyczki pod hipotekę to nie taka trudna sprawa. A potem, z czasem...
- Co?
- Cóż, Lizzie jest dziewczyną impulsywną. Dzisiaj zarzeka się, że nie pozwoli wydobywać węgla na terenach majątku Hallimów. Jutro może jej przyjść do głowy, że dzika zwierzyna też czuje, i zakaze polowań. Ale za tydzień może zapomnieć o obu tych edyktach. Jeśli zdołasz przekonać ją w końcu do

eksploatacji złóż węglowych pod High Glen, będziesz mógł pospłacać zaciągnięte długi. Jay skrzywił się.

- Nie uśmiecha mi się perspektywa występowania przeciwko życzeniom Lizzie w takich kwestiach. - Przemknęło mu również przez myśl, że bardziej widziałby się w roli plantatora trzciny cukrowej na Barbados niż właściciela kopalni węgla w Szkocji. Ale przecież pragnął Lizzie. Nagle matka zmieniła temat i zapytała:

- Co wydarzyło się wczoraj na polowaniu?

Zaskoczony Jay nie potrafił wymyślić na poczekaniu żadnego wiarygodnego kłamstwa. Zaczerwienił się i wykrztusił: - Miałem jeszcze jedną scysję z ojcem.

- Wiem - odparła. - Wyczytałam to z waszych twarzy, kiedy wróciliście. Ale to nie mogła być tylko sprzeczka. Zrobiłeś coś, co nim wstrząsnęło. Co to było? Jay nigdy nie potrafił ukryć przed nią prawdy.

- Próbowałem zastrzelić Roberta - wyznał zgnębiony.

- Och, Jay, to straszne! - zawołała. Spuścił głowę.

Fakt, że mu się nie udało, pogarszał jeszcze sprawę.

Gdyby zabił brata, dręczyłyby go potworne wyrzuty sumienia, ale miałby na osłodę barbarzyńską

świadomość tryumfu. A tak pozostawały mu tylko same wyrzuty sumienia. Lady Alicia stanęła przy fotelu i przyciągnęła głowę Jaya do piersi.

- Biedny chłopcze - powiedziała cicho. - To było niepotrzebne. Znajdziemy jakiś inny sposób, nie martw się.

- Jak mogłaś zrobić coś takiego? - lamentowała lady Hallim, szorując Lizzie plecy.
- Chciałam to zobaczyć na własne oczy - burknęła Lizzie. - Nie tak mocno! - krzyknęła.
- Muszę mocno... pył węglowy sam się nie obsypie odparła matka i zapytała po chwili: - Możesz mi powiedzieć, do czego młodej damie potrzebna wiedza o wydobywaniu węgla?
- Rozzłościł mnie ten Mack McAsh, zarzucając mi, że nie wiem, o czym mówię... - odparła Lizzie. - Nie cierpię, kiedy ludzie zbywają mnie, twierdząc, że kobietom nie wypada znać się na polityce albo na uprawie roli, albo na górnictwie, albo na handlu. Lady Hallim jęknęła.
- Mam tylko nadzieję, że Roberta nie zrażą męskie cechy twojego charakteru.
- Będzie musiał mnie wziąć taką, jaka jestem, albo wcale - oświadczyła Lizzie. Jej matka westchnęła z irytacją.
- Moja kochana, nie tędy droga. Musisz go trochę bardziej ośmielić. Wiem, że żadna dziewczyna nie chce, żeby uznano ją za zbyt nachalną, ale ty przesadzasz w drugą stronę. Obiecuj mi, że będziesz dzisiaj miła dla Roberta.
- A co myślisz o Jayu, mamó? Lady Hallim uśmiechnęła się.
- Czarujący młodzieniec, naturalnie... - Urwała nagle i spojrzała bacznie na Lizzie. - A czemu pytasz?
- Pocałował mnie w kopalni.

- No nie! - Lady Hallim wyprostowała się gwałtownie i cisnęła przez pokój szczoteczką. - Nie, Elizabeth, na to nie pozwolę! - Lizzie zaskoczył ten nagły wybuch gniewu matki. - Nie po to przez dwadzieścia lat wychowywałam cię klepiąc biedę, żebyś wyszła teraz za przystojnego gołodupca! - On nie jest gołodupcem...

- Właśnie że jest. Sama byłaś świadkiem tej okropnej sceny, do której doszło między nim a ojcem... w udziale przypada mu tylko koń. Lizzie nie możesz mi tego zrobić! Matka kipiała gniewem. Lizzie jeszcze nigdy jej takiej nie widziała.

- Uspokój się, mamó, dobrze? - poprosiła. Wstała i wyszła z balii. - Podaj mi ręcznik, jeśli możesz. Ku jej zdumieniu matka zasłoniła twarz dłońmi i rozplakała się.

- Mamusiu kochana, co się stało? - spytała Lizzie, obejmując ją.

- Okryj się, ty wyrodna córko - wyszlochała matka. Lizzie narzuciła na mokre ciało koc i owinęła się nim.

- Usiądź, mamó. - Podprowadziła matkę do fotela. Po chwili lady Hallim uspokoiła się trochę.

- Twój ojciec był taki sam jak Jay, dokładnie taki sam powiedziała, a jej wargi wykrzywił gorzki grymas. - Wysoki, przystojny, ujmujący, bardzo skory do całowania w ciemnych kątach... i słaby, taki słaby. Uległam moim niższym instynktom i wyszłam za niego wbrew rozsądkowi, choć zdawałam sobie sprawę, że jest człowiekiem chwiejnego charakteru.

W ciągu trzech lat roztrwonil mój majątek, a rok później spadł po pijanemu z konia, rozbił sobie tę swoją piękną głowę i umarł. - Och, mammo! - Lizzie była wstrząśnięta nienawiścią, jaką słyszała w głosie matki. Zazwyczaj lady Hallim wspominała męża beznamietnie: opowiadała córce, że nie miał szczęścia w interesach, że zginął w wypadku i że to prawnicy doprowadzili majątek do ruiny. Sama Lizzie prawie go nie pamiętała, bo kiedy zginął, miała ledwie trzy lata.

- A do tego gardził mną, bo nie dałam mu syna - podjęła matka. - Syna, który byłby taki jak on, niewierny i niezaradny, i złamałby serce jakiejś dziewczynie. Ale ja wiedziałam, jak temu zapobiec. Lizzie znowu spojrzała na nią wstrząśnięta. Czyżby prawdziwe były pogłoski, że istnieją sposoby na uchronienie się przed zajściem w ciążę? Czy to możliwe, że jej własna matka uciekła się do takiego sposobu, by woli męża nie stało się zadość? Matka wzięła ją za rękę.

- Przrzeknij mi, że za niego nie wyjdiesz, Lizzie. Przrzeknij! Lizzie cofnęła dłoń. Miała świadomość, że postępuje nielojalnie, ale musiała wyznać prawdę. - Nie mogę - powiedziała. - Ja go kocham.

Opuściwszy pokój matki Jay szybko otrząsnął się z poczucia winy i wstydu, ale dopadł go znienacka głód. Zszedł na dół do jadalni. Zastał tam ojca i Roberta posilających się soczystymi plastrami pieczonej szynki przybranej gotowanymi jabłkami i

cukrem i rozmawiających z Harrym Ratchettem. Ratchett, jako zarządca sztolni, przyszedł zdać raport z okoliczności towarzyszących wybuchowi gazu w kopalni. Ojciec spojrzał surowo na Jaya.

- Słyszałem, że schodziłeś wczorajszej nocy do szybu w Heugh - powiedział. Apetyt nagle opuścił Jaya.

- Owszem, schodziłem - odparł. - Był tam wybuch. Nalał sobie szklanicę piwa z dzbana.

- Wiem o tym - oświadczył ojciec. - Kto z tobą był? Jay łyknął piwa.

- Lizzie Hallim - odparł z ociąganiem. Robert poczerwieniał.

- Niech cię diabli! - warknął. - Wiesz przecież, że ojciec nie życzył sobie, żebyś zabierał ją na dół.

- No więc jak mnie ukarzesz, ojcze? - spytał prowokacyjnie Jay. - Wydziedziczysz? Już to praktycznie uczyniłeś. Ojciec pogroził mu palcem.

- Nie postępuj wbrew moim poleceniom, ostrzegam cię.

- To McAsh powinien być powodem twojego gniewu, nie ja - powiedział Jay, próbując skierować uwagę ojca na inny temat. - Rozpowiada wszystkim, że dzisiaj odchodzi.

- Cholerny, krnąbrny cham - mruknął Robert. Nie wiadomo było, czy ma na myśli McAsha, czy Jaya. Harry Ratchett odchrząknął.

- Niech pan mu da odejść, sir George. To doskonały robotnik, ale maćiwoda, i na dobre by nam wyszło, gdybyśmy się go stąd pozbyli.

- Nie mogę - odparł sir George. - McAsh wystąpił publicznie przeciwko mnie. Jeśli ujdzie mu to płazem, każdemu młodemu górnikowi zacznie się wydawać, że może pójść w jego ślady.

- Zresztą tu nie chodzi tylko o nas - wtrącił się Robert. - Ten prawnik, Gordonson, mógł rozesłać podobne pisma do wszystkich szkockich kopalni. Cały przemysł może się załamać, jeśli pozwoli się odchodzić młodym górnikom, którzy ukończą dwadzieścia jeden lat.

- Właśnie - podchwycił ojciec. - I co począłby wtedy naród brytyjski pozbawiony węgla? Mówię wam, jeśli Caspar Gordonson stanie kiedyś przede mną oskarżony o zdradę, pošlę go na szubienicę, zanim ktokolwiek zdąży krzyknąć, że to niezgodne z konstytucją.

- Stąd wniosek - dorzucił Robert - że przywołanie McAsha do porządku jest naszym patriotycznym obowiązkiem. Ku uldze Jaya, zapomnieli zupełnie o jego niesubordynacji. - Ale jak to zrobić? - zapytał, by podtrzymać temat McAsha.

- Mógłbym go kazać uwięzić - mruknął sir George.

- To nie załatwiłoby sprawy - oświadczył Robert. - Po wyjściu z więzienia nadal by twierdził, że jest wolnym człowiekiem. Zamilkli i zamyślili się.

- Można go wychłostać - podsunął w końcu Robert.

- To jest myśl - przyznał sir George. - Mam prawo wymierzać im karę chłosty. Ratchett przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

- Uplłynęło wiele lat od czasu, kiedy właściciel kopalni po raz ostatni wymierzył taką karę, sir George. A zresztą kto by się podjął jej wykonania?
- No więc co się robi z wichrzycielami? - spytał niecierpliwie Robert. Sir George uśmiechnął się.
- Zaprzęga się ich do kieratu - powiedział.

Mack najchętniej bez zwłoki wyruszyłby w drogę do Edynburga, zdawał sobie jednak sprawę, że to nierozsądne. Co prawda nie przepracował całej szychty, czuł się jednak wyczerpany i jeszcze trochę oszołomiony po eksplozji. Potrzebował czasu, by zastanowić się, jakie kroki mogą podjąć Jamissonowie i jak ich przechytrzyć. Wrócił do domu, zdjął przemoczone ubranie, napalił w piecu i położył się do łóżka. Wpadłszy do gęstej od pyłu węglowej brei wypełniającej basen drenażowy ubrudził się bardziej niż zwykle, ale pościel była tak czarna, że nic jej już nie mogło zaszkodzić. Podobnie jak większość górników, Mack kąpał się raz w tygodniu, w sobotę wieczorem. Reszta górników z jego zmiany podjęła po wybuchu pracę. Esther, a z nią Annie, również zostały na dole, żeby pozbierać węgiel wyrabany przez Macka i wynieść go na powierzchnię: Esther nie mogła się pogodzić z myślą, że tyle znojnej harówki pójdzie na marne. Odpływając w sen, Mack zachodził w głowę, jak to jest, że mężczyźni męczą się szybciej od kobiet. Rębacze, co do jednego mężczyźni, pracowali po dziesięć godzin, od północy do dziesiątej rano, zaś

tragarze, w większości kobiety, od drugiej rano do piątej po południu, czyli piętnaście godzin. Kobiety, które w ciągu dnia roboczego musiały wspinać się wielokrotnie po schodach, obciążone ogromnymi, czubatymi kosztami węgla, pracowały ciężiej od mężczyzn, a przecież krzątały się w domu jeszcze długo po tym, jak ich mężowie zwlekli się na ostatnich nogach do domu i zwalili bez sił do łóżek. Czasem jakaś kobieta zostawała rębaczem, ale były to odosobnione przypadki: większość z nich nie potrafiła uderzać kilofem czy młotem z dostateczną siłą i wylupywanie węgla ze ściany zabierało im za dużo czasu. Mężczyźni po powrocie do domu ucinali sobie zawsze drzemkę. Odpocząwszy godzinę, wstawali, by przygotować obiad dla żon i dzieci. Niektórzy jednak spędzali popołudnia pijąc u pani Wheighel: ich żony otaczano powszechnym współczuciem, bo takiej kobiecie, po piętnastu godzinach dźwigania węgla, ciężko było wracać do domu, w którym zamiast ognia buzującego wesoło w piecu i gotowego posiłku czekał pijany mąż. Mack obudził się ze świadomością, że jest to przełomowy dzień w jego życiu, jednak z początku nie mógł sobie skojarzyć, dlaczego. Potem mu się przypomniało: odchodzi z doliny. Nie uszedłby daleko, gdyby wyglądał na zbiegłego górnika, więc przede wszystkim musiał się umyć. Podsycił ogień w piecu, a potem odbył z cebrzykiem kilka kursów do strumienia i z powrotem. Postawił wodę na ogniu, żeby się podgrzała, i wniósł do środka cynkową balie,

która wisiała po zewnętrznej stronie drzwi od podwórka. Mała izdebka szybko zaparowała. Nappełnił balię gorącą wodą, usiadł w niej z kawałkiem mydła i twardą szczotką i zaczął się szorować. Czuł się wspaniale. Po raz ostatni zmywał ze skóry węglowy pył - nigdy więcej nie zejdzie na dół do kopalni. Okres niewolnictwa miał już za sobą. Przed nim Edynburg, Londyn, szeroki świat. Spotka tam ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o sztolniach Heugh. Przyszłość to czysta kartka papieru, na której zapisze, co tylko będzie chciał. Siedział jeszcze w kąpielni, kiedy do izby weszła Annie. Zawahała się w progu, trochę zawstydzona i zaskoczona. Mack uśmiechnął się i wyciągnął do niej szczotkę.

- Wyszorujesz mi plecy? - spytał. Zbliżyła się i wzięła od niego szczotkę, ale zamiast zabrać się do szorowania Macka, stała i patrzyła na niego z zakłopotaną miną.

- No, myj - ponaglił ją Mack. Zaczęła mu jeździć szczotką po plecach.

- Powiadają, że górnik nie powinien myć sobie pleców odezwiała się. - To podobno odbiera siłę.

- Ja już nie jestem górnikiem. Przerwała szorowanie i spojrzała na niego.

- Nie odchodź, Mack - powiedziała błagalnie. - Nie zostawiaj mnie tutaj. Właśnie czegoś takiego się obawiał: tamten pocałunek w usta w sztolni był tego zapowiedzią. Zrobiło mu się ciężko na duszy. Bardzo lubił swoją kuzynkę i mile wspominał ostatnie lato i ciepłe niedzielne popołudnia, podczas których

figlowali i dokazywali na wrzosowiskach, nie chciał się jednak wiązać z Annie na całe życie, zwłaszcza że oznaczałoby to konieczność pozostania w Heugh.

Czy potrafi jej to wyjaśnić nie sprawiając przykrości? Miała łzy w oczach i widział, jak bardzo chciałyby, żeby obiecał jej, że zostanie. Ale on już się zdecydował: niczego tak nie pragnął, jak się stąd wyrwać.

- Muszę odejść - powiedział. - Będzie mi ciebie brakowało, Annie, ale muszę odejść.

- Uważasz się za lepszego od nas wszystkich, prawda? spytała z urazą. - Twoja matka wynosiła się ponad swój stan i ty jesteś taki sam. Nie zasługuję na ciebie, prawda? Podejrzewam, że wybierasz się do Londynu, żeby poślubić tam jakąś prawdziwą damę! Matka rzeczywiście wynosiła się ponad swój stan, ale on nie wybierał się do Londynu z zamiarem poślubienia tam jakiejś prawdziwej damy. Czy uważał się za lepszego od nich wszystkich? Czy myślał, że Annie na niego nie zasługuje? Uświadomił sobie, że w jej zarzutach tkwi chyba ziarenko prawdy, i ogarnęło go zażenowanie.

- Jeśli ktoś tu na coś nie zasługuje - mruknął - to my wszyscy na niewolnictwo, w jakim żyjemy.

Przyklękła przy balii i położyła mu dłoń na wystającym ponad wodę kolanie.

- Nie kochasz mnie, Mack? Z zawstydzieniem poczuł narastające podniecenie. Zapragnął wziąć ją w ramiona i sprawić, by znowu poczuła się szczęśliwa, ale oparł się tej pokusie.

- Jesteś mi droga, Annie, ale nigdy nie powiedziałem, że cię kocham, ty zresztą też nie wyznałaś mi miłości. Dłoń Annie, sunąc powoli po wewnętrznej stronie jego uda, zanurzyła się w wodę. Dziewczyna uśmiechnęła się natrafiwszy na jego wyprężony członek.

- Gdzie Esther? - spytał.

- Bawi się z dzidziusiem Jen. Prędko nie wróci. Mack domyślił się, że to na prośbę Annie siostra zaszła po drodze do Jen. Inaczej przybiegłaby prosto do domu, żeby porozmawiać z nim o jego planach.

- Zostań tutaj i pobierzmy się - wymruczała Annie, pieszcząc go. Nauczył ją tego w lecie, a potem nakłonił, by mu pokazała, co sprawia przyjemność jej. Kiedy to sobie teraz przypomniał, żądza rozpalila się w nim nowym płomieniem. Moglibyśmy robić, co tylko byśmy chcieli - dodała kusząco. - Żeniąc się, utknąłbym tutaj na całe życie - odparł Mack, czuł jednak, że jego opór słabnie. Annie wstała i szybkim ruchem ściągnęła suknię. Nic pod spodem nie miała: bieliznę oszczędzało się na niedziele. Oczom Macka ukazało się jej smukłe, jędrne ciało z małymi, płaskimi piersiami i gęstwą czarnych włosów w kroczu. Podobnie jak on, skórę miała szarą od węglowego pyłu. Weszła do balii i uklękła okrakiem nad jego podkurczonymi nogami.

- Teraz ty mnie umyj - powiedziała, wręczając mu mydło. Namydlił ją powoli, a potem położył dłonie na jej piersiach. Sutki miała małe i twarde. Wydała cichy, gardłowy pomruk, chwyciła go za przeguby i

zsunęła mu ręce w dół, na swój płaski brzuch, i dalej, do krocza. Śliskie od mydła palce Macka wsunęły się między uda dziewczyny, natrafiając tam na gęstą mierzwę sprężystych włosów łonowych i ustępliwe, miękkie ciało poniżej.

- Zróbmy to - poprosiła. - Chcę cię poczuć w sobie. Wiedział, że jeśli teraz ulegnie, jego los zostanie raz na zawsze przypieczętowany.

- Nie - odparł słabym głosem. Przysunęła się bliżej i przyciągnąwszy jego twarz do piersi, zaczęła się opuszczać, by po chwili znieruchomieć tuż nad nim, muskając wargami sromowymi nabrzmiąły czubek jego członka sterczący ponad powierzchnię wody.

- Powiedz "tak" - wymruczała. Podał się wreszcie.

- Tak - jęknął. - Błagam. Szybciej. W tym momencie z łomotem otworzyły się na oścież pchnięte silnie drzwi. Annie krzyknęła. Do małej izby wpadło czterech mężczyzn: Robert Jamisson, Harry Ratchett i dwóch gajowych Jamissonów. Robert był uzbrojony w rapier i dwa pistolety, a jeden z gajowych trzymał muszkiet. Annie zerwała się i wyskoczyła z balii. Mack, oszołomiony i przestraszony, podniósł się powoli, drżąc na całym ciele. Gajowy z muszkietem obmacywał Annie pożądliwym wzrokiem.

- Gruchający kuzynkowie - skomentował z lubieżnym błyskiem w oku. Mack znał tego człowieka; nazywał się McAlister. Rozpoznał też drugiego, zwalistego osiłka o nazwisku Tanner. Robert roześmiał się chrapliwie.

- Naprawdę są kuzynami? Widać wśród górników kazirodztwo jest na porządku dziennym. Macka opuszczały z wolna strach i oszołomienie wywołane tym nagłym najściem, górę zaczynał brać gniew. Zduślił go jednak w sobie i opanował się. Zawisło nad nim śmiertelne niebezpieczeństwo, a i Annie mogła ucierpieć. Musiał wziąć się w garść, poskromić emocje. Spojrzał na Roberta.

- Jestem wolnym człowiekiem i nie pogwałciłem żadnego prawa - powiedział. - Co robicie w moim domu? McAlistair przyglądał się wciąż łakomie wilgotnemu, parującemu ciału Annie.

- Ładny widoczek - mruknął. Mack przeniósł na niego wzrok.

- Jeśli ją tkniesz - wycedził ostrzegawczo - gołymi rękami łeb ci urwę. McAlistair spojrział na nagie ramiona Macka i chyba doszedł do wniosku, że górnik nie rzuca słów na wiatr, bo chociaż miał w rękach broń, na wszelki wypadek cofnął się o krok. Ale Tanner, potężniejszy od McAlistaira i mniej od niego strachliwy, wyciągnął rękę i chwycił Annie za wilgotną pierś. Mack zareagował błyskawicznie. W ułamku sekundy był już przy Tannerze i trzymał go za przegub. Zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, wepchnął dłoń osiłka w ogień. Tanner wrzasnął i próbował wyrwać rękę z żelaznego uścisku Macka, ale na próżno.

- Puść! - zawył. - Proszę, błagam!

- Uciekaj, Annie! - krzyknął Mack, nadal trzymając rękę mężczyzny w płonących węglach. Annie

porwała sukienkę i wybiegła z chaty drzwiami od podwórka, a na potylicę Macka spadła z trzaskiem kolba muszkietu McAlistaira. Uderzenie rozwścieczyło go, a ucieczka Annie pozbawiła wszelkich hamulców. Puścił Tannera, chwycił McAlistaira za klapy kurtki i wyrznął go głową w twarz, rozkwaszając mu nos. Trysnęła krew, gajowy ryknął z bólu. Mack obrócił się na pięcie i gołą, twardą jak kamień stopą kopnął Harry'ego Ratchetta w krocze. Nadzorca, jęcząc, złożył się wpół. Wszystkie bójki, jakie do tej pory stoczył Mack, miały miejsce na dole, w kopalni, był więc obyty z walką w ograniczonej przestrzeni, ale stawienie czoła czterem przeciwnikom przekraczało jego siły. McAlistair wyrznął go znowu kolbą muszkietu i pod ogłuszonym Mackiem ugięły się na chwilę kolana. Wykorzystał to Ratchett, chwycił go od tyłu i unieruchomił mu ręce. Zanim Mack zdążył oswobodzić się z jego objęć, miał już przy krtani ostrze rapiera Roberta Jamissona.

- Zwiążcie go - powiedział Robert. Przerzucili go przez koński grzbiet i przykrywszy kocem zabrali do Jamisson Castle, i tam, wciąż nagiego, ze spętanymi rękami i nogami, zamknęli w spizarni. Leżał rozdygotany na kamiennej posadzce pośród ociekających krwią bydlęcych, świńskich i jelenich tusz. Starał się rozgrzać poruszając, ale miał ręce i nogi związane i nie był w stanie wytworzyć wiele ciepła. Udało mu się w końcu usiąść i oprzeć plecami o pokryty sierścią bok martwego jelenia. Próbował

podtrzymywać się na duchu śpiewaniem - najpierw ballad, które zwykli nucić w sobotnie wieczory u pani Wheighel, potem pieśni kościelnych, a w końcu starych przyśpiewek z okresu jakobińskiej rebelii; kiedy jednak wyczerpał mu się repertuar, poczuł się jeszcze gorzej niż na początku. Głowa bolała go od uderzenia muszkietem, ale największy ból sprawiała mu świadomość, że tak łatwo dał się pojmać. Jakimż był głupcem, zwlekając z wyruszeniem w drogę. Dał Jamissonom czas na podjęcie działań. Kiedy on obmacywał piersi kuzynki, oni knuli przeciwko niemu. Kiedy pomyślał, co go dalej czeka, zasepił się jeszcze bardziej. Jeśli nie zamarznie na śmierć w tej spiżarni, przewiozą go prawdopodobnie do Edynburga i postawią przed sądem pod zarzutem czynnej napaści na gajowych. Groził za to, podobnie jak za większość przestępstw, stryczek. Wraz z zapadającym zmierzchem słabło światło przesączające się poprzez szpary między drzwiami a framugą. Przyszli po niego, kiedy zegar na majdanie przed stajnią wybił jedenastą. Tym razem było ich sześciu, więc nawet nie próbował stawiać oporu. Zaprowadzili go do Davy'ego Taggarta, kowala sporządzającego narzędzia dla górników, który założył mu na szyję żelazną obrozę, podobną do tej, jaką nosił Jimmy Lee. Był to znak obwieszczający całemu światu, że napiętnowany w ten sposób człowiek jest własnością innego człowieka. Mack był teraz kimś gorszym niż człowiek - był podczłowiekiem, zwierzęciem. Zdjęli mu więzy i

rzucili jakieś łachmany: parę bryczesów, wytartą flanelową koszulę i podartą kurtkę. Włożył to wszystko na siebie, ale nadal było mu zimno. Gajowi ponownie związali mu ręce i wsadzili na kucyka. Pojechali do kopalni. Za kilka minut, o północy, rozpoczynała się środowa szychta. Poganiacz zaprzęgał właśnie wypoczętego konia do wyciągu cebrzykowego. Mack domyślił się, że zamierzają zmusić go do chodzenia wraz z nim w kieracie. Jęknął głośno. Była to szczególnie upokarzająca tortura. Marzył o misce gorącej owsianki i kilku minutach przy płonącym ogniu, lecz zamiast tego sądzone mu było spędzić noc pod gołym niebem. Chciał paść na kolana i błagać o litość, jednak na myśl, że miałby się zniżyć do proszenia o łaskę Jamissonów, obudziła się w nim duma.

- Nie macie do tego prawa! - ryknął. - Nie macie prawa! Gajowi zarechotali. Postawili go na błotnistym kręgu wydeptanym kopytami koni, które dzień i noc truchtały tu w kółko obsługując wyciąg. Chociaż ogarniała go rozpacz, wyprostował się i uniósł wysoko głowę. Zaprzęgli go do dyszla, twarzą do konia, tak żeby nie mógł uskoczyć zwierzęciu z drogi. Potem poganiacz zaciął konia batem i zwierzę ruszyło truchtem. Mack zaczął biec tyłem. Kiedy potknął się pierwszy raz, koń zatrzymał się. Poganiacz zaciął go znowu i Mack ledwie zdążył pozbierać się na nogi. Powoli nabrał wprawy w biegnięciu tyłem. Po jakimś czasie zgubiła go zbytnia pewność siebie i poślizgnął się na zamarzniętym

blocie. Tym razem koń się nie zatrzymał. Mack rzucił się rozpaczliwie w bok, żeby uniknąć kopyt, wleczony przez konia walczył przez parę sekund o utrzymanie równowagi, ale zaraz opadł z sił. Koń nadepnął mu na brzuch, kopnął w udo i stanął. Oprawcy podnieśli Macka z ziemi i ponownie zacięli konia. Uderzenie w brzuch zaparło Mackowi dech w piersiach, lewa noga odmawiała posłuszeństwa, musiał jednak dalej kuśtykać tyłem. Zaciskając zęby, próbował złapać rytm. Widział już ludzi poddawanych tej karze - pierwszy był Jimmy Lee. Wszyscy przeżyli, chociaż pozostały im po tym ślady - fizyczne i psychiczne. Jimmy Lee miał nad lewym okiem szramę po kopnięciu przez konia, a wspomnienie przeżytego upokorzenia podsycalo w nim nienawiść. On, Mack, też wyjdzie z tego żywy. Otepiały z bólu i zimna, przybity świadomością klęski, myślał tylko o tym, że musi utrzymać się na nogach i unikać śmiertelnych końskich kopyt. Z upływem czasu zaczął odczuwać coraz większą wspólnotę z koniem. Obaj dzielili ten sam los. Kiedy poganiacz strzelał z bata, Mack trochę przyśpieszał; a kiedy Mack się potykał, koń zwalniał na chwilę kroku, jakby chciał w ten sposób dać człowiekowi czas na odzyskanie równowagi. Wkrótce zaczęli ściągać rębacze na rozpoczynającą się o północy szychtę. Podchodzili pod stok góry, jak zwykle rozmawiając głośno i pokrzykując, rozdzielając między sobą kuksańce i żartując, ale zbliżywszy się do nadszybia, milkli na widok Macka. Gajowi

potrząsali groźnie muszkietami, kiedy jakiś górnik chciał się zatrzymać. Mack usłyszał podniesiony głos Jimmy'ego Lee, mówiącego coś z oburzeniem, i zobaczył, jak kilku górników otacza go, bierze pod rękę i odciąga w kierunku szybu, żeby nie napytał sobie biedy. Tracił stopniowo poczucie czasu. Przybywali tragarze - kobiety i dzieci. Gawędzili w drodze pod górę i, podobnie jak wcześniej mężczyźni, milkli mijając Macka. Nagle usłyszał krzyk Annie:

- O Boże, zaprzęgli Macka do kieratu! - Ludzie. Jamissonów nie dopuścili jej bliżej, ale zdołała zawołać jeszcze: Siostra cię szuka! Przyprowadzę ją tu! Po jakimś czasie zjawiała się Esther i zanim gajowi zdążyli jej w tym przeszkodzić, zatrzymała konia. Przytknęła do warg Macka flaszkę z osłodzonym mlekiem. Było jak eliksir życia, połykał je więc łapczywie, dławiąc się i krztusząc. Zdążył opróżnić flaszkę do dna, zanim odciągnęli Esther. Noc wlokła się długo jak rok. Gajowi odłożyli muszkiety i obsiedli kręgiem ognisko poganiacza. W sztolni trwała praca. Tragarze wynurzali się nieprzerwanym sznurem z szybu, opróżniali kosze na hałdzie i schodzili z powrotem na dół. Mackowi trafiło się kilka minut wytchnienia, kiedy poganiacz zmieniał konia, jednak nowy koń biegł szybciej. W pewnym momencie uświadomił sobie, że jest już jasno. Za godzinę, najdalej za dwie, rębacze zakończą szychtę, ale ta godzina będzie trwała całą wieczność. Przy wieży szybowej zatrzymał się kucyk.

Mack dostrzegł kątem oka, że jeździec zeskoczył na ziemię i patrzy na niego. Zerknął w tamtą stronę i rozpoznał Lizzie Hallim. Miała na sobie ten sam futrzany płaszcz, w którym była w kościele. Pewnie przyjechała podrwić ze mnie, przemknęło mu przez myśl. Czuł się upokorzony i pragnął, żeby sobie stąd poszła. Ale kiedy spojrzał ponownie na jej elfią twarz, nie dostrzegł w niej drwiny, lecz współczucie, gniew i coś jeszcze, czego nie potrafił określić. Przy kucyku zatrzymał się drugi koń, z którego zeskoczył Robert. Powiedział coś do Lizzie półgłosem, a ona odparła głośno: "To barbarzyństwo!" Umęczony Mack był jej za to niezmiernie wdzięczny. Oburzenie dziewczyny dodało mu otuchy. Świadomość, że wśród szlachetnie urodzonych jest chociaż jedna osoba, która uważa, że istoty ludzkiej nie wolno traktować w ten sposób, podnosiła trochę na duchu. Robert odburknął coś opryskliwie, ale Mack nie zrozumiał z tego ani jednego słowa. Podczas gdy tamci się kłócili, z szybu zaczęli wychodzić mężczyźni. Nie wracali jednak do domów. Otaczali coraz liczniejszym kręgiem kierat i patrzyli w milczeniu na Macka. Zaczęły się też gromadzić kobiety; opróżniwszy swoje kosze nie wracały na dół, lecz dołączały do milczącego tłumu. Robert kazał poganiaczowi zatrzymać konia. Mack mógł w końcu przystanąć. Próbował utrzymać się prosto, ale nogi się pod nim ugięły i padł na klęczki. Podszedł poganiacz, żeby go wyprząc, jednak Robert powstrzymał go gestem ręki.

- No, McAsh - odezwał się głośno, by wszyscy go usłyszeli - powiedziałeś wczoraj, że jeszcze jeden dzień pracy, a do końca życia zostałbyś niewolnikiem. Teraz odpracowałeś ten brakujący dzień i jesteś własnością mojego ojca - oświadczył i odwrócił się, by przemówić do zebranego tłumu. Ale zanim zdążył otworzyć usta, Jimmy Lee zaczął śpiewać. Po dolinie poniosły się tony znanej pieśni: Spójrzcie, tam w udreće się zgina Pod brzemieniem bólu i strat, Na kamienny szczyt się wspina, Dźwigając krzyż - to nasz brat. Robert poczerwieniał.

- Zamilcz! - krzyknął. Jimmy jednak nie usłuchał i zaczął drugą zwrotkę. Zawtórowali mu inni i rozbrzmiał stugłosy chór: Dziś cierniem dlań spojrzenia ludzi Ich smutek zegna go i szloch. Gdy jutro jasny świt się zbudzi, On zmartwychwstanie, strząśnie proch. Robert odwrócił się bezsilny. Ruszył przez błoto do swojego konia, kipiąc wściekłością i zostawiając Lizzie samą. Wskoczył na siodło i odjechał, a górskie powietrze drżało wstrząsane burzą donośnych górniczych głosów. Nie patrzcie już łzawymi oczy, Zwycięstwo nasze czcijcie wraz. My gród na Niebios kształt utoczym, Gdzie będzie wolny każdy z nas!

Przełożył Tomasz Manic

Obudziwszy się, Jay wiedział już, że tego dnia zaproponuje Lizzie małżeństwo. Zaledwie wczoraj

matka poddała mu ten pomysł, i dziś już wiedział, że tego właśnie najbardziej pragnie. Martwił się tylko, czy jego oświadczenia zostaną przyjęte. Owszem, podobam się jej, myślał. Podobał się zresztą większości dziewcząt. Ale Lizzie potrzebne są pieniądze, a on ich nie ma. Matka twierdziła, że tę przeszkodę da się ominąć, jednak dziewczyna będzie może wolała pewność, jaką gwarantowały perspektywy Roberta. Sama myśl, że mogłaby wyjść za jego brata, była Jayowi nienawistna. Ku swemu rozczarowaniu stwierdził, że Lizzie udała się wcześniej rano na przejażdżkę. Był spięty, zbyt spięty, by czekać w domu na jej powrót. Poszedł do stajni i obejrzał białego ogiera, którego ojciec podarował mu na urodziny. Koń nazywał się Blizzard. Jay ślubował wprawdzie, że nigdy go nie dosiądzie, nie mógł się jednak oprzeć pokusie. Puścił konia galopem po sprężystej darni porastającej brzegi strumienia, kierując się w stronę High Glen. Warto było złamać śluby. Miał wrażenie, że niesiony wiatrem szybuje przez powietrze na grzbiecie orła. Blizzard najlepiej czuł się w galopie. Idąc stępa lub kłusując zachowywał się kapryśnie, niepewnie stawiał nogi, poza tym robił się rozdrażniony i narowisty. Ale łatwo można było to wybaczyć koniowi, który potrafił mknąć z wiatrem w zawody. W drodze powrotnej do domu Jay rozmyślał o Lizzie. Zawsze była wyjątkowa, już jako dziewczynka: ładna, buntownicza i płocha. Teraz wyrosła z niej dziewczyna jedyna w swoim rodzaju.

Próżno by szukać lepszego od niej strzelca, pokonała go też w konnym wyścigu, nie bała się zejść do kopalni, a do tego tak dobrze potrafiła się maskować, że zwiodła każdego przy stole... nigdy jeszcze nie spotkał takiej kobiety. Oczywiście była trudna we współżyciu, uparta, egocentryczna i bardziej niż inne kobiety skora do przeciwstawiania się mężczyznom. Ale wszyscy, i Jay między nimi, wybacжали jej, bo przekrzywiając filuternie piękną główkę, uśmiechając się i marszcząc przekornie brwi potrafiła oczarować rozmówcę nawet wtedy, kiedy zadawała kłam każdemu jego słowu. Na majdan przed stajnią wjechał równocześnie z bratem. Robert był w podłym nastroju. W gniewie, czerwony na twarzy i nadęty, jeszcze bardziej niż zwykle upodabniał się do ojca. - Co z tobą, u diabła? - spytał Jay, ale Robert rzucił cugle stajennemu i bez słowa odmaszerował w stronę zamku. Kiedy Jay wprowadzał konia do stajni, na majdan wjechała Lizzie. Ona również była zdenerwowana, jednak rumieniec gniewu na policzkach i błysk w oku czyniły ją jeszcze ładniejszą. Jay nie mógł oderwać od niej oczu. Pragnę tej dziewczyny, myślał, pragnę jej dla siebie. Gotów był oświadczyć się Lizzie natychmiast. Ale zanim zdążył otworzyć usta, zeskoczyła z konia i powiedziała:

- Wiem, że trzeba karać ludzi za niesubordynację, jednak nie wierzę w skuteczność tortur. Jay nie dostrzegał niczego złego w torturowaniu

przestępców, lecz ani myślał przyznawać się do tego, widząc Lizzie w takim nastroju.

- Oczywiście, że nie - odparł. - Wracasz z nadszybia?

- To było okropne. Kazałam Robertowi puścić tego człowieka, ale mnie nie posłuchał. A więc miała scysję z Robertem. Jay starannie ukrył zadowolenie.

- Nie widziałaś jeszcze nigdy człowieka biegnącego w kieracie? To dosyć często wymierzana kara.

- Nie, nie widziałam. Nie wiem, jak mogłam do tej pory pozostawać w błogiej nieświadomości co do realiów życia górników. Chyba ukrywano to wszystko przede mną, bo jestem dziewczyną.

- Widziałem przed chwilą Roberta. Wydawał mi się wytracony z równowagi - podsunął ostrożnie Jay.

- Górnicy zaczęli śpiewać jakąś pieśń i nie przerwali, kiedy kazał im zamilknąć. Jay nie posiadał się z radości. Najwyraźniej widziała, jak z Roberta wylazło to, co było w nim najgorsze. Moje szansę rosłą z minuty na minutę, pomyślał. Kiedy stajenny odebrał od Lizzie konia, ruszyli przez majdan w stronę zamku. W holu zastali Roberta rozmawiającego z sir George'em.

- To był bezczelny, akt buntu - usłyszeli. - Nie wolno nam dopuścić, by uszło to McAshowi płazem. Lizzie westchnęła i Jay dostrzegł kolejną szansę na zyskanie jej względów.

- A ja myślę, że powinniśmy się zastanowić nad ewentualnością puszczenia McAsha wolno - powiedział do ojca.

- Nie bądź śmieszny - parsknął gniewnie Robert. Jay przypomniał sobie argument wysunięty przez Harry'ego Ratchetta.

- Ten człowiek to wichrzyciel, więc chyba lepiej zrobimy, pozbywając się go stąd.

- Zbuntował się otwarcie przeciwko nam - zaprotestował Robert. - Nie może mu to ujść na sucho.

- I nie uszło! - wtrąciła Lizzie. - Został poddany najokrutniejszej z kar!

- Trudno tu mówić o okrucieństwie, Elizabeth - odezwał się sir George. - Musisz zrozumieć, że oni nie są tacy wrażliwi na ból jak my. - Zanim zdążyła zaprotestować, zwrócił się do Roberta: - Ale górnicy wiedzą już, że nie mogą odchodzić wraz z ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia: zademonstrowaliśmy im naszą stanowczość. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy teraz umożliwić temu człowiekowi dyskretne wyniesienie się stąd. Robert nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Jimmy Lee to też wichrzyciel, a przecież pojмалиśmy go i sprowadzili z powrotem.

- To co innego - obstawał przy swoim sir George. - Lee powoduje się emocjami, brak mu pomyślunku... nie nadaje się na przywódcę, z jego strony nic nam nie zagraża. McAsh jest ulepiony z lepszej gliny.

- Ja tam się nie boję McAsha - powiedział Robert.

- On może być naprawdę niebezpieczny - ostrzegł go ojciec. - Potrafi pisać i czytać. Jest ogniomistrzem, co

oznacza, że ludzie mają do niego zaufanie. A sądząc po zajściu, które mi opisałeś, tylko patrzeć, jak okrzykną go bohaterem. Jeśli zmusimy tego człowieka do pozostania, będzie mącił wodę po kres swojego przekłętą żywota. Robert pokiwał niechętnie głową.

- Nadal uważam, że to źle wypadnie - mruknął.

- Więc postaraj się, żeby wypadło lepiej - poradził mu ojciec. - Postaw strażnika na moście. McAsh wybierze prawdopodobnie drogę na przełaj, przez górę. Nie będziemy go ścigać. Niech sobie myślą, że uciekł... są teraz przecież przekonani, że nie ma prawa odejść.

- No dobrze - ustąpił Robert. Lizzie rzuciła Jayowi pełne aprobaty spojrzenie. "Dobra robota!" - odczytał z ruchu jej warg.

- Muszę umyć ręce przed obiadem - burknął Robert. Nie ukrywając złego nastroju, zniknął w głębi domu. Ojciec poszedł do swojego gabinetu. Kiedy zostali sami, Lizzie zarzuciła Jayowi ręce na szyję.

- Udało ci się! Uwolniłeś go! - zawołała i nagrodziła go wylewnym pocałunkiem. Zamurowało go to na chwilę, ale szybko otrząsnął się z szoku, objął dziewczynę w talii i przyciągnął do siebie. Pochylił się i znowu się pocałowali. Tym razem był to inny pocałunek, powolny, zmysłowy i głęboki. Jay przymknął oczy. Zapomniał zupełnie, że stoją w najbardziej publicznym miejscu, w którym bez przerwy kręcili się ludzie - członkowie rodziny, goście i służba. Na szczęście nikt ich nie zaskoczył i

nie zakłócił intymnego momentu. Kiedy oderwali się od siebie, chwytając spazmatycznie oddechy, byli wciąż jeszcze sami. Jay uświadomił sobie, że to najodpowiedniejsza chwila do poproszenia dziewczyny o rękę.

- Lizzie... - zaczął niepewnie.

- Słucham?

- Chciałem powiedzieć... że nie możesz teraz poślubić Roberta.

- Mogę zrobić, co zechcę - odparowała natychmiast. Oczywiście, to nie była dobra taktyka wobec Lizzie. Nie wolno jej nigdy mówić, co może, a czego nie może.

- Nie chodziło mi wcale o...

- Robert może się okazać w całowaniu jeszcze lepszy od ciebie - przerwała mu z szelmowskim uśmiechem. Jay roześmiał się. Lizzie złożyła główkę na jego piersi.

- Naturalnie, że teraz nie mogę już za niego wyjść powiedziała.

- Bo... - zaczął znowu Jay. Spojrzała na niego.

- Bo mam wyjść za ciebie, prawda? Jay nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- No... tak - wykrztusił.

- To o to chciałeś mnie poprosić?

- Prawdę mówiąc... tak, właśnie o to.

- Więc już poprosiłeś. A teraz pocałuj mnie jeszcze raz. Lekko oszołomiony pochylił głowę. Kiedy ich wargi się zetknęły, Lizzie rozchyliła usta i wstrząśnięty, a jednocześnie zachwycony Jay poczuł

wysuwający się z nich płochliwie koniuszek jej języka. Z iloma chłopcami już się całowała, przemknęło mu przez myśl, ale moment nie był odpowiedni, żeby o to pytać. Poczul wzbierającą twardość w kroku bryczesów i stropił się uprzytomniwszy sobie, że mogła to zauważyć. W tym samym momencie Lizzie przytuliła się do niego i już był pewien, że zauważyła. Zamarł na chwilę, niepewny, co począć, i wtedy wprawiała go znowu w osłupienie, przywierając doń jeszcze mocniej. Miewał już do czynienia z doświadczonymi dziewczętami z szynków i kawiarni Londynu, które całowały się w ten sposób i ocierały o mężczyznę, ale z Lizzie było inaczej, zupełnie jakby robiła to po raz pierwszy. Nie usłyszał otwierających się drzwi i aż podskoczył, ogłuszony krzykiem Roberta, który wydarł mu się prosto w ucho: - A co tu się u diabła wyprawia?! Odskoczyli od siebie jak oparzeni.

- Uspokój się, Robercie - wymamrotał Jay. Roberta rozpieierała wściekłość.

- Cholera, co wy tu robicie? - wyrzucił z siebie.

- Nic takiego, braciszku - odparł Jay. - Widzisz, zaręczyliśmy się przed chwilą, a niedługo się pobieramy.

- Ty świni! - ryknął Robert i zamachnął się. Był to cios zadany na oślep i Jay z łatwością się przed nim uchylił, ale w następnej chwili Robert rzucił się na niego i zaczął go okładać pięściami. Jay ostatni raz bił się z bratem, kiedy byli jeszcze chłopcami, pamiętał jednak, że Robert, choć silny, jest powolny

w ruchach. Odskoczył, żeby uniknąć gradu ciosów, i wyczuwszy odpowiedni moment dopadł brata i zwarł się z nim. Ku jego zdumieniu Lizzie wskoczyła Robertowi na plecy i zaczęła bić go piąstkami po głowie, piszcząc: "Zostaw go! Zostaw go!" Widok ten tak rozśmieszył Jaya, że nie mógł dalej walczyć. Puścił Roberta, a on odwrócił się, wyprowadzając z półobrotu cios, który wylądował tuż obok oka brata. Jay zatoczył się w tył i rozciągnął na wznak na posadzce. Zdrowym okiem widział, jak Robert bezskutecznie usiłuje zrzucić z siebie Lizzie. Pomimo bólu promieniującego na całą twarz, Jay ponownie parsknął śmiechem. W tym momencie do sali weszła matka Lizzie, a zaraz za nią Alicia i sir George. Uplłynęła dłuższa chwila, zanim lady Hallim otrząsnęła się z osłupienia.

- Elizabeth Hallim, złaż natychmiast z tego mężczyzny! wykrztusiła. Jay pozbierał się z podłogi, a Lizzie zsunęła się z pleców Roberta. Szok odebrał trójce rodziców mowę. Jay, przyciskając dłonią podbite oko, skłonił się matce Lizzie.

- Lady Hallim - powiedział uroczyście - mam zaszczyt prosić o rękę pani córki.

- Ty przeklęty głupcze - powiedział kilka minut później sir George. - Przecież nie masz środków do życia. Rodziny rozeszły się, by na osobności przedyskutować niespodziewany zwrot sytuacji. Lady Hallim z Lizzie udały się na górę. Sir George, Jay i Alicia wybrali gabinet. Robert gdzieś w samotności przetrawiał porażkę. Jay zdusił ripostę,

która cisnęła mu się na usta. Przypomniawszy sobie sugestię matki, odparł:

- Jestem przekonany, że poradzę sobie z zarządzaniem posiadłością High Glen lepiej niż lady Hallim. To tysiące akrów ziemi... powinniśmy wycisnąć z niej dochód wystarczający, by mieć środki do życia.

- Nie zostaniesz właścicielem High Glen, głupku. Ten majątek ma obciążoną hipotekę. Jay, upokorzony pogardliwą odpowiedzią ojca, poczuł, jak na policzki wypływa mu rumieniec.

- Mógłby zaciągnąć nowe pożyczki pod hipotekę - podsunęła matka.

- Widzę, że bierzesz jego stronę - fuknął ojciec.

- Nic mu nie dałeś. Chcesz, żeby wszystko zdobywał sam, tak jak ty. No więc zdobywa, a pierwsze, co zdobył, to Lizzie Hallim. - Dokonał tego sam czy z twoją pomocą? - warknął zgryźliwie sir George.

- To nie ja zabrałam ją do sztolni - zauważyła Alicia.

- No tak... I nie ty całowałaś się z nią w holu - przyznał zrezygnowanym tonem jej mąż. - W porządku. Oboje ukończyli już dwadzieścia jeden lat, jeśli więc chcą popełniać głupstwa, nie mam im prawa tego zabraniać. - Jego twarz przybrała chytry wyraz. - Jakkolwiek na to patrzeć, węgiel spod High Glen i tak dostanie się naszej rodzinie.

- O nie, nic z tego - powiedziała Alicia. Ojciec i syn spojrzeli na nią zdumieni.

- Co ty, u diabła, wygadujesz? - warknął sir George.

- Nie będziesz drażył szybów na ziemi Jaya... bo niby jakim prawem?

- Nie bądź głupia, Alicio. Pod High Glen zalega fortuna w węglu. Grzechem byłoby ją tam zostawić.

- Jay może scedować prawa do wydobywania na kogoś innego. Istnieje kilka spółek akcyjnych otwierających nowe kopalnie... słyszałam to z twoich własnych ust.

- Nie będziecie robili interesów z moimi rywalami! wykrzyknął sir George. Jay był pełen podziwu dla odwagi matki. Ale zapomniała chyba o obiekcjach Lizzie względem wydobywania węgla.

- Chciałem ci przypomnieć, mamó, że Lizzie... - zaczął. Matka rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i nie dała skończyć.

- Może Jay woli ubijać interesy z twoimi rywalami zwróciła się do męża. - Nie jest ci przecież nic winien po zniewadze, jakiej doznał od ciebie w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin.

- Jestem jego ojcem, do diabła!

- No to zacznij się zachowywać jak ojciec. Pogratuluj mu zaręczyn. Przyjmij jego narzeczoną jak córkę i weź się do planowania uroczystości weselnych. Sir George patrzył na nią przez chwilę.

- Tego właśnie chcesz?

- Nie tylko.

- Mogłem się domyślić. Czego jeszcze?

- Prezentu ślubnego.

- O co ci chodzi, Alicio?

- O Barbados. Jay o mało nie zerwał się z fotela. Tego się nie spodziewał. Ależ przebiegłą miał matkę!

- Wykluczone! - ryknął ojciec. Matka wstała.

- Rozważ to sobie - powiedziała chłodno. - Zawsze mawiałeś, że z tymi plantacjami trzciny cukrowej masz tylko same problemy. Zyski przynoszą wysokie, ale ustawicznie przysparzają kłopotów: a to spadnie deszcz, a to niewolnicy zaczynają chorować i umierać, to znowu Francja zbija ci ceny albo statki toną na morzu. Natomiast z węglem sprawa jest prosta. Wykopujesz go spod ziemi i sprzedajesz. Powiedziałeś mi kiedyś, że to zupełnie tak, jakby znajdować pieniądze na gościńcu. Jay dygotał z podniecenia. Może mimo wszystko dostanie to, czego pragnął. Ale co z Lizzie?

- Barbados obiecałem już Robertowi - oświadczył ojciec.

- Więc cofnij tę obietnicę - zażądała matka. - Bóg świadkiem, że Jay owi też wiele obiecywałeś, i na tym się kończyło. - Te plantacje trzciny cukrowej to spuścizna Roberta. Matka ruszyła do drzwi, a Jay za nią.

- Rozmawialiśmy już o tym, George, i znam wszystkie twoje argumenty - powiedziała. - Ale teraz sytuacja się zmieniła. Jeśli zależy ci na węglu Jaya, będziesz musiał dać mu coś w zamian. Jeśli mu nie dasz tych plantacji, nie dostaniesz węgla. Sprawa jest prosta i masz mnóstwo czasu na zastanowienie - dodała i wyszła. Jay podążył za nią.

- Byłaś wspaniała! - szepnął, kiedy znaleźli się na korytarzu. - Ale Lizzie nie pozwoli na otwarcie kopalni w High Glen.

- Wiem, wiem - mruknęła niecierpliwie matka. - Tak teraz mówi. Może jednak jeszcze zmienić zdanie.

- A jeśli nie zmieni? - spytał z niepokojem Jay.

- Wtedy będzie czas, żeby się o to martwić - odparła matka.

Lizzie zeszła na dół w futrzanej opończy tak obszernej, że choć była okręcona nią dwa razy, musiała jeszcze uważać, by nie nastąpić na wlokące się po ziemi poły. Doszła do wniosku, że jeśli nie zaczerpnie świeżego powietrza, to się tu udusi. Atmosfera w zamku groziła w każdej chwili wybuchem; Robert z Jayem ciskali sobie nienawistne spojrzenia, na nią boczyła się matka, sir George był wściekły na Jaya i wyczuwało się również wrogość pomiędzy Alicią a sir George'em. Obiad upłynął w napiętym milczeniu. Kiedy przechodziła przez hol, z cieni wynurzył się Robert. Zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Ty dziwko! - syknął. Każda dama uznałaby to za śmiertelną obelgę, jednak Lizzie niełatwo było urazić, a poza tym uważała, że Robert ma powody do gniewu.

- Musisz być teraz dla mnie jak brat - powiedziała pojednawczo. Chwycił ją za ramię i ścisnął mocno.

- Jak możesz przedkładać nade mnie tego lizusowatego, nędznego bękarta?

- Zakochałam się w nim - odparła. - Puść mnie. Ścisnął ją jeszcze mocniej, a twarz pociemniała mu z furii. - Coś ci powiem - wycedził przez zaciśnięte zęby. Nawet jeśli nie mogę mieć ciebie, to High Glen i tak będzie należała do mnie.

- Mylisz się - powiedziała Lizzie. - Kiedy wyjdę za mąż, High Glen stanie się własnością mojego męża.

- To się jeszcze okaże. Sprawiał jej ból.

- Puść moją rękę, bo zacznę krzyczeć - zagroziła. Puścił.

- Będiesz tego żałowała do końca życia - zapowiedział i odszedł. Lizzie wyszła na dziedziniec i jeszcze szczerzej owinęła się futrem. Chmury rozstały się częściowo i wyjrzał zza nich księżyc: noc była na tyle jasna, że przecinając dziedziniec i schodząc nad rzekę opadającym łagodnie trawnikiem nie miała trudności z wypatrzeniem drogi. Nie żałowała, że odrzuciła Roberta. On jej nigdy nie kochał. Gdyby ją kochał, byłby teraz smutny, a on zamiast tego wściekał się, że wybrała jego brata. Tak czy inaczej, spotkanie z Robertem wytrąciło ją z równowagi. Oczywiście nie zdoła jej odebrać High Glen. Ale pewnie będzie próbował odegrać się w inny sposób, tylko w jaki? Wyrzuciła go z myśli. Dopięła swego. Miała Jaya zamiast Roberta. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie mogła zacząć planować ślub i urządzać dom. Najchętniej już teraz zamieszkałaby z nim pod jednym dachem, spała w tym samym łóżu i budząc się co rano widziała jego głowę na poduszce obok

swojej. Była podniecona i jednocześnie przestraszona. Znała Jaya od dziecka, jednak od kiedy stał się mężczyzną, spędziła z nim zaledwie kilka dni. Grała w ciemno. Ale przecież, myślała, małżeństwo to zawsze gra w ciemno: nie można poznać drugiej osoby, dopóki się z nią nie zwiąże. Jej matka była niepokojona. Marzyła, że Lizzie wyjdzie za bogatego człowieka i lata ubóstwa pójdą w zapomnienie. Musiała jednak pogodzić się z faktem, że córka ma swoje własne marzenia. Lizzie nie martwiła się o pieniądze. Sir George prawdopodobnie coś w końcu Jayowi da, a jeśli nawet nie, to będą mogli mieszkać w High Glen House. Niektórzy szkoccy posiadacze ziemscy karczowali lasy i dzierżawili uzyskane w ten sposób tereny hodowcom owiec na pastwiska; Jay z Lizzie też mogli tego spróbować, żeby zgromadzić trochę kapitału. Jakkolwiek ułożą się sprawy, będzie ciekawie. Najbardziej podobało jej się w Jayu to pragnienie przygody. Nie miał żadnych oporów, by pokazać jej kopalnię węgla i wyjechać do kolonii. Ciekawa była, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. Jay wciąż miał nadzieję, że dostanie tę posiadłość na Barbadosie. Myśl o wyjeździe z kraju ekscytowała Lizzie niemal tak samo, jak perspektywa zamążpójścia. Chodziły słuchy, że żyje się tam bardzo przyjemnie, bez obowiązujących w Anglii sztywnych konwenansów, które tak ją irytowały. Wyobrażała już sobie, jak zrzuca sztywne halki i krynoliny, obcina włosy i spędza całe dni na

końskim grzbiecie, z muszkietem przewieszonym przez plecy. Zastanawiała się, czy Jay ma jakieś wady. Matka powiedziała, że jest próżny i zapatrzone w siebie, ale Lizzie nie spotkała jeszcze mężczyzny, któremu nie można by tego zarzucić. Z początku, kiedy we wszystkim ustępował potulnie bratu i ojcu, uznała go za człowieka słabego charakteru, teraz jednak uważała, że błędnie go oceniła, bo proponując jej małżeństwo rzucił przecież wyzwanie im obu. Zeszła nad sam brzeg rzeki. Był to właściwie górski potok spływający w dolinę. Głęboki, szeroki na jakieś trzydzieści jardów i bardzo bystry. Księżycowa poświata tańczyła na jego wzburzonej powierzchni srebrzystymi łatami, przywodzącymi na myśl potrzaskaną mozaikę. Powietrze było tak zimne, że zapierało dech w piersiach, ale futro nie dopuszczało chłodu do ciała. Lizzie oparła się o gruby pień starej sosny i zapatrzyła w spienioną wodę. Nagle jej oko zarejestrowało jakiś ruch na przeciwległym brzegu, trochę dalej w górę strumienia. Pomyślała najpierw, że to pewnie jeleni - często buszowały po nocy. Chyba nie mógł to być człowiek, bo głowa była nieproporcjonalnie wielka. Po chwili pomyślała, że może to być człowiek z tobołkiem na głowie. Jej przypuszczenie się potwierdziło. Krusząc z chrzęstem warstewkę lodu, jaka utworzyła się przy samym brzegu, tajemniczy osobnik wszedł do wody i zanurzył się w rwący nurt. W tobołku miał prawdopodobnie ubranie. Co jednak kazało mu

przepływać rzekę pośród głuchej nocy, w środku zimy? Przyszło jej do głowy, że to może być McAsh, zamierzający w ten sposób uniknąć spotkania ze strażnikiem postawionym na moście. Choć była opatulona futrem, wzdrygnęła się na myśl, jak lodowata musi być woda w potoku. Nie mieściło jej się w głowie, że człowiek jest w stanie go przepłynąć, nie przyplacając tego życiem. Zdawała sobie sprawę, że powinna się stąd jak najszybciej oddalić. Stojąc tu i obserwując nagiego mężczyznę pokonującego wpływ rzekę, narażała się tylko na kłopoty. Mimo to ciekawość wzięła górę i nadal śledziła głowę walczącego z nurtem pływaka, sunącą ukosem w jej kierunku. Rwący prąd znosił go z prostopadłego kursu, ale mężczyzna ani na chwilę nie zwalniał tempa - musiał być bardzo silny. W połowie drogi szczęście go jednak opuściło. Lizzie dostrzegła na powierzchni wody mknący wprost na niego ciemny kształt, w którym rozpoznała zwalone drzewo. Mężczyzna zauważył je chyba dopiero wtedy, kiedy kolizji nie dało się już uniknąć. Oberwał grubym konarem w głowę, a ramiona zaplątały mu się w cieńsze gałęzie. Znikł pod wodą i Lizzie wstrzymała oddech. Wyteżając wzrok, wypatrywała tajemniczego pływaka - bo nadal nie miała pewności, czy to rzeczywiście McAsh. Drzewo było coraz bliżej, ale on się nie wynurzał. "Błagam, nie utoń", wyszeptała. Drzewo minęło ją, jednak po śmiałku nadal nie było śladu. Lizzie przemknęło przez myśl, żeby pobiec po pomoc, ale znajdowała się przecież

ćwierć mili albo i dalej od zamku - zanim zdążyłaby wrócić, żywy czy martwy, byłby już daleko stąd. Może mimo wszystko spróbować? - pomyślała. Kiedy tak stała w rozterce, głowa mężczyzny wynurzyła się nagle spod wody dobry jard za płynącym drzewem. Jakimś cudem zawiniątko przytwierdzone do głowy trzymało się nadal. Biedak nie był już jednak w stanie płynąć miarowym tempem: miotał się w kipieli, młóćąc rozpaczliwie rękami i nogami, chwytając spazmatycznymi haustami powietrze, krztusząc się i kaszląc. Lizzie zbiegła nad sam brzeg. Lodowata woda od razu przesiąkła przez jej jedwabne pantofelki i zmroziła stopy.

- Tutaj! - zawołała. - Wyciągnę cię! Ale on chyba jej nie usłyszał; nadal szamotał się rozpaczliwie w wodzie, jakby tonął. Po chwili jednak opanował się z wysiłkiem i rozejrzał.

- Tutaj! - zawołała znowu Lizzie. - Pomogę ci! Zakaszłał, zakrztusił się i znowu poszedł pod wodę, ale tym razem wynurzył się niemal natychmiast i parskając zaczął płynąć w jej stronę. Nie dbając o jedwabną suknię i futro, Lizzie uklękła w lodowatym bloku. Serce podchodziło jej do gardła. Kiedy pływak był już blisko, wyciągnęła rękę. Ramiona mężczyzny szukały na oślep czegoś, czego można by się przytrzymać. Chwyciła go za przegub i przyciągnęła do siebie. Gdy wywlokła Macka na brzeg, wzięła go pod pachy, wryła się jedwabnymi pantofelkami w błoto i znowu szarpnęła. Pomagał jej

jak mógł, zapierając się nogami o dno i odpychając, i po chwili udało jej się wyciągnąć go całego na brzeg. Wyprostowała się i dysząc ciężko spojrziała z góry na rozciągnięte u jej stóp nagie i mokre męskie ciało, przypominające jakiegoś morskiego potwora schwytanego przez rybaka-olbrzyma. Tak jak się domyślała, mężczyzną, któremu ocaliła życie, był Malachi McAsh. Pokręciła z podziwem głową. Cóż to za człowiek? W ciągu ostatnich dwóch dni cudem przeżył eksplozję gazu i poddany został okrutnej torturze, a znalazł w sobie jeszcze tyle sił i hartu ducha, by uciec przepływając lodowatą rzekę. On chyba nigdy nie daje za wygraną, pomyślała. Leżał teraz na wznak dysząc chrapliwie, wstrząsany gwałtownymi dreszczami. Na szyi nie miał już żelaznej obroży ciekawe, jak się jej pozbył, pomyślała. Mokra skóra połyskiwała srebrzyście w księżycowej poświacie. Lizzie po raz pierwszy widziała nagiego mężczyznę i chociaż była zaabsorbowana troską o jego życie, z fascynacją wpatrywała się w penis pomarszczoną rurkę spoczywającą w gęstwinie ciemnych, poskręcanych włosów u zbiegu jego muskularnych ud. Uświadomiła sobie, że jeśli będzie długo tak leżał, może umrzeć z zimna. Uklękła przy nim i odwiązała przymocowane do jego głowy przemoczone zawiniątko. Potem położyła mu dłoń na ramieniu. Było lodowate.

- Wstawaj! - rzuciła ponaglająco. Nie poruszył się. Potrząsnęła nim, wyczuwając pod jego skórą grube

sploty mięśni. - Wstawaj, bo umrzesz! - Chwyciła go obiema rękami, ale zorientowała się szybko, że bez jego współpracy nie ruszy go z miejsca - był zbyt ciężki. - Mack, proszę cię, nie umieraj - zaszlochała. W końcu pozbierał się powoli na czworaki, potem sięgnął po rękę Lizzie i przy jej pomocy podźwignął się do pozycji stojącej.

- Dzięki ci, Boże - wysapała. O mało się nie przewróciła, kiedy wsparł się na niej całym ciężarem. Musiała go jakoś rozgrzać. Rozchyliła poły szuby i przywarła do niego. Przyłgął do niej skwapliwie, chłonąc z jej ciała życiodajne ciepło całą swoją szeroką, twardą klatką piersiową. Lizzie ponownie ogarnęło przemożne poczucie więzi z tym mężczyzną. Nie rozgrzeje się, dopóki będzie mokry, pomyślała. Musiała go jakoś wytrzeć. Potrzebna jej była jakaś szmata, cokolwiek, co można byłoby użyć w charakterze ręcznika. Miała na sobie kilka płóciennych halek - jedną może poświęcić.

- Możesz już stać o własnych siłach? - spytała.

Rozkaszał się, ale zdołał kiwnąć głową. Puściła go i zadarła dół sukni. Ściągając halkę czuła na sobie jego wzrok. Potem zaczęła go nią wycierać. Wytarła mu twarz i włosy i zabrała się do wycierania szerokich pleców i twardych, kształtnych pośladków. Uklękła i osuszyła mu nogi. Wstała, obróciła go, by wytrzeć mu piersi, i zamarła zaszokowana na widok jego wyprężonego penisa. Pomyślała, że powinno ogarnąć ją obrzydzenie i przerażenie, ale niczego takiego nie odczuwała. Była zafascynowana i

zaintrygowana; przepelniała ją naiwna duma, że jest w stanie wyrzeć taki wpływ na mężczyznę; czuła coś jeszcze, ból i napięcie umiejscowione gdzieś głęboko w środku. Nie było to radosne podniecenie, jakiego doznawała całując się z Jayem: nie miało to nic wspólnego z przekomarzaniem i pieszczotami. Nagle przestraszyła się, że McAsh powali ją na ziemię, zedrze z niej ubranie i zgwałci, a najbardziej przerażająca była świadomość, że tak naprawdę chyba pragnęła, by to zrobił. Jej obawy okazały się bezpodstawne.

- Przepraszam - wymamrotał. Odwrócił się, schylił do swojego zawiniątka i wyciągnął z niego parę przemoczonych tweedowych bryczesów. Wyżał je niemal do sucha, wciągnął na siebie i puls Lizzie zaczął powracać do normy. Kiedy przystąpił do wyżymania koszuli, Lizzie uświadomiła sobie, że jeśli Mack ubierze się teraz w mokre rzeczy, to prawdopodobnie jeszcze przed brzaskiem umrze na zapalenie płuc. Nie mógł jednak pozostać nagi.

- Zaczekaj, przyniosę ci jakieś odzienie z zamku - powiedziała.

- Nie - zaprotestował. - Spytają cię, po co ci ono.

- Mogę tam wejść i wyjść tak, żeby nikt mnie nie zauważył... w moim pokoju leży męskie ubranie, które miałam na sobie w kopalni. Pokręcił głową.

- Nie będę tu tracił czasu. Rozgrzeję się idąc - mruknął i zaczął wykręcać wodę z kraciastego koca. Pod wpływem impulsu Lizzie ściągnęła z siebie futrzaną szubę. Była tak obszerna, że powinna

pasować na Macka. Dużo kosztowała i być może już nigdy sobie na taką nie pozwoli, ale ocali mu nią życie. Wolą na razie nie myśleć, jak wytłumaczy jej zniknięcie matce.

- Więc włóż to, a koc weź pod pachę. Może trafi ci się okazja, żeby go gdzieś wysuszyć. - Nie czekając na jego zgodę, zarzuciła mu szubę na ramiona. Zawahał się, a potem okręcił się nią. Była tak duża, że okryła go całego. Podniósł z ziemi tobolek i wyciągnął z niego buty. Podał Lizzie mokry koc, a ona wepchnęła go do torby. Czyniąc to, natrafiła ręką na żelazną obrozę. Wyciągnęła ją. Obręcz była rozerwana i pogięła się przy ściąganiu z szyi.

- Jak to zrobiłeś? - spytała. Wzuwał buty.

- Włamałem się do kopalnianej kuźni i skorzystałem z narzędzi Taggarta. Nie mógł tego dokonać sam, pomyślała Lizzie. Siostra musiała mu pomagać.

- Po co ją ze sobą zabierasz? Jego oczy zapłonęły gniewem.

- Żeby nigdy nie zapomnieć - powiedział gorzko.

Nigdy. Włożyła obrozę z powrotem do torby i na jej dnie wymacała dużą książkę.

- Co to? - spytała.

- "Robinson Cruzoe".

- Moja ulubiona powieść! Odebrał jej torbę. Był gotowy do drogi. Lizzie przypomniała sobie jak Jay nakłaniał sir George'a do puszczenia McAsha wolno.

- Gajowi nie będą cię ścigać - powiedziała. Spojrzał na nią. W jego oczach czaiła się nadzieja i niedowierzanie.

- Skąd wiesz?

- Sir George ma ciebie za takiego mąciwode, że z chęcią się ciebie pozbędzie. Postawił straż na moście tylko po to, żeby górnicy nie dowiedzieli się, że pozwala ci odejść wolno; spodziewa się jednak, że się jakoś wymkniesz z doliny, i nie zamierza wysłać za tobą pogoni. Na umęczonej twarzy Macka odmalował się wyraz ulgi.

- Czyli nie muszę się przejmować ludźmi szeryfa - mruknął. - Dzięki Bogu. Lizzie dygotała z zimna bez szuby, ale wewnątrz czuła ciepło. - Idź szybko i nie rób postojów na odpoczynek - poradziła. - Jeśli zatrzymasz się przed świtem, umrzesz. Pokiwał głową, a potem wyciągnął rękę. Podała mu swoją, a on, ku jej zaskoczeniu, uniósł ją do pobielających warg i pocałował. Uczyniwszy to, odwrócił się i oddalił. - Powodzenia - powiedziała cicho.

Buty maszerującego w blasku księżyca Macka kruszyły z chrzęstem warstewki lodu ścinającego kałuże na drodze. Rozgrzewał się szybko pod futrzaną szubą Lizzie Hallim. Jedynym odgłosem poza jego krokami był szum rzeki płynącej wzdłuż szlaku. Ale dusza rozbrzmiewała mu pieśnią wolności. W miarę oddalania się od zamku zaczynał dostrzegać zabawną stronę swojego spotkania z Lizzie Hallim. Ona w haftowanej sukni, jedwabnych pantofelkach i z fryzurą, na której ułożenie dwie pokojówki straciły zapewne pół godziny, i on, nadpływający rzeką nago, jak go Pan Bóg stworzył.

Musiąla doznać szoku. Ostatniej niedzieli zachowywała się w kościele jak typowa arogancka szkocka arystokratka, tępą i zadufaną. Miała jednak odwagę podjąć wyzwanie Macka i zejść do sztolni. A dzisiaj dwukrotnie ocaliła mu życie - najpierw wyciągając go z wody, potem zaś oddając mu swoją szubę. Zdziwiająca z niej kobieta. Przytuliła się do niego, żeby ogrzać go własnym ciałem, a potem klęcząc wycierała go swoją halką. Czy znalazłaby się w Szkocji druga taka dama, która zrobiłaby to dla górnika? Przypomniął sobie, jak padła mu w ramiona w sztolni i jak poczuł w dłoni jej ciężką, miękką pierś. Przykro mu się zrobiło na myśl, że być może nigdy już jej nie zobaczy. Miał nadzieję, że ona również znajdzie jakiś sposób, by wyrwać się z tej zabitej deskami dziury. Jej pragnienie przygód zasługiwało na szersze horyzonty. Stado łań pasące się pod osłoną ciemności przy drodze rozpierzchło się w popłochu, kiedy przechodził obok; po chwili znowu został sam. Był bardzo wyczerpany. Chodzenie w kieracie kosztowało go więcej, niż sądził. Widać ludzkie ciało nie jest w stanie zregenerować się po czymś takim w ciągu dwóch dni. Rzekę przepłynąłby z łatwością, ale zderzenie z niesionym przez nurt drzewem pozbawiło go reszty sił. Głowa w miejscu, gdzie oberwał konarem, bolała go do tej pory. Na szczęście nie miał dzisiaj przed sobą dalekiej drogi. Dojdzie tylko do Craigie, górniczej osady odległej od doliny o sześć mil. Tam schroni się w domu brata matki, wuja Eba, i

wypocznie do jutra. Będzie spał spokojnie wiedząc, że Jamissonowie nie mają zamiaru go ścigać. Rano napcha brzuch owsianką i szynką, a potem wyruszy do Edynburga. Stamtąd odpłynie pierwszym statkiem, na jaki uda mu się zaciągnąć, nie zważając na jego miejsce przeznaczenia - może to być dowolny port od Newcastle do Pekinu. Uśmiechnął się, ubawiony własną zuchowatością. Nigdy nie zawędrował dalej niż na jarmark w miasteczku Coast, do którego było dwadzieścia mil - Edynburga nie widział na oczy - a teraz marzy mu się podróż do rozmaitych egzotycznych miejsc. Idąc zrytym koleinami, błotnistym gościńcem rozmyślał o swojej wyprawie. Odchodził z jedyne go domu, jaki kiedykolwiek miał, z miejsca, gdzie się urodził i gdzie umarli jego rodzice. Zostawiał Esther, swoją siostrę, przyjaciółkę i sprzymierzeńca, chociaż żywił w sercu nadzieję, że niedługo uda mu się ją zabrać z Heugh. Zostawiał Annie, kuzynkę, która nauczyła go, jak grać na jej ciele niczym na muzycznym instrumencie. Ale przecież od początku wiedział, że kiedyś do tego dojdzie. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze marzył o ucieczce. Zawsze zazdrościł domokrażcy Daveyowi Patchowi jego wolności. Teraz jego marzenia się ziściły. Na samą myśl o tym, co zrobił, ogarniała go duma. Odchodził. Nie wiedział, co przyniesie jutro. Być może czeka go życie w biedzie, cierpieniu i stałym zagrożeniu. Ale na pewno nie będzie to kolejny dzień spędzony w sztolni, kolejny dzień niewolnictwa. Jutro będzie

człowiekiem, który sam o sobie decyduje. Doszedł do zakrętu i obejrzał się. Widać było stąd jeszcze Jamisson Castle, jego zwieńczoną blankami sylwetkę skąpaną w poświacie księżyca. Nigdy już go nie zobaczę, pomyślał, i ta myśl napelniła go takim szczęściem, że zaczął tańczyć pośrodku błotnistej drogi, pogwizdując i obracając się w kółko. W końcu zatrzymał się, roześmiał cicho pod nosem i ruszył dalej doliną.

*** * ***

II Londyn

Kostium Shylocka* składał się z obszernych szarawarów, długiej, czarnej togi i trójgraniastego kapelusza. Grający go aktor z wielkim nosem, obwisłym podwójnym podgardlem i cienkimi ustami wykrzywionymi w trwałym grymasie, był szpetny jak noc. Wyszedł na scenę powolnym, mierzonym krokiem.

- Trzy tysiące dukatów - warknął mściwie. Dreszcz zgrozy przeszedł przez widownię. Mack patrzył jak zahipnotyzowany. Nawet na zatłoczonym parterze, gdzie stał z Dermotem Rileyem, Irlandczykiem, u którego mieszkał, było cicho jak makiem zasiał. Shylock mówił ściszym głosem, przedzielając kolejne słowa pomrukami i warknięciami. Jego jasne oczy miały błyskawice spod krzaczastych brwi.

- Trzy tysiące dukatów za trzy miesiące i Antonio...

- To Charles Macklin - szepnął Mackowi do ucha Dermot. - Zabił kiedyś człowieka i stanął przed sądem pod zarzutem morderstwa, ale zeznał, że działał w afekcie, i wywinął się od stryczka. Mack słuchał go jednym uchem. Wiedział oczywiście o istnieniu takich rzeczy jak teatry i sztuki, ale nie wyobrażał sobie, że to będzie tak wyglądało: duchota, kopcające olejowe lampki, fantastyczne kostiumy, umalowane twarze, a przede wszystkim emocje - wściekłość, namiętna miłość, zazdrość**

*** Lichwiarz z "Kupca weneckiego" Szekspira.**

**** Angielski aktor dramatyczny, 1700-1797**

i nienawiść - oddane tak realistycznie, że serce biło mu przyśpieszonym rytmem, jakby to wszystko działo się naprawdę. Kiedy Shylock odkrył, że jego córka uciekła, zaczął się miotać po scenie bez kapelusza, z rozwianym włosiem, zaciskając pięści w bezsilnej furii i wrzeszcząc: "Wiedzieliście!" jak człowiek poddawany piekielnej torturze. A kiedy ryknął: "Skoro jestem psem, strzeżcie się mych klów!" i w paru susach dopadł krawędzi sceny, jakby zamierzał przesadzić rząd płonących tam lamp, cała widownia cofnęła się odruchowo.

- Czy Żydzi naprawdę są tacy? - spytał Mack Dermota, kiedy opuszczali teatr. Jeszcze nigdy w życiu nie zetknął się z Żydem, a Żydów z Biblii nie przedstawiano przecież w taki sposób.

- Miałem do czynienia z Żydami - odparł Dermot jednak dzięki Bogu nigdy z takimi jak Shylock. Zresztą lichwiarze są powszechnie znienawidzeni. Wszystko pięknie ładnie, kiedy zwracasz się do nich o pożyczkę, ale jak przychodzi do spłaty długu, stają się twoimi wrogami. W Londynie nie spotykało się zbyt wielu Żydów, za to roiło się tu od różnych innych nacji. Byli wśród nich oliwkowoskórzy azjatyccy żeglarze nazywani lascarami, hugenoci z Francji, były tysiące Afrykanów o czekoladowej skórze i wełnistych włosach oraz niezliczone rzesze Irlandczyków takich jak Dermot. Dla Macka stanowili część ekscytującego folkloru tego miasta.

W Szkocji wszyscy wyglądali tak samo. Kochał Londyn. Każdego ranka, kiedy po przebudzeniu przypominał sobie, gdzie się znajduje, doznawał przyjemnego dreszczyku podniecenia. To miasto obfitowało we wspaniałe widoki i niespodzianki, w ciekawych ludzi i nowe doświadczenia. Uwielbiał wdychać nęcący aromat kawy ulatniający się z licznych kawiarni; żałował, że nie stać go na to, by ją pić. Podziwiał wspaniałe barwy - jasną żółć, purpurę, szmaragdową zieleń, szkarłat i błękit - strojów noszonych przez mężczyzn i kobiety. Wsłuchiwał się w porykiwania stad przerażonego bydła pędzonego wąskimi uliczkami do miejskich rzeźni i opędzał się od hord prawie nagiej dzieciarni, zebrzącej i kradnącej. Widywał prostytutki i biskupów, chodził na walki byków i na aukcje, kosztował bananów, imbiru i czerwonego wina. Fascynowało go to wszystko. A najbardziej fascynował go fakt, że jest wolny i może chodzić dokąd chce i robić, co dusza zapragnie. Naturalnie musiał jakoś zarabiać na życie. Nie było to łatwe. Londyn roił się od głodujących rodzin, które ściągnęły tu za chlebem ze wsi, gdzie po dwóch latach nieurodzaju brakowało żywności. Tułały się tu też tysiące tkaczy chałupników, którym, jak twierdził Dermot, nowe fabryki wybudowane na północy odebrały możliwość zarobku. O każde stanowisko pracy walczyło pięciu zdesperowanych chętnych. Kto nie miał szczęścia, żebrał, kradł, prostytuował się albo przymierał głodem. Dermot

sam był tkaczem. Gnieździł się z żoną i pięciorgiem dzieci w dwóch izdebkach w Spitalfields. Żeby związać jakoś koniec z końcem, musieli podnająć izbę, w której Dermot miał swoją pracownię, i Mack sypiał tam teraz na podłodze, obok dużego, milczącego warsztatu tkackiego, przypominającego o trudach miejskiego życia. Mack i Dermot wspólnie szukali pracy. Czasami udawało im się zatrudnić w charakterze kelnerów w kawiarniach, ale wytrzymywali tam tylko dzień lub dwa; Mack był zbyt duży i niezgrabny, by biegać z tacą i rozlewać napitki do maleńkich filiżanek, a Dermot, człowiek dumny i wrażliwy, obrażał wcześniej czy później jakiegoś klienta. Pewnego dnia Macka przyjęto na lokaja do pewnego dużego domu w Clerkenwell, ale odszedł stamtąd następnego dnia, kiedy pan i pani poprosili, żeby położył się z nimi do łóża. Dzisiaj trafiła im się praca tragarzy, noszenie ogromnych koszy ryb na nadbrzeżnym targu w Billingsgate. Pod koniec dnia Mack z ociąganiem kupił bilet do teatru, ale Dermot przysięgał, że nie będzie żałował. Nie przesadzał: obejrzenie takich cudowności warte było dwa razy tyle. Mimo to Mack z niepokojem myślał, ile czasu może mu jeszcze zająć odłożenie sumy wystarczającej, by posłać po Esther. Wracając pieszo z teatru do leżącego na wschód Spitalfields, przechodzili przez Covent Garden, nagabywani przez ladacznice. Mack był już w Londynie od blisko miesiąca i przyzwyczajał się pomалу do składanych na każdym rogu propozycji miłości za pieniądze.

Oferujące ją kobiety były najrozmaitsze - młode i stare, brzydkie i piękne, jedne ubrane jak prawdziwe damy, inne obdarte. Mack nie odczuwał pociągu do żadnej z nich, chociaż nocami często nachodziły go myśli o krzepkiej kuzynce Annie. W Strandzie był "Niedźwiedź" - duża oberża z kawiarnią i kilkoma szynkami o bielonych wapnem ścianach. Duchota panująca w teatrze wysuszyła im gardła, zaszli więc tam zaspokoić pragnienie. W środku było ciepło i szaro od dymu. Kupili sobie po kwarcie ale.

- Zajrzyjmy na zaplecze - zaproponował Dermot. W "Niedźwiedziu" często odbywały się zawody. Mack był już tu parę razy i wiedział, że na dziedzińcu z tyłu można obejrzeć pokazy szczucia psami uwiązanego niedźwiedzia, walki psów, szermiercze pojedynki kobiet-gladiatorów i wszelkie inne rodzaje uciesznych widowisk. Kiedy nie organizowano żadnej imprezy, właściciel wrzucał do sadzawki kota i spuszczał na niego cztery psy - zabawa ta wywoływała salwy rehotliwego śmiechu wśród podchmielonej klienteli. Dziś wieczorem na dziedzińcu stał ring do zawodowej walki na pięści, oświetlony licznymi lampkami olejowymi. Do tłumu widzów przemawiał karzeł w jedwabnych szatach i trzewikach ozdobionych klamrami:

- Funt dla każdego, kto zdoła znokautować Bermondseya Boksera! No, chłopcy, znajdzie się wśród was taki śmiałek? zapytał i wywinął trzy salta.

- Wydaje mi się, że dałbyś mu radę - zwrócił się Dermot do Macka. Twarz i głowa Bermondseya Boksera, pokiereszowanego, ogolonego na głowę draba w samych bryczesach i ciężkich buciorach, nosiły ślady niejednej walki. Chłopisko było z niego wysokie i potężnie zbudowane, ale wyglądał na głupiego i powolnego.

- Pewnie bym dał - przyznał Mack. Dermot zapalił się do tego pomysłu.

- Hej, kurduplu! - zawołał chwytając karła za ramię. Jest tu dla ciebie klient.

- Mamy przeciwnika! - ryknął karzeł, a zachwycony tłum zaczął wiwatować i klaskać. Funt stanowił furę pieniędzy, niejeden musiał harować przez tydzień, żeby tyle zarobić. Mack uległ pokusie.

- Zgoda - powiedział. Ciżba znowu zawyła radośnie.

- Uważaj na jego nogi - poradził Mackowi Dermot. Noski tych buciorów ma pewnie okute stałą. Mack, ściągając kurtkę, kiwnął głową.

- Przygotuj się, że skoczy na ciebie, jak tylko znajdziesz się na ringu - dorzucił Dermot. - Nie masz co czekać na sygnał do rozpoczęcia walki. Była to taktyka stosowana powszechnie podczas bójek pomiędzy górnikami z kopalni. Sposób na szybkie zwycięstwo polegał na zaatakowaniu, zanim przeciwnik zdąży się przygotować. Mówiło się: "Chodźmy do tunelu, tam jest więcej miejsca do walki", a potem uderzało przeciwnika, kiedy przekraczał rowek drenażowy. Ring był otoczony liną zawieszoną na wysokości pasa na starych

drewnianych palikach wbitych w błoto. Mack zbliżył się do nich, pomny przestrogi Dermota. Kiedy uniósł nogę, żeby przeleźć przez linę, Bermondsey Bokser zaszarżował. Przygotowany na to Mack odskoczył, i masywna pięść Boksera musnęła mu tylko czoło. Tłum stęknął z przejęcia. Mack zareagował bez namysłu, jak maszyna. Doskoczył błyskawicznie do ringu i spod liny kopnął Bermondseya w podbródek. Osilek zatoczył się. Ponad radosną wrzawę wybił się głos Dermota:

- Zabij go, Mack! Zanim Bermondsey zdołał odzyskać równowagę, Mack wyrznął go pięścią w głowę raz z lewej i raz z prawej strony, a potem jeszcze raz od dołu, w czubek brody, wzmacniając ten cios całą masą swego ciała. Pod Bermondseyem ugięły się nogi, oczy mu się wywróciły w głąb czaszki, postąpił dwa chwiejne kroki do tyłu i runął jak kłoda na wznak. Ciżba zaryczała entuzjastycznie. Walka była skończona. Mack spojrział na leżącego na ziemi mężczyznę, zobaczył sponiewierany, pokonany, nie nadający się już do niczego nieszczęsny strzęp ludzki i żal mu się go zrobiło. Odwrócił się z przygnębieniem. Dermot trzymał karła za wykręcone na plecy ramię.

- Próbował dać dyla z twoją nagrodą, skurwiel jeden wyjaśnił. - Płać, wynaturzony wielkoludzie. Funt nam się należy. Karzeł wolną ręką wysupłał zza pazuchy złotego suwerena. Krzywiąc się, podał go Mackowi. Biorąc monetę, Mack czuł się trochę jak złodziej. Dermot puścił karła. U boku Macka wyrósł

nagle jak spod ziemi dobrze ubrany mężczyzna o pospolitej fizjonomii.

- Dobra robota - powiedział. - Często walczysz?

- Od przypadku do przypadku, w kopalni.

- Górnik? Tak też sobie pomyślałem. Posłuchaj no, w przyszłą sobotę organizuję walki na pięści w "Pelikanie" w Shadwell. Jeśli chcesz zarobić w parę minut dwadzieścia funtów, wystawię cię przeciwko Reesowi Preece'owi, Walijskiej Górze. - Dwadzieścia funtów? - spytał z niedowierzaniem Dermot.

- Nie powalisz go tak łatwo jak tę kupę mięsa, ale masz szansę. Mack spojrział na Bermondseya leżącego na ziemi bez czucia. - Nie - powiedział.

- Czemu nie, u diabła? - zachnął się Dermot.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

- Skoro nie zależy ci na pieniądzach... W tym momencie Mackowi stanęła przed oczami siostra Esther, nadal po piętnaście godzin dziennie dźwigająca węgiel w kopalni w Heugh i wyglądająca z utęsknieniem listu od brata, który wybawi ją od niewolniczej pracy. Dwadzieścia funtów wystarczyłoby na opłacenie jej podróży do Londynu - i mógłby mieć te pieniądze w ręku już w przyszłą sobotę. - Namyśliłem się, zgoda - mruknął. Dermot klepnął go w plecy.

- To rozumiem - powiedział.

Lizzie Hallim z matką jechały z turkotem kół powozem ulicami Londynu. Dziewczyna nie posiadała się ze szczęścia i podniecenia; za chwilę

spotka się z Jayem i wspólnie obejrzą dom. - Sir George najwidoczniej zmienił front - odezwała się lady Hallim. - Ściąga nas do Londynu, planuje huczne wesele, a na dodatek sam proponuje, że wynajmie wam dom i z własnej kieszeni będzie regulował czynsz.

- Podejrzewam, że to lady Jamisson na niego wpłynęła odparła Lizzie. - Ale ustąpił jej jedynie w drobiazgach. Nadal ani myśli przepisywać na Jaya tej posiadłości na Barbadosie. - Alicia to przebiegła kobieta - mruknęła lady Hallim. - Mimo to jestem zaskoczona, że po tej strasznej kłótni w dzień urodzin Jaya zdołała udobruchać męża.

- Być może sir George należy do ludzi, którzy szybko wyrzucają urazę z pamięci.

- Nigdy do takich nie należał... chyba że wietrzył w tym swój interes. Zastanawiam się właśnie, co mogło nim teraz powodować. Ale na tobie nic chyba nie może skorzystać, prawda? Lizzie roześmiała się.

- A jakichże korzyści miałby się po mnie spodziewać? Może zależy mu tylko na tym, żebym dała szczęście jego synowi.

- A że mu je dasz, to pewne. No, jesteśmy. Powóz zatrzymał się na Rugby Street, spokojnej, eleganckiej uliczce w Holborn - dzielnicy nie tak może modnej jak Mayfair albo Westminster, ale równie drogiej. Lizzie wysiadła i spojrzała na rezydencję opatrzoną numerem dwunastym. Z miejsca się jej spodobała. Dom był podpiwniczony, miał cztery kondygnacje i wysokie, stylowe okna.

Jednak dwie szyby były wybite, a na błyszczących, pomalowanych na czarno drzwiach frontowych widniała nabazgrana byle jak wapnem liczba "45". Lizzie miała to już skomentować, kiedy pod dom zajechał drugi powóz i wyskoczył z niego Jay. Miał na sobie błękitne ubranie, jasne włosy przewiązał niebieską wstążką i wyglądał tak apetycznie, że chciałoby się go schrupać. Pocałował Lizzie w usta. Był to pocałunek dosyć powściągliwy, bo znajdowali się na ulicy, na widoku publicznym, ale darowała mu to, nastawiając się na więcej potem. Jay pomógł wysiąść z powozu swojej matce, po czym zakolatał do drzwi domu.

- Właścicielem jest importer brandy, który wyjechał na rok do Francji - wyjaśnił, kiedy czekali. Drzwi otworzył starszy mężczyzna opiekujący się domem.

- Kto wytłukł te szyby? - spytał go od razu Jay.

- Kapelusznicy, panie - odparł staruszek wpuszczając ich do środka. Lizzie czytała w gazecie, że oprócz krawców i młynarzy strajkują również rzemieślnicy robiący kapelusze.

- Nie rozumiem, co ci głupcy zamierzali osiągnąć, wybijając okna porządnych ludziom - parsknął gniewnie Jay.

- O co im chodzi? - spytała Lizzie.

- O wyższe płace, panienko - odparł stróż. - I trudno im się dziwić, skoro cena bochenka chleba, który dotąd kosztował cztery pensy, podskakuje naraz do ośmiu. Jak mężczyzna ma teraz wyżywić rodzinę?

- Na pewno jej nie wyżywi, bazgrząc "45" na wszystkich drzwiach w Londynie - mruknął Jay. - Pokaż nam dom, dobry człowieku. Lizzie była ciekawa znaczenia liczby 45, ale bardziej interesował ją dom. Przebiegała podniecona przez pokoje, rozsuwając zasłony i otwierając na oścież okna. Meble były nowe i eleganckie, a salon przestronny, jasny, z trzema wielkimi oknami. Unosił się tu leciutki zapach stęchlizny, charakterystyczny dla nie zamieszkanym od dłuższego czasu domów, ale wystarczy gruntowne sprzątnięcie, trochę świeżej farby, parę kuponów materiału i będzie się tu mieszkało jak w bajce. Wyprzedzili z Jayem obie matki i starego dozorcę i pierwsi dotarli na poddasze. Weszli do jednej z małych sypialni przeznaczonych dla służby. Dziewczyna zarzuciła Jayowi ramiona na szyję i zaczęła go łapczywie całować. Mieli dla siebie najwyżej minutkę. Lizzie ujęła Jaya za przeguby i podsunęła mu pod dłonie swoje piersi. Poglądził je delikatnie.

- Ściśnij mocniej - wyszeptała w krótkiej przerwie między pocałunkami. Pragnęła, by wspomnienie dotyku jego dłoni pozostało tam jeszcze, kiedy już się od siebie odsuną. Jay koniuszkami palców wyczuł przez materiał sukienki jej nabrzmiałe sutki. - Uszczypnij - poprosiła, a kiedy to uczynił, jęknęła. Nagle usłyszeli kroki na podeście schodów i zdyszani odskoczyli od siebie. Lizzie odwróciła się do Jaya plecami i starając się zapanować nad przyśpieszonym oddechem, wyjrzała przez małe

mansardowe okienko. Roztaczał się z niego widok na długi ogród na tyłach budynku. Dozorca pokazywał tymczasem obu matkom wszystkie małe sypialnie.

- Co oznacza ta liczba czterdzieści pięć? - spytała Lizzie. - Odnosi się do tego zdrajcy, Johna Wilkesa - odparł Jay. - Był redaktorem tygodnika o nazwie North Briton i rząd pozwał go do sądu za obrazę majestatu, której dopuścił się w wywrotowym paszkwilu zamieszczonym w czterdziestym piątym numerze swojego pisma, nazywając tam króla kłamcą. Zbiegł do Paryża, ale teraz wraca, żeby znowu mącić w głowach ciemnemu pospólstwu.

- Czy to prawda, że tych ludzi nie stać na chleb?

- W całej Europie brakuje ziarna, więc chleb musiał zdrożeć. A bezrobocie jest skutkiem amerykańskiego bojkotu brytyjskich towarów. Lizzie odwróciła się znowu twarzą do Jaya.

- Nie wydaje mi się, żeby to była jakaś pociecha dla kapeluszników i krawców. Jayowi cień przemknął przez twarz; chyba nie był zachwycony, że jego przyszła żona sympatyzuje z plebsem.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak niebezpieczna jest cała ta libertyńska wrzawa - powiedział.

- Chyba nie.

- Weźmy na przykład destylatorów rumu z Bostonu, którzy chcieliby kupować melasę, od kogo im się podoba - zaczął wyjaśniać Jay. - Prawo stanowi, że może ona pochodzić tylko z plantacji brytyjskich, takich jak nasza. Jeśli dać im wolną rękę, zaczną

nabywać tańszą melasę od Francuzów, a wtedy nie stać nas będzie na taki dom jak ten.

- Rozumiem. - Zdaniem Lizzie przykład nie był przekonujący, ale wolała nie wyrażać swej opinii głośno.

- Jeśli im popuścić - ciągnął Jay - to zaraz cała szumowina, poczynając od szkockich górników, a na czarnuchach z Barbadosu kończąc, zaczęłyby się domagać swobód. Na szczęście Bóg wyznaczył ludzi takich jak ja do trzymania hołoty w ryzach. - Ale zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego? - spytała. - Nie rozumiem...

- Dlaczego akurat cię Bóg miałby wyznaczyć do sprawowania władzy nad górnikami i czarnuchami? Potrząsnął z irytacją głową i Lizzie uświadomiła sobie, że ponownie przeciągnęła strunę.

- Nie wydaje mi się, żeby kobiety były w stanie rozumieć takie sprawy - burknął. Wzięła go pod rękę.

- To cudowny dom, Jay - powiedziała, żeby go jakoś udobruchać. Czowała jeszcze pulsowanie w sutkach, które przed chwilą uszczypnęła. Zniżyła głos: - Nie mogę się już doczekać, kiedy się tu wprowadzimy i co noc będziemy sypiali w jednym łóżu. Uśmiechnął się.

- ja też. Do sypialni weszły lady Hallim i lady Jamisson. Wzrok lady Hallim spoczął od razu na biuście Lizzie i dziewczyna dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jej nabrzmiałe sutki wypychają materiał sukni. Matka najwyraźniej domyśliła się, co tu przed

chwilą zaszło, i ściągnęła z dezaprobatą brwi. Lizzie nie przejęła się tym zbytnio. Wkrótce będzie już mężatką.

- No i jak, Lizzie - odezwała się lady Jamisson - podoba ci się dom?

- Jest wspaniały!

- No to w nim zamieszkacie. Lizzie uśmiechnęła się promiennie do Jaya i ścisnęła go za ramię.

- Sir George jest taki wspaniałomyślny - westchnęła lady Hallim. - Nie wiem, jak mu dziękować.

- Niech pani podziękuję mojej matce - poradził jej Jay. - To dzięki niej ojciec zaczął się zachowywać jak należy. Alicia spojrzała na niego karcąco, ale Lizzie mogłaby przysiąc, że w rzeczywistości wcale nie ma mu tych słów za złe. Widać było wyraźnie, że tych dwoje bardzo się lubi. Dziewczyna poczuła nawet ukłucie igielki zazdrości, ale zaraz ofuknęła się w duchu: któż nie lubiłby Jaya? Wyszli z sypialni.

Dozorca czekał na nich w korytarzu.

- Spotkam się jutro z prawnikiem właściciela - zwrócił się do niego Jay - i podpiszę umowę najmu.

- Bardzo się cieszę, sir. Kiedy schodzili po schodach, Lizzie coś się przypomniało. - Och, muszę ci coś pokazać! - powiedziała do Jaya. Rano podniosła z ulicy ulotkę i zachowała ją specjalnie dla niego.

Wyjęła teraz karteczkę z kieszeni i dała mu do przeczytania. **MIŁOŚNICY MOCNYCH WRAŻEŃ!
"POD PELIKANEM" NIEDALEKO SHADWELL
ODBĘDZIE SIĘ WIELKI DZIEŃ SPORTU
WYPUSZCZENIE NA WOLNOŚĆ WŚCIEKŁEGO**

**BYKA OBWIESZONEGO FAJERWERKAMI A
ZA NIM PSÓW WALKA O PIĘĆ FUNTÓW
POMIĘDZY DWOMA ZABIJAKAMI Z
WESTMINSTERU I DWOMA Z EAST CHEAP
BITWA NA MACZUGI POMIĘDZY SIEDMIOMA
Kobietami ORAZ WALKA NA PIĘŚCI - O
DWADZIEŚCIA FUNTÓW! REES PREECE,
WALIJSKA GÓRA KONTRA MACK MCASH,
GÓRNIKZABÓJCA NASTĘPNA SOBOTA
POCZĄTEK O TRZECIEJ PO POŁUDNIU**

- Co o tym sądzisz? - spytała po chwili Lizzie. - To
pewnie Malachi McAsh z Heugh, prawda?

- A więc aż tak się stoczył - mruknął Jay. -

Zawodowy bokser. Lepiej mu się wiodło, kiedy
pracował w kopalni mojego ojca.

- Nigdy nie widziałam walki na pięści - powiedziała
Lizzie. Jay roześmiał się.

- No myślę! To nie miejsce dla damy.

- Kopalnia węgla też nie, a przecież mnie tam
zabrałeś.

- Owszem, zabrałem, i omal nie przyplaciłaś tego
życiem, kiedy doszło do eksplozji.

- Myślałam, że będziesz zachwycony okazją do
zabrania mnie na kolejną eskapadę.

- O co chodzi? - spytała lady Hallim, która dosłyszała
te ostatnie słowa. - O jakiej eskapadzie mówisz? :
Proszę Jaya, żeby zabrał mnie na walkę na pięści
odparła Lizzie.

- Nie bądź śmieszna - fuknęła matka. Lizzie patrzyła
z rozczarowaniem, jak Jaya z miejsca opuszcza

odwaga. Ale i tak postawię na swoim, pomyślała. Jeśli Jay nie zechce jej towarzyszyć, wybierze się tam sama.

Poprawiła perukę i przejrzała się w lustrze. Sekret polegał na delikatnym natarciu policzków, szyi, brody i górnej wargi sadzą, która je przyciemniała, symulując zarost męczyzny. Z sylwetką było łatwiej. Ciężki kaftan przyplaszczal biust, poły maskowały krągłości jej niewieściego tyłeczka, a buty z cholewami zakrywały łydki. Jeszcze tylko peruka i kapelusz, i iluzja była kompletna. Uchyliła drzwi sypialni. Zatrzymały się z matką w małym domku na terenie posiadłości sir George'a przy Grosvenor Square. Matka uciwała sobie teraz popołudniową drzemkę. Po domu mógł się kręcić ktoś ze służby sir George'a, Lizzie nasłuchiwała więc przez chwilę kroków, żadnych jednak nie usłyszała. Zbiegła na palcach po schodach i wyślizgnęła się tylnymi drzwiami na przebiegającą tamtędy mało uczęszczaną alejkę. Zima miała się ku końcowi i dzień był chłodny, ale słoneczny. Znalazłszy się na ulicy, dziewczyna ruszyła przed siebie męskim, rozkołysanym krokiem, wymachując ramionami i zajmując możliwie najwięcej miejsca, jak gdyby należał do niej cały trotuar i gotowa była potrącić każdego, kto na czas nie ustąpi jej z drogi. Nie zdołałaby jednak dojść tak do samego Shadwell, które leżało na drugim końcu miasta, po wschodniej stronie Londynu. Zatrzymała lektykę, pamiętając

przy tym, by nie machać błagalnie ręką, jak to czynią zazwyczaj kobiety, lecz rozkazującym gestem unieść ją zdecydowanie w górę. Kiedy tragarze przystanęli i postawili swój wehikuł na ziemi, odchrząknęła, splunęła do rynsztoka i pogrubiając głos rzuciła szorstko: - Do "Pelikana", tylko szybko! Ponieśli ją na wschód, dalej, niż kiedykolwiek się zapuściła podczas swoich dotychczasowych pobytów w Londynie. Posuwali się coraz węższymi uliczkami, między coraz nędzniejszymi domami, aż znaleźli się pośród błotnistych traktów i gliniastych plaż, zaśmieconych nabrzeży i rozchwierutanych łodzi mieszkalnych, składów drewna ogrodzonych wysokimi płotami i wałących się magazynów z wrotami spiętymi łańcuchami. W końcu tragarze postawili lektykę na ziemi przed dużą nadbrzeżną oberżą, nad drzwiami której wisiał drewniany szyld z wymalowanym bohomazem mającym wyobrazić pelikana. Dziedziniec był pełen hałaśliwych, podekscytowanych ludzi: robotników w ciężkich buciorach, z apaszkami na szyi, dżentelmenów w eleganckich kaftanach, kobiet z plebsu w chustach i chodakach. Wśród tej ciżby kręciło się również kilka dziewczyn o grubo wypacykowanych twarzach i na pół obnażonych biustach, które Lizzie uznała za prostytutki. Nie było tu ani jednej niewiasty, którą jej matka określiłaby jako kobietę "z klasą". Zapłaciła za wstęp i pomagając sobie łokciami zaczęła się przeciskać przez rozwrzeszczany, gwizdzący tłum. Czuła odór spoconych, nie mytych

ciał. Udzielała jej się panująca wokół atmosfera podniecenia i emocji. Trwała właśnie walka kobiet-gladiatorok. Kilka uczestniczek zrejterowało już z pola bitwy: jedna siedziała na ławce trzymając się za głowę, druga usiłowała zatamować sobie krew lejącą się z rozharatanej nogi, a trzecia leżała rozciągnięta jak długa na ziemi i pomimo wysiłków cucących ją koleżanek nie odzyskiwała przytomności. Cztery pozostałe kłębiły się nadal po otoczonym liną ringu, atakując jedna drugą długimi na trzy stopy drewnianymi maczugami. Wszystkie były obnażone do pasa i bosc, spódnice wisiały na nich w strzępach. Twarze i ciała miały posiniaczone i pokryte bliznami. Ponadstuosobowa ciżba kibiców dopingowała swoje faworytki, a kilku mężczyzn przyjmowało zakłady. Kobiety wywijały maczugami ze wszystkich sił, okładając się nawzajem ciosami, które powaliłyby wołu. Ilekroć któraś trafiła celnie przeciwniczkę, mężczyźni wrzaskiem wyrażali swe uznanie. Lizzie śledziła to widowisko z odrazą i jednocześnie z fascynacją. Wkrótce jeszcze jedna kobieta padła jak rażona gromem po potężnym uderzeniu w głowę. Widok jej półnagięgo ciała leżącego w błocie przyprawił Lizzie o mdłości i odwróciła się plecami do ringu. Weszła do oberży, rąbnęła w szynkwas pięścią i krzyknęła do oberżysty:

- Pintę mocnego ale, człowieku! Wspaniale było móc zwracać się do mężczyzn takimi aroganckimi tonami. Gdyby uczyniła to mając na sobie niewieści strój, każdy mężczyzna, nawet ten oberżysta i

tragarze od lektyki, uważałyby, że musi udzielić jej reprimendy. Ale para bryczesów stanowiła glejt usprawiedliwiający podobne zachowanie. W szynku śmierdziało tytoniowym dymem i rozchlapanym piwem. Lizzie usiadła w kącie i sącząc ale zachodziła w głowę, po co w ogóle tu przyszła. Było to siedlisko gwałtu i okrucieństwa i przebywając tutaj, prowadziła niebezpieczną grę. Jak postąpiliby ci nieokrzesani ludzie, gdyby odkryli, że jest kobietą z wyższych sfer przebraną za mężczyznę? Powodem, dla którego tutaj siedziała, była po części nieprzeparta ciekawość. Zawsze, od dziecka, pociągało ją wszystko, co zakazane. Stwierdzenie: "To nie miejsce dla damy", działało na nią jak czerwona płachta na byka. Nie mogła nigdy oprzeć się pokusie otwierania wszelkich drzwi opatrzonych wywieszka "Wstęp wzbroniony". Ta ciekawość była tak samo nieokiełznana jak namiętność, i stłumienie jej było tak samo trudne, jak powstrzymanie się od całowania Jaya. Ale głównym powodem był McAsh. Zawsze ją interesował. Już jako mały chłopiec był inny: niezależny i niepokorny, kwestionujący wszystko, co mu się mówiło. Dorósłszy, przeciwstawił się Jamissonom, zdołał zbiec ze Szkocji - co niewielu górnikom się udawało - i dotarł aż do Londynu. Teraz był zawodowym bokserem. Czegóż jeszcze w życiu dokona? Sir George mądrze postąpił, pozwalając mu odejść, pomyślała Lizzie. Bóg wyznaczył pewnych ludzi, by rządili innymi, jak mawiał Jay, ale McAsh nie przyjmował tego do

wiadomości i pozostając w wiosce, przez wiele lat podburzałyby jej mieszkańców. Emanował jakimś magnetyzmem, który kazał ludziom podporządkowywać się jego przewodnictwu. Ona sama również odczuwała do niego pociąg i właśnie ten pociąg ją tu sprowadził. Jedna z wymalowanych kobiet przysiadła się do niej i uśmiechnęła zalotnie. Pomimo grubej warstwy różu widać było, że jest stara i zniszczona. Lizzie przemknęło przez myśl, że gdyby prostytutka zaproponowała jej swoje usługi, świadczyłoby to jak najlepiej o jej przebraniu. Ale tę kobietę niełatwo było zwieść.

- Wiem, kim jesteś - mruknęła.

- Nie mów nikomu - poprosiła cicho Lizzie.

- Za szylinga możesz się ze mną zabawić w męczyznę powiedziała kobieta. Lizzie nie zrozumiała.

- Robiłam to już z takimi jak ty - ciągnęła tamta. Z bogatymi dziewczuszkami, które lubiły bawić się w męczyznę. Mam w domu grubą świecę, w sam raz rozmiar. Dopiero teraz do Lizzie dotarło, o co chodzi jej rozmówczyni.

- Nie, dziękuję - odparła z uśmiechem. - Nie po to tu przyszłam. - Sięgnęła do kieszeni po monetę. - Ale masz tutaj szylinga i nie wydaj mnie.

- Niech Bóg jaśnie panience błogosławi - podziękowała prostytutka i oddaliła się. W przebraniu wiele się można nauczyć, doszła do wniosku Lizzie. Nigdy by nie pomyślała, że prostytutka może trzymać specjalną świecę dla

kobiet, które lubią się wcielać w rolę mężczyzny. Tego rodzaju rzeczy dama może się nigdy nie dowiedzieć, chyba że wyrwie się z szacownego towarzystwa i zacznie badać świat rozciągający się za zasłoniętymi oknami jej salonu. Na dziedzińcu podniosła się radosna wrzawa i Lizzie domyśliła się, że w walce na maczugi wyłoniona została zwyciężczyni - przypuszczalnie ostatnia kobieta, która trzymała się jeszcze na nogach. Wyszła na zewnątrz z kuflem piwa w ręku. Kobiety-gladiatorki słaniając się na nogach schodziły z ringu albo je z niego znoszono, bo zaraz miał się rozpocząć główny punkt programu. Lizzie od razu wypatrzyła McAshę. To bez wątpienia był on: nikt nie miał takich przejrzystych zielonych oczu. Nie był już czarny od węglowego pyłu i ku swemu zaskoczeniu Lizzie stwierdziła, że ma jasne włosy. Stał niedaleko ringu i rozmawiał z jakimś mężczyzną. Zerknął kilkakrotnie w stronę Lizzie, ale nie poznał jej w przebraniu. Sprawiał wrażenie bardzo zdeterminowanego. Jego przeciwnik, Rees Preece, zasłużył sobie na swój przydomek "Walijska Góra". Był to największy mężczyzna, jakiego Lizzie w życiu widziała, co najmniej o stopę wyższy od Macka, zwałisty, o czerwonej, nalanej gębie i krzywym, nieraz już złamanym nosie. W jego twarzy było coś występnego i Lizzie pomyślała, że ktoś, kto z własnej, nieprzymuszonej woli stawał na ringu do pojedynku na pięści z takim zwierzęciem, musiał być albo bardzo odważny, albo głupi. Ogarnęła ją obawa o

McAsha, zdała sobie bowiem sprawę, że chłopak może przyplacić tę walkę kalectwem, a nawet życiem. Nie chciała na to patrzeć. Pragnęła odejść, ale nie potrafiła się przełamać. Tuż przed rozpoczęciem walki mężczyzna, z którym rozmawiał Mack, wdał się w burzliwą dyskusję z sekundantami Preece'a. Wyklócali się podniesionymi głosami i Lizzie zorientowała się, że chodzi o buty Preece'a. Sekundant Macka sądząc z akcentu Irlandczyk - upierał się, żeby obaj walczyli boso. Gawiedź zaczęła klaskać miarowo, wyrażając w ten sposób zniecierpliwienie. W Lizzie obudziła się nadzieja, że walka zostanie odwołana. Ale zawiodła się. Po gwałtownej awanturze Preece zzuł buty i zaraz potem już walczyli. Lizzie nie zauważyła, by ktoś dał sygnał do rozpoczęcia pojedynku. Obaj mężczyźni doskoczyli do siebie jak koty, okładając się kulakami, kopiąc i bodąc głowami z takim zapamiętaniem i szybkością, że Lizzie nie mogła się zorientować, który jest górą. Tłum wył z zachwytu i ona również przyłapała się na tym, że krzyczy. Zakryła sobie usta dłonią. Ale ten wstępny atak trwał tylko kilka sekund: kosztował obu przeciwników zbyt wiele energii, by mogli go dłużej przeciągać. Odskoczyli od siebie i zaczęli krążyć czujnie jeden wokół drugiego, osłaniając sobie pięściami twarze, a rękami korpusy. Mack miał spuchniętą wargę, Preece'owi krew ciekła z nosa. Lizzie gryzła nerwowo palce. Preece znowu rzucił się na Macka, ale Mack odskoczył, wykonał unik i

wyprowadził prawy sierpowy, który trafił Preece'a w bok głowy. Lizzie zmrużyła oczy na dźwięk głuchego łomotu, jaki towarzyszył ciosowi; zabrzmiało to jak uderzenie kowalskim młotem w skałę. Widzowie wrzasnęli dziko. Preece, chyba trochę zdezorientowany, jakby się zawahał i Lizzie domyśliła się, że zaskoczyła go siła Macka. Zaczęła się w niej rodzić nadzieja, że może mimo wszystko Mack pokona tego ogromnego draba. Mack tańczył na lekko ugiętych nogach poza zasięgiem rąk Preece'a. Wielkolud otrząsnął się jak pies, pochylił głowę i zaszarżował waląc pięściami na oślep. Mack uchylił się, odskoczył w bok i kopnął przeciwnika w nogi bosą stopą, ale tamtemu udało się doprowadzić do zwania i wpakował Mackowi parę potężnych ciosów na korpus. Zaraz jednak Mack zdzielił go znowu mocno w bok głowy i Preece ponownie stracił na chwilę orientację. Powtórzyła się ta sama scenka z tańcem na ugiętych nogach i Lizzie usłyszała krzyk Irlandczyka: "Idź za ciosem, Mack, nie daj mu dojść do siebie!" Zauważyła, że po zadaniu każdego ciosu Mack zawsze odskakuje, dając przeciwnikowi czas na otrząśnięcie się. Preece dla odmiany bił seriami, dopóki ponownie nie nadział się na kontrę Macka. Po dziesięciu minutach ktoś uderzył w dzwon i pięściarze zrobili sobie przerwę na odpoczynek. Lizzie przyjęła to z taką ulgą, jakby sama znajdowała się na ringu. Bokserom siedzącym na koślawych stołkach po przeciwnych stronach ringu podano piwo. Jeden z sekundantów wziął zwyczajną

igłę z nitką i zabrał się do zszywania Preece'owi rozdartego ucha. Lizzie skrzywiła się z obrzydzeniem i odwróciła wzrok. Starła się nie myśleć o razach, jakie obrywał Mack, i traktować walkę jak zwyczajny pojedynek. Mack był zwinniejszy i miał potężniejszy cios, ale brakowało mu dzikości i brutalności. Kiedy zaczęli znowu, poruszali się już wolniej, ale walka przebiegała według tego samego schematu: Preece uganiał się za odskakującym Mackiem, dopadał go, wchodził w zwarcie, częstował kilkoma silnymi uderzeniami, a potem Mack ostudzał jego zapędy potężnym prawym. Wkrótce Preece miał już jedno oko zapuchnięte i utykał, ale i Mackowi krew ciekła z ust oraz z rozcięcia nad okiem. Nie mając już sił do zwinnych uników, mężczyźni zdawali się przyjmować pokornie ciosy. Jak długo wytrzymają, waląc tak w siebie jak w bębny? Lizzie nie bardzo wiedziała, czemu się martwi o McAsha i wmawiała sobie, że tak samo współczułaby komuś innemu. Ogłoszono następną przerwę. Irlandczyk ukląkł przy stołku Macka i tłumaczył mu coś gorączkowo, podkreślając słowa wymachiwaniem zaciśniętymi pięściami. Lizzie domyśliła się, że radzi Mackowi iść za ciosem. Nawet ona widziała, że w tej brutalnej próbie sił i wytrwałości górą będzie Preece, choćby dlatego, że jest większy i bardziej wytrzymały. Czyżby Mack sam tego nie rozumiał? Zaczęło się znowu. Patrząc, jak się nawzajem łomoczą, Lizzie przypomniła sobie Malachiego McAsha jako

sześcioletniego chłopczyka bawiącego się na trawniku przy High Glen House. Pobiła się z nim wtedy: szarpnęła go za włosy, a on się rozplakał. To wspomnienie wycisnęło jej łzy z oczu. Na ringu zakotłowało się. Mack uderzył Preece'a raz, drugi, trzeci, a potem kopnął go w udo i osilek zatoczył się. Lizzie ogarnęła nadzieja, że Preece się przewróci i walka dobiegnie końca. Ale Mack cofnął się, czekając na upadek przeciwnika. Okrzyki dopingującego go sekundanta i wrzaski żadnej krwi ciżby, domagającej się, by Mack wykończył Preece'a, jakoś do niego nie docierały. Ku rozczarowaniu Lizzie Preece i tym razem przewyciężył kryzys i niespodziewanie rąbnął Macka w splot słoneczny. Mack zgiął się wpół i wtedy Preece natarł na niego bykiem, wkładając w tę szarżę całą siłę swych szerokich barów. Głowy przeciwników zderzyły się z przyprawiającym o mdłości trzaskiem. Tłum wstrzymał oddech. Mack zatoczył się i kiedy padał, Preece kopnął go jeszcze w bok głowy. Pod Mackiem ugięły się kolana i runął nieprzytomny na ziemię. Preece znowu kopnął go w głowę.

- Zostaw go! - usłyszała własny krzyk Lizzie. Ale Preece nadal kopał Macka raz po raz, dopóki sekundanci nie wskoczyli na ring i nie odciągnęli go od bezbronnej ofiary. Preece sprawiał wrażenie dezorientowanego, zupełnie jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy przed chwilą zagrzewali go do walki i wrzeszczeli, że chcą widoku krwi, teraz usiłują go powstrzymać, zaraz jednak

oprzytomniał i uniósł ręce w geście zwycięstwa. Wyglądał jak pies, który cieszy się, że zadowolił swego pana. Lizzie bała się, że Mack już nie żyje. Przecisnęła się przez ciżbę i weszła na ring. Przy nieruchomym pięściarzu klęczał jego sekundant. Lizzie, z sercem podchodzącym do gardła, pochyliła się nad Mackiem. Miał oczy zamknięte, ale zobaczyła, że oddycha.

- Żyje, dzięki Bogu - westchnęła. Irlandczyk obrzucił ją spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Lizzie modliła się, żeby się nie okazało, że Mack doznał jakiegoś trwałego urazu. Przez ostatnie pół godziny zarobił więcej silnych ciosów w głowę niż większość ludzi przez całe życie. Przerazała ją myśl, że po odzyskaniu przytomności może pozostać śliniącym się idiotą. Otworzył oczy.

- Jak się czujesz? - spytała z niepokojem. Zamknął oczy z powrotem, nie odpowiadając.

- A ty coś za jeden? - spytał Irlandczyk przypatrując jej się bacznie. - Sopran z chóru chłopięcego czy jak? Uświadomiła sobie, że zapomniała o naśladowaniu męskiego głosu.

- Znajoma - odparła. - Wnieśmy go do środka. Nie powinien leżeć w tym błocie.

- Dobra - odparł po chwili wahania mężczyzna. Chwycił Macka pod pachy, dwaj kibice wzięli go za nogi i w trójkę podźwignęli nieprzytomnego z ziemi. Lizzie weszła do oberży pierwsza. Najbardziej aroganckim z męskich głosów, jaki potrafiła z siebie

dobyć, krzyknęła: - Oberżysto, prowadź do najlepszego pokoju! Zza szynkwasu wyszła kobieta. - Kto zapłaci? - spytała podejrzliwie. Lizzie wcisnęła jej w dłoń suwerena.

- Proszę za mną - powiedziała kobieta i ruszyła przodem. Zaprowadziła ich schodami na górę do sypialni, której okna wychodziły na dziedziniec. Izba była czysta, a łoże z baldachimem starannie zasłane szorstkim jednobarwnym kocem. Mężczyźni położyli na nim Macka.

- Rozpal na kominku i przynieś francuskiej brandy - powiedziała do kobiety Lizzie. - Jest tu w okolicy jakiś lekarz, który potrafiłby opatrzyć temu człowiekowi rany?

- Poślę po doktora Samuela. Lizzie przysiadła na brzegu łoża. Twarz Macka była w strasznym stanie, cała opuchnięta i zakrwawiona. Lizzie rozpięła mu koszulę i jej oczom ukazała się posiniaczona i poobcierana klatka piersiowa. Pomocnicy wyszli, został tylko Irlandczyk.

- Jestem Dermot Riley - przedstawił się. - Mack wynajmuje u mnie izbę.

- A ja nazywam się Elizabeth Hallim - odparła Lizzie. - Znam go od dziecka. - Nie chciało jej się wyjaśniać, dlaczego przyszła tutaj w męskim przebraniu: niech Riley myśli sobie, co mu się podoba.

- Wylize się - powiedział Riley.

- Musimy mu przemyć te skaleczenia. Poproś o miednicę z gorącą wodą, dobrze?

- Już się robi. - Riley wyszedł, zostawiając ją sam na sam z Mackiem. Przyglądała się przez chwilę nieprzytomnemu mężczyźnie. Ledwie oddychał. Położyła mu ostrożnie dłoń na piersi i wyczuła regularny, silny stukot serca. Dotykanie go sprawiało jej przyjemność. Przyłożyła sobie drugą dłoń do biustu i porównywała przez chwilę miękkość własnych piersi z twardością jego mięśni. Dotknęła sutki Macka, a potem swojej. Mack otworzył oczy. Zażenowana, cofnęła szybko rękę. Co ja na Boga robię? pomyślała. Popatrzył na nią pustym wzrokiem.

- Gdzie jestem? Ktoś ty?

- Walczyłeś za pieniądze na pięści - przypomniała mu. - Przegrałeś. Przyglądał jej się przez kilka sekund w milczeniu, po czym uśmiechnął się.

- Lizzie Hallim, znowu przebrana za mężczyznę - powiedział już normalnym głosem.

- Dzięki Bogu, nic ci nie jest! Spojrzał na nią uważnie.

- To bardzo miło z twojej strony, że się mną zajęłaś...

- Nie mam pojęcia, czemu to zrobiłam - odparła. - Jesteś przecież zwyczajnym górnikiem, który w dodatku nie wie, gdzie jego miejsce. - Nagle, ku swemu przerażeniu, poczuła ściekające po twarzy łzy. - Bardzo trudno patrzeć, jak tłuką na miazgę kogoś znajomego - powiedziała łamiącym się głosem. Obserwował ją przez chwilę.

- Lizzie Hallim... - odezwał się w końcu z niedowierzaniem. - Czy ja cię kiedykolwiek zrozumie?

Brandy uśmierzyła tego wieczoru ból w ranach Macka, ale nazajutrz obudził się cały obolały. Ból promieniował z każdej części ciała, od wielkich palców u stóp - powybijanych od kopania z całych sił Reesa Preece'a - po ciemę, gdzie ból był najsilniejszy. Swojej twarzy, całej podrapanej i posiniaczonej, Mack nie mógł nawet dotknąć, nie wspominając już o goleniu. Mimo to był w dobrym nastroju. Lizzie Hallim zawsze tak na niego wpływała. Kiedy rozpoznał ją w osobie siedzącej na skraju łoża, ledwie się powstrzymał przed porwaniem jej w ramiona. Stłumił tę pokusę tłumacząc sobie, że tego rodzaju zachowanie położyłoby kres ich szczególnej przyjaźni. Ale ona mogła łamać ustalone zasady: była przecież damą. Mogła baraszkować z pieskiem, tarmosząc go dla zabawy za uszy i ogon, a gdyby piesek ją ugryzł, mogła wyrzucić go za drzwi. Powiedziała mu, że wychodzi za mąż za Jaya Jamissona i chciał już oświadczyć, że popełnia cholerne głupstwo, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. To nie był jego interes. Bridget, żona Dermota, ugotowała na śniadanie owsiankę i Mack zjadł ją z dziećmi. Bridget była trzydziestoletnią, piękną kiedyś, ale teraz już zniszczoną kobietą. Po posiłku Mack i Dermot wyruszyli w miasto szukać pracy.

- Postarajcie się o jakieś pieniądze - zawołała za nimi Bridget, gdy wychodzili. Nie był to udany dzień. Obeszli wszystkie kramy z żywnością, oferując swoją pomoc przy dźwiganiu koszy ze świeżymi rybami, baryłek wina i krwawych polci mięsa, których potrzebowało co dnia głodne miasto, ale takich jak oni było więcej niż pracy. Około południa dali za wygraną i poszli na West End spróbować szczęścia w tamtejszych kawiarniach. Pod wieczór byli tak znużeni, jakby przez cały dzień harowali w pocie czoła, choć przecież wracali do domu z pustymi rękami. Skręcali właśnie w Strand, kiedy z jednego z zaułków wyprysnęła jak umykający królik mała postać i wpadła na Dermota. Była to dziewczynka na oko trzynastoletnia, w porwanych łachmanach, chuda jak patyk i wystraszona. Dermot sapnął. Dziecko pisnęło ze strachu i potknęło się. Za dziewczynką wypadł z zaułka młody mężczyzna. Już, już ją chwycił, ale mała odskoczyła i znowu rzuciła się do ucieczki. Przebiegłszy kilka kroków poślizgnęła się jednak i przewróciła, i wtedy mężczyzna ją dopadł. Dziewczynka krzyknęła przerażona. Mężczyzna poderwał ją z ziemi i zdzielił otwartą dłonią w bok głowy. Kiedy znowu upadła, kopnął ją ciężko obutą nogą w zapadniętą pierś. Mack zdążył się już uodpornić na przemoc, którą oglądał na co dzień na ulicach Londynu, nigdy jednak nie widział, żeby silny mężczyzna katował małe dziecko. Wyglądało to, jakby chciał ją zatłuc na śmierć. Mack wciąż jeszcze odczuwał dotkliwie

skutki pojedynku z Walijską Górą i nie w głowie mu była kolejna bójka, ale nie mógł stać z założonymi rękami i przyglądać się takiemu bestialstwu. Kiedy mężczyzna przymierzał się do następnego kopniaka, chwycił go za ramię i zdecydowanym szarpnięciem odciągnął od małej. Nieznajomy odwrócił się zaskoczony. Był o kilka cali wyższy od Macka. Przyłożył dłoń do jego piersi i pchnął go mocno. Mack zatoczył się do tyłu. Mężczyzna odwrócił się z powrotem do dziewczynki, która zdążyła się tymczasem pozbierać z ziemi. Wymierzył jej silny policzek, po którym znowu rozciągnęła się jak długa. Macka ogarnęła wściekłość. Ucapił mężczyznę za kołnierz i siedzenie bryczesów i poderwał w powietrze. Napastnik wrzasnął z przestachu i złości i zaczął się wściekle szamotać, ale Mack nie puszczał. Dermot ze zdumieniem patrzył na swego kompana, z taką łatwością trzymającego rosłego mężczyznę nad głową.

- Do kata, masz tę krzepę, Mack - stwierdził z podziwem.

- Zabieraj ode mnie swoje brudne łapska! - krzyknął nieznajomy. Mack postawił mężczyznę na ziemi, ale nadal ścisnął go za przegub ręki.

- Zostaw to dziecko w spokoju - powiedział. Dermot pomógł dziewczynce wstać.

- To przekłeta złodziejka! - oświadczył mężczyzna i w tym momencie zobaczył pokiereszowaną twarz Macka. Ochota do bójki przeszła mu jak ręką odjął.

- Tylko tyle? - spytał Mack. - Z tego, jak ją kopaleś, można było wnosić, że zamordowała samego króla.

- Nie twoja rzecz, co przeskrobała - warknął mężczyzna. Mack puścił go.

- Cokolwiek to było, chyba wystarczająco ją ukarałeś. Tamten spojrział na niego.

- Najwyraźniej jesteś tu nowy - powiedział. - Silne z ciebie chłopisko, ale nie przetrwasz długo w Londynie, jeśli będziesz trzymał z takimi jak ona - dodał i odszedł.

- Dzięki, Jock - odezwała się dziewczynka - uratowałeś mi życie. Ludzie rozpoznawali w Macku Szkota, gdy tylko otworzył usta. Dopóki nie znalazł się w Londynie, nie zdawał sobie sprawy, że mówi inaczej. W Heugh wszyscy mówili tak samo, nawet Jamissonowie. Tutaj szkocki akcent był jak etykieta. Mack spojrział na dziewczynkę. Miała ciemne, krótko obcięte włosy i ładną buzię, która zaczynała już puchnąć od pobicia. Ciało miała dziecinne, ale z jej oczu wyczytało doświadczenie dorosłej osoby. Patrzyła na niego czujnie, zastanawiając się najwyraźniej, czego od niej chce.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Trochę boli - odparła, rozcierając sobie bok. - Szkoda, że nie zakatrupiłeś tego parszywca.

- Czym mu się naraziłaś?

- Próbowałam go okraść, kiedy chędożył Corę, ale się połapał. Mack pokiwał głową. Wiedział, że prostytutki mają często współpracowniki, które okradają ich klientów.

- Może jesteś głodna lub spragniona?
- Papieża w zadek bym pocałowała za szklaneczkę ginu. Mack nie słyszał jeszcze takich słów z niczyich ust, a tym bardziej z ust małej dziewczynki. Nie mógł się zdecydować, czy ma się zgorszyć, czy roześmiać. Stali naprzeciwko "Niedźwiedzia", szynku, w którym Mack znokautował Bermondseya Boksera i dostał za to w nagrodę funta od karła. Przeszli przez ulicę i weszli tam. Mack kupił trzy kufle piwa, po czym przeszli w kąt, żeby je wypić przy ławie. Dziewczynka kilkoma haustami wydudliła swój kufel prawie do dna.
- Dobry z ciebie człowiek, Jock - powiedziała, obcierając grzbietem dłoni usta.
- Mam na imię Mack - mruknął. - A to Dermot, mój przyjaciel.
- A ja jestem Peggy. Wołają na mnie Szybka Peg.
- Pewnie dlatego, że tak szybko pijesz. Uśmiechnęła się.
- W tym mieście, jak ci się trafi coś do picia, to trzeba się z tym szybko uwinąć, bo inaczej ktoś inny to wychła. Skąd jesteś, Jock?
- Z wioski Heugh, jakieś piętnaście mil od Edynburga.
- Gdzie jest ten Edynburg?
- W Szkocji.
- Jak daleko stąd?
- Płynąłem tu tydzień statkiem wzdłuż wybrzeża. - To był długi tydzień. Mack bał się morza. Po piętnastu latach pracy w kopalni bezkresny ocean

przyprawiał go o zawroty głowy. W dodatku musiał wspinać się na maszty i wiązać tam liny bez względu na pogodę. Nigdy nie byłby z niego dobry żeglarz. - Dylizanssem jedzie się chyba trzynaście dni - dorzucił.

- Po co tu przyjechałeś?

- Żeby być wolnym. Uciekłem. Górnicy są w Szkocji niewolnikami.

- Tak jak czarni na Jamajce?

- Widzę, że więcej wiesz o Jamajce niż o Szkocji.

Jego sarkazm ją dotknął.

- A bo co?

- Nic, tylko że Szkocja jest bliżej.

- Przecież wiem - odparła. Mack widział, że kłamie, ale była tylko małą dziewczynką i ujęła go za serce.

- Peg, nic ci się nie stało? - rozległ się tuż przy nich zdyszany kobiecy głos. Mack obejrzał się i zobaczył młodą kobietę w sukni koloru pomarańczy.

- Cześć, Cora! - zawołała Peg. - Uratował mnie ten przystojny książę. Poznaj szkockiego Jocka McKnocka. Cora uśmiechnęła się, do Macka.

- Dzięki, że pomogłeś Peg - powiedziała. - Mam nadzieję, że to nie podczas tej interwencji dorobiłeś się swoich sińców. Mack pokręcił głową.

- To było zupełnie gdzie indziej.

- Czy mogłabym postawić wam po ginie? - zapytała Cora. Mack miał już podziękować - wolał piwo - ale ubiegł go Dermot.

- Bardzo chętnie, dziękujemy. powiedział. Mack odprowadzał Corę wzrokiem, kiedy szła do szynkwasu. Miała około dwudziestu lat i śliczną

twarz, a na głowie burzę płomiennorudych włosów. Aż nie chciało się wierzyć, że kobieta tak młoda i urodziwa może być prostytutką.

- Więc to ona gziła się z tym typem, który cię gonił, tak? - spytał zwracając się do Peg.

- Zazwyczaj między nią a mężczyzną nie dochodzi do najważniejszego - odparła ze znanstwem Peg. -

Najczęściej, jak tylko klient opuści w jakimś zaułku bryczesy, zostawia go tam ze sterczącym kutasem.

- A ty w tym czasie uciekasz z jego sakiewką - wtrącił Dermot.

- Ja? Też coś! Jestem damą dworu królowej Charlotty. Cora wróciła i usiadła obok Macka. Biła od niej ciężka, ostra woń perfum.

- Co porabiasz w Londynie, Jock? - spytała.

Przyjrzał się jej z bliska. Była bardzo atrakcyjna.

- Szukam pracy - odparł.

- I znalazłeś coś?

- Jeszcze nie. Potrząsnęła głową.

- Przeklęta ta zima, zimno jak w grobie, a cena chleba taka, że głowa boli. Za dużo tu tobie podobnych.

- To dlatego dwa lata temu mój ojciec przerzucił się na złodziejstwo - wtrąciła Peg. - Tylko że nie miał do tego smykałki. Mack oderwał oczy od Cory i spojrzał na Peg.

- Co się z nim stało?

- Zadyndał na kołnierzyku szeryfa.

- Co zrobił...?

- Powiesili go - wyjaśnił Dermot.

- Przykro mi - bąknął Mack.
- Tylko się nade mną nie rozczulaj, ty szkocki ćwoku. Mdli mnie od tego - warknęła Peg. Nie dało się zaprzeczyć, miała charakterek.
- Dobrze, nie będę - odparł pojednawczo Mack.
- Jeśli zależy ci na pracy - odezwała się Cora - to znam kogoś, kto szuka ludzi do rozładowywania statków z węglem. Robota jest tak ciężka, że tylko młodzi mężczyźni mogą jej podolać, i wolą tam ludzi spoza miasta, bo ci są mniej skorzy do narzekań.
- Podejmę się każdej pracy - oświadczył Mack, myśląc o Esther.
- Wszystkie brygady węglarzy są nadzorowane przez właścicieli szynków z Wapping. Znam jednego z nich. Sidneya Lennox'a ze "Słońca".
- Uczciwy z niego człowiek? Cora i Peg parsknęły śmiechem.
- To zakłamana, oszukańcza, szkaradna, zapijaczona świnią, ale oni wszyscy są tacy.
- Zaprowadzicie nas do tego "Słońca"?
- Sami tam sobie idźcie - odparła Cora.

Duszną ładownię drewnianego statku wypełniała lepka mgła, cuchnąca potem i pełna węglowego pyłu. Mack stał na górze z szeroką szuflą w dłoniach i nabierał na nią bryły węgla. Była to ciężka praca, ale czuł się wspaniale. Był młody i silny, zarabiał sporo i nikt nie mógł o nim powiedzieć, że jest niewolnikiem. Należał do brygady składającej się z szesnastu węglarzy, którzy machali tak samo jak on szuflami,

postępując z wysiłku, klnąc i żartując między sobą. W większości byli to muskularni, młodzi irlandzcy wieśniacy: robocie przy przeładunku węgla nie mogłyby podolać cherlawe mieszcuchy. Dermot miał trzydzieści lat i był w brygadzie najstarszy. Mack pomyślał, że chyba nie ma dla niego ucieczki przed węglem - ale przecież właśnie dzięki temu czarnemu złotu kręcił się świat. Zaczął sobie wyobrazać, dokąd trafi węgiel, który teraz wyładowują: ogrzeje wszystkie londyńskie salony, będzie się nim palić pod tysiącami kuchennych pieców, utrzyma w ruchu piekarnie i browary. Było sobotnie popołudnie i brygada kończyła opróżniać ładownie "Black Swana" z Newcastle. Mack rachował już w pamięci, jaką wypłatę dziś wieczorem odbierze. To drugi statek, jaki rozładowali w tym tygodniu, a brygada dostawała szesnaście pensów - po pensie na głowę - za każdą skorę, czyli dwadzieścia worków węgla. Silny mężczyzna z dużą szuflą potrafił napęlić worek w dwie minuty. Wyszło mu, że każdy z nich zarobił po sześć funtów brutto. Od tego trzeba było jednak odliczyć potrącenia. Sidney Lennox, pośrednik czy "werbownik", jak go też czasem nazywano, dostarczał węglarzom ogromne ilości piwa i ginu. Musieli dużo pić, żeby uzupełniać galony płynu, które wypacali, jednak Lennox podsylał im więcej niż trzeba, i większość członków brygady wypijała to do ostatniej kropli. Ale popijanie ginu powodowało, że przed zakończeniem każdego dnia roboczego

zdarzał się co najmniej jeden wypadek. Do tego za alkohol trzeba było płacić. Tak więc Mack nie był pewien, ile dostanie, kiedy wieczorem zgłosi się do szynku "Słońce" po wypłatę. Jednak nawet jeśli na potrącenia pójdzie - szacując na wyrost - połowa zarobku, to i tak zostanie mu jeszcze dwa razy tyle, ile zarobiłby w ciągu sześciodniowego tygodnia pracy jako górnik Odkładając pieniądze w tym tempie, już za kilka tygodni będzie mógł posłać po Esther. I wtedy jego siostra bliźniaczka stanie się tak jak on wolnym człowiekiem. Na myśl o tym serce żywiej zabiło mu w piersiach. Zaraz po zamieszkaniu u Dermota napisał do Esther list i wkrótce potem otrzymał od niej odpowiedź. Donosiła, że w całej dolinie krążą opowieści o jego ucieczce. Skrzyknęła się już grupa młodych rębaczy, która wystosowała do angielskiego parlamentu petycję z protestem przeciwko niewolniczej pracy w kopalniach. Napisała też, że Annie wyszła za Jimmy'ego Lee. Na tę wieść Macka aż ścisnęło w dołku z żalu. Już nigdy nie pobaraszkuje z nią w gorącej kąpieli. Ale Jimmy Lee był dobrym człowiekiem. Być może petycja górników zapoczątkuje jakieś zmiany i może dzieci Jimmy'ego i Annie będą już wolne. Ostatnia partia worków z węglem znalazła się wreszcie na wiosłowej barce. Pozostawało tylko przetransportować je na brzeg i stamtąd przenieść do składu. Mack przeciągnął się, rozprostowując bolące plecy, zarzucił sobie na ramię szufłę i wyszedł na pokład. Powiew zimnego powietrza zaparł mu dech w

piersiach, włożył więc koszulę, a na wierzch narzucił futrzaną szubę, którą podarowała mu Lizzie Hallim. Brygada przepłynęła z ostatnimi workami na brzeg i pomaszerowała do "Słońca" po wypłatę. "Słońce" było obskurnym szynkiem, którego stałymi bywalcami byli marynarze i robotnicy portowi. Podłogę stanowiło rozmiękle klepisko, ławy i stoły były poobijane i lepiły się od brudu, a dymiący kominek dawał niewiele ciepła. Właściciel, Sidney Lennox, był nałogowym graczem, więc wciąż tu w coś grano: w karty, w kości lub w jakąś skomplikowaną grę ze znaczonymi tabliczkami i żetonami. Jedynym atutem tej spelunki była Czarna Mary, afrykańska kucharka, która z mięczaków i ścinków taniego mięsa potrafiła przyrządzać przepyszny pikantny gulasz, uwielbiany przez gości. Mack i Dermot dotarli do "Słońca" pierwsi. Zastali tam Peg siedzącą po turecku i pykającą z glinianej fajeczki nabitej wirgińskim tytoniem. Mieszkała w "Słońcu", sypiając na podłodze w kącie. Na widok Macka splunęła w ogień i zawołała wesoło: - No jak tam, Jock, ratowało się z opresji jakieś dziewice? - Dzisiaj nie - odparł z uśmiechem. Zza drzwi do kuchni wystawiła swoje uśmiechnięte oblicze Czarna Mary.

- Zupkę ogonową, chłopcy? - spytała. Miała niderlandzki akcent i chodziły słuchy, że była kiedyś niewolnicą holenderskiego kapitana.

- Dla mnie dwie chochelki, jeśli łaska - powiedział Mack. - Głodni, co? Ciężko pracowali? - zapytała.

- Pogimnastykowaliśmy się trochę dla nabrania apetytu - mruknął Dermot. Mack nie miał pieniędzy na kolację, ale korzystał z kredytu, który Lennox dawał wszystkim swoim węglarzom na poczet ich zarobków. Dziś wieczorem spłaci brzęcząca moneta wszystko: nie chciał brnąć w długi. Przysiadł się do Peg.

- Jak interesy? - spytał żartobliwie. Potraktowała to pytanie poważnie.

- Dziś po południu oskubałyśmy z Corą nadzianego starego pryka, no i mamy teraz wolny wieczór. Mackowi było trochę głupio, że przyjaźni się ze złodziejką. Wiedział, co Peg do tego popycha: miała do wyboru albo kraść, albo przymierać głodem jednak w głębi serca, gdzie przetrwała jakaś pozostałość matczynych nauk, Mack nie pochwalał tego. Peg była mała, drobna, chuda jak patyk i miała ładne, niewinne niebieskie oczęta, ale zachowywała się jak zatwardziały złoczyńca i tak też traktowali ją ludzie. Mack podejrzewał, że te maniere to tylko kamuflaż i że pod tą maską kryje się przerażona mała dziewczynka, która nie ma na świecie nikogo, kto roztoczyłby nad nią opiekę. Czarna Mary postawiła przed nim zupę z pływającymi w niej kawałkami mięsa, pajdę chleba i kufel ciemnego piwa. Rzucił się na strawę jak wygłodniały wilk. Pomalu schodzili się inni węglarze. Lennox jak dotąd się nie pojawił, co było rzeczą niezwykłą: zazwyczaj całymi dniami grywał z klientami w karty albo w kości. Mack miał nadzieję, że nie kaze długo na

siebie czekać. Chciał się jak najszybciej przekonać, ile w tym tygodniu zarobił. Podejrzewał, że Lennox chce przetrzymać w szynku ludzi, którzy przyszli po wypłatę, żeby skracając sobie czas oczekiwania przepuścili tu więcej pieniędzy. Mniej więcej po godzinie przyszła Cora. W musztardowej sukni z czarnymi obszyciami wyglądała przepięknie. Pozdrawiali ją wszyscy mężczyźni, ale ona, ku zdumieniu Macka, podeszła prosto do niego i usiadła przy jego stoliku.

- Słyszałem, że miałyście zyskowne popołudnie - zagaił.

- Nie ma o czym mówić - odparła, wzruszając ramionami. - Życie niczego tego starucha nie nauczyło.

- Powiedz mi; jak to robisz. Nie chciałbym paść kiedyś ofiarą kogoś takiego jak ty. Spojrzała na niego zalotnie.

- Ty nigdy nie będziesz musiał płacić dziewczynie, Mack.

- Mimo wszystko powiedz mi... jestem ciekaw.

- Najprostszy sposób to poderwać pijanego, roznamiętnić go, wciągnąć w ciemny zaułek i uciec z jego pieniędzmi.

- Tak to dzisiaj rozegrałyście?

- Nie, dzisiaj było lepiej. Znalazłyśmy pusty dom i przekupiłyśmy stróża. Ja grałam rolę znudzonej żony, a Peg była moją pokojówką. Wprowadziłyśmy faceta do tego domu, mówiąc mu, że tam mieszkam. Rozebrałam go i położyłam do łóżka, i wtedy Peg

wpadła z krzykiem, że mój mąż niespodziewanie wrócił. Peg roześmiała się.

- Biedny dziadek, trzeba było widzieć jego minę! - powiedziała. - Był przerażony. Schował się do szafy!

- A my wyszłyśmy jak gdyby nigdy nic z jego portfelem, zegarkiem i całym ubraniem - dodała Cora.

- Pewnie jeszcze siedzi w tej szafie! - zawołała Peg i obie zanosły się śmiechem. Do szynku zaczęły zaglądać żony węglarzy, niejedna z niemowlęciem na rękach albo z brzdącami czepiającymi się sukni. Kilka z nich zachowało jeszcze ślady urody i młodości, ale większość wyglądała na zmęczone życiem i niedożywione bite żony brutalnych, zapijaczonych mężczyzn. Mack domyślił się, że przyszły tu z nadzieją odebrania choć części wypłaty, zanim mężowie ją przepiją, przegrają albo przetrącają na ladacznice. Do szynku weszła też Bridget Riley z pięciorgiem dzieci i przysiadła się do Macka i Dermota. Była już północ, kiedy Lennox raczył się w końcu zjawić. Przyniósł skórzany woreczek pełen monet i był uzbrojony w parę pistoletów dla obrony przed rabusiami. Kiedy wchodził, węglarze, którym porządnie kurzyło się już z głów, powitali go wiwatami jak bohatera, i Macka ogarnęło uczucie pogardy dla towarzyszy pracy: czemu okazywali taką wdzięczność za coś, co im się słusznie należało? Lennox, gburowaty mężczyzna koło trzydziestki, miał na sobie buty z cholewami i flanelową kurtkę do pasa, nałożoną na gołe ciało. Dźwiganie ciężkich

beczek z piwem i spirytusem przydało mu kondycji i wyrobiło mięśnie. W układzie jego ust było coś okrutnego. Zalaływało od niego szczególną wonią słodkim zapachem gnijącego owocu. Mack zauważył, że Peg skuliła się odruchowo, kiedy Lennox obok niej przechodził; bała się tego człowieka. Szynkarz zaciągnął jeden ze stołów w kąt izby i postawił na nim worek z pieniędzmi, a obok położył pistolety. Mężczyźni i kobiety natychmiast zbili się przed nim w gromadkę popychając się i poszturchując, jakby bali się, że Lennox ucieknie z gotówką, zanim nadejdzie ich kolej. Mack trzymał się na uboczu - uważał, że to poniżej jego godności dobijać się o wypłatę, na którą uczciwie zapracował. Usłyszał schrypnięty głos Lennoxa wzbijający się ponad powszechny rozgwar:

- Każdy mężczyzna zarobił w tym tygodniu funta i jednaście pensów, z czego muszę potrącić to, co skonsumował na kreskę w szynku. Mackowi nie chciało się wierzyć własnym uszom. Rozładowali przecież dwa statki - to dawało około tysiąca pięciuset skor, czyli trzydzieści tysięcy worków węgla - więc każdy z węglarzy powinien otrzymać około sześciu funtów brutto. Jak mogło się z tego zrobić niewiele ponad funt? Mężczyznom wyrwał się z piersi jęk rozczarowania, ale żaden z nich nie zakwestionował zakomunikowanej sumy. Kiedy Lennox przystąpił do odliczania poszczególnych wypłat, Mack powiedział:

- Chwileczkę... Jak pan to wyrachował? Szynkarz przerwał liczenie i spojrzał na niego spode łba. - Rozładowaliście tysiąc czterysta czterdzieści pięć skor, co daje po sześć funtów i pięć pensów brutto na głowę. Odejmij od tego piętnaście szylingów dziennie na napoje...

- Ile? - wpadł mu w słowo Mack. - Piętnaście szylingów dziennie? - Była to suma równa trzem czwartym ich dniówki. - To rozbój na prostej drodze - poparł go Dermot Riley. Nie powiedział tego zbyt głośno, ale mężczyźni i kobiety poparli go zgodnym pomrukiem.

- Moja prowizja wynosi szesnaście pensów za człowieka - podjął Lennox. - Drugie szesnaście pensów idzie dla kapitana, do tego sześć pensów dziennie za wypożyczenie szufli... - Wypożyczenie szufli? - zdziwił się Mack.

- Jesteś tu nowy i nie znasz zasad, McAsh - warknął Lennox. - Może byś tak przymknął tę przekłętą gębę i dał mi pracować, bo nikt nie dostanie wypłaty. Mack był wściekły, ale domyślał się, że Lennox nie ustanowił tego systemu dzisiejszego wieczoru - najwyraźniej obowiązywał tu od dawna i robotnicy musieli go akceptować. Peg pociągnęła go za rękaw i powiedziała ściszym głosem:

- Nie wszczynaj awantur, Jock, bo Lennox już znajdzie sposób, żeby się na tobie odegrać. Mack wzruszył ramionami i zamilkł. Jednak jego protest poruszył innych. Głos zabrał teraz Dermot Riley:

- Ja nie wypijałem napojów za piętnaście szylingów dziennie - powiedział.

- Na pewno nie wypijał - poparła go żona.

- Ani ja - odezwał się jakiś inny mężczyzna. - Bo i kto by dał radę? Człowiek by pękł, gdyby wyżłopał tyle piwska! - Tyle dostarczyłem wam na statek - warknął gniewnie Lennox. - Wydaje wam się, że będę zapisywać, ile który dziennie wypija?

- Jeśli pan nie zapisuje, to jest pan jedynym oberżystą w Londynie, który tego nie robi! -

zauważył Mack. Mężczyźni ryknęli śmiechem.

Lennox rozjuszyła kpiąca uwaga Macka i śmiech ludzi.

- Zasada jest taka - wyrzucił z siebie, ciskając oczami gromy - że płacicie piętnaście szylingów dziennie za napoje i nie interesuje mnie, czy za tyle wypijecie, czy nie. Mack przepchnął się na czoło grupki węglarzy i podszedł do stołu.

- No to wiedz pan, że ja też mam zasadę - powiedział.

- Nie płacę za napoje, o które nie prosiłem i których nie wypilem. Pan może nie liczył, ale ja owszem, i mogę powiedzieć dokładnie, ile jestem panu winien.

- Ja też! - krzyknął inny mężczyzna. Był to Charlie Smith, urodzony w Anglii Murzyn z

charakterystycznym akcentem z okolic Newcastle. -

Wypilem osiemdziesiąt trzy małe kufle piwa, które sprzedaje pan tutaj po cztery pensy za pintę. To daje dwadzieścia siedem szylingów i osiem pensów za cały tydzień, a nie piętnaście szylingów dziennie.

- Ciesz się, że w ogóle ci płacą, ty czarna wywłoko. Powinieneś chodzić w kajdanach jako niewolnik. Charliemu twarz jeszcze bardziej pociemniała.

- Jestem Anglikiem i chrześcijaninem... i człowiekiem lepszym od pana, bo uczciwym - wycedził z tłumioną furją.

- Ja też mogę panu powiedzieć, ile dokładnie wypilem oświadczył Dermot Riley. Lennox coraz bardziej się denerwował.

- Jeśli się nie uspokoiacie, to w ogóle nic nie dostaniecie, żaden z was - warknął. Mackowi przemknęło przez myśl, że lepiej byłoby ostudzić nastroje. Zaczął się nawet zastanawiać nad jakąś pojednawczą formułką, ale nagle jego wzrok padł na Bridget Riley i jej głodne dzieciaki i oburzenie przeważało.

- Nie odejdzie pan od tego stołu - powiedział do szynkarza - dopóki nie wypłaci każdemu, co mu się należy. Wzrok Lennox powędrował ku pistoletom. Mack zmiótł je błyskawicznym ruchem na ziemię.

- Wybij sobie ze łba, że mnie zastrzelisz, a potem się stąd ulotnisz, ty przeklęty złodzieju - powiedział gniewnie. Szynkarz przypominał osaczonego mastiffa. Mack zaczął się zastanawiać, czy czasem nie posunął się za daleko: może powinien pójść na kompromis i ratować twarz opuszczając szynk? Ale było już za późno. Lennox musiał ustąpić. Miał do czynienia z pijanymi węglarzami, którzy zabiliby go, gdyby im nie zapłacił. Poprawił się na krześle i

rzucając Mackowi spod zmrużonych powiek spojrzenie pełne nienawiści, powiedział:

- Pożałujesz tego, McAsh, przysięgam na Boga, że pożałujesz.

- Daj spokój, Lennox - odparł spokojnie Mack. - Ci ludzie chcą tylko, żebyś wypłacił, co im się należy. Lennox nie dał się ułagodzić, nic jednak już nie powiedział. Popatrując spode łba, zaczął odliczać pieniądze. Najpierw zapłacił Charliemu Smithowi, potem Dermotowi Rileyowi i Mackowi, odbierając od każdego słowne oświadczenie, za ile skonsumował napojów. Mack odszedł od stołu rozpierany uniesieniem. Ścisnął w dłoni trzy funty i dziewięć szylingów: nawet jeśli połowę z tego odłoży dla Esther, będzie bogaczem. Pozostali węglarze, pytani za ile wypili, rzucali wzięte z sufitu sumy, ale Lennox się nie targował. Zrobił wyjątek jedynie w przypadku Sama Pottera, wielkiego grubasa z hrabstwa Cork, który twierdził, że wypił tylko trzy kwarty, co wywołało u pozostałych ryk śmiechu: w końcu stanęło na ilości trzy razy takiej. Wśród mężczyzn i kobiet upychających swoje wypłaty do kieszeni zapanował odświeżony nastrój. Kilka osób podeszło do Macka, żeby poklepać go po plecach, a Bridget Riley nagrodziła go całusem. Ale on zdawał sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec. Lennox nie poddawał się tak łatwo. Kiedy ostatni węglarz odebrał swoją wypłatę, Mack podniósł z ziemi pistolety Lennox'a, wydmuchnął proch z panewek, żeby nie mogły wypalić, i położył je na stole.

Szynkarz wziął rozładowane pistolety i prawie pusty worek na pieniądze, wstał i podszedł do drzwi prowadzących do jego prywatnych pokoi. W izbie zaległa cisza. Wszyscy obserwowali go z napięciem, jakby obawiali się, że może znajdzie jeszcze sposób na odebranie im pieniędzy. Lennox odwrócił się w progu.

- Idźcie do domu - powiedział złowrogo. - I nie pokazujcie się tu w poniedziałek. Nie będzie dla was roboty. Już dla mnie nie pracujecie. Przez większą część nocy zgryzota nie pozwalała Mackowi zasnąć. Część górników pocieszała się, że do poniedziałku Lennox o wszystkim zapomni, ale on w to wątpił. Lennox nie wyglądał na człowieka, który godzi się z porażką. Mógł bez trudu zwerbować szesnastu młodych, silnych ludzi i utworzyć z nich nową brygadę. Mack czuł się winny. Węglarze byli jak woły - silni, głupi i podatni na manipulacje - nie zbuntowaliby się przeciwko Lennoxowi, gdyby Mack ich nie podburzył. Teraz czuł, że musi ratować sytuację. W niedzielę rano wstał wcześnie i wszedł do sąsiedniej izby. Dermot z żoną leżeli na sienniku, a piątka ich dzieci spała w jednym barłogu w przeciwległym kącie. Mack potrząsnął Dermota za ramię.

- Wstawaj. Musimy poszukać na jutro roboty dla naszej brygady - powiedział. Dermot wstał.

- Ubierzcie się przyzwoicie, jeśli chcecie zrobić dobre wrażenie na pośredniku - wymamrotała zaspana Bridget. Dermot włożył starą czerwoną kurtkę, a

Mackowi pożyczył niebieską jedwabną apaszkę, którą kupił sobie na ślub. Po drodze wpadli do Charliego Smitha. Charlie był węglarzem od pięciu lat i znał w tej branży wszystkich. On też włożył swój najlepszy granatowy kubrak i ruszyli razem do Wapping. Na błotnistych uliczkach nadbrzeżnej dzielnicy nie widać było żywego ducha. Dzwony londyńskich kościołów wzywały wiernych na niedzielne nabożeństwo, ale większość marynarzy oraz robotników portowych i magazynowych wolała pozostać w ten wolny od pracy dzień w domach. Brązowe wody Tamizy omywały z pluskiem wyludnione nabrzeża, na których buszowały rozzuchwalone szczury. Wszyscy pośrednicy zatrudniający węglarzy byli właścicielami szynków. Trzej mężczyźni zaszli najpierw do "Patelni", szynku znajdującego się w najbliższym sąsiedztwie "Słońca". Zastali właściciela zajętego gotowaniem szynki na podwórzu. Wokół rozchodził się tak smakowity aromat, że Mackowi ślinka napłynęła do ust.

- Czołem, Harry - wesóło pozdrowił szynkarza Charlie. Tamten rzucił mu niechętne spojrzenie.**
- Czego chcecie, chłopaki, może piwa?**
- Szukamy pracy - odparł Charlie. - Szykuje ci się na jutro jakiś statek z węglem do rozładowania?**
- A szykuje, ale brygadę do tej roboty też mam. Dzięki za dobre chęci. Ruszyli dalej.**
- Co go ugryzło? - spytał Dermot. - Patrzył na nas jak na trędowatych.**

- Może przeholował wczoraj z ginem - mruknął Charlie. Mack obawiał się, że to coś gorszego, ale na razie zachowywał swe domysły dla siebie.

- Chodźmy do "Królewskiej Głowy" - zaproponował. W szynku siedziało nad piwem kilku węglarzy. Przywitali się z nimi.

- Słyszeliście o jakiejś robocie, chłopaki? - zagadnął ich Charlie. - Szukamy statku do rozładowania. Usłyszał go szynkarz.

- To wy, chłopy, pracujecie dla Sidneya Lennox'a ze "Słońca"? - zapytał.

- Tak, ale Lennox nic dla nas nie ma na przyszły tydzień - odparł Charlie.

- Ani ja - burknął szynkarz.

- Spróbujmy jeszcze u Bucka Delaneya z "Łabędzia" zaproponował Charlie, kiedy wychodzili. - On zatrudnia po dwie, a czasem i trzy brygady naraz. "Łabędź" był dużą oberżą z osobną izbą na kawiarnię oraz przylegającymi do głównego budynku stajniami i składem węgla. Irlandczyka Delaneya, który ją prowadził, znaleźli w jego prywatnej kwaterze z oknem wychodzącym na dziedziniec. Chociaż nosił teraz perukę i siedział z koronkową serwetką pod brodą przy śniadaniu składającym się z kawy i zimnej wołowiny, w młodości sam był węglarzem.

- Dam wam dobrą radę, chłopaki... - powiedział, kiedy ich zobaczył. - Wszyscy pośrednicy w Londynie słyszeli, co zaszło wczoraj w nocy w "Słońcu". Żaden was nie zatrudni. Sidney Lennox

już się o to postarał. Mackowi ścisnęło się serce. Właśnie czegoś takiego się obawiał.

- Na waszym miejscu - ciągnął Delaney - wsiadłbym na statek i wyniósł się na rok albo i dwa z tego miasta. Przez ten czas wszystko pójdzie w niepamięć.

- Więc węglarze już na zawsze są skazani na okradanie przez was, pośredników? - spytał gniewnie Dermot. Jeśli nawet Delaney poczuł się urażony, to nie okazał tego po sobie.

- Rozejrzyj się dookoła, chłopcze - powiedział spokojnie, obejmując szerokim gestem srebrną zastawę do kawy, wyłożoną dywanem izbę i znajdującą się po drugiej stronie dziedzińca oberżę. - Nie doszedłbym do tego, postępując z ludźmi uczciwie.

- A co stoi na przeszkodzie, żebyśmy sami proponowali kapitanom rozładowywanie ich statków? - spytał Mack.

- Wszystko - odparł Delaney. - Od czasu do czasu pojawia się taki jak ty węglarz, McAsh, co ma więcej oleju we łbie od reszty, i próbuje skrzyknąć własną brygadę, ominąć pośrednika, uniknąć płacenia za napitki, i w ogóle. Ale zbyt wiele osób zbija na tym pieniądze. - Pokręcił głową. - Nie pozwolą wam samodzielnie działać. Nie ty pierwszy buntujesz się przeciwko staremu systemowi, McAsh, i nie ostatni. Macka mierzył cynizm Delaneya, jednak intuicja podpowiadała mu, że ten człowiek ma rację. Z poczuciem klęski odwrócił się i ruszył do drzwi, a Dermot z Charliem za nim.

- Posłuchaj mojej rady, McAsh! - zawołał za nimi Delaney. - Bądź taki jak ja. Załóż mały szynk i sprzedawaj trunek węglarzom. Przestań się przejmować ich kłopotami i zacznij myśleć o sobie. Dobrze na tym wyjdiesz, ja ci to mówię.

- Mam być taki jak ty? - zachnął się Mack. - Wzbogaciłeś się oszukując bliźnich. Nie mam zamiaru w ten sposób się dorabiać. Wychodząc ujrzał z satysfakcją, jak twarz Delaneya ciemnieje z gniewu. Jednak poczucie satysfakcji prysło, kiedy tylko zamknął za sobą drzwi. Zwyciężył w dyskusji, ale przegrał wszystko inne. Gdyby potrafił stłamsić dumę i przystać na system proponowany przez pośredników, już jutro rano miałby pracę. Teraz nie miał nic - i w dodatku spowodował, że piętnastu innych ludzi mających rodziny na utrzymaniu znalazło się w takim samym beznadziejnym położeniu. Perspektywa ściągnięcia do Londynu Esther oddaliła się teraz bardziej niż kiedykolwiek. Wszystko zepsuł. Był przeklętym głupcem. Usiedli w trójkę w jednym z szynków i zamówili piwo i chleb na śniadanie. Mack musiał przyznać, że był arogantem pogardzając węglarzami za bierne godzenie się z losem. Nazywał ich w myślach wołami, a to on sam był wołem. Przypomniawszy sobie Caspara Gordonsona, prawnika, który zapoczątkował to wszystko, wyjaśniając Mackowi przysługujące górnikom prawa. Gdyby teraz spotkał tego Gordonsona, pomyślał, wygarnąłby mu w oczy, co warte są te jego prawa. Wychodziło na to, że prawo

jest tylko na użytek tych, którzy z racji swojej pozycji mają możliwość jego egzekwowania. Górnicy i węglarze nie mieli swojego rzecznika w sądzie, nie mogli się więc powoływać na przysługujące im prawa. Mądrzy ludzie nie oglądali się na to, i brali sprawy we własne ręce, tak jak Cora, Peg i Buck Delaney. Podniósł kufel i zamarł z nim w połowie drogi do ust. Przecież Caspar Gordonson mieszka w Londynie. Mógłby go odnaleźć. Mógłby mu wygarnąć, co jest warte jego prawo ale może udałoby się praktyczniej wykorzystać takie spotkanie. Może Caspar Gordonson zgodziłby się podjąć roli rzecznika praw węglarzy? Pisał wciąż o angielskich swobodach, więc powinien pomóc. Spróbować nie zaszkodzi. Feralny list, który Mack dostał od Caspara Gordonsona, wysłany został z Fleet Street. Strumień o nazwie Fleet wpadał do Tamizy u stóp wzgórza, na którym wznosiła się katedra św. Pawła. Gordonson mieszkał w trzypiętrowym budynku z cegły, niedaleko dużej oberży.

- Musi być kawalerem - stwierdził Dermot.

- Skąd wiesz? - spytał Charlie Smith.

- Brudne okna, próg nie wypastowany... nie ma w tym domu kobiety. Służący, który im otworzył, nie okazał zdziwienia, kiedy zapytali o pana Gordonsona. W drzwiach musieli przepuścić dwóch wychodzących właśnie z domu dżentelmenów prowadzących ożywioną dyskusję, w której padały nazwiska Williama Pitta, lorda Tajnej Pieczęci, i

Viscounta Weymoutha, sekretarza stanu. Nie przerwali rozmowy, ale jeden z nich skinął im głową, co Macka wielce zaskoczyło, bowiem dżentelmeni traktowali zazwyczaj ludzi niższego stanu jak powietrze. Mack wyobrażał sobie mieszkanie prawnika jako miejsce pełne zakurzonych dokumentów i szeptanych na ucho sekretów, miejsce, w którym najdonośniejszym odgłosem jest powolny skrzyp pióra po papierze. Ale dom Gordonsona bardziej przypominał oficynę drukarską. W holu pod ścianami piętrzyły się stosy przewiązanych sznurkiem paczek broszur i czasopism, w powietrzu unosiła się woń ciętego papieru i farby drukarskiej, a dochodzące spod schodów dudnienie maszyneryi wskazywało, że w piwnicy pracuje prasa. Służący wszedł do pokoju przylegającego do holu. Mackowi przemknęło przez myśl, że ich wizyta to strata czasu. Ludzie pisujący artykuły do gazet nie zniżają się do konszachtów z robotnikami. Zainteresowanie swobodami obywatelskimi mogło być u Gordonsona czysto teoretyczne. Ale Mack chciał wykorzystać każdą możliwość. Podburzył brygadę węglarzy do buntu i przez to zostali bez pracy, musiał więc szukać jakiegoś wyjścia.

- McAsh? - dobiegł ich podniesiony głos z pokoju, w którym dopiero co znikł służący. - Nigdy o takim nie słyszałem! Co to za jeden? Nie wiesz? To zapytaj! Albo zaczekaj... W chwilę później w progu stanął łysiejący mężczyzna i spojrzał przez binokle na trzech węglarzy.

- Nie sędzę, żebym was znał - stwierdził. - Czego ode mnie chcecie? Nie było to zachęcające przyjęcie, jednak Mack tak łatwo się nie zrażał.

- Niedawno udzielił mi pan bardzo złej porady - odezwał się - mimo to jednak wróciłem po następną. Mężczyzna nie odpowiedział od razu i Mack myślał już, że go obraził, ale Gordonson parsknął nagle serdecznym śmiechem. - Kim jesteś? - spytał przyjaźnie.

- Malachi McAsh. Wołają na mnie Mack. Dopóki nie dostałem od pana listu, w którym napisał pan, że jestem wolnym człowiekiem, byłem górnikiem w Heugh, niedaleko Edynburga. Gordonson chyba coś pamiętał, bo twarz mu się rozjaśniła. - A więc to ty jesteś tym miłującym wolność górnikiem! Daj rękę, człowieku, niechże ją uścisnę. Mack przedstawił mu Dermota i Charliego.

- Zapraszam do środka. Może po kieliszku wina? - zaproponował prawnik. Weszli za nim do pokoju, w którym stało biurko i krzesła, a wzdłuż wszystkich ścian ciągnęły się pełne książek półki. Te, na które zabrakło miejsca na półkach, leżały w stosach na podłodze, a całe biurko zawałone było próbnymi odbitkami drukarskimi. Na poplamionym dywanie przed kominkiem leżał spasiony stary pies. Mack podniósł z krzesła otwartą księgę prawniczą i usiadł.

- Dziękuję za wino. Chciałbym zachować jasność myśli powiedział.

- To może kawy? - zaproponował Gordonson. - Wino usypia, za to kawa pobudza. - Nie czekając na

odpowieź, rzucił do słuźącego: - Podaj kawę dla wszystkich. - Spojrzał znowu na Macka. - No, McAsh, czemuź to moja porada źle ci się przysłuźyła? Mack opowiedział mu, jak oszedł z Heugh. Dermot z Charliem chłonełi kaźde jego słowo - nie słydzeli jeszcze tej historii. Gordonson palił fajkę i wydmuchiwał klęby tytoniowego dymu, od czasu do czasu potrząsając głową. Kiedy Mack kończył, wrócił słuźący z kawą.

- Znam od dawna Jamissonów... to chciwi, bezwzględni, brutalni ludzie - mruknął Gordonson. - Co robięś od czasu przybycia do Londynu?

- Zostałem węglarzem. - Mack zrelacjonował wydarzenia, do jakich doszło poprzedniej nocy w szynku "Słońce".

- Ściąganie od węglarzy należności za napoje to skandaliczny, od dawna praktykowany proceder - stwierdził Gordonson. Mack pokiwał głową.

- Dowiedziałem się przy okazji, że nie jestem pierwszym protestującym.

- Rzeczywiście nie jesteś. Parlament już przed dziesięciu laty uchwalił ustawę, która zabrania tej praktyki.

- To czemu dalej się tak dzieje? - zdumiał się Mack.

- Bo ustawa nie jest egzekwowana.

- Dlaczego?

- Rząd obawia się przerw w dostawach węgla. Londyn funkcjonuje dzięki węglowi... bez niego wszystko by stanęło: nie piekłoby się chleba, nie warzyło piwa, nie dmuchało szkła, nie wytapiało

żelaza, nie podkuwało koni, nie wytwarzało gwoździ...

- Rozumiem - przerwał Gordonsonowi Mack. - Nie powinno mnie dziwić, że prawo nie czyni nic dla ludzi takich jak my.

- Nie masz racji - oświadczył Gordonson. - Prawo nie podejmuje decyzji. Samo w sobie jest bezwolne. Jest jak oręż albo narzędzie: działa na korzyść tych, którzy biorą je w ręce i używają.

- Czyli bogatych...

- Owszem - przyznał prawnik. - Ale może również działać na waszą korzyść.

- Jak? - zainteresował się Mack.

- Przypuśćmy, że obmyśliłeś alternatywny system organizacji brygad rozładujących statki z węglem... Mack od dawna nosił się z takim projektem.

- To nie byłoby trudne - powiedział. - Ludzie mogliby wybierać sobie jednego z pośredników i układać się z kapitanami. Zapłata byłaby dzielona natychmiast po zainkasowaniu. - Myślę, że węglarze woleliby pracować w tym nowym systemie i mieć wolną rękę w dysponowaniu swoimi zarobkami.

- Pewnie - powiedział Mack, tłumiąc narastające podniecenie. - Mogliby od ręki płacić za wypijane piwo, jak wszyscy inni.

- Już tego próbowano - mruknął ponuro Charlie. Nie udało się.

- Dlaczego się nie udało? - zapytał Mack.

- Po pierwsze, pośrednicy przekupują kapitanów, żeby nie korzystali z usług nowych brygad. Poza tym dochodzi do starć pomiędzy brygadami. A za winne tych starć uznaje się zawsze nowe brygady, bo w magistracie zasiadają albo sami pośrednicy, albo znajomi pośredników... i w końcu węglarze wracają do starych zasad.

- Przekłęci głupcy - mruknął Mack. Charlie spojrzał na niego urażony.

- Gdyby byli mądrzy i inteligentni, nie byłiby węglarzami - odparł. Mack przyznał w duchu, że się nieco zagalopował, ale złościło go, że węglarze sami sobie czynią krzywdę.

- Potrzeba im trochę determinacji i solidarności - powiedział.

- Nie tylko - wtrącił Gordonson. - To kwestia polityki. Pamiętam ich ostatni protest. Ponieśli porażkę, bo nie mieli orędownika. Przeciwno sobie mieli pośredników, a za sobą nikogo.

- A dlaczego tym razem miałyby się to potoczyć inaczej? - spytał Mack.

- Dzięki Johnowi Wilkesowi. Wilkes był obrońcą praw robotników, ale przebywał na wygnaniu.

- Niewiele może nam pomóc z Paryża - zauważył Mack.

- Nie siedzi już w Paryżu. Wrócił. Była to zaskakująca nowina.

- I co zamierza?

- **Kandydować do parlamentu. Mack wyobrażał już sobie, jakie zamieszanie wzniesie to w londyńskich kręgach politycznych.**
- **Nadal nie rozumiem, w czym kandydowanie Wilkesa do parlamentu może nam pomóc - mruknął.**
- **Kiedy wygra wybory, ujmie się za węglarzami, a rząd będzie bronił interesów pośredników. Taki spór, w którym racja i prawo będą bez wątpienia po stronie robotników, Wilkes może tylko wygrać.**
- **A skąd pan wie, jak postąpi Wilkes? Gordonson uśmiechnął się.**
- **Jestem przewodniczącym jego sztabu wyborczego. Prawnik okazał się człowiekiem bardziej wpływowym, niż Mack myślał. Doskonale się składało.**
- **Czyli planujecie wykorzystać węglarzy do osiągnięcia własnych celów politycznych? - spytał wciąż sceptyczny Charlie Smith.**
- **Trafne spostrzeżenie - odparł spokojnie Gordonson i odłożył fajkę. - Pozwólcie, że wam wyjaśnię, dlaczego popieram Wilkesa. Przychodźcie do mnie, skarżąc się na niesprawiedliwość. Zbyt często dochodzi do podobnych praktyk: prości ludzie w okrutny sposób wykorzystywani przez jakiegoś zachłannego bydlaka, George'a Jamissona albo Sidneya Lennox. Źle to służy rozwojowi kraju, ponieważ dobre rozwiązania są wypierane przez złe. Ale nawet gdyby taki stan rzeczy nie szkodził rozwojowi, to i tak godzenie się z nim byłoby nikczemnością. Kocham swój kraj i nienawidzę**

bydlaków, którzy wyniszczają własny naród i wpędzają go w nędzę, poświęciłem się więc walce o sprawiedliwość. - Uśmiechnął się i znowu wsunął fajkę do ust. - Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt pompatycznie. - Ani trochę - powiedział Mack. - Cieszę się, że mamy pana po swojej stronie.

Dzień ślubu był zimny i dżdżysty. Jay patrzył z okien swojej sypialni w rezydencji przy Grosvenor Square na Hyde Park, gdzie obozował jego regiment. Przy samej ziemi snuła się mgła i namioty żołnierzy wyglądały jak żagle okrętów na wzburzonym szarym morzu. Tu i ówdzie dymiły rachityczne ogniska, przydając pejzażowi melancholii. Ludzie są pewnie przygnębieni, pomyślał Jay, ale przecież żołnierz jest z przygnębieniem za pan brat. Odwrócił się od okna. Chip Marlborough, jego drużba, podał mu nową kurtkę. Jay wsunął ręce w rękawy z pomrukiem mającym wyrażać podziękowanie. Chip, podobnie jak Jay, był kapitanem trzeciego regimentu piechoty. Jego ojciec, lord Arebury, prowadził interesy z sir George'em. Jayowi bardzo pochlebiało, że potomek takiego arystokraty zgodził się stać u jego boku w dniu ślubu.

**- Sprawdziłeś, co u koni? - spytał z niepokojem.
- Oczywiście - zapewnił go Chip. Chociaż służyli w piechocie, jako oficerowie dosiadali koni i do obowiązków Jaya należał nadzór nad ludźmi, którzy się nimi zajmowali. Znał się na koniach: rozumiał je instynktownie. Z okazji ślubu otrzymał dwa dni**

wolnego, jednak wciąż martwił się, czy zwierzęta mają należyłą opiekę. Nie dostał dłuższego urlopu, bo regiment postawiony został w stan gotowości. Nie wybuchła bynajmniej żadna wojna: ostatnim międzynarodowym konfliktem zbrojnym, w jakim brała udział brytyjska armia, była wojna z Francuzami w Ameryce, która skończyła się, kiedy Jay i Chip chodzili jeszcze do szkoły. Ale mieszkańcy Londynu stali się ostatnio tak niespokojni i niesforni, że na wszelki wypadek przygotowywano wojsko do tłumienia ewentualnych zamieszek. Co kilka dni jakaś grupa niezadowolonych rzemieślników podejmowała strajk albo maszerowała na parlament, albo biegła po ulicach i wybijała szyby w oknach. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu tkacze jedwabiu, rozwścieczeni redukcją stawki wynagrodzenia, zniszczyli trzy z nowych krosien parowych zainstalowanych w Spitalfields. - Mam nadzieję, że regiment nie dostanie rozkazu wymarszu podczas mojego urlopu - powiedział Jay. - Nie darowałbym sobie, gdyby ominął mnie udział w akcji.

- Przestań się zamartwiać - mruknął Chip i rozlał do dwóch kieliszków brandy z karafki. - Za miłość! - wznosił toast.

- Za miłość! - podchwycił Jay. Dopiero teraz uświadamiał sobie, jak niewiele wie o miłości. Dziewictwo stracił przed pięciu laty z Arabellą, jedną z pokojówek ojca. Wydawało mu się wówczas, że to on ją uwiódł, ale teraz doszedł do wniosku, że było wprost przeciwnie. Dzielił z nią łóżko trzy razy i

w jakiś czas potem oznajmiła mu, że jest w ciąży. Zapłacił jej trzydzieści funtów - które pożyczył od lichwiarza - jednak podejrzewał, że wcale w ciąży nie była i wszystko zostało ukartowane. Od tamtego czasu flirtował z dziesiątkami kobiet, całował się z wieloma z nich, a z kilkoma spał. Omotanie dziewczyny przychodziło mu z łatwością: głównie dzięki udawaniu, że interesuje go wszystko, co mówi, chociaż odgrywały w tym również swoją rolę jego dobra prezencja i maniery. Bez większego wysiłku zawracał im w głowach. Ale teraz po raz pierwszy sam doświadczał podobnego traktowania. Kiedy był z Lizzie, serce zawsze biło mu silniej i zdawał sobie sprawę, że patrzy na nią tak, jakby poza nią w pokoju nie było nikogo innego. Czyżby to była miłość? Podejrzewał, że chyba tak. Ojciec przystał w końcu na to małżeństwo, skuszony perspektywą dobrania się do węgla w High Glen. To dlatego oddał Lizzie i jej matce do dyspozycji swój dom gościnny i podjął się regulowania czynszu za dom przy Rugby Street, gdzie po ślubie mieli oboje zamieszkać. Nie obiecywali sir George'owi niczego konkretnego, ale nie powiedzieli mu też, że Lizzie jest zdecydowanie przeciwna wydobywaniu węgla na swojej ziemi. Jay miał nadzieję, że z czasem wszystko to jakoś się ułoży. W drzwiach stanął lokaj.

- Czy zechce pan przyjąć pana Lennox, sir? - spytał. Jayowi serce podeszło do gardła. Był winien Sidneyowi Lennoxowi pewną sumkę: przegrał ją z nim w karty. Mógłby odprawić tego człowieka -

przecież to tylko szynkarz - ale kto wie, czy tamten nie zacząłby się wtedy bardziej nachalnie dopominać zwrotu długu.

- Dobrze, wprowadź go - mruknął. - Wybacz mi zwrócił się do Chipa.

- Znam Lennox - powiedział Chip. - Sam przegrałem do niego trochę pieniędzy. Kiedy wszedł Lennox, Jaya uderzył w nozdrza zalatujący od niego słodkokwaśny zapach, kojarzący się z fermentacją. - Jak się masz, przeklęty hultaju? - pozdrowił szynkarza Chip. Lennox obrzucił go zimnym spojrzeniem.

- Zauważyłem, że nie nazywa mnie pan przeklętym hultajem, kiedy przegrywa. Jay przyglądał się niespokojnie przybyszowi. Lennox miał na sobie żółty kaftan i bryczesy, a na nogach jedwabne pończochy i buty z klamrami, ale mimo to wyglądał jak szakal przebrany za człowieka: roztaczał wokół siebie aurę zagrożenia, czego nie potrafił zamaskować nawet wyszukany strój. Jednak Jay nie potrafił się przymusić do zerwania z nim kontaktów. Była to bardzo pożyteczna znajomość: Lennox zawsze wiedział, gdzie odbywa się walka kogutów, zmagania gladiatorów albo wyścigi końskie, i sam potrafił zorganizować grę w karty albo w kości. Chętnie udzielał też kredytu młodym oficerom, którym skończyła się gotówka, a chcieli kontynuować grę; stąd właśnie zrodził się aktualny problem Jaya - był winien Lennoxowi sto

pięćdziesiąt funtów. Głupio wyjdzie, jeśli szynkarz zażąda teraz od niego zwrotu tych pieniędzy.

- Przecież wiesz, Lennox, że się dzisiaj żenię... -

zaczął. - Owszem, wiem - odparł Lennox. - Wpadłem wypić pańskie zdrowie.

- Ależ proszę, proszę. Chip, podaj kieliszek dla pana Lennox. Chip rozlał szczodrze brandy do trzech kieliszków.

- Za pana i pańską narzeczoną - wznosił toast Lennox.

- Dziękuję - odparł Jay.

- Jutro wieczorem, w kawiarni lorda Archera, organizowana jest wielka gra w faraona, kapitanie Marlborough - powiedział Lennox.

- To coś dla mnie - ucieszył się Chip.

- A pan, kapitanie Jamisson, będzie pewnie zbyt zajęty?

- Na to się zanosi - mruknął Jay. I tak nie miałbym za co zagrać, pomyślał. Lennox odstawił kieliszek.

- Życzę panom dobrego dnia i mam nadzieję, że ta mgła się uniesie - powiedział i wyszedł. Jay odetchnął z ulgą. Nie padło ani jedno słowo o pieniądzach.

Lennox wiedział, że ostatni dług spłacił za Jaya ojciec, i być może był przekonany, że i tym razem zrobi to sir George. Jay zaczął się zastanawiać, jaki był prawdziwy cel wizyty Lennox: z pewnością nie przyszedł tu po to, by wychylić kieliszek brandy. Dręczyło go nieprzyjemne przeczucie, że składając tę wizytę, Lennox chciał mu dać coś do zrozumienia. W powietrzu wisiała nie wypowiedziana groźba. Ale

czymże, u licha, właściciel szynku mógłby zagrozić synowi George'a Jamissona? Z ulicy dobiegał turkot przejeżdżających przed domem powozów. Jay wyrzucił Lennox'a z myśli.

- Zejdźmy na dół - powiedział do Chipa. Wspaniały, przestronny salon urządzone był kosztownymi meblami wykonanymi przez Thomasa Chippendale'a. Pachniało woskiem polerskim. Matka, ojciec i brat Jaya czekali już na nich. Alicia pocałowała syna. Sir George i Robert powitali go bardziej oficjalnie - nigdy nie stanowili kochającej się rodziny, poza tym wciąż mieli w pamięci kłótnię o prezent na dwudzieste pierwsze urodziny Jaya. Jay i Chip przyjęli od lokaja po filiżance kawy. Zanim zdążyli unieść je do ust, drzwi otworzyły się z impetem i do salonu wpadła jak burza Lizzie.

- Jak śmiałeś? - krzyknęła gniewnie. - Jak śmiałeś? Jay zamarł. O co znów chodzi? Lizzie była zarumieniona ze wzburzenia, jej oczy ciskały błyskawice, pierś falowała. Była już w stroju ślubnym, na który składała się prosta biała sukienka i biały czepek, i wyglądała zachwycająco.

- Co ja takiego zrobiłem? - spytał Jay.

- Ślubu nie będzie! - zawołała.

- O, nie! - krzyknął Jay. Chyba nie straci jej teraz? Ta myśl była nie do zniesienia. Za Lizzie wbiegła do salonu odchodząca od zmysłów lady Hallim.

- Lizzie, córeczko, proszę cię, przestań - jęczała. Inicjatywę przejęła matka Jaya.

- Lizzie, kochanie, cóż się u licha stało? Powiedz nam, proszę, co cię tak wzburzyło?

- To! - powiedziała Lizzie i pomachała plikiem kartek. Lady Hallim załamywała ręce.

- Przeczytała list od mojego nadleśniczego - wyjaśniła.

- Dowiedziałam się stąd - podjęła Lizzie - że Jamissonowie wynajęli techników, którzy robią odwierty na terenach posiadłości Hallim.

- Odwierty? - zdumiał się Jay. Spojrzał na Roberta, ale brat stał z nieodgadnioną miną.

- Szukają węgla - wyjaśniła z irytacją Lizzie.

- Och, nie! - zaprotestował Jay. Wiedział już, co się wydarzyło. Sir George nie wytrzymał. Tak bardzo chciał się dostać do węgla Lizzie, że nie poczekał z tym nawet do ślubu. Przez tę niecierpliwość ojca Jay mógł stracić swoją narzeczoną. Ta myśl rozgniewała go tak bardzo, że zwracając się do ojca krzyknął:

- Ty przykłąty głupcze! Widzisz, coś narobił?! W ustach syna słowa te zabrzmiały szokująco, a sir George nie nawykł do takiego traktowania. Poczzerwieniał na twarzy i oczy wyszły mu z orbit.

- No to odwołujcie sobie ten przeklęty ślub! - ryknął. Co mnie to obchodzi?

- Uspokój się, Jay. I ty też, Lizzie - wtrąciła się Alicia. Jej apel zwrócony był również do sir George'a, ale nie powiedziała tego głośno. - Najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka. Bez wątpienia mierniczowie George'a źle zrozumieli jakieś wydane im polecenia. Lady Hallim, proszę zabrać Lizzie do

domku gościnnego, a my zaraz wyjaśnimy to nieporozumienie. Jestem przekonana, że nie trzeba będzie podejmować tak drastycznych kroków jak odwołanie ślubu. Chip Marlborough odchrząknął.

- Państwo wybaczą... - bąknął i ruszył do drzwi.

- Nie zostawiaj mnie! - zawołał za nim błagalnie Jay. Zaczekaj na górze.

- Oczywiście - odparł Chip, chociaż jego mina świadczyła, że wolałby natychmiast wyjechać. Alicia popchnęła łagodnie Lizzie i lady Hallim za Chipem, w kierunku drzwi.

- Proszę mi dać kilka minut. Zaraz do was przyjdę. Zobaczycie, że wszystko się wyjaśni. Wychodząc z salonu, Lizzie sprawiała wrażenie bardziej niezdecydowanej niż rozgniewanej i Jay żywił nadzieję, że dziewczyna ma świadomość, że on nic nie wiedział o tych odwiertach. Jego matka zamknęła drzwi i odwróciła się. Jay modlił się, żeby zrobiła coś, co uratuje jego ślub. Czy miała jakiś plan? Była przecież taka inteligentna. W niej jedyna nadzieja. Alicia powiedziała spokojnie:

- Jeśli nie dojdzie do ślubu, nie dostaniesz tego węgla.

- High Glen bankrutuje! - odparował sir George.

- Ale lady Hallim może zaciągnąć nowe pożyczki pod hipotekę u kogo innego.

- Nie wie o takiej możliwości.

- Ktoś jej o niej powie. Na chwilę zaległo milczenie.

Trzeba było trochę czasu, żeby to ostrzeżenie dotarło do świadomości sir George'a. Jay przestraszył się, że

ojciec zaraz eksploduje. Ale matka dobrze wiedziała, na co może sobie pozwolić.

- Czego chcesz, Alicio? - spytał w końcu zrezygnowany sir George. Jay odetchnął z ulgą. Może mimo wszystko jego ślub zostanie uratowany.

- Po pierwsze - zaczęła matka - Jay musi porozmawiać z Lizzie i przekonać ją, że nic nie wiedział o tych technikach... - Bo nie wiedziałem! - wtrącił Jay.

- Zamknij się i słuchaj! - zgasił go brutalnie ojciec.

- Jeśli mu się to uda - podjęła matka - będą mogli wziąć ślub zgodnie z planem.

- I co dalej?

- Uzbrosisz się w cierpliwość. Ja i Jay postaramy się przekonać Lizzie. Teraz jest przeciwna wydobywaniu węgla, ale zmieni zdanie, a przynajmniej przestanie podchodzić do tego w tak emocjonalny sposób... zwłaszcza kiedy będzie miała własny dom i dziecko i zacznie doceniać rolę pieniędzy. Sir George pokręcił głową.

- Nic z tego, Alicio - powiedział. - Ja nie mogę czekać.

- A to niby dlaczego? Sir George nie odpowiedział od razu. Spojrzał na Roberta, który wzruszył tylko ramionami.

- Chyba nic się nie stanie, jak wam to powiem - stwierdził w końcu. - Ja również siedzę po uszy w długach. Wiecie, że zawsze jechaliśmy na pożyczkach... z których większość zaciągałem u lorda Arebury'ego. W przeszłości osiągałszy zyski, więc mogliśmy się utrzymać i wykroić jeszcze trochę

pieniędzy na regulowanie zobowiązań wobec niego. Ale od kiedy zaczęły się burzyć kolonie, nasz handel z Ameryką bardzo podupadł. Spłacanie Arebury'ego z tych marnych interesów, jakie obecnie prowadzimy, jest prawie niemożliwe. W dodatku nasz największy dłużnik splajtował i zostawił mnie z plantacją tytoniu w Wirginii, na którą nie mogę znaleźć nabywcy. Wyznanie to podziało na Jaya jak cios obuchem. Dotąd nawet przez myśl mu nie przeszło, że przedsięwzięcia podejmowane przez rodzinę niosą w sobie jakieś ryzyko i że bogactwo być może nie jest im pisane na wieczność. Zaczynał rozumieć rozdrażnienie ojca, zmuszonego spłacać jego karciane długi.

- Utrzymujemy się jakoś na powierzchni dzięki węglowi - ciągnął sir George - ale to za mało. Lord Arebury domaga się zwrotu swoich pieniędzy. Muszę więc wejść w posiadanie dóbr Hallimów. W przeciwnym razie stracę wszystko. Zapadło milczenie. Jay i jego matka byli tak wstrząśnięci, że nie mogli dobyć z siebie głosu.

- Więc jest tylko jedno wyjście - odezwała się w końcu Alicia. - Eksploatację złóż z High Glen trzeba prowadzić bez wiedzy Lizzie. Jay ściągnął z niepokojem brwi. Zatrzymała go ta propozycja, jednak na razie wolał się nie odzywać.

- Ale jak to możliwe? - spytał sir George.

- Trzeba wysłać ją i Jaya do innego kraju.

- Przecież lady Hallim będzie wiedziała - wykrztusił Jay. - Iz pewnością poinformuje o tym Lizzie. Alicia pokręciła głową.
- Nie, nie zrobi tego. Zgodzi się na wszystko, byleby tylko doszło do tego małżeństwa. Będzie milczała, jeśli ją o to poprosimy.
- Ale dokąd mielibyśmy wyjechać? - spytał Jay. - Do jakiego kraju?
- Na Barbados - oświadczyła matka.
- O, nie! - zaprotestował Robert. - Jay nie dostanie tej plantacji trzciny cukrowej.
- A mnie się wydaje - powiedziała spokojnie Alicia że twój ojciec mu ją odda, skoro od tego ma zależeć przyszłość całej rodziny. Na twarzy Roberta odmalował się tryumf.
- Nie może, nawet gdyby chciał. Ta plantacja należy już do mnie. Alicia spojrzała na sir George'a.
- To prawda? Sir George skinął głową.
- Przepisałem ją na niego.
- Kiedy?
- Trzy lata temu. To był kolejny wstrząs. Jay nie miał o tym pojęcia. Poczul się zraniony.
- I dlatego nie podarowałeś mi jej na urodziny - powiedział ze smutkiem. - Oddałeś ją już wcześniej Robertowi.
- Ależ Robertcie, zwrócisz ją z pewnością, żeby ratować interesy rodziny - powiedziała Alicia.
- Nie! - uciał ostro Robert. - Zaczniecie od zagarnięcia plantacji, a skończy się na tym, że w wasze ręce wpadnie wszystko! Wiem, że zawsze

dążyłaś do odebrania rodzinnego majątku mnie i oddania go temu nędznemu bękartowi.

- Domagam się tylko sprawiedliwej części dla Jaya odparła Alicia.

- Robercie - wtrącił się sir George - jeśli tego nie uczynisz, może się to dla nas wszystkich skończyć bankructwem. - Nie dla mnie - odparł. - Będzie należeć do mnie ta plantacja.

- Przecież mógłbyś mieć o wiele więcej - zauważył sir George. W oczach Roberta pojawiła się chytryść.

- Zgoda, zrobię to, ale pod jednym warunkiem: przepiszesz na mnie resztę interesu, wszystko. A sam się wycofasz.

- Chyba zwariowałeś! - krzyknął sir George. - Nie wycofam się, nie mam jeszcze pięćdziesięciu lat! Ojciec i starszy syn piorunowali się nawzajem wzrokiem i Jay po raz nie wiadomo który zauważył, jak są do siebie podobni. Wiedział już, że żaden z nich w tej sprawie nie ustąpi, i zaczynała go ogarniać rozpacz. Ci dwaj uparci mężczyźni szepieni w kłinczu zrujnują wszystko, jego ślub, przyszłość rodziny, interesy - byle tylko postawić na swoim. Ale Alicia nie miała jeszcze zamiaru opuszczać rąk.

- A co z tą posiadłością w Wirginii, George? - spytała.

- Z Mockjack Hall? To plantacja tytoniu, jakieś tysiąc akrów i pięćdziesięciu niewolników. Co ci chodzi po głowie? - Mógłbyś ją oddać Jayowi zamiast Barbadosu. Jay owi serce zabiło żywiej. Wirginia! Tam mógłby zacząć wszystko od początku,

z dala od ojca i brata, na własnym kawałku ziemi, którym by po swojemu zarządzał i który by uprawiał. Lizzie też byłaby zachwycona. Sir George przymrużył podejrzliwie oczy.

- Nie mógłbym mu dać ani funta - burknął. - Musiałby zaciągnąć gdzieś pożyczkę na rozkręcenie interesu.

- Nie zależy mi na twoich pieniądzach - powiedział szybko Jay.

- Musiałbyś przecież spłacać procenty od długu hipotecznego lady Hallim - przypomniała mężowi Alicia. - Inaczej ona może stracić High Glen.

- To mogę robić z dochodów z tamtejszego węgla - powiedział sir George. - Będą musieli wyjechać do Wirginii natychmiast, w ciągu kilku tygodni.

- Nie - zaprotestowała Alicia. - Muszą się przygotować. Daj im przynajmniej trzy miesiące. Pokręcił głową.

- Potrzebuję tego węgla wcześniej.

- No dobrze. Lizzie nie będzie miała przynajmniej czasu na podróż z powrotem do Szkocji... będzie zajęta przygotowaniem do nowego życia. Cała ta rozmowa o wywiedzeniu Lizzie w pole bardzo niepokoiła Jaya. To na nim skrupi się jej gniew, jeśli wszystko się wyda.

- A jeśli ktoś jej o tym doniesie? - spytał. Alicia zamyśliła się.

- Musimy się dowiedzieć, kto ze służby z High Glen House mógłby to zrobić - powiedziała po chwili. - To będzie twoje zadanie, Jay.

- Ale jak ich uciszymy?

- Wyślemy tam kogoś, żeby wymówił im pracę.

- To mogłoby się udać - przyznał sir George. - Niech będzie... tak zrobimy. Alicia odwróciła się do Jaya z tryumfalnym uśmiechem. Wbrew wszystkim przeciwnościom wynegocjowała mu ojcowiznę. Objęła go i pocałowała.

- Niech Bóg ci błogosławi, drogi synu - powiedziała. Idź teraz do Lizzie i powiedz, że w imieniu całej rodziny bardzo przepraszasz za to nieporozumienie i że ojciec podarował ci w ślubnym prezencie Mockjack Hall. Jay uścisnął ją i wyszeptał:

- Dobra robota, mamó. Dziękuję. Opuścił salon. Szedł przez ogród nie posiadając się z radości, lecz jednocześnie z duszą na ramieniu. Miał to, czego zawsze pragnął. Przykro mu było, że zdobył to oszukując narzeczoną, ale innego wyjścia nie było. Gdyby się nie zgodził, straciłby tę posiadłość w Wirginii, a może nawet i Lizzie. Wszedł do małego domku gościnnego sąsiadującego ze stajniami. Lady Hallim i Lizzie siedziały przed dymiącym węglowym kominkiem w skromnym saloniku. Obie płakały. Jay, pod wpływem impulsu, chciał już wyznać Lizzie całą prawdę. Ale gdyby wyjawiał jej podstęp uknuty przez rodziców i poprosił, by mimo to go poślubiła i żyła z nim w ubóstwie, mogłaby się nie zgodzić. A poza tym umarłoby śmiercią naturalną ich wspólne marzenie o wyjeździe z kraju. Czasami lepiej jest skłamać, przekonywał sam siebie. Tylko czy ona uwierzy? Ukląkł przed nią. Suknia ślubna Lizzie

pachniała lawendą. - Mojemu ojcu jest bardzo przykro - zaczął. - Wysłał tych techników, żeby zrobić nam niespodziankę... pomyślał sobie, że chcielibyśmy mieć pewność, czy na naszej ziemi jest węgiel. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo przeciwna jesteś jego wydobywaniu. Popatrzyła na niego nieufnie.

- A dlaczego mu tego nie powiedziałaś? Rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Nie zapytał mnie. - W oczach Lizzie nadal malował się upór, ale on miał jeszcze jednego asa w rękawie. - I coś jeszcze... Nasz ślubny prezent. Ściągnęła brwi.

- Co to za prezent?

- Mockjack Hall. Plantacja tytoniu w Wirginii. Możemy tam jechać choćby jutro. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Przecież tego zawsze pragnęliśmy, prawda? -

ciągnął Jay. - Nowego życia w nowym kraju: przygody! Jej twarz rozjaśniał powoli uśmiech.

- Naprawdę? Wirginia? Czy ja dobrze słyszę?

Jayowi nie chciało się jeszcze wierzyć, że Lizzie się zgadza. - A zatem przyjmujesz ten prezent? - spytał niepewnie. Uśmiechała się. Łzy napłynęły jej do oczu i nie mogła wykrztusić słowa. Pokiwała tylko głową.

Jay zrozumiał, że zwyciężył. Miał wszystko, czego pragnął. Przepeliło go uczucie podobne temu, jakiego doznawał po wygraniu w karty. Pora zgarniać pulę. Wstał, pomógł Lizzie podnieść się z fotela i podał jej ramię. - A więc chodź ze mną - powiedział. - Bierzemy ślub.

W południe trzeciego dnia w ładowni "Durham Primrose" nie było już węgla. Mack rozejrzał się dokoła. Trudno mu było uwierzyć, że nie śni. Zrobili to wszystko bez udziału pośrednika. Obserwowali rzekę z brzegu i wypatrzyli statek z węglem, który przyplłynął późnym rankiem, kiedy inne brygady już pracowały. Ledwie statek rzucił kotwicę, Mack z Charliem, zostawiwszy kolegów na brzegu, powiosłowali do niego i zaproponowali kapitanowi swoje usługi, zaznaczając, że mogą zacząć natychmiast. Kapitan zdawał sobie sprawę, że na brygadę oferowaną przez pośrednika musiałby czekać do następnego dnia, a dla kapitanów statków czas to pieniądz, więc ich wynajął. Ludzie, świadomi tego, że zostanie im wypłacona pełna stawka, harowali jak w transie. Nadal przez cały dzień gasili pragnienie piwem, ale zmuszeni płacić od ręki za każdy dzban, starali się ograniczać. Rozładowali statek w czterdzieści osiem godzin. Mack wziął szufłę i wyszedł na pokład. Dzień był chłodny i mglisty, ale jemu po znoej pracy w ładowni było gorąco. Kiedy na łódź zrzucono ostatni wór węgla, węglarze zgotowali sobie radosną owację. Potem Mack poszedł policzyć się z bosmanem. Na łodzi mieściło się pięćset worków i obaj rachowali od początku, ile razy obraca. Policzyli resztę worków, ustalili ich całkowitą liczbę i zapukali do kabiny kapitana. Mack miał nadzieję, że w ostatniej chwili nie wynikną jakieś trudności. Wykonali pracę i teraz

powinni otrzymać za nią zapłatę. Kapitan był chudym mężczyzną w średnim wieku z wielkim czerwonym nosem. Zalaatywało od niego rumem.

- Skończone? - spytał. - Jesteście szybsi od brygad, które dotąd zatrudniałem. Ile wyszło worków?

- Sześćset skor, bez dziewięćdziesięciu trzech worków powiedział bosman i Mack skinął potakująco głową. Liczyli w skorach, czyli w partiach po dwadzieścia worków, bo każdy węglarz dostawał pensa za skorę. Kapitan zaprosił ich do środka i usiadł z liczydłem.

- Sześćset skor odjąć dziewięćdziesiąt trzy worki po szesnaście pensów za skorę... Był to skomplikowany rachunek, ale Mack, któremu zawsze płacono od wagi wyrąbanego węgla, nauczył się obliczać w pamięci, ile zarobił. Kapitan miał przy pasie klucz na łańcuszku. Otworzył nim stojącą w kącie kabiny szafkę, wyjął z niej małą skrzynkę, postawił ją na stole i również otworzył.

- Jeśli te siedem worków z końcówki uznamy za pół skory, to jestem wam winien dokładnie trzydzieści dziewięć funtów i czternaście szylingów - powiedział i odliczył pieniądze. Dał Mackowi płócienny woreczek na monety i sporą część wyliczonej sumy wypłacił pensowymi drobniakami, żeby nie było kłopotu z jej rozdzielaniem pomiędzy węglarzy. Macka rozpierało poczucie tryumfu. Każdy z brygady zarobił przez dwa dni blisko dwa funty i dziesięć szylingów - więcej niż przez tydzień u Lennox. A co ważniejsze, udowodnili, że potrafią

upomnieć się o swoje prawa i wyegzekwować je. Wyszedł na pokład statku i zaczął wypłacać ludziom pieniądze.

- Dzięki, Mack - powiedział Amos Tipe, który był pierwszy w kolejce. - I niech cię Bóg błogosławi, chłopie.

- Nie dziękuj mi, uczciwie na to zapracowałeś - zachnął się Mack. Następny węglarz podziękował mu w ten sam sposób.

- Tu nie chodzi tylko o pieniądze - powiedział Mack, kiedy z grupki węglarzy wystąpił trzeci z kolei, Slash Harley. - Odzyskaliśmy wreszcie godność.

- Godność możesz sobie zatrzymać, Mack - odparł Slash. - Mnie daj tylko pieniądze. Cała brygada gruchnęła śmiechem. Wzburzyło to trochę Macka. Odliczając dalej pieniądze, zastanawiał się, dlaczego ci ludzie nie dostrzegają, że to nie tylko sprawa dzisiejszej wypłaty. Skoro są takimi głupcami, myślał, zasłużyli sobie na okradanie przez pośredników. Nic jednak nie było w stanie przyćmić jego zwycięstwa. Kiedy wiosłowali do brzegu, rozradowani węglarze zaczęli śpiewać obsceniczną piosenkę "Burmistrz Bayswater" i Mack zawtórował im pełną piersią. Na nabrzeżu rozstali się i wraz z Dermotem pomaszerował do Spitalfields. Poranna mgła unosiła się powoli. Mackowi dusza śpiewała i skrzydła wyrastały mu u ramion. W mieszkaniu czekała go miła niespodzianka. Na stołeczku, kołysząc zgrabną nóżką, siedziała pachnąca drzewem sandałowym Cora, rudowłosa przyjaciółka

Peg, w kasztanowym płaszczu i wesołym kapelusiku. Na kolanach trzymała szubę, którą Mack zwykle przykrywał siennik, i głaskała miękkie futro.

- Skąd ją masz? - spytała, ledwie wszedł.

- To podarunek od pewnej szlachetnej damy - odparł z uśmiechem. - Co tu robisz?

- Przyszłam po ciebie - powiedziała. - Obmyj twarz i chodźmy na spacer... chyba że jesteś umówiony na herbatę z jakimiś szlachetnymi damami. Musiała wyczytać z jego twarzy niezdecydowanie, bo dorzuciła:

- Nie rób takiej przerażonej miny. Pewnie masz mnie za ladacznicę, ale ja nią nie jestem, chyba że w ostateczności. Mack wziął kostkę mydła i wyszedł na podwórko do pompy. Cora podążyła za nim i przyglądała się, jak rozbiera się do pasa i zmywa węglowy pył z twarzy i włosów. Pożyczył od Dermota czystą koszulę, wdział kurtkę i kapelusz i wziął Corę pod rękę. Szli na zachód przez serce miasta. Mack zdążył się już zorientować, że w Londynie ludzie chodzą po ulicach dla rozrywki, tak jak w Szkocji spacerowało się po wzgórzach. Przyjemnie szło mu się z Corą pod rękę. Kołysała zalotnie biodrami, co chwila ocierając się o niego niby to przypadkiem. Żywy makijaż i barwny strój sprawiały, że ściągała na siebie powszechną uwagę, i Mack był trochę zazdrosny o spojrzenia, jakimi ścigali ją inni mężczyźni. Skręcili do szynku i zamówili ostrygi, chleb i porter. Cora jadła z apetytem, połykając ostrygi w całości i popijając je dużymi haustami

ciemnego ale. Kiedy wyszli znowu na ulicę, okazało się, że pogoda uległa zmianie. Było nadal chłodno, ale trochę się przetarło. Nie wiadomo jak i kiedy znaleźli się w zamożnej dzielnicy mieszkaniowej zwanej Mayfair. Przez dwadzieścia dwa lata swojego życia Mack widział dwa wspaniałe domy - Jamisson Castle i High Glen House. Tutaj kilka takich domów można było zobaczyć na jednej ulicy, a obok nich pięćdziesiąt tylko trochę mniej okazałych. Bogactwo Londynu wciąż Macka zadziwiało. Pod jedną z rezydencji podjeżdżały jeden za drugim powozy, z których wysiadali wystrojeni ludzie, chyba goście zaproszeni na jakieś przyjęcie. Na chodnikach po obu stronach jezdni stały grupki gapiów i służba z sąsiednich posiadłości. Chociaż było wczesne popołudnie, cały dom płonął światłami, a wejście udekorowane było kwiatami.

- Pewnie ślub - powiedziała Cora. Kiedy tak patrzyli, przed wejściem zatrzymał się kolejny powóz i wysiadł z niego mężczyzna, który wydał się Mackowi znajomy. Z zaskoczeniem rozpoznał w nim Jaya Jamissona. Jay pomógł wysiąść z powozu swojej narzeczonej. Na jej widok gapie zaczęli wiwatować i klaskać.

- Ładna - stwierdziła Cora. Lizzie uśmiechnęła się i rozejrzała, dziękując za aplauz. Jej wzrok padł na Macka i na moment zamarła. Potem uśmiechnęła się, pomachała mu ręką, odwróciła się szybko i wbiegła do domu. Trwało to tylko ułamek sekundy, ale nie umknęło bystrym oczom Cory.

- Znasz ją?
- To ona dała mi tę szubę - odparł Mack.
- Mam nadzieję, że jej mąż nie wie, że rozdaje prezenty węglarzom.
- A więc wydaje się za Jaya Jamissona... to przystojny mięczak - mruknął Mack.
- Jak przypuszczam, wolałbyś, żeby wyszła za ciebie zauważyła sarkastycznie Cora.
- Ona też by wolała - odparł poważnie Mack. - Może pójdziemy do teatru? - zaproponował.

Późnym wieczorem tego samego dnia Lizzie i Jay siedzieli w nocnej bieliźnie na łożu w pokoju nowożeńców, otoczeni chichoczącymi, mniej lub bardziej pijanymi krewnymi i przyjaciółmi. Starsze pokolenie dawno już się stąd wyniosło, ale zwyczaj wymagał, by weselni goście naprzykrzali się jak najdłużej i grali na nerwach młodej parze, pragnącej jak najszybciej skonsumować swoje małżeństwo. Był to dzień pełen wrażeń. Lizzie nie miała nawet czasu pomyśleć o zdradzie Jaya, jego przeprosinach i przyszłym wspólnym życiu w Wirginii. Nie miała czasu zadać sobie pytania, czy podjęła słuszną decyzję. Do pokoju wszedł Chip Marlborough z dzbanem grzanego mleka zaprawionego winem i korzeniami. Przy kapeluszu miał przypiętą jedną z podwiązek Lizzie. Napenił wszystkim kieliszki. - Toast! - oznajmił.

- Ostatni toast! - powiedział z naciskiem Jay, ale odpowiedziały mu tylko śmiech i drwiny. Lizzie upiła

łyceczek przyniesionego przez Chipa napitku. Była wyczerpana. Miała za sobą ciężki dzień, od okropnej porannej awantury i jej zaskakującego, szczęśliwego zakończenia poczynając, poprzez uroczystość w kościele, weselne przyjęcie, muzykę i tańce, aż po ten finałowy, komiczny rytuał. Katie Drome, krewna Jamissonów, usiadła w nogach łóżka, tyłem do nowożeńców, z jedną z białych jedwabnych pończoch Jaya w ręku, i rzuciła ją przez ramię. Gdyby trafiła w Jaya, oznaczałoby to, że wkrótce sama wyjdzie za mąż. Rozbawiony Jay złapał pończochę i położył ją sobie na głowie, udając, że sama tam wylądowała, i wszyscy obecni zaklaskali. Na łóżku przy Lizzie usiadł pijany mężczyzna.

- Jestem Peter McKay - wybełkotał. - Wiesz, Hamish Drome wyjechał do Wirginii, kiedy matka Roberta podstępem pozbawiła go dziedzictwa. Lizzie zmartwiała. Rodzinna legenda mówiła, że Olive, matka Roberta, opiekowała się aż do śmierci bezzennym kuzynem, który z wdzięczności zmienił na jej korzyść swoją ostatnią wolę. Jay też to usłyszał.

- Podstępem...? - spytał.

- Olive sfalszowała testament - odparł McKay. - Ale Hamish nie potrafił tego udowodnić i musiał się pogodzić z losem. Wyemigrował do Wirginii i słuch o nim zaginął. Jay roześmiał się.

- A to dobre! Święta Olive fałszerzem!

- Ciii! - syknął McKay. - Sir George zabije nas, jak to usłyszysz! Lizzie była zaintrygowana, ale jak na dziś miała już dosyć krewnych Jaya.

- Pozbądź się jakoś tych ludzi! - szepnęła mężowi na ucho. - Z przyjemnością - odparł Jay i zwrócił się do gości: Jeśli nie chcecie wyjść, kiedy was się prosi po dobroci... Odrzucił koldrę, wstał z łóżka i podciągnął swoją nocną koszulę powyżej kolan. Dziewczęta zapiszczały symulując przerażenie i wybiegły hurmem z pokoju, ścigane przez kawalerów. Jay zatrzasnął za nimi drzwi i przekręcił klucz w zamku, a potem zatarasował drzwi ciężką komodą, żeby mieć pewność, że nikt im już nie przeszkodzi. Lizzie zaschło nagle w ustach. Zbliżał się moment, którego wyczekiwała z utęsknieniem od chwili, kiedy Jay pocałował ją w hallu Jamisson Castle i poprosił o rękę. Od tamtego czasu ich potajemne uściski w tych nielicznych przypadkach, kiedy zostawali sam na sam, stawały się coraz bardziej namiętne. Od pocałunków przeszli do bardziej intymnych pieszczot. Robili już wszystko, co dwoje ludzi może robić w pokoju, do którego w każdej chwili może ktoś wejść. Dopiero teraz mogli pozostać naprawdę sami. Jay obchodził pokój zdmuchując świece. Kiedy stanął przed ostatnią, Lizzie poprosiła:

- Zostaw jedną zapaloną. Spojrzał na nią zdumiony.

- Po co?

- Chcę na ciebie patrzeć. - Nie miał zachwyconej miny, dorzuciła więc: - Nie będzie ci przeszkadzało?

- Nie, chyba nie - bąknął i położył się do łóżka. Kiedy zaczął ją całować i pieścić, zapragnęła, by oboje byli nadzy, ale nie powiedziała tego głośno. Tym razem pozwoli mu to robić w ten sposób. Dłonie Jaya błądzące po całym jej ciele przyprawiały Lizzie o mrowienie w członkach. Po chwili rozsunął jej nogi i położył się na niej. Kiedy w nią wchodził, uniosła głowę, żeby go pocałować, ale on nawet tego nie zauważył. Zaraz potem przeszła ją błyskawica ostrego bólu i omal nie krzyknęła, trwało to jednak tylko moment. Zaczął się w niej poruszać, a ona poruszała się wraz z nim. Nie była pewna, czy tak należy, ale robiła to instynktownie. Nagle Jay stęzał, jęknął, pchnął jeszcze raz i osunął się na nią bezwładnie, dysząc ciężko. Zaniepokoiła się.

- Nic ci nie jest? - spytała.

- Nic - sapnął. A więc już po wszystkim? - pomyślała, ale nie zapytała na głos. Stoczył się z niej, legł obok i spytał:

- Podobało ci się?

- Trochę za krótko - wyznała. - Będziemy mogli powtórzyć to rano?

Cora rozebrana do koszuli położyła się na szubie i pociągnęła za sobą Macka. Kiedy wsunął jej język w usta, wyczuła smak ginu. Podciągnął jej w górę koszulę. Puszyste, czerwonozłote włoski nie skrywały łona. Pogładził je, tak jak to robił Annie, i Cora jęknęła.

- Kto cię tego nauczył, mój ty prawiczku? - spytała. Ściągnął bryczesy. Cora sięgnęła po swoją torebkę i

wyjęła z niej małe pudełeczko. W środku znajdowała się rurka wykonana z czegoś przypominającego pergamin. Przez jej otwarty koniec przewleczona była różowa wstążeczka.

- Co to? - zdziwił się Mack.

- Nazywa się kundum - wyjaśniła Cora.

- Do czego, u licha, służy? Zamiast odpowiedzieć, Cora naciągnęła rurkę na jego wyprężony penis i zawiązała mocno wstążeczkę.

- Wiem, że mój kutas nie grzeszy pięknnością, ale żeby go aż zasłaniać? - mruknął rozbawiony. Cora zachichotała.

- Ty ciemny wieśniaku, to nie dla ozdoby, tylko po to, żebym nie zaszła w ciążę! Gdy w nią wszedł, przestała się śmiać. Zastanawiał się, jakie to będzie uczucie, od kiedy ukończył czternaście lat, i dalej tego nie wiedział, bo nie było ani tak, ani siak. Znieruchomiał i spojrzał w twarz Cory. Otworzyła oczy.

- Nie przestawaj - poprosiła.

- Czy po tym dalej będę prawiczkiem? - spytał.

- Takim, jak ja zakonnicą - odparła. - Przestań teraz gadać. Oszczędzaj oddech, bo będzie ci potrzebny.

Nazajutrz po weselu Jay z Lizzie wprowadzili się do domu przy Rugby Street. Po raz pierwszy jedli śniadanie sami, jeśli nie liczyć służby. Po raz pierwszy, trzymając się za ręce, weszli na górę, rozebrali się i położyli do własnego łóżka. Po raz pierwszy obudzili się we własnym domu. Byli nadzy.

Poprzedniej nocy Lizzie udało się nakłonić Jaya do ściągnięcia nocnej koszuli. Teraz tuliła się do niego i głaskała, żeby go roznamiętnić, a potem usiadła na nim. Zauważyła jego zaskoczenie i zapytała:

- Masz coś przeciwko temu? Nie odpowiedział, ale nadal był podniecony i zaczął się w niej poruszać.

Kiedy było po wszystkim, Lizzie spytała:

- Zaszokowałam cię, co?

- I owszem - odparł.

- Dlaczego?

- To nie jest normalne, żeby kobieta była na górze...

- Nie mam pojęcia, co ludzie uznają za normalne.

Nigdy dotąd nie byłam w łóżku z mężczyzną.

- Tego by tylko brakowało!

- Ale skąd ty wiesz, co jest normalne?

- Mniejsza z tym. Prawdopodobnie uwiódł parę zapatrzonych w niego szwaczek i straganiarek, które mu na to przyzwoliły, pomyślała. Nie miała żadnego doświadczenia, ale wiedziała, czego chce, i wierzyła, że to dostanie. Nie zamierzała zmieniać swoich upodobań. Bardzo jej odpowiadały. Wiedziała, że Jayowi też, pomimo że tak go szokowały -

rozpoznawała to po jego rozanielonej minie. Wstała i podeszła naga do okna. Na zewnątrz było zimno, ale słonecznie. Wiatr przynosił stłumione bicie kościelnych dzwonów, bo był to dzień egzekucji: dzisiejszego ranka na stryczku zawiśnie co najmniej jeden przestępca. Połowa pracujących mieszczan weźmie sobie wolny dzień i ściągnie do Tyburn - rozstajów dróg w północnozachodnim zakątku

Londynu, gdzie stały szubienice - by napawać oczy tym widowiskiem. Takie okazje sprzyjały wybuchom zamieszek, więc dzisiaj w regimencie Jaya zostanie pewnie ogłoszony stan podwyższonej gotowości. Ale Jay miał jeszcze jeden dzień urlopu. Lizzie odwróciła się do niego.

- Zabierz mnie na egzekucję - poprosiła. Spojrzał na nią ze zgorszeniem.

- Makabryczna zachcianka.

- Tylko mi nie mów, że to nie miejsce dla damy.

Uśmiechnął się.

- Jakżebyś śmiał. Ale po co chcesz tam iść? To było dobre pytanie. Wstyd było robić sobie rozrywkę z oglądania czyjejś śmierci i wiedziała z góry, że potem będzie zde gustowana, ale przeważyła ciekawość.

- Chcę zobaczyć, jak to się odbywa - odparła. - Jak zachowują się skazańcy. Czy płaczą, czy się modlą, czy trzęsą ze strachu. Co się czuje patrząc, jak dobiega kresu ludzkie życie. Zawsze była taka. Kiedy jako dziewięć czy dziesięcioletnia dziewczynka po raz pierwszy ujrziała zastrzeloną łanię, zahipnotyzował ją ten widok; stała i patrzyła, jak gajowy patroszy zwierzę, wywlekając mu z brzucha wszystkie wnętrzności. Zafascynowały ją żołądki i uparła się, że musi przekonać się, jakie są w dotyku. Były ciepłe i oślizgłe. Łania była w drugim albo trzecim miesiącu ciąży i gajowy pokazał Lizzie maleńki płód. Ani przez chwilę nie poczuła odrazy - to było zbyt interesujące. Doskonale rozumiała, czemu podobne widowiska przyciągają takie tłumy

gapiów. Rozumiała również, dlaczego innych ogarnia odraza na samą myśl, że mogliby na coś takiego patrzeć. Sama jednak należała do tej pierwszej grupy ciekawskich.

- Może udałoby się wynająć pokój z widokiem na szubienice - powiedział Jay. - Wiele osób tak robi.

- Och, nie! - zaprotestowała Lizzie. - Chcę być w tłumie! - Mieszanie się z gawiedzią nie przystoi damom.

- To przebiorę się za mężczyznę. Nie przyjął tego pomysłu z entuzjazmem.

- Nie krzyw się na mnie, Jay! Przecież do kopalni zabrałeś mnie w męskim przebraniu.

- Nie byłaś wtedy mężatką.

- Jeśli powiesz mi zaraz, że mam sobie wybić z głowy przygody, bo jestem już mężatką, to ucieknę od ciebie za morze.

- Nie bądź śmieszna. Uśmiechnęła się do niego i wskoczyła na łóżko.

- A ty nie bądź starym zrzędą! - zawołała podskakując. - Chodźmy na tę egzekucję. Nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Niech ci będzie - przystał. Czym prędzej odbębniła poranne obowiązki pani domu. Powiedziała kucharce, co ma kupić na obiad, wyznaczyła pokojówkom pokoje do sprzątnięcia, oświadczyła stajennemu, że dzisiaj nie będzie jeździła konno, przyjęła zaproszenie od kapitana Marlborough i jego żony na obiad w przyszłą środę, odwołała spotkanie z modystką i odebrała dostawę dwunastu okutych

mosiądem kufrów na podróż do Wirginii.

Uporawszy się z tym wszystkim, przywdziała znowu swoje przebranie.

Tyburn Street była zapchana ludźmi. Szubienice wznosiły się u jej wylotu, pod murem Hyde Parku. Do domów z widokiem na szafot wlewali się tłumnie zamożni widzowie, którzy na ten dzień wynajęli tam pokoje. Gapie stali ramię w ramię na szczycie parkowego muru. Pośród ciżby kręcili się przekupnie handlujący gorącymi kiełbaskami, ginem i drukowanymi ulotkami, które zachwalali jako przedśmiertne mowy skazanych. Mack, ciągnąc Corę, przepychał się przez tłum. Nie przepadał za przyglądaniem się uśmiercaniu ludzi, ale Cora bardzo chciała tu przyjść. Lubił trzymać ją za rękę, całować w usta, kiedy tylko przyszła mu na to ochota, i dotykać jej ciała. Lubił na nią patrzeć. Podobała mu się jej buńczuczność, zuchwały język i przekorny błysk w oku, wybrał się więc z nią na tę egzekucję. Dzisiaj miała zostać powieszona jej przyjaciółka. Nazywała się Dolly Macaroni i była burdelmama, ale skazano ją za fałszerstwo.

- Co ona sfalszowała? - spytał Mack, kiedy przeciskali się w kierunku szubienic.

- Czek bankowy. Był wystawiony na jedenaście funtów, a ona przeprowadziła jedenastkę na osiemdziesiątkę.

- Skąd wzięła czek na jedenaście funtów?

- Dostała go od lorda Maseya. Mówi, że był jej winien więcej.

- Powinni ją skazać na zesłanie, a nie na powieszenie.

- Falszerzy prawie zawsze wieszają. Dalej nie dało się już rady dopchać. Znajdowali się dwadzieścia jardów od szubienic. Była to prowizoryczna drewniana konstrukcja - trzy zwykłe słupy z poprzeczną belką. Z belki zwisało pięć lin z pętlami na końcach. Obok stał kapelan w towarzystwie grupki urzędowo wyglądających mężczyzn, przypuszczalnie przedstawiciele prawa. Żołnierze z muszkietami powstrzymywali napierający tłum. Mack zwrócił w pewnej chwili uwagę na ryk dolatujący z głębi Tyburn Street.

- Co to za hałas? - spytał Cory.

- Jadą już. Pochód otwierał konny szwadron straży miejskiej prowadzony przez dostojnika będącego zapewne szeryfem. Dalej postępowali uzbrojeni w pałki konstable, a za nimi toczył się wysoki, czterokołowy wóz zaprzężony w dwie pociągowe szkapy. W straży tylnej maszerowała kompania halabardników. Na wozie, ze spętanymi rękami i ramionami, siedząc na skrzyniach przypominających trumny, jechało pięcioro ludzi: trzech mężczyzn, mniej więcej piętnastoletni chłopiec i kobieta. - To Dolly - szepnęła Cora i zaczęła płakać. Mack wpatrywał się z trwożną fascynacją w tę piątkę, która miała za chwilę umrzeć. Jeden z mężczyzn był pijany. Dwaj pozostali popatrywali wyzywająco na gawiedź. Dolly modliła się na głos, a chłopiec płakał. Wóz podjechał pod szubienicę. Pijany mężczyzna pomachał jakimś kamratom,

typom o nikczemnej powierzchowności, którzy stali najbliżej. Zaczęli wykrzykiwać żarciki i rubaszne komentarze: "Chwali się szeryfowi, że cię raczył zaprosić!", "Mam nadzieję, że brałaś lekcje tańca!" i "Sprawdź, czy ci ten naszyjnik przez łeb przelezie!" Dolly głośno prosiła Boga o łaskę, a chłopiec zawodził: "Ratuj mnie, mamó, ratuj, proszę cię!" Dwóch pozostałych mężczyzn pozdrawiała inna grupka ludzi. Mack zorientował się po akcencie, że to Irlandczycy. - Nie dopuście, żeby chirurdzy dostali mnie w swoje łapy, chłopcy! - krzyknął jeden ze skazańców. Przyjaciele wrzasnęli zgodnym chórem, żeby się nie martwił.

- O czym oni mówią? - spytał Mack Cory.

- To pewnie morderca. Ciała morderców oddawane są Towarzystwu Chirurgicznemu. Chirurdzy tną je na kawałki, żeby zobaczyć, co jest w środku. Mack wzdrygnął się. Na wóz wspinał się kat, jał kolejno zakładać skazańcom pętle na szyje i zaciskać je. Nikt z nich nie opierał się, nie protestował ani nie usiłował uciekać. Otoczeni przez tak silne straże nie mieliby zresztą żadnych szans, ale Mackowi przemknęło przez myśl, że mimo to powinni próbować. Potem na wóz wszedł kapłan, łysy mężczyzna w poplamionym habicie, i zaczął rozmawiać z każdym ze skazanych po kolei: z pijanym tylko przez chwilę, ze cztery czy pięć minut z pozostałymi dwoma mężczyznami i nieco dłużej z Dolly i chłopcem. Mack słyszał, że czasami egzekucja się nie udawała, i obudziła się w nim nadzieja, że i tym razem tak będzie. Zdarzało

się, że pękały liny lub tłum nacierał na szubienicę i uwalniał więźniów albo też kat obcinał wisielców, zanim ci wyzionęli na dobre ducha. Kapłan zakończył swą powinność. Kat przewiązał piętce więźniów oczy opaskami ze szmat, po czym zeskoczył na ziemię. Na wozie pozostali tylko skazańcy. Pijany nie mógł utrzymać równowagi, zatoczył się i przewrócił, i pętla zaczęła go dusić. Dolly modliła się dalej na głos. Kat zaciął konie batem.

- Nie! - usłyszała własny krzyk Lizzie. Wóz drgnął i ruszył. Konie, ponownie smagnięte batem przez kata, przeszły w kłus. Wóz zaczął wyjeżdżać spod skazanych i ci, jedno po drugim, spadali z niego na długość swoich lin: najpierw pijany, już i tak na wpół martwy, po nim dwóch Irlandczyków, następnie szlochający chłopiec i na koniec kobieta, której modlitwa urwała się w pół zdania. Lizzie, przepelniona nienawiścią do siebie samej i do otaczającej ją gawiedzi, szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w pięć kołyszących się na linach ciał. Nie wszyscy umarli od razu. Chłopiec oraz dwaj Irlandczycy mieli szczęście, bo najwyraźniej karki popękały im natychmiast, ale pijany nadal podrygiwał, a kobieta dusiła się powoli, wytrzeszczając przerażone oczy, z których zsunęła się opaska. Lizzie ukryła twarz na piersi Jaya. Wolalaby już stąd odejść, jednak zmusiła się do pozostania. Sama chciała to zobaczyć, więc teraz powinna wytrwać do końca. Otworzyła znowu oczy.

Pijany wyzionął już ducha, ale twarz kobiety nadal drgała w agonii. Hałaśliwi gapie umilkli wstrząśnięci rozgrywającym się przed nimi horrorem. Tak upłynęło kilka minut. W końcu kobiecie opadły powieki. Do szubienicy podszedł szeryf, żeby odciąć wisielców, i wtedy powstało zamieszanie. Grupka Irlandczyków rzuciła się naprzód, próbując przedrzeć się przez kordon straży. Konstable zwarli szeregi, z odsieczą ruszyli im halabardnicy, dźgając Irlandczyków pikami. Popłynęła krew.

- Tego się obawiałem - powiedział Jay. - Chcą odbić ciała przyjaciół, żeby nie trafiły w ręce chirurgów. Wynośmy się stąd jak najszybciej. Łatwo było powiedzieć. Wiele osób wpadło na ten sam pomysł, ale z tyłu napierali już na nich inni ludzie, ciekawi co się dzieje. Jedni pchali się do przodu, drudzy próbowali się wycofać i wkrótce wywiązała się bójka na pięści. Lizzie trzymała się kurczowo Jaya. Natknęli się na zbitą masę ludzką prącą w przeciwnym niż oni kierunku, która zagarnęła ich i wśród ogłuszających krzyków poniosła z powrotem w stronę szubienicy. Na szafot nacierali teraz Irlandczycy, z których część wiązała walką siły strażników, podczas gdy pozostali próbowali odciąć ciała swych przyjaciół. Nieoczekiwanie wokół Lizzie i Jaya trochę się rozluźniło. Lizzie rozejrzała się i dostrzegła lukę pomiędzy dwoma wielkimi drabami o odpychających gębach.

- Chodź, Jay! - krzyknęła i przemknęła między nimi. Obejrzała się, żeby sprawdzić, czy Jay biegnie za nią,

lecz w tym momencie luka się zwarła. Jay próbował się jeszcze tamtędy precyzyjnie, ale jeden z mężczyzn podniósł groźnie rękę. Zaskoczony Jay zmrużył oczy i cofnął się. Ten moment wahania zadecydował: zostali rozdzieleni. Dostrzegła jeszcze ponad głowami tłumu jego blond czuprynę i usiłowała się do niego przedostać, jednak drogę zagroził jej mur ciał.

- Jay! - wrzasnęła. - Jay! Odkrzyknął coś, ale ciżba coraz bardziej oddalała ich od siebie. Jego unosiła w kierunku Tyburn Street, ją w przeciwną stronę, w kierunku parku. W chwilę później straciła go zupełnie z oczu. Była teraz zdana na własne siły. Zaciśnęła zęby i odwróciła się plecami do szafotu. Stała oko w oko ze zbitą ludzką masą. Spróbowała precyzyjnie się między niskim mężczyzną a brzuchatą matroną.

- Ręce przy sobie, młodzieńcze - fuknęła matrona. Lizzie jednak nie dała za wygraną i jakoś udało jej się przepchnąć. Po chwili powtórzyła tę operację. Nadepnęła na nogę jakiemuś gburowi o skwaszonej twarzy i ten szturchnął ją pod żebro. Jęknęła z bólu, lecz parła dalej. Nagle ujrzała znajomą twarz Macka McAsha. On też torował sobie drogę przez tłum.

- Mack! - krzyknęła radośnie. Był z tą rudowłosą kobietą, z którą widziała go na Grosvenor Square. - Tutaj! - zawołała. - Pomóż mi! - Zauważyła, że McAsh dostrzegł ją i rozpoznał, ale w tym momencie jakiś chudzielec wpakował jej łokieć w oko i na chwilę zaniewidziała. Kiedy wzrok jej powrócił, Macka i towarzyszącej mu kobiety już nie było. Z

samozaparcie przepychała się dalej. Cał po cał oddalała się od burdy pod szubienicą. Z każdym krokiem zyskiwała coraz większą swobodę ruchu. Po pięciu minutach dotarła do frontowej ściany jakiegoś domu. Sunąc wzdłuż niej, dobiegła do narożnika budynku i skręciła w szerokie na dwie do trzech stóp przejście. Oparła się plecami o ścianę i oddychała głęboko. W przejściu śmierdziało ludzkimi odchodami. Lizzie bolały zębra od szturchańców. Dotknęła ostrożnie twarzy i wymacała pod okiem opuchliznę. Miała nadzieję, że z Jayem wszystko w porządku. Odwróciła się, żeby się za nim rozejrzeć, i zamarła, zobaczywszy dwóch przypatrujących się jej mężczyzn. Jeden był w średnim wieku, nie ogolony, brzuchaty, drugi nie miał więcej jak osiemnaście lat. Przeraziła się i chciała uciekać, ale zanim zdążyła się ruszyć, byli już przy niej. Chwycili ją za ramiona, obalili na ziemię, zerwali z głowy kapelusz i męską perukę, ściągnęli z nóg trzewiki ze srebrnymi klamrami i z wprawą zaczęli przetrząsać kieszenie, zabierając z nich sakiewkę, zegarek i chusteczkę. Starszy mężczyzna wrzucił łup do worka, popatrzył chwilę na Lizzie i powiedział:

- Dobry płaszcz, prawie nowy. Pochylili się nad nią znowu i zabrali do ściągnięcia płaszcza i kubraka od kompletu. Opierała się, ale tyle tylko zyskała, że rozerwali jej koszulę. Kiedy wpychali zdobyczną garderobę do worka, Lizzie uświadomiła sobie, że ma odsłonięte piersi. Pośpiesznie zakryła je

strzępami podartej koszuli, było już jednak za późno.

- Ej, to dziewczyna! - krzyknął młodszy. Lizzie pozbierała się z ziemi, ale młodzieniec chwycił ją i przytrzymał. Grubas przyjrzał się jej uważnie.

- Na Boga, i to ładna - przyznał. Obliznął się. - Wychędożę ją - zdecydował. Przerazona Lizzie szarpnęła się dziko, ale nie zdołała się wyrwać z żelaznego uścisku młodzieńca. Chłopak obejrzał się na tłumy przelewające się ulicą.

- Tutaj?

- Nikt tu nie zajrzy, głupcze. - Stary pomacał się między nogami. - Ściągaj z niej te bryczesy.

Popatrzymy, co tam mamy. Chłopiec przewrócił Lizzie na ziemię, usiadł na niej i zabrał się do ściągania bryczesów. Grubas stał i patrzył. Lizzie zaczęła krzyczeć, ale wątpiła, by w zgiełku, jaki panował na ulicy, ktokolwiek ją usłyszał. I nagle jak spod ziemi wyrósł przy nich Mack McAsh. Jego uniesiona pięść spadła na skroń grubasa.

Rzezimieszek zachwiał się i zatoczył. Mack uderzył go jeszcze raz i mężczyźnie oczy wywróciły się w głąb czaszki. Po trzecim ciosie osunął się na ziemię i znieruchomiał. Chłopak zeskoczył z Lizzie i chciał uciekać, ale ona złapała go za kostkę i rozciągnął się jak długi. Mack podniósł nieszczęśnika z ziemi i cisnął nim o ścianę budynku, a potem wyrzucił go od dołu w podbródek ciosem popartym całą masą ciała. Chłopak zwał się nieprzytomny na swojego kamrata. Lizzie pozbierała się z ziemi.

- Dzięki Bogu, żeś tędy przechodził! - wykrztusiła roztrzęsiona. Łzy ulgi napłynęły jej do oczu. Zarzuciła Mackowi ręce na szyję. - Uratowałeś mnie... dziękuję ci, dziękuję! Przytulił ją mocno.

- Ty też mnie kiedyś uratowałaś... wyciągając z rzeki. Przywarła do niego, usiłując zapanować nad drzeniem ciała. Mack gładził ją po włosach. W samych bryczesach i koszuli, bez sztywnych, nakrochmalonych halek, wyczuwała go całym ciałem. Nie przypominał w dotyku jej męża. Jay był wysoki i miękki, Mack niski, masywny i twardy. Poruszył się i spojrzał na nią. Jego zielone oczy miały jakąś hipnotyzującą moc. Reszta twarzy zdawała się rozmywać, zatracać kontury.

- Ty uratowałaś mnie, a ja ciebie - odezwał się wreszcie z uśmiechem. - Jestem twoim aniołem stróżem, a ty moim. Powoli zaczynała się uspokajać. Przypomniała sobie o swoich nagich piersiach prześwitujących spod podartej koszuli. - Gdybym była aniołem, nie trzymałbyś mnie teraz w ramionach - powiedziała i spróbowała wyzwolić się z jego objęć. Patrzył jej przez chwilę w oczy, potem znowu się uśmiechnął i skinął głową, jakby przyznawał jej rację. Puścił ją. Schyliwszy się, wyrwał worek z bezwładnej dłoni starszego złodzieja i wyciągnął z niego jej kubrak. Wdziała go i zapięła pośpiesznie, by osłonić swą nagość. Nagle ogarnął ją niepokój o Jaya.

- Muszę poszukać męża - powiedziała, kiedy Mack podawał jej płaszcz. - Pomożesz mi?

- Oczywiście - odparł. Podawał jej kolejno perukę, kapelusz, sakiewkę, zegarek i na koniec chusteczkę.
- A gdzie twoja rudowłosa przyjaciółka? - zapytała.
- Cora? Odprowadziłem ją w bezpieczne miejsce, zanim zacząłem szukać ciebie.
- Jesteście kochankami? - spytała obcesowo Lizzie. Mack uśmiechnął się.
- Tak - odparł. - Od przedwczoraj.
- Czyli od dnia mojego ślubu.
- Jest mi z nią wspaniale. A tobie? Lizzie nie wiedzieć czemu poczuła rozdrażnienie. Miała ochotę powiedzieć coś nieprzyjemnego, ale zaśmiała się tylko z przymusem.
- Dziękuję za ratunek - rzekła i lekko pocałowała Macka w usta.
- Za taki pocałunek zrobiłbym to jeszcze raz - mruknął. Uśmiechnęła się do niego i spojrzała w kierunku ulicy. U wylotu zaułka stał Jay i patrzył na nich. Lizzie ogarnęło poczucie winy. Czy widział, jak całowała McAsha? Z jego ponurej miny wynikało, że tak.
- Och, Jay! - zawołała. - Dzięki Bogu, że nic ci nie jest! - Co tu się stało? - zapytał.
- Ograbili mnie dwaj włóczędzy.
- Wiedziałem, że nie powinniśmy tu przychodzić - oświadczył, po czym wziął ją za rękę i wyprowadził z zaułka.
- McAsh ich znokautował i wybawił mnie z opresji powiedziała.

- To jeszcze nie powód, żeby go całować - odburknął jej mąż.

W dzień procesu Johna Wilkesa regiment Jaya pełnił służbę w Palace Yard. John Wilkes, bohaterski liberał, skazany przed laty na wygnanie za zniesławienie, wyjechał do Paryża. Przed paroma miesiącami powrócił do kraju i wniósł apelację od wyroku banicji. Nie czekając na wynik przewodu sądowego, stanął do wyborów i ogromną większością głosów uzyskał mandat poselski z hrabstwa Middlesex. Jednak nie zajął jeszcze swojego miejsca w parlamencie i rząd, stawiając go ponownie w stan oskarżenia, miał nadzieję, że uda się temu zapobiec. Jay zatrzymał konia i z niepokojem potoczył wzrokiem po kilkusetosobowym tłumie stronników Wilkesa kłębiącym się pod Westminster Hall, gdzie odbywał się proces. Wiele osób przypięło sobie do kapeluszy niebieską kokardę, mającą oznaczać, że opowiadają się za Wilkesem. Torysi, do których należał ojciec Jaya, pragnęli uciszyć Wilkesa, obawiali się jednak reakcji jego popleczników. Regiment Jaya miał pilnować, by nie doszło do rozruchów. Ale oddział był mały - zdaniem Jaya o wiele za mały: zaledwie czterdziestu ludzi i paru oficerów pod komendą pułkownika Cranbrough, dowódcy Jaya. Uformowali wąski, czerwono-biały kordon pomiędzy gmachem sądu a tłumem. Cranbrough podlegał westminsterskim sędziom reprezentowanym przez sir Johna Fieldinga.

Fielding był niewidomy, ale widocznie nie przeszkadzało mu to w pracy. Cieszył się sławą reformatorskiego sędziego, chociaż Jay uważał go za zbyt miękkiego. Zawsze twierdził, iż bieda prowadzi do występku. Równie dobrze można by utrzymywać, że małżeństwo prowadzi do cudzołóstwa. Młodzi oficerowie zawsze palili się do udziału w jakiejś akcji i Jay rozповідаł, że on również, ale teraz się bał. Nigdy jeszcze nie użył swojego rapiera ani pistoletów w prawdziwej walce. Był to długi dzień i kapitanowie schodzili na zmianę z posterunku, żeby odpocząć w zaciszu jakiegoś szynku i wychylić kieliszek wina. Pod wieczór, kiedy Jay dawał swojemu wierzchowcowi jabłko, podszedł do niego Sidney Lennox. Jayowi zamarło serce. Szynkarz chce pewnie odzyskać swoje pieniądze, pomyślał. Bez wątpienia w tym właśnie celu przyszedł do Grosvenor Square, a nie zażądał ich wcześniej tylko przez wzgląd na ślub. Jay nie miał pieniędzy i przerażeniem napawała go myśl, że Lennox może się z tym zwrócić do jego ojca. Nie dał jednak tego po sobie poznać.

- Co tu robisz, Lennox? - zapytał, siląc się na wesołość. - Nie wiedziałem, że jesteś wilkesistą. - John Wilkes może sobie iść do diabła - odparł Lennox. - Przychodzę po sto pięćdziesiąt funtów, które przegrał pan w faraona u lorda Archera. Jay pobladł. Ojciec dawał mu trzydzieści funtów na miesiąc, ale to nigdy nie starczało i nie miał pojęcia, skąd weźmie sto pięćdziesiąt.

- Chyba będę cię musiał poprosić o jeszcze trochę cierpliwości - powiedział, próbując zachować wyniosły spokój. Lennox zignorował prośbę Jaya i oświadczył:
- Zdaje się, że zna pan człowieka nazwiskiem Mack McAsh.
- Owszem...
- Zorganizował z pomocą Caspara Gordonsona własną brygadę węglarzy. Z tymi dwoma jest mnóstwo kłopotów.
- To dla mnie żadna nowina. McAsh porządnie zalaźł za skórę mojemu ojcu, kiedy pracował w jego kopalni węgla.
- Nie tylko McAsh tu bruździ - podjął Lennox. - Jego dwaj kamraci, Dermot Riley i Charlie Smith, też mają już własne brygady, a pod koniec tygodnia będzie takich jeszcze więcej.
- Pośrednicy potracą na tym fortuny.
- Jeśli nie położą się temu kresu, ucierpi cały handel.
- Tak czy owak, to nie moje zmartwienie.
- Ale mógłby mi pan w tej sprawie pomóc.
- Wątpię - odparł Jay. Nie chciał mieszać się do interesów Lennox.
- Oczywiście nie za darmo - dodał szynkarz.
- A za ile? - spytał czujnie Jay.
- Za sto pięćdziesiąt funtów. Serce Jaya zabiło żywiej. Niebiosa zsyłały mu okazję wyjścia z długu. Ale Lennox nie podarowałaby przecież takiej sumy za byle co, pomyślał. Pewnie chodzi mu o przysługę

dużego kalibru. - Co miałbym zrobić? - spytał podejrzliwie.

- Chcę, żeby właściciele statków nie zatrudniali brygad McAsha. Teraz niektórzy z nich sami są pośrednikami, i ci na to pójdą. Ale większość armatorów to ludzie niezależni. Największym armatorem w Londynie jest pański ojciec. Jeśli on da przykład, reszta pójdzie w jego ślady.

- Po co miałby to robić? Jego nie interesują pośrednicy ani węglarze.

- Jest aldermanem Wapping, a pośrednicy to wiele głosów. Powinien bronić naszych interesów. Poza tym węglarze to hołota, która może przysporzyć nam kłopotów. Jay ściągnął brwi. To nie będzie takie łatwe, pomyślał. Nie miał na ojca żadnego wpływu. Niewiele osób go miało: sir George nie należał do ludzi uległych. Ale trzeba spróbować. Wśród tłumu zawrzało. Oznaczało to, że Wilkes wychodzi z budynku sądu. Jay wskoczył szybko na konia.

- Zobaczą, co się da zrobić! - zawołał do Lennox'a i oddalił się stępa.

- Co się dzieje? - spytał podjeżdżając do Chipa Marlborough.

- Apelację Wilkesa odrzucono i skazano go na uwięzienie w King's Bench. Pułkownik zwołał swoich oficerów.

- Przekaż wszystkim - zwrócił się do Jaya - żeby nie otwierali ognia, dopóki sir John nie wyda takiego rozkazu. Jay stłumił słowa protestu. Jak żołnierze mieli zapanować nad rozgorączkowaną cizbą, mając

związane ręce? Objechał jednak swoich podkomendnych i przekazał im tę instrukcję. Z bramy wytoczył się powóz. Tłum wydał mrożący krew w żyłach ryk i Jaya obleciał strach. Żołnierze, odpychając ciżbę muszkietami, utorowali powozowi drogę. Stronnicy Wilkesa biegli przez Westminster Bridge i Jay dopiero teraz uświadomił sobie, że powóz, aby dostać się do więzienia, będzie musiał przejechać na drugą stronę rzeki, do Surrey. Skierował swego konia na most, ale pułkownik Cranbrough powstrzymał go gestem ręki.

- Nie jedź tam - powiedział. - Mamy rozkaz pilnować porządku tutaj, przed sądem. Jay ściągnął cugle. Surrey było odrębną dzielnicą, a jej władze nie prosiły o wojskowe wsparcie. Powóz przejechał przez Tamizę, ale zanim zdołał dotrzeć na stronę Surrey, tłum zatrzymał go i wyprzągł konie. Sir John Fielding, prowadzony za powozem przez dwóch pomocników, którzy mówili mu, co się dzieje, znalazł się nagle w samym środku zamieszania. Na oczach Jaya kilkunastu silnych mężczyzn zajęło miejsce koni. Zawrócili powóz i pociągnęli go z powrotem w stronę Westminsteru. Tłum zaryczał z uznaniem. Serce Jaya zabiło szybciej. Co będzie, jeśli ta tłuszcza dotrze do Palace Yard? Pułkownik podniósł rękę na znak, że mają czekać.

- Czy nie powinniśmy odbić tego powozu z rąk tłumowi? zwrócił się Jay do Chipa.

- Władze miasta nie chcą rozlewu krwi - odparł Marlborough. Jeden z urzędników sir Johna zdołał

się przedrzeć do pułkownika Cranbrough i zaczął się z nim naradzać. Kiedy powóz znalazł się z powrotem po westminsterskiej stronie mostu, otoczony tłumem skręcił na wschód.

- Trzymać się na dystans! - krzyknął do swoich ludzi Cranbrough. - Czekać! Oddział ruszył za ciżbą. Jay zgrzytał z frustracji zębami. To było upokarzające. Kilka salw z muszkietów rozproszyłoby tę tłuszcę w minutę. Oczywiście wiedział, że gdyby wojsko otworzyło teraz ogień, Wilkes mógłby zyskać jeszcze więcej popleczników, ale co z tego? Powóz posuwał się Stranem w kierunku serca miasta. Tłum śpiewał, tańczył i skandował: "Wilkes i wolność" oraz "Numer czterdzieści pięć". Maszerowali tak aż do Spitalfields. Tam powóz zatrzymał się przed kościołem. Wilkes wysiadł i wszedł do szynku "Trzy Beczki", a sir John Fielding za nim. Część stronników również się tam wdarła, ale wszystkich szynk nie był w stanie pomieścić. Kotłowali się przez jakiś czas na ulicy przed wejściem, a potem w oknie na piętrze pojawił się Wilkes. Przywitał go gromki aplauz. Kiedy zaczął przemawiać, Jay był za daleko, by wszystko słyszeć, ale chwycił ogólny sens tego wystąpienia: Wilkes apelował o zachowanie spokoju. Podczas przemówienia do pułkownika Cranbrough podszedł znowu jeden z urzędników Fieldinga i chwilę z nim rozmawiał. Cranbrough przekazał szeptem najnowsze wieści swoim kapitanom. Zawarto układ: Wilkes wymknie się tylnymi drzwiami i wieczorem sam zgłosi do więzienia King's

Bench. Wilkes zakończył swoje przemówienie, pomachał ludziom, skłonił się i znikł. Kiedy stało się jasne, że więcej się nie pokaże, tłum zaczął się rozchodzić. Z "Trzech Beczek" wyszedł sir John i uściskał dłoń pułkownika Cranbrough.

- Wspaniała robota, pułkowniku, proszę podziękować ode mnie swoim ludziom. Nie doszło do rozlewu krwi i prawu stało się zadość. Jayowi przemknęło przez myśl, że stary sędzia nadrabia miną, bo w rzeczywistości tłuszcza zakpiła sobie z prawa. Wracał z oddziałem do obozu w Hyde Parku przygnębiony. Przez cały dzień nastawiał się na walkę i trudno mu się było teraz pogodzić z tym, że sprawa rozeszła się po kościach. Ale rząd nie może przecież w nieskończoność ustępować pod presją tłumu. Wcześniej czy później spróbuje postawić na swoim. I wtedy on, Jay, wejdzie do akcji. Kiedy zluźował swoich ludzi i sprawdził, czy zajęto się końmi, przypomniał sobie o propozycji szynkarza. Nie uśmiechało mu się przedstawiać planu Lennoxowi ojcu, ale lepsze już to, niż proszenie go o sto pięćdziesiąt funtów na pokrycie kolejnego długu honorowego. Postanowił, że po drodze do domu zajrzy na Grosvenor Square. Było już późno. Lokaj poinformował go, że rodzina je kolację, a sir George jest w małym gabinecie na tyłach domu. Znalazłszy się w chłodnym, wyłożonym marmurami holu, Jay zawahał się. Nie cierpiał prosić ojca o cokolwiek. Kończyło się zawsze tym, że sir George albo zbywał go lekceważącym stwierdzeniem, że nie wie, czego

chce, albo upominał w ostrych słowach, że żąda zbyt wiele. Musiał jednak jakoś przez to przebrnąć.

Zapukał do drzwi i wszedł. Sir George popijał wino i ziewał nad wykazem cen melasy.

- Odrzucono apelację Wilkesa - zaczął Jay siadając.

- Słyszałem.

- Tłum zaciągnął jego powóz do Spitalfields.

Poszliśmy tam, ale Wilkes obiecał, że wieczorem sam zgłosi się do więzienia.

- To dobrze. Co cię do mnie sprowadza o tak późnej porze? Jay poniechał prób zainteresowania ojca tym, co robił przez cały dzień.

- Czy wiesz, że ten Malachi McAsh jest tutaj, w Londynie? Ojciec pokręcił głową.

- Nic mnie to nie obchodzi - burknął niechętnie.

- Podburza teraz węglarzy...

- Im niewiele trzeba. To skora do swarów banda.

- Poproszono mnie, żebym wstawił się za pośrednikami... Sir George uniósł brwi.

- Dlaczego akurat ciebie? - spytał takim tonem, jakby uważał, że nikt rozsądny nie powinien zatrudniać Jaya w roli ambasadora. Jay wzruszył ramionami.

- Tak się składa, że znam jednego pośrednika, i właśnie on mnie poprosił, żebym z tobą porozmawiał.

- Właściciele szynków to duża grupa wyborców... - mruknął z zastanowieniem sir George. - Co proponują?

- McAsh z przyjaciółmi zorganizowali niezależne brygady, które szukają sobie pracy z pominięciem pośredników. Pośrednicy proszą właścicieli statków, żeby pozostali wobec nich lojalni i przeganiali te nowe brygady. Są zdania, że jeśli ty dasz przykład, reszta armatorów pójdzie w twoje ślady.
- Nie jestem przekonany, czy powinienem się wtrącać. To nie nasza bitwa. Jay był zawiedziony, jednak udał obojętność.
- Mnie to ani ziębi, ani grzeje, ale tobie się dziwię... zawsze mówisz, że musimy prowadzić stanowczą politykę wobec hardych robotników, którym lęgną się w głowach niebezpieczne pomysły. W tym momencie rozległo się gwałtowne walenie do drzwi frontowych. Sir George zmarszczył czoło, a Jay wyszedł do holu, żeby zobaczyć, co się stało. Minął go lokaj biegnący otworzyć. W progu stał krzepki robotnik w drewniakach, z niebieską kokardą przypiętą do brudnej czapki.
- Światła! - rzucił do lokaja. - Świece dla Wilkesa! Sir George wyszedł zaintrygowany z gabinetu, stanął obok Jaya i patrzył.
- Każą ludziom stawiać świece we wszystkich oknach na znak poparcia dla Wilkesa - wyjaśnił Jay.
- Co tam jest na drzwiach? - spytał sir George. Podeszli. Na drzwiach widniał nabazgrany kredą numer "45". Na zewnątrz grupa ludzi przebiegała od domu do domu. Sir George spojrzał groźnie na mężczyznę w progu.

- Wiesz, coś zrobił? - spytał. - Ten numer to szyfr. Oznacza: "Król jest kłamcą". Wasz uwielbiany Wilkes pójdzie za to do więzienia, i ty też możesz tam trafić.

- Zapalacie świece za Wilkesa? - spytał mężczyzna, puszczając mimo uszu te słowa. Sir George poczerwieniał. Do furii doprowadzał go brak szacunku ze strony ludzi niższego stanu.

- Idź do diabła! - warknął i zatrzasnął mężczyźnie drzwi przed nosem. Wrócił do gabinetu, a Jay za nim. Kiedy siadali, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Zerwali się znowu na równe nogi i wbiegli do jadalni, której dwa okna wychodziły na ulicę. Szyba w jednym z nich była wybita, a na wypastowanej podłodze leżał kamień. - To najlepsze szkło! - wycedził z wściekłością sir George. - Po dwa szylingi za stopę kwadratową! W tym momencie kolejny kamień wytlukł szybę w drugim oknie. Sir George wyszedł do holu i nakazał lokajowi:

- Powiedz wszystkim, żeby się przenieśli na tyły domu. Tam będzie bezpiecznie.

- Czy nie lepiej wystawić te świece w oknach, tak jak mówił ten człowiek, sir? - spytał przestraszony lokaj.

- Zamknij swoją przeklętą gębę i rób, co każe - odparł sir George. Gdzieś na górze znowu posypało się szkło i Jay usłyszał okrzyk przestachu lady Alicii. Z walącym sercem wbiegł po schodach i natknął się na matkę, kiedy wychodziła z salonu. - Nic ci się nie stało, mam? Była blada, ale spokojna.

- Nic... Co się dzieje? Na górę wszedł również sir George.

- Nie ma się czego bać - powiedział z tłumioną furią. To tylko ta banda wilkesitów. Trzymajcie się z dala od okien, dopóki się stąd nie wyniosą. Przy akompaniamencie brzęku kolejnych sypiących się szyb przebiegli wszyscy w pośpiechu do małej bawialni na tyłach domu. Jay widział, że ojciec gotuje się z wściekłości. To mógł być odpowiedni moment na ponowne przedstawienie prośby

Lennox. Machając ręką na ostrożność, powiedział:

- Wiesz, ojcze, naprawdę najwyższy czas zacząć bardziej stanowczo traktować tych wichrzycieli.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Myślałem o McAshu i węglarzach. Jeśli raz im się popuści, wejdą nam na głowy. - Przemawianie w tym tonie nie było w jego stylu i przechwycił zdumione spojrzenie matki, jednak brnął dalej: - Lepiej tłumić takie wyskoki w zarodku. Trzeba im pokazać, gdzie ich miejsce. Sir George wyglądał, jakby zamierzał wygłosić jeszcze jedną gniewną replikę, ale zawahał się, spojrzawszy spod łba i powiedział:

- Masz rację. Jutro się do tego weźmiemy. Jay uśmiechnął się tryumfująco.

Idąc błotnistą Wapping High Street Mack pomyślał, że nareszcie wie, jak to jest być królem. Z drzwi każdego szynku, z okien, podwórek i dachów mężczyźni machali do niego, wołali po imieniu i pokazywali go kompanom. Wszyscy chcieli uścisnąć

mu prawicę. Jednak uznanie mężczyzn było niczym w porównaniu z uwielbieniem, jakie okazywały mu ich żony. Mężowie nie tylko przynosili teraz do domu dwa albo i trzy razy więcej pieniędzy, ale również kończyli dzień trzeźwiejsi. Kobiety obejmowały go na ulicy, całowały w rękę i wołały do sąsiadek: "Chodźcie tu szybko, to Mack McAsh, człowiek, który zbuntował się przeciwko pośrednikom!"

Doszedł nad brzeg i spojrzał na szeroką szarą rzekę. Zaczynał się przyływ i na kotwicy stało kilka nowych statków. Poszukał wzrokiem przewoźnika, który by go zabrał. Pośrednicy czekali zazwyczaj w swoich szynkach, aż kapitanowie się do nich pofatygują i poproszą o podesłanie węglarzy do rozładowania statku, a Mack i jego brygady sami zgłaszali się do kapitanów, oszczędzając im w ten sposób czas, sobie zaś zapewniając pracę. Podpłynął łodzią do "Prince of Denmark" i wspiął się na pokład. Cała załoga zeszła na ląd, pozostawiając na statku tylko jednego człowieka, który siedział na zwoju lin ćmiąc fajeczkę. Marynarz wskazał Mackowi kabinę kapitana. Kiedy Mack do niej wszedł, szyper skrobał coś pracowicie gęsim piórem w księdze okrętowej leżącej przed nim na stole.

- Dzień dobry, kapitanie - pozdrowił go z przyjaznym uśmiechem. - Jestem McAsh.

- O co chodzi? - odburknął kapitan. Nie zaproponował gościowi, żeby usiadł. Mack zignorował jego obcesowość; kapitanowie nigdy nie grzeszyli uprzejmością.

- Chciałby mieć pan statek rozładowany szybko i sprawnie do jutra? - spytał nie zrażony.
- Nie. Macka zaskoczyła ta odpowiedź. Czyżby ktoś dotarł tu już przed nim?
- To kto panu to zrobi?
- Nie twój zakichany interes.
- Jak najbardziej mój, ale skoro nie chce mi pan powiedzieć, to trudno... zaoferuję swoje usługi komuś innemu.
- Z Bogiem. Mack ściągnął brwi. Zanim stąd wyjdzie, musi wyjaśnić przyczyny tej niechęci.
- Co z panem, u diabła, kapitanie? Uraziłem czymś pana?
- Nie mam ci nic do powiedzenia, młodzieńcze, i będę ci wielce zobowiązany, jeśli zejdziesz mi z oczu. W Macku zrodziły się złe przeczucia, ale cóż miał robić. Wyszedł. Kapitanowie statków zazwyczaj byli niezadowoleni z życia - być może dlatego, że tak długo przebywali z dala od swoich żon. Rozejrzał się po rzece. Niedaleko "Prince of Denmark" kołysał się na kotwicy jeszcze jeden nowy statek, "Whitehaven Jack". Załoga krzątała się po pokładzie zwijając żagle i liny. Mack postanowił spróbować teraz tam. Zszedł do łodzi i kazał przewoźnikowi dobić do burty. Kapitana znalazł na pokładzie rufowym w towarzystwie młodego dżentelmena z rapierem i w peruce. Pozdrowił ich z niewymuszoną kurtuazją, która, jak zdążył się już przekonać, stanowiła najpewniejszy sposób zaskarżenia sobie przychylności ludzi.

- **Kapitanie, sir, dzień dobry panom.**
- **Dzień dobry - odparł uprzejmie kapitan. - To pan Tallow, syn właściciela. Z czym przychodzisz?**
- **Chciałby mieć pan do jutra statek rozładowany przez sprawną i trzeźwą brygadę? - spytał Mack. Kapitan i syn właściciela odpowiedzieli równocześnie:**
- **Tak - powiedział kapitan.**
- **Nie - powiedział Tallow. Kapitan spojrzął z nie skrywanym zaskoczeniem na Tallowa. - Jesteś McAsh, prawda? - spytał młodzieniec, zwracając się do Macka.**
- **Tak. I wydaje mi się, że armatorzy zaczynają uznawać moje nazwisko za gwarancję dobrze wykonanej roboty...**
- **Nie chcemy cię - wpadł mu w słowo Tallow. Ta odprawa zirytowała Macka.**
- **A to czemu? - spytał wyzywająco.**
- **Mamy od lat umowę z Harrym Nipperem z "Patelni" i nigdy nie narzekaliśmy.**
- **Ja bym tego nie powiedział - wtrącił kapitan. Tallow zgromił go wzrokiem.**
- **To chyba nie jest w porządku, kiedy zmusza się ludzi do przepijania pensji, prawda? - zauważył Mack. Tallow patrzył na niego z wyższością.**
- **Nie zamierzam dyskutować z takimi jak ty. Nie ma tu dla ciebie pracy, więc żegnam.**
- **Ale dlaczego woli pan, żeby statek rozładowywała przez trzy dni pijana i rozprzężona brygada - nie**

ustępował Mack - skoro moi ludzie mogą to zrobić szybciej?

- Właśnie, ja też chciałbym to wiedzieć - dorzucił kapitan, który najwyraźniej nie przepadał za synem właściciela.

- Nie muszę się przed wami tłumaczyć - fuknął Tallow. Silił się na wyniosłość, ale był za młody, by wypaść przekonująco. Cień podejrzania wkradł się do myśli Macka.

- Czy ktoś powiedział panu, żeby nie zatrudniał mojej brygady? - Z wyrazu twarzy Tallowa wyczytał, że zgadł.

- Nikt na tej rzece nie zatrudni brygady ani twojej, ani Rileya, ani Charliego Smitha - odparł z rozdrażnieniem Tallow. - Rozeszły się słuchy, żeście wicherzyciele. Mack uświadomił sobie, że sprawa jest poważna. Wiedział, że Lennox i inni pośrednicy wcześniej czy później zaczną rzucać mu kłody pod nogi, ale nie spodziewał się, że znajdą posłuch u właścicieli statków. Trochę się temu dziwił, bo stary system nie był specjalnie korzystny dla armatorów. Współpracowali jednak od lat z pośrednikami i być może zwyczajny konserwatyzm kazał im teraz wziąć stronę ludzi, których znali, bez względu na to, co naprawdę myśleli. Awanturowanie się nic by tu nie dało, zwrócił się więc spokojnie do Tallowa:

- Przykro mi, że taką podjęliście decyzję. Jest niekorzystna dla ludzi i niekorzystna dla właścicieli. Mam nadzieję, że jeszcze raz ją rozważycie, i życzę dobrego dnia. Tallow nic nie odpowiedział i Mack

kazał się odwieźć na brzeg. Ogarnęło go zniechęcenie. Podparty rękami pod brodę wpatrywał się w mętne, brunatne wody Tamizy. Popełnił błąd uważając, że da radę grupie ludzi tak bogatych i bezwzględnych, jak pośrednicy. Mieli koneksje i poparcie. A kim był on? Mack McAsh z Heugh. Powinien był to przewidzieć. Wyskoczył na brzeg i poszedł do kawiarni "Świętego Łukasza", która stała się jego nieoficjalną bazą. W nowym systemie pracowało już co najmniej pięć brygad. W najbliższą noc z soboty na niedzielę, kiedy brygady trwające jeszcze przy starym systemie odebrałyby z rąk pazernych szynkarzy swoje drastycznie okrojone wypłaty, zrobiłoby się ich jeszcze więcej. Ale bojkot ze strony armatorów zniweczył tę perspektywę. Kawiarnia sąsiadowała z kościołem św. Łukasza. Oprócz kawy serwowano tam również piwo, gorzałkę i posiłki, a przy tym jadło się i piło na siedząco, podczas gdy w szynkach większość klienteli musiała stać. W środku zastał Corę pałaszującą kromkę chleba z masłem. Było to jej śniadanie, pomimo że minęło już południe: często kładła się spać dopiero nad ranem. Mack zamówił talerz gulaszu z baraniny i kufel piwa i przysiadł się do niej.

- Co się stało? - zapytała, zanim zdążył otworzyć usta. Opowiadając, przyglądał się jej twarzy. Wybierała się do pracy - miała na sobie pomarańczową suknię, w której była, kiedy ją poznał, i pachniała korzennymi perfumami.

Wyglądała jak Dziewica Maryja, ale rozsiewała wokół siebie woń haremu sułtana. Nie dziwota, że pijani mężczyźni ze złotem w sakiewkach wchodzą za nią bez wahania w ciemne zaułki, pomyślał. Spędził z nią trzy z ostatnich sześciu nocy i nalegał, by porzuciła swój dotychczasowy styl życia. Była jego pierwszą prawdziwą kochanką. Kiedy kończył swoją opowieść, do kawiarni weszli Dermot z Charliem. Mack żywił jeszcze nikłą nadzieję, że może mieli więcej szczęścia niż on, ale ta nadzieja zgasła, kiedy ujrzał ich miny. Na czarnej twarzy Charliego malowało się przygnębienie, Dermot zaś powiedział ze swoim irlandzkim akcentem:

- Właściciele zmówili się przeciwko nam. Żaden kapitan na tej rzece nas nie zatrudni.**
- Pal ich diabli - mruknął Mack, ale ogarnęło go oburzenie. Przecież chciał tylko ciężką pracą zdobyć pieniądze na kupienie siostrze wolności, a przeszkadzali mu w tym ludzie posiadający całe wory pieniędzy.**
- Już po nas, Mack - stwierdził Dermot. Jego gotowość do pogodzenia się z losem rozgniewała Macka bardziej niż sam bojkot.**
- Po nas? - warknął szyderczo. - Mężczyzna z ciebie czy baba?**
- A co my możemy? - spytał Dermot. - Jeśli armatorzy nie będą chcieli zatrudniać naszych brygad, ludzie wrócą do starego systemu. Muszą przecież z czegoś żyć.**

- Możemy zorganizować strajk - oświadczył Mack. Dermot z Charliem milczeli.**
- Strajk? - zapytała zdziwiona Cora. Mack rzucił tę propozycję bez zastanowienia, ale rozważywszy ją doszedł do wniosku, że to rzeczywiście jedyne wyjście. - Wszyscy węglarze chcą przejść na nasz system - powiedział. - Moglibyśmy ich przekonać, żeby przestali pracować dla pośredników. Wtedy armatorzy byliby zmuszeni zatrudnić nowe brygady. Dermot nie krył sceptycyzmu.**
- A jeśli dalej nie będą nas chcieli? Jego pesymizm rozzłościł Macka. Dlaczego ci ludzie zawsze spodziewają się najgorszego?**
- Jeśli się zaprą, to ani jeden worek węgla nie trafi na brzeg. - Aż czego będą żyli?**
- Nic im się nie stanie, jak zrobią sobie parę dni wolnego. Przecież to dla nich nie pierwszozna... kiedy nie ma żadnego statku z węglem, nikt z nas nie pracuje.**
- Owszem. Ale długo tak nie wytrzymamy. Mackowi chciało się krzyczeć z wściekłości.**
- Armatorzy też nie - oświadczył. - Londyn potrzebuje węgla. Jednak jego towarzysz nadal sprawiał wrażenie nie przekonanego.**
- No ale co wam innego pozostaje? - spytała Cora. Dermot nachmurzył się, rozważał coś przez chwilę i w końcu odparł:**
- Nie uśmiecha mi się wracać do starych zasad. Na Jowisza, warto spróbować.**
- To rozumiem! - zawołał z ulgą Mack.**

- Brałem już raz udział w strajku - odezwał się ponuro milczący dotąd Charlie. - Najbardziej cierpią na tym żony. - Kiedy to było? - spytał Mack. Nie miał w tych sprawach żadnego doświadczenia: czytał tylko coś o tym w gazetach. - Kilka lat temu, na Tyneside. Pracowałem tam jako górnik w kopalni węgla.

- Nie wiedziałem, że byłeś górnikiem. - Mackowi ani w ogóle nikomu w Heugh nie przyszło nigdy do głowy, że górnicy mogą strajkować. - I jak to się skończyło?

- Właściciele kopalni ustąpili - przyznał Charlie.

- No i widzicie! - oświadczył tryumfalnie Mack.

- Ale tutaj macie do czynienia z zupełnie innymi ludźmi, Mack - wtrąciła niespokojnie Cora. -

Londyńscy szynkarze to największa szumowina. Nie zawahają się nasłać na ciebie kogoś, kto poderżnie ci gardło, kiedy będziesz spał. Mack popatrzył na nią i pojął, że dziewczyna naprawdę się o niego martwi.

- Podejmę środki ostrożności - powiedział. Spojrzała na niego sceptycznie, lecz już się nie odezwała. - No tak, ale trzeba jeszcze przekonać do tego ludzi odezwał się Dermot.

- Masz rację - przyznał Mack. - Nie ma sensu, żebyśmy dyskutowali tu na ten temat w czwórce, jakby od nas zależała decyzja. Zwołamy zebranie. Która godzina? Wyjrzeli przez okno. Ściemniało się.

- Pewnie już szósta - mruknęła Cora.

- Brygady, które dzisiaj pracują, kończą o zmierzchu podjął Mack. - Wy dwaj obejdźcie wszystkie szynki

przy głównej ulicy i powiadomcie, kogo się da.
Dermot i Charlie skinęli głowami.

- Tutaj nie możemy się zebrać, nie pomieścimy się
zauważył Charlie. - Brygad jest w sumie pięćdziesiąt.

- W "Wesołym Żeglarzu" jest duży dziedziniec -
przypomniał sobie Dermot. - A właściciel nie trudni
się pośrednictwem.

- Dobra myśl - przyznał Mack. - Powiedzcie
wszystkim, żeby przyszli tam jakąś godzinę po
zapadnięciu zmierzchu. - Wszyscy nie przyjdą -
powiedział Charlie.

- Ale większość na pewno.

- Ściągniemy, ilu się da - obiecał Dermot i wyszli z
Charliem z kawiarni. Mack spojrzał na Corę.

- Robisz sobie dzisiaj wolny wieczór? - spytał z
nadzieją w głosie. Pokręciła głową.

- Czekam tylko na moją współpracowniczkę. Macka gnębiła
świadomość, że Peg jest złodziejką, a Cora na to
przyzwalała.

- Przydałoby się znaleźć temu dziecku jakieś zajęcie,
żeby nie musiało już kraść - powiedział.

- Po co? Speszyło go to pytanie.

- No, na pewno... - zaczął.

- Co na pewno?

- Na pewno byłoby lepiej, gdyby wyrosła na uczciwą
dziewczynę.

- A co w tym lepszego? Mack wyczuł w głosie Cory
nutkę gniewu, ale nie mógł się już wycofać.

- To, czym się teraz zajmuje, jest niebezpieczne.
Może skończyć na szubienicy w Tyburn.

- Lepiej by było dla niej, gdyby szorowała podłogę w kuchni w domu jakiegoś bogacza, obrywała ścięgi od kucharki i była gwałcona przez właściciela?

- Chyba nie każda pomoc kuchenna jest gwałcona...

- Każda ładna. A poza tym jak ja bym się bez niej obeszła? - Ty też mogłabyś się zajmować czymś innym... jesteś sprytna i piękna...

- Nie chcę się zajmować czymś innym, Mack, chcę robić to, co robię.

- Dlaczego?

- Bo lubię to. Lubię się stroić, popijać gin i flirtować. Okradam głupich mężczyzn, którzy mają więcej pieniędzy, niż im się należy. To podniecające i zarabiam dziesięć razy tyle, niż gdybym szła albo prowadziła jakiś mały sklepik czy obsługiwała gości w kawiarni. Mackiem wstrząsnęło to wyznanie. Spodziewał się od niej usłyszeć, że kradnie, bo musi. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Cora to lubi.

- Ja chyba ciebie w ogóle nie znam - mruknął.

- Jesteś inteligentny, Mack, ale za cholerę nie znasz życia. W tym momencie weszła Peg. Była blada, wymizerowana i zmęczona.

- Jadłaś śniadanie? - spytał ją Mack.

- Nie - odparła siadając. - Wszystko bym dała za szklaneczkę ginu. Mack skinął na kelnera.

- Poproszę miskę owsianki ze śmietaną. Peg skrzywiła się z niesmakiem, ale kiedy stanęła przed nią miska parującej owsianki, ochoczo zaatakowała ją łyżką. Posilała się jeszcze, kiedy wszedł Caspar Gordonson. Macka uradował jego widok - chciał już

sam iść na Fleet Street, żeby przedyskutować z nim sprawę bojkotu armatorów i pomysł ogłoszenia strajku. Teraz szybko zrelacjonował prawnikowi najświeższe wydarzenia. Słuchając Macka, Gordonson coraz bardziej pochmurniał. Kiedy opowieść dobiegła końca, odezwał się swoim piskliwym głosem:

- Rozumiecie pewnie, że nasi władcy są przestraszeni. Nie mówię tu tylko o dworze i rządzie, lecz o całej górnej warstwie społecznej: diukach i earlach, aldermanach, sędziach, kupcach i posiadaczach ziemskich. Niepokoi ich cała ta gadanina o wolności, a rozruchy w zeszłym roku i rok wcześniej pokazały im, do czego zdolny jest lud, kiedy się rozsierdzi.

- No i dobrze! - zaperzył się Mack. - Powinni nam zatem dać to, czego się domagamy.

- Niekoniecznie. Lękają się, że jeśli tak zrobią, zaczniecie żądać więcej. Szukają tylko pretekstu, żeby wyprowadzić na ulice wojsko i kazać mu do was strzelać. Mack czuł, że za chłodną analizą sytuacji przedstawioną przez Gordonsona kryje się strach.

- To potrzebują do tego pretekstu?

- Owszem. Z powodu Johna Wilkesa, który zarzuca rządowi despotyzm. Kiedy przeciwko obywatelom użyje się wojska, ludzie z warstwy średniej stwierdzą: "No tak, Wilkes miał rację, ten rząd to tyrania". A przecież wszyscy ci sklepikarze, złotnicy i piekarze to głosy w wyborach.

- Więc jakiego pretekstu potrzebuje rząd?
- Czekaj tylko, żebyście nastraszyli przedstawicieli warstwy średniej zamieszkałymi. Wtedy przestaną myśleć o wolności słowa, a zaczną się domagać przywrócenia porządku. Kiedy do akcji wejdzie wojsko, zamiast protestować, odetchną z ulgą. Mack słuchał tego z fascynacją i wzburzeniem. Nigdy nie podejrzewał, że taka właśnie jest polityka. Prowadził dyskusje o książkowych teoriach i jednocześnie był bezradną ofiarą niesprawiedliwego prawa, podczas gdy rzeczywistość rozgrywała się w połowie drogi między tymi skrajnościami - w strefie, gdzie ścierają się i walczą ze sobą przeciwstawne siły, a rezultat tej walki zależy jedynie od przyjętej taktyki. Takie właśnie było życie - i niosło z sobą wiele niebezpieczeństw. Charyzma Gordonsona rozwiała się: wydawał się teraz Mackowi zwyczajnym, zmęczonym człowiekiem.
- Ja ciebie w to wciągnąłem, Mack, i jeśli zginiesz, będę cię miał na sumieniu - mruknął prawnik. Jego strach zaczął się Mackowi udzielać. Zaledwie przed czterema miesiącami, myślał, byłem zwyczajnym górnikiem, a teraz jestem wrogiem rządu. Czy o to mi właśnie chodziło? Ale tak jak Gordonson czuł się odpowiedzialny za niego, tak on był odpowiedzialny za los węglarzy. Wpędził tych ludzi w tarapaty i teraz musi ich z nich wyciągnąć.
- Jak według pana powinniśmy postąpić? - spytał prawnika.

- Jeśli węglarze zgodzą się strajkować, twoim zadaniem będzie trzymanie ich w ryzach. Nie wolno ci dopuścić, by zaczęli podpalać statki, bić łamistrajków i okupować szynki należące do pośredników. Ci ludzie są młodzi, silni, zdesperowani i jeśli wymkną się spod kontroli, mogą puścić z dymem cały Londyn.

- Myślę, że z tym bym sobie poradził - odparł Mack. Mam u nich posłuch. Chyba darzą mnie szacunkiem.

- Oni cię uwielbiają - oświadczył Gordonson. - Ale przez to znajdujesz się w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Jesteś przewodnikiem i rząd może spróbować zgasić strajk, wieszając cię dla postrachu. Mack zaczął żałować, że w ogóle wypowiedział słowo "strajk".

- To co mam robić? - spytał cicho.

- Wyprowadź się z mieszkania, w którym teraz mieszkasz, i znajdź sobie inne lokum. Nie zdradzaj swojego nowego adresu nikomu prócz garstki najbardziej zaufanych osób.

- Wprowadź się do mnie - zaproponowała Cora. Mack uśmiechnął się. Od dawna miał na to ochotę.

- Nie pokazuj się za dnia na ulicach - podjął Gordonson. - Zjawiaj się na zebraniach i zaraz potem znikaj. Bądź jak duch. Ta rada wydała się Mackowi trochę niepoważna, ale strach kazał mu jej posłuchać.

- Tak zrobię - odparł. Cora wstała, szykując się do wyjścia. Peg objęła Macka rączkami w pasie i przytuliła się do niego.

- Bądź ostrożny, Jock - powiedziała. - Nie daj się zarznąć. Mack ze zdziwieniem i wzruszeniem przyjmował troskę, jaką wszyscy mu tutaj okazywali. Trzy miesiące temu nie wiedział nawet o istnieniu Peg i Cory, a Gordonsona znał jedynie ze słyszenia. Cora pocałowała go w usta, a potem, kołysząc zalotnie biodrami, wyszła. Peg wybiegła za nią. Wkrótce potem Mack z Gordonsonem również opuścili kawiarnię i skierowali się do "Wesołego Żeglarza". Było już ciemno, ale na Wapping High Street, oświetlonej migotliwym blaskiem świec padającym z otwartych drzwi szynków, okien domów i przenośnych latarni, panował spory ruch. Kończył się odpływ i wiatr od rzeki niósł silny odór zgnilizny. Mack z zaskoczeniem stwierdził, że dziedziniec szynku jest zapchany ludźmi. W Londynie było około ośmiuset węglarzy i na wezwanie odpowiedziała co najmniej połowa z nich. Ktoś sklecił naprędce prowizoryczne podwyższenie i zatknął wokół niego cztery pochodnie. Kiedy Mack przepychał się przez tłum, ludzie rozpoznawali go, zagadywali, klepali po plecach. Wieść o jego przybyciu rozeszła się błyskawicznie i podniosły się wiwaty. Kiedy wstępował na podwyższenie, tłum już ryczał. Rozejrzał się z góry po morzu głów. W blasku pochodni wpatrywały się w niego ufnie setki usmolonych twarzy. Łzy wzruszenia napłynęły Mackowi do oczu. Nie mógł mówić, bo za głośno krzyczeli. Podniósł w górę ręce, żeby się uciszyli, ale nie poskutkowało. Jedni wykrzykiwali jego

nazwisko, inni darli się: "Wilkes i wolność!" Po chwili wszyscy skandowali rytmicznie:
- Strajk! Strajk! Strajk! Mack patrzył na nich z podwyższenia oszołomiony i myślał: "Co ja narobiłem?"

Przy śniadaniu Jay Jamisson odebrał liścik od ojca. Jego treść była bardzo lakoniczna: Grosvenor Square 8 rano Bądź w południe w moim kantorze. G.J. Nieczyste sumienie podsunęło mu od razu przypuszczenie, że ojciec dowiedział się o układzie, jaki zawarł z Lennoxem. Wszystko wyszło tak, jak chciał szynkarz. Armatorzy zbojkotowali nowe brygady węglarzy i Lennox, zgodnie z umową, zwrócił Jayowi weksle. Ale teraz węglarze zastrajkowali i w Londynie od tygodnia nie rozładowano ani jednego statku z węglem. Czyżby ojciec odkrył, że nie doszłoby do tego, gdyby nie długi honorowe Jaya? To byłoby straszne. Poszedł jak zwykle do obozu w Hyde Parku i poprosił pułkownika Cranbrough o przepustkę na wczesne popołudnie. Przez cały ranek chodził jak struty. Swoim złym nastrojem zarażał ludzi i konie. Kiedy przestępował próg nadbrzeżnego magazynu Jamissonów, kościelne dzwony wybijały właśnie dwunastą w południe. W zapyłonym powietrzu unosił się zapach kawy, cynamonu, rumu, porto, pieprzu i pomarańczy. Zawsze przypominało to Jayowi dzieciństwo, kiedy przechowywane tu baryłki i skrzynie z herbatą wydawały mu się o wiele

większe. Teraz czuł się tak samo jak za chłopięcych czasów, kiedy przeskrobawszy coś miał stanąć na dywaniku. Odpowiadając na pozdrowienia robotników, przeciął halę i wspiał się po rozchwierutanych drewnianych schodkach do kantoru. Przeszedł przez pomieszczenie zajmowane przez rachmistrzów i wkroczył do gabinetu ojca - narożnej izby obwieszanej mapami, afiszami i rysunkami statków.

- Dzień dobry, ojcie - powiedział. - A gdzie Robert? - zapytał zdziwiony. Jego starszy brat zazwyczaj nie odstępował ojca na krok.

- Musiał się udać do Rochester. Ale to dotyczy bardziej ciebie, niż jego. Sir Sidney Armstrong chce się ze mną widzieć. Armstrong był prawą ręką sekretarza stanu, Viscounta Weymoutha. Jay zaniepokoił się jeszcze bardziej. Czyżby naraził się nie tylko ojcu, ale i rządowi?

- Czego chce od ciebie Armstrong?

- Chce zakończyć ten strajk węglarzy, a wie, że właśnie my go wywołaliśmy. Jay wywnioskował, że nie chodzi o długi honorowe. Ale nie rozwiało to jego niepokoju.

- Będzie tu za chwilę - dorzucił ojciec.

- Czemu przychodzi tutaj? - Takie ważne osobistości wzywały zazwyczaj ludzi, do których miały jakiś interes, do swoich gabinetów.

- Chyba przez wzgląd na dyskrecję. Jay nie zdążył zadać kolejnego pytania, bo w tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył Armstrong. Jay i

sir George powstali z miejsc. Armstrong był mężczyzną w średnim wieku. Przyszedł w oficjalnym stroju, w peruce i z rapierem u pasa. Zachowywał się tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie ma w zwyczaju zstępować z wyżyn swego urzędu w bagno komercyjnej działalności. Sir George chyba nie bardzo go lubił - Jay wyczytał to z miny ojca, kiedy ten ścisnął dłoń gościa i wskazywał mu krzesło. Gospodarz zaproponował kieliszek wina, ale Armstrong odmówił.

- Ten strajk musi się skończyć - powiedział bez wstępów. - Węglarze unieruchomili połowę londyńskiego przemysłu. - Próbowaliśmy zatrudnić marynarzy przy rozładunku statków z węglem. Ale po dwóch dniach zbuntowali się.

- Dlaczego?

- Ktoś wpłynął na nich i teraz również strajkują.

- Podobnie jak przewoźnicy - dodał z irytacją Armstrong. - A zanim zaczęła się ta awantura z węglem, były kłopoty z krawcami, tkaczami, kapelusznikami, traczami... Trzeba położyć temu kres.

- Ale dlaczego przychodzi pan z tym do mnie, sir?

- Bo wiem, że to ty maczałeś palce w nakłonieniu armatorów do bojkotu, co z kolei spowodowało węglarzy do strajku. - Owszem.

- Mogę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś? Sir George spojrzał na Jaya, który przełknął nerwowo ślinę i powiedział:

- **Prosili mnie o to pośrednicy, którzy organizują brygady węglarzy. Nie chcieliśmy dopuścić do burzenia starego porządku na nabrzeżu.**
- **Mieliście rację - przyznał Armstrong i zapytał: - Znacie prowodyrów?**
- **Ja znam - odparł Jay. - Najważniejszym z nich jest człowiek nazwiskiem Malachi McAsh, znany jako Mack. Tak się składa, że pracował kiedyś jako rębacz w kopalniach mojego ojca.**
- **Trzeba aresztować tego McAsha i skazać. Ale musi to zostać przeprowadzone zgodnie z wymogami prawa: żadnych spreparowanych dowodów ani przekupionych świadków. Będzie trzeba sprowokować strajkujących do prawdziwych zamieszek z użyciem broni palnej przeciwko urzędnikom Korony... tak, żeby byli ranni i zabici. Jay nie wiedział, co o tym myśleć. Czyżby Armstrong sugerował, że to Jamissonowie powinni zorganizować rozruchy? Ojciec jednak nie okazywał niepokoju.**
- **Oczywiście, sir - powiedział i spojrział na Jaya. - Wiesz, gdzie można znaleźć McAsha?**
- **Nie - przyznał Jay i widząc grymas niezadowolenia na twarzy ojca dorzucił pośpiesznie: - Ale z pewnością się dowiem.**

O brzasku Mack obudził Corę i kochał się z nią. Kiedy pachnąca tytoniowym dymem kładła się nad ranem do łóżka, pocałował ją tylko i z powrotem zasnął. Teraz on był rozbudzony, ona zaś rozespana.

Ciało miała ciepłe i rozluźnione, skórę gładką, rude włosy splątane. Objęła go i cicho pojękiwała, a potem wydała okrzyk rozkoszy i odpłynęła z powrotem w sen. Przyglądał się jej przez chwilę. Miała piękną, niewinną twarz - drobną, różową, o regularnych rysach. Ale jej styl życia bardzo mu się nie podobał. Musiała mieć chyba serce z kamienia, skoro zatrudniała dziecko w charakterze współpracownicy. Kiedy próbował z nią o tym porozmawiać, wpadała w gniew i zarzucała mu, że on też jest temu winny, bo mieszka u niej nie płacąc czynszu i je to, co ona kupuje ze swoich zdobytych niezgodnie z prawem dochodów. Westchnął i wstał. Cora mieszkała na poddaszu zrujnowanej rudery znajdującej się na terenie składu węgla. Zajmował je swego czasu właściciel składu, ale wyprowadził się, kiedy się dorobił. Teraz na parterze mieścił się kantor, a strych podnajmowała Cora. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi. W jednym stało wielkie łóżko, w drugim stół i krzesła. Sypialnia była pełna strojów, na które Cora wydawała wszystkie zarobione pieniądze. Esther i Annie miały tylko po dwie suknie - jedną do pracy, drugą na niedzielę - Cora natomiast posiadała ich z dziesięć, wszystkie w jaskrawych kolorach: żółtym, czerwonym, jasnozielonym i brązowym, a do każdej dobrane kolorystycznie buciki, pończoch zaś, rękawiczek i chusteczek miała tyle, co prawdziwa dama. Mack obmył twarz, ubrał się szybko i wyszedł. Po kilku minutach był już w domu Dermota. Zastał całą

rodzinę Rileyów przy porannej owsiance. Uśmiechnął się do dzieci. Po każdym użyciu "kunduma" Córy zastanawiał się, czy doczeka się kiedyś własnych dzieci. Czasami myślał, że chciałby, by Cora urodziła mu dziecko, jednak kiedy przypominał sobie jej tryb życia, przechodziła mu na to ochota. Rileyowie chcieli go poczęstować miską owsianki, ale podziękował, wiedząc, że im się nie przelewa. Dermot, podobnie jak Mack, był na utrzymaniu kobiety: jego żona zmywała wieczorami naczynia w kawiarni, a on w tym czasie zajmował się dziećmi.

- Jest list do ciebie - powiedział Dermot, wręczając Mackowi złożoną i zapieczętowaną kartkę papieru. Mack od razu rozpoznał pismo. Bardzo przypominało jego. List był od Esther. Ogarnęło go poczucie winy. Miał oszczędzać dla niej pieniądze, a strajkował i był bez pensa przy duszy. - Gdzie dzisiaj? - spytał Dermot. Dla ostrożności spotykali się codziennie w innym miejscu.

- W szynku na tyłach oberży "Głowa Królowej" - odparł Mack.

- Powiadomię wszystkich - mruknął Dermot, włożył kapelusz i wyszedł. Mack otworzył list i zaczął czytać. Esther miała dla niego mnóstwo nowin. Annie była w ciąży i jeśli urodzi się chłopiec, dadzą mu na imię Mack. Mackowi, nie wiedzieć czemu, łzy napłynęły do oczu. Jamissonowie drążyli nowy szyb w High Glen, na terenach posiadłości Hallimów. Za kilka dni spodziewano się jego ukończenia i Esther

miała tam pracować jako tragarz. Była to zaskakująca wiadomość: Mack sam słyszał, jak Lizzie zarzekała się, że nie pozwoli wydobywać węgla w High Glen. Żona świątobliwego pana Yorka zapadła na jakąś gorączkę i umarła: nie była to wieść niespodziewana, bo żona pastora zawsze słabowała. A Esther nadal zamierzała opuścić Heugh, kiedy tylko brat przyśle jej pieniądze. Mack złożył starannie list i schował go do kieszeni. Nie może dopuścić, by cokolwiek wpłynęło na jego decyzję. Doprowadzi ten strajk do zwycięskiego zakończenia, a potem będzie mógł spokojnie oszczędzać. Ucałował dzieci Dermota i poszedł do "Głowy Królowej". Ludzie z jego brygady już się schodzili, przystąpił więc od razu do rzeczy. Jednooki Wilson, węglarz, którego wysłali nad rzekę, żeby policzył, ile nowych statków stoi na kotwicy, zameldował, że z porannym przyływem do portu zawinęły kolejne dwa statki z węglem.

- Oba są z Sunderland - powiedział. - Rozmawiałem z marynarzami, którzy zeszli na ląd po chleb. Mack zwrócił się do Charliego Smitha:

- Popłyniesz do tych statków, Charlie, i pogadasz z kapitanami. Wytłumacz im, dlaczego strajkujemy, i poproś, żeby cierpliwie czekali. Powiedz, że spodziewamy się rychłego ustąpienia armatorów.

- Dlaczego wysyłasz czarnucha? - wtrącił się Jednooki. - Chyba prędzej dadzą posłuch Anglikowi.

- Jestem Anglikiem - obruszył się Charlie.

- Większość kapitanów tych statków urodziła się na północnym zachodzie, na terenach obfitujących w węgiel - powiedział Mack - i Charlie mówi tak jak oni. Zresztą już to robił i okazał się dobrym ambasadorem.

- Bez urazy, Charlie. Chciałem tylko, żeby się nam powiodło - mruknął Jednooki. Charlie wzruszył ramionami i wyszedł wypełnić przydzielone mu zadanie. W drzwiach zderzył się z zasapaną, wzburzoną kobietą, która odepchnęła go, wpadła do środka i podbiegła prosto do Macka. Mack rozpoznał w niej Sairey, żonę krewkiego węglarza nazwiskiem Buster McBride.

- Mack, dopadli marynarza znoszącego na brzeg worek węgla i boję się, że Buster go zabije! - zawołała.

- Gdzie go zabrali?

- Zawlekli go do komórki przy "Łabędziu" i zamknęli w niej, ale Buster jest pijany i chce go powiesić za nogi na wieży zegarowej, a reszta mu przyklaskuje. Do tego rodzaju incydentów dochodziło bardzo często. Węglarze zawsze byli skorzy do awantur, ale Mackowi udawało się jak dotąd utrzymywać ich w ryzach. Skinął na stojącego na uboczu wyrostka.

- Biegnij tam, Pigskin, i uspokój chłopaków - polecił. Tylko morderstwa nam teraz trzeba.

- Lecę - rzucił chłopak i już go nie było. Do szynku wszedł Caspar Gordonson w koszuli poplamionej żółtkiem jajka i z kartką w dłoni.

- Rzeką Lea płynie do Londynu sznur barek z węglem. Pod wieczór powinni być przy śluzie w Enfield.
- Enfield... - powtórzył za nim Mack. - To daleko?
- Dwanaście mil - odparł Gordonson. - Możemy tam być po południu, nawet jeśli pójdziemy piechotą.
- To dobrze. Musimy tam dotrzeć i opanować śluzę. Sam się tym zajmę. Wezmę ze sobą dwunastu ludzi. Do szynku wpadł kolejny węglarz.
- Gruby Sam Barrows, właściciel "Zielonej Mary", próbuje zorganizować brygadę do rozładowania "Spirit of Jarrow" krzyknął od progu.
- Musiałby mieć dużo szczęścia - skomentował to Mack. - Nikt nie lubi Grubego Sama: przez całe swoje życie nigdy nikomu uczciwie nie zapłacił. Ale na wszelki wypadek miejmy oko na jego szynk. Timble, idź się tam rozejrzeć. Daj mi znać, gdyby zaczęło się zanosić na to, że Sam zgromadzi jednak tę brygadę.

- Zupełnie jakby zapadł się pod ziemię - powiedział Sidney Lennox. - Opuścił dotychczasową kwaterę i nikt nie wie, gdzie się przeniósł. Jay czuł się okropnie. W obecności sir Sidneya Armstronga obiecał ojcu, że odnajdzie McAsha, i teraz tego żałował. Nawet gdyby nie wyrwał się z tą deklaracją, ojcu złość i tak by przeszła. Ale liczył na to, że Lennox będzie wiedział, gdzie znaleźć McAsha.
- Jak może kierować strajkiem, skoro się ukrywa? - spytał.

- Pojawia się w kawiarniach, co rano w innej. Jego pomagierzy wiedzą skądś, w której. Wydaje rozkazy i znika do następnego dnia.

- Ktoś przecież musi wiedzieć, gdzie sypia - powiedział zdesperowany Jay. - Jeśli go znajdziemy, może uda się zdławić ten strajk. Lennox pokiwał głową. Nikomu tak nie zależało na utarciu nosa węglarzom, jak jemu.

- Na pewno wie to Caspar Gordonson. Jay pokręcił głową.

- On odpada. Czy McAsh ma jakąś kobietę?

- Ma, Corę. Ale to dziwka uparta jak osioł. Nie powie.

- Musi być ktoś jeszcze.

- Jest taka jedna smarkula - mruknął z namysłem Lennox.

- Smarkula?

- Szybka Peg. Kradnie do spółki z Corą. Może ona coś wie... O północy kawiarnię lorda Archera zapelniali tłumnie oficerowie, dżentelmeni i ladacznice. W powietrzu unosił się gęsty opar tytoniowego dymu i odór rozlanego wina. W rozgwarze stu prowadzonych jednocześnie konwersacji ledwie było słycać rzępolącego w kącie skrzypka. Przy kilku stolikach grano w karty, ale Jay nie zasiadł dzisiaj do gry. Pił. Plan był taki, że będzie udawał pijanego, więc z początku wylewał ukradkiem większość kolejek brandy, ale w miarę upływu czasu zostawiał sobie coraz więcej w kieliszku i teraz wcale nie musiał się bardzo starać,

by wyglądać na wstawionego. Chip Marlborough pił od samego początku, jednak po nim nigdy nie było tego widać. Jay był zbyt zdenerwowany, by dobrze się bawić. Ojciec nie chciał słuchać żadnych tłumaczeń. Kazał mu zdobyć adres McAsha. Jay zastanawiał się, czyby nie podać ojcu jakiegoś zmyślonego, a potem utrzymywać, że Mack znowu się przeprowadził, ale przeczuwał, że ojciec przyłapałby go na kłamstwie. Pił więc dziś u Archera i miał nadzieję, że spotka Corę. Zaczepiało go wiele dziewcząt, ale żadna nie pasowała do opisu Cory: ładna, niewinna buzia, płomiennorude włosy, jakieś dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Poflirtował trochę wspomagany przez Chipa, kiedy jednak dziewczyny zorientowały się, że młodzi oficerowie nie traktują ich poważnie, ulatniały się. W drugim końcu kawiarni siedział Sidney Lennox ćmiąc fajkę i grając na niskie stawki w faraona. Jay zaczynał już nabierać przekonania, że tego wieczoru mu się nie poszczęści. W Covent Garden było setki takich dziewcząt jak Cora. Kto wie, czy nie będzie musiał powtórzyć tego jutro i może nawet pojutrze, zanim na nią trafi. A przecież czeka na niego żona, która nie rozumie, dlaczego jej mąż musi spędzać każdy wieczór poza domem. Marzył właśnie o położeniu się do wygrzanego łóża, w którym leżałaby spragniona, wyczekująca go z utęsknieniem Lizzie, kiedy do kawiarni weszła Cora. Był przekonany, że to ona. Urodą biła na głowę wszystkie inne dziewczyny w kawiarni, a włosy rzeczywiście miała koloru

plomieni na kominku. Ubrana była jak ladacznicą: w czerwonej jedwabnej sukni z głębokim dekoltem i czerwone bućki w szpic. Rozejrzała się po izbie wyzywającym wzrokiem. Jay zerknął na siedzącego pod przeciwległą ścianą Lennox i zauważył, że szynkarz kiwa powoli głową raz, a potem drugi. Odwrócił oczy, ściągnął na siebie wzrok Cory i uśmiechnął się do niej. W wyrazie jej twarzy dostrzegł leciutki przebłysk rozpoznania, jakby wiedziała, kim jest. Odwzajemniła jego uśmiech i podeszła. Jay pomyślał, że wystarczy być wobec niej szarmanckim. W ten sposób zdobywał przecież względy setek kobiet. Całując ją w rękę poczuł silną woń perfum, w której dominował zapach drzewa sandałowego.

- Sądziłem, że znam wszystkie piękne kobiety w Londynie, ale byłem w błędzie - powiedział z galanterią. - Kapitan Jonathan, do usług, a to kapitan Chip. - Wolał nie podawać swego prawdziwego imienia, bo Mack mógł o nim wspomnieć. Gdyby się zorientowała, z kim ma do czynienia, z pewnością wyczułaby podstęp.

- Mam na imię Cora - przedstawiła się dziewczyna, obrzucając obu oficerów taksującym spojrzeniem. - Cóż za przystojna para. Nie potrafię się zdecydować, który z panów kapitanów bardziej mi się podoba.

- Ja wywodzę się ze szlachetniejszej rodziny niż Jay - odezwał się Chip.

- Za to ja z bogatszej - zripostował Jay i obaj zachichotali.

- Jeśliś taki bogaty, to postaw mi brandy - powiedziała Cora. Jay skinął na kelnera i zrobił Corze miejsce obok siebie. Usiadła na ławie, wciskając się między niego i Chipa. Jay poczuł od niej gin. Zerknął z ukosa na jej ramiona i wzgórek biustu. Mimowolnie porównał ją ze swą żoną. Lizzie była niska, szeroka w biodrach i wcięta w talii, co przydawało jej zmysłowości. Cora była wyższa i smuklejsza, a jej piersi przypominały dwa jabłka leżące obok siebie w misie.

- Czy ja cię czasem skądś nie znam? - spytała Cora, spoglądając na niego pytająco. Jay poprawił się niespokojnie na ławie. Czy aby na pewno nigdy się nie spotkali?

- Nie sędzę - odparł. Gdyby go teraz rozpoznała, wszystko diabli by wzięli.

- Znajomo mi wyglądasz. Wiem, że nigdy nie zamieniłam z tobą słowa, ale gdzie już cię widziałam.

- No to mamy teraz okazję poznać się nawzajem - odparł Jay, siląc się na uśmiech. Położył jej rękę na plecach i pogładził po karku. Przymknęła oczy, jakby sprawiło jej to przyjemność, i Jay zaczął się odprężyć. Niemal zapomniał, że to z jej strony tylko gra. Położyła mu rękę na udzie, tuż obok krocza. Powtarzał sobie w myślach, że nie wolno mu się podniecać: miał tylko udawać, że to na niego działa. Żałował, że tyle wypił. Umysł powinien mieć teraz jasny. Kelner przyniósł Corze brandy. Wychyliła kieliszek jednym haustem.

- Chodź, chłopcze - powiedziała. - Zaczernijmy świeżego powietrza, bo twój mały zaraz przebiję ci bryczesy. Jay uświadomił sobie, że ma erekcję, i spłonął rumieńcem. Cora wstała i skierowała się do drzwi. Ruszył za nią. Kiedy znaleźli się na ulicy, objęła go w pasie i poprowadziła pod arkady placu Covent Garden. Otoczył ręką jej ramiona, a po chwili zsunął dłoń na pierś i przez materiał sukienki wyczuł sutkę. Dziewczyna zachichotała i skręciła w ciemny zaułek. Objęli się i zaczęli całować. Ścisnął dłońmi obie jej piersi. Zapomniał zupełnie o Lennoksie. Cora była ciepła, chętna i pożądał jej. Niecierpliwymi palcami rozpięła mu kubrak i jej dłoń, prześlizgnąwszy się po torsie, zanurkowała w bryczesy. Wsunął jej w usta język, próbując jednocześnie zadrzeć sukienkę. Czuł na brzuchu zimne nocne powietrze. Nagle za jego plecami rozległ się dziecięcy krzyk. Cora drgnęła i odepchnęła go od siebie. Obejrzała się przez ramię, a potem odwróciła, żeby rzucić się do ucieczki, ale wpadła w objęcia Chipa Marlborough, który wyrósł przed nią jak spod ziemi. Jay ujrzał Lennox'a usiłującego utrzymać jakąś wrzeszczącą, drapiącą i wyrywającą się dziewczynkę. W trakcie tej szamotaniny dziecko upuściło kilka przedmiotów, wśród których Jay rozpoznał swój portfel, zegarek, jedwabną chusteczkę i srebrną pieczęć. Mała wyciągnęła mu to wszystko z kieszeni, kiedy całował się z Corą. Chociaż był na to przygotowany, niczego nie poczuł.

Za bardzo wcielił się w swoją rolę. Dziewczynka przestała się w końcu wyrywać.

- Zabieramy was obie do sędziego pokoju - wysapał Lennox. - Za kradzież kieszonkową idzie się na szubienicę dodał. Jay rozejrzał się, prawie przekonany, że ktoś przyjdzie zaraz Corze z odsieczą, ale nikogo nie zobaczył.

- Możecie już schować swój oręż, kapitanie Jamisson parsknął kpiąco Chip, spoglądając na jego krocze. - Bitwa skończona. Uprawnienia sędziego pokoju miała większość bogatych i wpływowych obywateli i sir George Jamisson również je posiadał. Chociaż nigdy jeszcze nie prowadził jawnej rozprawy, miał prawo wymierzać sprawiedliwość we własnym domu. Mógł skazywać przestępców na chłostę, napiętnowanie albo uwięzienie, a za poważniejsze wykroczenia kierować ich do Old Bailey na proces. Nie położył się o zwykłej porze do łóżka, ponieważ czekał na przybycie Jaya.

- Spodziewałem się was o dziesiątej - burknął, kiedy weszli wreszcie do salonu domu przy Grosvenor Square.

- A więc się nas spodziewałeś! - krzyknęła Cora, wleczona za związane ręce przez Chipa Marlborough. - To było zaplanowane, wy przekłete świnię!

- Zamilcz, dziwko, bo zanim zacznę mówić, każę cię wychłostać na środku placu. Cora nic już więcej nie powiedziała. Sir George przysunął sobie arkusz papieru i umoczył pióro w kałamarzu.

- Powodem jest pan Jay Jamisson. Skarży się, że padł ofiarą kradzieży kieszonkowej dokonanej przez...
- Nazywa się Szybka Peg, sir - podpowiedział Lennox.
- Nie mogę tego zapisać - mruknął sir George. - Jak się naprawdę nazywasz, dziecko?
- Peggy Knapp, sir.
- A nazwisko tej kobiety?
- Cora Higgins - powiedziała cicho Cora.
- Kradzież kieszonkowa dokonana przez Peggy Knapp, współniczkę Cory Higgins. Świadcami przestępstwa byli...
- Sidney Lennox, właściciel szynku "Słońce" z Wapping.
- I kapitan Marlborough? Chip uniósł ręce w obronnym geście.
- Jeśli świadectwo pana Lennoxa wystarczy, to nie chciałbym być w to zamieszany.
- Z pewnością wystarczy, kapitanie - odparł sir George. Wolał być grzeczny wobec Chipa, bo był winien pewną sumę jego ojcu. - Dziękuję za pomoc w ujęciu tych złodziejek. Czy oskarżone chcą coś powiedzieć?
- Nie jestem jej współniczką - odezwała się Cora. W życiu jej nie widziałam. - Peg spojrzała na nią z niedowierzaniem, ale Cora mówiła dalej bez zająknięcia: - Wyszłam na spacer z tym przystojnym młodzieńcem, i to wszystko. Nie miałam pojęcia, że ta mała opróżniła mu kieszenie. - Te dwie to dobrana

para, sir George - wtrącił Lennox. - Często widuję je razem.

- Dostyc już usłyszałem - powiedział sir George. - Zostajecie obie skazane na uwięzienie w Newgate Prison pod zarzutem kradzieży kieszonkowej. Peg zaczęła płakać, a Cora pobladła ze strachu.

- Dlaczego nam to robicie? - spytała drżącym głosem. Wskazała oskarżycielsko na Jaya. - Specjalnie czekałeś na mnie u Archera. - Popatrzyła na Lennoxa. - Wyszedłeś za nami. A pan, sir George'u Jamissonie, chociaż dawno pan powinien już być w łóżku, nie położył się do tej pory, bo czekał, żeby nas osądzić. O co tu chodzi? Co my z Peg wam zrobiłyśmy, żeście się tak na nas uwzięli? Sir George zignorował ją.

- Kapitanie Marlborough, będę panu zobowiązany, jeśli wyprowadzi pan stąd tę kobietę na korytarz i popilnuje jej tam przez chwilę. - Zaczekał, aż Chip wyprowadzi Corę z salonu i zamknie za sobą drzwi, po czym zwrócił się do Peg: - No, dziecko, jaka jest kara za kradzież kieszonkową? Wiesz? Peg dygotała ze strachu.

- Kołnierzyk szeryfa - wyszeptała.

- Jeśli rozumiesz przez to powieszenie, to się nie mylisz. Ale czy wiesz, że niektórych skazańców, zamiast ich wieszać, wysyłają do Ameryki?

Dziewczynka skinęła głową.

- Dotyczy to ludzi mających wpływowych przyjaciół, którzy wstawiają się za nimi o łaskę do sędziego. Masz wpływowych przyjaciół? Pokręciła głową.

- No a gdybym ci powiedział, że sam wstawię się za tobą? Podniosła na niego wzrok i nadzieja rozjaśniła jej małą twarzyczkę.
- Ale musisz coś dla mnie zrobić - dodał sir George.
- Co? - spytała.
- Ocaleń cię przed stryczkiem, jeśli nam powiesz, gdzie mieszka Mack McAsh. Przez długą chwilę w salonie panowała grobowa cisza.
- Na poddaszu domu, w którym jest skład węgla przy Wapping High Street - powiedziała cicho Peg i wybuchnęła płaczem.

Mack był zdziwiony, kiedy obudził się i stwierdził, że jest sam. Cora nigdy dotąd nie zostawała poza domem na całą noc. Wprawdzie mieszkał z nią dopiero od dwóch tygodni i nie znał wszystkich jej obyczajów, lecz bardzo go to zaniepokoiło. Wstał i rozpoczął swe zwykłe, codzienne czynności. Ranek spędził w kawiarni "Świętego Łukasza", wydając zlecenia i przyjmując raporty. Pytał wszystkich, czy nie spotkali Cory lub czegoś o niej nie słyszeli, ale nikt nic nie wiedział. Wysłał nawet kogoś do gospody "Słońce", żeby wypytał Peg, ale ona również wyszła na noc i jeszcze nie wróciła. Po południu poszedł do Covent Garden, gdzie odwiedził wszystkie gospody i kawiarnie, zagadując prostytutki i barmanów. Kilka osób widziało zeszłego wieczoru Corę, a kelner w kawiarni lorda Archera zauważył, jak wychodziła z jakimś bogatym pijanym młodzieńcem. Na tym trop się urywał. Mack z nadzieją, że zdobędzie tam jakieś

informacje, wpadł nawet do mieszkania Dermota w Spitalfields. Była pora kolacji i Dermot karmił właśnie dzieci rosółem, ale o Corze nic nie wiedział. Mack prowadził poszukiwania przez resztę dnia, jednak bez skutku. Wrócił do mieszkania Cory po zapadnięciu zmroku. Miał nadzieję, że dziewczyna będzie na niego czekać, że zastanie ją w łóżku, ale zastał tylko mrok, chłód i pustkę. Zapalił świecę, usiadł i głęboko się zamyślił. Na Wapping High Street gospody wypełniały się powoli gośćmi. Choć węglarze strajkowali, na piwo nie brakowało im jeszcze pieniędzy. Mack miał wielką ochotę przyłączyć się do nich, ale dla bezpieczeństwa wolał unikać wieczorami gospod. Zjadł chleb z serem, potem próbował czytać pożyczoną od Gordonsona powieść zatytułowaną "Tristram Shandy", ale zupełnie nie mógł się skupić nad lekturą. Późnym wieczorem, gdy zaczynał już podejrzewać, że Cora nie żyje, na ulicy wszczął się tumult. Krzyki mężczyzn mieszały się z tupotem stóp i z dźwiękiem, który przypominał turkot kilkunastu konnych wozów. Podszedł do okna, bo obawiał się, że to węglarze rozpoczęli jakieś burdy. Na bezchmurnym niebie świecił sierp księżycy, więc doskonale widział całą ulicę. W jego blasku wyboistą drogą ciągnęło dziesięć lub dwanaście wozów zmierzających do składu węgla. Za nimi posuwał się tłum rozkrzyczanych, miotających obelgi mężczyzn. Ciżba rosła z chwili na chwilę, ponieważ na każdym rogu dołączali do niej wysypujący się z mijanych gospod

ludzie. Tak, niewątpliwie zanosiło się na zamieszki. Mack zaklął. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, były rozruchy. Odwrócił się od okna i ruszył w stronę schodów. Jeśli uda mu się porozmawiać z woźnicami i przekonać ich, żeby nie wyładowywali węgla, być może zdoła zapobiec awanturze. Gdy dotarł na ulicę, pierwszy wóz skręcał już do składu. Mack biegł właśnie w jego stronę, kiedy z pozostałych pojazdów zaczęli zeskakiwać ludzie i bez ostrzeżenia ciskać w napierający tłum bryłami węgla. Kilku węglarzy zostało trafionych. Pozostali podnosili z ziemi rzucany w nich węgiel i z kolei miotali nim w woźniców. Mack usłyszał krzyk kobiety i ujrzał, jak zagania gromadkę dzieci do domu.

- Przestańcie! - wrzasnął. Z uniesionymi rękami wbiegł między węglarzy a wozy i na moment zapanował spokój. Z radością dostrzegł w tłumie twarz Charliego Smitha. - Na Boga, Charlie, spróbuj zaprowadzić tu porządek! - zawołał. - Chcę porozmawiać z tymi ludźmi!

- Zachowajcie spokój! - wykrzyknął Smith. - Mack wszystkim się zajmie! McAsh odwrócił się plecami do węglarzy. W progach domów po obu stronach wąskiej ulicy stali ludzie, ciekawi przebiegu wydarzeń, lecz gotowi w każdej chwili czmychnąć i skryć się we wnętrzach. Na każdym wozie siedziało co najmniej pięciu mężczyzn. W nienaturalnej ciszy, jaka zapadła, Mack zbliżył się do pierwszego wozu. - Kto wami kieruje? - zapytał. W księżycowym blasku pojawiła się jakaś postać.

- Ja. ! Mack poznał Sidneya Lennox. Zdziwiło go to i zaskoczyło. Co tu się dzieje? - zastanawiał się.

- Dlaczego Lennox próbuje dostarczyć węgiel do składu? Dostrzegł również właściciela składu, Jacka Coopera, znanego jako Black Jack, ponieważ zawsze pokryty był czarnym węglowym pyłem, jak górnik.

- Jack, na Boga, zamknij bramę do składu! - zawołał błagalnie Mack. - Jeśli pozwolisz im wjechać, poleje się krew. Jack łypnął na niego ponuro.

- Muszę z czegoś żyć.

- Zarobisz, gdy skończy się strajk. Chyba nie chcesz, żeby Wapping High Street zamieniła się w jatkę?

- Nie oglądam się za siebie, kiedy zaczynam iść za plugiem. Mack twardo popatrzył na Coopera.

- Z czyjzego polecenia działasz, Jack? Czy jest w to zamieszany ktoś jeszcze?

- Sam sobie jestem panem. Nikt mi nie mówi, co mam robić. Mack zaczynał pojmować, co się dzieje, i ogarnął go gniew. Odwrócił się do Lennox.

- Oplaciłeś go. Ale dlaczego? Przerwał mu donośny brzęk ręcznego dzwonka. Obejrzał się i w otwartym oknie na piętrze gospody "Patelnia" dostrzegł trzech mężczyzn. Jeden z nich dzwonił, a drugi trzymał latarnię. Trzeci, stojący pośrodku, miał perukę i szpadę - atrybuty wysokiego stanowiska.

- Jestem Roland MacPherson, sędzia pokoju w Wapping - przedstawił się ów trzeci mężczyzna, gdy dzwonek umilkł. - Niniejszym stwierdzam, że wszczęto rozruchy. Zaczął odczytywać główne paragrafy ustawy o rozruchach. Gdy władze

ogłaszały wybuch zamieszek, każdy w ciągu godziny musiał opuścić miejsce zajęć. Niepodporządkowanie się temu poleceniu karano śmiercią. Bardzo szybko pojawił się tu ten sędzia, pomyślał Mack. Zapewne spodziewał się awantury i czekał w gospodzie, aby w stosownej chwili wkroczyć na scenę. Najwyraźniej cała akcja została precyzyjnie zaplanowana. Ale jaki przewidywano finał? Mack odnosił wrażenie, że zamieszki sprowokowano, żeby skompromitować węglarzy, a przy okazji złapać i powiesić prowodyrów. To znaczy jego. W pierwszej chwili ogarnął go ślepy gniew. Chciał krzyknąć: "Skoro władze same się proszą o rozruchy, to, na Boga, będą je miały - i to takie, że długo je popamiętają: nim się z nami rozprawią, spalimy Londyn!" Miał ochotę zadusić Lennox'a własnymi rękami, ale nakazał sobie spokój i zaczął się zastanawiać, jak najlepiej pokrzyżować Lennoxowi plany. Jedyny sposób to dać chwilowo za wygraną i pozwolić na wyładunek węgla, stwierdził. Odwrócił się w stronę tłumu rozwścieczonych węglarzy kłębiących się przy bramie składu.

- Posłuchajcie mnie! - zawołał. - To spisek, który ma nas sprowokować do awantur. Jeśli teraz spokojnie rozejdziemy się do domów, przechytrzymy naszych wrogów. Jeśli zostaniemy i zaczniemy walkę, przegramy. Tłum wydał pełen niezadowolenia pomruk. Boże drogi, jacy ci ludzie są głupi, pomyślał Mack.

- Nie rozumiecie? - mówił dalej. - Niektórych z nas chcą powiesić. Dlaczego mamy dawać im to, czego chcą? Wracajmy do domów, a jutro podejmijmy dalszą walkę!

- Ma rację - wtrącił dyszkantem Charlie. - Zobaczcie, kogo wśród nas mamy. Sidneya Lennox, który na pewno przybył tu w złych zamiarach... Niektórzy węglarze zaczęli kiwać głowami na znak, że się z tym zgadzają, i Mack myślał już, że udało mu się ich przekonać. Ale nagle rozległ się krzyk Lennox:

- Brać go! Kilkunastu mężczyzn natychmiast zaatakowało Macka. Rzucił się do ucieczki, lecz jeden z napastników zdążył go dopaść i obalić na pokrytą błotem ziemię. Kiedy Mack zaczął walczyć, od strony węglarzy dobiegł ryk wściekłości. Pojął wtedy, że doszło do najgorszego: do walnej bitwy. Tak usilnie próbował wstać, że choć dotkliwie bito go i kopano, prawie wcale nie czuł spadających na niego razów. W chwilę później węglarze rozpedzili napastników i Mack dźwignął się na nogi. Rozejrzał się szybko. Lennox zniknął, a wokół niego kłębiły się grupy walczących wręcz. Przerażone konie rżały, biły kopytami w ziemię i rwały się w uprzężach. Mack bardzo chciał włączyć się do bitki, kopać przeciwników i zwalać ich z nóg, górę jednak wziął zdrowy rozsądek i zapanował nad tym odruchem. W jaki sposób zakończyć całą awanturę? - zastanawiał się gorączkowo. Węglarze nie cofną się teraz, choć najprostszym rozwiązaniem byłoby zajęcie pozycji

obronnych i zawieszenie walki, pomyślał. Chwycił Charliego za ramię.

- Spróbujemy zabarykadować się w składzie węgla - powiedział. - Przekaż to ludziom. Charlie zaczął krążyć wśród węglarzy i wydzierając się na całe gardło, aby przekrzyczeć panujący hałas, przekazywał polecenie Macka.

- Do składu! Zamykamy bramę! Tamtych do środka nie wpuszczać! W tym momencie, ku przerażeniu McAsha, rozległ się wystrzał z muszkietu.

- Co się, u diabła, dzieje? - zapytał, choć i tak nikt go nie mógł usłyszeć. Czyżby woźnicy mieli broń palną? Kim naprawdę są ci ludzie? Ujrzał skierowaną w swoją stronę rusznicę, muszkiet o skróconej lufie. Zanim zdążył wykonać jakikolwiek ruch, Charlie wyrwał napastnikowi broń, wycelował ją w niego i wypalił. Mężczyzna padł martwy. Mack zaklął. Za ten czyn Charliemu groził strychezek. Ktoś ponownie zaatakował Macka, ale udało mu się odskoczyć w bok. Zamachnął się pięścią, w sam podbródek, i napastnik runął na ziemię. Mack cofnął się i próbował zebrać myśli. Cała awantura wybuchła tuż pod oknami jego mieszkania. To nie przypadek. W jakiś sposób dowiedzieli się, gdzie mieszka. Kto go zdradził? Po pierwszym strzale rozległa się cała kanonada. Noc rozświetliły błyski z luf, zapach prochu mieszał się z wonią węglowego pyłu. Mack krzyknął z gniewu i rozpacz, gdy kilku rannych i zabitych węglarzy upadło na ziemię. Ich żony obwiniają za to jego, i będą miały rację. Rozpoczął coś,

nad czym nie umiał zapanować. Większość węglarzy przedostała się już na teren składu. Mieli tam pod dostatkiem brył węgla, którymi mogli ciskać w napastników. Rozpaczliwie walczyli o to, by do środka nie wdarli się woźnice i towarzyszący im ludzie. Wysokie ogrodzenie dawało ochronę przed sporadycznymi palbami muszkietów. U wjazdu do składu trwała zażarta, walka na pięści, Mack pomyślał, że jeśli uda się zamknąć wysokie wrota, awantura się skończy. Przepchnął się przez ciżbę, dotarł do ciężkiej drewnianej bramy i zaczął ją pchać. Kilkunastu węglarzy zrozumiało jego zamiary i ruszyło mu z pomocą. Olbrzymie skrzydło wrót odrzuciło kilku walczących ze sobą zajadle mężczyzn i Mack sądził już, że uda się zatrzasnąć bramę, ale w tej samej chwili zablokował ją wóz.

- Zabrać wóz! - krzyknął, ciężko łapiąc powietrze. Zabrać wóz! Z nowo rozbudzoną nadzieją spostrzegł, że jego plan okazuje się skuteczny. Zamknięta do połowy brama oddzielała walczące strony. Co więcej, pierwsze podniecenie bijatyką mijalo, a werwę walczących skutecznie gasiły odniesione obrażenia oraz widok martwych lub rannych kompanów. Powoli górę brał instynkt samozachowawczy i większość walczących szukała już tylko sposobu wycofania się z honorem. Mack pomyślał z ulgą, że za chwilę wszystko się skończy. Jeśli utarczki wygasną, zanim ktoś wezwie żołnierzy, cała awantura potraktowana zostanie jak nie mający większego znaczenia eksces i strajk w dalszym ciągu

stanowić będzie rodzaj pokojowego protestu. Dwunastu węglarzy zaczęło wywlekać wóz ze składu, a pozostali pchali wrota. Ktoś przeciął koniowi popręgi i oszalałe ze strachu zwierzę biegało teraz w kółko, rżąc i kopiąc na oślep. - Zamykać bramę, nie wycofywać się! - krzyknął Mack, gdy na ludzi zajętych zamykaniem wrót posypał się grad wielkich brył węgla. Cał po calu wypychano wóz, ale brama zamykała się irytująco powoli. I wtedy do uszu Macka dotarł odgłos, który odebrał mu wszelką nadzieję: miarowe kroki maszerującego wojska. Po Wapping High Street kroczyli gwardziści, ich białoczerwone mundury lśniły w blasku księżyca. Na czele kolumny, ściągając koniowi wodze, jechał Jay. Za chwilę spełni się to, czego pragnął: weźmie udział w akcji. Twarz miał spokojną, ale serce biło mu jak szalone. Docierał już do niego harmider wszczętej przez Lennox'a bijatyki: wrzaski walczących, rżenie koni, wystrzały z muszkietów. Nigdy jeszcze nie używał szpady i strzelby w prawdziwej bitwie dzisiaj czekał go chrzest bojowy. Wmawiał sobie, że hałasę przerazi sam widok zdyscyplinowanych i wyszkolonych żołnierzy gwardii, ale tak naprawdę wcale nie był tego pewien. Pułkownik Cranbrough wyznaczył mu to zadanie i wysłał bez asysty starszego oficera. W normalnych warunkach pułkownik sam dowodziłby oddziałem, ale obecna sytuacja była wyjątkowa, groziła poważnymi implikacjami natury politycznej, więc pułkownik wolał trzymać się na uboczu. Początkowo Jaya

ogarnęła z tego powodu radość, lecz teraz wiele dałby za to, aby mieć przy sobie doświadczonego, starszego rangą oficera, który by mu powiedział, co należy robić. Teoretycznie plan Lennox'a wydawał się bardzo prosty, ale Jay dostrzegł w nim wiele luk. Co będzie, jeśli McAsh nie wziął udziału w rozruchach? Albo jeśli zdoła zbiec z pola walki, zanim Jay go pojmie? W miarę zbliżania się do składu węgla żołnierze maszerowali coraz wolniej i Jay miał wrażenie, że kolumna pełźnie cal po calu. Na widok żołnierzy spora grupa awanturników uciekła, a inni się poukrywali. Wielu jednak w dalszym ciągu ciskało węglem. Na Jaya i jego ludzi spadł grad ciężkich czarnych brył. Wojsko bez wahania podeszło mimo to pod bramę składu i przegrupowawszy się, przyjęło postawę strzelecką. Żołnierze mogli oddać tylko jedną salwę. Stali zbyt blisko wroga, żeby starczyło im czasu na ponowne naładowanie muszkietów. Jay wznosił szpadę. Węglarze zostali uwięzieni w składzie. Wcześniej próbowali zamknąć bramę, lecz teraz już dali za wygraną i wrota ponownie stały otworem. Niektórzy usiłowali przejść przez mur, próbując uciec, inni szukali schronienia wśród stosów węgla lub kryli się za kołami wozu. Stanowili łatwy cel - jak kury w kojcu. Nieoczekiwanie na szczycie muru pojawił się McAsh, barczysta postać z twarzą oświetloną blaskiem księżyca.

- Zaczekajcie! - zawołał. - Nie strzelać! Idź do diabła, pomyślał Jay. Opuścił szpadę i krzyknął:

- Ognia! Muszkiety wypaliły z gromowym hukiem. W powietrze wzbił się siwy dym, który na chwilę skrył żołnierzy. Dziesięciu lub dwunastu węglarzy upadło. McAsh zeskoczył z muru i przyklęknął przy skrwawionym ciele jakiegoś Murzyna. Kiedy uniósł twarz, napotkał spojrzenie Jaya. Nienawiść w oczach McAsha zmroziła młodszemu Jamissonowi krew w żyłach.

- Do ataku! - krzyknął. Furia, z jaką węglarze natarli na gwardzistów, zaskoczyła go. Spodziewał się panicznej ucieczki przeciwnika, ale buntownicy, unikając ciosów szpad i luf muszkietów, rozpoczęli morderczą walkę wręcz. Używali w niej pałek, brył węgla, pięści i nóg. Jaya przeraził widok walących się na ziemię niczym snopy żołnierzy. Rozejrzał się w poszukiwaniu Macka, ale nigdzie go nie dostrzegł. Zaklął. Przede wszystkim miał aresztować McAsha. O to prosił sir Sidney, a Jay obiecał mu dostarczyć więźnia. Czyżby McAsh wymknął się z pola walki? Nagle Mack znalazł się tuż przed nim. Zamiast przed Jayem uciekać, ścigał go. Chwycił cugle konia, na którym siedział Jay. Jamisson wznosił szpadę, ale McAsh zanurkował i nieoczekiwanie znalazł się po lewej stronie wierzchowca. Jay ponownie zadał niezdarne pchnięcie, jednak chybił. McAsh podskoczył, chwycił Jaya za rękaw i pociągnął ku sobie. Kapitan próbował bezskutecznie oswobodzić rękę. Zachwiał się w siodle i w tej samej chwili McAsh potężnym szarpnięciem ściągnął go z konia. Jaya ogarnął lęk o własne życie. Udało mu się

utrzymać równowagę, ale McAsh natychmiast zacisnął mu dłoń na szyi. Jay odchylił szpadę do tyłu, lecz zanim zdążył pchnąć, McAsh wyrznął go w twarz. Jay na chwilę stracił wzrok i poczuł, że po twarzy spływa mu krew. Pchnął na oślep. Klinga szpady w coś weszła. Błysnęła mu myśl, że może jednak zranił McAsha. Ale uścisk na jego gardle wcale nie słabł. Kiedy Jayowi wróciła zdolność widzenia, spojrzał McAshowi prosto w oczy i ujrzał w nich dziką żądzę mordy. Ogarnęło go przerażenie i gdyby tylko mógł wykrztusić choć jedno słowo, z pewnością zacząłby błagać o litość. Któryś z żołnierzy spostrzegł, że dowódca jest w opałach, i zamachnął się trzymanym za lufę muszkietem. Kolba trafiła McAsha w ucho. Na chwilę uchwyt na gardle Jaya zelżał, po czym Mack ponownie zacisnął dłonie. Gwardzista znów zamachnął się muszkietem. McAsh próbował się uchylić, lecz niedostatecznie szybko i ciężka drewniana kolba z donośnym trzaskiem, który na chwilę zagłuszył zgiełk bitwy, znów trafiła go w głowę. Mimo wszystko przez ułamek sekundy Mack wzmaczał uścisk i Jay zaczynał się już dusić. Po chwili jednak oczy McAsha zmętniały, wywróciły się białkami do góry, jego ręce puściły krtań Jaya, a on sam nieprzytomny osunął się na ziemię. Jay wsparł się na szpadzie i spazmatycznie łapał powietrze. Powoli uspokajał się. Twarz paliła go żywym ogniem; miał zapewne złamany nos. Ale gdy spojrzał na rozciągniętego u swych stóp McAsha, poczuł ogromną satysfakcję.

Lizzie tej nocy nie spała. Jay oświadczył jej, że zapewne spotkają go duże kłopoty, więc siedziała w sypialni i czekała na powrót męża. Na kolanach trzymała otwartą powieść, lecz jej nie czytała. Jay wrócił do domu nad ranem - zakrwawiony, brudny i z nosem zasłoniętym opatrunkiem. Lizzie z radości, że widzi go żywego, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła do siebie, nie zważając, że brudzi sobie śnieżnobiałą jedwabną koszulę. Obudziła służbę i poleciła nanieść gorącej wody. Gdy usuwała brud z munduru, a potem myła poranione ciało męża, Jay ze szczegółami relacjonował przebieg wydarzeń. Na koniec Lizzie przyniosła mu czystą koszulę nocną. Później, gdy już leżeli w wielkim łóżu z baldachimem, Lizzie zapytała pozornie beztrosko:

- Jak myślisz, czy McAsha powieszą?**
- Mocno w to wierzę - odrzekł Jay, dotykając delikatnie palcem bandaża na nosie. - Mamy świadków, że nawoływał tłum do rozruchów i osobiście atakował oficerów. Nie wyobrażam sobie, aby w tej sytuacji jakikolwiek sędzia wydał na niego łagodny wyrok. Chociaż gdyby miał wysoko postawionych przyjaciół, sprawa zapewne przedstawiałaby się inaczej. Lizzie zmarszczyła brwi.**
- Nigdy nie był gwałtownikiem. Niesubordynowany, nieposłuszny, bezczelny, arogancki, zgoda. Ale nie dzikus. Jay nie stracił kontenansu.**
- Może masz rację. Jednak tak pokierowano sprawami, że nie miał wyboru.**

- Co masz na myśli?

- Sir Sidney Armstrong złożył potajemną wizytę w naszym magazynie, żeby rozmówić się ze mną i z ojcem. Oświadczył nam, że życzy sobie, aby McAsh został aresztowany za podżeganie do buntu.

Dokładnie nam powiedział, jak należy to zrobić. Tak więc Lennox i ja zaaranżowaliśmy te zamieszki.

Lizzie. była wstrząśnięta. Na myśl, że Mack został z premedytacją sprowokowany, poczuła się okropnie.

- Czy sir Sidney jest z ciebie zadowolony?

- O, tak. Poza tym również na pułkowniku

Cranbrough wywarł wielkie wrażenie sposob, w jaki poradziłem sobie z rozruchami. Mogę już wystąpić z wojska i odejść z armii z nieposzlakowaną opinią.

Kiedy później Jay kochał się z Lizzie, targał nią zbyt wielki niepokój, żeby mogła cieszyć się pieszczotami męża. A przecież zazwyczaj lubiła baraszkować z nim w łóżku, brać go na siebie lub wchodzić na niego, zmieniać pozycje, całować się, rozmawiać i śmiać. Jay od razu spostrzegł w niej tę zmianę.

- Jesteś jakaś nieswoja - stwierdził, gdy już skończyli.

- Bałam się, że sprawię ci ból - wyjaśniła. Jay wziął ten wykręt za dobrą monetę i niebawem zasnął.

Lizzie nie spała. Już po raz drugi do żywego poruszył ją sposób, w jaki jej mąż pojmował sprawiedliwość; w dodatku w obu przypadkach miał w tym udział Lennox. Wiedziała, że Jay nie jest człowiekiem zdeprawowanym; do zła prowadzili go inni ludzie, zwłaszcza tacy jak Lennox. Cieszyła się, że za miesiąc opuszczą Anglię. Kiedy już wejdą na pokład

żaglowca, nigdy więcej nie napotkają na swej drodze tego człowieka. Nie mogła zasnąć. W żołądku czuła lodowaty ciężar. Mack McAsh zostanie powieszony. Gdy tamtego ranka wybrała się w przebraniu do Tyburn Cross, wstrząsnął ją widok egzekucji. Myśl, że to samo spotka towarzysza jej dzieciństwa, była nie do zniesienia. Wmawiała sobie, że nie powinna tak się przejmować losem Macka. Uciekł, złamał prawo, zorganizował strajk i wziął udział w zamieszkach. Zrobił wszystko, żeby ściągnąć na swoją głowę kłopoty, i ratowanie go nie należało do jej powinności. Wszystko to niby było prawdą, a mimo to nie potrafiła zmrużyć oka. Gdy przez zasłony w oknach zaczęło przesączać się światło dnia, wstała. Postanowiła rozpocząć przygotowania do zbliżającej się podróży. Wkrótce pojawiła się służba. Lizzie poleciła przynieść wodoszczelne kufry, które wniosła w posagu, i zapakować w nie lniane obrusy, sztuce, porcelanę, szkło, garnki i kuchenne noże. Jay obudził się obolały i w złym humorze. Na śniadanie wypił tylko porcję brandy, po czym poszedł do kwater swego regimentu. Niedługo po jego wyjściu Lizzie wezwała do siebie matkę, która wciąż mieszkała w gościnnym domku na terenie posiadłości Jamissona. Obie przeszły do sypialni Lizzie i tam zaczęły składać pończochy, halki, spódnice i chustki do nosa.

- Którym statkiem popłyniecie? - zapytała lady Hallim.

- "Rosebud". Należy do sir George'a Jamissona.

- A gdy już będziecie w Wirginii... jak dostaniecie się na plantację?

- Statki morskie płyną w górę rzeki Rapahannock aż do Fredericksburga. Stamtąd jest już tylko dziesięć mil do Mockjack Hall. - Lizzie wiedziała, że matkę niepokoi długa morska podróż, jaka czeka jej córkę.

- Nie martw się, mamó, na morzach nie grasują już piraci - powiedziała uspokajająco. - Ile czasu zajmie wam przepłynięcie oceanu?

- Sześć albo siedem tygodni. Jednak byłoby tak tylko w przypadku sprzyjających warunków atmosferycznych. Jeśli niekorzystne wiatry zepchną statek z kursu, rejs może potrwać nawet trzy miesiące. A wtedy znacznie wzrośnie możliwość zachorowania. Ale ona i Jay byli młodzi, silni i zdrowi, więc nie powinno się im nic złego stać. Nie mogła już doczekać się chwili, gdy ujrzy Amerykę. Na tym nowym kontynencie wszystko będzie inne: ptaki, drzewa, jedzenie, powietrze, ludzie. Ilekroć o tym myślała, przejmował ją dreszcz emocji. W Londynie mieszkała od czterech miesięcy i z każdym dniem brytyjska metropolia budziła w niej coraz większą niechęć, a ludzie, wśród których się obracała, śmiertelnie ją nudzili. Wraz z Jayem często jadła kolacje w towarzystwie oficerów i ich żon, ale mężczyźni nieustannie rozprawiali o grze w karty i niekompetencji generałów, a kobiety interesowały się wyłącznie kapeluszymi i sprawnością służby. Lizzie nie cierpiała takich płytkich rozmów. Raz lub dwa razy w tygodniu jadal kolację na Grosvenor Square.

Tam przynajmniej rozmowy toczyły się na bardziej konkretne tematy: rozprawiano o polityce, o fali niepokojów i strajków, które tej wiosny ogarnęły Londyn. Ale widzenie spraw, jakie prezentowali Jamissonowie, było bardzo jednostronne. Sir George złorzeczył robotnikom, Robert przepowiadał katastrofę, a Jay proponował rozwiązania militarne. Nikt, nawet Alicia, nie miał na tyle wyobraźni, by spojrzeć na ten konflikt z punktu widzenia strony przeciwnej. Lizzie nie twierdziła oczywiście, że robotnicy mają prawo do strajku, niemniej przyznawała im pewne racje. Jednak podczas wytwornych kolacji na Grosvenor Square z takiej perspektywy nigdy spraw nie rozpatrywano.

- Myślę, że z ulgą wrócisz do Hallim House - powiedziała Lizzie. Matka skinęła głową.

- Jamissonowie są niezwykle uprzejmi i gościnni, ale tęsknię już za swoim domem, choć jest taki skromny. Lizzie wkładała właśnie do kufra ulubione książki awanturnicze "Robinsona Cruzoe", "Toma Jonesa" i "Rodericka Randona" - gdy do drzwi zapukał lokaj i oznajmił, że na dole czeka Caspar Gordonson. Z niedowierzaniem poprosiła o powtórzenie imienia i nazwiska gościa, ponieważ nie mieściło jej się w głowie, że Gordonson śmie zwracać się do któregokolwiek z członków rodziny Jamissonów. Zdawała sobie sprawę, że powinna odmówić spotkania z tym człowiekiem. To właśnie on popierał węglarzy i zachęcał do strajku, który szkodził interesom jej teścia. Ale, jak zwykle, górę wzięła

ciekawość i Lizzie poleciła lokajowi, aby wprowadził Gordonsona do salonu. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru okazywać gościowi uprzejmości.

- Jest pan sprawcą wielu kłopotów - oświadczyła, kiedy stanął w progu. Ku jej zaskoczeniu Gordonson nie okazał się zarozumiałym grubianinem, jak się spodziewała, lecz niechlujnym mężczyzną o oczach krótkowidza, wysokim, piskliwym głosie i manierach roztargnionego nauczyciela.

- Naprawdę nie leżało to w moich intencjach - powiedział. - To znaczy... ja, naturalnie... ale nie dla pani osobiście. - Po co pan tu przyszedł? Gdyby mój mąż był w domu, zapewne zrzuciłby pana po schodach.

- Mack McAsh został oskarżony na mocy ustawy o rozruchach i osadzony w więzieniu Newgate. Jego proces odbędzie się za trzy tygodnie w Old Bailey. Grozi mu stryczek. Choć słowa gościa wywarły na Lizzie piorunujące wrażenie, zdołała ukryć swe uczucia.

- Wiem o tym - odparła zimno. - Taka tragedia... silny, młody człowiek, który ma przed sobą całe życie.

- Musi się pani czuć winna - stwierdził Gordonson.

- Ty bezczelny durniu! - wybuchnęła gniewem. - A kto w niego wmówił, że jest wolnym człowiekiem? Kto powiedział mu, że ma jakieś prawa? Pan! To pan powinien czuć się winny! - Czuję się - odparł cicho. Zaskoczyło ją to oświadczenie, ponieważ

spodziewała się gwałtownych zaprzeczeń. W jej oczach stanęły łzy, ale zdołała nad nimi zapanować.

- Powinien był pozostać w Szkocji - powiedziała gniewnie. - Wielu oskarżonych o zbrodnie główne unika ostatecznie stryczka - próbował ją uspokoić Gordonson.

- Tak, wiem. Ciągle więc pozostaje nadzieja. - Jej nastrój trochę się poprawił. - Jak pan sądzi, czy król skorzysta z prawa łaski i daruje Mackowi życie?

- To zależy od tego, kto się za nim wstawi. W naszym systemie prawnym wpływowi przyjaciele to potęga. Oczywiście będę go bronił, lecz moje słowa niewiele znaczą. Większość sędziów mnie nienawidzi. Ale gdyby to pani za nim przemówiła...

- Nie mogę tego uczynić! - zaprotestowała gwałtownie Lizzie. - McAsha oskarża mój mąż. Byłaby to z mojej strony nielojalność.

- Może pani uratować mu życie.

- Lecz tym samym wystawiłabym Jaya na pośmiewisko.

- Nie sądzi pani, że on to zrozumie i...

- Nie! Wiem, że nie zrozumie. Żaden mąż nie zrozumiałby czegoś takiego.

- Proszę to jeszcze przemyśleć...

- Nie. Zrobię coś innego. Napiszę... - Gorączkowo szukała w myślach jakiegoś rozwiązania. - Napiszę do pana "Yorka, pastora w Heugh. Poproszę go, aby przybył do Londynu i podczas rozprawy prosił sąd o ułaskawienie Macka.

- Wiejski pastor ze Szkocji? - zdziwił się Gordonson. Nie sądzę, żeby miał jakiegokolwiek wpływu. Mogłoby pomóc jedynie pani osobiste wstawiennictwo.

- To absolutnie wykluczone.

- Nie będę się spierać... To jeszcze ugruntowałyby panią w jej postanowieniu - odparł chytrze Gordonson i podszedł do drzwi. - W każdej chwili może pani zmienić zdanie i po prostu za trzy tygodnie pojawić się w Old Bailey. Proszę nie zapominać, że od tego zależy jego życie. Wyszedł, a Lizzie wybuchnęła płaczem.

Mack przebywał w jednej ze wspólnych cel w więzieniu Newgate. Nie bardzo pamiętał, co się działo z nim zeszłej nocy. Jak przez mgłę przypominał sobie, że związano go, przerzucono przez koński grzbiet i powieszono ulicami Londynu. Kiedy dotarli na miejsce, do wysokiego budynku o zakratowanych oknach, z wyłożonym kocimi łbami dziedzińcem i bramą nabijaną żelaznymi ćwiekami, wprowadzono go do wspólnej celi. Było w niej ciemno, więc niewiele zobaczył. Pobity i zmęczony, natychmiast runął na klepisko i zasnął. Kiedy się obudził, stwierdził, że znajduje się w pomieszczeniu mniej więcej wielkości mieszkania Cory. Panowało w nim przenikliwe zimno; w oknach brakowało szyb, a palenisko było wygasłe. W celi okropnie śmierdziało. Przebywało w niej co najmniej trzydzieści osób - mężczyzn, kobiet i dzieci - oraz pies i świnia. Wszyscy spali na ziemi i korzystali ze wspólnego

ustępu. Do celi nieustannie ktoś przybywał lub ją opuszczał. Kilka kobiet wyszło z samego rana i Mack domyślił się, że nie były to więźniarki, ale żony więźniów, które przekupiły strażników, by pozwolili im spędzić noc z mężami. Dla osób, które stać było na zapłacenie niebywale wygórowanej ceny, dozorca więzienni przynosił żywność, piwo, gin i gazety. Panował nieustanny ruch. Więźniowie odwiedzali znajomych w innych celach, do jednego przyszedł kapłan, do innego fryzjer. Przebywającym w więzieniu nie przysługiwały żadne prawa, ale za pieniądze można było załatwić wszystko. Więźniowie żartowali sobie z kłopotów, w jakie wpadli, i ze śmiechem rozprawiali o swoich występkach, pili gin i palili. Owa beztroska atmosfera irytowała Macka. Jego całe ciało było obolałe, ale najbardziej doskwierała mu głowa. Na potylicy miał potężny guz pokryty zakrzepłą krwią. Ogarnął go beznadziejnie ponury nastrój. Nic mu nie wyszło. Uciekł z Heugh, bo chciał być wolny, a siedzi w więzieniu. Walczył o prawa węglarzy i kilkunastu z nich zabito. Stracił Corę. Zostanie oskarżony o zdradę, zorganizowanie zamieszek, a może nawet o morderstwo. Najprawdopodobniej czeka go szubienica. Wielu ze znajdujących się w celi ludzi również miało powody do głębokiego niepokoju, ale zapewne byli za głupi, żeby zrozumieć, jaki los ich czeka. Teraz już nieszczęsna Esther nigdy nie opuści wioski. Żałował, że nie zabrał jej ze sobą. Mogła się przebrać za mężczyznę, tak jak zrobiła to Lizzie Hallim. Łatwiej

radziłyby sobie z pracą na statku, ponieważ była zwinniejsza od Macka, a jej zdrowy rozsądek uchroniłby go od wielu kłopotów. Miał nadzieję, że Annie powije chłopca - wtedy pozostałby na świecie jakiś Mack. Życie Macka Lee będzie zapewne szczęśliwsze i dłuższe niż życie Macka McAsha. Kiedy tak nad tym wszystkim rozmyślał, strażnik otworzył drzwi do celi i w progu stanęła Cora. Miała brudną twarz i podartą suknię, ale jak zwykle wyglądała zachwycająco. Wszyscy mieszkańcy celi odwrócili głowy w jej stronę. Mack zerwał się z klepiska i przygarnął dziewczynę do siebie. Inni więźniowie zaczęli wiwatować.

- Co ci się przytrafiło? - zapytał.

- Przyłapano mnie na kradzieży kieszonkowej... ale to z twojego powodu.

- Jak to?

- Zastawili pułapkę. Ten człowiek wyglądał jak każdy inny bogaty i pijany młodzieniec, lecz był to Jay Jamisson. Przyłapano nas na gorącym uczynku i zaprowadzono do jego ojca. Za takie kradzieże karze się stryczkiem. Ale Peg obiecano ułaskawienie, jeśli wyjawi, gdzie mieszkasz. Macka ogarnął gniew za tak perfidną zdradę, jednak natychmiast wytłumaczył sobie, że Peg to jeszcze dziecko i trudno ją winić za cokolwiek.

- Więc to w taki sposób trafili na mój ślad... -

mruknął. - A co się działo z tobą? - zapytała Cora.

Opowiedział o zamieszkach. Gdy skończył, dziewczyna wykrzyknęła:

- Jezu Chryste, McAsh, niebezpiecznie jest się z tobą zadawać! To prawda, pomyślał. Na każdego, kto miał z nim kiedykolwiek do czynienia, spadały same nieszczęścia.

- Charlie Smith nie żyje - powiedział, ale Cora zignorowała tę wiadomość.

- Musisz porozmawiać z Peg - odrzekła. - Biedactwo boi się, że ją znienawidzisz.

- Nienawidzę sam siebie za to, że wciągnąłem ją w to wszystko - stwierdził. Cora wzruszyła ramionami.

- Nie namawiałeś jej przecież do kradzieży. Chodź. Załomotała w drzwi i w progu natychmiast pojawił się strażnik. Wręczyła mu monetę i wskazała kciukiem Macka.

- On idzie ze mną - oświadczyła. Dozorca skinął głową i wypuścił ich z celi. Poprowadził więźniów korytarzem do innego pomieszczenia, podobnego do tego, które opuścili. W kącie na podłodze siedziała Peg. Na widok Macka zerwała się, a na jej twarzy pojawił się strach.

- Wybacz - powiedziała. - Zmusili mnie do tego. Wybacz!

- To nie twoja wina - odparł Mack. Oczy Peg wypełniły się łzami.

- Zdradziłam cię - szepnęła.

- Nie bądź niemądra - mruknął i wziął ją w ramiona. Dziewczynka rozplakała się i przytuliła do niego. Caspar Gordonson przybył z daniami godnymi wystawnego bankietu: zupą rybną w wielkiej wazie, ogromnym kawałem wołowiny, świeżym chlebem,

puddingiem oraz kilkoma garncami piwa ale. Zapłacił dozorca, a ten zaprowadził Macka, Corę i Peg do oddzielnego pomieszczenia, gdzie był stół i krzesła. Mack czuł wprawdzie głód, ale nie miał apetytu. Znadto dręczyła go niepewność co do losu, jaki go czekał. Chciał wiedzieć, co Gordonson sądzi o jego szansach podczas procesu, opanował jednak zniecierpliwienie i wypił kilka łyków piwa. Gdy skończyli posiłek, służący Gordonsona sprzątnął ze stołu i przyniósł tytoń oraz fajki. Gordonson zapalił. To samo zrobiła Peg, która zasmakowała już w nałogach dorosłych. Gordonson zaczął od omówienia sytuacji dziewczynki i Cory. - Rozmawiałem z prawnikiem Jamissonów o oskarżeniu o kradzież kieszonkową. Sir George obiecał mi, że wstawi się za Peg.

- Uważaj - mruknął Mack. - Jamissonowie nie mają zwyczaju dotrzymywać dawanego słowa.

- To prawda, ale teraz chcą czegoś w zamian - powiedział Gordonson. - Widzisz, byłoby dla nich bardzo krępujące, gdyby Jay musiał zeznać przed sądem, że zaczepił Corę sądząc, że to prostytutka. Zamierzam więc oświadczyć, że to ona zatrzymała go na ulicy, a gdy z nią rozmawiał, Peg próbowała przeszukać mu kieszenie.

- Mamy trzymać się tej wersji, żeby ochronić reputację Jaya - wtrąciła pogardliwie Peg.

- Jeśli chcesz, żeby sir George wstawił się za tobą, to tak, trzeba to zrobić.

- Nie mamy wyboru - potwierdziła Cora. -
Naturalnie, tak będziemy zeznawały.
- W porządku - odparł Gordonson i zwrócił się do Macka: - Chciałbym, żeby i twoja sprawa była tak prosta.
- Przecież nie wszczynałem zamieszek - powiedział Mack.
- Jednak po odczytaniu ustawy o rozruchach nie opuściłeś miejsca zajęć.
- Na Boga... próbowałem wzywać węglarzy do rozejścia się, ale zaatakowały mnie draby Lennox.
- Rozpatrzmy wszystko krok po kroku - zaproponował Gordonson. Mack głęboko odetchnął i opanował rozdrażnienie.
- No dobrze - mruknął.
- Oskarżyciel powie po prostu, że odczytano ustawę o rozruchach, ale ty nie odszedłeś. Jesteś zatem winien i należy cię powiesić.
- Przecież wszyscy wiedzą, że to tylko pół prawdy!
- Oczywiście. I na tym właśnie polegać będzie twoja obrona. Oświadczysz, że oskarżyciel nie powiedział wszystkiego. Czy masz świadków, którzy potwierdzą, że wzywałeś tłum do rozejścia się?
- Pewnie. Dermot Riley może sprowadzić wszystkich węglarzy. Ale powinniśmy też zapytać Jamissonów, dlaczego węgiel dostarczono właśnie do tego składu, i to właśnie tej nocy! Zniecierpliwiony Mack zaczął bębnić palcami po stole. - Musimy też powiedzieć, że zamieszki zostały wywołane celowo dodał.

- To będzie trudno udowodnić - mruknął prawnik. Macka rozgniewała tak ustępliwa postawa Gordonsona.

- Wiesz doskonale, że te zamieszki to był spisek. Naprawdę nie zamierzasz wyciągnąć tego podczas rozprawy? Jeśli nie ujawni się tego w sądzie, to gdzie?

- Panie Gordonson, czy będzie pan na procesie? - wtrąciła Peg.

- Tak... ale sędzia może nie udzielić mi głosu.

- Na Boga, dlaczego? - zapytał oburzony Mac.

- Bo teoretycznie, skoro jesteś niewinny, nie potrzebujesz prawnika, żeby to udowodnić. Ale czasami sędziowie robią wyjątki.

- Miejmy nadzieję, że mój sędzia będzie łaskawy - odrzekł z niepokojem Mack.

- Sędzia powinien pomagać oskarżonemu. Jego obowiązkiem jest zapewnienie ławy przysięgłych, iż obrona przeprowadzona została uczciwie. Ale nie licz na to. Licz raczej na szczerą prawdę. Tylko ona może wyrwać cię z rąk kata.

W dniu rozprawy więźniów obudzono o piątej rano. Kilka minut później pojawił się Dermot Riley z ubraniem dla Macka; był to jego własny ślubny strój. Dostarczył też brzytwę i kawałek mydła. Pół godziny potem Mack był gotów stanąć przed obliczem sędziego. McAsh, Cora, Peg i piętnastu czy dwudziestu innych więźniów zostali związani i wyprowadzeni z celi. Newgate Street dotarli do

bocznej ulicy noszącej nazwę Old Bailey, przy której znajdował się budynek sądu. Czekał już tam na nich Caspar Gordonson. Wyjaśnił Mackowi dokładnie, kto jest kto. Na dziedzińcu przed budynkiem kłębił się tłum: oskarżyciele, świadkowie, sędziowie przysięgli, prawnicy, przyjaciele i członkowie rodzin oskarżonych, przypadkowi przechodnie, a zapewne też prostytutki i złodzieje, którzy pojawili się tam, znęcani możliwością łatwego zarobku. Więźniów skierowano do bramy wiodącej do Bail Dock. Pomieszczenie, do którego weszli, było już wypełnione innymi oskarżonymi, dostarczonymi z więzień Fleet, Bridewell i Ludgate. Kamienne schody prowadziły do ograniczonej z jednej strony kolumnadą sali na parterze. Na wysokim podium stała ława głównego sędziego, a naprzeciwko znajdowała się bariera oddzielająca miejsca sędziów przysięgłych oraz balkony dla urzędników sądowych i uprzywilejowanych widzów. Przypominało to Mackowi teatr - ale w tym przedstawieniu to jemu przypadła rola łotra. Z ponurą miną obserwował, jak sędziowie zaczynają długi, zmudny dzień pracy. Pierwsza sądzona była kobieta oskarżona o próbę kradzieży piętnastu jardów taniej tkaniny wełnianobawełnianej. W charakterze oskarżyciela występował sam właściciel sklepu; wartość materiału oszacował na piętnaście szylingów. Świadek, sprzedawca, zeznał, że kobieta zdjęła z półki sztukę tkaniny i ruszyła z nią do drzwi. Gdy się zorientowała, że obserwuje ją pracownik sklepu,

rzuciła towar i zaczęła uciekać. Oskarżona przysięgała, że chciała jedynie obejrzeć materiał i nie miała zamiaru go kraść. Ławnicy - wszyscy wywodzący się z klasy średniej - udali się na naradę. Byli to drobni kupcy, rzemieślnicy i właściciele sklepów. Nienawidzili bałaganu i złodziejstwa, jednak nie dowierzali też rządowi i zazdrośnie strzegli wolności - w każdym razie własnej. Uznali oskarżoną za winną, ale wartość skradzionego materiału ocenili na cztery szylingi - znacznie mniej, niż w rzeczywistości był wart. Gordonson wyjaśnił Mackowi, że za kradzież towaru droższego niż pięć szylingów grozi szubienica. Wydając zatem taki werdykt, ławnicy nie musieli skazywać kobiety na śmierć. Jednak wyroku nie ogłoszono od razu. Orzeczenie miano odczytać dopiero pod koniec dnia. Wszystko to zajęło nie więcej niż kwadrans. Następną sprawę rozpatrzono równie szybko. Kilka kolejnych trwało trochę dłużej. Corę i Peg sądzono wczesnym popołudniem. Choć Mack wiedział, że wyrok w ich sprawie został z góry ustalony, trzymał kciuki, żeby wszystko odbyło się zgodnie z planem. Jay Jamisson zeznał, że Cora sama zaczepiła go na ulicy, zajęła rozmową i w tym czasie Peg próbowała ukraść mu portfel. Powołał się na świadectwo Sidneya Lennox, który widział całe zajście i ostrzegł Jaya. Cora i Peg potwierdziły tę wersję. Zaraz potem pojawił się sir George. Zaświadczył, iż obie oskarżone okazały się kiedyś bardzo pomocne w innym śledztwie, i prosił sędziego nie o wyrok

śmierci, lecz o deportację. Sędzia ze zrozumieniem skinął głową, ale werdykt i tak miał zostać ogłoszony dopiero po zamknięciu sesji. W kilka minut później wywołano sprawę Macka.

Lizzie przez cały czas myślała tylko o rozprawie sądowej McAsha. Obiad zjadła o trzeciej, a ponieważ Jay cały dzień miał spędzić w sądzie, przy stole towarzystwa dotrzymywała jej matka.

- Utyłaś, moja droga - stwierdziła lady Hallim. - Czyżbyś ostatnio za dużo jadła?

- Wprost przeciwnie - odparła Lizzie. - Gdy patrzę na jedzenie, często robi mi się niedobrze. Jestem zbyt podniecona wyjazdem do Wirginii. A teraz jeszcze ten przerażający proces...

- To nie twój kłopot - powiedziała lady Hallim. - Rokrocznie wieszają tuziny ludzi za znacznie mniejsze przewinienia. Nie mogą przecież darować winy McAshowi tylko dlatego, że znaleście się w dzieciństwie.

- A skąd ty wiesz, że w ogóle dopuścił się jakiegokolwiek przestępstwa?

- Jeśli nic złego nie zrobił, zostanie uniewinniony. Jestem przekonana, że potraktują go tak samo, jak innych głupców, którzy wplątali się w zamieszki.

- Ależ on w nic się nie wplątał - sprzeciwiła się Lizzie. Zamieszki celowo sprowokowali Jay i sir George, żeby aresztować Macka i zakończyć strajk węglarzy. Wiem to od samego Jaya.

- Jestem pewna, że działali w dobrych intencjach. W oczach Lizzie pojawiły się łzy.
- Mamo, czy ty naprawdę uważasz, że to w porządku?
- Uważam, że nie jest to ani moja, ani twoja sprawa odparła zdecydowanie matka. Pragnąc ukryć swą rozpacz, Lizzie zjadła łyżeczkę deseru - były to konfitury jabłkowe - ale zemdlilo ją i odsunęła talerzyk.
- Caspar Gordonson utrzymuje, że gdybym wstawiła się przed sądem za Mackiem, mogłabym ocalić mu życie - powiedziała cicho.
- Niech cię Pan Bóg broni! - wykrzyknęła poruszona matka. - Występować przed publicznym sądem przeciwko własnemu mężowi? Ani mi się waź!
- Ależ tu chodzi o życie człowieka! Pomyśl o jego nieszczęsnej siostrze. Wyobrażasz sobie jej rozpacz, gdy go powieszają?
- Moja droga, oni są kimś innym niż ty czy ja. Są prostymi górnikami i nie cierpią tak bardzo jak my. Jego siostra po prostu upije się ginem, a potem wróci do sztolni.
- Mamo, chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz.
- No, może trochę przesadziłam. Ale jestem przekonana, że nie powinnaś się tak przejmować tą sprawą.
- Nie potrafię. Mack jest młodym, odważnym człowiekiem, który tylko bardzo pragnął wolności. Nie mogę znieść myśli, że go powieszają.
- Możesz się za niego modlić.

- Modlę się... - odparła Lizzie. - Modlę się.

Oskarżycielem był prawnik Augustus Pym.

- Wykonuje wiele zleceń dla rządu - szepnął Mackowi do ucha Gordonson. - Musieli mu dobrze zapłacić za rolę oskarżyciela na tym procesie. A zatem to rząd chce, żeby mnie powieszono, pomyślał Mack i zupełnie upadł na duchu. Gordonson zbliżył się do ławy głównego sędziego.

- Skoro oskarżycielem jest zawodowy prawnik, czy mogę występować jako obrońca Macka McAsha? - zapytał.

- Nie - odparł sędzia. - McAsh musi sam przekonać ławę przysięgłych, że jest niewinny. Mack poczuł, że zasycha mu w gardle, a serce wali mu jak oszalałe. Musiał samodzielnie walczyć o życie. No cóż, będzie zatem walczył do upadłego. Pym zaczął:

- Sprawa dotyczy dnia, w którym dostarczono węgiel do składu na Wapping High Street. Jego właścicielem jest pan Jack Cooper, znany pod przydomkiem Black Jack.

- Było to prawie w nocy, a nie w dzień - wtrącił Mack.

- Proszę powstrzymać się od głupich uwag - przerwał mu sędzia.

- To nie jest głupia uwaga - sprzeciwił się Mack. - Kto słyszał, żeby węgiel dostarczano do składu o jedenastej wieczorem?

- Proszę się uspokoić. Niech pan kontynuuje, panie Pym.

- Dostawcy węgla zostali zaatakowani przez grupę strajkujących węglarzy. Natychmiast zaalarmowano władze Wapping. - Kto je zaalarmował? - zapytał Mack.

- Właściciel gospody "Patelnia" - wyjaśnił Pym. - Pan Harold Nipper.

- Pośrednik - powiedział Mack.

- I szanowany kupiec - oświadczył sędzia.

- Zaraz potem na miejscu zdarzeń pojawił się pan Roland MacPherson, sędzia pokoju, i uznał to za rozruchy - ciągnął Pym. - Ale węglarze nie chcieli się rozejść.

- Zostaliśmy zaatakowani! - przerwał mu Mack. Zignorowano jego słowa.

- Pan MacPherson wezwał żołnierzy, co było jego prawem i obowiązkiem. Przybył trzeci oddział gwardii, którym dowodził kapitan Jamisson. Wśród aresztowanych znalazł się również oskarżony. Pierwszym świadkiem Korony jest Jack Cooper. Black Jack zeznał, iż udał się do Rochester po zakup węgla, który tam wyladowywano. Do Londynu dostarczył go wozami.

- Do kogo należał statek? - zapytał Mack.

- Nie wiem. Rozmawiałem tylko z kapitanem.

- Skąd przyłynął?

- Z Edynburga.

- Czy statek należał do sir George'a Jamissona?

- Nie wiem.

- Kto panu powiedział, że w Rochester można kupić węgiel?

- **Sidney Lennox.**
- **Przyjaciel Jamissonów?**
- **Nic mi o tym nie wiadomo. Kolejnym świadkiem Pyma był Roland MacPherson. Sędzia pokoju oświadczył, iż kwadrans po dwudziestej trzeciej odczytał ustawę o rozruchach, ale mimo to tłum nie chciał się rozejść. - Pojawił się pan tam bardzo szybko - stwierdził Mack.**
- **Dosyć szybko.**
- **Kto pana wezwał?**
- **Harold Nipper.**
- **Właściciel "Patelni"?**
- **Tak.**
- **Czy musiał daleko iść?**
- **Nie rozumiem...**
- **Gdzie pan przebywał w chwili, gdy pana wezwał?**
- **Na zapleczu jego gospody.**
- **No proszę! Czy to było zaplanowane?**
- **Wiedziałem, że ma być dostawa węgla, i przewidywałem tumult.**
- **Kto panu o tym powiedział?**
- **Sidney Lennox.**
- **No, no - mruknął jeden z sędziów przysięgłych. Mack spojrzał w jego stronę. Był to młody mężczyzna o sceptycznym wyrazie twarzy, i Mack pomyślał, że ten człowiek trzyma jego stronę. Na końcu Pym wezwał Jaya Jamissona. Jay mówił swobodnie, a ławnicy sprawiali wrażenie lekko znudzonych, jakby w gronie przyjaciół roztrząsali jakiś mało istotny problem. Mack miał ochotę**

krzyknąć: "Nie bądźcie tacy nonszalancy! Tu chodzi o moje życie!" Jay zeznał, że sprawował dowództwo nad oddziałem gwardzistów w londyńskiej Tower.

- Coście tam robili? - zapytał sceptycznie nastawiony ławnik. Młody Jamisson popatrzył na niego wyraźnie zaskoczony.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - rzekł z naciskiem sędzia przysięgły. Jay popatrzył na głównego sędziego, który - najwyraźniej zaniepokojony postawą ławnika - odezwał się z niechęcią:

- Musi pan, kapitanie, odpowiedzieć na pytanie ławy przysięgłych.

- Postawiono nas w stan gotowości bojowej - wyjaśnił Jay. - Po co? - zapytał przysięgły.

- Żeby w razie potrzeby utrzymać spokój we wschodnich rejonach miasta.

- Czy tam właśnie znajdują się wasze koszary? - chciał wiedzieć sędzia przysięgły.

- Nie.

- A zatem gdzie?

- Obecnie w Hyde Park.

- Po drugiej stronie Londynu?

- Tak.

- Na jak długo wysłano was do Tower?

- Tylko na jedną noc.

- Dlaczego akurat na tę noc?

- Sądzę, iż starsi rangą oficerowie przewidywali rozruchy węglarzy.

- Zapewne ostrzegł ich Sidney Lennox - stwierdził sędzia przysięgły i po sali przeszła fala śmiechu. Pym kontynuował przesłuchanie Jaya. Młody Jamisson oświadczył, że gdy przybył z żołnierzami do składu węgla, zamieszki trwały już od jakiegoś czasu, co zresztą było prawdą. Zrelacjonował, jak Mack go zaatakował - to również była prawda i w jaki sposób jeden z żołnierzy powalił oskarżonego.

- A co sądzi pan o węglarzach, którzy wszczęli zamieszki? - zapytał Jaya Mack.

- Złamali prawo i winni ponieść karę.

- Sądzi pan też, że owe zamieszki zwrócą mieszkańców Londynu przeciw węglarzom?

- Jestem tego pewien.

- A zatem rozruchy dały władzom okazję do zastosowania drastycznych środków w celu zakończenia strajku? Niewątpliwie. Siedzący za plecami Macka Caspar Gordonson mruknął:

- Wspaniale, wpadł prosto w zastawione przez ciebie sidła. - Więc skoro strajk jest już skończony, to należące do rodziny Jamissonów statki z węglem będą mogły być bez przeszkód rozładowywane, a węgiel sprzedawany. Jay spostrzegł, w jakim kierunku zmierza to przepytywanie, ale było już za późno.

- Tak.

- Zatem zakończenie strajku przyniosło panu masę pieniędzy?

- Sprawilo, że moja rodzina przestała je tracić.

- I dlatego nawiązał pan kontakt z Sidneyem Lennoxem, który pomógł panu zdławić ten strajk? - zapytał Mack.

- To nie tak - zaprotestował Jay, ale Mack już na niego nie patrzył.

- Powinieneś być zostać prawnikiem, Mack - oświadczył Gordonson. - Gdzieś się nauczył tak dyskutować?

- W saloniku pani Wheighel. Pym nie miał więcej świadków.

- Czy nie wysłuchamy tego Lennox? - zapytał sceptycznie nastawiony sędzia.

- Korona nie ma więcej świadków - odparł Pym.

- Mimo to sądzę, że należałoby go wezwać. Wydaje się, że to właśnie on za wszystkim stoi.

- Sędziom przysięgłym nie przysługuje prawo powoływania świadków - wyjaśnił sędzia. Na pierwszego świadka Mack wezwał irlandzkiego węglarza, nazywanego z powodu ognistych rud czupryny Czerwonym Michael. Michael opowiedział, jak Mack prawie przekonał węglarzy, że powinni rozejść się do domów, gdy został zaatakowany. Kiedy skończył, sędzia zapytał:

- Czym się zajmujesz, młody człowieku?

- Jestem węglarzem - odparł Michael.

- Sędziowie przysięgli rozważą, czy pańskie słowa są wiarygodne - oświadczył sędzia. Mackowi zamarło serce. Przewodniczący sądu robił wszystko, żeby negatywnie nastawić do niego ławę przysięgłych. Mack wezwał kolejnego świadka, też niestety

węglarza. Jego oświadczenie spotkało się z podobnym przyjęciem jak zeznanie Michaela. Trzeci i ostatni świadek również był węglarzem. Mack powołał tych ludzi, ponieważ byli w samym środku zajścia i dokładnie widzieli, co się wydarzyło. Jednak oświadczenia powołanych przez Macka świadków nie miały najmniejszego znaczenia. Był zdany wyłącznie na siebie, na siłę swej osobowości i wymowy.

- Praca węglarzy jest ciężka, zabójczo ciężka - zaczął. Mogą ją wykonywać jedynie ludzie młodzi i silni. Jest przy tym dobrze płatna. W pierwszym tygodniu pracy zarobiłem sześć funtów. Zarobiłem, ale niewiele z tego dostałem, bo większość tych pieniędzy skradł mi przedsiębiorca.

- To nie należy do sprawy - przerwał mu sędzia. - Zostałeś oskarżony o nawoływanie do zamieszek.

- Nie nawoływałem do żadnych zamieszek - odparł Mack. Zacerpnął tchu, zebrał myśli i mówił dalej: - Po prostu nie chciałem, żeby przedsiębiorca kradł moje zarobki. To przestępstwo. Przedsiębiorcy bogacą się, okradając węglarzy. Ale gdy węglarze próbują założyć własne przedsiębiorstwo, co się dzieje? Są bojkotowani przez właścicieli statków. A do kogo należą statki, panowie? Do rodziny Jamissonów, uczestniczącej w tym procesie.

- Czy potrafisz udowodnić, że nie nawoływałeś do zamieszek? - zapytał poirytowany sędzia.

- Przecież to oczywiste, że ktoś inny podburzał tych ludzi wtrącił sceptycznie nastawiony ławnik. Mack

nie zwrócił uwagi na jego słowa i po prostu mówił dalej to, co zamierzał powiedzieć:

- Sędziowie przysięgli, zadajcie sobie kilka pytań. -

Odwrócił się od sędziów i popatrzył prosto na Jaya. -

Kto polecił, aby dostarczyć wozy z węglem na Wapping High Street w porze, gdy gospody są pełne węglarzy? Kto skierował je do składu, nad którym mieszkam? Kto zapłacił eskortie tych wozów? -

Sędzia próbował przerwać Mackowi, ale on perorował dalej: - Kto uzbroił ich w muszkiety i dał amunicję? Kto sprawił, że w bezpośrednim sąsiedztwie zająć kwaterowało wojsko? Kto sprowokował rozruchy? -

Znów odwrócił się w stronę ławy przysięgłych. - Znacie, panowie, odpowiedzi na te pytania, prawda? - zapytał. Chwilę jeszcze spoglądał na członków ławy, po czym skierował wzrok na głównego sędziego. Zrobił

wszystko, co mógł, i teraz już jego los spoczywał w rękach innych. Gordonson wstał i oświadczył:

- Spodziewamy się przybycia bardzo ważnego świadka, wielebnego Yorka, pastora z wioski, w której przyszedł na świat McAsh. Ale świadek nie dotarł jeszcze do Londynu. Tym akurat Mack przejmował się najmniej, ponieważ, podobnie jak Gordonson, nie spodziewał się, aby oświadczenie Yorka wywarło na sędziach większe wrażenie.

- Jeśli przybędzie przed ogłoszeniem wyroku, wysłuchamy go z uwagą - powiedział sędzia.

Gordonson uniósł brwi, a sędzia dodał: - Nie muszę chyba zaznaczyć, iż jeśli ława przysięgłych uzna

oskarżonego za niewinnego, dodatkowe zeznania okażą się zbędne. Panowie, wydajcie werdykt. Mack z obawą spoglądał na konferujących ławników. Ku swemu przerażeniu stwierdził, że sędziowie przysięgli nie sprawiają wrażenia ludzi mu przychylnych. Może jego wystąpienie było za ostre? - I co o tym sądzisz? - zwrócił się do Gordonsona.

Prawnik potrząsnął głową.

- Trudno im uwierzyć, że rodzina Jamissonów zawiązała z Sidneyem Lennoxem tak nikczemny spisek. Lepiej byś zrobił, gdybyś przedstawił węglarzy jako ludzi kierujących się dobrymi intencjami, ale omamionych.

- Musiałem powiedzieć prawdę - odparł Mack. - Nic na to nie poradzę. Gordonson uśmiechnął się ze smutkiem.

- Gdybyś miał inny charakter, nie sprowadziłbyś sobie na głowę takich kłopotów. Sędziowie najwyraźniej się sprzeczekali.

- O czym oni gadają? - zapytał Mack. - Chciałbym to wiedzieć. Widział, jak sceptycznie nastawiony ławnik, wymachując rękami, tłumaczy coś swoim kolegom, i zastanawiał się, jaką decyzję podejmą.

- Dziękuj losowi - mruknął Gordonson. - Im dłużej się spierają, tym lepiej dla ciebie.

- Dlaczego?

- Bo jeśli się spierają, to mają wątpliwości. A jeśli mają wątpliwości, muszą uznać twoją niewinność. W tym momencie sceptycznie nastawiony sędzia wzruszył ramionami i odwrócił się. Mack

podejrzewał, że nie zdołał przekonać pozostałych. Przewodniczący ławy powiedział coś do niego, a on skinął głową. Przewodniczący zbliżył się do głównego sędziego.

- Czy uzgodniliście panowie werdykt? - zapytał tamten.

- Tak. Mack wstrzymał oddech.

- Jakie jest wasze orzeczenie?

- Winny zarzucanych mu czynów.

- Żywisz osobliwe uczucia względem tego górnika, moja droga - odezwała się lady Hallim. - Twemu mężowi może się to nie spodobać.

- Och, mamó, nie bądź śmieszna. Rozległo się pukanie do drzwi i w progu pojawił się lokaj. -

Przybył wielebny pan York, proszę pani - zaanonsował.

- Ach, cóż za miła niespodzianka! - wykrzyknęła lady Hallim. Pastor York zawsze był jej ulubieńcem. - Lizzie, czy wspominałam ci, że umarła mu żona? - dodała cicho. Zostawiła go z trójką dzieci.

- Co on tutaj robi? - zapytała z niepokojem Lizzie. Powinien przecież być w Old Bailey. Natychmiast go wprowadź - poleciła lokajowi. W progu pojawił się pastor. Sprawiał wrażenie kogoś, kto ubierał się w wielkim pośpiechu. Zanim Lizzie zdążyła zapytać, dlaczego nie jest na rozprawie, powiedział coś, co natychmiast oderwało jej myśli od Macka.

- Lady Hallim, pani Jamisson, przyjechałem do Londynu kilka godzin temu i najszybciej jak mogłem

przybyłem do was z wyrazami współczucia. Cóż za przerażający...

- Nie... - zaczęła matka Lizzie, ale zaraz zacięła usta.

- ...przerażający dla was cios - dokończył pastor.

Lizzie popatrzyła ze zdziwieniem na matkę.

- O czym pan mówi, panie York? - zapytała.

- Oczywiście o katastrofie w sztolni.

- O niczym nie wiem... A moja matka...

- W pani sztolni nastąpił zawał. Zginęło dwadzieścia osób. Lizzie gwałtownie wciągnęła w płuca powietrze.

- Dobry Boże! - Oczyma wyobraźni ujrzała na niewielkim cmentarzu przykościelnym obok mostu dwadzieścia świeżych mogił. W wiosce musiała panować żałoba. Każdy sąsiad kogoś oplakiwał. Ale zaniepokoiło ją coś innego. - Co miał pan na myśli mówiąc "moja sztolnia"? - zapytała.

- Kopalnia w High Glen. Lizzie znieruchomiała.

- Przecież w High Glen nie ma sztolni.

- Mówię oczywiście o nowej... tej, którą zaczęto kopać już po pani zamążpójściu. Lizzie ogarnął gniew. Odwróciła się do matki.

- Wiedziałaś o tym, prawda? Na twarzy lady Hallim pojawił się wyraz zakłopotania.

- Moja droga, nie mogłam inaczej postąpić. To dlatego sir George podarował wam posiadłość w Wirginii...

- Zdradziłaś mnie! - wykrzyknęła Lizzie. - Oszukałaś mnie! Podobnie jak mój mąż. Jak mogłaś tak

postąpić? Jak mogłaś mnie okłamywać? Matka wybuchnęła płaczem.

- Pomyśleliśmy, że lepiej będzie, jeśli na razie o niczym nie będziesz wiedziała. Wybierałaś się do Ameryki... - powiedziała łkając. Ale jej łzy nie wzruszyły Lizzie.

- Myślałaś, że nigdy się o tym nie dowiem? Nie wierzę własnym uszom!

- Błagam, nie rób nic pochopnie. Lizzie poraziła nagle straszna myśl. Odwróciła się do pastora. - A siostra Macka...? - zapytała.

- Obawiam się, że Esther McAsh również poniosła śmierć.

- Och, nie! Mack i Esther byli pierwszymi bliźniakami, jakich Lizzie widziała w życiu, i rodzeństwo bardzo ją interesowało. W dzieciństwie trudno było ich od siebie odróżnić. Później Esther stała się kobiecą repliką Macka, z identycznymi zielonymi oczami i podobnie jak u brata rozwiniętymi mięśniami, cechą charakterystyczną wszystkich górników. Lizzie przypomniała sobie, jak przed niewieloma miesiącami rodzeństwo stało obok siebie przed kościołem i Esther kazała bratu zamknąć pysk, co Lizzie bardzo rozśmieszyło. Teraz Esther nie żyła, a Mackowi groziła kara śmierci.

- Dziś jest rozprawa - przypomniała pastorowi.

- Och, mój Boże! Nie wiedziałem, że to już dzisiaj... Czy się spóźniłem?

- Jeśli natychmiast uda się pan do sądu, chyba pan zdąży. - Już jadę. Czy to daleko?

- Piętnaście minut piechotą, pięć minut powozem. Będę panu towarzyszyć.

- Nie, proszę... jęknęła matka.

- Nie próbuj mnie nawet zatrzymać, matko - powiedziała szorstko Lizzie. - Osobiście wstawię się za Mackiem. Zabiliśmy mu siostrę... może więc przynajmniej uratujemy jego samego. - Idę z wami - oświadczyła lady Hallim. W budynku sądu panował niesamowity ścisk. Lizzie czuła się oszołomiona, zagubiona w tłumie i ani obecność Yorka, ani matki nie mogła dodać jej otuchy. Przepchnęła się przez tłum, wypatrując Gordonsona lub Macka. Podeszła do niskiego murku otaczającego wewnętrzny dziedziniec i przez balustradę dostrzegła wreszcie McAsha i Caspara Gordonsona. Zawołała ich i prawnik natychmiast stanął w bramie. W tej samej chwili pojawili się sir George i Jay.

- Lizzie, co ty tutaj robisz? - zgromił żonę Jay. Puściła mimo uszu jego pytanie i zwróciła się do Gordonsona: - To wielebny York z naszej wioski w Szkocji. Przybył tu, aby wstawić się za Mackiem. Sir George popatrzył na Yorka.

- Jeśli ma pan choć krztynę zdrowego rozsądku, niech pan robi natychmiast w tył zwrot i wraca do tej swojej Szkocji - mruknął.

- Ja również zamierzam prosić o łaskę dla Macka - oświadczyła Lizzie.

- Och, dziękuję! - wykrzyknął żarliwie Gordonson. - To najlepsze, co może pani uczynić.

- Sir George, robiłam wszystko, żeby ją powstrzymać odezwała się lady Hallim. Jay poczerwieniał z gniewu, chwycił żonę za ramię i mocno ścisnął.

- Jak śmiesz mnie tak upokarzać? - wymamrotał ze złością. - Zabraniam ci odzywać się nawet słowem.

- Czyżby próbował pan zastraszyć świadka? - zapytał Gordonson. W tym momencie przez tłum przepchnął się w ich stronę prawnik, niosący pod pachą plik papierów.

- Czy musimy dyskutować o tym w miejscu, gdzie wszyscy mogą nas słyszeć? - zapytał Jay.

- Tak - odparł Gordonson. - Nie możemy opuścić sądu.

- Dziewczyno, jaki diabeł cię opętał? - zapytał swoją synową sir George. Arogancki ton jego głosu doprowadził Lizzie do furii.

- Do licha, sam najlepiej wiesz, o co mi chodzi - odparła ostro. Dwie czy trzy stojące nie opodal osoby popatrzyły w jej stronę, ale ona nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. - Zaplanowaliście zamieszki, żeby złapać McAshę w pułapkę. Nie zamierzam stać na uboczu i patrzeć, jak go wieszacie. Sir George poczerwieniał.

- Nie zapominaj, że jesteś żoną mojego syna - powiedział. - Zamknij się, George - przerwała mu. - Nie dam się zastraszyć. W sir George'a jakby piorun strzelił. Lizzie była pewna, że jeszcze nikt nie powiedział do niego "zamknij się". Jay stanął w obronie ojca.

- Nie możesz wystąpić przeciw własnemu mężowi oświadczył gwałtownie. - Byłoby to nielojalne.**
- Nielojalne? - powtórzyła z pogardą. - Kim do licha jesteś, że mówisz mi o lojalności? Przysięgałeś, że na mojej ziemi nie uruchomisz kopalni węgla... po czym robisz to za moimi plecami. Zdradziłeś mnie już w dniu naszego ślubu! Zapadła głucha cisza i przez chwilę do uszu Lizzie dochodził tylko głos któregoś ze świadków zeznających po drugiej stronie sali.**
- A więc już wiesz i o wypadku? - zapytał po chwili Jay. Lizzie zaczerpnęła głęboko powietrza.**
- Oświadczam, że od dzisiaj ja i Jay jesteśmy w separacji. Małżonkami będziemy jedynie formalnie. Wrócę do mojego domu w Szkocji i nikt z rodziny Jamissonów nie będzie tam mile widzianym gościem. A jeśli chodzi o McAsha, nie pomogę go wam powiesić. Możecie pocałować mnie w dupę. Sir George był zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Od lat nikt nie mówił do niego w taki sposób. Poczzerwieniał jak burak, oczy wyszły mu z orbit, zaślinił się, ale nie wykrztusił ani jednego słowa.**
- Czy mógłbym coś doradzić? - zwrócił się Caspar Gordonson do Jaya. Jay popatrzył na niego wrogo, ale warknął krótko:**
- Mów pan.**
- Pani Jamisson dałaby się przekonać i mogłaby nie zeznawać... ale pod jednym warunkiem.**
- Jakim?**

- Takim, że pan osobiście poprosi o darowanie Mackowi życia.
- Wykluczone - odparł Jay.
- Pańska prośba wywarłaby na sędzie jak najlepsze wrażenie - ciągnął nie zrażony Gordonson. - Poza tym zaoszczędziłoby to waszej rodzinie skandalu z powodu wystąpienia przed publicznym sądem żony przeciw mężowi. - Popatrzył na Jaya zezem. - No i wyszedłby pan na człowieka wielkodusznego. Może pan oświadczyć, że Mack był górnikiem w kopalni Jamissonów i z tego względu pańska rodzina prosi dla niego o łaskę. W sercu Lizzie zaczęła budzić się nadzieja. Wstawiennictwo Jaya, oficera, który stłumił rozruchy, z pewnością byłoby bardziej skuteczne niż jej prośba. Spostrzegła w twarzy Jaya wahanie. Najwyraźniej ważył jakąś myśl.
- Sądzę, że mogę na to przystać - powiedział wreszcie. Zanim Lizzie zdążyła poczuć tryumf, odezwał się sir George: - Ale my też mamy warunek, przy którym będziemy zdecydowanie obstawać. Lizzie ogarnęły złe przeczucia, podejrzewała, że wie już, do czego zmierza teść. Sir George popatrzył na nią.
- Musisz wybić sobie z głowy bzdury o separacji. Pod każdym względem masz być przykładną żoną dla Jaya.
- Nie! - krzyknęła. - Przecież on mnie zdradził... Jak mogłabym mu ufać? Nie zgadzam się.
- A więc Jay nie wstawi się za McAshem - odrzekł sir George.

- Prośba pana Jaya może uratować Macka, bo to on jest oskarżycielem - wtrącił Gordonson. Lizzie zakręciło się w głowie. Nie było to uczciwe. Musiała wybierać między życiem Macka a własnym. Jak mogła dokonać takiego wyboru? Wszyscy na nią patrzyli: Jay, sir George, Gordonson, jej matka, York. Lizzie zdawała sobie sprawę z tego, że powinna ustąpić, ale czuła wewnętrzny sprzeciw.

- Nie - oświadczyła buntowniczo. - Nie sprzedam własnego życia za życie Macka.

- Proszę przemyśleć to jeszcze - powiedział Gordonson.

- Musisz - dodała lady Hallim. Lizzie popatrzyła na nią. Naturalnie matka pragnęła, żeby córka postąpiła tak, jak nakazują konwenanse.

- O co ci chodzi? - zapytała Lizzie.

- Musisz być wzorową żoną dla Jaya - odparła matka i wybuchnęła płaczem.

- Dlaczego?

- Ponieważ nosisz jego dziecko. Lizzie popatrzyła na nią szeroko rozwartymi ze zdumienia oczami.

- Co? O czym ty mówisz?

- Jesteś w ciąży.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Powiększyły ci się piersi, a na widok jedzenia ogarniają cię mdłości. Jesteście małżeństwem od dwóch miesięcy, więc nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

- Mój Boże... jęknęła Lizzie. Cały jej świat stanął do góry nogami. Dziecko! Czy to możliwe? Uświadomiła

sobie, że od dnia ślubu nie miała miesiączki. A więc to prawda. Jej własne ciało wprowadziło ją w pułapkę. Ojcem dziecka jest Jay. A matka wiedziała, że tylko to sprawi, iż Lizzie zmieni zdanie.

Popatrzyła na męża. Na jego twarzy malował się gniew i niema prośba.

- Dlaczego mnie okłamałeś? - zapytała.

- Nie chciałem tego, ale byłem zmuszony tak postąpić odrzekł. Lizzie poczuła gorycz. Wiedziała, że już nigdy nie będzie Jaya kochać tak jak dotąd.

Niemniej wciąż był jej mężem.

- W porządku - oświadczyła. - Zgadza się.

- A więc układ stoi - podsumował Gordonson. Dla Lizzie te słowa zabrzmiały jak wyrok śmierci.

- Panowie, Królewska Sprawiedliwość kategorycznie, pod groźbą kary więzienia, wzywa was do zachowania ciszy zawołał woźny sądowy. Sędzia włożył czarny biret i wstał. Tego dnia rozpatrzono dziewiętnaście spraw. Dwanaście osób uznano za winne zarzucanych im przestępstw. Po plecach Macka przebiegł zimny dreszcz strachu. Wprawdzie Lizzie wymogła na Jayu, żeby się za nim wstawił, co oznaczało, że kara śmierci powinna go ominąć, ale co się stanie, jeśli sędzia nie przychyli się do tej prośby albo popełni omyłkę? Lizzie stała w końcu sali i Mack przechwycił jej spojrzenie. Była blada i wyraźnie poruszona. Dotąd nie miał okazji zamienić z nią nawet słowa. Próbowwała uśmiechem dodać mu otuchy, ale jej twarz wyrażała lęk. Sędzia popatrzył

na dwunastu więźniów stojących w szeregu i zabrał głos.

- Zgodnie z prawem wróćcie stąd do miejsca, z którego przybyliście, a stamtąd zostaniecie odprowadzeni na miejsce kaźni. Tam powieszają was za szyje i tak długo będziecie wisieć, aż staniecie się martwi! I niech Bóg ulituje się nad waszymi duszami. Zapadła straszliwa cisza. Cora objęła swego kochanka. McAsh czuł, jak ogarnięta niepokojem dziewczyna boleśnie wpija mu palce w ramię. Gdy zapadł wyrok, niektórzy więźniowie zaczęli przeklinać, inni płakali, a jeden ze skazanych głośno się modlił.

- Peg Knapp okazujemy łaskę i skazujemy na deportację - oznajmił uroczyście sędzia. - Corze Higgins okazujemy łaskę i także skazujemy ją na deportację. Malachiemu McAshowi okazujemy łaskę i skazujemy na deportację. Reszta będzie wisieć. Mack przygarnął do siebie Corę i Peg i stali tak bez ruchu objęci ramionami. Darowano im życie. Po chwili dołączył do nich Caspar Gordonson, ujął Macka za ramię i powiedział poważnie:

- Mam dla ciebie niedobłą wiadomość. Macka ponownie ogarnął strach. Czyżby z jakichś względów cofnięto ulaskawienie?

- W jednej ze sztolni Jamissona nastąpił zawał - ciągnął Gordonson i w Macku zamarło serce. Bał się tego, co usłyszy. - Zginęło dwadzieścia osób.

- Esther...?

- Przykro mi, Mack. Twoja siostra nie żyje.

- Zginęła? W pierwszej chwili nie zrozumiał, co się stało. Tego dnia życie i śmierć tasowały się ze sobą niczym karty. Esther nie żyje? Jak to? Czyżby nie miał już siostrybliźniaczki? Zawsze ją miał. Miał ją od chwili przyjścia na świat.

- Powinienem był ją zabrać ze sobą - wyszeptał z oczami pełnymi łez. - Dlaczego ją tam zostawiłem? Cora ujęła jego dłoń.

- Życie uratowane, życie stracone - powiedziała. Mack zakrył twarz dłońmi i wybuchnął płaczem.

Dzień wyjazdu nadszedł niespodziewanie szybko. Pewnego ranka wszystkim więźniom skazanym na deportację polecono zebrać dobytek i zgromadzić się na więziennym dziedzińcu. Mack miał niewiele rzeczy. Oprócz ubrań tylko egzemplarz "Robinsona Cruoe", żelazną obręcz, którą zabrał ze sobą z Heugh, oraz podbity futrem płaszcz, podarowany mu przez Lizzie. Na dziedzińcu kowal za pomocą ciężkich łańcuchów poskuwał więźniów parami za nogi. Kajdany bardzo upokorzyły Macka. Czując zimne, żelazne obręcze na kostkach, zupełnie stracił ducha. Walczył o wolność, przegrał i oto znów idzie na łańcuchu, jak zwierzę. Miał nadzieję, że okręt zatonie i wszyscy wraz z nim zginą. Mężczyzn skuwano z mężczyznami, kobiety z kobietami. Macka połączono łańcuchem z niechlujnym starym pijakiem, Madem Barneyem. Cora zrobiła słodkie oczy do kowala, więc skuł ją z Peg. Mack popatrzył na rząd skazańców. Było ich ponad stu, z czego około

jedną czwartą stanowiły kobiety z dziećmi w wieku od dziewięciu lat. Między mężczyznami dostrzegł Sidneya Lennox. Skazanie Lennox na deportację bardzo poprawiło mu humor. Po złożeniu zeznań obciążających Peg nikt już temu człowiekowi nie ufał. Złodzieje, którzy kradzionych przedmiotów pozbywali się w gospodzie "Słońce", przenieśli się gdzieś indziej. Choć strajk węglarzy został złamany i ludzie wrócili do pracy, nikt nie chciał już pracować dla Lennox. Szynek próbował zmusić jakąś Betty Macaroni, aby dla niego kradła, lecz ta, wraz z dwiema przyjaciółkami, złożyła na niego donos, że handluje kradzionym towarem, i Lennox postawiono przed sądem. Wprawdzie Jamissonowie uratowali go od stryczka, ale nie zdołali zapobiec deportacji. Rozwarły się ogromne, drewniane wrota. Na ulicy czekała na zesłańców eskorta złożona z ośmiu gwardzistów. Dozorca więzienny brutalnie pchnął pierwszą parę więźniów i kolumna ruszyła zatłoczoną miejską ulicą.

- Stąd jest bardzo blisko do Fleet Street - odezwał się Mack. - Możliwe, że wieść o naszym wyjeździe dotarła już do Caspara.

- I co nam z tego przyjdzie? - zapytała Cora.

- Caspar może przekupić kapitana statku, żeby zapewnił nam specjalne traktowanie. Mack dowiedział się nieco o podróżach przez Atlantyk, wpytując w Newgate więźniów, strażników i odwiedzających celę gości. Wszyscy zgodnie twierdzili, że rejsy te zabiły już wielu ludzi. Czy to

niewolnicy, czy skazańcy, czy kontraktowi służący, wszyscy musieli znosić zabójcze warunki panujące na dolnych pokładach. Właścicielom statków chodziło wyłącznie o pieniądze i w ładowniach upychali tylu ludzi, ilu się tylko dało. Ale kapitanowie również chcieli zarobić i jeśli skazaniec mógł sobie pozwolić na łapówkę, podróżował w kabinie. Londyńczycy zatrzymywali się, obserwując z zainteresowaniem maszerujących przez centrum miasta skazańców. Niektórzy przechodnie wznosili okrzyki pełne współczucia, inni kpili i szydzili albo nawet rzucali kamieniami i odpadkami. Mack poprosił sympatycznie wyglądającą kobietę, żeby przekazała wiadomość Casparowi Gordonsonowi, ale odmówiła. Zwrócił się jeszcze do dwóch innych niewiast, jednak skutek był podobny. Żelazne okowy uniemożliwiały szybki marsz, toteż droga do przystani zajęła im ponad godzinę. Ponieważ strajk został zdławiony przez wojsko, po rzece pływało mnóstwo statków, barek, promów i łodzi. Był ciepły wiosenny poranek, w mulistej wodzie Tamizy skrzyło się słońce. Na skazańców czekała już łódź, która miała ich dowieźć na zakotwiczony w głównym nurcie rzeki statek. Mack przeczytał jego nazwę: "Rosebud".

- Czy to statek Jamissona? - zapytała Cora.

- Myślę, że większość statków przewożących skazańców należy do niego. Gdy Mack wkraczał z błotnistej nabrzeża do łodzi, pomyślał, że opuszcza ziemię brytyjską na wiele, wiele lat, być może na

zawsze. Ogarnęły go mieszane uczucia: obawa i lęk oraz podniecenie na myśl o nowym kraju i nowym życiu. Zaokrętowanie więźniów nie było łatwe. Skuci ze sobą łańcuchami, musieli wspinać się po drabinie parami. Peg i Cora, młode i zwinne, łatwo sobie z tym poradziły, ale Barneya Mack musiał wciągnąć. Dwóch mężczyzn spadło do wody. Ani gwardziści, ani żeglarze nie próbowali ich ratować, i skazańcy utopiliby się, gdyby nie współtowarzysze niedoli, którzy wyciągnęli obu więźniów z wody do łodzi. Stateczek miał około czterdziestu stóp długości i piętnastu szerokości.

- Na Boga, włamywałam się do salonów większych niż ta łajba - stwierdziła Peg. Na pokładzie zobaczyli kojec z drobiem, niewielką zagrodę dla świń i spętanego kozła. Po drugiej stronie statku transportowano właśnie z łodzi na pokład wspaniałego białego wierzchowca. Jakiś wychudzony kocur wyszczerzył na Macka zęby. McAsh dostrzegł jeszcze zwoje lin i zwinięte żagle, poczuł zapach pokostu, a pod stopami kołysanie pokładu. W chwilę potem przeszedł przez luk i zaczął schodzić po drabinie. Statek miał trzy dolne pokłady. Na pierwszym siedziało po turecku czterech marynarzy i jadło obiad. Wokół nich piętrzyły się worki i skrzynie załadowane prowiantem na drogę. Na trzecim pokładzie, znajdującym się na samym dole, dwóch mężczyzn ustawiało beczki, wbijając między nie kliny, które miały je zabezpieczyć przed przemieszczaniem się w czasie podróży. Na

środkowym pokładzie, przeznaczonym dla skazańców, jeden z marynarzy brutalnie ściągnął z drabiny Macka i Barneya, po czym pchnął ich w stronę drzwi. W środku śmierdziało dziegciem i octem. Mack rozejrzał się po mrocznym pomieszczeniu. Sufit znajdował się zaledwie dwa cale nad jego głową; wysoki mężczyzna musiałby się tu stale pochylać. W ścianie umieszczone były dwa zabezpieczone kratą iluminatory, przez które wpadało trochę światła i powietrza. Nie były to jednak iluminatory wychodzące na zewnątrz przez kadłub, lecz jedynie na wyższy pokład, dokąd światło i powietrze napływały przez otwarte luki. Po obu stronach pomieszczenia ciągnęły się drewniane, piętrowe, szerokie na sześć stóp półki. Górne znajdowały się na wysokości pasa człowieka, niższe - kilka cali nad ziemią. Były to prycze przeznaczone dla skazańców. Całą podróż mieli spędzić leżąc na gołych deskach. Przepchnięto ich wąskim przejściem między pryczami. Kilka pierwszych miejsc zostało już zajętych przez wciąż skutych parami więźniów. Leżeli cicho, oszołomieni tym, co się działo. Marynarz wskazał Peg i Corze miejsca obok Macka i Barneya. Ułożył ich jak noże w szufladzie. Posłusznie zajęli wskazane miejsca, ale marynarz kazał im ścisnąć się jeszcze bardziej tak, że dotykali do siebie. Peg mogła usiąść, jednak dla dorosłych nie starczało miejsca nad głową. Mack w najlepszym przypadku mógł leżeć wsparty na łokciu. Przy końcu pryczy dostrzegł gliniany dzban o szerokiej, płaskiej

podstawie i górnym otworze mającym średnicę mniej więcej dziewięciu cali. W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze trzy takie same naczynia. Mack domyślił się, że mają pełnić rolę ustępów.

- Ile czasu będziemy płynąć do Wirginii? - zapytała Peg.

- Siedem tygodni - odparł Mack. - Jeżeli dopisze nam szczęście.

Lizzie obserwowała tragarzy dźwigających jej kufer do obszernej kabiny znajdującej się na rufie "Rosebud". Ona i Jay zajęli miejsca należące do właściciela statku. Kabina składała się z sypialni i pokoju dziennego. Lizzie nie sądziła, że będą mieli dla siebie aż tyle wolnej przestrzeni. Spodziewała się oczywiście innych trudności podróży transatlantyckiej, ale była zdecydowana znieść je z jak największą pogodą i cieszyć się nowymi doświadczeniami. Radować się każdą chwilą życia - to była jej najnowsza filozofia. Nie mogła zapomnieć Jayowi zdrady. Zaciskała ze złości pięści i zagryzała usta, ilekroć przypominała sobie o czczych obietnicach, jakie złożył jej w dniu ślubu - ale starała się o tym nie myśleć. Przed kilkoma zaledwie tygodniami na myśl o podróży przenikał ją rozkoszny dreszcz. Wyjazd do Ameryki był jej wielkim marzeniem i była to zresztą jedna z przyczyn, dla których wyszła za Jaya. Ekscytowała ją myśl o nowym życiu w koloniach, o wolnej i prostej egzystencji na otwartych przestrzeniach, z

dała od sztywnych halek i kart wizytowych, o świecie, gdzie kobieta może mieć brudne paznokcie i rozmawiać swobodnie jak mężczyzna. Ale gdy dowiedziała się o postępkach Jaya, wyprawa do Ameryki straciła wiele ze swego blasku. Powinien nazwać swoją plantację "Dwadzieścia Mogił", myślała posępnie. Próbowwała sobie wmawiać, że Jay jest równie miły jej sercu jak kiedyś, jednak ciało nieustannie zadawało temu kłam. Gdy dotykał jej nocami, nie reagowała jak dawniej na jego bliskość. Całowała go i pieściła, ale dotyk jego palców i języka nie rozpalał jej już tak, jak dawniej. Kiedyś wystarczyło, że spojrzała na Jaya, a już czuła wilgoć między nogami. Teraz przed pójściem do łóżka ukradkiem smarowała się kremem, inaczej stosunki z mężem byłyby bardzo bolesne. Jay kończył zawsze jęcząc i krzycząc z rozkoszy, ale ona nie czuła nic. Później, kiedy on już pochrapywał, bawiła się sama ze sobą, a jej głowę wypełniały dziwaczne obrazy rozpasanych mężczyzn i prostytutek z obnażonymi piersiami. Jednak jej myśli przede wszystkim zaprzętało dziecko. Ono sprawiało, że przepelniająca ją gorycz malała. Kochała je bez zastrzeżeń i żadnych warunków. Dziecko bez reszty wypełni jej życie. I wychowa się w Wirginii. Zdejmowała właśnie kapelusz, gdy rozległo się pukanie do drzwi kabiny. W progu stanął żyłasty mężczyzna w niebieskim płaszczu i trójgraniastym kapeluszu. Ukłonił się nisko.

- Silas Bone, pierwszy oficer, melduję się do pani usług, pani J.
- Witaj, Bone - odparł protekcyjnie Jay.
- Kapitan przesyła państwu uszanowanie - powiedział Bone. Widzieli już kapitana Parridge'a, surowego, wyniosłego mieszkańca Kentu. - Ruszamy wraz z odpływem - oficer uśmiechnął się do Lizzie - ale przez dzień czy dwa pozostaniemy w zasięgu ujścia Tamizy, tak więc na razie nie musi się pani obawiać zbyt silnego kołysania.
- Czy moje konie są już na pokładzie? - zapytał Jay.
- Oczywiście, sir.
- Chciałbym rzucić na nie okiem i sprawdzić warunki, w jakich przebywają.
- Naturalnie. A pani J. zapewne zechce zostać w kajucie i rozpakować bagaże?
- Pójdę z wami. Zamierzam rozejrzeć się po statku - odparła Lizzie.
- Najlepiej jest spędzać jak najwięcej czasu w kabinie poradził Bone. - Marynarze to dzicy ludzie, a pogoda jest jeszcze dziksza. Lizzie z trudem opanowała rozdrażnienie.
- Nie mam zamiaru spędzić siedmiu najbliższych tygodni w ciasnej kajucie - burknęła.
- Proszę, pan pierwszy, Bone.
- Jak pani sobie życzy, pani J. Opuścili kabinę i ruszyli pokładem w kierunku otwartego luku. Oficer przebył drabinę z wprawą małpy. Drugi pokonał ją Jay, a Lizzie na końcu. Dotarli na środkowy pokład. Światło dzienne ledwie tu docierało, musiał

wzmacniać je blask zawieszanej na haku lampy. Ulubione konie Jaya, dwa siwki i Blizzard, którego dostał od ojca na urodziny, stały w wąskich boksach. Każde zwierzę miało przeciągniętą pod brzuchem pętlę przyczepioną do belki podporowej w suficie. Miało to zabezpieczać wierzchowce przed wywróceniem się, gdyby statek napotkał na swej drodze wysokie fale. W każdym boksie znajdował się żłób z sianem, a podłoga wysypana została piaskiem, który miał chronić końskie kopyta. Były to cenne zwierzęta, bo w Ameryce nie można było ich kupić. Konie okazywały niepokój, więc Jay, przemawiając do nich pieszczotliwie, zaczął je uspokajać. Zniecierpliwiona Lizzie ruszyła pokładem ku stojącym otworem ciężkim drzwiom. Boneę natychmiast ruszył za nią.

- Na pani miejscu nie wchodziłbym do tego pomieszczenia, pani J. - poradził. - Mogłaby pani ujrzeć tam coś, co sprawiłoby pani przykrość.

Puściła jego słowa mimo uszu i szła dalej. Nie była szczególnie wrażliwa na przykre widoki.

- Za tymi drzwiami mieści się ładownia przeznaczona dla skazańców - powiedział oficer. - To nie jest miejsce dla damy. Lizzie odwróciła się gwałtownie w stronę Bone'a i popatrzyła mu w oczy.

- Panie Bone, ten statek należy do mojego teścia i będę chodzić tam, dokąd mi się podoba. Czy wyraziłam się jasno? - Jak pani sobie życzy, pani J.

- I proszę się zwracać do mnie "pani Jamisson".

- Jak pani sobie życzy, pani Jamisson. Lizzie wiedziała, że koniecznie musi odwiedzić pomieszczenie dla skazańców, ponieważ mogła tam spotkać McAsha "Rosebud" był pierwszym statkiem z więźniami, jaki po rozprawie sądowej opuszczał Londyn. Przeszła jeszcze kilka kroków, pochyliła głowę, żeby nie uderzyć w belkę podporową, otworzyła szerzej drzwi i weszła do głównej ładowni. Panował tam upał i cuchnęło ludzkim potem. Lizzie popatrzyła w głąb mrocznego pomieszczenia. W pierwszej chwili nikogo nie dostrzegła, choć docierał do niej szmer prowadzonych przyciszonym głosem rozmów. Znajdowała się w obszernej ładowni, wypełnionej czymś w rodzaju rusztowań z szerokimi poziomymi deskami, przypominającymi półki do magazynowania beczek. Obok, na jednej z tych półek, coś się poruszyło. Rozległ się szczeł łańcucha i Lizzie ze zgrozą ujrzała ludzkie stopy ujęte w kostkach żelaznymi obręczami. Na półce ktoś leżał - nie, leżały dwie osoby, skute ze sobą nogami. Gdy wzrok Lizzie przyzwyczaił się już do panującego w ładowni półmroku, zobaczyła kolejną parę więźniów spoczywającą obok pierwszej, i dalej następną. Były tu ich tuziny, stłoczone na półkach niczym śledzie na tacy w sklepie rybnym. Z całą pewnością to tylko chwilowa niedogodność, pomyślała. Niebawem przydzielą im odpowiednie koje. I nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest niemądra. Gdzie niby miały być te koje? Znajdowała się przecież w głównej ładowni, zajmującej większość powierzchni pod

pokładem. Nieszczęśni skazańcy nie pomieściliby się nigdzie indziej. Mieli spędzić co najmniej siedem tygodni w tym prawie pozbawionym powietrza mroku.

- Lizzie Jamisson? - zapytał czyjś głos. Lizzie aż podskoczyła. Rozpoznała szkocki akcent. Mack. Czula przecież, że go tu znajdzie. Zesłańców zazwyczaj przewoziły przez ocean statki Jamissona, ale nawet do głowy jej nie przyszło, w jak upiornych warunkach odbywają oni tę podróż. Popatrzyła w mrok i zapytała:

- Mack... Gdzie jesteś?

- Tu. Przeszła kilka kroków wzdłuż pryczy. W jej stronę wyciągnęło się czyjeś ramię, upiornie szare w zalegającym ładownię półmroku. Rozpoznała Macka i z całych sił ścisnęła jego rękę. - To potworne - wyszeptała. - Co mogę dla was zrobić?

- Nic. Ujrzała leżącą obok Macka Corę, a dalej Peg. Przynajmniej ich nie rozdzielono, pomyślała. W wyrazie twarzy Cory było coś, co zmusiło ją do puszczenia ręki Macka.

- Być może uda mi się zapewnić wam odpowiednie traktowanie i lepsze jedzenie - powiedziała.

- Dziękuję - odparł Mack. Lizzie odwróciła się i pośpiesznie opuściła ładownię. Zamierzała ostro zaprotestować, gdy jednak spojrzała na Silasa Bone'a, ujrzała w jego oczach takie szyderstwo, że zacięła usta. Zesłańcy byli na pokładzie, lada chwila miano rozwinąć żagle, i nic już nie mogło odmienić ich losu. Każda uwaga Lizzie dowiodłaby jedynie

słuszności przeświadczenia Bone'a, że kobiety nie powinny wchodzić na niższe pokłady.

- Konie będą miały tu dobrze - stwierdził z zadowoleniem Jay.

- Mają się lepiej niż ludzie! - wybuchnęła Lizzie.

- O, właśnie sobie przypomniałem - powiedział całkowicie ją ignorując Jay. - Bone, w ładowni przebywa skazaniec, niejaki Sidney Lennox. Zdejmij mu kajdany i umieść go w kabinie.

- Jak pan sobie życzy, sir.

- Co tutaj robi Lennox? - zapytała zdumiona Lizzie.

- Oskarżony został o paserstwo. Ale w przeszłości wyświadczył mojej rodzinie wiele przysług i nie możemy zostawić go na pastwę losu. W ładowni mógłby umrzeć.

- Och, Jay! - wykrzyknęła przerażona Lizzie. - Przecież to łotr!

- Przeciwnie, to bardzo użyteczny jegomość. Lizzie odwróciła się na pięcie. Tak się cieszyła, że Lennox został w Londynie. Złośliwość losu jednak sprawiła, że również został zesłany. Czy Jay nigdy już nie wyzwoli się od tego odrażającego człowieka?

- Mamy odpływ, panie Jamisson - poinformował Bone. - Kapitan z niecierpliwością oczekuje rozkazu podniesienia kotwicy.

- Proszę przekazać kapitanowi, że w każdej chwili możemy odbić. Kilka minut później statek płynął w dół rzeki na fali odpływu. Policzki Lizzie owiewała wieczorna bryza. Kiedy na tle portowych

**magazynów zamajaczyła kopuła katedry św. Pawła,
powiedziała:**

**- Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek jeszcze
zobaczymy Londyn.**

*** * ***

III Wirginia

Wstrząsany paroksyzmami Mack leżał w ładowni "Rosebud". Czuł się jak zwierzę: brudny, prawie nagi, skrępowany łańcuchami, bezradny. Z trudem mógł dźwignąć się na nogi, ale umysł pracował mu sprawnie. Przysięgał sobie, że nigdy już nikomu nie pozwoli spętać się łańcuchami. Będzie walczył, będzie próbował ucieczki i raczej zginie, niż pozwoli, by ktoś ponownie tak go upokorzył. Z pokładu dobiegł czyjś podekscytowany głos:

- Kapitanie, głębokość trzydzieści pięć sążni. Piasek i wodorosty. Załoga wydała radosny okrzyk.

- Co to jest sążeń? - zapytała Peg.

- Sześć stóp głębokości - wyjaśnił Mack. - Oznacza to, że zbliżamy się do lądu. Często myślał, że nie dożyje końca podróży. Dwudziestu pięciu skazańców zmarło, ale on, Cora i Peg nie cierpieli głodu.

Wszystko wskazywało na to, że Lizzie, która ani razu nie pokazała się już pod pokładem, dotrzymała obietnicy, bo skazańcom dostarczano odpowiednią ilość jedzenia i wody. Woda była śmierdząca, a pożywienie monotonne i zesłańcy cierpieli na chorobę zwaną gorączką szpitalną lub więzienną. Pierwszy umarł Mad Barney; starzy umierali najszybciej. Ale śmierć skazańców powodowały nie tylko choroby. Pięć osób zginęło podczas strasznego sztormu, bo ściśnięci więźniowie zadawali sobie nieumyślnie śmiertelne obrażenia krępującymi ich żelaznymi łańcuchami. Peg, która zawsze była

szczupła, wyglądała teraz jak patyk, a Cora bardzo się postarzała. Mimo zalegającego w ładowni mroku Mack widział, że wychodzą jej włosy, zapada się twarz, a figura, niegdyś tak kształtna i ponętna, zaczyna przypominać obciągnięty owrzodzoną skórą szkielet. Cieszył się już tylko z tego, że jeszcze żyją. W jakiś czas później z pokładu dobiegł krzyk:
- Osiemnaście sążni i biały piasek! Niebawem było trzynaście sążni i muszle. I w końcu zawołano:
- Ziemia! Mimo osłabienia Mack bardzo chciał wyjść na pokład. Jestem w Ameryce, myślał. Dopłynąłem na drugi koniec świata i żyję. Tego wieczoru "Rosebud" rzucił kotwicę na spokojnych wodach. Złożony z solonej wieprzowiny i cuchnącej wody posiłek przyniósł jeden z bardziej życzliwie nastawionych do skazańców członków załogi. Nazywał się Ezekiel Bell. Brakowało mu ucha, był kompletnie łysy, a na karku miał narośl wielkości kurzego jaja. Załoga statku wołała na niego Beau Bell. Ezekiel poinformował więźniów, że minęli właśnie Przylądek Henry'ego w pobliżu miasta Hampton w Wirginii. Cały następny dzień statek stał na kotwicy i poirytowany Mack zastanawiał się, jaki jest powód tej zwłoki w podróży. Załoga zaopatrzyła się w zapasy świeżej żywności i wieczorem z kambuza zaczął docierać wspaniały zapach pieczonego mięsa, od którego skazańcom ciekła ślinka. Było to dla więźniów istną torturą i Mack czuł straszliwe skurcze żołądka.

- Co się z nami stanie, kiedy już wylądujemy w Wirginii? - zapytała Peg.
- Zostaniemy sprzedani. Będziemy pracować u tego, kto nas kupi - odparł Mack.
- Czy sprzedadzą nas razem? Mack wiedział, że praktycznie taka szansa nie istnieje, lecz nie powiedział tego głośno.
- Może - odparł. - Miejmy taką nadzieję. Zapadła cisza. Po chwili Peg ponownie zapytała ze strachem:
 - Kto nas kupi?
 - Farmerzy, plantatorzy, gospodynie domowe... każdy, kto potrzebuje taniej siły roboczej.
 - Czy wezmą całą naszą trójkę? Kto zechce górnik i dwie złodziejki? - pomyślał z powątpiewaniem Mack.
 - Może kupią nas mieszkający obok siebie sąsiedzi powiedział uspokajająco.
 - Co mamy tam robić?
 - Wszystko, co nam każą. Pracować na roli, sprzątać, budować domy...
 - Będziemy niewolnikami.
 - Tylko przez siedem lat.
 - Siedem lat... - powiedziała posepnie Peg. - Będę już dorosła.
 - A ja będę miał prawie trzydziestkę - stwierdził Mack.
 - Czy niewolników biją? Mack wiedział, że tak.
 - Jeśli będziemy dobrze pracować i trzymać buzię na kłódkę, to nie - odparł.
 - A kto weźmie za nas pieniądze?

- Sir George Jamisson - burknął ze zniecierpliwieniem trawiony gorączką i wyczerpany Mack. - Do licha, połowę tych pytań zadawałaś mi już wielokrotnie. Obrażona Peg odwróciła się do niego plecami.

- Ona się boi, Mack - stanęła w obronie dziewczynki Cora. - Dlatego ciągle pyta o to samo.

- Ja też się boję - odparł opryskliwie Mack.

- Nie chcę do Wirginii - oświadczyła nieoczekiwanie Peg. - Chcę, żeby ta podróż trwała dalej. Cora roześmiała się gorzko.

- Tak ci się tu podoba?

- Tutaj czuję się, jakbym miała matkę i ojca - wyznała Peg. Cora objęła ją i miała z całych sił przytuliła się do niej. Kotwicę podniesiono następnego ranka. Mack czuł, jak statek posuwa się chyżo, popychany podmuchami wiatru. Wieczorem dotarli już prawie do ujścia rzeki Rapahannock, ale tam zatrzymały ich przeciwnie wiatry i zanim ruszyli w górę rzeki, zmarnowali kolejne dwa dni. Gorączka opuściła Macka i poczuł się na tyle silny, że wyszedł na pokład na ćwiczenia, jakie czasem aplikowano skazańcom. Statek płynął w górę rzeki i Mack po raz pierwszy ujrział Amerykę. Wzdłuż brzegów ciągnęły się lasy i pola uprawne, przystanie i zabudowane nabrzeża, od których pięły się w górę łagodnymi stokami trawniki prowadzące do rozległych rezydencji. Tu i ówdzie przy molach stały olbrzymie beki zwane hogsheads *, używane do przewożenia tytoniu. Wielokrotnie widywał je w londyńskim

porcie, gdy wyladowywano je ze statków. Zawsze się zastanawiał, jak beczki tej wielkości wytrzymały ryzykowny i trudny transport przez ocean.

Zauważył, iż większość pracujących na polach ludzi to Murzyni. Konie i psy były takie same jak w Anglii, lecz przysiadające na relingu ptaki widział po raz pierwszy w życiu. Na wodzie unosiło się kilka wielkich statków handlowych, takich jak "Rosebud" i mnóstwo mniejszych. Przez następne cztery dni Mack nie miał okazji wyjrzeć z ładowni, ale gdy leżał na pryczy, niczym najcenniejszy skarb pieścił w myślach obrazy, które ujrzał i zapamiętał: promienie słońca, ludzie przebywający na świeżym powietrzu, drzewa, trawniki, domy. Aż do bólu tęsknił za chwilą, gdy opuści wreszcie pokład "Rosebud" i będzie mógł swobodnie chodzić pod otwartym niebem. Gdy w końcu rzucono kotwicę, domyślił się, że dotarli do Fredericksburga, ich portu przeznaczenia. Podróż trwała osiem tygodni. Tego wieczoru skazańcy dostali dobre jedzenie: rosół z wieprzowiny z kukurydzą i kartoflami, po pajdzie świeżego chleba i kwarcie piwa ale. Mack, odwykły od tak obfitego jedzenia i jakiegokolwiek trunku, całą noc chorował. Rankiem w grupach po dziesięć osób wyprowadzono ich na pokład i wreszcie na własne oczy ujrzeli Fredericksburg. Okręt stał na kotwicy na mulistej rzece, pośrodku której było kilka wysp. Na brzegu dostrzegli wąską, piaszczystą plażę, dalej drzewa, a następnie stromy stok prowadzący do samego Fredericksburga, górującego

nad brzegiem rzeki. W miasteczku mieszkało zapewne kilkaset osób. Nie było większe od Heugh, wioski, w której Mack przyszedł na świat, ale sprawiało wrażenie dobrze prosperującej osady. Na przeciwległym brzegu, nieco w górę rzeki, leżało inne miasteczko, Falmouth. Obok "Rosebud" unosiły się na falach jeszcze dwa inne morskie statki tej samej wielkości, kilkanaście mniejszych rzecznych jednostek, trochę płaskodennych łodzi oraz kursujący między obiema osadami prom. Na brzegu roilo się od zapracowanych ludzi rozładowujących statki, toczących beczki oraz wnoszących i wynoszących z magazynów skrzynie. Beczki o pojemności dwustu czterdziestu litrów. Skazańcom wydzielono mydło i kazano im się dokładnie umyć. Potem na pokładzie pojawił się fryzjer. Tym, którzy mieli bardziej zniszczone ubrania, dostarczono inne, ale gdy się okazało, że należały do zmarłych podczas podróży więźniów, brano je bardzo niechętnie. Mack dostał rojący się od robactwa płaszcz Mada Barneya. Przyczepił go do relingu i tak długo tłukł w niego kijem, aż odpadła ostatnia wesz. Kapitan sporządził listę pozostałych przy życiu zesłańców. Każdego pytał o wykonywany zawód. Niektórzy byli robotnikami, inni, jak Cora i Peg, nigdy nie zhańbili się uczciwą pracą, więc nakazano im, żeby wymyślili sobie jakiś zawód. Tym sposobem Peg została terminatorką u krawcowej, a Cora barmanką. Mack wiedział, że robiono to tylko w celu zwabienia kupujących. Skazańcy wrócili do ładowni. Po

południu zjawilo się dwóch mężczyzn, którzy zaczęli ich dokładnie oglądać. Obaj sprawiali bardzo osobliwe wrażenie. Pierwszy miał na sobie czerwoną kurtkę od munduru brytyjskiego żołnierza i tkane domowym sposobem bryczesy, drugi - modną przed laty żółtą kamizelę i uszyte z koźlej skóry spodnie. Sprawiali wrażenie dobrze odżywionych, a czerwone nosy wskazywały na upodobanie do mocnych trunków. Beau Bell powiedział Mackowi, że to "naganiacze", i wyjaśnił, co oznacza to słowo: kupowali niewolników, skazańców oraz kontraktowych służących, po czym gnali ich w głąb kraju niczym stado baranów, żeby sprzedać żyjącym na odludziu farmerom i mieszkańcom gór. Tym razem jednak opuścili ładownię nie dokonawszy zakupu; Bell poinformował Macka, że następnego dnia przypada Święto Wyścigów, w związku z czym do miasta ściagną okoliczni mieszkańcy, żeby obejrzeć końskie gonitwy, a przy okazji do wieczora wykupią większość zesłańców. Wtedy naganiacze za bezcen nabędą tych, którzy pozostali. Mack mógł tylko pocieszać się nadzieją, że Peg i Cora nie trafią w ich ręce. O zmierzchu więźniowie znów dostali przyzwoity posiłek. Mack jadł teraz ostrożnie i w nocy spał jak zabity. Z rana wszyscy skazańcy wyglądali znacznie lepiej. Oczy im błyszczwały i uśmiechali się. Podczas podróży dostawali jedzenie tylko raz, w południe, ale teraz dostarczono im także śniadanie złożone z owsianki, melasy i porcji rozcieńczonego wodą rumu. Tak zatem, choć

niepewni jutra i skuci kajdanami, wyszli żwawo po drabinie na pokład. Tego dnia na nabrzeżu panował znacznie większy ruch. Na wodzie unosiło się wiele łódek, a ulicami miasteczka pomykały liczne powozy. Świętujący wolny od pracy dzień ludzie snuli się po osadzie i przystani. Na pokład wkroczył brzuchaty jegomość w słomkowym kapeluszu. Towarzyszył mu wysoki siwiejący Murzyn. Obaj natychmiast przystąpili do dokładnych oględzin skazańców; wybierali jednych, innych odrzucali. Mack zrozumiał, że szukają najmłodszych i najsilniejszych. Szybko sam znalazł się wśród czternastu czy piętnastu wybrańców. Dla kobiet i dzieci w tej grupie nie było miejsca.

- W porządku, możecie ich wziąć - powiedział kapitan po zakończeniu selekcji.

- Dokąd nas zabierają? - zapytał Mack, ale nie doczekał się odpowiedzi. Peg wybuchnęła płaczem. Mack przygarnął dziewczynkę. Pękało mu serce, choć wiedział od początku, że tak właśnie się stanie. Peg traciła każdego dorosłego, któremu zaufała. Matkę zabrała jej śmiertelna choroba, ojca powieszono, teraz zaś sprzedano Macka i też go utraciła. Przygarnął ją mocno, a ona przytuliła się do niego z całych sił.

- Zabierz mnie ze sobą! - załkała. Odsunął ją.

- Zostaniesz z Corą - powiedział. Cora namiętnie całowała go w usta. Trudno jej było uwierzyć, że zapewne nigdy się już nie zobaczą, że nigdy nie będzie leżała z nim w łóżku, a on nie będzie dotykał

jej ciała. Podczas tych pocałunków po policzkach ciekły jej strumienie łez, które spływały Mackowi do ust.

- Na. Boga, Mack, odnajdź nas - błagała.

- Zrobię, co będę mógł...

- Obiecuj!

- Znajdę was - obiecał Mack.

- No, kochaneczku, ruszaj się - powiedział brzuchaty jegomość i oderwał go od Cory. Popychany w stronę prowadzącego na nabrzeże trapu, Mack obejrzał się przez ramię. Cora i Pegg, objęte ramionami, płacząc patrzyły, jak odchodzi. Przypomnił sobie rozstanie z Esther i najsolenniejszym poprzysiął sobie, że tym razem nie zawiedzie już Cory i Peg tak, jak zawiódł siostrę. Niebawem stracił je z oczu. Po ośmiu tygodniach przebywania na chybotliwym pokładzie statku na stałym lądzie czuł się dosyć osobliwie. Gdy spętany łańcuchami nieporadnie kuśtykał po nie wybrukowanej głównej ulicy miasteczka, przyglądał się wszystkiemu ciekawie. Centrum osady składało się z kościoła, domu towarowego, pręgierza i szubienicy. Wzdłuż ulicy stały duże domy z cegły i drewna, a po błotnistej drodze pałętały się owce i kury. Niektóre domostwa najwyraźniej wybudowano bardzo dawno, inne wyglądały całkiem nowe. W miasteczku pełno było ludzi, koni, wozów i bryczek; z okazji Święta Wyścigów do Fredericksburga zjechała cała okoliczna ludność. Kobiety miały na głowach przystrojone wstążkami czepki, mężczyźni nosili lśniące buty i czyste rękawiczki. Wyrabiano je

przeważnie chałupniczo, ponieważ artykuły przemysłowe były bardzo drogie. Do uszu Macka docierały strzępy rozmów ludzi rozprawiających o wyścigach i robiących zakłady. Wirgińczycy najwyraźniej uwielbiali hazard. Mieszkańcy miasteczka spoglądali na skazańców z umiarkowanym zaciekawieniem jak na galopujące środkiem ulicy konie lub na coś, co widzieli już wiele razy, ale co wciąż budzi lekkie zainteresowanie. Po przejściu około pół mili zostawili miasteczko za sobą. Kolumna więźniów przebyła brodem rzekę i ruszyła wyboistą drogą wiodącą przez lesiste okolice. Mack zrównał się z eskortującym ich Murzynem.

- Nazywam się Malachi McAsh - powiedział. -

Wołają na mnie Mack. Murzyn nie oderwał wzroku od drogi, ale odparł uprzejmie: - Jestem Kobe. Kobe Tambala.

- Ten grubas w słomkowym kapeluszu... - zaczął Mack. - Czy on jest naszym właścicielem?

- Nie. Bili Sowerby to tylko nadzorca. Przybyłem z nim na pokład "Rosebud", żeby wybrać najlepszych robotników rolnych.

- Kto nas kupił?

- Nie zostaliście kupieni.

- Jak to?

- Pan Jay Jamisson zdecydował się zatrzymać was dla siebie. Macie pracować u niego w Mockjack Hall.

- Jamisson?

- Zgadza się. A więc ponownie znalazł się w posiadaniu rodziny Jamissonów. Myśl ta

doprowadzała Macka do wściekłości. Niech ich piekło pochłonie. Znów ucieknę, przysięgał sobie w duchu. Odzyskam wolność.

- Co robiłeś przedtem? - zapytał Kobe.

- Byłem górnikiem w kopalni węgla.

- Węgiel? Słyszałem o czymś takim. Kamień, który pali się jak drewno, ale daje dużo więcej ciepła...

- Tak. Cały kłopot w tym, że aby go wydobyć, trzeba dostać się głęboko pod ziemię. A ty?

- Mieliśmy gospodarstwo w Afryce. Do mojego ojca należał szmat ziemi, dużo większy niż ten, jaki posiada pan Jamisson. Mack spojrział na Murzyna ze zdumieniem. Nigdy by mu przez myśl nie przeszło, że niewolnicy mogą pochodzić z bogatych rodzin.

- Jakie gospodarstwo?

- Zwykle, pszenica, trochę bydła. Nie uprawialiśmy tylko tytoniu. Hodowaliśmy ignam. Ale tu go nigdzie nie widziałem. - Dobrze mówisz po angielsku.

- Jestem w Wirginii od blisko czterdziestu lat. -

Twarz Murzyna wykrzywił grymas goryczy. - Byłem chłopcem, gdy mnie porwano. Mack pomyślał o Corze i Peg.

- Na statku były ze mną dwie osoby, kobieta i dziewczynka - powiedział. - Czy można się dowiedzieć, kto je kupił? Kobe zaśmiał się niewesoło.

- Tutaj każdy próbuje znaleźć kogoś, kogo również sprzedano. Ludzie rozpytują się o siebie cały czas.

Gdy niewolnicy spotykają się na drodze lub w lesie, nieustannie o tym mówią. - Dziecko nazywa się Peg -

ciągnął z uporem Mack. Trzynastoletnia dziewczynka. Nie ma ojca ani matki.

- Nikt, kto został sprzedany w niewolę, nie ma ojca ani matki. Mack zrozumiał, że Kobe się poddał. Od dzieciństwa przyzwyczał się do myśli, że jest niewolnikiem, i nauczył się żyć z tą świadomością. Zgorzkniał i odrzucił wszelką nadzieję na odzyskanie wolności. Ze mną nigdy tak się nie stanie, przyrzekł sobie w duchu Mack. Przewędrowali około dziesięciu mil. Posuwali się wolno, gdyż skazańcy wciąż mieli na nogach kajdany. Niektórzy nadal byli skuci parami. Innym, których towarzysze zmarli podczas podróży, skuto nogi tak, że mogli iść, ale w żadnym wypadku biec. Poza tym osłabieni ośmiotygodniowym leżeniem na pryczach ludzie, nawet gdyby próbowali przyśpieszyć kroku, nie podolaliby takiemu wysiłkowi. Nadzorca Sowerby jechał konno, ale wyraźnie nigdzie mu się nie śpieszyło. Podczas drogi nieustannie pociągał z flaszy. Okolica przypominała Anglię, toteż nie była tak obca, jak Mack się spodziewał. Droga prowadziła wzdłuż koryta kamienistej rzeki wijącej się wśród gęstych lasów. Mack marzył o tym, aby położyć się na chwilę w cieniu wielkich drzew. Zastanawiał się, kiedy ponownie spotka Lizzie. Czuł gorycz na myśl, że znów stanowi własność Jamissona, lecz świadomość obecności Lizzie stanowiła pewną osłodę. W przeciwieństwie do swego teścia nie była okrutna, jakkolwiek potrafiła być bezmyślna. Jej odbiegające od przyjętych szablonów

postępowanie i żywe usposobienie zachwycaly Macka. Poza tym miała wrodzone poczucie sprawiedliwości. Kiedyś uratowała mu życie i mogła uczynić to jeszcze raz. Na plantację Jamissona przybyli w południe. Ścieżka wiodła przez sad, w którym było wygryzło trawę do gołej, błotnistej ziemi. Stało w nim około tuzina chat. Dwie starsze czarne kobiety gotowały coś na otwartym ogniu, na ziemi zaś bawiła się czwórka czy piątka nagich dzieci. Chaty zbudowano z nie heblowanych desek, a w zamykanych na okiennice oknach nie było szyb. Sowerby zamienił kilka słów z Kobe'em i zniknął.

- Tu są wasze kwatery - oznajmił skazańcom Murzyn.

- Mamy mieszkać z czarnymi? - zapytał z oburzeniem któryś z więźniów. Mack roześmiał się. Po ośmiu tygodniach męczarni w ładowni "Rosebud" okazywać niezadowolenie z powodu wyznaczonego pomieszczenia?

- Czarni i biali żyją w oddzielnych chatach. Nie jest to żadne pisane prawo, ale tak się dzieje od zawsze - odparł Kobe. - W każdej chacie mieszka sześć osób. Jednak zanim odpoczniecie, musimy jeszcze zrobić jedną rzecz... Chodźcie za mną. Ruszyli krętą ścieżką biegnącą wśród łąnów zielonej pszenicy, wysokiej kukurydzy i delikatnych krzewów tytoniowych. Na polach pracowali mężczyźni i kobiety, pieląc chwasty i zdejmując gąsienice z tytoniowych liści. Kiedy pola uprawne się skończyły, wyszli na rozległy trawnik wznoszący się lekko ku zniszczonemu drewnianemu

budynkowi z odłazającą farbą i zatrzaśniętymi okiennicami. Zapewne był to Mockjack Hall. Obeszli dom i skierowali się ku zabudowaniom na jego tyłach. Jedna z szop okazała się kuźnią. Pracował w niej Murzyn o imieniu Cass. Kowal zaczął rozbijać okowy na nogach skazańców. Mack obserwował, jak jego współtowarzysze niedoli po kolei pozbywają się łańcuchów. Sam również poczuł się wolny, choć wiedział, że to tylko złudzenie. Utracił wolność, kiedy zakuto go w kajdany w więzieniu Newgate.

Nienawidził ich przez każdą sekundę tych ośmiu upadających tygodni, kiedy je musiał nosić na nogach. Ze szczytu wzgórza, na którym stał dom, widać było fragment odległej o pół mili rzeki Rapahannock, wijącej się między drzewami. Skoro już mnie nie krępują łańcuchy, pomyślał Mack, mogę po prostu pobiec w tamtą stronę, wskoczyć do wody, przepłynąć na drugi brzeg i spróbować odzyskać wolność. Zapanował jednak nad tym pragnieniem. Był jeszcze zbyt osłabiony, żeby pokonać odległość połowy mili. Ponadto obiecał, że odszuka Peg i Corę, a to mógł zrobić wyłącznie przed ucieczką. Powinien też dokładnie wszystko zaplanować. Geografia tego kraju była mu kompletnie obca. Musiał dobrze wiedzieć, dokąd iść i jak dotrzeć do celu. Kiedy tak rozmyślał, dotarł do niego głos Kobe'a.

- Ludzie, którzy zdecydują się na ucieczkę, prawie zawsze są łapani i karani - mówił Murzyn. -

Najpierw poddani zostają chłóście, ale to najłżejsza

część kary. Później muszą nosić na szyi żelazną obręcz, co w mniemaniu niektórych jest bardzo hańbiące. Jednak najgorsze jest to, że wydłuża się czas ich niewoli. Jeśli któryś z was ucieknie na tydzień, będzie niewolnikiem o dwa tygodnie dłużej. Mamy tu ludzi, którzy tyle razy uciekali, że wolność odzyskają jako stuletni starcy. - Rozejrzał się i napotkał wzrok Macka. - Ale jeśli ktoś pragnie spróbować ucieczki - dodał ciszej - powiem jedno: "Powodzenia". Rano kobiety podały na śniadanie gęstą papkę z gotowanej mąki kukurydzianej zwaną mamalygą. Skazańcy i niewolnicy jedli ją palcami z drewnianych misek. Na polu pracowało w sumie około czterdziestu robotników. Oprócz nowo przybyłych skazańców prawie wszyscy byli czarnymi niewolnikami. Na plantację trafiło również czterech kontraktowych służących, którzy czteroletnią pracą mieli spłacić koszty podróży przez ocean. Trzymali się na uboczu i traktowali innych z wyższością. Tylko trzy osoby pracowały za normalne wynagrodzenie: dwóch wolnych Murzynów i biała kobieta, wszyscy po pięćdziesiątce. Niektórzy Murzyni nieźle władali angielskim, większość jednak mówiła jakimś narzeczem afrykańskim, a ich rozmowy z białymi przypominały dziecięce gaworzenie. Z tego też względu Mack początkowo traktował ich jak dzieci, lecz niebawem pomyślał, że ludzie ci mają nad nim tę przewagę, że znają półtora języka, a on tylko jeden. Od miejsca, gdzie tytoń już dojrzał i był gotowy do zbierania, dzieliły ich dwie mile drogi przez rozległe

pola. Krzaki tytoniu rosły w równych rzędach odległych od siebie o trzy stopy, a całe pole miało ćwierć mili długości. Krzewy były prawie tak wysokie jak Mack i każdy liczył około dwunastu szerokich, zielonych liści. Podzielonym na trzy grupy robotnikom wydawali polecenia Bili Sowerby i Kobe. Pierwsza grupa, uzbrojona w ostre noże, ścinała dojrzałe rośliny. Drugi zespół pracował na polu, gdzie tytoń ścięto poprzedniego dnia. Liście leżały na ziemi, podsuszone już przez promienie słońca. Nowym pracownikom pokazano, jak należy oddzielać łodygi ściętych roślin i nabijać je na długie drewniane tyczki. Mack trafił do trzeciej grupy, która miała za zadanie przenoszenie tych tyczek do magazynu. Tam wieszano się je wysoko pod sufitem, gdzie tytoń najlepiej sechł. Był to długi, upalny, letni dzień. Ludzie z "Rosebud" nie mogli pracować w takim tempie jak pozostali robotnicy. Osłabionego chorobą, niedożywieniem i brakiem ruchu Macka wyprzedzały w pracy nawet kobiety i dzieci. Bili Sowerby zawsze miał przy sobie bat, ale Mack nie widział, żeby choć raz go użył. W południe dostali prząsny chleb z mąki kukurydzianej, nazywany przez niewolników razowcem. Podczas posiłku zdziwiony, choć niezupełnie tym zaskoczony Mack zobaczył obok Sowerby'ego Sidneya Lennox'a w nowym ubraniu. Niewątpliwie Jay uznał, iż w przeszłości Lennox był bardzo użyteczny, i sądził, że jeszcze mu się przyda. O zachodzie słońca zmordowani skazańcy opuścili pole, ale zamiast do

chat zaprowadzono ich do magazynu tytoniowego, oświetlonego mnóstwem świec. Po pośpiesznym posiłku musieli dalej pracować odrywając liście od suchych łodyg i wpychając je do worków. Kiedy nastąpiła noc, niektóre dzieci i starsze osoby pozasypiały nad robotą i natychmiast zaczął funkcjonować system ostrzegania polegający na tym, że silniejsi robotnicy czuwali i budzili śpiących, gdy w pobliżu pojawiał się nadzorca. Było już dobrze po północy, gdy świece się wypaliły i robotnikom pozwolono wrócić do chat, gdzie natychmiast legli na drewnianych pryczach. Mack od razu zapadł w kamienny sen. Wydawało mu się, że spał zaledwie kilka sekund, kiedy ktoś mocno nim potrząsnął, aby obudzić go do pracy. Mack z trudem zwał się z łóżka i chwiejnym krokiem wyszedł przed chatę. Oparty o jej ścianę zjadł miskę mamąłgi. Gdy włożył do ust ostatnią garść kukurydzianej papki, natychmiast popędzono wszystkich na pole. Kiedy dotarli na miejsce, Mack w świetle brzasku dostrzegł na polu Lizzie. Nie widział jej od dnia, w którym zaokrętowano go na "Rosebud". Jechała stępa w poprzek pola na białym koniu; miała na sobie lnianą sukienkę i szeroki kapelusz. Lada chwila miało pojawić się nad horyzontem słońce i pole płałło się już w jasnym, przejrzystym świetle. Lizzie wyglądała wspaniale: wypoczęta, zadowolona z siebie dama, mieszkająca w przepysznej rezydencji i objeżdżająca swe włości. Mack zauważył, że trochę przytyła, podczas gdy on wysechł na wiór. Ale nie czuł do niej

nienawiści; zawsze miała wyczucie tego, co dobre, a poza tym uratowała mu życie. Wspomnił chwilę, gdy obejmował ją w warsztacie tkackim Dermota Rileya w Spitalfields. Tulił wówczas w ramionach jej delikatne ciało i wdychał bijący od niej zapach mydła i potu. Przyszło mu do głowy, że to raczej Lizzie, nie Cora, jest kobietą stworzoną dla niego. Po chwili jednak wrócił mu zdrowy rozsądek. Obserwując jej zaokrąglone kształty, pojął, że wcale nie 262 utyla, lecz po prostu jest w ciąży. Urodzi syna, który wyrośnie na kolejnego okrutnego, chciwego, pozbawionego serca i skrupułów Jamissona. Przejmie tę plantację, będzie kupował ludzkie istoty i traktował je jak bydło. Ich oczy się spotkały. Mack poczuł wyrzuty sumienia, że tak surowo ocenia jej nie narodzone dziecko. Lizzie popatrzyła na niego niepewnie, nie wiedząc, kogo ma przed sobą. Gdy go w końcu rozpoznała, drgnęła. Być może wstrząsnęły nią zmiany, jakie zaszły w jego wyglądzie. Bardzo długo na siebie patrzyli. Mack miał już nadzieję, że Lizzie do niego podjedzie, lecz ona bez słowa zawróciła, spięła konia i odjechała klusem. W chwilę później zniknęła między drzewami.

W tydzień po przybyciu do Mockjack Hall Jay Jamisson siedział i obserwował dwie niewolnice rozpakowujące kufer ze szkłem stołowym. Belle była tęga, w średnim wieku, miała obfite piersi i rozłożyste biodra, osiemnastoletnia Mildred

natomiast miała skórę barwy najszlachetniejszego tytoniu i leniwe spojrzenie. Kiedy sięgała na półkę w kredensie, Jay widział, jak pod tkaną ręcznie koszulą faluje jej biust. Jego uporczywe przypatrywanie się wprawiało kobiety w zakłopotanie i drżały im ręce, gdy wyjmowały kruche kryształ. Gdyby potłukły jakieś naczynie, z pewnością spotkałaby je surowa kara. Jay zastanawiał się, czy powinien je bić. Myśl ta zmieszała go. Wstał i wyszedł przed dom.

Mockjack Hall był dużym budynkiem o długim frontonie. Od strony łagodnego, trawiastego stoku schodzącego aż do mulistej rzeki Rapahannock znajdował się wsparty na filarach portyk. W Anglii każdy dom tych rozmiarów zbudowano by z kamienia i cegły, ale ten był drewniany. Przed wieloma laty ściany pociągnięto białą farbą, a okiennice zieloną. Jednak z upływem czasu farba wyblakła, przybierając prawie wodnistą barwę, i zaczęła się niszczyć. Do budynku mieszkalnego przylegały liczne dobudówki gospodarcze, mieszczące kuchnię, pralnię i stajnie. W głównej części domu znajdowały się reprezentacyjne pokoje - salon, jadalnia, a nawet sala balowa, na piętrze zaś przestronne sypialnie. Niemniej całe wnętrze domagało się remontu. Pokoje zastawione były modnymi ongiś importowanymi meblami, ściany pokrywały spłowiałe jedwabne draperie, na posadzkach leżały wytarte dywany, a całą rezydencję przepelniała woń stęchlizny. Ale Jay czuł zadowolenie, gdy stojąc między tworzącymi długi

rząd kolumnami mierzył wzrokiem swe włości.
Tysiąc akrów pól uprawnych, wzgórze o stokach porośniętych lasem, bystre, czyste potoki i rozległe stawy, czterdziestu robotników oraz troje służby domowej. Cała ta ziemia i ludzie należeli do niego. Nie do jego rodziny, nie do jego ojca, lecz do niego. A to przecież zaledwie początek. Zamierzał zdobyć poczesne miejsce wśród właścicieli ziemskich Wirginii. Nie wiedział, jak funkcjonuje rząd kolonialny, ale wiedział, że miejscowi obywatele są członkami rad parafialnych, a główne zgromadzenie w Williamsburgu składa się z ich przedstawicieli. Z uwagi na swoją pozycję społeczną Jay mógłby zająć wysokie stanowisko i przy najbliższej okazji kandydować nawet na członka Zgromadzenia Przedstawicielskiego *. Na trawniku pojawiła się Lizzie. Jechała na Blizzardzie, który przetrwał podróż morską bez szwanku. Doskonale jeździ konno, pomyślał Jay. Prawie jak mężczyzna. I nagle ku swej irytacji spostrzegł, że Lizzie dosiada konia po męsku. Było to jego zdaniem wulgarne.

- Nie powinnaś w ten sposób jeździć - powiedział, gdy młoda żona zatrzymała przed nim wierzchowca.

Lizzie ujęła się pod boki.

- Jeździłam powoli, najwyżej klusem.

- Nie chodzi mi o dziecko. Mam nadzieję, że nikt nie widział, jak jeździsz po męsku. Jej twarz spochmurniała, ale replika była jak zwykle cięta: - Nie zamierzam tutaj jeździć po damsku.

- Tutaj? - zapytał. - A co to ma do rzeczy, gdzie?

- Tutaj nikt mnie nie widzi.
- Ja cię widzę. Służba również. Poza tym w każdej chwili możemy mieć gości. Przecież nie chodziłabyś "tutaj" nago, prawda?
- Kiedy pojedziemy do kościoła lub pojawią się goście,

* Nazwy instytucji i stanowisk politycznych w osiemnastowiecznej Wirginii zaczerpnięto z książki Barbary W. Tuchman pt. "Szaleństwo władzy", w tłumaczeniu Marii J. i Andrzeja Michejdów. Wyd. "Książnica", przy współudziale Wyd. Poznańskiego, Katowice 1992.

- będę dosiadać konia po damsku. Ale gdy jestem sama, zamierzam jeździć tak, jak mi się podoba. Gdy Lizzie wpadała w taki nastrój, nie było sensu z nią dyskutować.
- Tak czy owak, ze względu na dziecko niebawem w ogóle przestaniesz dosiadać konia - powiedział.
- Ale jeszcze nie teraz - odpaliła. Była w piątym miesiącu ciąży i dopiero w szóstym planowała zaprzestać konnych eskapad. Postanowiła zmienić temat. - Rozglądałam się po okolicy. Ziemia jest w lepszym stanie niż dom. Sowerby pije, ale trzyma wszystko żelazną ręką. Powinniśmy być mu wdzięczni, zwłaszcza że od prawie roku nie otrzymał wynagrodzenia.
- Z tym musi jeszcze trochę poczekać. Na razie z pieniędzmi jest krucho.

- Twój ojciec mówił, że zastaniemy tutaj pięćdziesięciu robotników, lecz tak naprawdę jest ich zaledwie dwudziestu pięciu. Bardzo dobrze, że ściągnęliśmy tych skazańców z "Rosebud". -
Zmarszczyła brwi. - Czy jest między nimi McAsh?
- Jest.
- No właśnie. Wydawało mi się, że dostrzegłam go na polu. - Poleciałem Sowerby'emu wybrać najmłodszych i najsilniejszych. Jay nie miał pojęcia, że na statku przebywa McAsh. Gdyby o tym wiedział, z całą pewnością zabroniłby Sowerby'emu brać tego wichrzyciela. Ale teraz już nie miał zamiaru go odsyłać. Nie chciał, żeby ktokolwiek pomyślał, że onieśmiela go zwykły skazaniec.
- Rozumiem, że za tych ludzi nie musimy płacić - powiedziała Lizzie.
- Naturalnie, że nie. Dlaczego mam płacić za coś, co i tak należy do mojej rodziny?
- Twój ojciec dowie się o tym.
- Pewnie, że się dowie. Kapitan Parridge wystawi rachunek za piętnastu skazańców, który ja podpiszę, i wręczy go memu ojcu.
- I co wtedy? Jay wzruszył ramionami.
- Ojciec zapewne prześle ten rachunek mnie, a ja go zapłacę... gdy będę mógł. Jay był bardzo zadowolony z tej transakcji. Za darmo zdobył na siedem lat kilkunastu silnych mężczyzn do pracy w polu.
- Ale jak przyjmie to twój ojciec? Jay wyszczerzył zęby.

- Wpadnie w furję, ale co będzie mógł mi zrobić, skoro jest tak daleko?
- Mam nadzieję, że masz rację - odparła z powątpiewaniem Lizzie. Jay nie znosił, gdy Lizzie podważała jego sądy.
- Takie rzeczy lepiej zostaw mężczyznom - mruknął. Jak zwykle, słowa te rozsierdziły ją i niezwłocznie przystąpiła do ataku.
- Z przykrością zobaczyłam tu Lennox'a. Nie rozumiem twego przywiązania do tego człowieka. Jay darzył Lennox'a mieszanymi uczuciami. Tutaj mógł również okazać się użyteczny, podobnie jak w Londynie... lecz jego obecność była przykra. Ponieważ Jay wyciągnął go z ładowni "Rosebud", Lennox uznał za oczywiste, że zamieszka w Mockjack Hall, a Jay nigdy nie zdobył się na to, żeby poruszyć ten temat.
- Pomyślałem sobie, że dobrze jest mieć zaufanego białego pod ręką - oświadczył beztrąsko.
- Ale co on ma tu robić?
- Sowerby potrzebuje pomocnika.
- Przecież Lennox nie ma zielonego pojęcia o uprawie tytoniu.
- Nauczy się. Zresztą główny problem to nie sama uprawa, ale jak zmusić czarnuchów do pracy.
- O, do tego to on się nadaje - odparła kąśliwie Lizzie. Jay nie chciał przedłużać rozmowy o Lennoksie.
- Zamierzam włączyć się w tutejsze życie publiczne oświadczył. - Chciałbym wejść do Zgromadzenia

Przedstawicielskiego. Ciekaw jestem, kiedy mi się to uda.

- Lepiej spotkaj się najpierw z sąsiadami i z nimi przedyskutuj tę sprawę. Skinął głową.

- Za jakiś miesiąc, kiedy dom będzie gotowy, wydamy wielkie przyjęcie, na które zaprosimy wszystkie ważne osobistości z okolic Fredericksburga. Pozwoli mi to wybadać nastawienie miejscowych obywateli.

- Przyjęcie... - mruknęła z powątpiewaniem Lizzie. A czy nas na to stać? Znów podważała jego sąd.

- Finanse zostaw mnie - warknął. - Jestem pewien, że wszystko dostaniemy na kredyt. Moja rodzina urzęduje w tych stronach od co najmniej dziesięciu lat i nazwisko Jamisson niemało tu znaczy. Ale Lizzie upierała się przy swoim.

- Czy nie lepiej przez rok czy dwa zająć się wyłącznie plantacją? - zapytała. - W ten sposób stworzysz sobie solidne podstawy materialne do działalności publicznej.

- Nie bądź głupia - odparł. - Nie przyjechałem tu, żeby zostać rolnikiem.

Sala balowa była niewielka, lecz miała wspaniałą posadzkę i balkonik dla orkiestry. Tańczyło w niej ze dwadzieścia lub trzydzieści par przybranych w jaskrawe atłasowe stroje. Mężczyźni nosili peruki, a kobiety kapelusze. Dwóch flecistów, perkusista i waltornista grało menueta. Tuziny świec rzucały blask na świeżo pomalowane ściany i kwietne

dekoracje. W innych pokojach goście grali w karty, palili, pili i flirtowali. Jay i Lizzie, wymieniając z gośćmi uśmiechy i ukłony, przeszli z sali balowej do jadalni. Jay miał na sobie jedwabny, jadowicie zielony strój, który kupił tuż przed wyjazdem z Londynu. Lizzie była w purpurze, swej ulubionej barwie. Jay myślał, że przyćmi ubiory innych gości, lecz ku swemu zdumieniu skonstatował, że Wirgińczycy nadążają za modą w równym stopniu jak londyńczycy. Wypił sporo wina i był w doskonałym nastroju. Obiad podano wcześniej, toteż teraz na stole znajdowały się tylko ciasta, galaretki ze śmietaną, wina, owoce. Przyjęcie kosztowało niemałą fortunę, ale okazało się sukcesem - pojawiły się wszystkie znaczące w okolicy osoby. Jedynym zgrzytem było wystąpienie nadzorcy Sowerby'ego, który wybrał sobie akurat ten dzień, żeby upomnieć się o zaległe pieniądze. Gdy młody Jamisson odparł, że nie jest w stanie mu zapłacić, dopóki nie sprzeda pierwszej partii tytoniu, Sowerby bezczelnie zapytał, skąd Jay zaczerpnął środki na wydanie przyjęcia dla pięćdziesięciu osób. Oczywiście nie miał gotówki - wszystko wziął na kredyt - ale duma nie pozwalała mu przyznać się do tego przed nadzorcą. Krzyknął więc po prostu na niego, żeby zamknął gębę. Sowerby sprawiał wrażenie bardzo zawiedzionego. Jay zastanawiał się chwilę, czy przypadkiem nadzorca nie ma jakichś poważnych kłopotów finansowych, ale nie drążył tematu. W jadalni przy kominku stało kilka osób: pułkownik Thumson z

żoną, Bili i Suzy Delahaye'owie oraz bracia Armstead, obaj kawalerowie. Thumsonowie byli bardzo szacowną i znaczącą rodziną. Sam pułkownik był przedstawicielem, członkiem Zgromadzenia Generalnego i poważnym, mającym wielkie mniemanie o sobie człowiekiem. Służył w armii brytyjskiej i milicji Wirginii, po czym przeszedł na emeryturę. Uprawiał tytoń i pomagał rządzić kolonią. Jay pomyślał, że powinien się na nim wzorować. Rozmawiano o polityce. Thumson powiedział:

- W zeszłym roku zmarł gubernator Wirginii i wszyscy czekamy na jego następcę. Jay przyjął pozę bywalca londyńskiego dworu.

- Król wyznaczył na to stanowisko Norborne'a Berkeleya, barona de Botetourt - poinformował swoich gości. John Armstead, który był już pijany, wybuchnął ochryplym śmiechem.

- Co za nazwisko! Jay przesłał mu lodowate spojrzenie.

- Słyszałem, że baron zamierzał opuścić Londyn niebawem po moim wyjeździe - oświadczył.

- Na razie funkcję gubernatora pełni jego zastępca, przewodniczący rady - wyjaśnił Thumson. Jay bardzo pragnął pokazać, że sprawy miejscowe nie są mu obce, powiedział więc:

- Zakładam, że to dlatego przedstawiciele wykazali tak mało zdrowego rozsądku i poparli List z Massachusetts. List stanowił protest przeciw cłom. Legislatura Massachusetts przesłała go królowi

Jerzemu, a następnie legislatura Wirginii wystosowała rezolucję aprobującą tezy zawarte w liście. Jay i większość londyńskich torysów potraktowała ów list i rezolucję Wirginii jako przejaw nielojalności. Thumson najwyraźniej nie zgadzał się z Jayem.

- Nie uważam, aby przedstawiciele wykazali mało zdrowego rozsądku - oświadczył wyniośle.

- Jego Wysokość podziela moje zdanie - odparł Jay. Nie wyjaśnił, skąd wie, co sądzi król, ale milczał znacząco, jakby chciał dać gościom do zrozumienia, że władca sam mu to powiedział.

- Cóż, przykro mi to słyszeć - powiedział Thumson, choć ton jego głosu wcale nie wskazywał na to, by było mu przykro. Jay czuł, że wkracza na śliski teren, ale chciał wyrzucić na rozmówcach wrażenie swoją orientacją w temacie.

- Jestem najgłębiej przekonany, że nowy gubernator zażąda wycofania rezolucji - stwierdził.

- Przedstawiciele odmówią - powiedział gwałtownie młodszy od Thumsona Bili Delahaye. Jego piękna żona, Suzy, położyła uspokajająco dłoń na ramieniu męża, ale on czuł się pewnie. - Ich obowiązkiem jest powiedzieć królowi prawdę, a nie żonglować pięknymi frazesami, które usatysfakcjonowałyby przypochebiających się mu torysów.

- Oczywiście nie wszyscy torysi to pochebcy - dodał taktownie Thumson.

- Jeśli przedstawiciele nie zgodzą się wycofać rezolucji, gubernator będzie zmuszony rozwiązać zgromadzenie - odrzekł Jay.
- Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie - wtrącił Roderick Armstead, trzeźwiejszy od swego brata.
- Jak to? - zdziwił się Jay.
- Parlamenty kolonii nieustannie są rozwiązywane z tego czy innego powodu. W takich przypadkach zbierają się ponownie, już nieformalnie, w gospodach czy w domach prywatnych, i w dalszym ciągu robią swoje.
- Przecież taki parlament nie ma żadnego statusu prawnego! - zaprotestował Jay.
- Ale ma przyzwolenie ludzi, na rzecz których działa, i to najwyraźniej wystarcza - odparł Thumson. Jay nieraz już słyszał podobne teorie. Idea, że rządy czerpią swój autorytet z przyzwolenia ludu, była niebezpiecznym nonsensem. Implikowała, że król nie ma prawa rządzić. To właśnie głosił po powrocie do Anglii John Wilkes. Jaya ogarnęła złość na Thumsona.
- W Londynie za głoszenie podobnych idei człowiek może trafić do więzienia, pułkowniku - oświadczył.
- Jesteśmy w Wirginii, nie w Londynie - odrzekł sucho Thumson.
- Czy próbowaliście już państwo galaretki? - zainteresowała Lizzie.
- Tak, jest wspaniała. Naprawdę wspaniała - odparła z przesadnym entuzjazmem żona pułkownika.

- Cieszę się. Podczas przygotowywania takiej galaretki łatwo ją zepsuć. Jay wiedział, że galaretka nic a nic Lizzie nie obchodzi, chciała po prostu skierować rozmowę na inne tory. Ale on nie da się odwieść od tematu, który go interesuje.
- Jestem zaskoczony niektórymi pańskimi poglądami, pułkowniku - oznajmił.
- O, widzę doktora Martina... Muszę zamienić z nim słówko - odparł gładko Thumson, wziął żonę pod rękę i przyłączył się do innej grupy.
- Panie Jamisson, jest pan u nas od niedawna - powiedział Bili Delahaye. - Przekona się pan, że żyjąc tu, patrzy się na wszystko z innej perspektywy. Nie mówił tego nieuprzejmie, ale wyraźnie sugerował, że młody Jamisson zbyt mało jeszcze wie o koloniach, żeby wyrobić sobie własne zdanie. Jay poczuł się obrażony.
- Jestem przekonany, mój panie, że mojej lojalności wobec naszego władcy, bez względu na to, gdzie wypadnie mi żyć, nic nie zachwieje. Delahaye spochmurniał.
- Niewątpliwie - powiedział, wziął żonę pod rękę i również odszedł.
- Muszę spróbować tej galaretki - oświadczył Roderick Armstead. Ruszył w kierunku stołu, zostawiając Jaya i Lizzie w towarzystwie swego pijanego brata.
- Polityka i religia... - wymamrotał John Armstead. Na przyjęciu nigdy nie należy rozmawiać o polityce i religii. Z tymi słowy zatoczył się do tyłu i padł

nieprzytomny na podłogę. Jay zszedł na śniadanie w południe. Bolała go głowa. Z Lizzie jeszcze się nie widział. Zajmowali sąsiednie sypialnie - luksus, na jaki nie mogli pozwolić sobie w Londynie. Żonę zastał w jadalni, nad porcją pieczonej szynki. Domowi niewolnicy sprząтали pokoje po balu. Na stole czekał na niego list. Jay usiadł, otworzył go, lecz zanim zdążył rozpocząć lekturę, Lizzie obrzuciła go gniewnym wzrokiem.

- Na Boga, dlaczego zacząłeś wczoraj tę sprzeczkę?

- Jaką sprzeczkę?

- Z Thumsonem i Delahaye'em oczywiście.

- To nie była sprzeczka, lecz dyskusja.

- Obraziłeś najbliższych sąsiadów.

- Są zanadto obrażalscy.

- Tak naprawdę to nazwałeś pułkownika Thumsona zdrajcą!

- Bo moim zdaniem jest zdrajcą.

- Jest właścicielem ziemskim, członkiem

Zgromadzenia Przedstawicielskiego, emerytowanym oficerem... Na litość boską, jak może być zdrajcą?

- Sama słyszałaś, co mówił.

- Najwyraźniej to tutaj normalne.

- Cóż, w moim domu nigdy to nie będzie normalne.

Sprzeczkę przerwała Sarah, kucharka. Jay polecił przynieść sobie herbatę i grzankę. Jak zwykle ostatnie słowo musiało należeć do Lizzie.

- Wydałeś mnóstwo pieniędzy, żeby ugościć sąsiadów, a osiągnąłeś tylko tyle, że cię znieubili - powiedziała i wróciła do przerwanego posiłku. Jay

popatrzył na list. Był od prawnika z Williamsburga. Duke of Gloucester Street Williamsburg 29 sierpnia 1768 roku Poleciał mi napisać do Pana, drogi Panie Jamisson, Pański ojciec, sir George. Witam Pana w Wirginii i mam nadzieję, że niebawem będę miał przyjemność zobaczyć się z Panem osobiście w stolicy kolonii. Zaskoczony Jay przerwał na chwilę czytanie. Taka troska nie leżała w charakterze jego ojca. Czyżby sir George stał się taki serdeczny dlatego, że Jay przebywa na końcu świata? Do tego czasu, gdyby potrzebna była Panu jakakolwiek pomoc, proszę bez wahania zwracać się do mnie. Wiem, że zastał Pan plantację w nie najlepszej kondycji i zapewne potrzebować Pan będzie finansowego wsparcia. Gdyby niezbędne okazało się zaciągnięcie pożyczki hipotecznej, pragnę zaoferować swe usługi Jestem przekonany, że udzielający pożyczki nie będzie czynił najmniejszych trudności. Pozostaję Pańskim pokornym i uniżonym sługą Matthew Murchman Jay uśmiechnął się. Dokładnie tego potrzebował. Remont i upiększenie domu oraz wystawne przyjęcie zadłużyły go u okolicznych kupców po uszy. Sowerby nieustannie domagał się surowców i zapasów: nowych narzędzi, odzieży dla niewolników, lin, farby... Lista zamówień nie miała końca.

- No cóż, dłużej już nie musisz martwić się o pieniądze powiedział do Lizzie i podał jej list. Popatrzyła na niego sceptycznie.

- Jadę do Williamsburga - oświadczył Jay.

Gdy Jay był w Williamsburgu, Lizzie dostała list od matki. Przede wszystkim zaskoczył ją sam adres zwrotny: Plebania Kościoła Świętego Jana Aberdeen 15 sierpnia 1768 roku Co matka robi na plebanii w Aberdeen? - zastanowiła się Lizzie, po czym czytała dalej: Mam Ci tyle do przekazania, moja droga Córko! Ale postaram się pisać przejrzyście, relacjonując krok po kroku wszystko, co się wydarzyło. Wkrótce po powrocie do High Glen twój szwagier, Robert Jamisson, przejął zarząd naszych dóbr. Sir George spłaca obecnie moją hipotekę, więc nie jestem w najlepszej sytuacji przetargowej. Robert prosił mnie, bym opuściła duży dom i zamieszkała w starym domku myśliwskim. Przyznaję, że nie byłam tym zachwycona, ponadto muszę dodać, że Robert nie okazał mi ani względów, ani troski, jakich mogłabym się spodziewać po członku rodziny. Lizzie ogarnął straszliwy gniew. Jak Jamisson śmiał wyrzucić jej matkę z domu? Przypomniała sobie słowa Roberta, gdy oznajmiła mu, że wybiera Jaya. "Nawet jeśli nie będę miał ciebie, to będę miał High Glen" - oświadczył wtedy. Wydawało się to niemożliwe, a jednak stało się dokładnie tak, jak zapowiedział. Zgrzytając ze złości zębami, Lizzie wróciła do listu. W tym też mniej więcej czasie wielebny York poinformował mnie, że wyjeżdża. Przez piętnaście lat pełnił funkcję pastora w Heugh i był moim najstarszym przyjacielem. Byłam świadoma, że po tragedii, jaką stała się dla

niego przedwczesna śmierć żony, musi wyjechać i rozpocząć życie w jakimś innym miejscu, ale możesz sobie wyobrazić moją rozpacz. Opuszczał mnie w chwili, gdy najbardziej potrzebowałam przyjaciela. I wtedy zdarzyła się rzecz najbardziej zdumiewająca. Moja droga, aż rumienię się na myśl, że muszę ci o tym napisać, ale pastor poprosił mnie o rękę, a ja te oświadczyły przyjąłem! - Dobry Boże! - wykrzyknęła głośno Lizzie. Tak więc jesteśmy już po ślubie i przeprowadziliśmy się do Aberdeen, skąd piszę ten list. Ktoś może powiedzieć, że jako wdowa po lordzie Hallimie popełniłam megalomanię. Ale wiem, jak niewiele znaczą tytuły, a John nie dba o to, co mówią i myślą ludzie z towarzystwa. Żyjemy cicho i skromnie, jestem tu znana jako pani York i nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa jak teraz. List zawierał jeszcze inne wiadomości - o pasierbach, o służbie zatrudnionej na plebanii, o pierwszym kazaniu pastora Yorka, o kobietach z kongregacji - ale Lizzie była zbyt poruszona ponownym zamążpójściem lady Hallim, żeby w pełni ogarnąć wszystkie informacje. Nigdy jej nawet przez myśl nie przeszło, że matka mogłaby powtórnie wyjść za mąż. Ale przecież nie istniał żaden powód, dla którego miałyby tego nie zrobić. Liczyła sobie zaledwie czterdzieści lat i mogła nawet mieć jeszcze dzieci. To nie było niemożliwe. Lizzie poczuła się wyrzucona na bruk. High Glen zawsze było jej domem. Jakkolwiek żyła w Wirginii, o domu w Szkocji nadal myślała jak o miejscu, do którego w każdej chwili może wrócić,

jeśli potrzebować będzie cichej przystani. Teraz High Glen przeszło w ręce Roberta. Lizzie zawsze była oczkiem w głowie matki i nie sądziła, żeby mogło się to kiedykolwiek zmienić. Ale teraz jej matka jest żoną pastora, mieszka w Aberdeen z trójką pasierbów, których kocha i o których się troszczy, a w niedalekiej przyszłości urodzi zapewne własne dziecko. Oznaczało to, że jedynym domem Lizzie stała się plantacja, a jedyną rodziną - Jay. No cóż, musi zatem urządzić się jak najwygodniej tutaj, w Ameryce. Miała tu wszystko, czego kiedyś pragnęła: ogromny dom, posiadłość liczącą tysiąc akrów, przystojnego męża i niewolników spełniających każdą jej zachciankę. Domowa służba uwielbiała swą panią. Sarah była kucharką, gruba Belle sprzątała dom, a Mildred pełniła rolę osobistej pokojówki oraz od czasu do czasu usługiwała przy stole. Belle miała dwunastoletniego synka, Jimmiego, który był chłopcem stajennym. Jego ojciec przed kilku laty został sprzedany. Lizzie, poza Mackiem, nie знаła jeszcze robotników rolnych, ale lubiła pomocnika nadzorcy, Kobe'a, i kowala Cassa, którego kuźnia mieściła się na tyłach domu. Sam dom jednak, choć rozległy i okazały, wypełniała nieprzyjemna pustka. Budynek był zbyt wielki, pasował bardziej do rodziny z sześciorgiem dorastających dzieci, kilkoma ciotkami, dziadkami oraz całą armią służących, którzy zapalaliby ogień w kominkach w licznych pokojach i usługiwali do stołu podczas wspólnych obiadów i kolacji. Jay i Lizzie

czuli się w nim trochę jak w mauzoleum. Lecz sama plantacja była wspaniała: gęste lasy porastające stoki wzgórz, łąki pokryte bujną trawą, setki strumieni. Lizzie zdawała sobie sprawę z tego, że Jay nie jest partnerem, o jakim marzyła. Kiedy zabrał ją do sztolni, sądziła, że jest człowiekiem niezależnego ducha. Myliła się bardzo. Miary dopełniło kłamstwo, jakiego dopuścił się wobec niej w sprawie kopalni w High Glen. Wstrząsnęło to nią dogłębnie. Od tej chwili nie potrafiła już darzyć go takim uczuciem jak dotąd. Przestali baraszkować ze sobą rankami w łóżku. Prawie całe dni spędzali z dala od siebie. Obiady i kolacje jadali wprawdzie razem, lecz nie zasiadali już wspólnie przed kominkiem, by trzymając się za ręce gawędzić o wszystkim i o niczym - tak, jak to bywało dawniej. Ale zapewne i Jaya spotkało rozczarowanie co do jej osoby. Prawdopodobnie nie okazała się tak doskonała, jak początkowo myślał. Nie było już jednak miejsca na próżne żale. Zostali skazani na siebie i musieli nauczyć się żyć ze sobą. Mimo tej świadomości Lizzie często ogarniała nieprzeparta chęć ucieczki. W takich chwilach musiała przypominać sobie, że jest w ciąży i nie może myśleć wyłącznie o swoich potrzebach. Dziecko musi mieć ojca. Jay rzadko mówił o dziecku. Wyglądało na to, że ta sprawa niewiele go interesuje. Ale kiedy dzieciak już się urodzi, Jay z pewnością zmieni zdanie - zwłaszcza jeśli na świat przyjdzie chłopiec. Lizzie wsunęła list do szuflady, wydała służbie domowej dyspozycje na

cały dzień, zarzuciła na plecy ciepłą pelerynę, by uchronić się przed chłodem, i wyszła przed dom. Była już połowa października; na plantacji mieszkali od dwóch miesięcy. Piechotą ruszyła przez trawnik w stronę rzeki. Zaczął się szósty miesiąc ciąży, dziecko już kopało czasami bardzo boleśnie, i Lizzie obawiała się, że jej konne eskapady mogłyby maleństwu wyrządzić krzywdę. Prawie codziennie obchodziła całą posiadłość. Zazwyczaj towarzyszyły jej dwa ogary, Roy i Rex, które kupił Jay. Lizzie w przeciwieństwie do męża żywo interesowała się sprawami plantacji. Starła się dowiedzieć jak najwięcej o produkcji tytoniu i dokładnie liczyła bele; obserwowała pracę drwali i bednarzy; doglądała krów i koni na pastwiskach oraz kur i gęsi w obejściu. Tego dnia wypadła niedziela, robotnicy mieli wolny od pracy dzień, zatem nadarzała się wyjątkowa okazja, by pod nieobecność Sowerby'ego i Lennox'a wetknąć wszędzie nos. Roy ruszył za swoją panią natychmiast, ale rozleniwiony Rex najwyraźniej nie zamierzał opuszczać werandy. Praca przy tytoniu jeszcze się nie skończyła. Wprawdzie zbiór ukończono, ale było sporo roboty przy liściach: suszenie, regulowanie wilgotności, żyłowanie, doprasowywanie belików, a na końcu załadunek i ekspedycja do Londynu lub Glasgow. Trwał siew pszenicy ozimej na polu zwanym Stream Quarter, a także jęczmienia, żyta i koniczyny na polu Lower Oak. Ale okres największego spiętrzenia prac polowych, kiedy robotnicy od świtu do zmierzchu

przebywali na polach, a później aż do północy pracowali w szopach przy blasku świec, minął. Powinni zostać za swój trud w jakiś sposób wynagrodzeni, pomyślała Lizzie. Nawet niewolnicy i skazańcy potrzebują zachęty. Przyszła jej do głowy myśl, aby wyprawić dla nich przyjęcie. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej ten pomysł jej się podobał. Wiedziała, że Jay, który naturalnie ostro by zaprotestował, nie wróci tak szybko do domu - Williamsburg oddalony był o trzy dni drogi - więc do jego powrotu zdąży się ze wszystkim uporać. Ruszyła brzegiem Rapahannock, układając w głowie plan przyjęcia. W okolicach plantacji rzeka była już płytka i kamienista - jej żeglowny odcinek kończył się we Fredericksburgu. Lizzie wyminęła kępę gęstych zarośli i stanęła jak wryta. W rzece, zanurzony po pas, odwrócony do niej barczystymi plecami stał mężczyzna i mył się. Był to McAsh. Roy zaszczekał, ale w następnej chwili rozpoznał Macka. Lizzie już raz widziała go w rzece nagiego. Od tego czasu upłynął prawie rok. Nieustannie miała w pamięci chwile, gdy wycierała go własną halką. Wówczas wydawało się to całkiem naturalne, lecz z upływem czasu zaczęła, nabierać przekonania, że wszystko to musiało się jej po prostu przyśnić. Blask księżyca, szmer wody i potężnie zbudowany mężczyzna, który jednocześnie sprawiał wrażenie bardzo delikatnego. I ten moment, kiedy przytuliła go do siebie, by ogrzać własnym ciałem... Lizzie cofnęła się i obserwowała wychodzącego z wody

Macka. Przed oczami stanął jej inny obraz z przeszłości. Pewnego popołudnia w High Gleen spłoszyła jelenia, który przyszedł do wodopoju. Wspomnienie było bardzo wyraźne. Lizzie wyszła zza drzew i nieoczekiwanie znalazła się kilka jardów przed dwu lub trzyletnim jelonkiem. Zwierzę uniosło łeb i popatrzyło w jej stronę. Drugi brzeg potoku był stromy, więc jeleni musiał przejść obok intruza. Gdy wychodził z wody, srebrzyste krople lśniły na jego umięśnionych bokach. Lizzie miała w rękach strzelbę, naładowaną i odbezpieczoną, ale nie potrafiła zdobyć się na strzał. Nie miała serca zabijać zwierzęcia znajdującego się tak blisko. Teraz, na widok strużek wody spływających po skórze Macka, przypomniała sobie tamtego jelenia. Mimo okropnych przejść McAsh zachował grację młodego zwierzęcia. Gdy schylał się po spodnie, Roy skoczył w jego stronę. Mack uniósł głowę, ujrzał Lizzie i zaskoczony znieruchomiał.

- Mogłabyś się odwrócić - mruknął w końcu.

- Równie dobrze mógłbyś odwrócić się ty - odparła.

- Ja tu byłem pierwszy.

- Ale te ziemie należą do mnie! - powiedziała ostro.

Zdumiewające, jak łatwo przyszło mu ją zirytować.

Najwyraźniej wcale nie czuł się od niej gorszy. Choć ona była wytworną damą, a on skazańcem

wykonującym na plantacji najczarniejszą robotę, nie widział najmniejszych powodów, żeby okazywać jej jakiegokolwiek względy. Jego śmiałość trwożyła, ale przynajmniej był szczery. McAsh żadną miarą nie

zasługuje na miano krętacza, pomyślała. Jay, przeciwnie, nigdy nie próbował osiągnąć celu prostą drogą i nigdy nie była pewna, co naprawdę myśli, a gdy zadawała pytania, nie odpowiadał wprost, ale od razu przybierał postawę zaczepną, jakby o coś go oskarżała. Mack zawiązywał troki podtrzymujące spodnie. Był najwyraźniej rozbawiony.

- Do mnie również należą - stwierdził. Lizzie popatrzyła na jego tors. Znow był umięśniony jak dawniej.

- Już cię widziałam nagiego - mruknęła. W jednej chwili opuściło ich napięcie. Oboje jednocześnie wybuchnęli śmiechem, jak wtedy przed kościołem, gdy Esther kazała Mackowi zamknąć się.

- Zamierzam urządzić przyjęcie dla robotników rolnych - powiedziała Lizzie. Mack włożył koszulę.

- Jakie znow przyjęcie? - zapytał. Lizzie pomyślała, że nie miałyby nic przeciwko temu, aby dłużej pozostawał bez koszuli. Widok jego ciała sprawiał jej wielką przyjemność.

- A jakie byś chciał? Mack myślał chwilę.

- Mogłabyś zorganizować na tyłach domu ognisko. Robotnicy najbardziej spragnieni są dobrego jedzenia. Dużo, dużo mięsa, którego nigdy nie mamy dosyć.

- Ale co najbardziej lubią?

- Hmm... - Oblizał usta. - Czasami dobiegający z kuchni zapach pieczonej szynki sprawia, że aż wierci nas w brzuchach. Wszyscy lubią też słodkie ziemniaki. I pszenne pieczywo. Niewolnicy w polu

bez przerwy jedzą tylko przaśny kukurydziany chleb zwany razowcem. Lizzie była rada, że zagadnęła Macka na ten temat.

- A co lubią pić?

- Rum. Ale czasami, gdy sobie podochocą, nachodzi ich ochota do bójek. Na twoim miejscu dałbym im jablecznik lub piwo.

- Świetny pomysł.

- A co z muzyką? - zapytał Mack. - Murzyni uwielbiają tańczyć i śpiewać. Lizzie była bardzo zadowolona. Podobało jej się, że razem z Mackiem planuje przyjęcie.

- No dobrze... ale kto zagra?

- W knajpach Fredericksburga występuje pewien wolny Murzyn. Zwią go Pepper Jones. Możesz go wynająć. Gra na banjo. Lizzie wiedziała, że "knajpa" jest określeniem gospody, ale ze słowem "banjo" zetknęła się po raz pierwszy.

- A co to takiego to banjo? - zapytała.

- Afrykański instrument. Nie wydaje tonów tak słodkich jak flet, ale za to jego muzyka jest bardziej rytmiczna.

- Skąd wiesz o tym człowieku? Kiedy byłeś we Fredericksburgu? Twarz Macka spochmurniała.

- Wybrałem się tam pewnej niedzieli - odparł niechętnie.

- Po co?

- Szukałem Cory.

- Znalazłeś ją?

- Nie.

- Przykro mi. Wzruszył ramionami.
- Każdy kogoś traci. Zanim szybko odwrócił głowę, zauważyła, że przez jego twarz przemknął cień smutku. W pierwszym odruchu chciała zarzucić mu ręce na szyję, pocieszyć, ale się powstrzymała. Była przecież w ciąży i nie mogła brać w objęcia nikogo poza własnym mężem.
- Jak myślisz, czy Pepper Jones zgodzi się u mnie zagrać? - zapytała po chwili.
- Jestem tego pewien. Widziałem, jak grał w kwaterach niewolników na plantacji Thumsona.
- A coś ty tam robił? - zainteresowała się Lizzie.
- Poszedłem z wizytą.
- Nie słyszałam, żeby niewolnicy składali komukolwiek wizyty.
- Musimy coś robić poza samą pracą.
- A co robicie?
- Mężczyźni lubią walki kogutów. Potrafią nieraz przejść dziesięć mil, żeby je obejrzeć. Młode kobiety lubią młodych mężczyzn. Starsi patrzą na dzieci innych i rozmawiają o utraconych braciach i siostrach. I śpiewają. Afrykańczycy znają mnóstwo smętnych pieśni. Nie rozumiem słów, ale ich melodie przyprawiają mnie o gęsią skórkę.
- Górnicy też śpiewali. Mack milczał przez chwilę.
- Owszem, śpiewaliśmy - odparł wreszcie. Lizzie zauważyła, że posmutniał.
- Czy zamierzasz wrócić do High Glen?
- Nie. A ty? W oczach Lizzie pojawiły się łzy.

- Nie - odrzekła jak echo. - Nie sądzę, żeby tobie czy mnie dane było kiedykolwiek tam wrócić... Au! - wykrzyknęła cicho, gdy dziecko ją kopnęło.
- Co się stało? - zapytał Mack. Położyła dłoń na swym dużym brzuchu.
- Już kopie. Nie chce, żebym tęskniła za High Glen. Ono chce zostać Wirgińczykiem. Au...! O, znowu!
- Czy naprawdę kopie aż tak mocno?
- Naprawdę... sam zobacz. Ujęła jego dłoń i przyłożyła do swego brzucha. Skóra na palcach i dłoni Macka była zrogowaciała, lecz sam dotyk delikatny. Ale dziecko już się uspokoiło.
- Kiedy nastąpi rozwiązanie?
- Za dziesięć tygodni.
- Wybraliście już imię?
- Mój mąż zdecydował, że jeśli to chłopiec, będzie nazywał się Jonathan, a jeśli dziewczynka, Alicia. Dziecko ponownie kopnęło.
- Rzeczywiście mocno! - zawołał ze śmiechem Mack i cofnął rękę. - Nic dziwnego, że krzywisz się z bólu. Lizzie poczuła zawód - pragnęła, żeby dłużej trzymał dłoń na jej brzuchu. Aby to ukryć, zmieniła temat.
- Powinnam porozmawiać o tym przyjęciu z Billem Sowerbym.
- Czyżbyś nie wiedziała?
- O czym?
- Że Bili Sowerby odszedł.
- Odszedł...? Jak to?
- Po prostu zniknął.
- Kiedy?

- Przed dwoma dniami. Lizzie dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie widziała nadzorcy od kilku dni. Nie zwróciła na to uwagi, ponieważ nie musiała spotykać się z nim codziennie.

- Czy powiedział, kiedy wróci?

- Nie wiem, czy w ogóle z kimkolwiek o tym rozmawiał. Moim zdaniem nie wróci nigdy.

- Dlaczego?

- Jest winien Sidneyowi Lennoxowi masę pieniędzy i nie ma z czego oddać. Lizzie była wzburzona.

- Rozumiem, że od chwili jego odejścia funkcję nadzorcy pełni Lennox?

- Jak dotąd, tylko jeden dzień... Ale tak, jest nadzorcą. - Nie chcę, żeby ten nikczemnik zarządzał plantacją powiedziała gwałtownie.

- Nikt z robotników tego nie chce - odparł Mack.

Lizzie spojrzała na niego nieufnie. Jej mąż był dłużny Sowerby'emu masę pieniędzy, ale oświadczył nadzorcy, że wypłaci mu zaległe pensje po sprzedaży pierwszej partii tytoniu. Dlaczego Sowerby jeszcze trochę nie poczekał? W końcu by spłacił swoje długi. Musiał się bać. Lizzie zaczęła podejrzewać, że Lennox groził nadzorcy. Im więcej o tym myślała, tym większy ogarniał ją gniew.

- Jestem pewna, że to Lennox zmusił Sowerby'ego do odejścia - oświadczyła. Mack skinął głową.

- Niewiele o tej sprawie wiem, ale myślę podobnie jak ty. Też walczyłem z Lennoxem i sama widzisz, jaki los mnie spotkał. Nie litował się nad sobą, ale w jego

głosie czuć było wielką gorycz. Lizzie dotknęła jego ramienia i powiedziała:

- Powinieneś być z siebie dumny. Jesteś odważny i honorowy.

- A Lennox jest przekupny i bezlitosny, więc sama widzisz, czym się to skończyło. Już został nadzorcą. Nakradnie u was tyle, że niebawem otworzy we Fredericksburgu własną gospodę. Tylko patrzeć, jak zacznie tu żyć tak samo jak w Londynie.

- Chyba że ja temu położę kres - mruknęła Lizzie. Zamierzam niezwłocznie odbyć z nim rozmowę. -

Lennox zajmował dwupokojowy domek obok baraków z tytoniem, blisko kwatery Sowerby'ego. - Mam nadzieję, że zastanę go w domu.

- Nie o tej porze. Niedziele spędza w "Przystani". To jakieś trzy, cztery mile stąd w górę rzeki. Zasiedzi się tam do późnej nocy. Lizzie nie mogła czekać do następnego dnia. W sytuacjach takich jak ta nigdy nie potrafiła zdobyć się na cierpliwość. - Pojadę zatem do "Przystani". Nie wolno mi wprawdzie dosiadać konia, ale wezmę dwukólkę zaprzężoną w kucyka. Mack zmarszczył brwi.

- Czy nie lepiej porozmawiać z Lennoxem tutaj, gdzie jesteś panią domu? To nieobliczalny człowiek. Lizzie pomyślała, że Mack ma rację. Lennox jest niebezpieczny. Ale nie mogła przecież unikać konfrontacji z tym człowiekiem. Gdyby coś się działo, Mack ją obroni.

- Będę bezpieczna, jeśli pojedziesz ze mną - powiedziała. - Oczywiście.

- Poprowadzisz powóz?

- Najpierw musisz mi pokazać, jak to się robi.

- To żadna sztuka. Wrócili znad rzeki do domu.

Stajenny Jimmy właśnie czyścił konie. Mack wyprowadził z wozowni dwukółkę i zaprzągnął kucyka. Lizzie tymczasem poszła do swego pokoju po kapelusz. Opuścili tereny plantacji i ruszyli prowadzącą brzegiem rzeki drogą do przeprawy promowej. "Przystań" była drewnianym budynkiem niewiele większym od dwuizbowych domków, w których mieszkali Sowerby i Lennox. Lizzie pozwoliła Mackowi pomóc sobie wysiąść z powozu i przytrzymać drzwi, gdy wchodziła do gospody. W środku panował półmrok, a w powietrzu wisiała gęsta chmura tytoniowego dymu. Na ławach i drewnianych krzesłach siedziało z dziesięć lub dwanaście osób, popijając z cynowych kuflów przykrywkami i glinianych dzbanków. Niektórzy grali w karty lub w kości, inni po prostu pili, kurząc fajki. Z drugiej sali dobiegał dźwięk bilardowych kul. Nie było tu ani kobiet, ani czarnych. Mack wszedł za Lizzie, ale zatrzymał się w zalegającym obok drzwi cieniu. W przejściu do sali na zapleczu pojawił się wycierający ręcznikiem ręce mężczyzna.

- Czym mogę panu służyć...? O, kobieta!

- Niczym, dziękuję - odparła głośno Lizzie. W sali zapadła cisza. Lizzie obrzuciła wzrokiem zwrócone w jej stronę twarze. Lennox siedział w kącie, pochylony nad kubkiem z kośćmi. Na niewielkim stoliku piętrzyło się kilka stosów monet. Twarze

grających wyrażały niezadowolenie - przerwano im w najbardziej nieodpowiednim momencie. Nadzorca, wyraźnie grając na zwłokę, skrupulatnie zgarnął na kupkę leżące przed nim monety, wstał i zdjął kapelusz. - Co pani tu robi, pani Jamisson? - zapytał.

- Na pewno nie przyszłam grać w kości - oświadczyła. - Gdzie się podział Sowerby? Doszedł ją pomruk pełen aprobaty, jakby zebrani w gospodzie również chcieli wiedzieć, co przytrafiło się nadzorcy. Lizzie spostrzegła, że jakiś siwowłosy mężczyzna odwraca się na krześle i patrzy w jej stronę.

- Wygląda na to, że poszedł sobie - odparł Lennox.

- Dlaczego mi o tym od razu nie powiedziałaś?

- Ponieważ i tak nie mogłaby pani nic zrobić - stwierdził Lennox wzruszając ramionami.

- Zawsze muszę o takich sprawach wiedzieć. Drugi raz tego nie rób. Czy mówię jasno? Lennox nie odpowiedział.

- Dlaczego Sowerby odszedł?

- A skąd mogę to wiedzieć?

- Był dłużny pieniądze - mruknął siwowłosy. Lizzie gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

- Komu?

- Jemu. - Siwowłosy wskazał kciukiem Lennox.

Lizzie odwróciła się do nadzorcy.

- Czy to prawda?

- Tak.

- Po co?

- Nie rozumiem...

- Dlaczego pożyczył od ciebie pieniądze?

- Nie pożyczył. Przegrał.
- Graliście?
- Tak.
- A kiedy ci nie mógł zapłacić, groziłeś mu?
Siwowłosy wybuchnął śmiechem.
- Czy mu groził? Jasne, że tak.
- Po prostu domagałem się swoich pieniędzy -
wyjaśnił chłodno Lennox.
- I dlatego Sowerby odszedł?
- Już mówiłem, że nie wiem, dlaczego odszedł.
- Jestem przekonana, że bał się ciebie. Na twarzy
Lennox'a pojawił się paskudny uśmiezek.
- Mnie się boi wielu ludzi - odparł z nie skrywaną
satysfakcją. Lizzie ogarnęła wściekłość i jednocześnie
strach.
- Postawmy sprawę jasno - powiedziała. Głos jej
zadrżał i musiała przełknąć ślinę, żeby nad nim
zapanować. - Jestem właścicielką plantacji i masz
robić to, co ci powiem. Do powrotu mojego męża ja
tu sprawuję władzę. Potem on sam zdecyduje, kim
zastąpić Sowerby'ego. Lennox potrząsnął głową.
- O, nie! Ja jestem zastępcą Sowerby'ego. Pan
Jamisson wyraźnie powiedział, że gdyby Sowerby
zachorował lub coś mu się przytrafiło, mam przejąć
jego obowiązki. A poza tym, co pani wie o uprawie
tytoniu?
- Tyle samo, co londyński szynkarz.
- Cóż, pan Jamisson sądzi inaczej, i rozkazy odbiorę
tylko od niego. Lizzie chciało się krzyczeć ze złości.

Nie może przecież pozwolić, by ten człowiek zarządzał jej plantacją.

- Ostrzegam cię, Lennox... Lepiej mi się nie sprzeciwiaj! - A jeśli się sprzeciwię? - Nadzorca postąpił krok w jej stronę, wyszczerzył zęby i do Lizzie dotarła zgnięła woń jego oddechu. Musiała się cofnąć. Zgromadzeni w gospodzie zamarli w bezruchu. - Co mi pani robi, pani Jamisson? zapytał, cały czas zbliżając się do Lizzie. - Powali mnie pani na ziemię? - Uniósł nad głową pięść i podszedł jeszcze bliżej. Lizzie wydała okrzyk przestachu i odskoczyła do tyłu. Natrafiła na krzesło i usiadła na nim z impetem. Nagle między nią a Lennoxem wskoczył Mack.

- Podniosłeś rękę na kobietę, Lennox - warknął. - Teraz spróbuj podnieść ją na mężczyznę.

- To ty? - zdziwił się Lennox. - Nie wiedziałem, że to ty. Stałeś w kącie jak czarnuch.

- Ale teraz, kiedy już wiesz, kim jestem, co zrobisz?

- Jesteś przeklętym głupcem, McAsh. Zawsze stajesz po przegranej stronie.

- Ublżyłeś kobiecie, która jest żoną twego pana... Nie nazwałbym tego rozsądnym postępowaniem.

- Nie przyszedłem się tu kłócić. Przyszedłem pograć w kości - burknął Lennox, odwrócił się na pięcie i wrócił do swego stolika. Lizzie, wściekła i rozgoryczona, wstała z krzesła.

- Chodźmy stąd - powiedziała do Macka. McAsh otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Gdy już opadły pierwsze emocje, Lizzie pomyślała, że musi

dowiedzieć się więcej o uprawie tytoniu. Lennox zamierzał przejąć stanowisko nadzorcy i wyeliminować go mogła tylko wtedy, jeśli przekona Jaya, że ona sama lepiej sprawować będzie tę funkcję. Już teraz wiedziała niemało o zarządzaniu plantacją, lecz na samej uprawie tytoniu znała się słabo. Następnego dnia ponownie wyprowadziła ze stajni kucyka, kazała zaprząć go do dwukółki i z Jimmym na koźle ruszyła na plantację pułkownika Thumsona. W ciągu tygodni, które upłynęły od przyjęcia, sąsiedzi bardzo chłodno odnosili się do Lizzie i Jaya - zwłaszcza do Jaya. Zapraszano ich wprawdzie na oficjalne spotkania publiczne, bale i bankiety weselne, ale już na mniejsze uroczystości, na obiady czy kolacje w wąskim gronie, nikt ich nie prosił. Jednak gdy tylko Jay wyjechał do Williamsburga, o czym najwyraźniej wszyscy dobrze wiedzieli, pani Thumson i Suzy Delahaye natychmiast zaprosiły Lizzie na herbatę. Trochę ją krępowało, że sąsiedzi wolą, gdy pojawia się bez męża, ale przecież Jay obraził ich na przyjęciu. Powóz jechał przez teren plantacji Thumsona. Lizzie zachwyił panujący wokół porządek. Na nabrzeżu stały rzędy przygotowanych do wysyłki skrzyń tytoniu. Niewolnicy byli dobrze odżywieni, schludnie ubrani i pracowali z wyraźną ochotą; budynki gospodarcze zostały niedawno pomalowane, a na polach panował wzorowy ład. Na łące dostrzegła pułkownika, który otoczony gromadką robotników coś im pokazywał i tłumaczył. Jay nigdy nie

wychodził w pole, aby osobiście udzielać porad i instrukcji. Pani Thumson była sympatyczną korpulentną niewiastą po pięćdziesiątce. Dwaj synowie Thumsona osiągnęli już pełnoletniość i wyprowadzili się z domu. Gospodyni podała herbatę i zaczęła wypytywać o przebieg ciąży. Lizzie wyznała, że od czasu do czasu odczuwa bóle w krzyżu i nieustannie męczy ją zgaga. Pani Thumson pocieszała, że u niej występowały dokładnie takie same objawy. Lizzie przyznała się również do tego, że raz czy dwa miała lekkie krwawienie. Pani Thumson zmarszczyła brwi i odparła, iż jej wprawdzie nic takiego nie spotkało, ale że nie jest to nic poważnego. Przyszła matka powinna po prostu więcej odpoczywać. Jednak Lizzie nie przybyła przecież do sąsiadów po to, żeby rozmawiać o ciąży. Ucieszyła się więc, gdy wreszcie przy stole pojawił się pułkownik. Thumson dawno już przekroczył pięćdziesiąt lat, był wysoki, siwy i jak na swój wiek nadzwyczaj dziarski. Przywitał gościa dość oschle, lecz Lizzie szybko ujęła go swym uśmiechem i komplementami.

- Dlaczego pańska plantacja wygląda znacznie korzystniej niż inne? - zapytała.

- Miło mi to słyszeć - odrzekł. - Chyba główną przyczyną tego stanu rzeczy jest to, że cały czas jestem na miejscu. Widzi pani, Bili Delahaye nieustannie wyjeżdża na wyścigi konne i walki kogutów. John Armstead więcej pije, niż pracuje, a jego brat całe popołudnia spędza na grze w bilard i

w kości w "Przystani". O Mockjack Hall nie wspomniał ani słowem.

- A co sprawia, że pańscy niewolnicy mają tyle energii?

- Cóż, to zależy wyłącznie od tego, jak ich się karmi. Najwyraźniej dzielenie się swymi doświadczeniami z młodą sąsiadką sprawiało mu wiele zadowolenia. - Mogą naturalnie żyć o mamałydze i razowcu, ale dużo lepiej pracują, jeśli codziennie dostają rybę, a raz w tygodniu mięso. Wiem, że to kosztowne, ale w sumie wypada dużo taniej niż kupowanie co kilka lat nowych niewolników.

- Dlaczego w ostatnim czasie zbankrutowało tyle plantacji? - Na uprawie tytoniu trzeba się znać. Krzewy tytoniowe bardzo wyczerpują ziemię. Po czterech czy pięciu latach gleba jałowieje. Wtedy te pola należy przeznaczyć pod zasiew pszenicy lub kukurydzy, a dla tytoniu znaleźć inne ziemie.

- Ale to oznacza konieczność nieustannego poszerzania terenów uprawnych...

- Zgadza się. Każdej zimy karczuję lasy, a na ich miejscu uprawiam tytoń.

- Ma pan szczęście... pańskie włości są tak rozległe.

- W pani majątku również jest sporo lasów. Gdy ziemi uprawnej zaczyna brakować, trzeba nabywać lub wynajmować nowe tereny.

- Czy wszyscy tak postępują?

- Nie. Niektórzy zaciągają u kupców kredyt w nadziei, że cena tytoniu wzrośnie i wtedy wyjdą na swoje. Dick Richards, poprzedni właściciel waszej

plantacji, tak właśnie robił, no i skończyło się to tak, że właścicielem tych terenów został pani teść. Lizzie nie wspomniała, że Jay udał się do Williamsburga właśnie w celu zaciągnięcia pożyczki.

- Możemy oczyścić Stafford Park i przygotować nowe ziemie pod wiosenny zasiew - powiedziała. Był to oddalony od plantacji o dziesięć mil w górę rzeki dziki obszar, który nie przylegał bezpośrednio do głównej posiadłości. Z powodu oddalenia grunty te były zaniebywane i Jay już kilkakrotnie próbował je wydzierżawić lub sprzedać. Ale chętnych nie było.

- Dlaczego nie zacząć od Pond Copse? - podsunął pułkownik. - Znajduje się blisko waszych magazynów, a ziemia jest tam przednia. Ale proszę mi wybaczyć... - Zerknął na wiszący nad kominkiem zegar. - Przed nocą muszę jeszcze odwiedzić magazyny. Lizzie wstała.

- Ja również powinnam wracać, żeby rozmówić się z moim nadzorcą.

- Niech się pani nie przemęcza, pani Jamisson - napomniał pułkownik. - Proszę nie zapominać o dziecku.

- Obiecuję, że będę dużo odpoczywać - odparła z uśmiechem Lizzie. Pułkownik Thumson pocałował żonę i wyszedł razem z Lizzie przed dom. Pomógł jej wsiąść do powozu i towarzyszył konno aż do miejsca, gdzie stały magazyny.

- Proszę mi wybaczyć osobistą uwagę, ale jest pani nadzwyczajną młodą damą, pani Jamisson.

- Dziękuję - odrzekła.

- Mam nadzieję, że będziemy się częściej widywać. Uśmiechnął się, jego błękitne oczy zaśniły. Ujął dłoń Lizzie, a kiedy unosił ją do ust, niby przypadkiem otarł się ręką o jej pierś. - Ilekroć będzie pani potrzebowała pomocy, proszę bez wahania zwrócić się do mnie. Odjechała bez słowa. Oto otrzymałam pierwszą propozycję cudzołóstwa, pomyślała. I to ja, kobieta w szóstym miesiącu ciąży. Sprośny, lubieżny staruch! Zapewne powinna wpaść w gniew, ale w rzeczywistości była bardzo z siebie rada. Oczywiście nigdy z oferty pułkownika Thumsona nie skorzysta, ale sam fakt, że nadal budzi w mężczyznach pożądanie, bardzo jej pochlebiał.

- Pośpiesz się, Jimmy - powiedziała do stajennego. Mam wielką ochotę na kolację. Następnego ranka poleciła Jimmy'emu sprowadzić do swego salonu Lennox. Od incydentu w "Przystani" nie widziała się z nadzorcą ani razu. Czuła przed nim coś więcej niż strach i przez chwilę rozważała myśl, czy nie posłać również po Macka, aby zapewnił jej bezpieczeństwo. Odrzuciła jednak ten pomysł uważając, że we własnym domu nie musi się niczego obawiać. Siedziała na wielkim rzeźbionym krześle, które zapewne przywieziono z Anglii jakieś sto lat temu. Lennox pojawił się dwie godziny później w zabłoconych butach. Lizzie zdawała sobie sprawę, iż zwłoka ta wynikała z chęci pokazania, iż nadzorca nie zamierza na każde jej gwizdnięcie stawiać słupka. Prawdopodobnie na wypadek, gdyby wypomniała mu spóźnienie, miał przygotowaną jakąś wiarygodną

wymówkę, toteż postanowiła zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

- Zamierzamy oczyścić Pond Copse pod przyszłoroczne zasiewy tytoniu - oświadczyła. - Chcę, żebyście zaczęli tam pracę od jutra.

- Po co? - zapytał.

- Hodowcy tytoniu muszą przygotowywać nowe grunty pod uprawę. To jedyny sposób na uzyskanie wysokich zbiorów. Rozejrzałam się po okolicy. Pond Copse jest miejscem najbardziej obiecującym. Zresztą pułkownik Thumson w pełni podziela moje zdanie.

- Przecież stare pola są jeszcze dobre.

- Uprawy tytoniowe wyjaławiają ziemię.

- Tak, oczywiście - przyznał Lennox. - Ale stosujemy obfite nawożenie. Zmarszczyła brwi. O nawozach Thumson nic nie wspominał.

- Nie wiem... Może to nie najlepsze rozwiązanie... Jej wahanie przyniosło fatalne skutki.

- Decyzje w tych sprawach lepiej zostawić mężczyznom zauważył Lennox.

- Skończ te kazania i powiedz mi wszystko o tym nawożeniu - zażądała.

- Nocą wypędzamy bydło na pola tytoniowe. Krowi nawóz użyźnia glebę na cały następny sezon.

- Jednak nigdy nie będzie to już tak dobra ziemia, jak na nowych terenach - powiedziała bez przekonania.

- Będzie taka sama - odparł z uporem Lennox. - Lecz jeśli koniecznie chce pani to zmienić, należy

przedtem rozmówić się z panem Jamissonem. Lizzie nie potrafiła pogodzić się z myślą, że Lennox wygrał, ale musiała czekać do powrotu Jaya.

- Możesz odejść - powiedziała poirytowana. Na twarzy nadzorcy wykwitł uśmiech tryumfu, po czym Lennox bez słowa opuścił salon. Lizzie wiedziała, że powinna więcej odpoczywać, lecz następnego ranka znów odbyła objazd plantacji. W magazynach pozdejmowano już z haków schnące pęki tytoniu, pooddzielano liście od łodyg, odcięto zdrewniałe włókna, ponownie związano wszystko w pęki i nakryto szmatami, żeby tytoń się "pocił". Część robotników przebywała w lesie, gdzie ścinano drzewa na beczki. Inni siali na Stream Quarter pszenicę ozimą. Lizzie dostrzegła wśród nich pracującego obok czarnej kobiety Macka.

Niewolnicy posuwali się rzędem przez pole i rozrzucali ziarno z wielkich koszyków. Za nimi kroczył Lennox, popędzając bardziej opiesziałych kopniakami lub batem. Bat miał około trzech stóp długości, twardą rękojeść, i wykonany był z jakiegoś giętkiego drewna. Gdy nadzorca spostrzegł, że Lizzie go obserwuje, zaczął jeszcze częściej używać bicia, jakby chciał sprowokować ją tym do interwencji. Lizzie odwróciła się i ruszyła z powrotem do domu, ale po chwili dotarł do niej rozdzierający krzyk. Odwróciła się. Pracująca obok Macka niewolnica leżała na ziemi. Była to Bess, dziewczyna w wieku około piętnastu lat, wysoka i chuda. Lizzie pobiegła

do leżącej, ale Mack był bliżej. Odstawił koszyk i uklęknął obok dziewczyny. Dotknął jej czoła.

- Po prostu zemdlala - oświadczył. Zbliżył się Lennox i nogą w ciężkim bucie kopnął Bess w zębra.

Dziewczyna drgnęła, lecz nie otworzyła oczu.

- Nie kop jej! - krzyknęła Lizzie.

- To leniwa czarna suka. Już ja jej dam nauczkę - powiedział nadzorca i uniósł rękę, w której trzymał bat.

- Ani się waż! - wrzasnęła ogarnięta furia Lizzie. Ale on smagnął batem nieprzytomną dziewczynę po plecach. Mack poderwał się z ziemi.

- Dostyc! - krzyknęła znów Lizzie. Lennox ponownie zamachnął się batem, lecz nagle między nim a Bess stanął Mack.

- Twoja pani kazała ci przestać! - warknął. Nadzorca zamachnął się batem i smagnął Macka po twarzy.

McAsh zachwiał się i zakrył twarz dłonią. Na policzku natychmiast wykwitła mu purpurowa pręga, a z ust pociekła krew. Lennox ponownie wznosił bat, ale nie zdążył nawet się zamachnąć.

Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że Lizzie nie potrafiła pojąć, co się dzieje. W mgnieniu oka nadzorca leżał na ziemi, a Mack trzymał w ręku bicz.

Ujął go w dłonie, złamał na kolanie i pogardliwie cisnął nim w Lennoxa. Lizzie ogarnęło uczucie tryumfu. Lennox został wreszcie pokonany. Milczący robotnicy powoli otaczali ich kołem.

- Wracajcie do pracy - poleciała Lizzie. Niewolnicy posłusznie uformowali rząd i ruszyli przez pole.

Lennox dźwignął się na nogi i popatrzył z wściekłością na swojego pogromcę.

- Czy możesz zanieść Bess do domu? - zapytała Lizzie Macka.

- Oczywiście - odparł, po czym schylił się i podniósł dziewczynę. Przebyli pole i weszli do domu. Mack wniósł Bess do kuchni mieszczącej się w przybudówce na tyłach domu. Gdy posadził ją na krześle, dziewczyna odzyskała przytomność.

Kucharka Sarah, wiecznie spocona Murzynka w średnim wieku, przyniosła brandy Jaya. Wypiwszy łyk, Bess oświadczyła, że czuje się już dobrze, tylko bardzo bołą ją zebra. Nie miała pojęcia, dlaczego zemdlą. Lizzie kazała dać jej coś do zjedzenia i pozwoliła tego dnia nie pracować. Wychodząc z kuchni, spostrzegła poważną, ponurą minę Macka.

- Co ci jest? - zapytała.

- Musiałem postradać rozum... - mruknął w odpowiedzi.

- Dlaczego? - zdziwiła się Lizzie. - Lennox nie wykonał mojego polecenia.

- To mściwy człowiek. Nie powinienem był go tak upokarzać.

- W jaki sposób może się na tobie zemścić?

- Bardzo łatwo. Jest nadzorcą.

- Nie dopuszczę do tego - powiedziała zdecydowanie Lizzie. - Nie będziesz przecież pilnować mnie przez cały dzień... - Właśnie że będę! - zawołała. Nie mogła pozwolić, żeby Mack cierpiał z powodu tego, co zrobił.

- Uciekłbym, gdybym tylko wiedział, dokąd iść. Czy oglądałaś kiedyś jakąś mapę Wirginii?
- Nie uciekaj. - Lizzie zmarszczyła brwi i głęboko się nad czymś zastanawiała. - Wiem, co zrobię. Będziesz pracował w domu. Uśmiechnął się.
- Może byłoby to dobre rozwiązanie, ale nie zostanę przecież lokajem.
- Nie, lokajem nie. Będziesz prowadził w domu wszelkie naprawy i remonty. Poza tym trzeba przygotować pomieszczenia dla dziecka. Mack popatrzył podejrzliwie na Lizzie.
- Naprawdę tak zrobisz?
- Naturalnie.
- Byłoby rzeczywiście dobrze, gdybym znalazł się z dala od Lennox.
- Więc się znajdziesz.
- Nawet nie wiesz, jak się cieszę.
- Ja również. Czuję się dużo bezpieczniej, gdy jesteś w pobliżu. Też boję się Lennox.
- Masz powody.
- Dostaniesz nową koszulę, kamizelkę i buty do chodzenia po domu.
- Takie luksusy... - odparł ze śmiechem.
- A więc ustalone - powiedziała zdecydowanie. - Zaczynasz od zaraz.

Początkowo pracujący w domu niewolnicy bardzo niechętnie odnieśli się do pomysłu przyjęcia. Na robotników rolnych spoglądali z góry. Zwłaszcza Sarah była niezadowolona z tego, że musi gotować

dla "hołoty, która jada mamalygę i razowiec". Ale Lizzie tak długo kpila z ich snobizmu, że w końcu wszystkich przekonała do swojego pomysłu. W sobotę o zachodzie słońca zaczęto w kuchni przygotowywać jedzenie. Wcześniej, w południe, przybył kompletnie pijany Pepper Jones. McAsh wlał w niego kilka kubków herbaty, położył spać i do wieczora muzyk jako tako przetrzeźwiał. Jego instrument miał cztery katgutowe struny i wydawał dźwięki przypominające tony pianina i bębna. Podekscytowana Lizzie krążyła nieustannie po dziedzińcu, doglądając przygotowań. Z niecierpliwością oczekiwała rozpoczęcia uroczystości. Naturalnie nie zamierzała osobiście brać udziału w zabawie; musiała grać rolę Pani Hojnej, łaskawej i wyniosłej. Z pewnością jednak sam widok rozradowanych niewolników sprawi jej wielką przyjemność. Kiedy zapadł zmierzch, wszystko było gotowe. Otwarto kilka beczulek jabłecznika, nad ogniskami skwierczały wielkie kawały szynki, w ogromnych kotłach gotowały się słodkie kartofle. Długie, czterofuntowe bochny białego chleba czekały tylko na pokrojenie. Lizzie przechadzała się niecierpliwie przed domem, wyglądając niewolników, którzy powinni nadejść od strony pól. Miała nadzieję, że będą śpiewać. Czasami docierały do niej z oddali dźwięki pieśni, jakie śpiewano przy pracy, ale ilekroć w pobliżu pojawiał się któryś z właścicieli lub nadzorców, niewolnicy milkli. Kiedy wzeszedł księżyc, od strony chat

nadciągnęły stare kobiety z niemowlakami na rękach. Między nimi plątały się starsze dzieci. Żadna z kobiet nie wiedziała, gdzie są robotnicy, ponieważ ostatni raz widziały ich rano, gdy podawały im śniadanie. Niewolnicy wiedzieli o wieczornym przyjęciu. Z polecenia Lizzie miał powiadomić ich o tym Kobe, a na nim można było polegać. Sama Lizzie była tego dnia zbyt zajęta, żeby osobiście udać się na pola, ale wiedziała, że robotnicy pracują teraz na najbardziej odległych od domu terenach, więc powrót zajmie im sporo czasu. Miała nadzieję, że słodkie kartofle nie rozgotują się do chwili ich nadejścia. Czas mijał, ale nikt się nie pojawiał. Gdy już od dobrej godziny panował mrok i nadal nikogo nie było, Lizzie doszła do wniosku, że coś się musiało wydarzyć. Rozgniewana wezwała McAsha.

- Sprowadź tu Lennox - powiedziała. Po prawie godzinie McAsh pojawił się z podpitym nadzorcą. Lizzie ogarnęła ślepa furia.

- Gdzie są robotnicy? - zapytała. - Powinni już tu być!

- Ach, tak... - Lennox złośliwie przeciągał słowa. - Ale dzisiaj to niemożliwe. Bezcelny ton nadzorca wyraźnie sugerował, że wymyślił coś, co pokrzyżowało jej plany.

- Dlaczego niemożliwe, do licha? - zapytała.

- Wycinają drzewa na beczki w Stafford Park. - Stafford Park znajdował się w odległości dziesięciu mil w górę rzeki. Praca zajmie im kilka dni, więc

założyliśmy na miejscu obóz. Robotnicy wraz z Kobe'em pozostaną tam aż do zakończenia robót.

- Dlaczego musieli robić to akurat dzisiaj?

- Teraz jest najlepsza pora na ścinę drzew. Zrobił to specjalnie, pomyślała upokorzona Lizzie. Chciała nakrzyczeć na Lennoxa, lecz zdawała sobie sprawę, że do powrotu Jaya nic nie jest w stanie zrobić.

Nadzorca popatrzył na porozstawiane na kozłach stoły i na jedzenie.

- Wielka szkoda - powiedział, nie próbując nawet ukryć złośliwego zadowolenia. Wyciągnął brudną dłoń i oderwał płat szynki. Lizzie bez zastanowienia chwyciła wielki widelec na długiej ręczce i wbiła go w wierzch dłoni Lennoxa.

- Zostaw to! - krzyknęła. Lennox wrzasnął z bólu i mięso wypadło mu z ręki. Lizzie wyrwała zęby widelca z jego dłoni. Nadzorca znów ryknął z bólu.

- Ty wściekła krowo! - zawył.

- Wynoś się stąd! - rozkazała Lizzie. - Do powrotu mego męża nie chcę cię widzieć na oczy! Rozjuszony Lennox spojrział na Lizzie, jakby chciał się na nią rzucić. Potem wsunął skrwawioną dłoń pod pachę i spieszenie odszedł. Lizzie napłynęły łzy do oczu. Nie chcąc, aby służba widziała, że płacze, odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu. Kiedy już znalazła się sama w salonie, wybuchnęła głośnym łkaniem. Czowała się nieszczęśliwa i przez wszystkich opuszczona. W pewnej chwili usłyszała, że ktoś otwiera drzwi.

- Przykro mi - dobiegł ją głos Macka. Jego współczucie sprawiło, że łzy popłynęły po jej twarzy

jeszcze obficie. Sama nie wiedziała, kiedy znalazła się w ramionach Macka. Położyła mu głowę na ramieniu i płakała, a on gładził jej włosy i całował mokre policzki. Stopniowo żal ustępował. Lizzie pragnęła, żeby Mack trzymał ją w objęciach przez całą noc. Nagle przyszło opamiętanie i przerażona wyrwała się z objęć Macka. Była mężatką, była w szóstym miesiącu ciąży, a pozwalała, żeby całował ją służący.

- Boże, co się ze mną dzieje? O czym ja myślę? - zapytała z niedowierzaniem.

- Wcale nie myślisz - odrzekł Mack.

- Teraz już tak - powiedziała. - Odejdź. McAsh najwyraźniej zasmucony opuścił salon.

Następnego dnia po nieudanym przyjęciu Mack otrzymał wiadomość o Corze. Była niedziela, więc odziany w odświętne ubranie udał się do Fredericksburga. Musiał uwolnić się od dręczących myśli o Lizzie Jamisson, o jej bujnych czarnych włosach i delikatnych policzkach zmoczonych słonymi łzami. Towarzyszył mu niosący swoje banjo Pepper Jones, który noc spędził w kwaterach niewolników. Pepper był chudym mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat. Jego płynna angielszczyzna wskazywała, że od wielu lat przebywa w Ameryce.

- W jaki sposób odzyskałeś wolność? - zainteresował się Mack.

- Urodziłem się wolny - odparł Murzyn. - Moja matka była biała, chociaż po mnie tego nie widać. Ojciec uciekł, lecz pochwycono go jeszcze przed moim narodzeniem. Nigdy go nie poznałem. Mack miał wreszcie okazję wypytać kogoś o możliwości ucieczki.

- Czy to prawda, co mówi Kobe, że wszystkich uciekinierów łapią? Pepper wybuchnął śmiechem.

- Do licha, nie! Większość z nich rzeczywiście zostaje schwytana, ale to dlatego, że są głupi. Łapią ich z powodu tej właśnie głupoty.

- Więc jeśli ktoś nie jest głupi... Pepper wzruszył ramionami.

- Ucieczka nie jest rzeczą prostą. Gdy ktoś ucieknie, właściciel natychmiast daje ogłoszenie do gazet, podaje rysopis zbiega i opisuje dokładnie jego strój. Mack wiedział, że ubrania są bardzo drogie i zbiegowie mają pewnie trudności z ich zmianą.

Powiedział jednak:

- Można przecież unikać spotkań z ludźmi.

- Ale trzeba coś jeść, więc zanim opuścisz kolonie, musisz znaleźć pracę. A każdy pracodawca z pewnością czytał już o tobie w gazecie.

- Dobrze to zorganizowali.

- Dziwisz się? Plantacje żyją z pracy niewolników, skazańców i zakontraktowanych służących. Gdyby nie zorganizowano sprawnego systemu łapania zbiegów, plantatorzy dawno by już umarli z głodu. Mack zamyślił się.

- Powiedziałeś: "zanim opuścisz kolonie". Co konkretnie miałeś na myśli?
- Na zachodzie rozciągają się góry. Po ich drugiej stronie jest dzicz. Tam gazety nie docierają. Nie ma tam również żadnych plantacji. Nie ma szeryfów, sędziów, nie ma katów. - Jak rozległe są te tereny?
- Nie wiem. Niektórzy twierdzą, że trzeba iść setki mil, zanim człowiek znów dotrze do morza, ale osobiście nie spotkałem nikogo, kto by tam doszedł. O owej dziczy Mack słyszał od wielu osób, ale uwierzył dopiero Pepperowi, Murzyn bowiem mówił o faktach, choć sam przyznawał, że niewiele wie.
- Z pewnością człowiek mógłby w tych górach zmylić pogoń i zniknąć bez śladu! - wykrzyknął podekscytowany Mack.
- To prawda. Ale mogą też oskalpować go Indianie lub pożreć górskie lwy. Najprawdopodobniej jednak umarłby z głodu.
- Skąd to wszystko wiesz?
- Spotkałem pionierów, którzy byli w tamtych stronach. Zginali grzbiety przez kilka lat, próbując obrócić ugory w pola uprawne, lecz ostatecznie musieli zrezygnować.
- Ale niektórym się udało?
- Pewnie. W przeciwnym razie w Ameryce nie byłoby w ogóle zasiedlonych terenów.
- Na zachód stąd... - zadumał się Mack. - Jak daleko znajdują się te góry?
- Mówią, że około stu mil.
- Tak blisko?

- To znacznie dalej, niż ci się wydaje. Do miasta podwiózł ich wozem jeden z niewolników pułkownika Thumsona spotkany po drodze. Niewolnicy i skazańcy zawsze sobie w ten sposób pomagali. W mieście panował tłok. W niedzielę ścigali tam do kościoła i do gospod robotnicy rolni z okolicznych plantacji. Niektórzy skazańcy traktowali niewolników z góry, lecz Mack nie widział powodów, dla których miałby się czuć od nich lepszy. Zawarł już wiele tego rodzaju znajomości i przyjaźni, więc kiedy szedł obok Peppera Jonesa ulicą, co chwila ktoś go pozdrawiał. Weszli do knajpy Whiteya Jonesa. Właściciela, Mulata, nazywano tak z powodu barwy skóry. Sprzedawał trunki także czarnym, choć było to wbrew prawu, i potrafił mówić zarówno owym dzieciennym językiem, jakiego używała większość niewolników, jak też wirgińskim dialektem. Jego gospoda zajmowała niskie pomieszczenie przesączone wonią drzewnego dymu i wypełniona była Murzynami oraz biednymi białymi, którzy tam pili i grali w karty. Mack nie miał pieniędzy, ale Pepper, któremu Lizzie zapłaciła za przybycie na jej plantację, zafundował mu kwartę ale. Mack delektował się piwem, które ostatnio tak rzadko mógł kosztować.

- Ej, Whitey, czy obsługiwałeś kogoś, kto przebył góry? zapytał Pepper.

- Jasne - odrzekł Whitey. - Pewnego razu pojawił się tu jakiś traper. Twierdził, że nigdy jeszcze nie przytrafiły mu się w życiu tak wspaniałe łowy. Jest

zresztą cała grupa podobnych myśliwych. Rokrocznie udają się w góry i wracają obładowani skórami.

- Czy ten traper mówił ci, którądy tam dotarł? - zapytał Mack.

- Wspominał coś o przełęczy zwanej Cumberland Gap.

- Cumberland Gap - powtórzył McAsh.

- Mack, czy to nie ty przypadkiem rozpytywałeś o białą dziewczynę imieniem Cora? - zapytał nieoczekiwanie Whitey. Mackowi mocniej zabiło serce.

- Tak... słyszałeś coś o niej?

- Widziałem ją. Teraz już rozumiem, dlaczego straciłeś dla niej głowę.

- Czyżby rzeczywiście była aż tak piękna, Mack? - zapytał kpiąco Pepper.

- Na pewno ładniejsza od ciebie. Whitey, gdzie ją widziałeś? - Nad rzeką. Miała na sobie zieloną pelerynę, niosła koszyk i szła na prom do Falmouth. Mack uśmiechnął się. Ów płaszcz i fakt, że przeprowiała się promem, a nie brodem, wskazywały wyraźnie, że Cora znów wylądowała na czterech łapach. Musiał kupić ją jakiś przyzwoity człowiek.

- Skąd wiesz, że to była ona?

- Przewoźnik wołał do niej po imieniu.

- A zatem musi mieszkać w Falmouth, po drugiej stronie rzeki. Dlatego nikt nic o niej nie słyszał, gdy rozpytywałem o nią we Fredericksburgu.

- No cóż, teraz już o niej usłyszałeś. Mack dopił piwo.

- Zamierzam ją odszukać. Whitey, jesteś dobrym przyjacielem. Dzięki za piwo, Pepper.

- Powodzenia. Mack wyszedł z gospody i ruszył za miasto. Fredericksburg leżał nad rzeką Rapahannock w miejscu, gdzie zaczynały się wodospady, toteż statki morskie docierały tylko do miasta. Niecałą milę dalej koryto stawało się kamieniste i mogły tamtędy przepłynąć tylko płaskodenne łodzie. Mack powędrował do miejsca, gdzie woda była na tyle płytka, że przebył rzekę w bród. Był poruszony i przejęty. Kto kupił Corę? Jak jej się powodzi? Czy wie, co dzieje się z Peg? Jeśli tylko uda mu się spełnić obietnicę i odnaleźć obie przyjaciółki, zacznie poważnie planować ucieczkę. Przez trzy miesiące, ze względu na Corę i Peg, tłumił w sobie tęsknotę za wolnością, ale to, czego dowiedział się z rozmowy Peppera z szynkarzem o dzikich terenach po drugiej stronie gór, znów rozbudziło w nim nadzieję odzyskania wolności. Śnił na jawie o tym, jak po zapadnięciu zmroku opuszcza plantację i kieruje się na zachód, gdzie żaden nadzorca nie będzie już pędził go batem do pracy. Gorąco pragnął spotkać wreszcie Corę. Zapewne w niedzielę nie każą jej pracować; może nawet będzie mogła z nim wyjść. Pójdą gdzieś, gdzie będą sami. Gdy tylko pomyślał o pocałunkach Cory, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Tego ranka obudził się wspominając, jak całował Lizzie Jamisson, a teraz myślał o Corze . Ale po chwili uznał, że jest niemądry, czyniąc sobie wyrzuty, ponieważ Lizzie

należała już do innego mężczyzny i nie mógł wiązać z nią żadnych nadziei na wspólną przyszłość. Ta myśl sprawiała mu jednak przykrość. Falmouth było pomniejszoną wersją Fredericksburga. Znajdowały się tam takie same nabrzeża, magazyny, gospody i drewniane budynki. Mack zdołałby zapewne w ciągu dwóch godzin obejść wszystkie domy. Ale Cora mogła przecież mieszkać za miastem. Wszedł do pierwszej napotkanej gospody.

- Szukam młodej kobiety, Cory Higgins - zagadnął właściciela.

- Cory? Mieszka w białym domu na następnym rogu. Zobaczy pan tam trzy koty śpiące na ganku. Mackowi tego dnia zdecydowanie dopisywało szczęście.

- Dziękuję. Właściciel gospody wyjął z kieszonki kamizelki zegarek i zerknął na cyferblat.

- O tej porze nie zastanie jej pan w domu. Poszła do kościoła.

- Widziałem kościół. Pójdę tam. Cora nigdy nie chodziła do kościoła. Teraz zapewne zmusza ją do tego właściciel, pomyślał Mack. Przeszedł przez ulicę, minął dwie przecznice i znalazł się przed niewielkim drewnianym kościołem. Właśnie skończyła się msza. Przystrojeni w swoje najlepsze ubrania wierni wylegli na ulicę, witali się i gawędzili. Mack natychmiast spostrzegł Corę. Na jej widok twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech. Najwyraźniej Corze dopisało szczęście. Zagłodzona, brudna kobieta, którą zostawił na pokładzie "Rosebud",

była zupełnie kimś innym. Teraz miał przed sobą normalną Corę: jasna skóra, lśniące włosy, pełne kształty. Ubrana była elegancko jak dawniej. Miała na sobie ciemnobrązową pelerynę, wełnianą suknię i wytworne trzewiki. Mack był niezmiernie rad z tego, że sam również włożył nową koszulę i kamizelkę, które dostał od Lizzie. Cora z ożywieniem rozmawiała ze starą kobietą wspartą na trzcinowej lasce, ale na widok zbliżającego się McAsha natychmiast przerwała konwersację.

- Mack! - wykrzyknęła z radością. - To prawdziwy cud! McAsh otworzył szeroko ramiona, aby ją objąć, ale Cora wyciągnęła tylko rękę. Mack zrozumiał, że nie chce robić przed kościołem przedstawienia.

Chwycił jej rękę w obie dłonie. - Wyglądasz wspaniale - stwierdził. Pachniała również pięknie; nie perfumami o ostrej woni, jakich używała w Londynie, ale dużo wytworniejszymi, kwiatowymi, bardziej przystającymi damie.

- Co się z tobą działo? - zapytała cofając dłoń. - Kto cię kupił?

- Trafiłem na plantację Jamissona... A Lennox jest tam nadzorcą.

- Czy to on uderzył cię w twarz? Mack dotknął piekącego miejsca.

- Tak, ale odebrałem mu bat i przelałem go. Uśmiechnęła się.

- Cały Mack... zawsze w kłopotach.

- Owszem. Czy wiesz coś o Peg?

- Zabrali ją naganiacze, Bates i Makepiece. Serce w Macku zamarło.

- Do licha, trudno ją będzie odnaleźć.

- Już wiele razy o nią rozpytywałam, ale nikt nic nie wie. - A kto ciebie kupił? Sądząc po twoim wyglądzie, ktoś bardzo porządny. Zaledwie to powiedział, zbliżył się do nich pulchny, bogato odziany mężczyzna koło pięćdziesiątki.

- Właśnie on, Alexander Rowley. Pośrednik w handlu tytoniem.

- Najwyraźniej traktuje cię bardzo dobrze - mruknął Mack. Rowley uścisnął dłoń starej kobiety, szepnął do niej kilka słów i odwrócił się do Macka.

- To jest Malachi McAsh, mój dawny przyjaciel z Londynu - powiedziała Cora. - Mack, poznaj pana Rowleya... mego męża. Niezdolny wykrztusić słowa, Mack spoglądał na zażywnego mężczyznę. Rowley poufałym gestem objął Corę, wyciągając jednocześnie drugą rękę do Macka.

- Miło mi pana poznać, McAsh. Powiedziawszy to, pociągnął za sobą Corę i oboje odeszli. Dlaczego nie? - myślał Mack, wlokąc się drogą w stronę plantacji Jamissona. Cora nie wiedziała przecież, czy kiedykolwiek jeszcze go spotka. Kupił ją Rowley, a ona go w sobie rozkochała. W tak małym miasteczku jak Falmouth musiał powstać niezły szum, gdy szanowany kupiec poślubił kobietęskazańca. Ale Mack bez trudu wyobrażał sobie, jak Rowley został uwiedziony. Z pewnością niełatwo było Corze przekonać ludzi pokroju tamtej starszej damy, że

jest godną szacunku żoną, ale zawsze miała talent do takich spraw, więc tym razem również jej się udało. I bardzo dobrze. Zapewne urodzi Rowleyowi dzieci i będzie szczęśliwą panią domu. Rozgrzeszał ją, choć jednocześnie był bardzo rozczarowany. W chwili rozpaczy wymogła na nim obietnicę, że ją odszuka, ale gdy tylko otworzyły się przed nią perspektywy łatwego i dostatniego życia, natychmiast o nim zapomniała. Miał dotąd dwie kochanki, Annie i Corę - i obie poślubiły kogoś innego. Cora poszła do łóżka grubego, dwukrotnie od niej starszego handlarza tytoniu, a Annie zaszła w ciążę z Jimmym Lee. Mack zastanawiał się, czy on sam kiedykolwiek stworzy sobie normalną rodzinę. Prawdopodobnie gdyby tylko zechciał, mógłby to osiągnąć. Ale on chciał więcej. Chciał wolności.

Jay wyruszył do Williamsburga pełen wielkich nadziei. Był przerażony poglądami politycznymi sąsiadów - wszyscy okazali się liberalnymi wigami, nie było wśród nich ani jednego konserwatywnego torysa - ale święcie wierzył, że w stolicy kolonii spotka ludzi oddanych królowi, ludzi, którzy powitają go jako sprzymierzeńca i wesprą jego karierę polityczną. Williamsburg był małym, lecz imponującym miasteczkiem. Główna ulica, Duke of Gloucester Street, miała milę długości i sto stóp szerokości. Na jednym jej końcu znajdował się Kapitol, a na drugim Kolegium Williama i Mary, majestatyczne budowle wzniesione z cegły. Ich

angielska architektura przywróciła Jayowi wiarę w potęgę brytyjskiej monarchii. Przy tej samej ulicy znajdował się również teatr i kilkanaście sklepów oraz pracownie rzemieślnicze, gdzie wytwarzano srebrne lichtarze i mahoniowe stoły do jadalni. W drukarni Purdie & Dixon Jay kupił Virginia Gazette, w której zamieszczano listy gończe za zbiegłymi niewolnikami. Tworzący elitę polityczną kolonii bogaci plantatorzy zjeżdżali tłumnie do Williamsburga, gdy na Kapitolu obradowała legislatura, i dlatego w mieście było wiele zajazdów z pokojami do wynajęcia. Jay zatrzymał się w tawernie "U Raleigha", niskim, białym budynku, w którym pokoje gościnne znajdowały się na poddaszu. Zostawił w pałacu swoją kartę wizytową i list, ale musiał czekać aż trzy dni na spotkanie z nowym gubernatorem, baronem de Botetourt. Kiedy wreszcie otrzymał zaproszenie, okazało się, że nie była to, jak się spodziewał, prywatna audiencja, lecz przyjęcie wydane dla pięćdziesięciu osób. Najwyraźniej gubernator nie orientował się jeszcze, że Jay jest jego sprzymierzeńcem. Pałac stał na końcu długiego podjazdu odchodzącego od Duke of Gloucester Street, mniej więcej w połowie jej długości. Był to również ceglany budynek w stylu angielskim, z wysokimi kominami i mansardowymi oknami, co przywodziło na myśl wiejskie rezydencje. Ściany okazałego holu wejściowego zdobiły noże, pistolety i muszkiety rozwieszane w wymyślny sposób. Niestety Botetourt nie okazał się

człowiekiem, jakiego miał nadzieję spotkać Jay. Wirginia potrzebowała twardego, surowego gubernatora, który zasiałby strach w buntowniczych sercach kolonistów, a Botetourt był grubym, towarzyskim osobnikiem, przypominającym bardziej dobrze prosperującego handlarza win, zapraszającego serdecznie swoich klientów do kosztowania trunków. Jay obserwował go, jak wita gości u wejścia do długiej sali balowej. Ten człowiek nie ma zielonego pojęcia, jak wywrotowe idee lęgną się w głowach plantatorów, pomyślał. Spotkał tam również Billa Delahaye'a.

- I co pan myśli o naszym gubernatorze? - zapytał.

- Nie jestem pewien, czy zdaje sobie sprawę z tego, jaki ciężar wziął na swe barki - odparł Jay.

- Jest bardziej przebiegły, niż na to wygląda - powiedział Delahaye.

- Mam nadzieję.

- Na jutrzejszy wieczór szykuje się gra w karty o wysokie stawki. Czy chce pan, żebym pana wprowadził na to spotkanie? Jay nie spędził ani jednego wieczoru na grze od czasu opuszczenia Londynu.

- Naturalnie - odparł. W jadalni mieszczącej się obok sali balowej podawano wino i ciasta. Delahaye przedstawił Jaya kilkunastu osobom.

- Jamisson? Czy może z Jamissonów zamieszkałych w Edynburgu? - zapytał tęgi, kwitnąco wyglądający mężczyzna koło pięćdziesiątki. Jego twarz kogoś

Jayowi przypominała, jakkolwiek był pewien, że nigdy jeszcze tego człowieka nie spotkał.

- Z rodziny osiadłej w Jamisson Castle w Fife - oświadczył.

- To zamek, który należał ongiś do Williama McClyde'a?

- Tak. - Jay uświadomił sobie, że mężczyzna przypomina mu nieco Roberta; miał takie same jasne oczy i tak samo zacięte usta. - Pan wybaczy, ale chyba nie dosłyszałem pańskiego nazwiska - dodał.

- Jestem Hamish Drome. Zamek w Fife powinien należeć do mnie. Jay był zaskoczony. Tak brzmiało panińskie nazwisko matki Roberta, Olive.

- Więc to pan jest owym od dawna zaginionym krewnym, który wyjechał do Wirginii - stwierdził.

- A pan musi być synem George'a i Olive.

- Nie, oni byli rodzicami mojego przyrodniego brata, Roberta. Olive umarła, a ojciec ożenił się ponownie. Jestem jego młodszym synem.

- I Robert wypchnął pana z rodowego gniazda, podobnie jak to jego matka uczyniła ze mną, prawda? W uwadze Drome'a zabrzmiał jakiś butny ton, lecz Jaya zastanowiło, co ten człowiek próbował dać mu do zrozumienia. Przypomnił sobie rewelacje, jakie po pijanemu objawił mu na weselu Peter McKay.

- Mówiono, że Olive sfalszowała testament - powiedział.

- Tak... a ponadto zamordowała wuja Williama.

- Nie może być.

- Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. William, choć zdrowy, był hipochondrykiem... po prostu lubił myśleć, że jest chory. Powinien dożyć bardzo sędziwego wieku, ale w sześć tygodni po przybyciu Olive zmienił testament i umarł. To była zła kobieta. Jay poczuł osobliwą satysfakcję. Otaczana najwyższą czcią Olive, której portret wisiał na honorowym miejscu w holu Jamisson Castle, była morderczynią, która powinna zostać powieszona... Zawsze jej nienawidził i z radością przyjął wiadomość, iż okazała się tak nikczemna.

- Zatem nic pan nie dostał? - zwrócił się do Drome'a.

- Ani akra. Przybyłem tutaj z sześćdziesięcioma parami wełnianych szkockich skarpet i obecnie jestem największym producentem tekstyliów w Wirginii. Ale nigdy nie napisałem do domu, obawiałem się bowiem, że Olive spróbowalaby położyć rękę również na tym, co sam osiągnąłem.

- W jaki sposób?

- Nie wiem. Miałem po prostu takie przeczucie. Cieszę się, że nie żyje. Wszystko jednak wskazuje na to, że jej syn jest taki sam jak matka, więc niech się pan ma na baczności.

- Zawsze mi się wydawało, że Robert bardziej przypomina ojca. Jego chciwość nie zna granic. Ale odziedziczy wszystkie przedsiębiorstwa, więc nie sędzę, żeby zależało mu na tak niewielkiej plantacji jak moja.

- Niech pan nie będzie tego taki pewien - odrzekł Drome, lecz Jay uważał, że przesadza. Do

gubernatora Botetourta młody Jamisson dotarł dopiero pod sam koniec przyjęcia, kiedy goście opuszczali już pałac wyjściem od strony ogrodu. Chwycił dostojnika za rękaw i oświadczył ściszym głosem:

- Chciałbym zapewnić o swym oddaniu zarówno dla pana, jak i dla Korony.

- Chwali się, chwali się - odparł Botetourt. - Bardzo dobrze, że mi pan to mówi.

- Przybyłem do Wirginii niedawno i jestem zgorszony poglądami większości obywateli w kolonii. Jeśli ma pan zamiar poskromić zdradę i wyplenić nielojalność, służę swoją pomocą. Botetourt popatrzył na niego uważnie. W końcu jednak poważnie potraktował moje słowa, pomyślał Jay. Z pewnością pod maską łagodności i uprzejmości kryje się twardy i bezkompromisowy polityk.

- To dobrze... ale miejmy nadzieję, że nie będzie potrzeby nikogo poskramiać ani niczego pnieć - odparł gubernator. Już dawno zrozumiałem, że najlepsze wyniki osiąga się perswazją i negocjacjami. Jak pan sam zapewne najlepiej się orientuje, skutki takiego działania okazują się najtrwalsze... Do widzenia, majorze Wilkinson. Do widzenia, pani Wilkinson. Było mi bardzo miło, że zaszczyliliście mnie państwo swoją obecnością. Perswazja i negocjacje... - pomyślał Jay, gdy wychodził do ogrodu. Botetourt trafił do gniazda żmij i zamierza z nimi negocjować.

- Ciekaw jestem, ile upłynie czasu, zanim Botetourt naprawdę zorientuje się w tutejszej rzeczywistości - powiedział do Delahaye'a.

- Sądzę, że już się orientuje. Ale najwyraźniej uważa, że przed atakiem nie ma potrzeby szczerzyć kłów - odparł tamten. Okazało się, że miał rację, bowiem następnego dnia uprzejmy nowy gubernator rozwiązał Zgromadzenie Generalne.

Matthew Murchman mieszkał na Duke of Gloucester Street w zielonym drewnianym domu obok księgarni. Biuro urządził we frontowym salonie, którego ściany zastawione były półkami z księgami prawniczymi i plikami dokumentów. Prawnik był niskim, nerwowym, siwowłosym mężczyzną, przypominającym nieco wyglądem szczura. Przemieszczał się błyskawicznie po pokoju, zdejmując z półek jakieś papiery i odkładając inne. Jay podpisał dokumenty obciążające hipoteką plantację. Wysokość pożyczki nieco go rozczarowała: jedynie czterysta funtów szterlingów.

- Jestem rad, że udało mi się zorganizować taką kwotę zaćwierkał rozemocjonowany Murchman. - Tytoń idzie bardzo słabo i jestem pewien, iż za taką sumę można by było kupić całą plantację.

- Kto mi pożyczył pieniądze? - zapytał Jay.

- Syndykat, kapitanie Jamisson. Teraz tak właśnie to się robi. Czy ma pan jakieś płatności, które chciałby pan przy mojej pomocy niezwłocznie uregulować? Jay przyniósł ze sobą plik rachunków. Były to długi,

jakie zaciągnął od chwili przybycia do Wirginii. Wręczył je Murchmanowi, który rzucił na nie pobieżnie okiem i oświadczył: - Mamy tu około stu funtów. Przed pańskim wyjazdem z miasta dam panu na nie weksle. I proszę mnie powiadomić o wszelkich zakupach, jakich pan tu dokona.

- Zapewne coś kupię - odparł Jay. - Pan Smythe sprzedaje piękny powóz z dwójką wspaniałych siwków. Poza tym potrzebuję dwóch lub trzech niewolników.

- Powiadomię wszystkich zainteresowanych, że pańskie fundusze znajdują się w moich rękach. Jayowi niezbyt się podobało, że pożyczwszy tyle pieniędzy, zostawia je u prawnika.

- Proszę mi wypłacić pozostałą sumę w złocie - powiedział. - "U Raleigha" odbędzie się dzisiaj gra w karty o duże stawki.

- Oczywiście, kapitanie Jamisson. Przecież to pańskie pieniądze. Gdy Jay wrócił na plantację nowym ekwipażem, z pożyczki niewiele pozostało. Część jej przegrał w karty, a za resztę kupił cztery młodziutkie niewolnice i powóz z końmi, wcale się nie targując. Ale przynajmniej pospłacał długi. Żeby opędzić bieżące potrzeby, zaciągnie nowe pożyczki u miejscowych kupców. Pierwszy transport tytoniu gotów będzie do sprzedaży tuż po Bożym Narodzeniu, i wtedy wszystkich pospłaca. Zastanawiał się z niepokojem, co Lizzie powie na temat powozu, ale jego obawy okazały się bezzasadne. Żonę zaprzętały najwyraźniej inne

sprawy, więc nie robiła mu wymówek ani awantur. W chwilach ożywienia była najbardziej ponętna. Jej ciemne oczy lśniły, policzki miała zaróżowione. Niemniej Jay nie czuł już takiego pożądania jak dawniej, gdy widywał ją po dłuższej nieobecności. Od kiedy zaszła w ciążę, sądził, że mógłby wyrządzić dziecku krzywdę, gdyby prowadził z żoną regularne życie erotyczne. Ale nie to było prawdziwym powodem. Macierzyństwo Lizzie sprawiało, że sam nie miał ochoty na uprawianie miłości i nie podobało mu się, że kobieta w ciąży może czuć pożądanie do mężczyzny. Poza tym Lizzie miała już zbyt duży brzuch. Gdy tylko pocałował ją na powitanie, powiedziała:

- Bili Sowerby oszedł.

- Naprawdę? - Jay był zdumiony, bo nadzorca porzucił pracę bez domagania się wynagrodzenia. - Dobrze, że mamy Lennox.

- Myślę, że to właśnie Lennox go przepędził. Sowerby przegrał z nim w karty masę pieniędzy.

- Lennox to wytrawny karciarz.

- I chce zostać nadzorcą - dodała Lizzie. Stali na frontowej werandzie. W tym momencie zza domu wyłonił się Lennox. Ze zwykłym dla siebie brakiem taktu, nie przywitawszy nawet Jaya, oświadczył:

- Przybyły właśnie zamówione beczki z solonym dorszem.

- Ja je zamówiłam - wyjaśniła Lizzie. - To dla robotników rolnych.

- Dlaczego chcesz karmić ich rybą? - zaniepokoił się Jay.
- Pułkownik Thumson twierdzi, że będą lepiej pracować. On sam swoim niewolnikom daje rybę codziennie i raz w tygodniu mięso.
- Pułkownik Thumson jest bogatszy ode mnie. Lennox, odeślij te beczki.
- Jay, oni tej zimy będą bardzo ciężko pracować - sprzeciwiła się Lizzie. - Musimy wykarczować las w Pond Copse, żeby wiosną zasiać tam tytoń.
- To zbyt ciężkie - wtrącił szybko Lennox. - Przy dobrym nawożeniu obecne tereny uprawne będą znakomite.
- Nie możesz nawozić ich w nieskończoność - odparła Lizzie. - Pułkownik karczuje lasy co roku. Jay uświadomił sobie, że kontrowersje na ten temat między jego żoną a Lennoxem trwają już od jakiegoś czasu.
- Nie mamy wystarczającej liczby rąk do pracy - stwierdził Lennox. - Nawet z ludźmi z "Rosebud" jesteśmy w stanie uprawiać jedynie pola, które już mamy. Pułkownik Thumson ma więcej niewolników.
- A to dlatego, że osiąga wyższe dochody dzięki lepszym metodom - odparła tryumfalnie Lizzie.
- Kobiety nie znają się na tych sprawach - powiedział drwiąco Lennox.
- Zostaw nas samych - warknęła Lizzie. Lennox oddalił się wściekły.
- Musisz się go pozbyć, Jay - oświadczyła.
- Nie rozumiem, dlaczego...

- Nie chodzi tylko o to, że to brutal i jedyne, co umie, to trzymać ludzi w strachu, ale nie zna się na gospodarce i nic nie wie o uprawie tytoniu... A co najgorsze, nie chce się niczego nauczyć.
- Wie za to, jak zmusić ludzi do ciężkiej pracy.
- Żadna praca nie ma sensu, jeśli źle się ją wykonuje!
- Zostałaś nagle ekspertem od tytoniu?
- Jay, wychowałam się w dużej posiadłości i widziałam, jak zbankrutowała. Nie dlatego, że wieśniacy byli leniwi, ale dlatego, że umarł mój ojciec i matka nie potrafiła sobie poradzić z prowadzeniem gospodarki. Teraz widzę, że ty popełniasz dokładnie te same błędy. Wyjeżdżasz na długo, srogość mylisz z dyscypliną i pozwalasz, by inni podejmowali za ciebie decyzje. W ten sposób nie utrzymałbyś regimentu!
- Nic nie wiesz o prowadzeniu regimentu.
- A ty nic nie wiesz o prowadzeniu farmy! Jaya ogarnął już gniew, ale zapanował nad sobą.
- Zatem o co mnie prosisz?
- Wyrzuć Lennox.
- A kto zajmie jego miejsce?
- My.
- Nie chcę być farmerem.
- W takim razie zostaw to mnie.
- Tak też myślałem - mruknął Jay kiwając głową.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Że zamierzasz wszystko przejąć w swoje ręce. Czy mam rację? Lizzie była bliska wybuchu, ale pohamowała się.

- Naprawdę tak myślisz?
- Naprawdę.
- Chcę cię tylko uratować. Zmierzasz ku katastrofie. Robię wszystko, żeby jej zapobiec, ale ty sądzisz, że chodzi mi wyłącznie o to, żeby dyrygować ludźmi. Skoro tak uważasz, to po jakiego diabła się ze mną żeniłeś? Nie lubił, gdy używała grubszych słów. To stanowiło domenę mężczyzn.
- Wtedy jeszcze byłaś piękna. W jej oczach zapłonął gniew, ale nic nie powiedziała. Odwróciła się na pięcie i zniknęła w domu. Jay odetchnął z ulgą. Rzadko udawało mu się wziąć górę nad Lizzie. Po chwili ruszył za żoną. Zdumiał się ujrzawszy McAsha, który przemierzał właśnie hol. Co, do diabła, ten człowiek robi w jego domu?
- Lizzie! - zawołał wchodząc do salonu. - Lizzie, widziałem w holu McAsha!
- Przydzielili mi prace remontowe. Maluje pokoje dla dziecka.
- Nie chcę go tu widzieć.
- Jednak będziesz musiał go ścierpieć - odpaliła. - Nie mogę być tu sama, skoro w posiadłości przebywa Lennox, rozumiesz?
- W porządku...
- Jeśli McAsh odejdzie, odejdę i ja! - wrzasnęła Lizzie i gwałtownie opuściła pokój.
- W porządku - powtórzył Jay do drzwi, które zamknęły się z hukiem. Nie zamierzał wszczynać wojny z powodu jakiegoś skazańca. Skoro Lizzie chce, aby ten człowiek malował pokoje dla jej

dziecka, niech sobie maluje. Na stoliku przy drzwiach dostrzegł zaadresowany do siebie list. Podniósł go do oczu i rozpoznał pismo matki. Usiadł obok okna i rozerwał kopertę. Grosvenor Square 7 Londyn 15 września 1768 roku Mój Drogi Synu Na miejscu starej sztolni w High Glen, w której nastąpił zawał, zbudowano nową i rozpoczęto w niej wydobywanie węgla. Jay uśmiechnął się. Jego matka zawsze bez wstępów przechodziła do interesów. Robert spędził tam kilkanaście tygodni, łącząc obie posiadłości i organizując wszystko już jako jedną własność. Mówiłam Twemu Ojcu, że i Ty powinieneś mieć dochody z węgla, bo te ziemie należą do Ciebie, ale on odparł, że płaci odsetki od długów, których ma niemało. Ja jednak sądzę, że główną przyczyną takiego jego postępowania jest sposób, w jaki zabrałeś z "Rosebud" najlepszych skazańców. Zarówno Twój Ojciec, jak i Robert wpadli w szal. Jay poczuł się głupio, lecz jednocześnie ogarnęła go złość. Jak mógł myśleć, że uda mu się bezkarnie zabrać skazańców? Powinien był przewidzieć taki obrót sytuacji. Lady Jamisson pisała dalej: Cały czas naciskam w tej sprawie. Myślę, że w końcu Twój Ojciec ulegnie.

- Niech Bóg Cię błogosławi, matko - powiedział na głos Jay. Był jej naprawdę wdzięczny. Mimo że mieszkał tak daleko i zapewne nigdy już nie miał jej zobaczyć, cały czas działała na jego korzyść. Skończywszy omawianie istotnych spraw, lady Jamisson przeszła do tematów osobistych. Pisała o

sobie, swojej rodzinie i przyjaciółach, przekazywała londyńskie plotki towarzyskie. Pod sam koniec listu wróciła do interesów. Robert wyjechał właśnie na Barbados. Nie znam dokładnie przyczyn tej wyprawy. Instykt podpowiada mi, że knuje coś przeciw Tobie. Nie mam pojęcia, jak może Ci zaszkodzić, ale sam wiesz, że Twój brat potrafi być bezlitosny i nieubłagany. Zachowaj więc czujność, mój Synu. Twoja kochająca matka Alicia Jamisson Zamyślony Jay odłożył list. Jak zawsze ślepo ufał instyktowi matki, ale tym razem uważał, że przesadza z obawami. Wyspa Barbados znajdowała się bardzo daleko. A gdyby nawet Robert pojawił się w Wirginii, nie mógł mu w niczym zaszkodzić...

W dawnym dziecięcym skrzydle domu Mack znalazł mapę. Przemalował dwa z trzech pokoi i uprzątał właśnie izbę przeznaczoną do nauki. Z wolna zapadał zmierzch i kończył już pracę, gdy natrafił na kufer wypełniony zapleśniałymi książkami i pustymi flaszkami. Zaczął grzebać w nim w poszukiwaniu czegoś, co warto byłoby zachować, i natrafił na mapę, pieczołowicie złożoną i schowaną w skórzanym pudełku. Rozłożył ją i zaczął uważnie studiować. Była to mapa Wirginii. Początkowo ogarnęła go nieprzytomna radość, ale entuzjazm szybko opadł, gdy przekonał się, że nie potrafi odczytać tego dokumentu. Nie rozumiał ani jednego słowa. W końcu pojął, że napisy są w obcym języku. Podejrzewał, że po francusku. Wirginia napisano

jako "Yirginie", tereny na północnym wschodzie nosiły nazwę "Partie de New Jersey", a terytoria na zachód od gór nazywały się "Louisiane". Dalej mapa kończyła się, nie było na niej żadnych napisów. Ale po chwili zaczął coś z tego rozumieć. Cienkie linie przedstawiały rzeki, grubsze granice kolonii, a najgrubsze wyznaczały masywy górskie.

Zafascynowany, przejęty dreszczem emocji, z uwagą badał papier. Miał przed sobą paszport do wolności. Odkrył, iż Rapahannock jest jedną z kilkunastu rzek przepływających przez Wirginię od gór na zachodzie aż do zatoki Chesapeake na wschodzie. Odnalazł też leżący na południowym brzegu Rapahannock Fredericksburg. Trudno było ustalić rzeczywiste odległości, ale Pepper Jones powiedział, że miasteczko dzieli od gór sto mil. Jeśli mapa została wyrysowana właściwie, sam maszyw miał drugie sto mil szerokości. Niestety nie zaznaczono żadnej drogi wiodącej przez góry. Macka ogarnęły jednocześnie radość i niepokój. Wiedział już, gdzie się znajduje, jednak mapa zdawała się mówić, że drogi ucieczki nie ma. Na południu łańcuch gór się zwiężał i Mack, poszukując przejścia, z uwagą zaczął studiować tę część mapy, wodząc palcem wzdłuż rzek aż do ich źródeł. Daleko na południu znalazł coś w rodzaju przełęczy. Brała stamtąd początek rzeka Cumberland. Przypomnił sobie, że Whitey wspominał o przełęczy Cumberland Gap. To było to. Tam właśnie znajdowało się przejście. Czekająca go długa wędrówka. Wyliczył, że musi przebyć około

czterystu mil. Taka sama odległość dzieliła Edynburg od Londynu. Dylizanssem przebywało się ją w dwa tygodnie, konno nieco dłużej. A piesza wędrówka po bezdrożach i myśliwskich szlakach Wirginii zabierze jeszcze więcej czasu. Ale po drugiej stronie gór czekała wolność. Gdybym tylko zdołał odnaleźć Peg, myślał Mack, sprzątając dziecinny pokój. Przed ucieczką koniecznie musiał się dowiedzieć, gdzie przebywa dziewczynka. Jeśli będzie szczęśliwa tam gdzie jest, zostawi ją, ale jeśli trafiła na okrutnego właściciela, zabierze ją ze sobą. Zapadł zmrok i zrobiło się już zbyt ciemno, żeby pracować, zszedł więc na parter. Z haka wbitego w ścianę przy tylnych drzwiach zdjął stary futrzany płaszcz i szczelnie się nim owinął. Gdy wyszedł przed dom, dostrzegł zbliżającą się gromadkę podekscytowanych niewolników. W środku grupy postępował Kobe, niosący kobietę. Po chwili Mack rozpoznał w niej Bess, młodziutką niewolnicę, która przed kilkoma tygodniami zemdliała na polu. Bess miała zamknięte oczy i zakrwawioną koszulę. Najwyraźniej przytrafiło się jej coś złego. Mack przytrzymał drzwi i wpuścił Kobe'a do domu. Jamissonowie siedzieli w jadalni, kończąc obiad.

- Połóż ją w salonie - polecił Mack Murzynowi.
- W salonie...? - zapytał niepewnie Kobe. Poza jadalnią tylko tam palił się ogień i było jasno.
- Pani Jamisson tak właśnie kazałaby mi zrobić - zapewnił go Mack. Kobe skinął głową. Mack zapukał do jadalni, po czym wszedł. Lizzie i Jay siedzieli przy

niewielkim okrągłym stoliku, na ich twarze padał blask z ustawionego między nimi lichtarza. Lizzie była już bardzo gruba, ale nadal wyglądała uroczo. Miała na sobie suknię z dużym dekoltem, który uwydatniał jej piersi, górujące niczym namiot nad napęczniałym łonem. Jadła rodzynki, a Jay łupał orzechy. Mildred, wysoka pokojówka o skórze barwy najprzedniejszego tytoniu, nalewała właśnie Jayowi wino. W kominku trzaskały drwa. Była to pełna spokoju domowa scena i Mack z bólem serca uświadomił sobie, iż ma przed sobą szczęśliwe stadło. Popatrzył na nich uważniej. Jay siedział w rogu stołu, odwrócony do Lizzie plecami i spoglądał w okno, obserwując, jak nad rzeką zapada noc. Lizzie przyglądała się nalewającej wino Mildred. Ani Jay, ani Lizzie nie uśmiechali się. Wyglądali jak dwoje obcych sobie ludzi w gospodzie, w której muszą dzielić stół, ale nie mają sobie nic do powiedzenia.

- Czego, do diabła, chcesz? - zapytał Jay na widok McAsha.

- Bess miała wypadek - odparł Mack, zwracając się do Lizzie. - Kobe zaniósł ją do salonu.

- Już tam idę - powiedziała Lizzie, odsuwając krzesło.

- Tylko niech nie zabrudzi krwią jedwabnych obić burknął Jay. Mack przepuścił Lizzie przez drzwi, po czym ruszył za nią. Kobe zapalał właśnie świece. Lizzie pochyliła się nad ranną. Ciemna skóra Bess była teraz popielata, z warg dziewczyny odpłynęła

cała krew. Miała zamknięte oczy i płytko oddychała.

- Co się stało? - zapytała Lizzie.

- Zraniła się - wyjaśnił Kobe. - Miała przeciąć linę maczetą, ale ostrze ześlizgnęło się i rozcięła sobie brzuch. Mack obserwował, jak Lizzie rozdziera koszulę Bess, odsłaniając ranę. Bardzo krwawiła i była dość głęboka.

- Przynieście z kuchni czyste płótno i miskę gorącej wody - poleciała Lizzie.

- Ja to zrobię - zaofiarował się Mack, podziwiając jej zdecydowanie i zimną krew. Spiesznie ruszył do kuchni, gdzie Mildred i Sarah zmywały naczynia po kolacji.

- Czy z Bess wszystko w porządku? - zapytała Sarah.

- Nie wiem. Pani Jamisson prosi o czyste płótna i ciepłą wodę. Kucharka podała mu miskę.

- Nabierz wody z kotła nad ogniem, a ja zaraz przyniosę szmaty. W kilka chwil później Mack ponownie był w salonie. Lizzie, która już do końca rozdarła sukienkę Bess, zanurzyła szmatkę w wodzie i zaczęła przemywać skórę wokół rany. Obmyte z krwi głębokie rozcięcie wyglądało jeszcze gorzej i McAsh obawiał się, że Bess uszkodziła sobie jakieś narządy wewnętrzne. Lizzie widać myślała podobnie, bo powiedziała:

- Nie poradzę sobie z tym. Potrzebujemy lekarza. Do pokoju wszedł Jay, popatrzył na ranę i pobladł.

- Musimy posłać po doktora Fincha - oświadczyła Lizzie.

- Jak chcesz - odparł. - Ja wybieram się do "Przystani". Dziś mają się tam odbyć walki kogutów
- dodał i opuścił salon. Idźże sobie z Panem Bogiem, pomyślał pogardliwie McAsh. Lizzie popatrzyła na Macka i na Kobe'a.

- Jeden z was musi wybrać się do Fredericksburga powiedziała.

- Mack kiepsko jeździ konno - mruknął Kobe. - Ja pojedę.

- Ma rację - przyznał Mack. - Wprawdzie mógłbym pojechać powozem, jednak zabrałoby to więcej czasu.

- Więc niech jedzie Kobe - zgodziła się Lizzie. - Ale śpiesz się, człowieku - dodała, zwracając się do Murzyna. Od ciebie może zależeć życie tej dziewczyny. Do Fredericksburga było dziesięć mil, lecz Kobe dobrze znał drogę i wrócił już po dwóch godzinach. Gdy wszedł do salonu, miał twarz niczym gradowa chmura. Mack nigdy nie widział go w takim nastroju.

- Gdzie lekarz? - zapytała Lizzie.

- Doktor Finch nie będzie jeździł po nocy do jakiejś murzyńskiej dziewczyny - oświadczył drżącym z wściekłości głosem Kobe.

- Niech go piekło pochłonie! - krzyknęła ogarnięta furją Lizzie. Wszyscy popatrzyli na Bess. Na jej twarzy perlił się pot, oddychała chrapliwie i jęczała. Żółte, jedwabne obicie kanapy nasiąknięte było krwią. Dziewczyna w każdej chwili mogła umrzeć.

- Nie wolno nam tak tu stać i nic nie robić -
powiedziała Lizzie. - Przecież jeszcze można ją
uratować.

- Nie sądzę, żeby długo pożyła - odparł Kobe.

- Skoro lekarz nie chciał przybyć do niej, zawieziemy
ją do niego - oświadczyła Lizzie. - Pojedziemy
powozem.

- Chyba lepiej jej nie ruszać - mruknął Mack.

- W takim razie umrze! - krzyknęła Lizzie.

- Dobrze już, dobrze. Wyprowadzę powóz.

- Kobe, zdejmij materac z mojego łóżka i rozłóż go
na tyle wozu - poleciała Lizzie. - Weź też kilka koców.
Mack pośpieszył do stajni. Wszyscy stajenni byli już
w swoich kwaterach, ale zaprzęgnięcie kucyka
Stripe'a zajęło mu niewiele czasu. Od płonącej
szczapy wyjętej z paleniska w kuchni pozapalał
zamocowane do powozu latarnie. Gdy zajechał przed
front domu, Kobe już tam czekał. Pomocnik
nadzorcy zaczął mościć legowisko, a Mack poszedł
do salonu. Lizzie nakładała właśnie pelerynę.

- Zamierzasz z nami jechać? - zapytał Mack.

- Tak.

- Nie wiem, czy w twoim stanie jest to wskazane...

- Obawiam się, że ten przeklęty lekarz odmówi
pomocy, jeśli mnie przy tym nie będzie - przerwała
mu gwałtownie. Mack wiedział, że kiedy Lizzie jest w
takim nastroju, nie ma sensu z nią dyskutować.
Ostrożnie wziął Bess na ręce i wyniósł ją z domu.
Położył ranną w powozie na materacu, a Kobe otulił
ją kocami. Lizzie usiadła obok Bess i wzięła w ręce

głowę dziewczyny. Mack zajął miejsce na koźle i ściągnął lejce. Cztery osoby stanowiły jednak dla kucyka zbyt duże obciążenie, więc Kobe zeskoczył z powozu i mocno go pchnął. Mack dojechał do głównej drogi i ruszył nią w stronę Fredericksburga. Noc była bezksiężycowa, ale gwiazdy dawały wystarczająco dużo światła, żeby widzieć szczegóły drogi. Na nierównym, usianym kamieniami szlaku powóz nieustannie podskakiwał i Mack bardzo obawiał się o Bess, lecz Lizzie cały czas przynaglała go okrzykami: "Jedź szybciej! Jedź szybciej!" Droga wiała się wzdłuż brzegu rzeki pośród gęstego lasu, który graniczył z plantacją. Nie spotkali nikogo. Po zapadnięciu zmroku ludzie podróżowali bardzo rzadko. Popędzany przez Lizzie Mack zwiększył tempo i mniej więcej w porze kolacji dotarli do Fredericksburga. Po ulicach miasteczka snuli się jeszcze ludzie, w oknach paliły się światła. Przed domem doktora Fincha Mack zatrzymał konia i Lizzie bez słowa wysiadła z powozu, po czym ruszyła w stronę drzwi. Mack owinał Bess kocami i wziął ją na ręce. Murzynka była nieprzytomna, ale żyła. Drzwi otworzyła pani Finch, bojaźliwa czterdziestoletnia kobieta. Wskazała Lizzie drogę do salonu i Mack, trzymając w ramionach Bess, ruszył śladem młodej pani Jamisson. Lekarz, krępy mężczyzna o nienagannych manierach, był wyraźnie zakłopotany. Uświadomił sobie, że zmusił ciężarną kobietę do jazdy nocą, bo sam nie chciał się pofatygować do rannej niewolnicy. Swoje

skonfundowanie próbował maskować krzątaniną i wydawaniem poleceń żonie. Obejrzał dokładnie ranę Bess, po czym poprosił Lizzie i Macka, żeby przeszli do sąsiedniego pokoju. Pani Finch została, by pomagać mężowi. Lizzie ostrożnie usiadła na krześle.

- Coś się stało? - zapytał Mack.

- Po tej jeździe dostałam okropnego bólu w krzyżu. Jak myślisz, czy Bess wyjdzie z tego?

- Nie wiem. Obawiam się, że nie jest zbyt silna.

Pojawiła się pokojówka i zaproponowała Lizzie herbatę i ciasto. Potem otaksowała wzrokiem Macka, doszła do wniosku, że jest służącym, i powiedziała:

- Jeśli i ty masz ochotę na herbatę, to chodź do kuchni.

- Najpierw zajmę się koniem - odparł. Wyszedł i wprowadził kucyka do stajni doktora Fincha, napił zwierzę i dał mu trochę owsa. Następnie udał się do kuchni. Dom był niewielki i przez ścianę docierała do niego rozmowa doktora z żoną. Pokojówka, Murzynka w średnim wieku, posprzątała w jadalni i przyniosła do kuchni filiżankę po herbacie Lizzie. Mack stwierdził, że nie ma sensu czekać w kuchni, więc wrócił do stołowego pokoju i nie zwracając uwagi na gniewnie zmarszczone czoło pokojówki usiadł obok Lizzie. Wyglądała mizernie, była bardzo blada i Mack pomyślał, że musi jak najszybciej zabrać ją do domu. W końcu w drzwiach pojawił się doktor Finch. Wycierał ręcznikiem dłonie.

- To paskudna rana, ale zrobiłem wszystko, co w mojej mocy - oświadczył. - Powstrzymałem

krwawienie, zaszyłem ranę i napoiłem ranną wywarem z ziół. Jest młoda, więc powinna przeżyć.

- Dzięki Bogu - westchnęła z ulgą Lizzie. Lekarz skinął głową.

- Podejrzewam, że to bardzo wartościowa niewolnica. Nie powinna dzisiejszej nocy wracać do domu. Zatrzymam ją u siebie i ulokuję w kwaterach pokojówek, a jutro lub pojutrze odeślę pani na plantację. Gdy rana się zasklepi, zdejmę szwy. Do tego czasu nie powinna wykonywać cięższych robót.

- Oczywiście.

- Pani Jamisson, czy jadła już pani kolację? Może zje pani coś u nas?

- Nie, dziękuję. Chcę jak najszybciej wrócić do domu i położyć się do łóżka.

- Powóz czeka przed domem - wtrącił Mack. W kilka minut później wracali już na plantację. Dopóki jechali przez miasto, Lizzie zajmowała miejsce obok Macka, lecz gdy tylko minęli ostatni dom, przeniosła się na tył powozu i położyła na materacu. Mack powoził wolno, ale z tyłu nie dobiegały go ponagłające okrzyki Lizzie. Po mniej więcej półgodzinie zapytał:

- Śpisz? Nie doczekawszy się odpowiedzi, doszedł do wniosku, że zasnęła. Od czasu do czasu zerkał jednak za siebie. Lizzie leżała nieruchomo i pomrukiwała coś przez sen. Od plantacji dzieliły ich już tylko dwie lub trzy mile. Posuwali się opustoszałą równiną, gdy nagle ciszę nocną zmaćił krzyk. To krzyczała Lizzie.

- Co się stało? - Mack gwałtownie ściągnął lejce i zanim jeszcze kucyk zdążył przystanąć, on już znalazł się na tyle powozu.
- Och, Mack, ależ to boli! - krzyknęła Lizzie. Wziął ją w ramiona i lekko uniósł.
- Co się dzieje? Gdzie cię boli?
- Och, Boże. To chyba dziecko.
- Ale przecież termin...
- Tak, jeszcze dwa miesiące. Mack nie znał się na tych sprawach, ale się domyślał, że przedwczesny poród może nastąpić zarówno w wyniku powikłań medycznych, jak i jazdy po wyboistej drodze do Fredericksburga. Albo też z obu powodów.
- Kiedy? - zapytał.
- Chyba już niedługo - jęknęła.
- Myślałem, że to trwa kilka godzin.
- Nie wiem. Wydawało mi się, że bóle w krzyżu wzięły się z tego, że dziś za dużo krzątałam się po domu. Ale może to już rodzi się dziecko.
- Mam dalej jechać? Na plantacji będziemy za kwadrans.
- To za długo. Zostańmy tutaj. Trzymaj mnie mocno, proszę. Mack uświadomił sobie, że materac jest lepki i wilgotny.
- Dlaczego tu tak mokro? - zapytał.
- Odeszły wody płodowe. Tak bardzo chciałabym, żeby była tu ze mną moja matka... Mack pomyślał, że materac pewnie zbroczony jest krwią, ale nie powiedział tego głośno. Lizzie ponownie jęknęła. Gdy

ból minął, zaczęła drżeć, więc Mack otulił ją swym futrem.

- Zwracam ci płaszcz, który mi dałaś - powiedział i Lizzie uśmiechnęła się lekko, ale zaraz nastąpił kolejny skurcz. - Będziesz musiał przyjąć dziecko - powiedziała, gdy znowu mogła mówić.

- W porządku - odparł, choć nie bardzo wiedział, co ma robić.

- Pochyl się między moimi nogami - poleciła. Ukląkł i zadarł suknię Lizzy. Miała przemoczoną bieliznę. Mack rozbierał w życiu tylko dwie kobiety, Annie i Corę, ale żadna z nich nie nosiła spodniej odzieży, więc nie miał pojęcia, jak sobie z nią poradzić.

Ostatecznie jednak jakoś wszystko porozplątywał. Lizzie uniosła nogi, oparła mu je na ramionach i zaplotła wokół jego szyi. Patrzył w kępę ciemnych włosów między jej udami i ogarniała go panika. W jaki sposób wydostanie się stamtąd dziecko? Nie wiedział, co się wydarzy, ale nakazał sobie spokój. W końcu porody zdarzały się na świecie tysiące razy dziennie. Nie musiał niczego rozumieć. Dziecko i tak przyjdzie na świat bez jego pomocy.

- Boję się - powiedziała Lizzie między jednym skurczem a drugim.

- Zajmę się wszystkim - odparł Mack i poklepał ją uspokajająco po udzie, gdyż tylko tam mógł sięgnąć. Dziecko pojawiło się bardzo szybko. W blasku gwiazd Mack nie widział zbyt wiele, ale Lizzie wydała głośny jęk, który zdawał się wydobywać z jej trzewi. Mack wyciągnął ręce i poczuł w dłoniach coś

ciepłego, śliskiego, co wysuwało się z Lizzie. W chwilę później trzymał w palcach główkę dziecka. Lizzie przez moment odpoczywała, po czym znów zaczęła przeć. Mack jedną ręką trzymał głowę dziecka, a drugą podłożył pod wątle ramionka wyslizgujące się z Lizzie. Zaraz potem wysunęło się całe ciało. Mack trzymał maleństwo w dłoniach i spoglądał na nie w oszołomieniu. Noworodek miał zamknięte oczy, ciemne włosy i miniaturowe kończyny.

- Dziewczynka - powiedział.

- Musi płakać - powiedziała z naciskiem Lizzie.

Decyzja była trudna, lecz Mack wiedział, że musi to zrobić. Odwrócił w dłoniach dziewczynkę i wymierzył jej siarczystego klapsa w pupę. Nic się jednak nie wydarzyło. Mack pojął, że coś jest straszliwie nie w porządku. Nie wyczuwał bicia serca maleństwa.

- Daj mi ją - powiedziała Lizzie i z wysiłkiem usiadła. Mack podał jej dziecko. Ujęła je w dłonie i popatrzyła na buzię noworodka. Przyłożyła wargi do ust dziecka, jakby je całowała, po czym mocno dmuchnęła. Choć Mack modlił się gorąco w duchu, żeby dziewczynka zachłysnęła się powietrzem, ale niemowlę nadal nie oddychało. - Nie żyje - powiedziała po chwili Lizzie. Przycisnęła dziecko do łona i owinęła je futrem. - Moje dziecko nie żyje. Rozplakała się. Mack wziął ją w ramiona i tulił do siebie, a Lizzie rozdzierająco łkała.

Po urodzeniu martwej córeczki świat Lizzie poszarzał. Przestała zupełnie zajmować się służbą, która robiła, co chciała, i dopiero Mack wziął wszystko w swoje ręce. Nie objeżdżała już codziennie plantacji, pola tytoniowe zostawiła Lennoxowi. Czasami odwiedzała panią Thumson lub Suzy Delahaye, ponieważ mogła z nimi rozmawiać o dziecku. Unikała jednak przyjęć i balów. W każdą niedzielę jeździła do kościoła we Fredericksburgu, a po mszy godzinę lub dwie spędzała na cmentarzu. Stojąc nieruchomo i patrząc na maleńką mogiłę, rozmyślała o tym, co się wydarzyło. Była święcie przekonana, że sama wszystkiemu zawiniła. Jeszcze w piątym miesiącu ciąży jeździła konno. Nie zażywała tyle wypoczynku, ile zalecił jej lekarz, a tej nocy, gdy jej dziecko przyszło na świat martwe, przebyła powozem dziesięć mil, przynaglając Macka do szybkiej jazdy. Czuła straszliwy gniew na Jaya za to, że nie było go wtedy w domu. Czuła gniew na doktora Fincha, że nie chciał przyjechać do młodej niewolnicy - i do Macka za to, że usłuchał jej rozkazu i jechał tak szybko. Największy jednak żal czuła do samej siebie. Przeklinała w duchu własną głupotę i nieodpowiedzialność. Przeklinała samą siebie za impulsywność i niecierpliwość. Gdybym była inna, myślała, gdybym była normalną kobietą, rozsądną, sensowną i ostrożną, tuliłabym w tej chwili do piersi swoją córeczkę. Nie mogła o tym rozmawiać z Jayem. W pierwszej chwili wpadł we wściekłość. Wyzywał Lizzie i obiecywał, że zastrzeli

doktora, a Macka oćwicz batem. Dopiero gdy się dowiedział, że dziecko było dziewczynką, jego gniew ostygł i zaczął zachowywać się tak, jakby jego żona nigdy nie była w ciąży. Przez jakiś czas Lizzie dużo rozmawiała z Mackiem. Jej poród bardzo ich do siebie zbliżył. McAsh otulił ją swym płaszczem, trzymał jej nogi i czule obchodził się z nieszczęsnym dzieckiem. Ale choć Mack początkowo wykazywał wiele troski i zrozumienia, po kilku tygodniach wyczuła, że ogarnia go zniecierpliwienie. W końcu nie było to jego dziecko, myślała, i tak naprawdę nie jest w stanie dzielić ze mną smutku. Nikt nie był w stanie dzielić z nią smutku, zamknęła się więc w sobie. Pewnego dnia, w trzy miesiące po porodzie, poszła do pachnącego jeszcze świeżą farbą skrzydła domu przeznaczonego dla dziecka. Usiadła samotnie w kącie i oddała się rozmyślaniom. Wyobrażała sobie malutką dziewczynkę w kojcu, gaworzącą radośnie lub domagającą się płaczem jedzenia, ubraną w białe śpioszki i malutkie, zrobione na drutach buciki, ssącą jej pierś lub kąpaną w balii. Wizja była tak wyrazista, że w oczach Lizzie stanęły łzy i zaczęły spływać po policzkach. W tej właśnie chwili do pokoju wszedł Mack. Podczas ostatniej burzy do kominka wpadło trochę śmieci i teraz zamierzał je usunąć. Na widok zapłakanej twarzy Lizzie nie odezwał się ani słowem.

- Jestem taka nieszczęśliwa - wyszlochała. Mack nie przerwał swego zajęcia.

- To do niczego dobrego nie doprowadzi - stwierdził szorstko.
- Spodziewałam się po tobie więcej współczucia - odparła żałośnie Lizzie.
- Nie możesz całego życia spędzić w tym pokoju roniąc łzy. Każdy człowiek wcześniej czy później umiera. Ale ci, co zostają, muszą dalej żyć.
- Nie chcę żyć. Po co mam żyć?
- Nie bądź taka patetyczna, Lizzie. To nie leży w twojej naturze. Słowa te poruszyły ją do żywego. Od czasu poronienia nikt nie mówił do niej tak ostro. Dlaczego Mack pogłębia jeszcze jej smutek?
- Nie masz prawa mówić do mnie w taki sposób - powiedziała ze skargą w głosie. Mack gwałtownie odrzucił miotłę, złapał Lizzie i uniósł z krzesła.
- Nie mów mi o moich prawach - warknął. Był wściekły, i Lizzie w pierwszej chwili pomyślała, że ją uderzy.
- Zostaw mnie! - krzyknęła.
- Zbyt wielu ludzi cię zostawia - powiedział, ale ją puścił. - Cóż zatem mam robić? - zapytała.
- Co chcesz. Wsiądź na statek i wracaj do matki w Aberdeen. Nawiąż romans z pułkownikiem Thumsonem. Ucieknij za granicę z jakimś drapichrustem... - umilkł i popatrzył na nią twardym wzrokiem. - Albo zostań dobrą żoną dla Jaya i miejcie nowe dziecko. Lizzie była zaskoczona.
- Myślałam...
- Co myślałaś?

- Nic. Od pewnego czasu wiedziała, że Mack skrycie się w niej podkocha. Po nieudanym przyjęciu dla robotników rolnych tak czule jej dotykał i gładził po włosach, że mogło to świadczyć jedynie o głębszym uczuciu. Scałowywał gorące łzy z jej policzków... We wszystkich tych gestach zawierało się coś więcej niż współczucie. Ale i w jej reakcji na jego czule gesty było coś więcej niż sama tylko potrzeba współczucia. Przytulała się do twardego ciała Macka, napawała dotykiem jego warg i nie wynikało to wyłącznie z tego, że czuła się samotna i opuszczona. Jednak od czasu narodzin martwego dziecka wszystko uległo zmianie. Jej serce przepelniała pustka, nie było w nim miejsca na namiętność. Wspomnienie tamtych uniesień wywoływało teraz jedynie wstyd i zażenowanie. Wiarołomna, występna żona, która chciała uwieść urodziwego młodego służącego - postać żywcem wyjęta z humorystycznych powieści. Mack oczywiście nie był żadnym urodziwym służącym, ale wiedziała, że nie spotkała jeszcze w życiu tak szczególnego człowieka. Wiedziała również, iż jest arogancki, zawzięty, a jego wielkie mniemanie o sobie było wręcz śmieszne i spowodowało mu na głowę nieustanne kłopoty. Nie mogła jednak nie podziwiać jego buntu przeciw tyranii władzy zarówno na polach węglowych Szkocji, jak i na plantacji w Wirginii. A kłopoty, które na niego spadały, brały się przeważnie z tego, że stawał w obronie innych. Ale Jay był jej mężem. Okazał się słabym i głupim człowiekiem, okłamywał ją, jednak

poślubiła go i powinna dochować mu wierności. McAsh nie spuszczał z niej wzroku i Lizzie zastanawiała się, co naprawdę myśli. Uświadomiła sobie, że to właśnie siebie miał na myśli mówiąc, żeby uciekła za granicę z jakimś nicponiem. Mack niepewnie wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka. Lizzie zamknęła oczy. Wiedziała dobrze, co powiedziałyby jej matka, widząc ją w tej chwili. "Poślubiłaś Jaya i przysięgłaś mu wierność małżeńską. Jesteś kobietą czy dzieckiem? Kobieta dotrzymuje nie tylko łatwych obietnic, ale przede wszystkim tych trudnych. Na tym właśnie polega istota przysięgi małżeńskiej". A ona pozwalała innemu mężczyźnie gładzić się po twarzy. Otworzyła oczy i spojrzała na Macka. W jego wzroku czaiła się nieprzytomna tęsknota. Lizzie poskromiła odruch serca, uniosła dłoń i z całych sił wymierzyła Mackowi policzek. McAsh nawet nie drgnął, ale wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił. Ugodziła go w samo serce. Jego twarz wyrażała takie oszołomienie i strach, że Lizzie w jednej chwili zapragnęła wziąć go w ramiona i błagać o przebaczenie. Najwyższym wysiłkiem woli zapanowała nad sobą.

- Nie waż się mnie dotykać! - powiedziała drżącym głosem. Nie odpowiedział, spoglądał tylko na nią oczyma pełnymi cierpienia i lęku. Nie potrafiła znieść jego wzroku, więc odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Cały dzień myślała tylko o tym, co powiedział Mack: że powinna pozostać żoną Jaya i

mieć z nim następne dziecko. Spanie z Jayem w jednym łóżku wydawało jej się teraz nedorzecznnością, ale była przecież jego żoną i należało to do jej powinności. Gdyby się z nich nie wywiązała, nie zasługiwałyaby na to, aby mieć męża. Po południu wzięła kąpiel. Była to trochę skomplikowana operacja. Należało wnieść do sypialni niewielką wannę, a pięć czy sześć silnych dziewcząt musiało dostarczać z kuchni na piętro dzbany z gorącą wodą. Po kąpieli Lizzie włożyła świeżą suknię i zeszła do stołowego pokoju na kolację. Był zimny grudniowy wieczór i na kominku płonął wielki ogień. Lizzie wypła trochę wina i próbowała wciągnąć Jaya w pogodną rozmowę, taką, jakie prowadzili przed ślubem. Ale on nie reagował na jej zabiegi. Powinnam się była tego spodziewać, pomyślała. Zbyt długo żyliśmy z dala od siebie.

- Od porodu upłynęły trzy miesiące - powiedziała po skończonej kolacji. - Ze mną jest już wszystko w porządku. - Nie rozumiem, o co ci chodzi?

- Jestem już zdrowa - odparła Lizzie. Nie zamierzała wdawać się w szczegóły. W kilka dni po urodzeniu martwego dziecka z jej piersi przestało sączyć się mleko. Krwawienia trwały nieco dłużej, ale i one w końcu minęły. - Mam na myśli to, że brzucha nigdy już nie będę miała płaskiego jak dawniej, ale... ale pod każdym innym względem wróciłam do zdrowia. Jay wciąż nie rozumiał.

- Dlaczego mi o tym mówisz? Powstrzymując ogarniające ją rozdrażnienie, Lizzie oświadczyła spokojnie:

- Chcę powiedzieć, że możemy się już kochać. Jej mąż mruknął coś niewyraźnie i zapalił fajkę. Nie była to reakcja, jakiej kobieta oczekuje od mężczyzny. - Czy przyjdiesz dziś do mojej sypialni?

- zapytała z naciskiem. Spojrzał na nią z irytacją.

- Takie propozycje powinny wychodzić od mężczyzny odparł ze złością. Lizzie wstała od stołu.

- Chciałam cię tylko poinformować, że ja jestem gotowa - powiedziała dotknięta do żywego i opuściła jadalnię. Pojawiła się Mildred i pomogła się jej rozebrać.

- Czy pan Jamisson poszedł już spać? - zapytała Lizzie pokojówkę.

- Nie... Nie sędzę.

- Czy jest na dole?

- Chyba wyszedł z domu. Lizzie popatrzyła na twarz służącej. Murzynka miała niewyraźną minę.

- Mildred, czy ty czegoś przede mną nie ukrywasz? - zapytała. Mildred była bardzo młoda, miała dopiero osiemnaście lat, i nie umiała dobrze kłamać.

Odwróciła głowę.

- Nie sędzę, pani Jamisson. Lizzie była jednak przekonana, że dziewczyna kłamie. Ale dlaczego? Gdy pokojówka rozczesywała jej włosy, Lizzie zastanawiała się, dokąd poszedł Jay. Po kolacji często wychodził z domu. Czasami mówił, że wybiera się pograć w karty lub obejrzeć walki kogutów.

Czasami nie opowiadał się wcale. Podejrzewała, że jest częstym gościem w gospodach. Ale gdyby tak było, Mildred by o tym powiedziała. Lizzie przyszło do głowy, że pewnie jej mąż znalazł sobie inną kobietę. Podczas następnego tygodnia Jay ani razu nie pojawił się w jej pokoju. Lizzie była przekonana, że mąż nawiązał jakiś romans. Jediną kobietą, jaka przychodziła jej na myśl, była Suzy Delahaye. Męża tej młodej i pięknej kobiety często nie było w domu. Jak większość Wirgińczyków, miał słabość do wyścigów konnych i potrafił wybrać się w dwudniową podróż, żeby tylko je obejrzeć. Czyżby Jay po kolacji jechał do Delahaye'ów i szedł do łóżka z Suzy? - zastanawiała się Lizzie. Mówiła sobie, że daje się ponieść wyobraźni, ale nieustannie gnębiły ją podejrzenia. Siódmego wieczoru wyjrzała przez okno sypialni i w mroku ujrzała poruszające się na trawniku światło latarni. Postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Było ciemno i zimno, ale nie chciała tracić czasu na ubieranie się, zarzuciła więc tylko szal na ramiona i zbiegła po schodach. Dwa śpiące na werandzie ogary popatrzyły na nią z ciekawością. - Roy, Rex, chodźcie, pieski! - zawołała cicho. Z psami przy nodze pobiegła trawnikiem w stronę rzucanego przez latarnię blasku. Niebawem światło zniknęło między drzewami, ale Lizzie była już wystarczająco blisko, by zobaczyć, że Jay - jeśli był to Jay - zmierza w kierunku magazynów tytoniu i domku nadzorcy. Zapewne Lennox osiodłał już wierzchowca, którym jej mąż uda się do posiadłości

Delahaye'ów. Lizzie była przekonana, że nadzorca macza w tym wszystkim palce. Ilekroć Jay postępował niewłaściwie, zawsze wplątany był w to Lennox. Nie widziała już blasku latarni, ale bez trudu dotarła do dwóch stojących trochę z boku chat. W jednej mieszkał Lennox, a druga należała kiedyś do Sowerby'ego i teraz stała pusta. Ale w środku ktoś był, bo przez szpary w zamkniętych okiennicach sączyło się światło. Lizzie przystanęła, żeby uspokoić serce. Bała się tego, co zastanie w środku. Myśl, że ujrzy Jay a trzymającego w ramionach Suzy, tak jak trzymał niegdyś ją, i całującego Suzy, tak jak niegdyś ją całował, sprawiała, że Lizzie ogarniał dziki gniew. Nie chciała tego oglądać, ale wiedziała, że niepewność byłaby jeszcze gorsza. Pchnęła drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Otworzyła je i weszła do środka. Domek składał się z dwóch pomieszczeń. Znajdująca się bliżej wyjścia kuchnia była pusta, ale z położonej za nią sypialni dochodził czyjś cichy głos. Czyżby leżeli już w łóżku? - pomyślała Lizzie. Przeszła przez kuchnię na palcach, położyła dłoń na klamce, wzięła głęboki wdech i otworzyła drzwi na oścież. Suzy Delahaye w pokoju nie było, był tam natomiast Jay. Leżał na łóżku w samych bryczesach i koszuli, bez butów i kamizelki. W nogach łóżka stała młoda niewolnica, jedna z tych, które Jay przywiózł z Williamsburga. Lizzie nie znała jej imienia. Dziewczyna liczyła sobie nie więcej lat niż ona sama, była szczupła i bardzo ładna i miała wielkie brązowe

oczy. Stała nago i Lizzie widziała jej duże, jędrne piersi o brązowych sutkach i czarne, kręcone włosy łonowe. Niewolnica przesłała żonie Jaya spojrzenie, które na zawsze już utkwilo Lizzie w pamięci: harde, pogardliwe, pełne tryumfu. Możesz być panią tego domu - mówił jej wzrok ale on każdej nocy przychodzi do mojego łóżka, nie do twojego.

- Mój Boże, Lizzie! - zawołał Jay. Popatrzyła w jego stronę i ujrzała, że kuli się ze strachu. Ale ten widok wcale nie sprawił jej satysfakcji. Od dawna wiedziała, że jej mąż jest słabym człowiekiem.

- Niech cię piekło pochłonie, Jay - powiedziała cicho, odwróciła się na pięcie i wyszła z sypialni. Wróciła do swego pokoju, wyjęła z szuflady klucz i ruszyła do magazynku, gdzie trzymano broń. Choć na stojaku obok strzelb Jaya znajdowały się jej karabiny Griffin, Lizzie sięgnęła tylko po obity skórą kuferek z dwoma pistoletami. Sprawdzając jego zawartość, znalazła również cały rozek prochu, dużo lnianych pakulów i kilka zapasowych spłonek. Ale kul nie było. Przeszukała całe pomieszczenie, lecz nigdzie nie natrafiła na gotowe naboje, znalazła jedynie kilka sztabek ołowiu. Wzięła jedną z nich, do tego dołączyła przypominający wyglądem szczypce przyrząd do robienia kul, po czym opuściła zbrojownię, zamykając za sobą drzwi na klucz. Gdy z pudłem z pistoletami pod pachą wkroczyła do kuchni, Sarah i Mildred popatrzyły na nią z przerażeniem. Bez słowa podszła do kredensu, wyjęła z niego duży nóż oraz niewielki, ciężki

żeliwny ronderek z dziobkiem. Wróciła spieszenie do sypialni i zamknęła się w niej na klucz. Rozpaliła w kominku tak duży ogień, że żar bił na cały pokój. Włożyła sztabkę ołowiu do rondla, a garnek wsunęła do paleniska. Pamiętała dzień, w którym Jay przywiózł z Williamsburga te cztery młode niewolnice. Zapytała go, dlaczego nie kupił mężczyzn, a on odpowiedział, że dziewczyny są tańsze i posłuszniejsze. Nie poruszała więcej tego tematu; bardziej interesował ją nowy ekstrawagancki ekwipaż Jaya. I dopiero teraz wszystko zrozumiała. Do drzwi sypialni zapukał Jay. - Lizzie! - zawołał cicho, kręcąc gałką. Gdy stwierdził, że jego żona zamknęła się na klucz, ponownie zawołał: - Lizzie... Otwórz! Puściła mimo uszu jego słowa. W tej chwili Jaya dręczyły wyrzuty sumienia, niebawem jednak wytłumaczy sobie, że nie zrobił niczego złego, i wpadnie w złość. Ale na razie był nieszkodliwy. Dobijał się jeszcze przez dobrą minutę. W końcu dał za wygraną i odszedł od drzwi. Gdy ołów się roztopił, Lizzie wyjęła z ognia ronderek i szybko przelała odrobinę płynnego metalu w okrągłe wgłębienie znajdujące się w przypominającym szczypce urządzeniu do wyrobu kul. Potem włożyła je do garnka z zimną wodą i czekała, aż ołów ostygnie i stwardnieje. Gdy w końcu nacisnęła rączki przyrządu, jego góra otworzyła się i wypadła z niej zgrabna kulka. Wzięła ją w palce. Była idealnie okrągła i tylko w miejscu, gdzie odrobina ołowiu wyciągnęła się w dziobku naczynia,

sterczał kawałek metalu. Obcięła go kuchennym nożem. Robiła kulę za kulą tak długo, aż skończył się ołów. Później naładowała oba pistolety i położyła je obok siebie na łóżku. Ponownie sprawdziła, czy drzwi sypialni są dobrze zamknięte, i wróciła do łóżka.

Mack znienawidził Lizzie za wymierzony mu policzek. Za każdym razem, gdy wspominał tę chwilę, ogarniała go wściekłość. Lizzie dawała mu fałszywe sygnały, a gdy on na nie odpowiedział, ukarała go. Kawał suki, myślał. Przecież sama zaczęła ów przewrotny flirt, igrając z jego uczuciami. Szybko jednak zrozumiał, że jest wobec Lizzie niesprawiedliwy. Doszedł do wniosku, iż stała się tylko ofiarą targających nią rozterek. Darzyła go uczuciem, ale była żoną innego mężczyzny i bała się, że zaniedba swe powinności. Zrozpaczona, próbowała rozwiązać swój dylemat karząc Macka. Niejednokrotnie pragnął jej powiedzieć, że wcale nie musi być wierna swemu mężowi. Wszyscy niewolnicy na plantacji wiedzieli, iż Jay spędza noce z Felią, piękną i bardzo chętną dziewczyną z Senegalu. Zdawał sobie jednak sprawę, że prędzej czy później Lizzie sama dowie się o zdradzie męża. I rzeczywiście dowiedziała się. Stało się to dwa dni temu. Jak zwykle zareagowała bardzo gwałtownie i z przesadą: zamknęła się w sypialni uzbrojona w pistolety. Jak długo wytrzyma? Czym się to wszystko skończy? - zastanawiał się Mack. Ucieczką za

granicę z jakimś drapichrustem, jak sam jej powiedział, mając na myśli siebie? Ale ona nie przyjęła tej propozycji. Oczywiście nawet nie zaświtało jej w głowie, że mogłaby spędzić z nim resztę życia. Niewątpliwie go lubiła. Był dla niej kimś więcej niż służącym. Przyjął na świat jej dziecko. I uwielbiała, gdy trzymał ją w ramionach. Ale to jeszcze nie znaczyło, że byłaby gotowa porzucić męża i uciec ze skazańcem. Nie mógł zmrużyć oka, przewracał się w łóżku aż do świtu i przetrawiał to wszystko w myślach. Wraz z pierwszym blaskiem dnia dotarło do niego ciche parskanie konia. Któż to mógł przybyć o tak wczesnej porze? Mack zsunął się z pryczy, po czym w samych spodniach i koszuli ruszył do drzwi. Panował przenikliwy ziąb i kiedy otworzył drzwi, uderzył w niego podmuch zimnego powietrza. Nad ziemią wisiała mgła, kropił lekki deszcz, ale było już jasno i w srebrzystym świetle świtu Mack ujrzał dwie kobiety prowadzące kucyka. W chwilę później rozpoznał wyższą z nich. Była to Cora. Co robiła po nocy na plantacji? Najwyraźniej przywiozła złe wieści. I wtedy rozpoznał drugą kobietę.

- Peg! - wykrzyknął z radością. Dziewczynka uniosła głowę i biegiem ruszyła w jego stronę. Wyrosła, pomyślał McAsh. Była dużo wyższa, niż pamiętał, nabierała już kobiecych kształtów. Ale jej twarz się nie zmieniła. Peg rzuciła się Mackowi na szyję.

- Mack! - zawołała. - Och, Mack, tak się bałam!

- Myślałem już, że nigdy cię nie spotkam - odparł. Co się stało?

- Wpadła w tarapaty - odpowiedziała za nią Cora. Kupił ją farmer, niejaki Burgo Marler. Chciał ją zgwałcić, ale ona ugodziła go kuchennym nożem.

- Biedna mała - westchnął Mac i przytulił do siebie dziewczynkę. - Zabiłaś go? Skinęła głową.

- Sprawa trafiła na łamy Virginia Gazette i teraz każdy szeryf w kolonii poszukuje Peg - powiedziała Cora. Macka ogarnęło przerażenie. Jeśli dziewczynka zostanie złapana, niechybnie czeka ją szubienica. Ich głosy wyrwały ze snu pozostałych niewolników. Gdy skazańcy wyszli przed chatę i rozpoznali Corę i Peg, bardzo się ucieszyli z ponownego spotkania.

- Jak dotarłaś do Fredericksburga? - zwrócił się Mack do Peg.

- Piechotą - odparła z charakterystyczną dla siebie zuchowatością. - Wiedziałam, że muszę iść na wschód i dotrzeć do rzeki Rapahannock.

Wędrowałam nocami, a drogę wskazywali mi ludzie, którzy też zazwyczaj wędrują nocą: niewolnicy, uciekinierzy, dezercerzy, Indianie.

- Przez kilka dni ukrywałam ją u siebie w domu - wtrąciła Cora. - Mój mąż wyjechał w interesach do Williamsburga. Ale później dowiedziałam się, że miejscowy szeryf zamierza odwiedzić każdego, kto przyplął do Wirginii na pokładzie "Rosebud"... - To oznacza, że pojawi się i tutaj - powiedział Mack.

- Tak. I to już niebawem. Gdy opuszczaliśmy miasto, właśnie zbierał ludzi.**
- Więc po co tu przyjechałyście? Cora odparła twardo:**
- Bo teraz Peg to już twój problem. Mam bogatego męża, miły dom oraz własną ławkę w kościele. Nie chcę, żeby szeryf odkrył ukrywającą się w mojej stajni morderczynię. Pośród skazańców rozległ się szmer dezaprobaty. Mack z jawną niechęcią popatrzył na Corę. Kiedyś zamierzał spędzić z tą kobietą resztę życia.**
- Na Boga, jesteś bez serca - powiedział ogarnięty gniewem. - Uratowałam ją, prawda? - odrzekła oburzona. - Teraz muszę ratować siebie!**
- Dziękuję ci za wszystko, Coro - wtrąciła Peg. - Uratowałaś mi życie. Kobe obserwował ich w milczeniu. Mack odwrócił się w jego stronę.**
- Moglibyśmy ukryć ją u Thumsonów - zaproponował.**
- Szeryf może jej szukać również tam - odparł Murzyn.**
- Do licha, nie pomyślałem o tym. Gdzie w takim razie możemy ją ukryć? Przeszukają każdy jard posiadłości, przeszukają stajnie, magazyny...**
- Nie pieprzyłeś jeszcze Lizzie Jamisson? - zapytała Cora. - Jak w ogóle możesz o to pytać? Oczywiście, że nie! odparł z oburzeniem Mack.**
- Nie rób z siebie durnia. Jestem pewna, że ma na ciebie wielką ochotę. Macka brzydził taki cynizm, ale nie zamierzał udawać niewiniątka.**

- A jeśli nawet, to co? - mruknął.

- Mogłaby ukryć Peg... Zrobiłaby to dla ciebie. Mack wcale nie był tego pewien. Jak w ogóle mam o to prosić? - pomyślał. Bardzo wątpił, by Lizzie zechciała pomóc dziewczynce. Nagle do jego uszu dotarło ujadanie psów. Był pewien, że to ogary czuwające na werandzie domu. Co je zaniepokoiło? Od rzeki zawtórowało im szczekanie innych psów.

- Chyba w okolicy są jacyś obcy - powiedział Kobe.

- Czyżby dotarła już do nas pogoń? - zaniepokoił się Mack.

- Tak sędzę - odparł Kobe.

- Liczyłem na to, że będę miał więcej czasu, żeby obmyślić plan działania! - zawołał Mack. Cora wskoczyła na konia.

- Wynoszę się stąd, zanim ktokolwiek mnie tu zobaczy. Powodzenia - rzuciła cicho i zniknęła w spowitym mgłą lesie. - Nie mamy dużo czasu - stwierdził Mack. - Chodźmy do domu. To nasza jedyna szansa.

- Zrobię wszystko, co mi każesz - odparła wystraszona Peg.

- Pójdę sprawdzić, kim są nasi goście - oświadczył Kobe. - Jeśli to pogoń, postaram się ją trochę opóźnić. Peg wzięła Macka za rękę i ruszyli przez skąpane w zimnym świetle pole, a potem przez pokryty rosą trawnik. Z werandy zbiegły im na spotkanie psy. Roy polizał rękę Macka, a Rex z ciekawością obwąchał Peg. Nie czekały. Drzwi do domu nigdy nie zamykano na klucz i McAsh

wprowadził Peg do środka przez tylne wejście. Na palcach wspięli się po schodach. Gdy dotarli na pierwszy podest, Mack wyjrzał przez okno. W szarym świetle świtu ujrzał pięciu lub sześciu jeźdźców zbliżających się od strony rzeki.

Towarzyszyła im sfora psów. Gdy obserwował przybyszy, grupa rozdzieliła się. Dwóch z nich skierowało się do domu, a reszta ruszyła w stronę kwater zajmowanych przez niewolników. Mack podszedł do drzwi sypialni Lizzie. Nie zawiedź mnie, pomyślał i pokręcił gałką. Drzwi były zamknięte. Zapukał delikatnie, żeby nie zbudzić śpiącego w sąsiednim pokoju Jaya. Odpowiedziała mu cisza. Zapukał mocniej. Zza drzwi dobiegł odgłos kroków i zaraz potem usłyszał pytanie Lizzie:

- Kto tam?

- To ja, Mack - szepnął.

- Czego, do diabła, chcesz ode mnie?

- Nie tego, o czym myślisz... otwórz! W zamku zazgrzytał, klucz i drzwi się uchylły. W półmroku dostrzegł niewyraźną sylwetkę Lizzie. Cofnęła się i Mack, ciągnąc za sobą Peg, wszedł do pokoju.

Sypialnia pogrążona była w ciemnościach. Szurając nogami, Lizzie podeszła po omacku do okna i rozchyliła zasłony. W świetle szarówki świtu Mack ujrzał, że jest w koszuli nocnej i ma rozkosznie potargane włosy.

- Mów szybko, o co chodzi - mruknęła Lizzie. - I żeby to miało jakiś sens... - W tej samej chwili dostrzegła Peg i zapytała zdziwiona: - Nie jesteś sam?

- To Peg Knapp - powiedział.
- Pamiętam ją - odparła Lizzie. - Jak się masz, Peggy?
- Znow wpałam w kłopoty.
- Sprzedano ją farmerowi w górach i ten człowiek próbował ją zgwałcić - wyjaśnił szybko Mack.
- Boże drogi!
- Zabiła go - dodał Mack.
- Nieszczęsne dziecko! - wykrzyknęła Lizzie i objęła Peg. - Poszukuje jej szeryf. Jego ludzie pojawili się już na plantacji i myszkują w kwaterach niewolników. - Mack popatrzył na bledziutką twarzyczkę Peg i przed oczyma stanął mu obraz szubienicy we Fredericksburgu. - Musimy ją ukryć!
- Szeryfa zostaw mnie - odparła Lizzie. - Wytłumaczę mu, że Peg się tylko broniła. Jeśli Lizzie coś sobie umyśliła, nie było sposobu jej tego wyperswadować. Ów rys charakteru zawsze Macka irytował. Potrząsnął głową.
- Lizzie, to nic nie da. Szeryf powie ci, że nie ty, lecz sąd zadecyduje o winie Peg.
- W takim razie niech stanie przed sądem. Było to tak absurdalne, że Mack musiał zmobilizować całe zasoby dobrej woli, żeby nie krzyknąć.
- Nie powstrzymasz szeryfa przed aresztowaniem kogoś, kto oskarżony jest o morderstwo - powiedział spokojnie, choć w środku cały kipiał. - Jego nie obchodzą twoje opinie.
- Zatem Peg stanie przed sądem. Skoro jest niewinna, nie skażą jej i...

- Lizzie, myśl realnie! - wybuchnął zdesperowany Mack. - Jaki sąd w Wirginii uniewinni skazańca, który zabił swego właściciela? Sędziowie zaczną się bać własnych niewolników. Jeśli nawet uwierzą Peg, skazą ją na szubienicę tylko po to, żeby zastraszyć innych. Lizzie zamierzała właśnie coś ostro odpowiedzieć, gdy Peg wybuchnęła płaczem, zagryzła więc usta i spytała:

- No to co mamy robić? Na werandzie zawarczał pies i Mack usłyszał męski głos uspokajający zwierzę.

- Na czas poszukiwań musisz ukryć Peg u siebie - wyjaśnił. - Zrobisz to? Uważnie obserwował twarz Lizzie. Jeśli powiesz "Nie", pomyślał, będzie to oznaczać, że pokochałem niewłaściwą kobietę.

- Oczywiście, że to zrobię - bez wahania zgodziła się Lizzie. Mack poczuł ogromną ulgę i uśmiechnął się szeroko. Tak bardzo kochał tę kobietę, że z trudem powstrzymywał łzy. Przełknął ślinę.

- Jesteś wspaniała - oświadczył schrypniętym głosem. Nagle zza ściany dobiegł jakiś dźwięk z sypialni Jaya. Mack miał jeszcze dużo do zrobienia, zanim Peg będzie bezpieczna, i nie mógł ryzykować.

- Muszę się stąd wynosić. Trzymajcie się - powiedział i szybko opuścił sypialnię. Gdy na palcach zbiegał po schodach, wydawało mu się, że słyszy, jak otwierają się drzwi od sypialni Jaya, ale nie obejrzał się w tamtą stronę. Przystanął w końcu korytarza i wziął głęboki oddech. Należę do służby domowej i nie mam pojęcia, o co szeryfowi chodzi - nakazał sobie w duchu i otworzył drzwi wejściowe. Na werandzie

stało dwóch mężczyzn. Wyglądali jak typowi bogaci Wirgińczycy. Mieli buty do konnej jazdy, długie kaftany i trójgraniaste kapelusze. W skórzanych olstrach zawieszonych na bandoletach pobłyskiwały pistolety. Od obu przybyszy biła woń rumu.

Najwyraźniej dobrze zabezpieczyli się przed chłodem nocy. Mack nie ruszał się z progu. Nie zamierzał wpuścić nieproszonych gości do domu.

- Witam panów - powiedział. Serce biło mu jak oszalałe. Robił wszystko, żeby mówić spokojnym, pogodnym tonem. Wygląda na to, że kogoś szukacie.

- Jestem szeryfem z hrabstwa Spotsylvania. Szukam dziewczyny, niejakiej Peggy Knapp - oświadczył jeden z mężczyzn. - Zauważyłem psy. Czy posłał je pan do kwater niewolników?

- Tak.

- Dobra robota, szeryfie. W ten sposób zaskoczycie niewolników podczas snu i trudno im będzie łąć.

- Cieszę się, że apróbujesz moje metody - odparł z przekąsem szeryf. - Chcemy wejść do domu.

Skazaniec nie mógł sprzeciwić się rozkazowi wydanemu przez wolnego człowieka. Mack ustąpił z drogi i szeryf przekroczył próg. Miał nadzieję, że ludzie szeryfa nie będą przeszukiwać domu.

- Dlaczego nie śpisz o tej porze? - zapytał z nagle rozbudzoną podejrzliwością szeryf. - Sądziliśmy, że to dopiero my postawimy wszystkich na nogi.

- Jestem rannym ptaszkiem. Szeryf chrząknął.

- Czy twój pan jest w domu? - zapytał.

- Tak.

- Zaprowadź nas do niego. Mack jednak nie chciał wprowadzać ich na piętro; znaleźliby się zbyt blisko Peg.
- Wydawało mi się, że pan Jamisson już wstał - powiedział. - Zaraz go tu sprowadzę.
- Nie. Wolimy sami pójść do niego. Najwyraźniej zamierzał wziąć wszystkich przez zaskoczenie. Mack zaklął w duchu, ale nie mógł przecież się sprzeciwić.
- Tędy, proszę panów - powiedział i poprowadził ich w stronę schodów. Zastukał do drzwi Jaya. W chwilę później w progu pojawił się gospodarz, w zarzuconym na nocną koszulę szlafroku.
- O co, do wszystkich diabłów, chodzi? - zapytał poirytowany.
- Jestem szeryf Abraham Barton. Przepraszam za ten poranny najazd, ale szukamy dziewczyny, która zabiła Burgo Marlera. Czy słyszał pan coś o Peggy Knapp? Jay popatrzył na Macka.
- Oczywiście. To złodziejka i wcale się nie dziwię, że popełniła w końcu morderstwo. Pytał pan McAsha, czyją tu widział? Szeryf popatrzył na Macka ze zdziwieniem.
- To ty jesteś McAsh? Nie powiedziałaś nam, jak się nazywasz.
- Bo pan nie pytał. Bartona nie zadowolila ta odpowiedź.
- Czy wiedziałeś, że pojawię się u was o świcie?
- Nie.
- Więc dlaczego tak wcześnie wstałeś? - wtrącił podejrzliwie Jay.

- Gdy pracowałem w kopalni pańskiego ojca, wstawałem o drugiej w nocy. Weszło mi to w krew i teraz również budzę się bardzo wcześnie.
- Jakoś nigdy tego nie zauważyłem.
- Bo też pan nigdy nie wstaje o świcie.
- Nie bądź bezczelny.
- Kiedy po raz ostatni widziałeś Peggy Knapp? - zapytał Barton.
- Pół roku temu, gdy zabierano mnie z pokładu "Rosebud".
- Mogły ją ukryć czarnuchy - powiedział do Jaya szeryf. - Ale zabraliśmy ze sobą psy, więc ją wytropią. Jay niedbale machnął ręką.
- Róbcie, co musicie robić.
- Chcemy też przeszukać dom - dodał Barton. Mack wstrzymał oddech. Nie sądził, że dojdzie aż do tego. Jamisson zmarszczył brwi.
- Przecież jej tu nie ma - mruknął.
- Ale na wszelki wypadek... Jay wahał się chwilę i Mack miał już nadzieję, że zbeszta szeryfa i każe mu się wynosić do wszystkich diabłów, ale on wzruszył tylko ramionami i powiedział:
- Oczywiście, szukajcie, jeśli musicie. Mackowi zamarło serce.
- W rezydencji przebywam tylko z żoną - oświadczył Jay. - Poza tym dom jest pusty. Ale szukajcie. Co mnie to obchodzi? Powiedziawszy to, zamknął drzwi.
- W którym pokoju śpi pani Jamisson? - zapytał szeryf. Mack przełknął ślinę.

- W sąsiednim - odparł. Podeszedł do drzwi sypialni Lizzie, delikatnie zapukał i powiedział przez ściśnięte gardło: - Pani Jamisson? Czy pani śpi? Po dłuższej chwili drzwi otworzyły się i w progu stanęła Lizzie.

- Na Boga, kto mnie budzi o tej porze? - zapytała udając, że wyrwano ją właśnie z głębokiego snu.

- Szeryf poszukuje zbiega. Lizzie otworzyła szerzej drzwi.

- Cóż, tutaj go na pewno nie ma - powiedziała. Mack zajrzał do pokoju, ciekaw, gdzie skryła się Peggy.

- Czy możemy na chwilę wejść? - zapytał szeryf. W oczach Lizzie pojawił się błysk strachu i Mack zastanawiał się przez chwilę, czy Barton to spostrzegł. Lizzie, udając, że jest jeszcze kompletnie zamroczone snem, wzruszyła ramionami.

- Proszę bardzo - powiedziała. Obaj mężczyźni, najwyraźniej czując się niezręcznie, weszli do sypialni. Lizzie, niby przez przypadek, rozchyliła dekolt koszuli nocnej. Mack nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na rysujące się pod cienkim materiałem piersi. Barton i jego kompan zareagowali podobnie. Lizzie popatrzyła szeryfowi w oczy. Specjalnie stara się ich krępować, żeby poszukiwania przeprowadzili pobieźnie, pomyślał Mack. Szeryf położył się na podłodze i zajrzał pod łóżko, a jego pomocnik otworzył szafę. Lizzie przysiadła na skraju łóżka. Gdy pośpiesznie poprawiała narzutę, Mackowi mignęła na ułamek sekundy brudna dziecięca stopa. Peg ukryła się w łóżku. Jej chudziutkie ciało trudno było dostrzec pod

wzburzonymi prześcieradłami. Szeryf otworzył kufer na pościel, a jego towarzysz zajrzał za zasłony okienne. W pokoju nie było wiele miejsc do ukrycia się. Czy zdejmą też kołdrę z łóżka? - zastanawiał się Mack. Ta sama myśl musiała przyjść do głowy i Lizzie.

- No, skoro już skończyliście, panowie, to chciałabym pójść spać - oświadczyła i wsunęła się pod kołdrę. Barton popatrzył na nią i na łóżko. Czy okaże się na tyle śmiała, aby kazać Lizzie wyjść spod kołdry? Ale widać było, że szeryf tak naprawdę nie wierzył, żeby pan lub pani domu ukrywali zbiega. Sprawdzał pokój Lizzie jedynie dla świętego spokoju. Po chwili wahania powiedział:

- Dziękuję, pani Jamisson. Przykro mi, że zakłóciliśmy pani sen. Teraz przeszukamy kwatery niewolników. Mack, kryjąc radość i ulgę, otworzył przed obydwojema mężczyznami drzwi.

- Chwileczkę, szeryfie - odezwała się Lizzie. - Gdy już skończycie, zapraszam pana i pańskich ludzi na śniadanie!

Dopóki ludzie szeryfa i psy myszkowali po plantacji, Lizzie nie opuszczała pokoju. Rozmawiała ściszym głosem z Peg, która opowiedziała jej koleje swego losu. Wstrząśnięta Lizzie słuchała tej opowieści z przejęciem. Wyznały sobie wszystkie swoje najskrytsze marzenia. Lizzie pragnęła żyć pod gołym niebem, nosić męski strój i całe dni spędzać w siodle, uzbrojona w karabin. Peg wyjęła z zanadrza

pomiętą kartkę. Był to kolorowy rysunek przedstawiający stojących przed ślicznym wiejskim domem matkę, ojca i dziecko.

- Zawsze chciałam być tą małą dziewczynką - powiedziała. - Ale teraz chyba wolalabym być matką. Kiedy do sypialni zapukała kucharka Sarah, Peg natychmiast skryła się pod kołdrę.

- Nie musi się pani obawiać - oświadczyła od progu niosąca tacę ze śniadaniem Murzynka. - Wiem o Peggy. Peg wysunęła się spod kołdry, a oszołomiona Lizzie zapytała:

- Czy jest w tym domu ktoś, kto jeszcze o niej nie wie?

- Tak. Pan Jamisson i pan Lennox. Lizzie podzieliła się z Peg śniadaniem. Dziewczynka pałaszowała pieczoną szynkę i sadzone jajka, jakby nie jadła od miesiąca. Gdy kończyły jeść, szeryf wraz ze swoimi ludźmi opuszczał już plantację. Lizzie i Peg podeszły do okna. Mężczyźni odjeżdżali trawnikiem w stronę rzeki, rozczarowani i przygnębieni. Posuwali się powoli, a psy, najwyraźniej dzielając ich nastrój, wlokły się za końmi. Gdy znaleźli się już poza zasięgiem wzroku, Lizzie odetchnęła z ulgą.

- Jesteś bezpieczna - powiedziała do Peg.

Uszczęśliwione, padły sobie w objęcia. Peg była przeraźliwie chuda i Lizzie poczuła nowy przypływ macierzyńskich uczuć. - Przy Macku zawsze jestem bezpieczna - oświadczyła dziewczynka.

- Musisz pozostać w tym pokoju do czasu, aż będziemy pewne, że w pobliżu nie kręci się Jay ani Lennox.

- Czy nie obawia się pani, że pan Jamisson wejdzie tutaj? - zapytała Peg.

- On nigdy do mnie nie zachodzi. Peg popatrzyła na Lizzie ze zdziwieniem, ale nie zadawała dalszych pytań.

- Gdy dorosnę, wyjdę za Macka - oznajmiła, a Lizzie odniosła dziwaczne wrażenie, że dziewczynka ją ostrzega. Mack przebywał w dziecięcym skrzydle domu - wiedział, że tam nikt nie zakłóci mu spokoju - i przeglądał zgromadzony ekwipunek. Ukradziony zwój szpagatu i sześć haczyków, które zrobił kowal Cass, umożliwią połów ryb. Miał też niewielki kubek i talerz. Przygotował hubkę, za pomocą której w każdej chwili mógł rozpalić ogień, oraz żelazną patelnię. Siekierę i mocny nóż skradł podczas wycinki drzew na beczki. Na dnie worka, zawinięty w kawałek płótna, spoczywał klucz do pomieszczenia z bronią. Tuż przed ucieczką zamierzał zabrać stamtąd karabin i amunicję. W tym samym płóciennym worku ukrył też egzemplarz "Robinsona Cruoe" oraz żelazną obręcz na szyję, którą zabrał ze sobą ze Szkocji. Wziął ją do ręki, wspominając noc swojej ucieczki z Heugh, gdy skruszył obręcz w kuźni. Pamiętał, jak później tańczył z radości w blasku księżyca. Upłynął niecały rok i znów trafił do niewoli. Ale się nie poddał. Pojawienie się Peg utwierdziło go w podjętej decyzji. Musi jak

najszybciej uciekać z Mockjack Hall. Dziewczynka przeniosła się już do kwater niewolników. Wszyscy trzymali to w najgłębszym sekrecie. Niewolnicy zawsze byli w stosunku do siebie lojalni. Nie pierwszy raz w ich kwaterach przebywał zbieg. Na każdej plantacji w Wirginii uciekinier mógł liczyć na miskę mamalygi i nocleg na twardej pryczy. W ciągu dnia Peg ukrywała się w lesie i dopiero po zapadnięciu zmroku wracała do kwatery, gdzie wraz z robotnikami jadła kolację. Mack zdawał sobie sprawę, że nie da się tego zbyt długo ciągnąć. Po pewnym czasie dziewczynka przestanie zachowywać ostrożność i zostanie schwytana. Poza tym nie mogła żyć w ten sposób. Macka z niecierpliwości aż swędziała skóra. Cora wyszła za mąż, Peg została uratowana, a mapa wskazuje drogę ucieczki. Serce rwało mu się ku wolności. Niebawem, któregoś wieczoru, po prostu zabierze Peg i uciekną. Zanim nastanie świt, przejdą trzydzieści mil. Dzień spędzą w jakimś ukryciu, a nocą podejmą wędrówkę. Zwyczajem wszystkich zbiegów codziennie będzie w kwaterach niewolników na mijanych plantacjach prosił o żywność. W przeciwieństwie do większości uciekinierów, pracy poszuka dopiero po przebyciu jakichś stu mil. Tych, którzy szukali jej od razu, chwymano bardzo szybko. On musiał uciec dalej i dotrzeć do dzikich obszarów po drugiej stronie gór. Tam dopiero będzie wolny. Ale Peg przebywała już na plantacji od tygodnia, a Mack wciąż jeszcze pozostawał w Mockjack Hall. Nieustannie oglądał

mapę, haczyki na ryby i hubkę. Od wolności dzielił go tylko krok, ale on nie mógł się zdobyć na jego wykonanie. Zakochał się w Lizzie Jamisson i nie potrafił jej opuścić.

Lizzie stała nago w sypialni przed ogromnym lustrem z dwoma skrzydłami i oglądała swe ciało. Oświadczyła Jayowi, że doszła już całkowicie do siebie po ciąży, lecz wiedziała, że nigdy nie będzie taka jak dawniej. Jej piersi wróciły wprawdzie do poprzednich rozmiarów, ale straciły jędrność i stały się lekko obwisłe. Brzuch przestał być idealnie płaski; jego skóra zrobiła się mniej sprężysta, a tam, gdzie rozciągnęła się, widniały delikatne srebrzyste linie. Później wprawdzie zanikły, ale nie do końca. Miejsce, którym wyszło dziecko, też uległo zmianie. Kiedyś było w nim tak ciasno, że z trudem mogła wsunąć tam palec, ale teraz również się rozciągnęło. Lizzie zastanawiała się, czy to dlatego Jay już jej nie chce. Wprawdzie od chwili porodu nie widział jej nagiej, ale zapewne wiedział, jak wygląda. Niewolnica Felia nie rodziła jeszcze dzieci i miała piękne ciało. Ale wcześniej czy później na pewno znajdzie z Jayem w ciążę i wtedy on porzuci ją tak samo, jak porzucił żonę, i znajdzie sobie inną kobietę. Czy wszyscy mężczyźni są tacy jak on? Jay potraktował ją jak zużyty przedmiot, jak zdarte buty lub wyszczerbiony talerz. Budziło to w niej sprzeciw. Dziecko, które w niej rosło i które sprawiło, że teraz miała lekko wzdęty brzuch i rozciągniętą pochwę,

było przecież dzieckiem Jaya. Jakim więc prawem w taki sposób ją odrzucił? Westchnęła. Nie mogła mieć pretensji tylko do niego. Sama przecież wybrała go sobie za męża. Zastanawiała się, czy jakikolwiek mężczyzna uzna jeszcze jej ciało za ponętne.

Tęskniła za dotykiem męskich dłoni. Pragnęła czułych pocałunków, pragnęła, by mężczyzna pieścił jej ciało i kochał się z nią. Nie mogła znieść myśli, że już nigdy tego nie zazna.. Wzięła głęboki wdech, wciągnęła brzuch i wysunęła do przodu piersi. Tak... teraz wygląda prawie jak przed porodem. Zważyła w dłoniach piersi, dotknęła włosów między nogami, po czym zaczęła bawić się swoim orzeszkiem rozkoszy. Nagle otworzyły się drzwi. Mack musiał wymienić w pokoju Lizzie pękniętą płytkę w kominku.

- Czy pani Jamisson już wstała? - zapytał Mildred.

- Jest już w stajniach - odparła pokojówka, myśląc zapewne, że Mack pyta o pana Jamissona. Kiedy wszedł do pokoju Lizzie, stanął jak wryty. Była piękna aż do bólu. Prężyła się przed lustrem i mógł oglądać jej ciało ze wszystkich stron. Stała do niego tyłem, i aż świerzbili go dłonie, żeby dotknąć jej bioder. Widział w lustrze odbicie krągłych piersi z delikatnymi różowymi sutkami. Włosy łonowe miała czarne i kręcone, takie same jak opadające jej na ramiona loki. Wiedział, że powinien przeprosić i natychmiast opuścić pokój, ale nogi miał jak wrośnięte w podłogę. Lizzie odwróciła się w jego stronę. Na jej twarzy malował się wyraz udręki, i

Mack zastanawiał się przez chwilę, co mogło być przyczyną takiej rozpacz.

- Jakaś ty piękna - westchnął. Wyraz twarzy Lizzie uległ natychmiast zmianie, zupełnie jakby odpowiedział na zadane pytanie.

- Zamknij drzwi - powiedziała. Spełnił polecenie i w chwilę później trzymał już Lizzie w objęciach. Przytulił ją mocno do siebie i pocałował w usta. Lizzie rozchyliła wargi i ich języki spotkały się. Natychmiast poczuł, że jest gotowy, a Lizzie przywarła do jego bioder i zaczęła się o nie ocierać. Odsunął się w obawie, że zaraz eksploduje, ale ona zaczęła szarpać na nim kamizelkę i koszulę. Mack pozbył się kamizelki, odrzucił ją na bok, a potem ściągnął przez głowę koszulę. Lizzie pochyliła głowę i dotknęła wargami jego piersi. Zaczęła je całować, muskając koniuszkiem języka sutki, i na koniec ugryzła. Mack poczuł ból, lecz tylko westchnął z rozkoszy.

- Teraz ty mnie - powiedziała Lizzie. Wyprężyła plecy w łuk, podając mu do ust pierś. Ujął ją w dłonie i zaczął całować twardą, napiętą sutkę.

- Mocniej - szepnęła Lizzie. Ssał gorączkowo jej pierś, po czym ugryzł ją tak, jak ona ugryzła jego. Usłyszał, że Lizzie gwałtownie wciąga powietrze. Bał się, że może wyrządzić jej krzywdę, ale ona powiedziała: - Jeszcze mocniej... żeby bolało. Ugryzł.

- Och, tak - jęknęła, przyciskając jego twarz do swoich piersi. Gdy wyprostował się, Lizzie pochyliła się, szarpnęła troki i spuściła mu spodnie. Penis

Macka wyrwał się na wolność. Ujęła go obiema dłońmi, zaczęła pocierać o swoje delikatne policzki i całować. Macka ogarnęło nieprzytomne uniesienie, cofnął się jednak, nie chcąc wszystkiego zbyt szybko zakończyć. Popatrzył w stronę łóżka.

- Nie - powiedziała Lizzie. - Tutaj. Położyła się na dywaniku przed lustrem. Mack ukląkł między jej nogami.

- Teraz, szybko - ponagliła go gorącym szeptem. Osunął się na nią, ciężar ciała wsparł na łokciach, a ona pomogła mu wejść w siebie. Popatrzył na jej piękną twarz. Policzki miała zaróżowione, wargi lekko rozchylone. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w niego.

- Mack... jęknęła. - Och, Mack... Wpiła palce w napięte mięśnie na jego plecach i poddała się rytmowi jego ruchów. Mack, poruszając się powoli w jej wnętrzu, delikatnie ją całował. Ale Lizzie wciąż było mało. Ugryzła go w dolną wargę, poczuł smak krwi w ustach.

- Szybciej! - szepnęła rozgorączkowana. Jej desperacja poruszyła każdy nerw w ciele Macka. Zaczął szybciej, mocniej poruszać biodrami.

- Och, tak, tak! - zawołała. Zamknęła oczy i bez reszty zatopiła się w ekstazie. Z jej ust wyrwał się krzyk. Żeby go stłumić, Mack położył jej na ustach dłoń, lecz ona ugryzła go w palec, chwyciła pośladki i zaczęła jeszcze gwałtowniej poruszać biodrami, aż nagle, w jednej chwili, znieruchomiała i wyczerpana opadła na dywan. Mack całował jej oczy, nos,

podbródek i cały czas poruszał się delikatnie w jej wnętrzu. Gdy wreszcie oddech Lizzie uspokoił się, otworzyła oczy i powiedziała:

- Popatrz w lustro. Uniósł głowę. Ujrzał drugiego Macka leżącego na drugiej Lizzie. Ich biodra wciąż były złączone. Widział, jak jego penis wsuwa się i wysuwa z jej ciała.

- Jakie to wspaniałe - szepnęła Lizzie. Mack znów spojrzął na jej twarz. Miała ciemne, prawie czarne oczy.

- Czy kochasz mnie? - zapytał.

- Och, Mack, jak możesz o to pytać? - W jej oczach pojawiły się łzy. - Oczywiście, że tak. Kocham cię. Kocham. I w tym momencie Mack osiągnął rozkosz.

Gdy pierwsza partia tytoniu gotowa była do sprzedaży, Lennox załadował ją na płaskodenną krycę i popłynął do Fredericksburga. Jay niecierpliwie oczekiwał na jego powrót. Był ciekaw, jaką cenę osiągnie tytoń. Oczywiście wiedział, że nie dostanie gotówki. Rynek kolonialny działał na innych zasadach. Lennox miał dostarczyć tytoń do publicznego składu, gdzie wyznaczony z urzędu inspektor wystawi certyfikat, że tytoń jest "sprzedażny". W całej Wirginii certyfikaty takie, zwane też fakturami tytoniowymi, traktowane były na równi z pieniędzmi. Posiadacz faktury realizował ją wręczając papier kapitanowi statku w zamian za gotówkę lub za towary importowane z Brytanii. Kapitan udawał się potem z owym certyfikatem do

publicznego składu tytoniu i wymieniał dokument na towar. Jay, okazując fakturę, mógł spłacić najpilniejsze długi, a to było teraz najważniejsze. Na szczęście Lizzie nie zauważyła, że grozi im kompletny krach. Po urodzeniu martwego dziecka przez trzy miesiące była w depresji i poruszała się jak we mgle. Później, gdy przyłapała Jaya z Felią, w ogóle przestała się do niego odzywać. Ale tego dnia była zupełnie odmieniona. Emanowała z niej radość, a do Jaya odnosiła się wręcz serdecznie.

- Czy nadeszły już jakieś wiadomości? - zagadnęła go przy obiedzie.

- Mamy kłopoty w Massachusetts - odparł Jay. - Pojawiła się tam grupa zapaleńców zwanych Synami Wolności. Mieli nawet czelność wysłać pieniądze do tego przekłętą Johna Wilkesa w Londynie.

- Dziwię się, że w ogóle wiedzą, kto to taki.

- Uważają go za rzecznika wolności. Celnicy boją się postawić nogę w Bostonie. Schronili się na pokładzie HMS "Romney".

- Wygląda na to, że koloniści gotowi są wznieść rebelię. Jay potrząsnął głową.

- Potrzebują lekarstwa, jakie zaaplikowaliśmy węglarzom: ognia z karabinów i kilkunastu solidnych szubienic. Lizzie wzdrygnęła się i przestała zadawać pytania. Obiad dokończyli w milczeniu.

Gdy Jay zapalił fajkę, pojawił się Lennox. Od razu widać było, że nadzorca tego popił.

- Czy wszystko w porządku, Lennox? - przywitał go pytaniem Jay.

- Niezupelnie - odrzekł jak zwykle arogancko Lennox.
- Co się stało? - zapytała zniecierpliwiona Lizzie.
- Nasz tytoń został spalony - wyjaśnił nadzorca nie patrząc w jej stronę.
- Spalony...? - zdziwił się Jay.
- Z polecenia inspektora. Uznał nasz tytoń za śmiecie i kazał go spalić. Niesprzedajny. Jay poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Przełknął ślinę i powiedział:
- Nie wiedziałem, że mają do tego prawo.
- Dlaczego nasz tytoń okazał się niedobry? - chciała wiedzieć Lizzie. Lennox wyraźnie stracił rezon, co zdarzało mu się nieczęsto. Przez długą chwilę milczał.
- No mów, o co chodzi - ponagliła Lizzie.
- Stwierdzili, że tytoń skrowiał - wyjaśnił w końcu Lennox.
- Wiedziałam! - oświadczyła Lizzie. Jay nie miał najmniejszego pojęcia, o czym oboje mówią. " Co to znaczy "skrowiał"? O co chodzi?
- Znaczy to, że na pola, gdzie rósł tytoń, wyprowadzano bydło - wyjaśniła Lizzie. - Jeśli ziemia jest zbyt intensywnie nawożona, tytoń nabiera silnego, nieprzyjemnego zapachu.
- Kim są ci inspektorzy, którzy mieli prawo spalić moje zbiory?
- Wyznacza ich Zgromadzenie Przedstawicielskie - odparła Lizzie.
- To skandal!

- Mają obowiązek zapewnić tytoniowi z Wirginii odpowiednią jakość.

- Pójdę z tym do sądu! - krzyknął Jay.

- Zamiast włóczyć się po sądach, dlaczego nie zaczniesz prowadzić plantacji we właściwy sposób? - zapytała Lizzie. - Jeśli tylko odpowiednio się przyłożysz, możesz produkować tytoń w bardzo wysokim gatunku.

- Nie potrzebuję, żeby kobieta mówiła mi, jak mam prowadzić interesy! - krzyknął znowu Jay. Lizzie popatrzyła na Lennox.

- Nie potrzebujesz też durnia na doradcę w interesach odpaliła. Jaya tknęło nagle złe przeczucie.

- Jaka część naszych zasiewów hodowana była w taki sposób? - zapytał. Lennox milczał.

- No... - ponaglił go Jay.

- Wszystkie - odpowiedziała za Lennox Lizzie. Jay pojął, że jest zrujnowany. Tkwił po uszy w długach, a cały tegoroczny zbiór tytoniu nie miał żadnej wartości. Poczł nagle, że nie może złapać tchu. Coś ścisnęło mu krtań. Otworzył usta niczym wyjęta z wody ryba, ale wciąż nie potrafił wciągnąć w płuca powietrza. W końcu udało mu się odetchnąć.

- Boże, dopomóż mi! - jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Wieczorem zastukał do sypialni żony. Lizzie siedziała w koszuli nocnej przed kominkiem i rozmyślała o Macku. Kochała go i on kochał ją, ale co mieli teraz zrobić? Wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w płomienie. Jej myśli nieustannie dryfowały ku wspomnieniom chwil, gdy kochała się z

Mackiem na dywanie przed lustrem. Znów pragnęła to robić. Pukanie do drzwi zaskoczyło ją. Zerwała się z krzesła i przez chwilę spoglądała w stronę zamkniętych drzwi. Od dnia, gdy przyłapała Jaya z Felią, zamykała się każdej nocy na klucz.

- Lizzie, otwórz te drzwi! - dobiegł ją głos męża. Nie odpowiedziała.

- O świcie wyjeżdżam do Williamsburga pożyczyć pieniądze - dodał Jay. - Chcę się przed wyjazdem z tobą zobaczyć. Lizzie znów nie odpowiedziała.

- Wiem, że tam jesteś! Otwieraj! Po głosie poznała, że jest podpity. Jay uderzył barkiem w drzwi, lecz Lizzie wiedziała, że sobie z nimi nie poradzi. Zawiasy wykonano z mosiądzu, a zamek był bardzo mocny. Po chwili z korytarza dobiegł dźwięk oddalających się kroków, jednak Lizzie podejrzewała, że Jay tak łatwo nie ustąpi. Nie myliła się. Parę minut później wrócił.

- Jeśli nie otworzysz, wyważę drzwi - zagroził.

Rozległ się głośny trzask i Lizzie domyśliła się, że jej mąż przyniósł siekiere. Kolejny cios, i w rozłupanej desce błysnęło ostrze topora. Ogarnął ją strach.

Bardzo pragnęła, żeby w pobliżu znalazł się Mack, lecz dobrze wiedziała, że jest teraz w kwaterze niewolników i śpi na twardej pryczy. Była zdana wyłącznie na siebie. Podeszła do nocnego stolika i sięgnęła po pistolety. Jay szturmował drzwi, zajadle rąbiąc drewno, które pękało z ogłuszającym trzaskiem. W powietrze leciały wióry, ściany pokoju drżały. Lizzie sprawdziła, czy pistolety są dobrze

naładowane. Drżącymi rękami podsypała na panewki prochu, odbezpieczyła broń i naciągnęła kurki. Wszystko mi jedno, pomyślała z rezygnacją. Co ma być, to będzie. W końcu drzwi puściły i Jay wtargnął do sypialni. Twarz miał poczerwieniałą, ciężko dyszał. Nie wypuszczając z rąk siekiery, ruszył w stronę żony. Lizzie wyciągnęła ramię nie celując i wypaliła z pistoletu. Pocisk przeleciał tuż nad głową Jaya. W małym pokoju wystrzał zabrzmiał niczym armatnia salwa. Jay stanął jak wryty i wyciągnął ręce w obronnym geście. Na jego twarzy malował się strach.

- Wiesz, że strzelam bardzo celnie - powiedziała Lizzie. - Pozostał mi już tylko jeden nabój, więc następny strzał trafi cię prosto w serce. Nie miała pojęcia, że potrafi tak ostro przemawiać do mężczyzny, z którym się niegdyś kochała. Zbierało się jej na płacz, ale zacisnęła zęby i spojrzała na męża niewzruszonym wzrokiem.

- Ty oziębła suko... - warknął Jay. Był to celny cios. Lizzie właśnie najbardziej obwiniała się o oziębłość. Wstrząśnięta, powoli opuściła pistolet.

- Czego chcesz? - zapytała. Odłożył siekiere.

- Pójść z tobą do łóżka przed wyjazdem. Lizzie zrobiło się niedobrze. Przed oczyma znów stanął jej Mack. Teraz mogła się kochać tylko z nim. Myśl, że robiłaby to z Jayem, napawała ją przerażeniem. Jej mąż chwycił pistolety za lufy i Lizzie bez oporu pozwoliła się rozbroić. Jay ostrożnie spuścił w naładowanym pistolecie kurek. Patrzyła na niego ze

zgrozą. Nie wierzyła w to, co miało się wydarzyć. Jay podszedł do niej i uderzył ją w brzuch. Krzyknęła z bólu i przestraszu i zgięła się wpół.

- Nigdy więcej nie podnoś na mnie broni! - wrzasnął. Uderzył ją w twarz i Lizzie upadła na podłogę. Jay kopnął ją jeszcze w głowę i wtedy straciła przytomność.

Cały następny ranek Lizzie spędziła w łóżku. Głowa bolała ją tak bardzo, że nie była w stanie nawet mówić. Pojawiła się Sarah ze śniadaniem. Twarz miała wystraszoną. Lizzie wypila trochę herbaty i znów zamknęła oczy. Kiedy kucharka wróciła po tacę, Lizzie zapytała:

- Czy pan Jamisson wyjechał?

- Tak, proszę pani. O świcie. Towarzyszył mu pan Lennox. Lizzie od razu poczuła się trochę lepiej. W kilka minut później do sypialni wpadł Mack, stanął obok łóżka i przez dłuższą chwilę obserwował Lizzie. Wyciągnął rękę i dotknął drżącymi palcami jej policzka. Dotyk był bardzo delikatny i choć bolała ją twarz, nie sprawił przykrości. Lizzie ujęła jego dłoń i zaczęła ją całować. Mack usiadł na skraju łóżka. Ból stopniowo mijał i w końcu Lizzie zasnęła. Gdy obudziła się, Macka już przy niej nie było. Po południu zjawiała się Mildred i rozsunęła zasłony w oknach. Lizzie usiadła w łóżku i pokojówka zaczęła ją czesać. Później przyszedł Mack w towarzystwie doktora Fincha.

- Nie posyłałam po pana - oświadczyła Lizzie.

- To ja sprowadziłem doktora - wyjaśnił Mack.
Lizzie wstydziła się tego, co ją spotkało, i wcale nie chciała, żeby Mack wzywał lekarza.

- Dlaczego myślałaś, że zachorowałam?
- Cały ranek spędziłaś w łóżku.
- Mogło mnie opaść lenistwo.
- A ja mógłbym zostać gubernatorem Wirginii.
Lizzie uśmiechnęła się. Mack troszczył się o nią, a to sprawiało, że czuła się szczęśliwa.

- Jestem ci wdzięczna - powiedziała.
- Poinformowano mnie, że cierpi pani na ból głowy wtrącił lekarz.
- Ale chora nie jestem - odparła. Do licha, pomyślała. Dlaczego nie mam wyznać całej prawdy? - Boli mnie głowa, ponieważ skopał mnie mój mąż - dodała.

- Hmm... - mruknął zakłopotany Finch. - A jak z pani wzrokiem? Czy ma pani przed oczyma mgłę?
- Nie. Lekarz położył dłonie na jej skroniach i zaczął delikatnie ugniatać je palcami. " Czy czuje się pani oszołomiona?
- Owszem, ale to nie z powodu bolącej głowy... Auuu!
- Tu właśnie panią kopnął?
- Tak.
- Na szczęście gęste włosy złagodziły siłę ciosu. Czy odczuwa pani nudności?
- Tylko wtedy, gdy myślę o moim mężu. -
Uświadomiła sobie, że w jej tonie zabrzmiała nuta skargi. - Ale to już nie jest pańskie zmartwienie, doktorze - powiedziała.

- Dam pani środek, który uśmierzy ból. Jednak nie wolno go nadużywać. Można wpaść w nałóg. Gdyby wystąpiły zaburzenia wzroku, proszę natychmiast mnie powiadomić. Kiedy lekarz wyszedł, Mack przysiadł na skraju łóżka i ujął dłoń Lizzie.

- Jeśli nie chcesz, żeby Jay znów cię skopał, powinnaś odejść - oświadczył. Zastanawiała się chwilę, czy cokolwiek jeszcze trzyma ją w Mockjack Hall. Mąż jej nie kochał. Nie mieli dzieci i najwyraźniej nigdy już ich mieć nie będą. Dom prawie na pewno pójdzie na spłatę długów. Nie, nic jej już tutaj nie trzymało.

- Nie wiem, dokąd pójść - powiedziała z wahaniem.

- Ale ja wiem. - Na twarzy Macka malowała się determinacja. - Zamierzam stąd uciec. Na myśl, że mogłaby go na zawsze utracić, zamarło w niej serce.

- Zabiorę ze sobą Peg - dodał. Lizzie bez słowa patrzyła mu w twarz.

- Ucieknij z nami - zaproponował Mack. Tak... o to właśnie chodziło. Raz już jej o tym wspomniał: "Ucieknij z jakimś drapichrustem", powiedział, mając na myśli samego siebie, ale teraz oświadczył to wprost. Chciała zawołać: "Tak, tak, dzisiaj, zaraz? - jednak ogarnął ją lęk.

- Dokąd mamy uciec? - zapytała. Mack wyciągnął z kieszeni skórzane pudełko i rozłożył wyjętą z niego mapę.

- Mniej więcej sto mil na zachód stąd jest długi łańcuch górski. Zaczyna się w Pensylwanii i biegnie na południe. To wysokie góry, ale ludzie mówią, że można przejść przez nie przełęczą zwaną

Cumberland Gap... o, tu, w miejscu, gdzie bierze początek rzeka Cumberland. Po drugiej stronie gór są dzikie, nie zamieszkane tereny. Mówią, że nie ma tam nawet Indian, ponieważ Siuksowie i Irokezi przez całe pokolenia walczyli ze sobą o te ziemie, lecz żadna ze stron nie zdołała osiągnąć przewagi. Lizzie zaczęło ogarniać podniecenie.

- Ale jak się tam dostać?

- Zamierzałem iść tam z Peg na piechotę.

Skierowalibyśmy się na podgórze. Pepper Jones utrzymuje, że biegnie tamtędy szlak prowadzący z południa na zachód. Ciągnie się mniej więcej równoległe do łańcucha górskiego. Tą drogą dotarlibyśmy do rzeki Holston... o, tu. Stamtąd ruszylibyśmy już prosto w góry.

- A... a gdybym i ja z wami pojechała?

- Jeśli zabierzesz się z nami, wezmę wóz i więcej zapasów: narzędzia, ziarno, żywność. Wtedy nie byłbym już zbiegiem. Byłbym służącym, który towarzyszy w podróży swej pani i jej pokojówce. W takim przypadku ruszylibyśmy na południe, do Richmond, i dopiero stamtąd na zachód, do Staunton. To dłuższa droga, jednak Pepper utrzymuje, że drogi są tam znacznie lepsze. Naturalnie może się mylić, ale to jedyne informacje, jakie udało mi się zdobyć. Lizzie była jednocześnie wystraszona i zafascynowana.

- A gdy już dotrzemy do gór? - zapytała. Mack uśmiechnął się.

- Poszukamy jakiejś doliny z potokiem, w którym będą ryby, a w lasach będą sarny i jelenie. Tam zbudujemy dom.

Lizzie pakowała koce, wełniane pończochy, nożyczki, igły i nici. Podczas tych przygotowań ogarniało ją na przemian to uniesienie, to znów strach. Cieszyła się, że ucieka z Mackiem, i wyobrażała sobie, jak jada ramię w ramię przez lesiste krainy, a w nocy śpią owinięci kocami rozłożonymi pod drzewem. Zaraz jednak przypominała sobie o trudach i niebezpieczeństwach wyprawy. Żeby zdobyć żywność, codziennie będą musieli polować. Muszą postawić dom i siać kukurydzę. Mogą natknąć się na wrogich Indian. W tamtych stronach zapewne włóczy się też wielu szaleńców. A gdy przyjdą śnieżyce? Czy nie zginą wtedy z głodu? Wyjrzała przez okno i dostrzegła powóz z gospody "U MacLaine'a" we Fredericksburgu. Na tyle pojazdu piętrzył się bagaż, a na miejscu pasażera widać było jakąś kobiecą postać. Woźnica, stary pijaczyna Simmins, najwyraźniej pomylił plantacje. Lizzie zeszła na dół, żeby wskazać mu właściwy kierunek. Kiedy jednak wyszła na werandę, rozpoznała pasażerkę. Była to Alicia, matka Jaya. Miała na sobie czarny strój.

- Lady Jamisson! - wykrzyknęła przerażona Lizzie. - Co się stało?

- Witaj, Lizzie - odparła teściowa. - Sir George nie żyje. - Atak serca - wyjaśniła kilka minut później,

siedząc w salonie nad filiżanką herbaty. - Stracił przytomność w swoim kantorze. Natychmiast zabrano go na Grosvenor Square, ale zmarł po drodze. Gdy mówiła o śmierci swego męża, ani razu nie zadrżał jej głos, a w oczach nie pojawiła się ani jedna łza. Lizzie pamiętała, iż w młodości Alicia była piękną kobietą, lecz teraz niewiele zostało z młodzieńczych powabów. Miała przed sobą niewiastę w średnim wieku, która dotarła już do kresu swego niezbyt udanego małżeństwa. Lizzie bardzo jej współczuła. Nigdy nie stanę się taka jak ona, przysięgła sobie w duchu.

- Czy bardzo ci brak sir George'a? - zapytała niepewnie. Alicia popatrzyła na synową uważnie.

- Poślubiłam bogactwo i pozycję, i tylko to dostałam. On kochał jedynie Olive i nigdy nie pozwolił mi o tym zapomnieć. Ale nie współczuj mi. Sama tego chciałam i musiałam z tym żyć przez dwadzieścia cztery lata, więc teraz po prostu czuję ulgę. - To okropne - szepnęła Lizzie. Widocznie taki los został jej zapisany w gwiazdach, pomyślała przejęta dreszczem. Ale ja nie zgodzę się na takie życie. Ucieknę. Na razie jednak, mając przy sobie teściową, musiała bardzo uważać.

- Gdzie jest Jay? - zapytała Alicia.

- Pojechał do Williamsburga pożyczyć pieniądze.

- Plantacja zatem nie przynosi zysków?

- Uznano, że nasz tytoń nie nadaje się do sprzedaży.

Na twarzy Alicii pojawił się cień smutku, i Lizzie uświadomiła sobie, że Jay rozczarował zarówno swą

matkę, jak i żonę. Ale teściowa nie ciągnęła tego tematu.

- Zapewne ciekawi cię ostatnia wola sir George'a... O testamencie Lizzie nawet nie pomyślała.

- Czyżby aż tak dużo miał do zapisywania? Myślałam, że interesy nie szły mu najlepiej.

- Tak, z wyjątkiem kopalni węgla w High Glen. Zmarł jako bardzo bogaty człowiek. Lizzie zastanawiała się chwilę, czy cokolwiek zapisał żonie. Jeśli nie, Alicia zechce zapewne zamieszkać z synem i synową. - Czy sir George zostawił ci jakiś zapis? - zapytała ostrożnie.

- O, tak. Musiał to zrobić, bo moją część ustaliliśmy jeszcze przed ślubem.

- A całą resztę dziedziczy Robert?

- Tego się wszyscy spodziewali. Ale mój mąż jedną czwartą majątku podzielił między wszystkie prawowite wnuki, które już przyszły na świat lub urodzą się w ciągu roku po jego śmierci. Tak zatem twoje maleństwo jest bogate. Czy mogę je zobaczyć? Co urodziłaś, chłopca czy dziewczynkę? Alicia najwyraźniej opuściła Londyn, zanim dotarł tam list Jaya.

- Dziewczynkę - powiedziała Lizzie.

- To wspaniale. Będzie zamożną kobietą.

- Urodziła się martwa. Alicia nie okazała najmniejszego współczucia.

- Do diabła! - zakląła. - Musicie szybko sprokurować kolejne dziecko.

Mack załadował wóz ziarnem, narzędziami, zwojami sznura, gwoździami, mąką i solą. Kluczem, który dostał od Lizzie, otworzył pomieszczenie z bronią, skąd zabrał wszystkie karabiny i amunicję. Wziął nawet lemiesz. Gdy już dotrą do celu, zrobi z niego pług. Zamierzał zaprząć do wozu cztery klacze i dodatkowo zabrać dwa ogiery. Dzięki temu będą mogli prowadzić hodowlę koni. Jay Jamisson wpadnie w furję, gdy zobaczy, że uprowadzono mu drogocenne zwierzęta. Mack był przekonany, że ich strata dotknie go bardziej niż odejście żony. Gdy przywiązywał bagaże, pojawiła się Lizzie.

- Kto przyjechał? - zapytał Mack.

- Alicia, matka Jaya.

- Wielki Boże! Nie wiedziałem, że się wybiera do Wirginii. - Ja też nie wiedziałam. Mack zmarszczył brwi. Sama Alicia nie zagrażała jego planom, ale jej mąż mógł okazać się groźny.

- Czy przyjechał z nią sir George? .

- Sir George nie żyje.

- Bogu dzięki - oświadczył z ulgą Mack. - To dobrze, że ziemia nie musi go dłużej nosić.

- Czy w tej sytuacji wyjeżdżamy?

- Dlaczego nie? Alicia nas przecież nie zatrzyma.

- A jeśli uda się do szeryfa i powie, że uciekamy okradłszy uprzednio jej syna? - Lizzie wskazała ekwipunek, którym wyładowany był wóz.

- Czyżbyś zapomniała o naszej historyjce? Jedziesz z wizytą do kuzyna, który założył właśnie

gospodarstwo w Karolinie Północnej i wieziesz mu podarki.

- Przecież powszechnie wiadomo, że jesteśmy bankrutami.

- Wirgińczycy znani są z hojności, zwłaszcza gdy ich na nią nie stać. Lizzie skinęła głową.

- Postaram się, żeby ta bajeczka dotarła do pułkownika Thumsona i Suzy Delahaye.

- Przy okazji powiedz im, że twojej teściowej nie podoba się ten wyjazd i próbuje robić ci kłopoty.

- Doskonała myśl. Szeryf z całą pewnością nie zechce wtrącać się w rodzinne swary... - Lizzie umilkła na chwilę, a potem zapytała z wahaniem: - Kiedy... kiedy wyjedziemy? Uśmiechnął się.

- Z pierwszym brzaskiem. Wieczorem odprowadzę wóz do naszych kwater, żeby nie narobić tu o świcie hałasu. Zanim Alicia się obudzi, nas już dawno na plantacji nie będzie. Lizzie uścisnęła go za ramię, po czym spiesznie ruszyła do domu. Tę noc Mack spędził razem z nią. Leżała właśnie w pościeli nie mogąc zasnąć, przejęta radością i lękiem, rozmyślając o przygodzie, która zacznie się o świcie, kiedy McAsh bezszelestnie wsunął się do jej sypialni. Pocałował ją w usta, zrzucił z siebie ubranie i wsunął się pod kołdrę. Najpierw się kochali, później rozmawiali półgłosem o tym, co miało się wydarzyć następnego dnia, a jeszcze później kochali się ponownie. Przed świtem Mack zapadł w drzemkę, ale Lizzie nie mogła zmrużyć oka. W blasku palącego się na kominku ognia obserwowała twarz

McAsha i rozmyślała o podróży w czasie i przestrzeni, którą rozpoczęli w High Glen, a zakończyli w tym łóżku. Gdy Mack się obudził, złożył na ustach Lizzie długi, namiętny pocałunek, po czym oboje wstali. McAsh udał się do stajni, a Lizzie zaczęła ostatnie przygotowania do drogi. Upięła wysoko włosy i nałożyła bryczesy, buty do jazdy konnej, koszulę oraz kubrak. Suknię spakowała tak, żeby mieć ją pod ręką, gdyby była zmuszona szybko przedzierzgnąć się w wytworną, bogatą damę. Czekająca ich podróż nadal trochę ją przerażała, lecz jeśli idzie o samego Macka, nie miała najmniejszych wątpliwości i wyrzutów sumienia. Stał się dla niej człowiekiem tak bliskim, że bez wahania zawierzyłaby mu życie. Gdy po nią wrócił, siedziała przy oknie w męskim kaftanie i trójgraniastym kapeluszu. Mack uśmiechnął się na widok jej ulubionego stroju. Wzięli się za ręce i na palcach opuścili dom. Wóz czekał przy drodze, dobrze ukryty przed ciekawskim okiem. Siedziała już na nim owinięta kocem Peg. Stajenny Jimmy zaprzągnął cztery konie, a dwa pozostałe przywiązał z tyłu wozu. Na pożegnanie Macka stawili się wszyscy niewolnicy i skazańcy. Lizzie ucałowała Mildred i Sarah, a Mack potrząsnął dłońmi Kobe'a i Cassa. Niewolnica, która zraniła się tego dnia, gdy Lizzie straciła dziecko, zarzuciła swej pani ręce na szyję i wybuchnęła płaczem. Po pożegnaniu wszyscy w milczeniu obserwowali, jak Mack i Lizzie wsiadają na wóz. Mack ściągnął lejce.

- Hetta! - zawołał. - W drogę! Naprężyły się upręże, wóz drgnął, po czym zaczął toczyć się drogą. Na głównym szlaku Mack skręcił w stronę Fredericksburga. Lizzie obejrzała się za siebie. Robotnicy z plantacji nadal stali w kompletnej ciszy i machali rękami. Niebawem zniknęli w oddali. Lizzie popatrzyła w niebo. Daleko na horyzoncie pojawiły się pierwsze rozbłyski budzącego się dnia.

Jay i Lennox nie zastali w Williamsburgu Matthew Murchmana. Służący oświadczył im, że pan wróci zapewne następnego dnia. Jay skreślił list, w którym prosił prawnika o jak najszybsze spotkanie i kolejną pożyczkę. Biuro Murchmana opuścił w paskudnym nastroju. Jego interesy były w krytycznym stanie i koniecznie musiał coś z tym zrobić. Następnego dnia, dla zabicia czasu, wybrał się do zbudowanego z czerwonej i szarej cegły budynku Kapitolu. Rozwiązane przez gubernatora w poprzednim roku zgromadzenie po wyborach zebrało się ponownie. Sala, w której obradowali przedstawiciele, była dużym, ciemnym pomieszczeniem z ciągnącymi się po obu stronach rzędami ławek. Pośrodku stało coś w rodzaju budki, w której urzędował przewodniczący. Jay i inni widzowie zajmowali miejsca w końcu sali oddzieleni od jej głównej części balustradą. Jay szybko się zorientował, że wśród polityków kolonii wrze. Wirginia, najstarsza angielska posiadłość na kontynencie, była gotowa do buntu przeciw prawowitemu władcy. Przedstawiciele

rozprawiali o ostrzeżeniach, jakie nadeszły ostatnio z Westminsteru. Parlament brytyjski oświadczył, że każdy kolonista oskarżony o zdradę zmuszony będzie do powrotu do Londynu, gdzie na mocy statutu pochodzącego jeszcze z czasów króla Henryka VIII * stanie przed sądem. Atmosfera w sali stawała się coraz gorętsza i Jay z niesmakiem obserwował, jak szacowni właściciele ziemscy jeden po drugim występują z atakami na monarchę. W końcu uchwalono rezolucję stwierdzającą, że statut o zdradzie sprzeczny

*** Statut pochodzący z autokratycznej epoki Henryka VIII, nakazujący sądenie w Anglii osób oskarżonych o zdradę, popełnioną poza granicami królestwa; książe Bedfordu uprawomocnił go poprzez parlament w formie uchwały odnoszącej się do przestępstw popełnianych w Massachusetts.**

jest z brytyjskim prawem poddanego do sądenia go w obecności przyjaciół i obrońców. Potem zaczęły się tradycyjne utyskiwania na temat podatków, które koloniści musieli płacić, mimo iż nie mieli głosu w parlamencie westminsterskim. "Żadnego opodatkowania bez reprezentowania" - powtarzali chórem jak papugi. Tym razem jednak poszli jeszcze dalej i zatwierdzili prawo do współdziałania ze zgromadzeniami innych kolonii w przeciwstawianiu się żądaniom królewskim. Jay był święcie przekonany, że gubernator nie pozwoli, aby ta

uchwała przeszła, i miał rację. Tuż przed obiadem, gdy przedstawiciele omawiali mniej istotne problemy lokalne, obrady przerwał funkcjonariusz dworu, który zawołał:

- Panie przewodniczący, posłanie od gubernatora! Wręczył urzędnikowi arkusz papieru. Ten przeczytał pismo i oświadczył:

- Panie przewodniczący, gubernator żąda, by wszyscy członkowie Zgromadzenia niezwłocznie stawili się w sali konferencyjnej. Teraz są w kropce, pomyślał z zadowoleniem Jay. Ruszył za przedstawicielami po schodach na piętro, a następnie długim korytarzem. Przed salą konferencyjną tłoczyli się widzowie zagląający ciekawie do środka przez otwarte drzwi. Gubernator Botetourt siedział u szczytu owalnego stołu. - Zapoznałem się z waszą proklamacją - oświadczył krótko - i stwierdzam, że moim obowiązkiem jest rozwiązać wasz samorząd. Samorząd może uważać się za rozwiązany. Zapadła martwa cisza.

- To wszystko - dodał zniecierpliwiony gubernator i wstał. Jay tłumił radość obserwując przedstawicieli opuszczających salę konferencyjną. Pozabierali z sali na parterze swe papiery i wyszli na zewnętrzny dziedziniec. On sam ruszył do gospody "U Raleigha", gdzie zajął miejsce przy barze, zamówił obiad i poflirtował z barmanką. Gdy oczekiwał na zamówione danie, ze zdumieniem skonstatował, że przez salę, w której siedział, przechodzą przedstawiciele, kierując się do jednego z większych

pomieszczeń na tyłach gospody. Błysnęła mu myśl, że politycy wirgińscy knują kolejną zdradę. Gdy skończył jeść, postanowił wyruszyć na zwiady. Jego domysły okazały się słuszne. Przedstawiciele, nie próbując nawet się kryć, kontynuowali obrady. Byli przekonani o słuszności swej sprawy i to dodawało im animuszu. Czyż nie pojmują, że sprowadzą na swoje głowy gniew jednego z najpotężniejszych monarchów na świecie? - dumiał Jay. Czyżby sądzili, że rokosz ujdzie im płazem? Czy nie wiedzą, że potężna armia brytyjska wcześniej czy później zetrze ich z powierzchni ziemi? Najwyraźniej nie zdawali sobie z tego wszystkiego sprawy, a byli tak zadufani w sobie, że chociaż wielu z nich wiedziało, iż Jay jest bezwzględnie oddany Koronie, nie protestowali, gdy usiadł w końcu pomieszczenia. Przemawiał właśnie jeden z zapaleńców, w którym Jay rozpoznał George'a Washingtona, niegdyś oficera w armii, który zbił majątek na spekulacji ziemią. Nie był najlepszym mówcą, ale biły od niego zdecydowanie i determinacja, które wywarły na Jayu ogromne wrażenie. Washington miał już gotowy plan działania. "W północnych koloniach - oświadczył - co znaczniejsi obywatele tworzą stowarzyszenia, których członkowie zgadzają się nie importować brytyjskich towarów". Jeśli Wirgińczycy również chcą wyrzucić presję na londyński rząd, powinni uczynić to samo. Jeśli nigdy dotąd nie słyszałem wywrotowej mowy, pomyślał Jay, to teraz mam okazję ją usłyszeć. Gdy Washingtonowi uda się

przeforsować swe plany, przedsiębiorstwo ojca ucierpi jeszcze bardziej. Oprócz skazańców sir George przesyłał statkami herbatę, meble, sznury, maszyny oraz mnóstwo innych artykułów, których koloniści sami nie byli w stanie wytwarzać. Jego dochody z handlu z Północą stanowiły zaledwie nikły procent dawnych zysków, dlatego też od roku tak kiepsko szły mu interesy. Nie wszyscy zgadzali się z Washingtonem. Niektórzy przedstawiciele dowodzili, że północne kolonie mają lepiej rozwinięty przemysł i mogą same wytwarzać wiele niezbędnych artykułów. Południe jest znacznie bardziej uzależnione od importu. "Co zrobimy - argumentowali - gdy zabraknie nam nici do szycia lub materiału?" Washington przyznał, że można uczynić pewne wyjątki, i Zgromadzenie przeszło do roztrząsania szczegółów. Ktoś zaproponował zakaz importu owiec, aby w ten sposób zmusić miejscowych hodowców do zwiększenia produkcji wełny i skór. Washington natychmiast zasugerował powołanie komitetu, którego celem będzie ustalenie szczegółów technicznych. Propozycję przyjęto i niezwłocznie wybrano członków tego komitetu. Jay opuścił salę zdegustowany. Gdy znalazł się już w korytarzu, pojawił się obok niego Lennox z wiadomością od Murchmana. Prawnik wrócił do miasta, przeczytał list od Jaya i będzie zaszczycony, jeśli pan Jamisson pojawi się u niego w biurze następnego dnia o dziewiątej rano. Kryzys polityczny przyciągnął uwagę Jaya tylko na chwilę.

Kłopoty osobiste tak go zaprzętały, że spędził bezsenną noc. Winił ojca za to, że dał mu plantację, która nie przynosi pieniędzy, i przeklinał Lennox, że wolał intensywniej nawozić pola, zamiast karczować nowe tereny pod uprawę tytoniu. Być może jego tytoń był całkiem w porządku, a wirgińscy inspektorzy spalili go w akcie zemsty za lojalność, jaką okazywał królowi angielskiemu. Gdy tak przewracał się w wąskim łóżku, doszedł w końcu do wniosku, że nawet Lizzie specjalnie poroniła, żeby zrobić mu na złość. Rankiem udał się do Murchmana, którego uważał za swoją ostatnią deskę ratunku. Nieistotne, gdzie popełnił błąd: faktem było, że nie potrafił pokierować plantacją tak, żeby przynosiła dochód. Jeśli prawnik nie załatwi mu następnej pożyczki, wierzyciele wejdą mu na hipotekę i zostanie bez domu i bez grosza przy duszy. Murchman był wyraźnie zdenerwowany.

- Zaaranżowałem panu spotkanie z pożyczkodawcą oznajmił.

- Z pożyczkodawcą? Mówił pan, że pieniądze pożyczyl mi syndykat.

- A, tak... drobne niedomówienie. Przepraszam. Ten człowiek pragnął zachować anonimowość.

- Dlaczego więc teraz chce się ujawnić?

- Nie wiem.

- No cóż, myślę, że jednak ma zamiar jeszcze raz udzielić mi pożyczki. W przeciwnym razie po co miałby się tu fatygować?

- Może i tak... Nie zwierzał mi się ze swych planów. Jay usłyszał pukanie do drzwi wejściowych, a potem przyciszone głosy, gdy wpuszczano gościa do środka.

- Kto to? - zapytał Murchmana.

- Sądzę, że najlepiej będzie, jak sam się przedstawi. Otworzyły się drzwi i w progu stanął Robert Jamisson. Zdumiony Jay zerwał się na równe nogi.

- To ty? - zawołał. - Kiedy przyjechałeś?

- Kilka dni temu. Jay wyciągnął dłoń i brat pośpiesznie ją uścisnął. Upłynął prawie rok od chwili, gdy widzieli się po raz ostatni. Robert jeszcze bardziej upodobnił się do ojca: był muskularny jak on, o ponurym spojrzeniu i oschły.

- A więc to ty pożyczyłeś mi pieniądze? - odezwał się Jay. - Nie ja, ojciec.

- Dzięki Bogu! Bałem się, że ktoś obcy nie udzieli mi następnej pożyczki.

- Ale ojciec nie jest już twoim wierzycielem - wyjaśnił Robert. - Nie żyje.

- Nie żyje? - Jay gwałtownie opadł na krzesło. Był poruszony do głębi. Ojciec nie miał jeszcze nawet sześćdziesięciu lat. - Co się stało?

- Atak serca. Jay odniósł wrażenie, że grunt osuwa mu się spod stóp. Wprawdzie sir George źle go traktował, ale zawsze gdzieś tam istniał, niezłomny i niezniszczalny. W jednej chwili świat stał się miejscem znacznie mniej bezpiecznym. Jay, choć już siedział, zapragnął się jeszcze na czymś dodatkowo oprzeć. Znów spojrzął na brata. Na obliczu Roberta malowała się pełna mściwego tryumfu radość.

- Z czego tak się cieszysz? - zapytał Jay.

- Z tego, że teraz ja jestem twoim wierzycielem - wyjaśnił Robert. Jay wiedział już, na co się zanosí. Miał uczucie, jakby ktoś potężnie walnął go w brzuch. Ty świnió - szepnął. Robert pokiwał głową.

- Wszedłem ci na hipotekę. Plantacja tytoniu należy do mnie. To samo zrobiłem z High Glen. Wykupiłem długi i odmówiłem zastawu. Ta ziemia jest teraz moja. Jay niemal stracił mowę.

- Musiałeś to wcześniej zaplanować - wyjąkał. Robert znów kiwnął głową.

- Ty i ojciec... - Jay był bliski płaczu.

- Tak, właśnie tak.

- Zrujnowała mnie własna rodzina.

- Nie, to ty sam doprowadziłeś się do ruiny. Jesteś leniwy, głupi i słaby. Jay puścił tę obelgę mimo uszu. Myślał jedynie o tym, że spiskował przeciw niemu własny ojciec. Chciał doprowadzić syna do zguby. Uświadomił sobie nagle, że list od Murchmana dostał zaledwie w kilka dni po przybyciu do Wirginii, ojciec zatem musiał napisać do prawnika z wyprzedzeniem, polecając mu, aby zaproponował Jayowi zastaw hipoteczny. Przewidział, że Jay będzie miał trudności, i z góry już się cieszył, że w niedalekiej przyszłości odbierze synowi plantację. Teraz sir George nie żył, ale jeszcze z za grobu przysłał wieść, że wypiera się swego młodszego potomka. Z ogromnym wysiłkiem, jak starzec, Jay dźwignął się z krzesła. Robert z wyniosłą pogardą spoglądał na niego w milczeniu. Murchmana najwyraźniej

dręczyły wyrzuty sumienia, bo z malującym się na twarzy poczuciem winy podbiegł do drzwi i usłuznie przytrzymał je przed opuszczającym gabinet Jayem, który powoli przebył hol i wyszedł na błotnistą ulicę. Do obiadu zdążył się upić. Był tak pijany, że nawet Mandy, barmanka, która się w nim podkochiwała, przestała się nim interesować. Wieczorem, przy barze w tawernie "U Raleigha", stracił przytomność i najwyraźniej Lennox zawlókł go do łóżka, gdyż następnego ranka obudził się w swoim pokoju. Myślał o samobójstwie. Nie miał po co żyć. Nie miał domu, nie miał przyszłości, nie miał dzieci. W Wirginii jako bankrut nie mógł na nic liczyć, a powrót do Anglii w ogóle nie wchodził w grę. Żona go nienawidziła, Felia zaś należała już do jego brata. Zastanawiał się tylko, czy od razu palnąć sobie w łeb, czy też zapić się powoli na śmierć. O jedenastej przed południem, gdy znów pił w barze, do gospody wkroczyła jego matka. W pierwszej chwili sądził, że postradał zmysły. Wstał i z przerażeniem gapił się na nią. Lady Alicia, jak zwykle czytając w jego myślach, powiedziała:

- Nie, nie jestem duchem. Ucałowała syna i zajęła miejsce obok niego. Gdy już jako tako doszedł do siebie, zapytał:

- Jak mnie znalazłaś?

- Przyjechałam do Fredericksburga, gdzie powiedziano mi, że jesteś tutaj. Przygotuj się na wstrząs. Twój ojciec nie żyje. - Wiem. Tym razem ona się zdziwiła.

- Skąd?
- Był u mnie Robert.
- Po co przyjechał? Jay opowiedział jej całą historię, wyjaśniając przy tym, że jego brat jest nowym właścicielem zarówno plantacji, jak i High Glen.
- Od początku podejrzewałam, że we dwójkę z ojcem knują coś takiego - odparła lady Alicia z goryczą.
- Jestem zrujnowany - mruknął Jay. - Myślałem właśnie o samobójstwie. Matka popatrzyła na niego.
- A więc Robert nie powiedział ci, co jest w testamencie? W Jaya wstąpiła nadzieja.
- Czyżby sir George coś mi zostawił?
- Nie tobie. Twemu dziecku. Jay ponownie stracił zainteresowanie.
- Moje dziecko urodziło się martwe.
- Czwarta część majątku przejdzie na tych wnuków sir George'a, którzy urodzą się w ciągu roku po jego śmierci. Ale jeśli nie będzie wnuków, wszystko zagarnie Robert.
- Czwarta część? Toż to fortuna!
- Musisz więc tylko sprawić, żeby Lizzie ponownie zaszła w ciążę. Jay zmusił się do uśmiechu.
- Cóż, dzieci robić umiem.
- Nie bądź taki pewien siebie. Ona uciekła z tym górnikiem. - Co?
- Ulotniła się z McAshem.
- Dobry Boże! Zostawiła mnie? I odjechała ze skazańcem? - Było to tak upokarzające, że opuścił głowę. - Nie przeżyję tego. Dobry Boże!

- Zabrali wóz, sześć twoich koni i tyle zapasów, że mogą zbudować kilka farm.
- Przekłęci złodzieje! - Jay był wściekły i bezradny. Nie mogłaś ich zatrzymać?
- Próbowałam porozmawiać na ten temat z szeryfem. Ale Lizzie okazała się cwana. Zmyśliła bajeczkę, że wiezie prezenty dla kuzyna w Karolinie Północnej. Sąsiedzi wyjaśnili szeryfowi, że jestem po prostu kłótniwą teściową, która próbuje mącić w rodzinie.
- Nienawidzą mnie, ponieważ dochowuję wiary królowi. - Huśtawka nastrojów, nadziei i rozpacz stała się nie do zniesienia i Jay popadł w kompletną apatię. - Los się na mnie wziął - powiedział.
- Nie poddawaj się tak łatwo! Przerwała im barmanka Mandy, pytając Alicię, czy chce, żeby jej coś podać. Matka Jaya zamówiła herbatę, a Mandy uśmiechnęła się zalotnie do jej syna. Gdy barmanka odeszła, Jay powiedział:
 - Mogę mieć dziecko z inną kobietą. Alicia popatrzyła pogardliwie na kręcącą biodrami Mandy i potrząsnęła głową.
 - Nic z tego. Dziecko musi być z prawego łóża.
 - Mógłbym się z Lizzie rozwieść?
 - Nie. Rozwód wymagałby specjalnego aktu parlamentu i kosztowałby fortunę. Poza tym nie ma na to czasu. Tak długo, jak żyje Lizzie, musi to być ona.
 - Nie mam najmniejszego pojęcia, dokąd pojechała.
 - Ale ja wiem. Jay spojrzął na matkę. Jej przebiegłość zawsze go zdumiewała.

- Skąd wiesz?

- Ruszyłam ich śladem. Potrząsnął głową z pełnym niedowierzania podziwem.

- Jak to zrobiłaś?

- Nie było to wcale trudne. Po prostu rozpytywałam ludzi, czy nie widzieli wozu zaprzęzonego w cztery konie, na którym jechał mężczyzna, kobieta i dziecko. Tutaj na drogach nie panuje aż tak duży ruch, żeby ludzie nie zapamiętali takiego wozu. -

Dokąd się udali?

- Na południe, do Richmond. Tam skręcili na zachód drogą zwaną Szlakiem Trzech Karbów, kierując się w stronę gór. Pojechałam następnie na wschód i dotarłam tutaj. Jeśli dziś jeszcze wyruszysz, będziesz miał w stosunku do nich tylko trzy dni opóźnienia.

Jay zaczął się zastanawiać. Nie podobał mu się pomysł pościgu za żoną, która go porzuciła.

Wychodził na głupca, lecz była to jedyna szansa, aby otrzymać spadek. Czwarta część majątku ojca stanowiła niemalą fortunę. Ale co robi, jak już ją złapie?

- A jeśli Lizzie nie zechce wracać? - zapytał. Twarz matki przybrała twarde, zdecydowany wyraz.

- Istnieje tylko jedna możliwość - odrzekła. Zerknęła na Mandy, po czym znów utkwiała w Jayu chłodny wzrok. - Możesz mieć dziecko z inną kobietą, poślubić ją i odziedziczyć... jeśli Lizzie nagle umrze. Młody Jamisson długą chwilę spoglądał na matkę.

- Oni zmierzają w dzikie, odludne tereny - ciągnęła Alicia. - Tam prawo nie obowiązuje. Tam może

wydarzyć się wszystko. Po drugiej stronie gór nie ma szeryfów, nie ma koronerów. Tam nagle śmierć jest na porządku dziennym i nikt nie zadaje żadnych pytań. Jay poczuł, że ma sucho w ustach. Przełknął ślinę i sięgnął po brandy, ale matka położyła dłoń na jego szklance.

- Ani kropli więcej - powiedziała. - Musisz ruszać w drogę. Niechętnie cofnął rękę.

- Weź ze sobą Lennox - poradziła Alicia. - Jeśli przyjdzie do najgorszego i nie uda ci się przekonać Lizzie, aby z tobą wracała... on już będzie wiedział, co zrobić. Jay skinął głową.

- W porządku. Tak zrobię.

Starodawna trasa myśliwych polujących na bizona, Szlak Trzech Karbów, ciągnęła się milami przez pagórkowate tereny Wirginii. Dokładnie tak, jak wskazywała mapa Macka, prowadziła wzdłuż rzeki James. Szlak przecinał liczne pasma górskie i doliny uformowane przez setki strumieni toczących swe wody na południe, do rzeki James. Początkowo mijali rozległe posiadłości podobne do tych, jakie spotykało się w okolicach Fredericksburga. Im bardziej jednak kierowali się na zachód, tym mniej widywało się domów i pól, a coraz więcej lasów. Lizzie była szczęśliwa. Bała się, drażył ją niepokój, ogarniały wyrzuty sumienia, ale mimo to na jej twarzy gościł pogodny uśmiech. Wreszcie przebywała pod otwartym niebem, jechała konno, obok niej podążał ukochany mężczyzna i razem

rozpoczynali wielką przygodę. Choć niepokoiła się tym, co ich czeka, w duszy jej grało. Popędzali konie, gdyż obawiali się pościgu. Alicia Jamisson z pewnością nie siedziała beczynn timer we Fredericksburgu, czekając na powrót Jaya. Zapewne wysłała już do Williamsburga wiadomość, a może nawet osobiście się tam wybrała, żeby poinformować syna o tym, co się wydarzyło. Gdyby nie przywieziona przez Alicję wieść o testamencie sir George'a, Jay zapewne wzruszyłby ramionami i poniechał Lizzie, ale teraz potrzebował żony, żeby urodziła mu następne dziecko, niezbędne do przejęcia spadku. Prawdopodobnie już wyruszył w pościg. Mieli kilka dni przewagi, ale Jay, bez wozu pełnego zapasów, będzie podróżować dużo szybciej. Z łatwością trafi na ich trop, rozpytuując o nich w mijanych domach i gospodach. Spotkali przecież po drodze kilku podróżnych, którzy z pewnością zapamiętali ich wóz. Trzeciego dnia teren stał się bardziej pofałdowany. Zielone pola uprawne ustąpiły miejsca pastwiskom, a na horyzoncie pojawił się zamglony, błękitny łańcuch górski. W miarę upływu czasu konie stawały się coraz bardziej zmęczone. Potykały się na wyboistej drodze i nieustannie zwalniały. Na podjazdach pod górę Mack, Lizzie i Peg zsiadali z wozu, żeby zmniejszyć jego ciężar, ale to niewiele dawało. Konie człapały z opuszczonymi łbami, wlokły się coraz wolniej i nie reagowały nawet na świst bata.

- Co im się stało? - zaniepokoił się Mack.

- Myślę, że potrzebują lepszej paszy - odparła Lizzie. Żrą tylko to, co uda się im poskubać podczas nocnych popasów. Żeby ciągnąć taki wóz, muszą dostawać owies.

- Powinienem był go kupić - zafrasował się Mack. - Ale nawet o tym nie pomyślałem... Mało znam się na koniach. Tego popołudnia dotarli do Charlottesville, niedawno powstałej osady położonej na skrzyżowaniu Szlaku Trzech Karbów i Seminole, starej drogi indiańskiej. Miasteczko składało się z równolegle biegnących uliczek pnących się od drogi w kierunku szczytu wzgórza, lecz większość domów nie została jeszcze ukończona i gotowych budynków było tylko około tuzina. Na głównej ulicy znajdowała się siedziba sądu ze stojącym przed nią pręgierzem. Nie opodal była gospoda z drewnianym szyldem, na którym nieudolnie wymalowano łabędzia.

- Tu kupimy owies - oświadczyła Lizzie.

- Nie, w tym miasteczku nie będziemy się zatrzymywać odparł Mack. - Nie chcę, żeby nas zapamiętano. Lizzie doskonale rozumiała jego obawy. Jay, dotarłszy do skrzyżowania, będzie miał kłopoty z wyborem drogi. Nie będzie pewien, czy zbiegowie skręcili na południe, czy też pojechali dalej na zachód. Jeśli zwrócą na siebie uwagę zatrzymując się w gospodzie i uzupełniając zapasy, ułatwią mu zadanie. Konie muszą jeszcze trochę pocierpieć. Kilka mil za Charlottesville trafili na przecinający drogę ledwie widoczny szlak. Mack rozpałił ognisko, a Lizzie ugotowała mamalygę. Zapewne w

okolicznych strumieniach roilo się od ryb, a w lasach od jeleni, lecz zbiegowie nie mieli czasu ani na polów, ani na polowanie. Mamałyga okazała się bez smaku, a jej kleista konsystencja budziła wstręt. Lizzie zmusiła się do zjedzenia kilku łyżek, lecz dostała mdłości i resztę wyrzuciła. Ogarnął ją wstyd na myśl, że robotnicy na jej plantacji musieli taką strawę jeść codziennie. Gdy Mack mył w potoku miski, Lizzie spętała na noc konie, a potem trójka uciekinierów owinęła się kocami i wpełzła pod wóz. Układając się do snu na ziemi, Lizzie skrzywiła się. - O co chodzi? - zapytał Mack.

- Okropnie bolą mnie plecy.

- Przyzwyczaiłaś się do puchowych piernatów.

- Wolę sypiać na twardej i zimnej ziemi z tobą, niż samotnie w puchowych piernatach. Nie kochali się, ponieważ obok leżała Peg, ale kiedy dziewczynka już zasnęła, zaczęli ściszonymi głosami rozmawiać o tym, co wspólnie przeszli.

- Czy pamiętasz, jak wyciągnęłam cię z rzeki i wytarłam halką? - zapytała Lizzie. - Pamiętasz?

- Oczywiście. Jak mógłbym o tym zapomnieć?

- Wytarłam ci plecy, a gdy odwróciłeś się do mnie przodem... - Ogarnięta nagłym wstydem zawahała się. - Byłeś... byłeś podniecony.

- Tak. Choć byłem straszliwie zmęczony i ledwo trzymałem się na nogach, bardzo chciałem się z tobą kochać.

- Tamtego wieczoru po raz pierwszy w życiu ujrzałam mężczyznę w takim stanie. Śniłeś mi się

później wielokrotnie. Ogarniał mnie wstyd, gdy przypominałam sobie, jak bardzo mi się podobałeś.

- Zmieniłaś się. Byłaś przedtem bardzo wyniosła.

Lizzie zaśmiała się cicho.

- Ty też!

- Byłem wyniosły?

- Oczywiście! Na przykład wtedy w kościele, gdy odczytywałeś list do dziedzica.

- No tak, chyba byłem.

- Zapewne oboje się zmieniliśmy.

- Bardzo się z tego cieszę.... - Mack dotknął jej policzka. - Myślę, że właśnie wtedy się w tobie zakochałem... Tam, przed kościołem, gdy kazałaś mi się wynosić.

- Ja też cię od dawna kochałam, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy. Czy pamiętasz walkę na pięści o nagrodę pieniężną? Bolał mnie każdy cios, jaki otrzymywałeś. Nie mogłam patrzeć, jak ranią twoje wspaniałe ciało. A później, gdy byłeś nieprzytomny, pieściłam cię, dotykałam twego torsu. Pragnęłam cię jeszcze przed ślubem, ale za nic nie chciałam się sama przed sobą do tego przyznać.

- A ja zrozumiałem, że cię Kocham, w sztolni, gdy wpadłaś mi w ramiona i przez przypadek dotknąłem twojej piersi... Lizzie zachichotała.

- Chyba trzymałeś mnie wtedy w ramionach trochę dłużej, niż zachodziła potrzeba?

- Nie. Ale później bardzo tego żałowałem.

- Teraz możesz trzymać mnie w objęciach tak długo, jak ci się podoba.

- Wiem. Objął ją i przygarnął do siebie. Długo leżeli pogrążeni w milczeniu, aż w końcu, spleceni ramionami, zapadli w sen. Następnego dnia przebyli przełęczą kolejne górskie pasmo. Po drugiej stronie otwierały się równiny. Lizzie i Peg kierowały zjeżdżającym ze zbocza wozem, a Mack jechał przodem na jednym z zapasowych koni. Lizzie była obolała od nocy spędzonej na twardej ziemi i zaczynała już odczuwać skutki braku odpowiedniego jedzenia. Musiała jednak do takiego życia przywyknąć. Czekala ich jeszcze długa droga. Zacisnęła zęby i zaczęła rozmyślać o tym, co przyniesie im przyszłość. Zauważyła, że Peg coś trapi. Dziewczynka zawsze poruszała najczulsze struny jej duszy. Ilekroć Lizzie na nią patrzyła, myślała o swojej córeczce, która urodziła się martwa. Peg również była kiedyś takim maleńkim dzieckiem kochanym przez matkę. Przez pamięć tamtej kobiety Lizzie traktowała małą jak własną córkę.

- Coś cię niepokoi, prawda? - zapytała.

- Zabudowania na tamtym wzgórzu przypomniały mi farmę Burgo Marlera - odparła dziewczynka. To okropne mieć na sumieniu czyjeś życie, pomyślała Lizzie. Ale Peg najwyraźniej trapiło coś jeszcze i po chwili zapytała: - Dlaczego postanowiłaś z nami uciec? Lizzie trudno było odpowiedzieć na to pytanie w kilku słowach. Przez chwilę zbierała myśli.

- Głównie dlatego, że mąż przestał mnie kochać - powiedziała w końcu, ale coś we wzroku Peg

sprawiło, że szybko dodała: - Odnoszę wrażenie, że wolałabyś, abym została w domu.

- No cóż... nie smakuje ci nasze jedzenie i nie odpowiada spanie na gołej ziemi. Poza tym bez wozu posuwalibyśmy się znacznie szybciej.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić. A wiezione na wozie zapasy bardzo ułatwią nam zagospodarowanie się w nowym miejscu - odparła. Jednak Peg wciąż była nadąsana i Lizzie nabrała pewności, że dziewczynka nie powiedziała jeszcze wszystkiego, co jej leżało na sercu. I rzeczywiście, Peg po chwili zapytała:

- Kochasz Macka, prawda?

- Oczywiście.

- Przecież dopiero co uciekłaś od męża... Czy to trochę nie za wcześnie? Lizzie skrzywiła się. Ją też ten problem nieustannie trapił. Ale słowa krytyki z ust dziecka były irytujące.

- Mąż nie tknął mnie od pół roku. Jak myślisz, ile mogłam jeszcze czekać?

- Mack kocha mnie - burknęła Peg. Sprawa się komplikuje, pomyślała Lizzie.

- Kocha nas obie - powiedziała pojednawczo. - Jeśli tylko pozwolisz, postaram się zastąpić ci matkę.

- Nie! - zawołała ze złością Peg. - Nie pozwolę! Lizzie nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Popatrzyła przed siebie. Ujrzała płytką rzekę i stojący na jej brzegu niski drewniany budynek. Najwyraźniej dotarli do brodu, przy którym znajdował się zajazd dla wędrowców. Mack przywiązywał właśnie konia

do rosnącego obok domu drzewa. Lizzie zatrzymała wóz. W progu gospody pojawił się potężnie zbudowany i niekompletnie ubrany mężczyzna. Miał na sobie skórzane spodnie, ale był bez koszuli, a na jego głowie tkwił zniszczony trójgraniasty kapelusz.

- Chcemy kupić owies - oświadczył Mack.

- Czy zamierzacie zatrzymać się tu na odpoczynek, wstąpić do mnie i coś zjeść? - zapytał mężczyzna.

Nieoczekiwanie Lizzie pomyślała, że najbardziej ze wszystkiego ma ochotę na wielki garniec piwa. Z Mockjack Hall zabrała pewną sumę pieniędzy.

Niewiele tego było, ale wystarczyło na dokonywanie w podróży niezbędnych zakupów.

- Tak - powiedziała zdecydowanie i zeskokczyła z wozu.

- Nazywam się Berney Tobold - przedstawił się właściciel gospody. - Wołają na mnie Baz. Popatrzył na Lizzie. Miała na sobie męskie ubranie, ale nie mogło ono ukryć rzeczywistego stanu rzeczy, a jej twarz nie budziła już najmniejszych wątpliwości. Niemniej Baz nie skomentował tego ani słowem i wprowadził gości do środka. Kiedy Lizzie przyzwyczaiła już wzrok do panującego w gospodzie półmroku, dostrzegła pustą salę o podłodze z ubitej ziemi, z dwiema ławami i kontuarem. Na półkach stało kilka drewnianych garnków. Baz sięgnął do beczułki z rumem, ale Lizzie odmownie potrząsnęła głową.

- Nie, nie rum. Poprosimy o piwo.

- Ja napiję się rumu! - powiedziała szybko Peg.

- Dopóki ja płacę, żadnego rumu - sprzeciwiła się Lizzie. - Baz, dla niej również piwo. Szynkarz rozlał do drewnianych kufli piwo. Mack podszedł do niego z mapą w ręku.
- Co to za rzeka? - zapytał.
- Nazywamy ją South River.
- A dokąd prowadzi droga po jej drugiej stronie?
- Do miasteczka Staunton, odległego stąd o jakieś dwadzieścia mil. Dalej jest już tylko kilka szlaków i kilka przygranicznych fortów, a później już tylko góry, których nikt jeszcze nie przebył. A dokąd jedziecie? Mack zawahał się, więc do rozmowy włączyła się Lizzie.
- Do mojego kuzyna - powiedziała.
- W Staunton? Pytanie szynkarza zaskoczyło Lizzie.
- Hmm... w pobliżu - odparła.
- Ach, tak. A jak się nazywa ten kuzyn?
- Angus... Angus James. - Wymieniła pierwsze imię i nazwisko, jakie przyszło jej do głowy. Baz zmarszczył brwi.
- Dziwne. Wydawało mi się, że znam wszystkich w Staunton, ale o tym człowieku słyszę po raz pierwszy.
- Może jego farma znajduje się z dala od miasta - improwizowała Lizzie. - Ja również nigdy jeszcze u niego nie byłam. Z zewnątrz dobiegł dźwięk końskich podków. Lizzie pomyślała o Jayu. Czyżby tak szybko ich dogonił? Mack również się zaniepokoił.
- Jeśli mamy na wieczór stanąć w Staunton... - zaczął.

- Musimy się śpieszyć - zakończyła za niego Lizzie. Dopła piwo.

- Przecież ledwo co zwilżyliście gardła - zdziwił się Baz. - Może jeszcze po kuflu?

- Nie - odrzekła zdecydowanie Lizzie i wyciągnęła sakiewkę. - Chcę zapłacić. Do gospody wkroczyło dwóch mężczyzn. Chwilę mrugali oczyma w zalegającym w środku mroku. Najwyraźniej mieszkali gdzieś w pobliżu. Obaj mieli na sobie skórzane spodnie i buty domowej roboty. Lizzie kątem oka spostrzegła, że Peg drgnęła i odwróciła się plecami do przybyszy, jakby nie chciała, żeby zobaczyli jej twarz.

- Witam! - odezwał się uprzejmie jeden z nich. Był to brzydki mężczyzna o złamanym nosie i bez jednego oka. Nazywam się Chris Dobbs, ale wołają na mnie Deadeye Dobbo. Miło mi was poznać. Co nowego na wschodzie? Czy przedstawiciele ciągle wydają pieniądze z naszych podatków na budowę nowych pałaców i organizowanie wystawnych kolacji? Pozwólcie, że postawię wam rum. Baz, kolejka dla wszystkich. - Właśnie wychodziliśmy - odparła Lizzie. - Dziękujemy, ale nie. Dobbo przyjrzał się jej uważniej.

- Kobieta w skórzanych spodniach! Puściła jego uwagę mimo uszu.

- Do widzenia, Baz. I dziękujemy za informacje. Mack wyszedł z gospody. Lizzie i Peg również ruszyły w stronę drzwi. Dobbs popatrzył na Peg i na jego twarzy odbiło się zdziwienie.

- Znam ciebie - powiedział. - Widziałem cię z Burgo Marlerem, niech mu ziemia lekka będzie.

- Pierwszy raz słyszę o kimś takim - odparła zuchwale Peg i szybko przeszła obok niego. Ale Dobbs pomyślał chwilę i zawołał za nią:

- Jezu Chryste, to ty jesteś tą małą suką, która go zabiła! - Chwileczkę... - odezwała się Lizzie.

Żałowała, że Mack tak szybko wyszedł z oberży. - Nie mam pojęcia, jakie głupstwa przychodzą panu do głowy, panie Dobbs. Jenny od dziesiątego roku życia pracuje w mojej rodzinie jako pokojówka i na pewno nie spotkała w życiu żadnego Burgo Marlera, nie mówiąc już o tym, że go zabiła. Mężczyzna jednak nie dał się tak łatwo zbyć.

- Ona wcale nie nazywa się Jenny, choć jakoś tak podobnie; Betty, Milly albo Peggy. O, właśnie... Peggy Knapp. Lizzie ze strachu zrobiło się niedobrze. Dobbs odwrócił się do swego kompana, szukając u niego potwierdzenia swych domysłów.

- Co ty na to? Drugi mężczyzna wzruszył ramionami.

- Widziałem ją u Burgo najwyżej dwa razy, ale wszystkie te małe dziewczynki są do siebie podobne - odparł z powątpiewaniem.

- Jej wygląd pasuje do opisu w Virginia Gazette - włączył się do rozmowy Baz i wyjął spod kontuaru muszkiet. Lizzie nie czuła już strachu. Ogarnął ją gniew.

- Chyba nie zamierza mi pan grozić, panie Tobold powiedziała silnym głosem.

- Musicie tu zaczekać, dopóki nie prześlę wiadomości do szeryfa w Staunton. Jest wściekły, że nie udało mu się złapać morderczyni Burgo i podejrzewam, że zechce sprawdzić waszą historyjkę.

- Nie zamierzam tu czekać, aż przekona się pan o własnej pomyłce. Bas skierował w stronę Lizzie broń.

- Obawiam się, że będziecie musieli poczekać.

- Nic z tego - odparła Lizzie. - Wychodzę stąd z tym dzieckiem, a pan powinien wiedzieć jedno: jeśli zastrzeli pan żonę bogatego wirgińskiego dżentelmena, nic nie uratuje pana od stryczka. Ujęła Peg za rękę, stanęła między dziewczynką a lufą muszkietu i zdecydowanie ruszyła do wyjścia. Baz uniósł broń. Rozległ się głośny szczęk odwodzonego kurka. Peg próbowała się wyrwać Lizzie, ale ona jeszcze mocniej ścisnęła ją za ramię. Od drzwi dzieliły je tylko trzy jardy, ale wydawało się, że dotarcie do nich zajęło godzinę. Strzał nie padł. Lizzie poczuła na twarzy ciepłe promienie słońca. Nie potrafiła dłużej nad sobą panować. Popychając przed sobą Peg, zaczęła biec. Mack siedział już w siodle. Peg wskoczyła na kozioł, a Lizzie za nią.

- Co się stało? - zapytał McAsh. - Wyglądacie, jakbyście zobaczyły upiora.

- Wynośmy się stąd! - zawołała Lizzie szarpiąc lejce. Ten jednooki rozpoznał Peg! Zawróciła wóz na wschód. Gdyby skierowali się do Staunton, musieliby najpierw przebyć rzekę, co zajęłoby dużo czasu. Zresztą w mieście wpadliby prosto w ręce szeryfa.

Musieli wracać drogą, którą przybyli. Obejrzawszy się za siebie, Lizzie ujrzała stojących w progu zajazdu trzech mężczyzn. Baz ciągle ścisnął w dłoniach muszkiet. Popędziła konie. Baz jednak nie strzelił. Po kilku chwilach trójka zbiegów znalazła się poza zasięgiem broni.

- Na Boga - mruknęła z ulgą Lizzy. - To był paskudny moment. Droga skręcała w las i niebawem stracili gospodę z oczu. Lizzie zwolniła i do wozu zbliżył się jadący konno Mack.

- Nie kupiliśmy owsa - powiedział. Mack cieszył się, że udało się im wyjść cało z opresji, żałował jednak trochę, że zawrócili z drogi. Wprawdzie dom Burgo Marlera najwyraźniej znajdował się właśnie w Staunton, ale mogli przecież znaleźć jakąś boczną drogę, którą ominęliby miasto, lub po prostu przejechać przez nie nocą. Nie odezwał się jednak na ten temat słowem wiedząc, że Lizzie musiała podjąć natychmiastową decyzję. Zatrzymali się w tym samym miejscu, w którym spędzili poprzednią noc - na skrzyżowaniu Szlaku Trzech Karbów i ledwo widocznej drogi przez las. Opuścili dotychczasową trasę i skryli się w gęstwinie drzew. Teraz już uciekali przed prawem. Mack zerknął na mapę i zdecydował, że powinni wrócić do Charlottesville i ruszyć szlakiem Seminole na południe. Po dwóch dniach ponownie skręcają na zachód, omijając Staunton w odległości około pięćdziesięciu mil. Rano jednak przyszło mu do głowy, że Dobbs również mógł wyruszyć do Charlottesville. Istniała

możliwość, że po ciemku minął ich ukryty w lesie obóz i dotarł do miasta przed nimi. Zwierzył się ze swych obaw Lizzie i zaproponował, że do Charlottesville pojedzie sam, żeby sprawdzić, czy droga jest bezpieczna. Lizzie przystała na to bez sprzeciwu. Popędzał ostro konia i na miejsce dotarł jeszcze przed wschodem słońca. Gdy ujrzał pierwsze domy, zwolnił i wjechał stępą do miasta. Nie spotkał tam żywego ducha. Jedyne na środku drogi siedział pies, który drapał się iskając pchły. Drzwi gospody "Łabędź" stały otworem, a z komina unosił się dym. Mack zsiadł z konia i uwiązał go do słupa z szyldem gospody. W środku nie było nikogo. Być może Dobbs i jego kumpel pojechali jednak w przeciwną stronę, do Staunton, pomyślał Mack. Z zaplecza dobiegał zapach, od którego napłynęła mu ślinka do ust. Kiedy przeszedł do tylnej sali, ujrzał kobietę w średnim wieku smażącą bekon.

- Chciałbym kupić owies - powiedział.

- Naprzeciwko sądu jest sklep - odparła kobieta, nie podnosząc głowy znad patelni.

- Dzięki. Czy widziała pani Deadeye'a Dobbsa?

- A kim on, u licha, jest?

- Nieważne.

- Czy zje pan śniadanie?

- Nie, dziękuję. Chciałbym, ale nie mam czasu.

Zostawiwszy konia przed gospodą, ruszył pod górę w stronę drewnianego budynku sądu. Po drugiej stronie placyku stał mniejszy dom, a niezdarny napis na jego frontonie głosił: "Nasiona". Sklep był

zamknięty, ale w przybudówce Mack natknął się na niekompletnie ubranego mężczyznę, który właśnie się golił.

- Chcę kupić owies - powiedział.

- A ja chcę się ogolić - odparł tamten.

- Nie mogę czekać - oświadczył Mack. - Proszę sprzedać mi dwa worki albo kupię je przy przeprawie przez South River. Burcząc coś pod nosem, mężczyzna wytarł twarz i zaprowadził Macka do sklepu.

- Czy są w mieście jacyś przybysze? - zapytał Mack.

- Pan - odrzekł sklepikarz. A zatem Dobbs nie pojawił się nocą w Charlottesville. Mack zapłacił pieniędzmi, które dostał od Lizzie, i zarzucił na plecy dwa ciężkie worki. Gdy wychodził ze sklepu, dobiegł go tętent końskich kopyt. Uniósł głowę i ujrzał trzech jeźdźców zbliżających się od wschodniej strony. Jechali bardzo szybko. Mack zamarł.

- Czy to pańscy znajomi? - zapytał sklepikarz.

- Nie - odparł obojętnie Mack i spiesznie ruszył w dół wzgórza. Jeźdźcy zatrzymali się przed "Łabędziem". Mack zwolnił kroku i spuścił na oczy kapelusz. Gdy przybysze zsiadali z koni, ukradkiem zerknął na ich twarze. Jednym z nich był Jay Jamisson. Mack zaklął pod nosem. Przez to, co się zdarzyło nad South River, Jay prawie nas złapał, pomyślał. Musiał szybko dostać się do konia i niepostrzeżenie odjechać. Nagle uświadomił sobie, że koń, którego skradł Jayowi, stoi przywiązany do słupa w odległości niecałych trzech jardów od prawowitego

właściciela. Jay kochał konie i znał się na nich. Wystarczy mu jeden rzut oka, by rozpoznać swą własność. Natychmiast zrozumie, że zbiegowie są w pobliżu. Mack ukrył się za wałącym się płotem w zarośniętym obejściu i przez gęste krzaki obserwował przybyszy. Jayowi towarzyszył Lennox oraz jeszcze jakiś mężczyzna, którego Mack nie znał. Nadzorca przywiązał swojego wierzchowca obok konia Macka tak, że częściowo zasłonił nim skradzionego ogiera. Lennox słabo znał się na koniach i nie rozpoznał zwierzęcia. Jay swego wierzchowca ulokował obok konia nadzorcy. Wchodźcie do środka! - krzyczał w duchu Mack. - Wchodźcie do środka! Jay powiedział coś do Lennoxa, ten odpowiedział mu, a trzeci mężczyzna wybuchnął ochryplym śmiechem. Mackowi spłynęła z czoła do oka kropla potu i zamrugał powiekami. Gdy odzyskał ostrość widzenia, cała trójka wchodziła do "Łabędzia". Odetchnął z ulgą, wynurzył się z zarośli i zgięty pod ciężarem worków z owsem ruszył szybko w stronę gospody. Zarzucił worki na koński grzbiet. Nagle usłyszał, że ktoś się do niego zbliża. Nie odważył się odwrócić. Na strzemieniu jego konia spoczęła czyjaś dłoń. - Ej, ty... - rozległ się męski głos. Powoli się odwrócił. Był to ów trzeci, nieznajomy mężczyzna. Mack wciągnął głęboko w płuca powietrze i burknął: - Czego? - Chcemy zjeść śniadanie.

- Idźcie do kobiety na zapleczu - odparł Mack i wskoczył na konia.
- Ej! - zawołał tamten.
- Czego znowu? - zapytał Mack.
- Czy przejeżdżali tędy mężczyzna, kobieta i dziewczynka wozem zaprzężonym w cztery konie? Mack udawał, że chwilę się namyśla.
- Ostatnio nie - odrzekł, po czym kopnął konia piętami i odjechał. W chwilę później opuścił miasteczko. Śpieszył się do Lizzie i Peg, ale worki były bardzo ciężkie i musiał jechać powoli. Kiedy wreszcie dotarł do skrzyżowania szlaków, słońce stało już wysoko. Opuścił główną drogę i ruszył bocznym traktem do miejsca, gdzie znajdował się ich obóz. - Jay jest już w Charlottesville - oznajmił, gdy tylko zobaczył Lizzie.
- Tak blisko? - zapytała blednąc.
- Dziś prawdopodobnie pojedzie Szlakiem Trzech Karbów w stronę gór. Ale gdy dotrze do South River, dowie się, że zawróciliśmy, i wtedy dzielić go będzie od nas tylko półtora dnia jazdy. Musimy zostawić wóz.
- I zapasy?
- Przynajmniej większość. Mamy trzy dodatkowe konie, na które możemy załadować trochę prowiantu. - Mack popatrzył na wąski szlak prowadzący od obozu na południe. Zamiast wracać do Charlottesville, pojedziemy na południe tamtą drogą. Zapewne zatacza ona łuk i kilka mil za

miastem łączy się ze szlakiem Seminole. Lizzie zacięła usta.

- W porządku - powiedziała ponuro. -

Rozładujemy wóz. Zostawili lemiesz, kufer z ciepłą bielizną Lizzie oraz część mąki. Zabrali natomiast broń, narzędzia i ziarno. Przytroczyli pakunki do koni i wskoczyli na siodła. Późnym rankiem posuwali się już rażno przed siebie.

Od trzech dni podążali pradawnym szlakiem Seminole na południowy zachód, przejeżdżając przez majestatyczne doliny i przełęcz porośnięte bujnym lasem. Miast nie było żadnych, mijali jedynie samotne farmy, lecz ludzi spotykali niewielu. Jechali obok siebie, prowadząc konie w równej linii. Choć odparzenia spowodowane nieustannym przebywaniem w siodle mocno dawały się im we znaki, Macka przepelniało uczucie szczęścia. Góry były wspaniałe, świeciło słońce, a on był wolny. Rankiem czwartego dnia, gdy znaleźli się na szczycie wzniesienia, ujrzeli w dole szeroką, zamuloną rzekę, na której widniały niewielkie wysepki. Na drugim brzegu przycupnęła osada złożona z drewnianych domków. Na przystani zacumowany był płaskodenny prom. Mack ściągnął cugle wierzchowca.

- Dotarliśmy do rzeki James, a ta osada nazywa się Lynch's Ferry - powiedział.

- Czy właśnie tu zamierzasz ponownie skrócić na zachód? - zapytała Lizzie. Mack skinął głową.

- Od trzech dni nikogo nie spotkaliśmy, więc Jay będzie miał trudności z odnalezieniem naszego tropu. Jeśli jednak przeprawimy się promem, nie unikniemy spotkania z przewoźnikiem, a zapewne też i z właścicielem miejscowej gospody, sklepikarzem oraz innymi mieszkańcami osady.

- Masz rację - odparła Lizzie. - Jeśli teraz zboczymy z trasy, Jay nie będzie wiedział, jak ustalić kierunek naszej ucieczki. Mack zerknął na mapę.

- Po północnozachodniej stronie dolina pnie się ku przełęczy. Po drugiej stronie natrafimy pewnie na szlak wiodący ze Staunton na południowy zachód.

- Doskonale. Mack uśmiechnął się do milczącej, obojętnej na wszystko Peg.

- Czy zgadzasz się ze mną? - zapytał, ciekaw jej zdania.

- Rób, jak chcesz - odrzekła apatycznie dziewczynka. Sprawiała wrażenie nieszczęśliwej i Mack pomyślał, że nastrój ten spowodowany jest strachem przed złapaniem. Poza tym musiała być już bardzo zmęczona - nieustannie zapominał, że Peg jest jeszcze dzieckiem.

- Uśmiechnij się - powiedział. - Uciekniemy! Dziewczynka odwróciła wzrok. Mack spojrzał pytająco na Lizzie, ale ona tylko bezradnie rozłożyła ręce. Zboczyli ze szlaku i ruszyli w dół porośniętym lasem stokiem. Zamierzali przeprawić się przez rzekę jakieś pół mili od osady. Mack sądził, że nikt ich nie widział. Przez kilkanaście mil płaska droga

wiła się wzdłuż brzegu rzeki. Później odbijała w bok i biegła skrajem wzgórz. Z powodu stromych, skalistych wzniesień podróż była bardzo uciążliwa. Na trudniejszych odcinkach musieli nawet zsiadać z koni. Macka jednak nie opuszczała radość z odzyskanej wolności. Pod koniec dnia zatrzymali się nad bystrym strumieniem. Lizzie ustrzeliła niewielką sarnę, która przyszła napić się z górskiego jeziorka. Mack opracił zwierzę, po czym sporządził prosty rożen. Poleciał Peg pilnować ognia, a sam udał się nad potok, żeby umyć zabrudzone krwią ręce. Ruszył w dół strumienia, w stronę niewielkiego wodospadu, pod którym utworzyło się głębokie jeziorko. Ukląkł na kamienistej półce i pod kaskadą spadającej ze stromych skał wody umył dłonie. Później postanowił się wykąpać i zaczął zrzucać z siebie ubranie. Gdy ściągnął spodnie, zobaczył Lizzie.

- Za każdym razem, gdy zdejmuję ubranie i wskakuję do rzeki...

- Ja jestem w pobliżu, tak? - dokończyła. Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Wykąp się ze mną - zaproponował. Kiedy Lizzie rozbierała się, z lubością spoglądał na jej ciało. Gdy już stanęła przed nim nago, na jej twarzy wykwitł szelmowski uśmiech. Objęli się i zaczęli całować. Kiedy na chwilę przerwali, Mack popatrzył w dół na jeziorko i zapytał nagle:

- Skaczemy?

- Nie - odparła i natychmiast dodała: - Skaczymy. Trzymając się za ręce stanęli na skraju skalnego gzymsu i śmiejąc się jak wariaci skoczyli. Do wody wpadli nie puszczając swych rąk. Mack zanurzył się i pociągnął za sobą Lizzie. Gdy wypłynęli na powierzchnię w odległości kilku stóp od siebie, Lizzie parsknęła i krztusiła się wodą, ale śmiała się radośnie. Popłynęli w stronę brzegu. Kiedy poczuli pod nogami grunt, zatrzymali się. Mack przyciągnął do siebie Lizzie, dotknął jej ud i poczuł dreszcz podniecenia. Musnął jej łono biodrami, a ona zacisnęła rękę na jego wyprężonym penisie i popatrzyła mu w oczy. Mack czuł, że za chwilę eksploduje. Lizzie zarzuciła mu ramiona na szyję i objęła w pasie nogami. Mack wsparł się mocno nogami o dno rzeki, przygarnął do siebie Lizzie i uniósł ją trochę, a ona przylgnęła do niego. Wślizgnął się w nią tak łatwo, jakby robili to od lat. Choć woda była bardzo zimna, skóra Lizzie sprawiała wrażenie natartej gorącą oliwą. Mack myślał, że śni. Oto kocha się z córką lady Hallim pod wodospadem w Wirginii... Czyż mogło się to dziać na jawie? Lizzie wsunęła mu w usta język, a on zaczął go ssać. Trzymając Macka za szyję, uniosła się lekko i ponownie opadła. Zaczęła rytmicznie powtarzać ten ruch, przymknawszy oczy i pojękując. Mack, jak zahipnotyzowany, patrzył w jej twarz. Nagle kątem oka dostrzegł na brzegu jakiś ruch. Odwrócił w tamtą stronę głowę. Przed oczyma mignęło mu coś barwnego i w ułamku sekundy przepadło między

drzewami. Ktoś ich obserwował. Czy to nie Peg zabląkała się w pobliże wodospadu? A może pojawił się ktoś obcy? Wiedział, że powinien zachować czujność, lecz jego ukochana jęczała coraz głośniejsze i Mack przestał myśleć o czymkolwiek innym. Lizzie, ściskając go konwulsyjnie udami, krzyczała coraz głośniejsze. Wtulila się w niego drapieżnie, jeszcze raz wydała chrapliwy okrzyk, a on, drżąc z rozkoszy, tulił ją do siebie tak długo, aż i na niego spłynęło ukojenie. Kiedy wrócili do obozu, nie zastali w nim Peg. Macka ogarnęły złe przeczucia.

- Wydawało mi się, że kiedy kochaliśmy się pod wodospadem, dostrzegłem kogoś na brzegu.

Widziałem tego kogoś tylko przez mgnienie oka i nie wiem, czy był to mężczyzna, kobieta czy dziecko.

- Jestem przekonana, że widziałeś Peg - powiedziała Lizzie. - Myślę, że uciekła. Mack spojrział na nią.

- Dlaczego?

- Jest o mnie zazdrosna.

- Co ty mówisz?

- Peg cię kocha. Oświadczyła mi, że zamierza za ciebie wyjść. Oczywiście to tylko dziewczęce fantazje, ale ona nie zdaje sobie z tego sprawy. Od kilku dni bardzo dziwnie się zachowywała, a gdy ujrzała, jak się kochamy, uciekła. Mack pomyślał, że Lizzie ma rację. Wyobrażał sobie, co czuła Peg, i ta myśl doprowadzała go do rozpacz. Teraz nieszczęsne dziecko bląkało się samotnie w górach.

- Boże, co my zrobimy? - zapytał w rozterce.

- Poszukamy jej.

- Tak. - Mack powoli otrząsał się z szoku. - W każdym razie nie zabrała konia, więc nie może być daleko. Poszukajmy jej. Przygotuj pochodnie. Prawdopodobnie poszła drogą, którą tu przyjechaliśmy. Założę się, że śpi gdzieś w krzakach. Szukali przez całą noc. Kilka godzin tropili Peg oświetlając pobocza krętego szlaku. Gdy wrócili do obozu, zrobili nowe pochodnie i klucząc między skałkami ruszyli brzegiem potoku w górę zbocza. Ale Peg nigdzie nie było. O świcie zjedli trochę sarniny, okulbaczyli konie i ruszyli w dalszą drogę, Mack bowiem sądził, że dziewczynka udała się na zachód, i miał nadzieję, że w końcu natkną się na nią po drodze. Minał jednak ranek, a Peg nie znaleźli.

- W południe dotarli do kolejnego szlaku. Była to wyboista, ale dużo szersza droga, na której mógłby się zmieścić nawet wóz. W błocie dostrzegli ślady podków. Trakt wiódł z północnego wschodu na południowy zachód, a na horyzoncie, na tle niebieskiego nieba, majaczyły majestatyczne góry. Tej właśnie drogi szukali - drogi prowadzącej na przełęcz Cumberland Gap. Przygnębieni, skręcili na południowy zachód i ruszyli przed siebie.

Następnego dnia rano Jay Jamisson zjeżdżał konno stokiem wzgórza nad brzeg rzeki James i spoglądał na osadę Lynch's Ferry leżącą po drugiej stronie. Był śmiertelnie zmęczony i obolały. Ogarniało go zniechęcenie. Nie znosił Binnsa, łajdaka, którego Lennox wynajął w Williamsburgu. Miał dość

nędznego jedzenia, brudnej odzieży, długich dni spędzonych w siodle i krótkich nocy przesypianych na gołej ziemi. Jego nadzieje pojawiały się i niknęły jak nie kończące się górskie szlaki, które przemierzali. Gdy po dotarciu do South River dowiedział się, że Lizzie i jej wspólnicy musieli zawrócić z drogi, ogarnęło go wielkie podniecenie. Nie rozumiał tylko, jak udało się im uniknąć spotkania.

- W jakimś miejscu musieli opuścić szlak - oświadczył z przekonaniem Deadeye Dobbs, gdy siedzieli w gospodzie nad rzeką. Widział trójkę zbiegów poprzedniego dnia i rozpoznał wśród nich Peg Knapp, która została skazana na deportację i zamordowała Burgo Marlera. Jay był pewien, że Dobbs się nie mylił.

- Ale gdzie pojechali, na północ czy na południe? - dopytywał się z niepokojem.

- Jeśli ktoś ucieka przed prawem, ucieka na południe. Tam nie ma szeryfów, sądów i sędziów. Młody Jamisson nie był tego taki pewien. W trzynastu koloniach istniało wiele miejsc, gdzie udając szacowną rodzinę - męża z żoną i pokojówką - można było się osiedlić i zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Ale sugestia Dobbsa była prawdopodobna. Jay poinformował go, podobnie jak wszystkich spotkanych po drodze ludzi, że wyznacza nagrodę w wysokości pięćdziesięciu angielskich funtów za ujęcie zbiegów. Pieniądze te - suma, za którą można było nabyć niewielką farmę - dostał od swojej matki.

Dobbs przebył bród i ruszył na zachód, do Staunton. Jay miał nadzieję, że po drodze rozpowie o nagrodzie i nawet jeśli zbiegom uda się mu wymknąć, pochwyci ich ktoś inny. Sam wrócił do Charlottesville, by sprawdzić, czy ktoś nie zauważył przejeżdżających przez miasteczko w drodze na południe uciekinierów. Ale zbiegowie jakby zapadli się pod ziemię. Jay podejrzewał, że ominęli osadę i do biegnącego na południe szlaku Seminole dotarli jakąś inną drogą. Dlatego też swoją grupę poprowadził tym właśnie szlakiem. Jednak w miarę upływu czasu okolice stawały się coraz bardziej odludne i nie spotkali nikogo, kto widziałby na drodze mężczyznę, kobietę i dziecko. Mimo to łudził się nadzieją, że tutaj, w Lynch's Ferry, zdobędą jakieś informacje. Dotarli do brzegu i krzyknęli na przewoźnika. Z budynku po drugiej stronie wynurzył się jakiś człowiek i wsiadł do łodzi. Oba brzegi łączyła ukośnie biegnąca lina i prąd sam popychał doczepioną do niej łódź w poprzek rzeki. Gdy prom dotarł już na ich stronę, Jay i jego kompani wprowadzili na pokład konie. Przewoźnik poprawił liny i płaskodenna krypa rozpoczęła podróż powrotną. Przewoźnik ubrany był na czarno i wyglądał na kwakra. Jay zapłacił mu za przeprawę i zaczął go wypytywać.

- Szukamy trzech osób - powiedział. - Młodej kobiety, Szkota mniej więcej w jej wieku i dziewczynki około czternastu lat. Czy pojawili się tutaj? Mężczyzna pokręcił głową. Jay spochmurniał.

Zaczynał podejrzewać, że ruszając w pogoń, wybrał nie ten kierunek, co należało.

- Czy ktoś mógłby przeprowić się nie zauważony przez rzekę? Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

- Musiałby być wyśmienitym pływakiem - odparł w końcu.

- A może sforsowali rzekę w innym miejscu?

- Jeśli nawet, to na pewno nie w tej okolicy - zaśmiał się przewoźnik. Jay popatrzył na rzekę i zaklął pod nosem. Nikt nie widział Lizzie już od sześciu dni. W jakiś sposób zdołała wymknąć się z matni. Mogła być wszędzie. Mogła być w Pensylwanii. Mogła wrócić na wschód i w tej chwili płynąć okrętem do Londynu. Tak czy owak, stracił ją. Wyprowadziła go w pole pozbawiając jednocześnie spadku. Jeśli kiedykolwiek jeszcze ją spotkam, pomyślał, to jak mi Bóg miły, palnę jej prosto w łeb. Tak naprawdę to sam nie wiedział, co zrobi, kiedy ją wreszcie złapie. Gdy jechali wyboistymi szlakami, nie dawało mu to spokoju. Był w pełni świadom, że Lizzie z dobrej woli do niego nie wróci i do domu zawieźć ją musi w pętach. Ale pewnie nawet wtedy nie okaże mu posłuszeństwa i będzie zmuszony uciec się do gwałtu. Myśl ta w osobliwy sposób go podnieciła. Podczas wyprawy nieustannie nawiedzały go lubieżne wspomnienia: pieszczoty na strychu domu przy Rugby Street, gdy na zewnątrz czekają ich matki... Lizzie w łóżku, naga i bezwstydna... albo siedząca na nim okrakiem, wijąca się i jęcząca z rozkoszy. A

kiedy Lizzie zajdzie już w ciążę, w jaki sposób zdoła ją przy sobie zatrzymać? - zastanawiał się. Czy będzie musiał ją trzymać pod kluczem aż do czasu rozwiązania? Wszystko by się uprościło, gdyby umarła. Nie było to niemożliwe, bo z pewnością ona i McAsh będą się bronić, lecz Jay wiedział, że nie zamordowałby żony z zimną krwią. Miał nadzieję, że Lizzie po prostu zginie w walce. Wtedy on poślubi barmankę Mandy, która da mu dziecko, a potem wsiądzie na statek i popłynie do Londynu po spadek. Były to jednak tylko słodkie marzenia. Tak naprawdę wszystko rozstrzygnie się w chwili, gdy odnajdzie Lizzie. Albo zawiezie żonę do domu żywą, narażając się przy tym, że Lizzie w jakiś sposób zdoła pokrzyżować mu plany, albo będzie zmuszony ją zabić. Lecz czy potrafi zabić Lizzie? Przecież nigdy nikogo jeszcze nie pozbawił życia; szpady używał jedynie po to, by rozganiać ludzi podczas rebelii wzniesionej przez węglarzy, gdy pojmał McAsha. Nawet w chwilach, gdy czuł do Lizzie największą nienawiść, nie potrafił sobie wyobrazić, że wbija szpadę w jej ciało - ciało kobiety, którą niegdyś kochał. Ale przecież kiedyś celował do swego brata i nawet nacisnął spust... Jeśli trzeba będzie zabić Lizzie, zastrzeli ją z pewnej odległości, jak sarnę. Nie był jednak pewien, czy zdobyłby się nawet na to. Prom dotarł na drugi brzeg. Nie opodal przystani stał okazałych rozmiarów drewniany piętrowy budynek z poddaszem. Na stromym stoku wznoszącym się nad rzeką stało kilka innych, równie

solidnych domów. Lynch's Ferry sprawiało wrażenie doskonale prosperującej osady handlowej. Gdy znaleźli się już na brzegu, przewoźnik powiedział od niechcienia:

- W gospodzie ktoś na was czeka.

- Na nas? - zapytał zdumiony Jay. - Kto mógł wiedzieć, że się tu pojawimy?

- To jakiś srogo wyglądający jednooki typ.

- Dobbs! Jak mu się udało dostać tu przed nami?

- Sam go pan o to zapytasz - odrzekł przewoźnik.

Wiadomość ta podniosła nieco Jaya na duchu, ale i zaintrygowała.

- Zajmijcie się końmi - rzucił swym kompanom. - Ja idę do Dobbsa. Gospoda mieściła się w jednopiętrowym budynku przy przystani. Jay wszedł do środka i ujrzał jednookiego, pałaszującego gulasz.

- Dobbs, co cię tu sprowadziło, u licha? - zapytał.

Dobbs łypnął swym jedynym okiem na Jaya i odparł z pełnymi ustami:

- Przybyłem po nagrodę, kapitanie Jamisson.

- O czym ty gadasz?

- Popatrz pan tam - powiedział Dobbs i wskazał głową kąt sali. Na krześle siedziała skrępowana Peg. Jay gapił się na nią szeroko rozwartymi ze zdumienia oczyma. Nareszcie dopisało mu szczęście!

- Skądęś ją, u diabła, wytrzasnął?

- Spotkałem na drodze, na południe od Staunton. Jay zmarszczył brwi.

- W jakim kierunku szła?

- Na północ, do miasta. Ja jechałem w przeciwną stronę, do Miller's Mili.
- Ciekaw jestem, skąd się tam wzięła.
- Pytałem, ale ona nie chce nic powiedzieć. Jay popatrzył na Peg. Na twarzy miała krwawe pręgi. Dobbs najwyraźniej nie obchodził się z nią zbyt łagodnie.
- Według mnie wszyscy troje dotarli aż tutaj, lecz nie przebyli rzeki - mruknął jednooki. - Zawrócili na zachód, po drodze porzucili wóz i wzdłuż rzeki ruszyli konno w górę doliny, do traktu prowadzącego do Staunton.
- Ale przecież Peg była sama i dlatego udało ci się ją schwytać.
- Nie przyszło mi to łatwo - poskarżył się Dobbs. Umykała jak sarna i za każdym razem, kiedy już miałem ją pochwycić, wyślizgiwała mi się z rąk. Byłem jednak konno, a ona uciekała na piechotę, więc w końcu opadła z sił. Pojawiła się żona właściciela gospody z pytaniem, czy Jay chce coś jeść, ale on, ciekaw dalszych rewelacji Dobbsa, zbył ją niecierpliwym machnięciem ręki.
- W jaki sposób dotarłeś tu przed nami? - zapytał. Dobbs wyszczerzył zęby.
- Przeprowiłem się przez rzekę tratwą.
- Najwyraźniej się pokłócili i ta krwiożercza mała suka odłączyła się od nich i samotnie ruszyła na północ - oświadczył z ożywieniem Jay. - Zatem tamci muszą kierować się na południe. - Zmarszczył brwi. - Dokąd zmierzają?

- Trakt prowadzi do Fort Chiswell - odparł Dobbs. Tam praktycznie kończą się zasiedlone tereny. Trochę dalej na południe jest miejsce zwane Wolff Hills, a później już tylko terytoria Irokezów. Chyba nie zamierzają przystać do Indian, toteż sędzę, że w Wolff Hills skręcili na zachód i ruszyli ku góróm. Myśliwi mówią, że znajduje się tam przełęcz Cumberland Gap, którą można dostać się na drugą stronę masywu, ale ja tam nigdy nie byłem.

- A co jest po drugiej stronie gór?

- Dziki, nie zamieszkaany obszar. Wspaniałe tereny myśliwskie. Ziemie niczyje, leżące między terytoriami Irokezów i Siuksów. Nazywają te tereny Krainą Błękitnej Trawy. Teraz już Jay miał jasny obraz sytuacji. Lizzie prawdopodobnie zamierzała rozpocząć nowe życie właśnie tam, w tej dziczy. Ale to się jej nie uda, pomyślał. Pochwycę ją i zawiozę do domu - żywą lub martwą.

- Sama Peg niewiele jest warta - powiedział do Dobbsa. - Jeśli chcesz zarobić te pięćdziesiąt funtów, musisz pomóc nam pochwyć tamtą dwójkę.

- Chcesz pan, żebym służył za przewodnika?

- Tak

- Mają nad wami kilka dni przewagi, a bez wozu podróżują szybko. Doścignięcie ich zajmie tydzień lub dłużej.

- Jeśli nam się uda, dostaniesz pięćdziesiąt funtów.

- Mam nadzieję, że złapiemy ich, zanim opuszczą szlak.

- Oby tak było - mruknął Jay.

Dziesiątego dnia po ucieczce Mack i Lizzie przebyli rozległą równinę i dotarli do rzeki Holston. Mack był pijany szczęściem. Po drodze minęli mnóstwo potoków i strumieni, lecz teraz nie miał wątpliwości, że dotarli do właściwej rzeki. Była dużo szersza i znajdowało się na niej wiele wysp.

- Dotarliśmy do granic cywilizowanych rejonów - oświadczył Mack. Przez kilka ostatnich dni czuli się tak, jakby byli jedynymi mieszkańcami Ziemi. Poprzedniego dnia spotkali tylko jednego białego, traperę, a na odległych wzgórzach dostrzegli trzech Indian. Tego dnia nie widzieli żadnego białego, lecz za to natknęli się na kilka grup czerwonoskórych. Tubylcy nie okazywali ani przyjaźni, ani wrogości, po prostu trzymali się na dystans. Mack i Lizzie od dawna już nie widzieli pól uprawnych. W miarę jak malała liczba farm, natrafiali na coraz więcej dzikich zwierząt: bizonów, saren, jeleni, królików oraz dzikich indyków, kaczek, bekasów i przepiórek. Lizzie ustrzeliła ich więcej, niż mogła z Mackiem zjeść. Pogodę mieli zmienną. Któregoś dnia od rana do wieczora padało i brnęli w błocie, a w nocy, przemoczeni do suchej nitki, drżeli z zimna. Z rana jednak słońce bardzo szybko wysuszyło ich ubrania. Od nieustannego przebywania w siodle oboje cierpieli na odparzenia i bolały ich mięśnie, lecz konie niosły wspaniale - zakupiony w Charlottesville przez Macka owies oraz niezwykle bujna trawa, której wszędzie było pod dostatkiem, dokonały cudu.

Nigdzie nie natknęli się na ślad Jaya, lecz to jeszcze o niczym nie świadczyło. Mack był pewien, że młody Jamisson wciąż krąży w pobliżu. Napoili konie, a potem usiedli na skalistym brzegu i odpoczywali. Szlak, którym przebyli równinę, kończył się nad rzeką. Na drugim brzegu zaczynały się bezdroża. Po północnej stronie teren stopniowo się wznosił, a w odległości jakichś dziesięciu mil strzelał w niebo posepny, groźny łańcuch górski, cel ich podróży.

- Tam musi leżeć przełęcz - odezwał się Mack.

- Żadnej przełęczy nie widzę - odparła Lizzie.

- Ja też nie, ale może po prostu nie można jej stąd zobaczyć.

- Jeśli jej tam nie ma...

- To poszukamy innej - wpadł jej w słowa Mack.

Mówił z wielką pewnością siebie, jednak bardzo się niepokoił. Wkraczali na dzikie tereny, pełne niebezpiecznych zwierząt. Indianie również mogli okazać się nieprzyjaźni. Mieli wprawdzie strzelby i chwilowo głód im nie zagrażał, ale co będzie zimą? Wyciągnął mapę, która z każdym dniem podróży stawała się coraz mniej dokładna.

- Dobrze by było spotkać kogoś, kto zna drogę - powiedziała Lizzie.

- Kilka takich osób już spotkaliśmy.

- I każda mówiła coś innego...

- Ale tak naprawdę wszyscy twierdzili to samo - odparł Mack. - Doliny rzek biegą z północnego wschodu na południowy zachód. Dokładnie tak, jak wskazuje mapa. Powinniśmy posuwać się na

północny wschód, przecinając pod kątem prostym te doliny i dzielące je pasma górskie.

- Głównym problemem będzie odnalezienie przełęczy.

- Wiesz przecież, że musimy kluczyć. Gdy tylko ujrzymy po północnej stronie przełęcz, przejdziemy nią na drugą stronę. Jeśli natkniemy się na masyw nie do przebycia, skreścimy na zachód i ruszymy doliną dalej, wypatrując możliwości zboczenia na północ. Przełęcze znajdują się zapewne w innych miejscach, niż wskazuje mapa, ale gdzieś na pewno są.

- No cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak próbować stwierdziła Lizzie. **- Jeśli wyrosną przed nami trudności nie do przebycia, wrócimy drogą, którą nadeszliśmy, i poszukamy innego szlaku. Lizzie uśmiechnęła się.**

- Wolę to niż wizyty na Grosvenor Square. Mack również się uśmiechnął. Lizzie była gotowa na wszystko, i to w niej kochał.

- A ja wolę to od wydobywania węgla - odparł. Lizzie spochmurniała nagle.

- Tak bardzo bym chciała odnaleźć Peg... - powiedziała. **Mack również tego pragnął. Nie natrafili na żaden ślad dziewczynki. Pierwszego dnia mieli jeszcze nadzieję, że spotkają ją po drodze, ale były to płonne nadzieje. Lizzie przeplakała wtedy całą noc. Czowała się, jakby utraciła dwoje dzieci, najpierw własną córeczkę, a potem Peg. Nie wiedzieli, co się z nią stało i czy w ogóle jeszcze żyje.**

Zrobili wszystko, aby ją odszukać, lecz było to niewielką pociechą. Ilekroć Mack myślał o Peg, do oczu również napływały mu łzy. Teraz już każdej nocy mógł kochać się pod gwiazdami z Lizzie. Nastawa wiosna i choć pogoda była zmienna, nie padały duże deszcze. Niebawem postawią dom i będą mogli kochać się pod dachem. Poza tym muszą przygotować na zimę zapasy solonego mięsa i ryb. Należało też zaorać i obsiać pole... Dźwignął się z ziemi.

- Bardzo krótki odpoczynek - zauważyła Lizzie i także wstała.

- Chcę jak najszybciej oddalić się od rzeki - oświadczył Mack. - Jay mógł domyślić się, którądy uciekliśmy, lecz teraz już pozbędziemy się go na dobre. Popatrzyli na drogę, która ich tu przywiodła. Wprawdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegli nikogo, ale z całą pewnością Jay czaił się w pobliżu. Mack był o tym najgłębiej przekonany. Nagle uświadomił sobie, że ktoś ich obserwuje. Najpierw kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Później ten ruch się powtórzył. Mack zeszywniał i powoli odwrócił głowę. W odległości kilku jardów od nich stało dwóch Indian. Mack i Lizzie znajdowali się na północnym skraju terytorium Irokezów i przez ostatnie trzy dni często widywali ich w oddali, ale nigdy jeszcze żaden z nich nie podszedł tak blisko. Byli to siedemnastoletni chłopcy. Mieli proste czarne włosy, czerwona skórę charakterystyczną dla pierwotnych mieszkańców Ameryki i ubrani byli w wykonane ze

skóry bluzy i spodnie. Wyższy z Indian pokazał dużą rybę przypominającą łososia. - Chcę noża - powiedział.

- Chcielibyście się na coś wymienić? - zapytał Mack. Chłopiec uśmiechnął się i powtórzył:

- Chcę noża.

- Nie potrzebujemy ryby, ale przydałby się nam przewodnik - wtrąciła Lizzie. - Założę się, że oni wiedzą, gdzie leży przełęcz - powiedziała do Macka. Był to doskonały pomysł. Jakże inaczej by im się podróżowało, gdyby wiedzieli dokładnie, dokąd iść.

- Czy zostaniecie naszymi przewodnikami? - zapytał skwapliwie Mack. Chłopiec uśmiechnął się znowu, ale najwyraźniej nie zrozumiał. Jego towarzysz stał nieruchomo i milczał.

- Czy zostaniecie naszymi przewodnikami? - ponownie zapytał Mack.

- Dziś nie handlujemy - odparł niepewnie Indianin. Na jego twarzy malowało się zakłopotanie. Mack westchnął.

- To przedsiębiorczy dzieciak - powiedział do Lizzie. Zna kilka zwrotów, ale tak naprawdę nie umie mówić po angielsku. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że przez niemożność porozumienia się z tubylcami tracą niepowtarzalną okazję znalezienia drogi przez góry.

- Pozwól, ja spróbuję - zaproponowała Lizzie.

Podeszła do jednego z koni, otworzyła skórzaną sakwę i wyciągnęła z niej nóż o długim ostrzu.

Wykonano go w kuźni na plantacji i na drewnianym

trzonku miał wypaloną literę "J", od nazwiska Jamisson. W porównaniu z nożami produkowanymi w Londynie było to prymitywne narzędzie, ale z pewnością o niebo lepsze od tego, co potrafili samodzielnie wytworzyć Irokezi. Pokazała chłopcu nóż. Indianin uśmiechnął się szeroko.

- Kupię - powiedział i wyciągnął rękę. Lizzie cofnęła rękę, w której trzymała nóż. Chłopiec z kolei wyciągnął rybę, ale Lizzie odepchnęła ją. Na twarzy chłopca odmalował się zawód.

- Popatrz... - powiedziała Lizzie. Pochyliła się nad wielkim płaskim kamieniem i czubkiem noża zaczęła na nim rysować. Najpierw wyskrobała postrzępioną linię, a potem wskazała na odległe góry i znów na wyrysowaną linię.

- To łańcuch górski - powiedziała. Mack nie wiedział, czy chłopiec zrozumiał. Poniżej masywu górskiego Lizzie naszkicowała dwie małe ludzkie postacie i wskazała na siebie i Macka. - To my - powiedziała. - A teraz... patrz uważnie. Wyrysowała wyobrażenie drugiego pasma górskiego połączonego z pierwszym znaczkiem "V". - Chcemy znaleźć przełęcz - oświadczyła i popatrzyła wyczekująco na chłopca. Mack wstrzymał oddech.

- Kupię - powiedział Indianin i ponownie zaoferował Lizzie rybę. Mack jęknął.

- Nie trać ducha - mruknęła Lizzie i znów zwróciła się do Indianina: - To są góry. To jesteśmy my. Tu jest przełęcz. Musimy tę przełęcz znaleźć. -

Następnie wskazała na niego. - Zaprowadzisz nas na

przełęcz, a my damy ci nóż. Młody Indianin spojrział na góry, potem przeniósł wzrok na rysunek i w końcu ponownie popatrzył na Lizzie.

- Przełęcz - powiedział. Lizzie wskazała góry.

Chłopiec narysował palcem w powietrzu "V", a następnie w miejscu, gdzie pokazał palcem ów znak, przesunął dłoń.

- Przełęcz - powtórzył.

- Kupuję - powiedziała Lizzie. Chłopiec energicznie pokiwał głową.

- Sądysz, że zrozumiał? - zapytał Lizzie Mack.

- Nie wiem. - Zawahała się, a potem wzięła konia za uzdę i ruszyła przed siebie. - Idziemy? - Odwróciła się do chłopca i skinęła zachęcająco ręką. Młody Indianin zrównał się z nią i ruszył obok.

- Alleluja! - wykrzyknął Mack. Drugi chłopiec ruszył za nimi. Szli brzegiem rzeki. Konie posuwały się równym tempem. Jednak choć góry stopniowo stawały się wyższe i majaczyły coraz bliżej, Mack wciąż nie potrafił wypatrzeć przełęcz. Droga cały czas pięła się w górę, ale szlak stał się jakby równiejszy i konie zaczęły iść trochę zwawiej. Później szlak się skończył i chłopcy ruszyli sobie tylko znanymi ścieżkami, a Lizzie i Mack za nimi. Zbliżyli się do podnóża gór, nieoczekiwanie skręcili na wschód i wtedy uszczęśliwiony Mack dostrzegł wreszcie przełęcz.

- Dobra robota, Chłopcze Rybo - powiedział z radością. Przebyli brodem rzekę i obszedłszy jedną z gór znaleźli się po drugiej stronie masywu. O

zachodzie słońca trafili do wąskiej doliny z bystrym potokiem szerokości około dwudziestu pięciu stóp, płynącym w kierunku północnego wschodu. Przed sobą mieli kolejną grań.

- Tu założymy obóz - oświadczył Mack. - Rano ruszymy w górę doliny i znajdziemy następną przełęcz. Przebyli pozorne bezdroże, a przełęcz była znad rzeki niewidoczna, więc Jay z pewnością tu za nimi nie trafi. Mack uwierzył, że w końcu udało się im uciec. Lizzie podała wyższemu chłopcu nóż.

- Dziękuję, Chłopcze Rybo - powiedziała. Mack wolałby, aby Indianie towarzyszyli im dłużej.

Oddałby im wszystkie noże, żeby tylko przeprowadzili ich bezpiecznie przez góry. Ale Irokezi odwrócili się i ruszyli w drogę powrotną. Wyższy z nich niósł nóż. W kilka chwil później zniknęli w zapadającym zmroku.

Jay był przekonany, że tego dnia wreszcie dopadną uciekinierów. Ostro poganiał konia, zmuszając do szybkiego biegu. - Nie mogą już być daleko - powtarzał nieustannie. Kiedy jednak o zmierzchu dotarli do rzeki Holston, nie natknęli się na najmniejszy ślad zbiegów.

- Nie możemy przecież jechać po ciemku - powiedział Jay ze złością do kompanów, którzy poili właśnie konie. Sądziłem, że złapiemy ich już tutaj.

- Uspokój się, jesteśmy blisko - odparł rozdrażniony Lennox. Im bardziej oddalali się od cywilizacji, tym bardziej stawał się bezczelny.

- Trudno zgadnąć, w którym miejscu przeprawili się przez rzekę - włączył się do rozmowy Dobbs. - Przez te góry nie prowadzi żaden szlak i każdy musi szukać własnej drogi. Spętali konie, przywiązali Peg do drzewa i Lennox zaczął przygotowywać mamalygę na kolację. Upłynęły cztery dni od czasu, gdy po raz ostatni napotkali gospodę i Jay miał już serdecznie dosyć brei, jaką karmił swoich niewolników. Było jednak za ciemno, żeby ustrzelić jakiegokolwiek zwierzę. Dokuczały im odparzenia i zmęczenie. Binns opuścił ich jeszcze w Fort Chiswell, a teraz Dobbs też zaczynał tracić ducha.

- Powiniennem zrezygnować i wracać do domu - oświadczył. - Zabłądzenie i śmierć w górach nie są warte pięćdziesięciu funtów. Ale Jay nie zamierzał go puszczać. Dobbs był jedyną osobą, która jako tako znała te okolice.

- Przecież jeszcze nie złapaliśmy mojej żony - powiedział. - Twoja żona nic mnie nie obchodzi.

- Daj nam jeszcze jeden dzień. Myśliwi twierdzą, że szlak przez góry zaczyna się w miejscu oddalonym stąd o jeden dzień jazdy. Jeśli uda nam się znaleźć przełęcz, jutro pewnie ich złapiemy.

- Marnujemy tylko czas. Lennox ponakładał do misek kleistą kaszę. Dobbs poluzował Peg więzy na rękach, by mogła samodzielnie jeść. Po posiłku znów ją związał i nakrył kocem. Nikt wprawdzie nie przykładął większej wagi do zapewnienia dziewczynce wygód, ale Dobbs koniecznie chciał ją dostarczyć szeryfowi w Staunton. Wyglądało na to,

że pragnie w ten sposób zdobyć jego uznanie. Lennox wyciągnął butelkę rumu. Mężczyźni otulili się kocami i przekazując sobie flaszkę, prowadzili leniwą rozmowę. Mijały godziny, na niebie pojawił się księżyc. Jay co jakiś czas zapadał w niespokojną drzemkę. W pewnej chwili, gdy otworzył oczy, w blasku rzucanym przez ognisko dostrzegł obcą twarz. Tak się przeraził, że nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Była to twarz młoda, lecz dziwnie obca, i dopiero po dłuższej chwili Jay pojął, że należy do Indianina. Indianin uśmiechał się, ale nie do niego. Jay powędrował spojrzeniem za jego wzrokiem i pojął, że uwaga czerwonoskórego skupiona jest na Peg, która robiła dziwne miny. Zapewne prosiła w ten sposób Indianina, żeby ją rozwiązał. Jay leżał bez ruchu i patrzył, co się wydarzy. Ujrzał drugiego tubylca. Byli to młodzi chłopcy. Jeden z nich wkroczył w krąg rzucanego przez ognisko blasku. Niósł wielką rybę. Położył ją ostrożnie na ziemi, wyciągnął nóż i pochylił się nad Peg. Ale Lennox był szybki jak wąż. Jay nie spostrzegł nawet, co się stało. Błyskawiczny ruch, i już nadzorca mocował się z chłopcem. Nóż upadł na ziemię. Zrozpaczona Peg krzyknęła. Drugi Indianin zniknął. Jay dźwignął się z ziemi.

- Kogo tu mamy? - zapytał. Dobbs przecierał zaspane oczy.

- Indiański chłopiec. Próbował nas okraść, więc dla przykładu powinniśmy go powiesić - wymamrotał.

- Jeszcze nie teraz - sprzeciwił się Lennox. - Mógł spotkać zbiegów. Słowa te ponownie wzbudziły w Jayu nadzieję. Stał przed czerwonoskórym.
- Powiedz coś, dzikusie - zażądał. Lennox mocniej wykręcił chłopakowi rękę. Indianin krzyknął z bólu i zawołał coś w swoim języku.
- Gadaj po angielsku - warknął Lennox.
- Czy spotkałeś po drodze dwoje ludzi, mężczyznę i kobietę? - zapytał Jay.
- Dziś nie handluję - odrzekł Indianin.
- Nie zna angielskiego - zauważył Dobbs.
- Nie sądzę, aby mógł nam w czymkolwiek pomóc stwierdził zniechęcony Jay.
- Ależ oczywiście, że bardzo nam pomoże! - odrzekł Lennox. - Trzymaj go, Dobbs. - Dobbs chwycił chłopca, a Lennox schylił się i podniósł upuszczony przez Indianina nóż. - Popatrzcie. To nasza produkcja... na trzonku jest wypalona litera "J". Jay zerknął na trzymany przez Lennoxa nóż. Nadzorca miał rację. Nóż został wykonany na plantacji!
- Musiał spotkać Lizzie - stwierdził.
- Właśnie - mruknął Lennox. W Jaya znów wstąpiła nadzieja. Lennox przysunął ostrze do oczu młodego Indianina.
- Którędy poszli, chłopcze? - zapytał. Czerwonoskóry próbował się wyrwać, ale nie udało mu się.
- Nie handluję dzisiaj - powiedział wystraszonemu głosem. Lennox ujął lewą dłoń chłopca i wbił mu pod paznokieć wskazującego palca czubek noża.

- Któredy? - powtórzył, zrywając paznokiec. Chłopiec i Peg wrzasnęli jednocześnie.
- Dosyć! - zawołała Peg. - Przestańcie! Lennox ujął drugą rękę Indianina i zdarł mu następny paznokiec. Chłopiec zaczął płakać.
- Gdzie jest przełęcz? - zapytał Lennox.
- Przełęcz... - powtórzył Indianin i wskazał zakrwawioną ręką północ. Jay odetchnął z ulgą.
- Zaprowadzisz nas tam - oświadczył.

Mackowi śniło się, że przechodzi przez rzekę zmierzając do miejsca zwanego Wolność. Woda była zimna, dno nierówne, a prąd bardzo wartki. Brnął z wysiłkiem, ale brzeg wcale się nie przybliżał, a rzeka z każdym krokiem stawała się głębsza. Wiedział jednak, że jeśli tylko nie ustanie w marszu, dotrze do celu. Ale rzeka była już bardzo głęboka i w końcu woda zamknęła się nad jego głową. Zbudził się przerażony, ciężko łapiąc oddech. W tym samym momencie usłyszał rzenie jednego z koni.

- Coś je zaniepokoiło - powiedział do Lizzie, ale nie doczekał się odpowiedzi. Odwrócił się i spostrzegł, że zniknęła. Pewnie poszła w krzaki za potrzebą, pomyślał, ale ogarnęły go złe przeczucia. Szybko wyplątał się z koca i zerwał na nogi. Niebo już szarzało i zobaczył, że cztery klacze i dwa ogiery stoją nieruchomo, jakby zwietryły zbliżające się obce konie. Ktoś nadjeżdżał.

- Lizzie! - zawołał. Zza drzewa wynurzył się Jay z wycelowaną w Macka strzelbą. Mack skamieniał. W

chwile później pojawił się Sidney Lennox. W obydwu rękach trzymał pistolety. Macka zalała fala rozpaczy, niczym we śnie wodna toń. Nie zdołał jednak uciec. Złapano go. Ale gdzie podziała się Lizzie? Kiedy się nad tym gorączkowo zastanawiał, nadszedł jednooki mężczyzna, którego spotkali przy brodzie na South River. On również miał strzelbę, a obok niego, na drugim koniu, jechała Peg z nogami skrępowanymi pod brzuchem zwierzęcia tak, że nie mogła zeskoczyć z siodła. Nie sprawiała wrażenia rannej, ale wyglądała żałośnie. Obok postępował przywiązany długim sznurem do siodła Dobbsa Chłopiec Ryba. To on musiał ich tu przyprowadzić. Indianin miał zakrwawione dłonie. Przez chwilę Mack obserwował czerwonoskórego ze zdziwieniem. Gdy go widział ostatni raz, chłopiec nie był ranny. Natychmiast jednak zrozumiał, że go torturowano, i poczuł obrzydzenie do Jaya i Lennoxa. Jamisson popatrzył na rozrzucone na ziemi koce. Nie miał wątpliwości, że Mack i Lizzie ze sobą spali.

- Ty brudna świnio - warknął z wściekłością. - Gdzie jest moja żona? - Chwycił strzelbę za lufę i z całych sił wyrzucił kolbę w policzek. Mack zatoczył się i upadł. Gdzie ona jest, ty bydlaku? Gdzie jest moja żona? Mack przełknął krew.

- Nie wiem.

- Skoro nie wiesz, to w takim razie strzelę ci w łeb! Mack wiedział, że Jay spełni swą groźbę. Oblały go zimne poty, ale nie zamierzał błagać o życie. Zaciśnął zęby.

- Nie... nie strzelaj... proszę! - wrzasnęła Peg. Jay przyłożył lufę do głowy Macka.

- Za to, że tyle razy stawiałeś mi na drodze! - wykrzyknął wysokim, histerycznym głosem. Mack popatrzył mu w oczy i ujrzał w nich żądzę mordu. Lizzie leżała na brzuchu na trawiastej kępie skryta za skałą. W dłoniach trzymała strzelbę. Wybrała to miejsce poprzedniego wieczoru, kiedy udała się nad brzeg rzeki w poszukiwaniu sarnich tropów. Gdy niebo pojaśniało na tyle, że mogła cokolwiek dostrzec, ukryła się i czekała cierpliwie, aż do wodopoju przyjdą zwierzęta. Zdawała sobie sprawę z tego, że na początek zdani będą wyłącznie na jej strzeleckie umiejętności. Mack potrafił wprowadzić zbudować dom, oczyścić, zaorać i obsiać pole, ale zanim zdołają wyżywić się z pracy jego rąk i przetrwać zimę, muszą jeszcze czekać rok do czasu pierwszych plonów. Wśród zachowanych zapasów wieźli trzy wielkie wory soli, a Lizzie często siadywała w kuchni w domu w High Glen i obserwowała, jak kucharka Jeannie soli w ogromnych bekach szynki i płaty sarniny. Nauczyła się też wędzić ryby. A żywności potrzebować będą dużo, gdyż sądząc po sposobie, w jaki ona i Mack spędzali czas wolny, przed upływem roku przybędzie jeszcze jedna osoba do wyżywienia. Na tę myśl Lizzie roześmiała się radośnie. Nagle między drzewami dostrzegła jakiś ruch. W chwilę później z lasu wyłoniła się młoda sarna i z gracją podeszła do skraju wody. Pochyliła łeb i zaczęła pić. Lizzie

bezszelestnie odwiodła kurek strzelby. Zanim jednak zdążyła wycelować, pojawiła się następna sarna, a za nią dwanaście lub piętnaście innych. Jeśli tam, w dziczy, będzie tyle zwierzyny, szybko przytyjemy! - pomyślała Lizzie. Nie chciała strzelać do zbyt dużego zwierzęcia. Konie i tak były dostatecznie obciążone i mogłyby nie podolać dźwiganiu dodatkowych zapasów. Poza tym młode zwierzę miało dużo delikatniejsze mięso. Wybrała cel i skierowała na niego muszkę. Kolbę strzelby przycisnęła do ramienia, tuż nad sercem, i wstrzymała oddech, po czym pociągnęła za cyngiel. Odgłos strzału dobiegł z górnej części doliny, z odległości dwustu lub trzystu jardów. Jay, ze strzelbą wciąż wycelowaną w Macka, znieruchomiał. Konie zaczęły niespokojnie przebierać kopytami, ale strzał padł zbyt daleko, by mógł je bardziej wystraszyć. Dobbs uspokoił swojego wierzchowca i wycedził:

- Jamisson, jeśli teraz strzelisz, ostrzeżesz żonę, a ona natychmiast da drapaka. Jay chwilę się wahał, po czym powoli opuścił broń. Mack poczuł niewysłowioną ulgę.

- Idę po nią - oświadczył Jay. - Czekać tu na mnie. Mack pomyślał, że jeśli zdoła w jakiś sposób ostrzec Lizzie, może uda jej się wymknąć. Prawie chciał, żeby Jay do niego strzelił - mogłoby to uratować Lizzie. Młody Jamisson opuścił polanę i z bronią gotową do strzału ruszył w górę strumienia. Muszę sprowokować któregoś z nich do strzału, pomyślał Mack. Najlepiej, jeśli popróbuje ucieczki. Ale co

będzie, jeśli we mnie trafią? - zastanowił się i zaraz sam sobie odpowiedział: Nie dbam o to. Wolę umrzeć, niż ponownie popaść w niewolę. Zanim rozsądek zdążył wziąć górę, rzucił się biegiem w stronę najbliższych drzew. Przez chwilę trwała cisza. Oślupiali towarzysze Jaya nie pojmowali, co się święci. Przerazona Peg wrzasnęła. Mack biegł w stronę drzew, spodziewając się w każdej chwili uderzenia pocisku w plecy. Rozległ się wystrzał, po nim następny, ale Mack nic nie poczuł. Obie kule chybiły. Zanim padły kolejne strzały, zatrzymał się i uniósł ręce. Ostrzegł Lizzie. Trzymając ręce nad głową, odwrócił się powoli. Dałem ci szansę, Lizzie, pomyślał. Powodzenia, kochanie. Na odgłos wystrzałów Jay znieruchomiał. Huk dobiegł go zza pleców, więc to nie Lizzie strzelała, ale ktoś na polanie. Czekał, lecz dalsze strzały nie nastąpiły. Cóż to mogło znaczyć? McAsh nie zdążyłby chwycić i naładować strzelby. Poza tym był przecież tylko górnikiem i na broni się nie znał. Jay podejrzewał, iż to Lennox lub Dobbs zastrzelił McAsha. Ale niezależnie od tego, co się wydarzyło na polanie, najważniejsze było pochwycenie Lizzie. Niestety kanonada ją ostrzegła. Jak się zachowa? Dobrze znał swoją żonę. Cierpliwość i rozwaga nie należały do jej zalet. Nigdy się nie wahała. Reagowała spontanicznie i zdecydowanie. Na pewno biegnie teraz w stronę polany. Zanim zrozumie, że powinna się zatrzymać, rozejrzeć w sytuacji i ustalić plan działania, będzie już w potrzasku. Znalazł miejsce, z którego miał

doskonały widok na trzydzieści czy czterdzieści jardów wijącej się brzegiem strumienia ścieżki. Ukrył się w krzakach i naciągnął kurek strzelby. Ale nadal dręczyły go wątpliwości. Co zrobi, gdy w polu widzenia pojawi się Lizzie? Jeśli ją zastrzeli, skończą się jego kłopoty. Próbował udawać sam przed sobą, że poluje na sarnę. Żeby strzał był pewny, powinien wycelować w serce, tuż pod ramieniem. Na ścieżce pojawiła się Lizzie. Potykając się na nierównościach, biegła w stronę polany. Miała na sobie męski strój, ale Jay widział, jak od wysiłku gwałtownie falują jej piersi. Dźwigała dwie strzelby. Gdy wycelował w serce Lizzie, przed oczyma stanął mu jej obraz, jak siedzi na nim okrakiem w łóżu w domu przy Rugby Street. Gdy uprawiali ze sobą miłość, jej piersi falowały równie gwałtownie jak teraz. Nie potrafił nacisnąć spustu. Kiedy znalazła się w odległości dziesięciu jardów od niego, wynurzył się z zarośli. Stała jak wryta i wydała okrzyk przerażenia.

- Witaj, kochanie - powiedział Jay. Popatrzyła na niego wzrokiem pełnym nienawiści.

- Dlaczego nie pozwolisz mi odejść? - zapytała. - Przecież mnie nie kochasz!

- Nie, ale potrzebuję wnuka mego ojca. Lizzie popatrzyła na niego z pogardą.

- Wolę umrzeć.

- To jest alternatywa - stwierdził. Gdy Lennox wypalił z obu pistoletów w Macka, zapanowało zamieszanie. Konie przestraszyły się huku oddanych blisko strzałów. Zwierzę, na którym siedziała Peg,

ruszyło galopem przed siebie. Dziewczynka była wprawdzie przywiązana do siodła, ale chwyciła skrepowanymi dłońmi uzdę, próbując zatrzymać wystraszonego wierzchowca. Nie udało jej się to jednak i po chwili zniknęli między drzewami. Koń Dobbsa zaczął wściekle wierzgać. Lennox pośpiesznie ładował pistolety. Chłopiec Ryba skorzystał z zamieszania, wskoczył z tyłu na konia Dobbsa i strącił mężczyznę z siodła. Macka ogarnęło uniesienie. Zrozumiał, że jeszcze nie wszystko stracone. Lennox schował pistolety i ruszył z pomocą Dobbsowi, ale Mack podstawił mu nogę i nadzorca wywinął kozła w powietrzu. Dobbs, spadając z konia, zaplątał się kostką w linę, którą przywiązany był do siodła Chłopiec Ryba. Przerażony koń wyrwał do przodu. Indianin przylgnął do grzywy zwierzęcia i po chwili zniknęli z zasięgu wzroku, wlokąc za sobą Dobbsa. Mack odwrócił się do Lennox. Na polanie zostali już tylko oni dwaj. Wreszcie miało dojść między nimi do walki. Zabiję go, pomyślał Mack. Leżący na ziemi Lennox obrócił się i zerwał na nogi. W ręku trzymał nóż. Natarł na Macka, ale ten zrobił unik, kopnął nadzorcę w kolano i odskoczył na bezpieczną odległość. Lennox utykając znów ruszył w jego stronę. Tym razem zrobił nożem fintę, a kiedy Mack odskoczył w niewłaściwą stronę, ponownie pchnął. Mack poczuł ostry ból w lewym boku. Prawą pięścią zadał nadzorcy potężny cios w głowę. Lennox zamrugał oczyma i ponownie zamachnął się nożem. Mack cofnął się. Był młodszy i silniejszy, ale Lennox

miał większe doświadczenie w operowaniu nożem. Mack stwierdził, że nie zdoła pokonać nadzorcy w bezpośredniej walce. Musiał wymyślić jakiś fortel. Odwrócił się i odbiegł kilka jardów. Jego wzrok zatrzymał się na kamieniu wielkości pięści. Schylił się, podniósł go i odwrócił się w stronę nadzorcy. Lennox był tużtuż. Mack cisnął kamieniem i trafił nadzorcę w sam środek czoła. Wydał krzyk tryumfu. Oszołomiony Lennox zachwiał się, a wtedy Mack kopnął go w prawy łokieć. Nadzorca z wrzaskiem bólu i przerażenia wypuścił nóż. Mack skoczył do niego i zadał mu potężny cios w podbródek. Choć bardzo zaboląa go dłoń, radość była większa. Lennox cofnął się, w jego oczach pojawił się strach. Mack wyrznął przeciwnika w brzuch, a potem dwukrotnie w głowę, z prawej i lewej strony. Oszołomiony Lennox zatoczył się do tyłu. Miał już dosyć, ale Mack nie zamierzał wcale przestać. Chciał tego człowieka zabić. Chwycił nadzorcę za włosy, szarpnął mu głowę w dół i przyrznął kolanem w twarz. Lennox zawył, z nosa chlusnął mu strumień krwi. Opadł na kolana, zakaszłał i zaczął wymiotować. Mack miał właśnie zadać kolejne uderzenie, gdy usłyszał głos Jaya:

- Przestań albo ją zabiję. Na polanę weszła Lizzie, a za nią Jay z przystawioną do tyłu jej głowy strzelbą. Mack gapił się na nich w osłupieniu. Widział, że kurek w strzelbie jest odwiedziony. Gdyby Jay przez przypadek się potknął, kula z pewnością rozniosłaby

Lizzie głowę. Odwrócił się od Lennox'a i ogarnięty dziką furią ruszył w stronę Jamissona.

- Masz tylko jedną kulę - warknął. - Jeśli zastrzelisz Lizzie, zabiję cię.

- Zatem powinienem zastrzelić ciebie - odrzekł Jay.

- No to zastrzel! - wrzasnął Mack. Jay poderwał broń. Mack ucieszył się, że broń nie jest już skierowana na Lizzie i nieustępliwie parł w stronę Jaya. Nagle ciszę zmaćił osobliwy, świszczący dźwięk i w policzku Jaya utkwiała strzała. Jamisson,

wypuszczając z rąk strzelbę, krzyknął z bólu. Broń wypaliła z donośnym hukiem. Kula przeleciała tuż obok głowy Macka. Po chwili ponownie rozległ się ów dziwny dźwięk i druga strzała przeszła szyję Jaya. Osunął się na ziemię. Na polanę wkroczył Chłopiec Ryba, a za nim jego towarzysz, Peg oraz pięciu czy sześciu uzbrojonych w łuki Indian. Mack pojął, że kiedy Jay pochwycił Chłopca Rybę, drugi Indianin pobiegł po pomoc. Idący z odsieczą Indianie musieli natknąć się na spłoszone konie. Nie wiedział, jaki los spotkał Dobbsa, ale jeden z czerwonoskórych miał na nogach jego buty. Lizzie stała nad Jayem i patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma, zakrywając dłonią usta. Mack zbliżył się do niej i objął ją. Popatrzył na leżącego Jamissona, któremu z ust ciekła krew. Strzała rozerwała tętnicę w szyi.

- On umiera - odezwała się drżącym głosem Lizzie.

Mack w milczeniu skinął głową. Chłopiec Ryba wskazał na klęczącego wciąż Lennox'a. Drugi Indianin pchnął go i rzucił plackiem na ziemię.

Chłopiec Ryba, pokazując swoje palce, zamienił kilka słów z najstarszym z towarzyszących mu współplemieńców. Wyglądało na to, że ma pozrywane paznokcie i Mack zrozumiał, jakie męki zadawał mu Lennox. Starszy Indianin wyrwał zza pasa topór i szybkim, mocnym ciosem odrąbał nadzorcy prawą dłoń.

- Jezu! - jęknął Mack. Z kikuta trysnęła krew i Lennox zemdlął. Indianin uniósł nad głowę uciętą dłoń i wręczył ją Chłopcu Rybie, który z powagą wziął ją do ręki, odwrócił się i odrzucił krwawy strzęp daleko od siebie. Dłoń Lennoxa poleciała wysoko nad drzewami i spadła gdzieś w lesie. Wśród Indian rozległ się szmer aprobaty.

- Ręka za rękę - mruknął Mack.

- Boże, wybacz im - westchnęła Lizzie. Ale to wcale nie był jeszcze koniec. Tubylcy unieśli krwawiącego Lennoxa i ułożyli go pod drzewem. Do nogi przywiązali mu sznur, który przerzucili przez konar drzewa, i podciągnęli nadzorcę w górę. Z kikuta płynęła krew, tworząc na ziemi powiększającą się szybko kałużę. Indianie otaczali Lennoxa kołem i najwyraźniej napawali się widokiem konającego. Przypominali Mackowi tłum gapiów pod londyńską szubienicą. Do Macka i Lizzie podeszła Peg.

- Musimy coś zrobić z palcami indiańskiego chłopca powiedziała. Lizzie zamrugła oczyma i skinęła głową.

- Mam skuteczną maść na rany i chustkę do nosa, której użyjemy jako bandaża. Zajmę się tym.

- Nie - odparła zdecydowanie Peg. - Ja to zrobię.

- Skoro tak chcesz... Lizzie znalazła w bagażach słoik z maścią oraz jedwabną chusteczkę i wręczyła to Peg. Dziewczynka odciągnęła od grupy otaczających drzewo Indian Chłopca Rybę. Choć nie знаła jego języka, najwyraźniej potrafiła się z nim w jakiś sposób porozumiewać. Zaprowadziła go nad potok i zajęła się jego ranami.

- Mack... - odezwała się Lizzie. Odwrócił się w jej stronę. Płakała.

- Mój mąż nie żyje - powiedziała. Mack spojrział na leżącego. Jay nie ruszał się, nawet przestał już krwawić. McAsh pochylił się, żeby sprawdzić, czy bije mu serce. Nie wyczuł pulsu.

- Kiedyś go kochałam - powiedziała cicho Lizzie.

- Wiem.

- Chcę go pochować - dodała. Mack wyciągnął z bagażu łopatę. Podczas gdy Indianie zajęci byli oglądaniem wykrwawiającego się na śmierć Lennox, wykopał głęboki dół. Potem przenieśli ciało i ułożyli je w jamie. Lizzie pochyliła się i ostrożnie wyciągnęła ze zwłok strzałę. Mack zasypał dół, a ona zaczęła nakrywać grób kamieniami. Mack zapragnął nagle natychmiast opuścić tę polanę, na której popłynęło tyle krwi. Spędził konie w jedno miejsce. Mieli ich teraz dziesięć. Sześć, które zabrali z plantacji i cztery, na których przybył Jay ze swoją bandą. Mack uświadomił sobie, że jest bogaty. Dziesięć koni to dobry początek hodowli. Zaczął łądować na nie zapasy. Indianie powoli odstępowali

od drzewa. Najwyraźniej Lennox wyzionał już ducha. Czerwonoskórzy podeszli do zajętego przy koniach Macka i najstarszy z nich coś powiedział. Mack nic nie zrozumiał, ale ton głosu Indianina był bardzo uroczysty, więc podejrzewał, że czerwonoskóry mówi mu, iż sprawiedliwości stało się zadość. Konie były gotowe do odjazdu. Znad rzeki nadeszli Chłopiec Ryba i Peg. Mack popatrzył na rękę młodego Indianina i stwierdził, że dziewczynka bardzo dobrze poradziła sobie z opatrunkiem. Chłopiec Ryba zaczął rozmawiać ze swoimi towarzyszami i między Indianami nastąpiła gwałtowna, gniewna wymiana zdań. Ostatecznie wszyscy czerwonoskórzy, z wyjątkiem Chłopca Ryby, odeszli.

- Czy on zostaje z nami? - zapytał Mack Peg. Dziewczynka w odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami. Indianie ruszyli doliną rzeki na wschód, w kierunku wylaniającego się zza horyzontu słońca, i niebawem zniknęli. Mack wskoczył na konia.

Chłopiec Ryba odwiązał wolnego wierzchowca i również ulokował się w siodle. Ruszył przodem, za nim Peg, a Mack i Lizzie na końcu.

- Czy sądzisz, że Chłopiec Ryba nas poprowadzi? - zapytał Mack Lizzie.

- Na to wygląda.

- Ale przecież nie było mowy o wynagrodzeniu.

- Nie.

- Ciekaw jestem, czego on chce. Lizzie popatrzyła na dwójkę młodych jadących obok siebie. - Nie domyślasz się?

- A... Sądzisz, że on się w niej zakochał?

- Myślę, że chciałby spędzić z nią trochę czasu.

- No cóż, na to wygląda - mruknął z zadumą Mack. Gdy jechali wzdłuż rzeki na zachód, za ich plecami wstawało słońce, rzucając przed nimi długie cienie. Była to rozległa dolina leżąca za najwyższym masywem, ale wciąż jeszcze znajdująca się w środku gór. Płynął nią bystry potok kryształowej, zimnej wody, w której roiło się od ryb. Otaczające dolinę stoki porastał gęsty las pełen zwierzyny. Nad najwyższą granią unosiły się dwa orły, znoszące pożywienie dla swoich piskląt.

- Przypomina mi to dom - powiedziała Lizzie.

- Więc nazwijmy to miejsce High Glen - zaproponował Mack. Na płaskim dnie doliny rozkulbaczyli konie. Mogli tu postawić dom i przygotować pola pod zasiew. Rozłożyli obóz na suchej trawie pod wielkim drzewem. Kiedy Peg i Chłopiec Ryba szukali w workach piły, dziewczynka natknęła się na pękniętą żelazną obręcz. Zaczęła ją z rozbawieniem oglądać. Ponieważ nie umiała czytać, wyryty na niej napis nic jej nie mówił.

- Po co to zabrałeś? - zapytała Macka. Mack wymienił spojrzenie z Lizzie. Oboje przypomnieli sobie dzień nad rzeką w starym High Glen w Szkocji, kiedy Lizzie zadała to samo pytanie. Teraz Mack dał

Peg taką samą odpowiedź, lecz tym razem nie było już w jego głosie gorzkości.

- Żeby nigdy nie zapomnieć - powiedział z uśmiechem. - Nigdy.

*** * ***

Koniec→